

Peter Clement

# INKWIZYT

# OR

## Rozdział 1

Środa, 2 kwietnia, 5.30

Oddział opieki paliatywnej w St Paul's Hospital

Buffalo, stan Nowy Jork

Powietrze na oddziale było przesycone wonią gazów, ludzkich ciał oraz przepoconej pościeli. Mrok zakłócały tylko nieliczne plamy światła. Krzyki, które rozbrzmiewały i cichły za jej drzwiami, mogły równie dobrze być wyciem wichru - i tak nikt nie zamierzał na nie odpowiadać. Pielęgniarki zwracały uwagę tylko na te, które urywały się na dobre.

Echo przyniosło z korytarza odgłos torsji tak gwałtownych, że musiały wyrwać komuś żołądek na drugą stronę.

To też mogło zainteresować pielęgniarki.

Wkrótce rozległ się skrzyp krepowych podeszew na linoleum.

Nikt nie zajrzał do pokoju.

- Rejestruj wszystko, nawet najdrobniejsze szczegóły.

Spraw, żeby twoje słowa pozwoliły mi poznać ich zapach, smak, głos i obraz.

Ten rozkaz, wydany mi tak dawno temu, rozbrzmiewał w mojej pamięci tak świeżo i wyraźnie, jakby został wypowiedziany tu i teraz, głosem nie znoszącym sprzeciwu. Jak zawsze przed misją nastawił mój umysł na obserwację, pozwalając mi zachować czujność i znów odnieść sukces.

- Słyszysz mnie? - szepnąłem, odciągając tłok strzykawki.

- Tak. - Jej oczy pozostały zamknięte. Pochyliłem się, by zbliżyć ucho do jej ust.
- Czujesz jeszcze ból?
- Nie. Minął.
- Widzisz coś?
- Tylko ciemność. - Jej szept był teraz chrapliwy.
- Spójrz uważniej! Powiedz mi, co tam widzisz. - Przelknąłem ślinę, żeby się opanować; jej oddech cuchnął.
- Nie jesteś moim lekarzem.

- Nie. Zastępuję go dzisiaj.

Nie odpowiedziała.

Potrząsnąłem nią lekko.

Pani Algreave?

- Zostaw mnie. Już nie boli.

Odsunąłem się i spojrzałem na jej poszarzałą, wychudzoną twarz. Światło księżyca nadało bladej skórze martwy, srebrzystobłękitny odcień. Ciało było już tak wyniszczone, że delikatny materiał zdobionej koronką koszuli nocnej zapadał się w pustych przestrzeniach między żebrami, przypominając białe rękawiczki na kościstych palcach.

Zerknąłem na zamknięte drzwi - pielęgniarki miały zacząć obchód dopiero za pół godziny - i położyłem kciuk na tłoku strzykawki. Nacisnąłem wolno i jej puls osłabł.

- Widzi pani coś?

Cisza.

Pani Algreave!

- Tak?

- Proszę mi powiedzieć, co pani widzi.

- Jest za ciemno.

- Proszę patrzeć uważnie.

- Ależ nic nie widzę...

- I nie czuje pani, że zaczyna się unosić? Znowu milczenie.

Przystawiłem usta do jej ucha.

- Proszę mówić, pani Algreave.

## 8

Moje słowa musiały zabrzmieć jak krzyk.

- Zostaw mnie w spokoju.

• Nie, dopóki nie powie mi pani, co widzi. - Stopniowo wciskałem tłok strzykawki. Puls kobiety stał się nieregularny i wyczuwalny jedynie dla wprawnych palców, jak tekst napisany Braille'em. Słabnące krążenie najpierw opuszczało mniej ważne organy: nerki, jajniki, jelita, by podtrzymać pracę płuc, serca i mózgu. W idealnym porządku, stworzonym po to, by neurony mogły zarejestrować nawet ostatnie sekundy życia. Każdy, kto ma dość odwagi, mógłby zdobyć wiedzę ukrytą w tych chwilach. - Czy już patrzy pani na nas z góry?

Z początku sądziłem, że mnie nie usłyszała. Potem jej usta poruszyły się bezdźwięcznie. Przekrzywiłem głowę i moje ucho znalazło się tuż nad jej wargami. Poczułem jej oddech na policzku, a woń zgnilizny wdarła się przez moje nozdrza aż do nasady języka.

- Co pani powiedziała?

- Widzę... siebie...

Za każdym oddechem wypowiadała jedno ledwie słyszalne, rozciągnięte w czasie słowo. Ale rozumiałem ją, bo miałem już wprawę w odczytywaniu wiadomości z tamtego wymiaru. Poczułem rosnące podniecenie i szybko uruchomiłem małe dyktafon, który miałem w kieszeni na piersi.

- Co jeszcze pani dostrzega?

- Łóżko... stolik nocny... zdjęcia... wszystkie moje zdjęcia...

Na stoliku obok posłania stała czarno-biała fotografia młodego mężczyzny w mundurze, oprawiona w srebro. Była tłem dla nowszych, kolorowych zdjęć, robionych na poczekaniu: ciemnowłosa para, trzech uśmiechnięci chłopcy przed choinką, kobieta z niemowlęciem. Zainteresował mnie tylko żołnierz.

- To pani mąż?

-Tak...

9

- Jak mu na imię?

Ledwie dosłyszałem odpowiedź; brzmiała chyba „Frank”.

- Nie żyje?

Oddech kobiety był już tak słaby, że gdybym przystawił do jej ust lusterko, raczej by nie zaparowało. -

Tak...

- Chce pani go odnaleźć?

Większość chciała. Pragnienie ponownego spotkania nigdy nie umiera. -Tak...

- Nadal patrzy pani na siebie leżącą na łóżku?

-Tak...

-Proszę odpuścić. Unieść się wyżej. Poza szpital, wysoko nad budynek. Musi pani to zrobić, żeby zobaczyć Franka.

-Tak...

• Proszę spojrzeć w górę. -Nie...

• Jeśli pani to zrobi, zobaczy pani Franka. On czeka. -Ja... już... nie... wrócę...

• W górę!

Nie odpowiedziała. Czyżbym posunął się za daleko? Nie, jeszcze wyczuwałem jej puls. Mimo to zdjąłem palec z tłoka.

• Słyszysz mnie pani jeszcze? -Tak...

• Co pani widzi?

• Zbyt... wielką...

• Co takiego? Noc? Przestrzeń? Gwiazdy?

• Szarość...

• Jaką szarość?

• Zimną...

• Chcę wiedzieć, co tam jest. -Nic...

Poczułem skurcz w brzuchu.

- Coś musi pani widzieć.

10

- To straszne

• Co takiego?

• Pomóż mi...

• Do diabła, dlaczego nie chce mi powiedzieć?

- Proszę mi powiedzieć, co pani widzi, albo zostawię

tam panią i Frank nigdy pani nie odnajdzie.

Tym razem usłyszałem jej gwałtowny wdech.

• Nie... proszę...

• Więc niech pani mówi.

• Nic... do... powiedzenia...

Puls pod opuszkami moich palców stał się mocniejszy, a oddech, który omiótł moje ucho, miał w sobie nową siłę.

-To... straszne... Zabierz... mnie... stąd... Proszę... zabierz...

Jej słabnący głos zmienił się w szloch. Oczy otworzyły się gwałtownie, pełne strachu.

Do tej pory nikt jeszcze się nie ocknął.

Zasłoniłem jej usta dłonią i znów spojrzałem na drzwi. Czy któraś z pielęgniarek coś usłyszała?

Żadnych kroków.

Pani Algreave patrzyła prosto na mnie.

- Teraz mnie pani poznaje? - spytałem, opierając kciuk

na tłoku strzykawki.

Skinęła głową i spróbowała coś powiedzieć. Cichy dźwięk zawibrował pod moją dłonią. Łaskotał.

- Ciii... Niech pani milczy. - Popchnąłem tłok. Chcia

łem dodać tylko tyle, by nad nią zapanować. - To tylko

zły sen.

Pokręciła głową i skierowała wzrok ku miejscu, w którym moja strzykawka łączyła się z wenflonem. Nagle uniosła brwi i z niepokojem zmarszczyła czoło. Jej stłumione piski przerwały ciszę. Nacisnąłem mocniej.

- Kazałem pani milczeć!

Zaczęła wierzgać nogami i łóżko zaskrzypiało.

Boże, skąd miała tyle siły. Inni nie mieli. Oparłem się na niej, przyciskając wychudzone ciało do materaca.

- Ostrzegam panią, proszę przestać! - Zamierzałem szeptać, ale mój głos przypominał bardziej krakanie wrony.

Wiła się pod moim ciężarem, a łóżko zgrzytało coraz głośniejsze.

Jeszcze mocniej przycisnąłem dłoń do jej ust.

Wciąż się ruszała. Falszywa melodia metalicznych skrzypnięć rozbrzmiewała echem pod moją czaszką. Byłem pewien, że lada chwila usłyszysz nas pielęgniarka.

Nacisnąłem tłok.

Broniąc się, trafiła mnie w ramię i tłok dotarł do końca, wypychając w jej żyły resztę preparatu.

Spojrzałem z przerażeniem na pusty cylinder.

Jej ruchy stopniowo zamierały. Puls zanikł. Oddech był coraz wolniejszy, aż wreszcie ustał. Wciąż patrzyła na mnie spod uniesionych brwi, ale teraz już rozszerzonymi i niereagującymi źrenicami trupa.

Ogarnęły mnie mdłości, a moje serce bez wątpienia biło w trzycyfrowym tempie. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem; najwyżej podtrzymywałem umierających w stanie zawieszenia.

Przetykałem ślinę tak długo, aż poczułem suchość w ustach. Wyjąłem strzykawkę i schowałem do kieszeni. Szybkim spojrzeniem omiotłem pościel i podłogę, by się upewnić, że niczego nie zgubiłem. Gdy się pochylałem, dyktafon wysunął się z kieszeni i z klekotem upadł na linoleum. Podniosłem go i wyłączyłem. Niewiele brakowało. Gdyby spadł bezgłośnie na dywanik albo na kołdrę, mógłbym nie zauważyć. Uspokoilem oddech i rozejrzawszy się raz jeszcze, z satysfakcją stwierdziłem, że wszystko wygląda całkiem naturalnie.

Gdy wycofywałem się w stronę drzwi, światło nisko wiszącego księżycza padło na twarz umarłej, wydobywając z jej rysów głębokie cienie. Umęczone, szeroko otwarte oczy wciąż lśniły. I choć wiedziałem, że to nie może być prawda, mógłbym przysiąc, że nadal obserwowały każdy mój krok.

12

## Rozdział 2

### Trzy miesiące później

Doktor Earl Gamet wyczuł to, gdy tylko znalazł się w marmurowym holu za głównym wejściem. Jak w żaden inny poranek, St Paul's buzował doskonale wyczuwalną nerwowością i podnieceniem. Pierwszy lipca.

Dzień zmiany.

W całej Ameryce Północnej zastępy świeżo upieczonych absolwentów medycyny, ubranych w świeżuteńkie białe kitle, dokonywały inwazji na szpitale kliniczne, by rozpocząć żmudną praktykę rezydentów, która miała uczynić z nich prawdziwych medyków.

O siódmej rano pojawiło się też więcej etatowych lekarzy niż co dzień. Oficjalnie przybyli, by powitać swoich nowych podopiecznych, ale Earl wiedział, że przede wszystkim chcą chronić pacjentów przed nowicjuszami oraz jak najwcześniej wyłuskać talenty rokujące nadzieję. Już po chwili witał się i wymieniał uprzejmości z kolegami, których nie widział od miesiący.

Tym razem jednak pierwszy lipca wyglądał w szpitalu inaczej niż zwykle.

Earl wraz z gromadą współpracowników ustawił się w kolejce do pomiaru temperatury. Tego dnia ustawiono aż cztery stoliki, kontrola więc przebiegała sprawnie. Po chwili powitały go pielęgniarki w uniformach laboratoryjnych, ochraniaczach na buty, czepkach chirurgicznych,

13

okularach ochronnych, rękawiczkach i grubych, ciasno zawiązanych maskach. Pasek pomiarowy, który jedna z nich przycisnęła do jego czoła, wykazał prawidłową temperaturę ciała. Inna zadała szybko kilka pytań, które wszyscy znali już na pamięć. Earl w równie dobrym tempie wyrecytował

odpowiedzi: nie ma objawów przeziębienia, nie wyjeżdżał za granicę, nie miał kontaktu bez zabezpieczenia z osobą zakażoną lub podejrzaną o zakażenie. Gdy skończył, postawiono mu na dłoni stempel z datą, taki sam, jaki stawia się na rękach bywalców dyskotek czy parków tematycznych - tyle że ten nie otwierał przed nim drzwi do krainy beztroskiej rozrywki, lecz na oddział ratunkowy, na którym pracował. Zatrzymał się przy kolejnym punkcie kontrolnym, gdzie salowe w podobnych strojach ochronnych rozdawały wszystkim wchodzącym stosowne uniformy i maski.

Witamy w nowej amerykańskiej rzeczywistości, pomyślał. Rzeczywistości SARS.

Gdy choroba pojawiła się po raz pierwszy w Chinach, uczeni nazwali ją zespołem ostrej ciężkiej niewydolności oddechowej. Rezydenci szybko przemianowali ją na SCA-RES\*.

Zdjęcie wykonane mikroskopem elektronowym, ukazujące podejrzanego - rozmazany sferyczny twór otoczony wianuszkami mniejszych kulek - trafiło na pierwsze strony gazet na całym świecie. Charakterystyczny wygląd pozwolił rozpoznać go jako członka rodziny koronawirusów - niektóre ich szczepy są przyczyną trzydziestu procent tak zwanych przeziębień u ludzi, ale większość atakuje wyłącznie płuca i przewód pokarmowy zwierząt hodowlanych - kurczaków, świń i bydła. Tak się jednak złożyło, że jeden z owych zwierzęcych szczepów zmutował się i pokonał barierę gatunkową, stając się śmiertelnym zagrożeniem dla ludzi. Podobne zdarzenia z udziałem innych organizmów

! : *Seans* (ang.) - straszy

14

były w przeszłości przyczyną najbardziej śmiertelnych chorób: tak zwana hiszpanka pochodziła podobno od świń, AIDS od małp, a ptasia grypa od kurczaków. Ludzie nie mając wcześniej kontaktu z tymi wirusami, nie wytworzyli na nie odporności, toteż zagrożenie kolejną epidemią za każdym razem wywołuje poruszenie w świecie nauki.

W wypadku SARS największą zagadką było to, że u ponad połowy chorych w ogóle nie udawało się wyizolować koronawirusa, co mogło oznaczać, że lekarze muszą stanąć do walki z wielogłowym potworem o niezrozumiałej naturze - albo że w powietrzu unosi się niepojęte, niezbadane, śmiertelne zagrożenie.

W pierwszym roku po odkryciu choroby udało się zapanować nad epidemią, ale gdy świat odetchnął z ulgą, tajemniczy organizm zmutował się ponownie, najnowsze szczepionki okazały się nieaktualne, a ogniska choroby błyskawicznie się odrodziły. Jeszcze przed kilkoma miesiącami był to „problem innych krajów”, w Stanach Zjednoczonych bowiem zarejestrowano tylko kilka łagodnych przypadków SARS. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy autobus z uczestnikami zlotu religijnego w Toronto - głównym ognisku endemii w Ameryce Północnej - przywiózł do Stanów coś więcej niż tylko pamiątkowe gadzety Kanadyjskiej Konnej.

Wedle najnowszych obliczeń, w wyznaczonych szpitalach w Buffalo potwierdzono już 169 zachorowań. 31 przypadków odnotowano w St Pauls, głównie wśród personelu medycznego.

Pierwsza fala zakażeń zabiła dwie pielęgniarki i lekarza. Później nikt już nie mógł jej zatrzymać. Ludzie łamali zasady kwarantanny, ukrywali symptomy choroby i podawali nieprawdziwe dane na temat miejsc, które odwiedzali. I choć w całej populacji liczba nowych przypadków stabilizowała się, wirus atakował coraz częściej lekarzy, pielęgniarki, salowych i rezydentów we wszystkich miejskich szpitalach. Nawet teraz w St Paul's co kilka dni wycią-

15

gano z kolejki oczekujących pracowników kogoś z gorączką i czym prędzej umieszczano w izolacji, na obserwacji. W większości wypadków okazywało się, że to zwykłe przeziębienie, lecz wobec braku leku na SARS, piętnastoprocentowej śmiertelności wśród chorych oraz faktu, że wielu z tych, którzy przeżyli, starczało tchu jedynie na przejście przez pokój, w gronie medyków na dobre zagościł strach. Na szczęście tego dnia w kolejce nie było ani jednego podejrzanego. Przebrawszy się w ochronne stroje, pracownicy szpitala małymi grupkami ruszali ku swoim oddziałom.

- Uważajcie, chłopaki.
- Oczy szeroko otwarte.
- I żelazne żołądki.

Earl czuł się jak wśród żołnierzy wyruszających na patrol.

Pielęgniarki, które spotkał na górze, czujnym zachowaniem przypominały mu z kolei kapitanów okrętów, którzy z mostka nieustannie wpatrują się w bezkres morza, gotowi na wszelkie przykre niespodzianki. Gdy któryś z żółtodziobów wchodził do pokoju pacjenta, miały na niego baczenie. Gdy nowicjusz przepisywał komuś lekarstwo, dwa albo i trzy razy sprawdzały receptę, szukając błędów. Za każdym razem, gdy któryś zamierzał po raz pierwszy wykonać jakąś procedurę, patrzyły mu na ręce ze staro-panieńską gorliwością przyzwoitek. Wypatrywały też zeszlórocznych młodszych stażystów, którym zdarzało się kroczyć szpitalnymi korytarzami z nadmierną pewnością siebie i wywyższać ponad tymi, którzy teraz zajęli ich miejsce na samym dole organizacyjnej piramidy. Arogancja bywała równie zabójcza jak niedoświadczenie, a oba te czynniki naraz stanowiły szczególnie śmiertcionośną mieszankę. Nikt jednak nie zwalczał ich skuteczniej niż doświadczone pielęgniarki. Używały sprawdzonej broni -podchodziły do delikwenta popisującego się przed nowicjuszami i mówiły: „O, wreszcie przyprowadzasz mi kogoś,

16

kto wie jeszcze mniej niż ty. Tylko pamiętaj, skarbie, że to niewielka różnica".

Skutek?

I tak już nerwowi pacjenci z lękiem ściskali w dłoniach skraj kołdry, modląc się o łut szczęścia za każdym razem, gdy znad maski lekarza spoglądały na nich bardzo młode oczy. Szybko uczyli się rozpoznawać początkujących: nawet pod chirurgicznymi fartuchami dostrzegali wybrzuszenia na wysokości kieszeni, bez wątpienia skrywające tomiki medycznych podręczników i pęki notatek. Earl wyobrażał sobie czasem, jak młodzi medycy zaczynają wyciągać zza pazuchy stosy rekwizytów - zestawy pierwszej pomocy, kule, drugie śniadanie - niczym Harpo Marx w szpitalnym kitlu.

Powstrzymał się od uśmiechu, gdy mijała go kolejna grupka. Wybrzuszenia pod fartuchami odznaczały się jak dziwne narośle, znacząc położenie kieszeni pękających w szwach. Na plecach, pod krzywo związanymi tasiemkami fartuchów, zobaczył ich białe, krótkie bluzy - uniform najniższej kasty w klinicznej hierarchii.

Studenci medycyny.

Ściany odbijały echem szybkie wymiany zdań między nowicjuszami.

- ...orientację w tej piwnicznej sali wykładowej...
- ...ale gdzie mamy się spotkać ze starszymi rezydentami ...
- ...ja będę się kierować własnym nosem, pójdę za zapachem kawy...

Maski chirurgiczne nie mogły ukryć tego, że wyglądali na młodszych niż zwykle, co Earl odnotował w pamięci z ukłuciem lekkiej melancholii. Pożegnał już dwadzieścia pięć zmian, a odejście każdego rocznika przeżywał bardziej niż własne urodziny.

Szedł energicznym krokiem w stronę swojego oddziału. Zatrzymał się tylko po to, by wcisnąć okazały metalowy dysk umocowany w ścianie. Mechanizm syknął głośno i ba-

17

riera z matowego szkła, która oddzielała jego królestwo od reszty szpitala, się rozsunała.

Niczym kapitan Kirk na pokładzie *Enterprise*, pomyślał, uśmiechając się do siebie. Przestał się uśmiechać, gdy otoczył go głośny gwar dobiegający z oddziału.

Ten dźwięk oznaczał obecność wielu pacjentów. Zbyt wielu.

- Dzień dobry, doktorze G. — powitała go pielęgniarka selekcyjująca chorych. Była pogodną, może dwudziesto pięcioletnią kobietą. Earl wiedział, że jej maska zasłania trzy kolczyki w prawym nozdrzu, a chirurgiczny czepek - krótkie, czarne włosy sterczące ku górze. Spoglądała na niego, nie przerywając pomiaru ciśnienia u starszej, siwo włosej kobiety leżącej na noszach i kurczowo przyciska jącej do piersi czerwoną torebkę. Twarz chorej, z trudem łapiącej oddech, zakrywała ciasno zawiązana maska, ale w widocznych ponad nią oczach czaił się strach. Materiał

wybrzuszał się i zapadał w nierównym rytmie oddechu.

Po lewej zobaczył pacjentów w lepszym stanie, o własnych siłach krążących po poczekalni przewidzianej dla połowę mniejszego tłumu. Po prawej, za kolejnymi rozsuwanymi drzwiami, znajdowały się dalsze sale oddziału ratunkowego na noszach, pełne ludzi, którzy nie byli w stanie samodzielnie stać lub siedzieć.

- Dzień dobry, J.S. - odpowiedział, podnosząc głos na tyle, by usłyszała go mimo jazgotu setki rozmów.

Inicjały oznaczały Jane Simmons. Właśnie krótko po tym, jak została przyjęta do pracy, zaczęli zwracać się do siebie, używając samych inicjałów. Zaczęło się, jak wiele innych obyczajów w tego typu oddziałach, w gorączce reanimowania pacjentów. Intensywne przeżycia często wzmacniają pierwsze wrażenie — na dobre lub na złe -a w tym wypadku wrażenie było zdecydowanie dobre. Choć strojem przypominała trochę członka punk-rockowej kapeli, miała wyjątkowy talent do zakładania wenflonów nawet w najtrudniej dostępnych żyłach i zawsze zachowy-

18

wała kamienny spokój - i wtedy, gdy była nowicjuską, i teraz, gdy trafiały jej się najcięższe przypadki.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał. Niepokoił go szybki, płytki oddech starszej kobiety.
- Nie. - J.S. poklepała pacjentkę po ramieniu. - Przedstawiam panu Mary.
- Witam panią. Jestem doktor Garnet. Kieruję tym interesem.

Earl wyciągnął rękę w lateksowej rękawiczce i delikatnie uściśnił dłoń kobiety.

- To tylko drobne kłopoty z sercem - wyjaśniła J.S. -

Ale wszystko będzie z tą gołąbeczką w jak najlepszym porządku, gdy podamy jej tlen, udroźnimy drogi oddechowe i skłonimy do siusiania.

W spojrzeniu starszej pani było teraz jakby mniej lęku, a zapuchnięte oczy nie były już obrazem rozpacz. Po chwili pojawił się salowy i nosze odjechały w głąb korytarza, w stronę jednego z gabinetów zabiegowych.

- Gotowa do urabiania kolejnej bandy żółtodziobów? - spytał Earl, przeglądając zawarty w raporcie z karettek spis nieszczęść, które zafundowało im ostatniej nocy mia sto Buffalo. Zanotował w pamięci kilka przypadków sta nowiących niezły materiał szkoleniowy dla nowicjuszy.

W kącikach oczu J.S. pojawiły się drobnutkie zmarszczki i Earl wiedział, że na jej ustach wykwitł trochę krzywy, ale ujmujący uśmiech. Odciągnęła nieco górne taśmy, żeby poluzować maskę, i dmuchnięciem odsunęła opadający na czoło kosmyk włosów.

- Niech no tylko wpadną w moje ręce.

Zanim Earl zdążył jej przypomnieć, że nawet przez sekundę nie powinna oddychać niefiltrowanym powietrzem, rozległ się basowy ryk syreny zwiastujący przybycie kolejnego ambulansu. Taki sygnał oznaczał, że pacjent jeszcze oddycha, ale z trudem, i potrzebna jest szybka pomoc.

J.S. odwróciła się na pięcie i pognęła w stronę drzwi do krytego parkingu.

19

Z bocznych korytarzy wybiegło jeszcze kilka pielęgniarek i wszystkie podążyły jej śladem. W pośpiechu minęły nastolatka, który siedział zgięty bólem w pół, kurczowo tuląc do siebie deskorolkę. J.S. uznała widocznie, że jest w stabilnym stanie i może poczekać, ale Earlowi nie spodobała się jego zielonkawa cera oraz warstewka potu, której nie mogła przesłonić maska.

- Chcesz się położyć? - spytał, podchodząc bliżej i klękając przy młodziku.
- Chcę wymiotować, proszę pana.
- Wytrzymaj chwilę. - Earl rozejrzał się po regałach ze sprzętem na tyłach stanowiska selekcyjnego należącego do J.S. i po chwili wrócił do nastolatka z kaczką.

W tym momencie usłyszał sygnał kolejnych karettek wjeżdżających na parking.

Pracowity dzień na oprowadzanie nowicjuszy, pomyślał, idąc pospiesznie i sposobiąc się do

wprowadzenia personelu w odpowiednio bojowy nastrój. Zatrzymał się przy drzwiach, żeby włożyć dodatkową parę rękawiczek i dodatkowy fartuch - obowiązkowy pancerz wszystkich pracowników oddziału ratunkowego. Zabezpieczył się też standardowym środkiem ochronnym lekarzy na pierwszej linii frontu w tych trudnych czasach: twardą jak żelazo tarczą mentalną, której naturę najlepiej oddają słowa *que sera sera*.

Godzinę później mieli już litr moczu kobiety z niewydolnością pracy serca, zdiagnozowane pęknięcie śledziony u deskorolkarza oraz udaną reanimację pacjenta, który tak zaniepokoił ekipę karetki: Artiego Baxtera, pięćdziesięcioletniego maklera chorego na cukrzycę. Po porannej dawce insuliny odpuścił sobie śniadanie i wkrótce potem zasnął.

- Dostałem genialny cynk tuż przed otwarciem gieldy - powiedział, gdy porcja podanej dożylnie glukozy przywróciła mu przytomność. - Zacząłem więc dzwonić do

## 20

wszystkich moich; klientów, zamiast jak zwykle zjeść grzanekę z serem...

Kilka pielęgniarek zanotowało nazwę firmy i pobiegło w stronę naściennych automatów telefonicznych.

• Mogę cię prosić na słowo? - spytał Earl, pochylając się w stronę Susanne Roberts, przełożonej pielęgniarek. Ujął ją pod łokieć i poprowadził ku dość spokojnemu zakątkowi holu.

• O co chodzi? - Kosmyki chłopięcej fryzury wystające spod czepka nadawały jej młodzieńczy wygląd i tylko subtelna koronka zmarszczek wokół oczu zdradzała jej prawdziwy wiek. Pracowała na oddziale niemal tak długo jak on i udało jej się zachować tę zawodową pasję, którą większość ludzi traci znacznie wcześniej. Jak wszyscy utalentowani przywódcy, umiała wydobyć z podwładnych to, co najlepsze.

• Zamierzam dokończyć spotkanie organizacyjne z rezydentami - odpowiedział. - Martwi mnie tylko ten facet. Monitorujcie jego stan i nie odłączajcie kroplówki.

• Spodziewasz się kłopotów?

• Jego historyjka nie trzyma się kupy. Człowiek kłuje się od tylu lat i nagle pozwala sobie na taki numer? Mam wrażenie, że o czymś nie chce nam powiedzieć. I te jego bajki o akcjach... Jakieś za gładkie to wszystko. Jest żonaty?

• Zona jest już w drodze.

• Spytaj ją, czy rzeczywiście miał się ostatnio tak doskonale, jak twierdzi.

Przemówienia dobiegały końca, gdy wśliznął się bocznymi drzwiami do audytorium. Słuchacze siedzieli na krzesłach ustawionych w półokrąg, tworząc ścianę zielonych uniformów przed mówcą stojącym na podeście, doktorem Stewartem Deloramem, lokalnym geniuszem w dziedzinie intensywnej terapii. Szopa kruczoczarnych włosów nie mieściła się pod jego czepkiem i drżała jak kłębowisko sprężyn, gdy z ożywieniem zachwalał zalety zachowywania absolutnego spokoju w sprawach życia i śmierci.

21

- Zwłaszcza wtedy, gdy mamy do czynienia z pacjencem, u którego doszło do zatrzymania akcji serca - podkreślił z powagą.

Zapewne wiedział o tym co nieco, jako największy krzykacz w całym szpitalu oraz dyrektor oddziału intensywnej opieki medycznej.

Dwie trzecie słuchaczy, oswojonych już z wygłupami Stewarta, zareagowało chichotem. Ci, którzy jeszcze go nie znali, posłusznie zanotowali jego słowa. I każdy spośród tych, którzy się śmiali, chętnie by podwoił wymiar swych dyżurów na oddziale intensywnej terapii, Stewart bowiem genialnie nauczał swego rzemiosła, które sam nazywał „wskrzeszaniem zmarłych”.

Earl nie dbał o to, jak głośno zachowywał się Stewart podczas reanimacji, jeśli tylko działał skutecznie. Pacjenci i tak go nie słyszeli, a poza tym wszyscy geniusze wydają przy pracy dziwne dźwięki. "Wystarczy posłuchać nie poprawionych nagrań Glenna Goulda. Albo serwującej Moniki



Seles.

Earl wypatrzył szefa chirurgii, Seana Carringtona, olbrzyma siedzącego w pierwszym rzędzie, i zajął miejsce tuż obok niego. Sean był wielce wpływową postacią w szpitalu i w sensie politycznym niejeden raz ratował mu skórę. Earl jednak cenił przede wszystkim jego wariackie poczucie humoru. Sean potrafił się przebijać jak huragan przez duszącą biurokrację kliniki. Kiedy zawodziły dowcipy, wzbudzał rozbawienie samym wyglądem krzaczastych, rudych brwi ponad maską.

Skinął głową na powitanie, pochylił się w stronę Earla i szepnął:

- Zdaje się, że Stewart znowu chodzi na zajęcia z panowania nad gniewem. Wiesz, na te, gdzie nuca „Nauczaj, a wszelkie twoje gówniane wymysły zamienią się w szczerą prawdę”.

Earl zdusił w sobie chichot.

- Opowiedział im już o SARS?

## 22

Sean spoważniał.

Tak.

- Kto jeszcze ma wystąpić?
  - Tylko ty, doktorze wicedyrektorze do spraw medycznych, wasza ekscelencjo czy jak cię tam ostatnio nazywają.
  - Nie zaczynaj. Wystarczy, że nabijają się ze mnie na oddziale.
- Sean udał, że naciera czubek jego głowy zaciśniętą pięścią.
- Ejże, a od czego są starzy przyjaciele, jeśli nie od pilnowania, żebyś nie pofrunął za wysoko i nie poczuł się za dobrze wśród kasty rządzących?

Earl wiedział, że Sean traktuje epidemię równie poważnie jak inni, ale nigdy nie poświęcał jej wiele uwagi poza oficjalnymi spotkaniami, a już zwłaszcza nie ujawniał swoich lęków z nią związanych. Wręcz przeciwnie - im poważniejszy był kryzys, tym intensywniej Sean żartował. W powszechnie panującej atmosferze przygnębienia przydałoby się więcej takich jak on, pomyślał Earl, odczytując jego ostatnie słowa jako zachętę do zmiany tonu na nieco lżejszy.

- Niby jak miałbym pofrunąć, kiedy wy, lenie, pakuje cie mi na kark wszystkie swoje problemy? Akurat!

Wicedyrektor do spraw medycznych sprawował nadzór nad praktyką medyczną wszystkich lekarzy zatrudnionych w St Paul's Hospital. Tylko CEO, dyrektor zarządzający, miał większą władzę. Wicedyrektor miał jednak nie tylko władzę, ale i góry kłopotów, zwłaszcza w takich czasach. Mimo to, ledwie dwa tygodnie wcześniej, Earl uległ namowom innych szefów oddziałów i przyjął stanowisko. Dlaczego? „Bo nie mogę odmówić wzięcia na siebie takiej odpowiedzialności”, odpowiadał większości pytających. I wcale nie kłamał; po prostu lekko maskował prawdziwy powód - było mu łatwiej samemu kierować pracą oddziału ratunkowego, niż poddać się władzy jakiegoś menedżera.

## 23

- A jak Janet reaguje na to, że zostałeś tu szefem szefów?
- Jak zwykle ściąga mnie na ziemię. Nie wydaje mi się, żeby pamięta...

Lekkie puknięcie w tył głowy nie pozwoliło mu dokończyć.

- Hej, wy tam, przestańcie obgadywać przełożonych - szepnęła Janet, siadając za jego plecami, na tyle głośno, że usłyszano ją dwa rzędy dalej. Zerwała z głowy czepek i potrząsnęła jasnymi włosami. Zaraz jednak włożyła go z powrotem i przez maskę ucałowała zamaskowany policzek Earla. - I żadne liściki nie sprawią, że będę cię traktować inaczej.

Earl usłyszał kilka stłumionych parsknięć.

Doktor Janet Graceton, położnik i nowo mianowany dyrektor porodówki, sprawowała nad nim władzę jako przyjaciel, kochanka i żona. Niektórzy pracownicy szpitala niecierpliwie oczekiwali pierwszego starcia między wicedyrektorem do spraw medycznych a dyrektorem porodówki. Plotkarze twierdzili, że szanse Janet na zwycięstwo w takiej konfrontacji są jak osiem do pięciu.

- Hej, świetnie wyglądasz — zauważył Sean.
- To dlatego że zielone kitle z ginekologiczno-położni-czego doskonale nadają się na strój ciążowy, nie sądzisz? -Janet pogładziła zielony materiał na swym zaokrąglonym brzuchu. Mimo iż była w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży, fartuch wisiał na jej zazwyczaj smukłym ciele tak luźno, że nikt nie wierzył, że będzie rodziła już za sześć tygodni. Obciążenie pracą również nie wskazywało na rychłe rozwiązanie. Wiele kobiet w tej fazie ogranicza swe zawodowe obowiązki, ale nie Janet - oszalałaby, gdyby z jakiegokolwiek powodu musiała siedzieć w domu. Praca działała na nią relaksująco, dawała jej zadowolenie, którego zazdrościło jej wielu kolegów i wiele koleżanek. „A szczęśliwa mama to zadowolony płód”, mawiała tysiącom kobiet, pomagając im odkrywać własne, nietypowe

## 24

potrzeby podczas ciąży. Nic dziwnego więc, że samej sobie pozostawiła prawo decydowania o tym, co jest najlepsze dla jej dziecka. Kiedy nosiła pod sercem pierwszego syna, Brendana - obecnie już sześciolatek — przyjęła ostatni poród ledwie dwadzieścia cztery godziny przed własnym. Jej dzielność trochę niepokoiła Earla.

— A teraz kilka słów o nocnych dyżurach — mówił właśnie Stewart, otwierając laptopa, w którym prowadził grafik. Na ekranie za jego plecami pojawiły się niezbyt czytelne listy nazwisk. - Podobnie jak w ubiegłym roku, tylko rezydenci drugo- i trzeciorocznicy będą dyżurować w ICU - oddziale intensywnej terapii, CCU - oddziale kardiologii oraz w SICU - chirurgicznym oddziale intensywnej terapii. Jeśli nie nauczycie się niczego więcej, będziecie mogli przynajmniej robić wrażenie na rodzinie i przyjaciółach znajomością tych wszystkich akronimów.

Mniej więcej trzecia część słuchaczy wybuchnęła śmiechem, pozostali jęknęli. Stewart powtarzał ten żart co roku.

-A jeśli pogubicie wydruki, które wam dałem, zawsze możecie skopiować grafik na dyskietkę. Ten laptop jest do waszej dyspozycji, hasło: Tocco. T-O-C-C-O, tak się wabi mój pies...

Earl wyłączył się, szykując się w myśli do podsumowania sesji. Pojawienie się SARS sprawiło, że lekarze znaleźli się nagle w niebezpieczeństwie, jakiego nie znali od czasu epidemii grypy w roku 1918. Zmusiło ich też do zachowywania nadzwyczajnych środków ostrożności. Żaden z obecnych w sali przyszłych lekarzy nie spodziewał się takich zagrożeń, gdy wybierał karierę medyka. Tylko jak, u licha, można im o tym powiedzieć?

— ...i choć za dnia możecie być internistami, chirurgami, ginekologami i tak dalej, cięcia budżetowe sprawiają, że podobnie jak w zeszłym roku, nocą będziecie musieli wziąć na siebie znacznie więcej zadań...

Tym razem nowicjusze powitali słowa Stewarta zgod-

## 25

nym buczeniem. Młodziak z ostatniego rzędu, o czarnych, krzaczastych brwiach na pół twarzy, tonący w zbyt dużym kitlu, zerwał się na równe nogi i podparł na ramionach siedzących niżej.

- A jeśli będziemy potrzebowali pomocy? - zawołał.
- Właśnie! - zawtórowali mu podobnie młodzi koledzy.
- ...brak nadzoru....
- ...wbrew kontraktowi...

Earl nie mógł zrozumieć, dlaczego bulwersowała ich tak banalna sprawa, skoro ich życie było w

niebezpieczeństwie. Pierwszoroczni ryzykowali przecież najbardziej, bo brak doświadczenia mógł oznaczać błąd w stosowaniu środków ochronnych. Żadna inna grupa nie była bardziej narażona na zachorowanie, a choroba mogła skończyć się śmiercią.

Stewart uciszył marudzących, unosząc otwarte dłonie.

- Spokojnie, tylko spokojnie. W najważniejszych od działach, o których wspomniałem, mamy też dyżury pełnoetatowych lekarzy. To oznacza, że drugo- i trzecioroczni rezydenci będą mieli trochę swobody i zjawią się na wezwanie. Ten system już się sprawdził.

Jeszcze kilku żółtodziobów miało coś do powiedzenia; paru innych z irytacją przewracało oczami. Osowiali rezydenci ze starszych roczników milczeli - byli już aż nadto świadomi, że bez względu na układ dyżurów w szpitalu czai się niewidzialne zagrożenie, gotowe ujawnić się w dowolnym momencie.

- A co z oddziałem ratunkowym? - odezwał się samotny głos gdzieś z górnych rzędów. - Czy nasi drugo- i trzecioroczni znowu będą musieli się zajmować reanimacją, czy może wreszcie dostaliście wiadomość od mojej mamy, że potrzebujemy snu?

Zebrani wybuchnęli tak potrzebnym śmiechem.

Earl uśmiechnął się, rozpoznając charakterystyczny, południowy akcent i flegmatyczny sposób mówienia doktora Thomasa Biggsa, jego pupila z oddziału ratunkowe-

## 26

go. Obejrzał się i dostrzegł chudego przybysza z Tennessee jak zwykle z pełną swobodą półleżącego w fotelu o kilka rzędów poniżej korony audytorium. Luz był znakiem firmowym Biggsa; spod maski wystawała końcówka jego czarnej brody. Sąsiednie miejsca zajęli jego młodszy koledzy z oddziału. Dla Thomasa był to już ostatni rok szkolenia w dziedzinie medycyny ratunkowej; jako prawie-specjalista miał w najbliższych trzech miesiącach być głównym rezydentem pod skrzydłami Earla, nadzorującym naukę mniej doświadczonych. Zaraz potem czekały go praktyki na najważniejszych oddziałach, o których wspominał Stewart. Sądząc po jego dotychczasowych osiągnięciach, Earl widział w nim przyszlą gwiazdę medycyny, cenny nabytek dla szpitala — bez względu na to, jaką specjalność wybierze.

Stewart zeszywniał.

- Racja, Thomas. Powinienem być wspomnieć i o oddziale ratunkowym. Nocne dyżury będą tam wyglądały tak samo jak na innych ważnych oddziałach: etatowi lekarze przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, a do tego drugo- i trzecioroczni rezydenci jako wsparcie dla innych oddziałów. - Głos Stewarta brzmiał teraz zdecydowanie ostrzej. - A teraz, zanim oddam głos doktorowi Karlowi Garnetowi - dodał po chwili, jeszcze bardziej oficjalnym tonem - szefowi oddziału ratunkowego i nowo mianowanemu wicedyrektorowi do spraw medycznych, innymi słowy facetowi, którego powinniście słuchać, podobnie jak mnie... Stewart przerwał, dając słuchaczom czas na przewidziany śmiech, ale chłód jego głosu sprawił, że nikt nie dostrzegł w ostatnich słowach niczego zabawnego. Wzruszywszy ramionami, dokończył: - ...kapelan naszego szpitala, Jimmy Fitzpatrick, chciałby zabrać wam jeszcze chwilę. - Stewart bezceremonialnie zebrał notatki i opadł na krzesło stojące za podium.

Atmosfera wyraźnie oklapła.

Earl już dawno zaniechał prób rozszyfrowania nagłych zmian nastroju Stewarta - przed laty doszedł do wniosku,

## 27

że są one skutkiem mieszanki narcystycznej osobowości z naprawdę wybitnym talentem. Niestety, postawienie tej diagnozy nie uczyniło humorów Stewarta mniej irytującymi. Potrafił wziąć proste pytanie za osobistą zniewagę, jakby ktokolwiek śmiało kwestionować jego kompetencje. Lecz mimo to wszyscy wybaczały mu tę skazę charakteru, a także skłonność do krzyku, ponieważ miał

nadzwyczajny dar czynienia medycznych cudów. Na szczęście po każdym ze swych wybuchów szybko odzyskiwał panowanie nad sobą i zwykle przeproszał. „Nie nawykłem, by ktokolwiek sprzeciwiał się mojej woli,” powiedział kiedyś Earlowi, „bo większość moich pacjentów ma rurę w gardle”. Zdarzało się jednak, że żywił do kogoś urazę dłużej - i to z najbardziej idiotycznych powodów.

Jimmy, muskularny mężczyzna w stroju ochronnym nie różniącym się niczym od innych, wstąpił na podwyższenie. Jego kwadratowa szczęka odznaczała się wyraźnie pod maską i nawet warstwy zielonego materiału nie mogły ukryć jego nieprzeciętnej urody.

- Dzień dobry wszystkim - zaczął, poprawiając mikrofon i omiatając audytorium magnetycznym spojrzeniem intensywnie czarnych oczu. - Założę się, że nie możecie się doczekać wystąpienia kaznodziei. Ci, którzy ledwie wyszli z murów medycznej uczelni i przez wszystkie lata studiów nie znaleźli nawet śladu ludzkiej duszy, zawsze najbardziej sceptycznie podchodzą do jej istnienia. - Irlandzki akcent i szelmowskie spojrzenie kapelana na nowo ożywiły salę. Młodzi lekarze pochylili się w fotelach, żeby lepiej słyszeć. - Będę się streszczał. Dział służby duszpasterskiej istnieje tu po to, by zaspokajać emocjonalne i duchowe potrzeby pacjentów, rodziny i personelu. Kto chce dowiedzieć się więcej, niech do mnie zadzwoni. Podkreślam: jesteśmy otwarci na wszystkich, czy wyznają jakąś religię czy nie. Pamiętajcie: tu wszyscy bywają wystraszeni, bez względu na wiarę, więc nawet jeśli możemy jedynie wysłuchać i współczuć...

28

Earl wpatrywał się najpierw w Stewarta, a potem w Thomasa. Możliwe, że zmiana nastroju Stewarta była następstwem pytania, które zadał Thomas. Główny rezydent oczywiście nie miał o tym pojęcia i spokojnie gawędził z dwiema drugorocznymi siedzącymi obok. To także nie było niespodzianką. Umiał postępować z kobietami.

Stewart spoglądał na niego wilkiem, jakby bardzo chciał przyłapać go na kolejnym przejawie niesłychanej bezczelności. Jednak po kilku sekundach zmarszczki na jego czole wygładziły się, a rysy twarzy złagodniały.

Całe szczęście, pomyślał Earl.

Obsesja Stewarta na punkcie wyimaginowanych obelg przybierała niekiedy na tyle poważne rozmiary, że zaczynała przeszkadzać w pracy. Któregoś dnia napięcie na oddziale intensywnej terapii było tak wielkie, że Earl w desperacji przykleił nad drzwiami kartkę z czerwonym napisem: „Broń zostawiać przy wejściu”. Zwykle właśnie jemu przypadało w udziale zadanie uspokojenia cholery-ka, a to dlatego, że nikt inny nie miał odwagi krytykować Stewarta za cokolwiek. Earl przypuszczał, że wolno mu to robić tylko dlatego, że dwadzieścia pięć lat wcześniej był przez rok głównym rezydentem i sprawował nadzór nad poczynaniami młodego Stewarta w nowojorskim szpitalu miejskim. Tego rodzaju poczucie starszeństwa zostaje niekiedy na całe życie.

- ...innymi słowy, nie wstyďte się przychodzić do nas po pomoc — podsumował swą wypowiedź Jimmy.

Janet nachyliła się nad uchem Earla.

- To nie fair, że taki z niego przystojniak. Chodzi w masce, a kobiety i tak wyobrażają sobie co nieco.

Earl odwrócił się i spojrzał na nią spod uniesionej brwi.

- Prowokujesz mnie do zazdrości - mruknął półgębkiem.
- Cieszę się, że jeszcze to potrafisz. - Janet usiadła wygodniej i złożyła dłonie na krągłości brzucha.

29

- I jeszcze jedno ogłoszenie - dodał Jimmy. - Ale najpierw, jako że lekarze o tak poważnych twarzach mogliby powodować u pacjentów gwałtowny nawrót choroby, mały żart na poprawienie humoru. — Duchowny wziął do ręki mikrofon i zszedł z podwyższenia. - A może znacie już ten o księdzu, pastorze i rabinie, którzy razem pojechali do Disneylandu?

Odpowiedziało mu pełne oczekiwania milezenie.

- Otóż pokłócili się o to, dokąd pójdą najpierw. I to głośno! „Do Królestwa Fantazji!”, krzyczał ksiądz. „Do Królestwa Przyszłości!”, wołał rabin. „Do Królestwa Westernu!”, upierał się pastor. Zaczęli nawet wrywać sobie mapę par ku i popychać się wzajemnie — aż trudno uwierzyć, że to dorośli ludzie. Na to podchodzi Goofy i mówi: „Hej, Miki, patrz: Królestwo Boże!”

Słuchacze jęknęli, słysząc puentę, ale tym razem raczej dobroduszenie.

Jimmy nie zamierzał jeszcze wracać do mównicy.

• Przepraszam was, ale kiedy szedłem do seminarium, kuśiło mnie też, żeby zostać komikiem. I wciąż trenuję, na wypadek gdybym poczuł powołanie. Jak wam się podobało?

• Niech ksiądz nie rezygnuje z dziennego zajęcia! -krzyknął ktoś z daleka.

Kilka osób zachichotało.

Jimmy uniósł rękę ku niebu i potrząsnął głową.

- Wiecie, On mówi mi to samo.

Tym razem rozległy się gromkie oklaski.

- Kończ już, Jimmy - niezbyt dyskretnie mruknął Earl.

Nie mógł się doczekać, kiedy powie swoje i będzie mógł do kładniej zbadać pacjenta, którego zostawił na oddziale.

Kapelan skinął głową w jego stronę.

- Nie zabieram więcej waszego cennego czasu; jeszcze tylko zaproszę wszystkich na doroczny Bieg Rozrywkowy, który odbędzie się w najbliższą sobotę. Właśnie wtedy wy, młodzi, zdrowi i silni, będziecie mogli zawstydzić swoich

### 30

starych, słabych i tłustych profesorów... no, przynajmniej niektórzy z nich są tacy... podczas dwukilometrowego wyścigu w malowniczej scenerii Buffalo, a wszystko to w celach dobroczynnych. A przy okazji... każdy z was będzie pchał przed sobą łóżko szpitalne z pacjentem oraz pełniutką kaczką, z której nie wolno uronić ani kropli. Dziękuję za uwagę.

Earl klasnął jak wszyscy, szykując się do wejścia na podwyższenie, gdy w głośnikach rozległ się trzask.

- Doktorzy Gamet, Deloram, Biggs... na oddział ratunkowy. Ojciec Jimmy Fitzpatrick, na oddział ratunkowy. Pilne!

Artie Baxter, makler giełdowy, leżał na noszach, marszcząc czoło i gwałtownie trzepocąc powiekami. Nie mógł mówić z rurką intubacyjną w gardle, oddychał dzięki sanitariuszowi, który wentylował jego płuca, ściskając dwanaście razy na minutę worek Ambu. J.S. zajmowała się uciskaniem klatki piersiowej, w seriach po pięć uciśnień. Kosmyki gęstych czarnych włosów wciąż opadały jej spod czepka na czoło. W powietrzu unosił się mdlący zapach przypalonego ciała, mimo iż na włochatej piersi Artiego lśniła warstwa ochronnego żelu. Monitor pokazywał zygzakowaną linię pracy serca.

— Byliśmy tu natychmiast, gdy nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Cały czas był przytomny - szepnęła Susanne do Earla.

U jej boku stał krępy mężczyzna o sylwetce gruszki i zmartwionych, zmęczonych oczach. Spod jego maski wystawały fragmenty szpakowatej brody. Doktor Michael Popovitch, wieloletni przyjaciel Earla, był dyrektorem programu szkolenia rezydentów oraz tymczasowym szefem oddziału ratunkowego podczas dość częstych nieobecności Earla. Dawniej i jego rozpałał ogień zawodowej pasji - niezbędny w tej specjalności — ale ostatnio ciężkie przypadki, z którymi miał do czynienia, wpędzały go

w stan przygnębienia. Z każdym miesiącem spoglądał na świat coraz bardziej smutnym wzrokiem.

- Dostał maksymalną dawkę adrenaliny, lidokainy, prokainamidu... wszystkich leków przeciwaritmicznych jakie mamy - wyjaśnił rzeczowo Popovitch. - Defibrylacja nie pomogła. Nic nie działa.

Earl automatycznie przywołał z pamięci przyczyny opornego na leczenie migotania komór.

- Potas?, cukier?
- Żadnych zaburzeń metabolicznych - przerwał mu Michael. - Jedyne nieznacznie podwyższony poziom glukozy po tej dawce, którą mu podaliście...
- A może przedawkowanie? - wtrącił Stewart Delo-ram, dołączając do kolegów. - Antydepresanty, aminofi-lina, speed... — zaczął recytować nazwy substancji, które mogły wywołać tego typu zaburzenia.

Thomas Biggs trzymał się z boku. Przysłuchiwał się rozmowie, ale niczego nie sugerował.

Earl spojrział uważnie w oczy Artiego, który mrugał jeszcze bardziej natargiwie. Pochylił się nad nim i powiedział:

- Panie Baxter, jeśli pan mnie słyszy, proszę zamknąć oczy.

Trzepotanie ustało. Powieki opadły i uniosły się.

- Widzi mnie pan?

Opadły i uniosły się ponownie. Artie Baxter patrzył na Earla ze strachem, czekając na wyjaśnienie.

Earl poczuł dreszcz. Zdarzało się to od czasu do czasu: serce pacjenta nie biło, płuca nie pracowały samodzielnie, ale mózg był żywy i świadomy. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by chory w tak ciężkim stanie był tak bardzo przytomny.

- Musimy uważać, co mówimy - uprzedził kolegów.

Stewart deklamował dalej listę leków i narkotyków, tyle że znacznie ciszej.

- Nie mamy jeszcze wyników analizy toksykolog!cz-

## 32

nej - wtrącił Michael - ale zawczasu dałem mu fiolkę dwuwęglanu, na wypadek przedawkowania antydepresantów. Właściwie dostał wszelkie antidota, jakie tylko mamy. -Znowu rzeczowy. Bez względu na stan ducha Michael jak zawsze był świetnym fachowcem.

Ale oczy Artiego, tak bardzo przytomne i tak pełne bólu, interesowały Earla bardziej niż dyskusja.

Jimmy zbliżył się i pochylił nad chorym.

- Panie Baxter, jestem szpitalnym kapelanem. Czy mogę zmówić przy panu modlitwę?

Artie nie zareagował.

Earl miał wrażenie, że spojrzenie pacjenta przyciąga go z wielką siłą. Może nie usłyszał pytania, pomyślał.

- Jest pan katolikiem, panie Baxter? - spytał.

Dwa mrugnięcia.

• Czy to oznacza „nie”? Jedno mrugnięcie.

• Czuje pan ból? Brak odpowiedzi.

Ekipa reanimacyjna wciąż wentylowała go i uciskała serce.

Stewart wymieniał opinie z Michaeliem.

• ...wprowadzić przewód rozrusznika do serca i spróbować przywrócić normalny rytm.

• Spróbujcie. - Michael obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. - Ja załatwię rozrusznik.

Earl prawie nie zwracał na nich uwagi. Czarne, przepastne źrenice oczu Artiego hipnotyzowały go i przyciągały coraz mocniej. Czego on chce? - myślał.

- Doktorze Biggs, proszę mi pomóc wkluć się do prawej podobojczykowej - powiedział, odwracając się. - Stewart

może tędy wprowadzić przewód rozrusznika.

Kto chce funkcjonować, musi się dystansować - tej prawdy nauczyło go życie spędzone w oddziale ratunkowym. Dystansował się więc, lecz mimo to czuł, że Artie wciąż na niego patrzy. Wyczuwał to spojrzenie na karku.

**33**

Thomas też musiał je czuć. Zawahał się, a powierzchnia jego maski zmarszczyła się, gdy zacisnął zęby. Po chwili jednak włożył sterylne rękawiczki na te, które miał już na dłoniach i zabrał się do pracy.

W ciągu paru sekund Thomas i Earl wprowadzili igłę rozmiarów siedmiocentymetrowego gwoźdźca przez skórę pod prawym obojczykiem Artiego do żyły sporego kalibru.

Michael powrócił z rozrusznikiem i już po chwili trzej lekarze cofnęli się, by Stewart mógł się zająć swoją magią.

Przebrany i w podwójnych rękawiczkach, zaczął delikatnie wprowadzać sterylny przewód rozrusznika przez igłę sterzącą spod obojczyka. Nieustannie wpatrywał się w monitor, by mieć pewność, że przewód przeszedł żyłą do serca i zahaczył się końcówką o ścianę mięśnia sercowego. Poprosił J.S., by przerwała uciskanie klatki piersiowej. Ciszę, która teraz zapanowała, przerywał tylko cichy syk worka Ambu, którym sanitariusz wciąż pompował powietrze do płuc Artiego oraz cichy, łagodny głos Jimmy'ego, który powtarzał psalm dwudziesty trzeci.

Niezwykły człowiek, pomyślał Earl, patrząc, jak ksiądz głaszcze czoło Artiego. Potrafił śmiać się i żartować, a zarazem nie znał strachu, gdy trzeba było pocieszać ciężko chorych, cierpiących, umierających - i czynił to każdego dnia. Wymagało to nieczęsto spotykanego rodzaju odwagi. Nawet głęboko wierzący mogli się zbytnio zbliżyć do tych, którym pragnęli pomóc. Earl widział już nieraz, jak strach i ból biorą górę nad sługami Boga odwiedzającymi jego oddział - równie często, jak brały górę nad świetnymi lekarzami. Ale Jimmy nie stosował uników.

Stewart wciąż manipulował przewodem rozrusznika, lecz na monitorze nic się nie zmieniło: wykres był zygzakowaty jak ostrze piły.

Skinął głową, dając J.S. znak, by znowu zaczęła uciskać.

Znajomy chłód wkradł się w żołądek Earla, a wraz z nim wrażenie, że nic już nie da się zrobić.

**34**

Lecz oczy Artiego wciąż były otwarte. Błagały. Szukały.

Stewart odłożył przewód, spojrzął na Earla i w milczeniu pokręcił głową.

J.S. wciąż uciskała klatkę piersiową, spoglądając pytająco, niepewna, czy ma przerwać zabieg na dobre.

Artie znowu zaczął intensywnie mrugać.

On już wie, że umrze, pomyślał Earl. Pora podać leki uspokajające. Gdyby tego nie zrobili, natychmiast po przerwaniu reanimacji zaczęłyby się dusić, całkowicie świadomy... Byłoby tak, jakby dusili go własnymi rękami.

- Dziesięć miligramów midazolamu dożylnie - zwrócił się do Susanne.

Spojrziała na niego szeroko otwartymi oczami, ale podeszła do szafki i zaczęła napełniać strzykawkę.

— I wpis do karty - dodał ciszej, patrząc w wystraszone oczy współpracowników. — Zamierzam zadbać o komfort pacjenta i powstrzymać się od dalszego leczenia oraz reanimacji, ponieważ są one daremne. - Nie powiedział tego wprost, ale jego słowa oznaczały, że nie dokonają aktywniej eutanazji. Dla laika były to tylko gry słowne, lecz powołując się na prawo lekarza do powstrzymania się od daremnej terapii, przesądzał o tym, że zgon Artiego zo stanie w majestacie prawa uznany za „śmierć z przyczyn naturalnych”.

Zmarszczone brwi kolegów powiedziały mu, że wszyscy zgadzają się z jego opinią.

- Ma ktoś lepszy pomysł? - spytał.  
Michael, Stewart i Thomas ponuro pokręcili głowami. Susanne, J.S. i technik uczynili to samo.  
— Pan Baxter jest przeciwny — odezwał się Jimmy.  
Earl spojrział na niego gniewnie.  
— Na miłość boską, Jimmy, przecież znasz zasady rów  
nie dobrze jak my.  
- Miej przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby patrzeć  
mu w oczy, kiedy decydujesz o jego losie.  
Nikt się nie odezwał.

35

Earl zmusił się do spojrzenia w ciemne, pełne strachu oczy.  
Artie bez końca mrugał powiekami w dwójkowym rytmie. Nie! Nie! Nie! Oczy zdawały się  
krzyczeć, niemal fizycznie cierpieć.  
Earl poczuł ucisk w sercu.  
• Przecież nie możemy mu pomóc — szepnęła do Jimmy'ego. - Mogę jedynie dopilnować, żeby nie  
cierpiał.  
• Powiedz to pacjentowi, Earl.  
Artie spojrział na niego szeroko otwartymi oczami. Na Boga, pomyślał Earl.  
- Panie Baxter, wie pan, że próbowaliśmy wszystkie  
go?  
Jedno mrugnięcie.  
- Mogę oszczędzić panu...  
Dwa mrugnięcia przerwały mu w pół zdania. -Ale...  
- Myślę, że pan Baxter czegoś chce - zasugerował Jim-  
my.  
Jedno mrugnięcie. Tak!  
- Czego pan sobie życzy? - spytał Earl, bo nic innego  
nie przyszło mu do głowy.  
Artie spojrział na niego jakby z niesmakiem.  
- Chodzi o sprawy medyczne?  
Nie.  
A o co ?  
• Artie spoglądał na niego z coraz większą rozpaczą.  
• I nagle Earl zrozumiał.  
• Chodzi o żonę?  
W oczach Artiego pojawiły się łzy. Tak, zamrugał. Tak! Tak! Tak!  
- Jest tutaj? - spytał Earl.  
• W poczekalni - odpowiedziała Susanne. Jej głos brzmiał tak, jakby jej krtań skurczyła się do  
rozmiarów słomki.  
• Chcesz się z nią zobaczyć, Artie?

36

Obwisła twarz umierającego człowieka przybierała już konsystencję krzepnącego mułu, ale  
zdołała jeszcze poruszyć się nieznacznie i Earl mógłby przysiąc, że w tych tracących kształt rysach  
dostrzegł ślad ulgi. Tak!  
- Zaraz ją sprowadzimy.  
Susanne wybiegła na korytarz i wróciła z krzesłem, które ustawiła przy łóżku chorego na  
wypadek, gdyby jego żona nie mogła stać o własnych siłach.  
Pozostali szybko otarli ślady krwi z miejsc, w których podłączone były kroplówki, a same igły  
zamaskowali plastrami — zapewne podobnie postąpiliby, szykując ciało do wydania rodzinie.  
Artie najpierw z wysiłkiem śledził te przygotowania, a potem już tylko patrzył w sufit z  
przerażliwym spokojem.  
Earl wołał nie wyobrażać sobie stanu jego umysłu.



- Pewnie bolał cię już ramiona - zwrócił się do J.S., której czoło błyszczało od potu. Sam doskonale wiedział, że w ochronnych strojach chwilami trudno wytrzymać; dodatkowy wysiłek fizyczny zapewne czynił upał nieznośnym.

- Nic mi nie jest.

Wierzył jej. Ani na chwilę nie gubiła rytmu ucisków klatki piersiowej.

Gdy wszystko było gotowe, wyszedł na spotkanie pani Baxter. Czekala w gabinecie lekarskim, a towarzyszyło jej kilka pielęgniarek.

Kiedy wszedł, uniosła głowę. Zobaczył, jak drobne zmarszczki w kącikach jej oczu próbują ułożyć się w coś na kształt uśmiechu. Miała opalone, zdrowe czoło osoby, która dużo czasu spędza na świeżym powietrzu. Drobna i szczupła, wydawała się co najmniej o dziesięć lat młodsza od męża.

Nabierając powietrza, by przekazać jej złą nowinę, kolejny raz przeklinał w duchu nową rzeczywistość St Paul's. Rękawiczki, maska i fartuch powstrzymywały coś więcej niż ruch zarazków. Blokowały komunikację mię-

37

dzy ludźmi. Earl i pani Baxter nie mogli niczego wyczytać w swoich twarzach; najgorsze z możliwych wieści miał jej przekazać anonimowy głos.

Earl poluzował taśmy i zsunął maskę pod podbródek.

Nie prosił o to, ale uczyniła to samo. Jej policzki i usta, równie delikatne jak całe ciało, były nieruchome, ściągnięte strachem.

Earl wyjaśniał krytyczny stan Artiego, a jej rysy z każdym słowem zdawały się zapadać do wnętrza. Chwycił ją pod ramię, żeby nie upadła. Miał wrażenie, że jest lekka i delikatna jak pusta lupina.

- Nic mi nie jest - powiedziała zdecydowanie.

Miał wrażenie, że nawet nie zauważyła, gdy na powrót założył jej maskę.

Wstrzymała oddech, gdy stanęła na progu sali reanimacyjnej i zobaczyła Artiego, ale weszła do środka pewnym krokiem.

Na jej widok oczy umierającego otworzyły się jeszcze szerzej i znów napęłniły się łzami.

- Och, kochanie - zaszlochała. Usiadła na krześle i wyciągnęła ręce, by objąć dłońmi jego twarz. Spojrzała przelotnie na Earla. - Ile mam czasu? - spytała. Jej głos był słaby, ale zadziwiająco gładki, prawie rzeczowy.

- Dopóki nie straci przytomności - odparł Earl.

J.S. potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

Kobieta znowu opuściła maskę i zaczęła bez końca powtarzać szeptem imię Artiego. Potem pochyliła się i ucałowała jego oczy, skrywając go za zacisznym parawanem swych długich, ciemnych włosów, które opadły kaskadą. Zaczęła mówić o miłości, o wszystkim, co kochała w swoim mężu, o wybaczeniu wszystkich urazów, o dumie, jaką czuła, będąc jego żoną...

Jimmy wycofał się i wygonił z sali wszystkich, którzy nie mieli tu już nic do roboty.

J.S. i sanitariusz pracowali we dwoje.

Earl spróbował oddalić się na tyle, by nie słyszeć słów,

38

ale móc interweniować, gdyby Artie zaczął się dusić lub dostał drgawek. Lecz choć nie chciał, usłyszał wystarczająco dużo, by pomyśleć, że pani Baxter nie byłaby bardziej elokwentna, nawet gdyby miała całe lata na napisanie ostatniej mowy do swego męża.

Dwadzieścia minut później Artie Baxter spokojnie zamknął oczy po raz ostatni.

- Żałuję, że nie mogłem zadać mu paru pytań - powiedział Stewart do Earla, gdy wypełniali kartę w pokoju pielęgniarek.

- Co takiego?

- Prowadząc badania wśród pacjentów, którzy przeżyli zatrzymanie akcji serca, zawsze powątpiewam w precyzję ich opowieści na temat tego doświadczenia. Bo tak to już jest z historiami, które relacjonuje się po fakcie.

Stewart miał wątpliwy zaszczyt bycia pierwszym ekspertem Ameryki w dziedzinie doświadczeń

na pograniczu życia i śmierci - przeprowadził wywiad z ponad setką pacjentów, których udało się reanimować. Ich wspomnienia były uderzająco podobne i pokrywały się z tymi, które zbierano, odkąd rozwinęły się metody nowoczesnej reanimacji — mówiły o unoszeniu się nad własnym ciałem, przechodzeniu przez tunele, zbliżaniu się do jaskrawego światła - a Stewart twierdził, że ma dowody potwierdzające ich prawdziwość. Lecz choć jego prace w tej dziedzinie cytowano w popularnych gazetach, a on sam był częstym gościem południowych programów telewizyjnych, poważne czasopisma medyczne obchodziły się z jego publikacjami nader surowo. Oskarżano go o zdradę prawdziwej nauki i nadwężanie własnej reputacji. Zebrane przez niego dane porównywano do relacji o porwaniach dokonanych rzekomo przez UFO; nazywano je „anegdotycznymi dowodami masowej hysterii” i upatrywano dla nich miejsca raczej w brukowym „National Enquirer” niż w poważnym „National Science Review”.

39

Earl opanował się i nie powiedział mu wprost, że jest niewrażliwy jak skała, skoro po tym, co przeszli, w ogóle może myśleć o karmieniu mediów sensacjami.

- I co z tego, Stewart? I tak masz całą stertę publikacji - powiedział, mając nadzieję, że to wystarczy, by go uciszyć.
  - Rzecz w tym, że dzisiaj - ciągnął Stewart - mogliśmy zdobyć coś, czego, jak nieraz mówiłem, naprawdę potrzebują moje badania.
- Jezu, pomyślał Earl, człowieku, daj wreszcie spokój...
- Czyli co? - spytał, choć wiedział, że nie powinien.
  - Wywiad z martwym człowiekiem.

## Rozdział 3

Piątek, 4 lipca, 23.45

Oddział opieki paliatywnej w St Paul's Hospital  
Buffalo, stan Nowy Jork

Zakradłem się tylnymi schodami i wszedłem do ciemnego holu.

Pusto.

Na razie wszystko w porządku. Ale i tak lepiej poczekać, czy z któregoś z pokoi nie wyjdzie pielęgniarka. Wtopiłem się w cień.

Zawsze się martwiłem, że ktoś może mnie zauważyć. Mógłbym naturalnie jakoś wyjaśnić swoją obecność, ale pewnie znalazłby się ktoś, kto by mnie przejrzał, a wtedy zaczęłyby się pytania.

Zawsze działałem pod absolutnie pewną przykrywką. A teraz naprawdę byłem człowiekiem, za którego wszyscy mnie uważali. Nie udawałem już, tylko, jak aktor metodyczny, zespoliłem się z moją rolą tak mocno, że nawet wspomnienia mojego bohatera wydawały mi się moimi własnymi. Pomogło mi oczywiście to, że wymyśliłem sobie przeszłość opartą na moich przeżyciach i że tak długo żyłem już tym sztucznie stworzonym życiem, które często wydawało mi się bardziej realne od rzeczywistości. Ale prawdziwą sztuką było uwierzyć we własne kłamstwo. Przez wszystkie te długie godziny nikt nie mógł mnie zdemaskować, ponieważ moje własne, sekretne „ja” wyгнаłem z siebie skutecznie, w zasadzie przestało istnieć,

41

a nowe „ja” królowało niepodzielnie. Chwilami nawet ogarniał mnie spokój tak typowy dla postaci, którą grałem. W tych cennych chwilach oszukiwałem sam siebie tak doskonale, że nawet gdyby ktoś potrafił czytać w moich myślach, nigdy nie domyśliłby się, że jestem w istocie kimś innym. Uwielbiałem takie momenty. Doświadczałem wtedy nadziei. A kiedy mijały, wiedziałem, że gdy zrobię to, co muszę zrobić, wkroczę do tego królestwa na zawsze, wciągnę na siebie nową skórę i to, co zżerało mnie od tak dawna, nareszcie umrze.

Do moich uszu dotarł typowy chór stłumionych krzyków i poczułem lęk ściskający żołądek.

Usłyszałem też dalekie głosy pielęgniarek rozmawiających gdzieś w dalekim końcu korytarza, a zaraz potem ich beztronski śmiech.

Nikt jednak się nie pojawił.

Od czasu do czasu za oknem rozbłyskały fajerwerki spóźnionych imprezowiczów, oświetlając podłogę przed moją kryjówką, która na szczęście pozostawała plamą cienia. Mimo to wiedziałem, że będę spokojniejszy, kiedy zniknę w pokoju, do którego zmierzałem.

Ruszyłem przed siebie, wiedząc już, kto tej nocy będzie moją ofiarą. Założyłem, że w dniu święta narodowego lekarzy będzie mniej, a nowicjuszy znacznie więcej niż zwykle, pielęgniarki w innych częściach szpitala zaś będą miały urwanie głowy ze stadem żółtodziobów. Nie sądziłem, by ktokolwiek mógł mnie zauważyć: te, które pełniły tu dyżur, leniły się jak zwykle. Idealne warunki do obróbki kolejnego obiektu.

Odnalazłem drzwi z właściwym numerem, uchyliłem je, wśliznąłem się do środka i zamknąłem za sobą.

Stałem absolutnie nieruchomo, pozwalając, by moje oczy przyzwyczyły się do braku światła. Ktoś, zapewne jedna z tych durnych pielęgniarek, spuścił żaluzje, tak że nawet najślabszy blask światła miasta, księżycy czy gwiazd nie padał na łóżko umierającej pacjentki.

## 42

Idiotki, pomyślałem. Człowiek, który przestaje odróżniać dzień od nocy, popada w dezorientację, a czasem nawet w psychozę. Było to odruchowe spostrzeżenie; moje umiejętności stały wszak w jawnej sprzeczności z tym, co zamierzałem zrobić. Niedorzeczność sytuacji przyprawiła mój żołądek o gwałtowny skurcz i poczułem w gardle smak żółci. Kilka razy przełknąłem ślinę, by kwaśna treść wróciła tam, skąd wypłynęła.

Słyszałem nierówny oddech kobiety, do której przyszedłem. Chwilami wiązał w jej gardle i cichł, by po paru sekundach powrócić z cichym jękiem.

Podszedłem na palcach do okna i odrobinę podniosłem żaluzję, tylko na tyle, by wpuścić do pokoju pomarańczową poświatę lamp sodowych z parkingu poniżej. Na wychudłej twarzy, niczym przesadny makijaż, rozlewały się plamy światła w kolorze dyni. Zobaczyłem, że jej maska ochronna opadła na piersi jak śliniak. Kobieta spała, mimo nierównomiernego oddechu, i nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności. Ale wiedziałem, że mogę ją obudzić; upewniłem się co do tego, zanim wybrałem ją na cel.

Czułem zimną nienawiść.

Podszedłem do kroplówki i zabrałem się do roboty. Choć kobieta mogła nie przeżyć podania środków, które dla niej przygotowałem, ze starannością ugruntowaną przez lata praktyki wysterylizowałem boczny port igły gazikiem zanurzonym w alkoholu, by nie ryzykować infekcji. Czyniąc to, mogłem myśleć z czystym sumieniem, że dbam o obiekty moich eksperymentów — choć oczywiście w razie ich śmierci nie miało to znaczenia. Tak czy inaczej, łatwiej mi było dzięki temu znieść to, co robiłem.

Wyjąłem pierwszą z dwóch strzykawek, które ze sobą przyniosłem. Zdjąłem zatyczkę i podłączyłem końcówkę do kroplówki.

Niespiesznie podałem połowę zawartości strzykawki -pięćdziesiąt miligramów esmololu, silnego środka o krótkotrwałym działaniu, używanego przez lekarzy do zwol-

## 43

nienia pulsu i zmniejszenia ciśnienia krwi pacjenta. Zamierzałem wprowadzić kobietę w stan zbliżony do wstrząsu. Wolną ręką delikatnie sięgnąłem do jej nadgarstka, żeby sprawdzić puls. Skóra już wydawała mi się lepka; ciało nie reagowało na mój dotyk.

Puls stawał się coraz słabszy i wolniejszy, aż wreszcie zupełnie zanikł, jak to zwykle bywa, gdy ciśnienie skurczowe spadnie poniżej dziewięćdziesięciu. Przesunąłem dłoń w kierunku szyi pacjentki, wyczuwając pod palcami tętnicę szyjną.

Poruszyła się, jakby w proteście, i wydała z siebie cichy, miauczący odgłos.

Zignorowałem jej sprzeciw. Wyczułem pulsowanie większego naczynia i znów zacząłem podawać lek - aż do chwili, gdy i tu puls niemalże zanikł. Ciśnienie krwi nie mogło teraz przekraczać

sześćdziesięciu.

Szybko zmieniłem strzykawkę i zacząłem wolno podawać drugi składnik: sto miligramów ketaminy. Zazwyczaj używany jako anestetyk, środek ten redukuje spadek ciśnienia krwi i osłabienie pulsu, ale nie na tyle, by przerwać stan wstrząsu. Mnie jednak interesował tak naprawdę tylko niezwykle efekt uboczny: blokada pewnych neuroreceptorów w mózgu.

Podawałem chorej dawkę i schowałem obie strzykawki do kieszeni, by nie powtórzył się przykry wypadek, gdyby pacjentka próbowała stawiać opór - nauczyłem się ostrożności po przygodzie z panią Algreave - i odczekałem równą minutę, by ketamina zaczęła działać.

Miałem wrażenie, że trwa to godzinę.

Oddech kobiety wydawał mi się ogłuszająco głośny, gdy ślina zbulgotała w jej drogach oddechowych. W normalnej sytuacji zaleciłbym odsysanie, żeby chora się nie udławiła - to były podstawy opieki pielęgniarskiej. Teraz jednak tylko włączyłem dyktafon, potrząsnąłem ramieniem pacjentki i szepnąłem:

- Słyszysz mnie pani?

#### 44

Jęknęła.

- Słyszysz mnie pani? - powtórzyłem.

Odpowiedź była cicha jak oddech, ale zrozumiała:

-Tak.

Pora zaczynać, pomyślałem.

Zbliżyłem dyktafon do jej ust i zacząłem zachęcać do mówienia, zadając te same pytania co zwykle. Zachowywałem się jak lekarz spisujący historię choroby.

- Boli jeszcze?

-Nie...

• Widzi pani coś?

• -Nie...

• Proszę spojrzeć uważniej.

Miałem wrażenie, że chrapliwy, cichy głos wydobywa się już z martwego ciała.

Po kilku minutach zapłakała piskliwie, a jej kończyny poruszyły się gwałtownie pod kołdrą.

• Tu są robaki...

• Co takiego?

• Oblazły mnie całą...

• Jakie robaki?

• O Boże, pomóż mi...

• Spokojnie.

• Są już pod skórą...

• To nieprawda.

• W ustach... w nosie...

• To tylko urojenia...

• ...i w oczach... wchodzi uszami...

• Proszę przestać!

- Zjadają mnie... - Głos starej kobiety zmienił się w prze-

nikliwy pisk, tnący ciemność jak krzyk jastrzębia.

Szybko wyjąłem z kieszeni strzykawkę z ketaminą, podłączyłem i docisnąłem tłok, podając kolejnych dwadzieścia miligramów.

Krzyk zamarł w jej gardle.

Wszystkie ich opowieści o niebie brzmiały tak sa-

mo. Każdy jednak miał własną, niepowtarzalną wizję piekła.

Nasłuchiwałem, czekając na tupot nóg.

Cisza.

Zastanawiałem się, czy kobieta będzie coś pamiętać. Większość nie pamiętała. Niektórzy jednak pamiętali, a to mogło oznaczać kłopoty. Pielęgniarki już zaczynały plotkować.

Tak czy owak, od tej pacjentki uzyskałem już dość materiału.

Wyłączyłem dyktafon i schowałem strzykawkę. Zasunąłem żaluzje i w szpitalnej sali znowu zapadła całkowita ciemność. Po omacku znalazłem drogę do drzwi. Postąłem przy nich chwilę, uspokajając oddech i nasłuchując odgłosów dobiegających z korytarza.

Nic nadzwyczajnego - te same krzyki i jęki co zawsze.

Oddech starej kobiety był znowu taki jak przedtem: nierówny i płytki, przerywany epizodami dławienia się śliną. Jej gulgotanie przyprawiało mnie o gęsią skórę.

Uchyliłem drzwi.

Żywej duszy.

Wciąż jednak słyszałem głosy pielęgniarek z dalekiego końca korytarza - nie zdziwiło mnie to specjalnie. Zamierzały pewnie całą noc przesiedzieć na tyłkach, sącząc kawę. Byłem już gotowy wysliznąć się na korytarz i oddalić w stronę klatki schodowej. Otworzyłem drzwi szerzej i wyjrzałem w obie strony.

Linoleum lśniło w półmroku. Korytarz był pusty.

Wyłot klatki schodowej kusił bezpieczną plamą mroku.

Wyszedłem i zamarłem.

Coś się poruszyło. Daleko, pod ścianą. Czarna sylwetka sunąca przez ciemność.

Zniknęła.

Czyżbym miał zwidy?

Nie. Znowu coś się poruszyło.

Z mroku wyłoniła się postać, wysoka i trochę bezkształt-

#### 46

na. Skradała się od drzwi do drzwi, wzdłuż przeciwległej ściany korytarza, zatrzymując się od czasu do czasu, tak samo jak ja czyniłem to wcześniej.

Co, u diabła?!

Stałem w całkowitym bezruchu, wciąż jeszcze w pokoju, nie poruszając uchylonymi drzwiami. Obserwowałem przedpole, mając nadzieję, że cień maskuje moją obecność tak samo jak obecność dziwnej postaci. Tylko że postać zbliżała się i już nie była bezkształtna: nad ciemniejszą bryłą ubrania ochronnego widniał blady zarys maski, która zdawała się płynąć samoistnie w powietrzu, jak głowa pozbawiona ciała. To oznaczało, że być może i ja jestem już zbyt widoczny. Odgłosy, które wydawała stara kobieta za moimi plecami, stawały się coraz głośniejsze, z całą pewnością były słyszalne i na korytarzu.

Poczułem suchość w ustach i w panice omal nie skoczyłem z powrotem do pokoju.

Ale nie. Wiedziałem, że muszę działać powoli.

Postać nie zwracała najmniejszej uwagi na drzwi po mojej stronie korytarza. Sunęła przytulona do przeciwległej ściany i skupiona wyłącznie na obserwowaniu tego końca holu, z którego dobiegał jednostajny szmer rozmów pielęgniarek.

Ten ktoś też nie chciał zostać zauważony. Nie wiedziałem, czy to kobieta czy mężczyzna - w tych czasach wszyscy wyglądają jednakowo. Próbowałem rozpoznać widoczne nad maską oczy, ale w półmroku i z tej odległości nie było to możliwe.

Postać zatrzymała się i zerknęła w stronę schodów, jakby się chciała upewnić, czy nikt jej nie śledzi.

Zdecydowanie nie miała dobrych zamiarów.

Lecz ktokolwiek to był, łotr czy nie, nie mogłem sobie pozwolić na to, by moja obecność została zauważona.

Tajemnicza osoba weszła do innego pokoju może siedem metrów ode mnie.

Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście.

Nie mogłem też wyjść w tym momencie; ryzyko było zbyt duże.

Ten, kto wszedł do pokoju, mógł zaraz wyjść.  
Wolno przymknąłem drzwi, pozostawiając tylko wąską szczelinę, przez którą obserwowałem korytarz.  
Minęło kilka minut, zanim dotarło do mnie, że stara kobieta za moimi plecami przestała hałasować. Nie oddychała.  
Cholera!  
Wiedziałem, że gdy znajdą ją pielęgniarki, wezwą pomoc. W zasadzie mnie to nie obchodziło, ale niepokoila mnie myśl, że któryś z pałających ambicją, początkujących rezydentów nabierze podejrzeń.  
W pokoju panowała absolutna cisza; wydawało mi się, że gęstnieje wokół mnie, utrudniając oddychanie.  
W tym momencie niezidentyfikowany gość, który zakradł się do pokoju po drugiej stronie korytarza, wymknął się znowu na korytarz i w ciemności skierował się ku schodom.  
Pięć minut później uczyniłem to samo.  
W gazetach nie brakowało historii o niezdrowych zabawach, które lekarze, pielęgniarze i salowi urządzali sobie z pacjentkami w stanie śpiączki.  
Nie wiedziałem, co wydarzyło się w pokoju po drugiej stronie korytarza. Zanotowałem w pamięci, że rano będę musiał sprawdzić, czy zgłoszono jakikolwiek incydent. Nie miałem wątpliwości, że trzeba się zająć tą sprawą. Jeżeli nie byłem jedynym nocnym gościem na tym oddziale, nasze ścieżki mogły się skrzyżować, a wtedy zostałbym zdemaskowany. Do licha, w St Paul's pracowało ponad pięć tysięcy ludzi - wystarczyłoby na populację małego miasteczka. Jak w każdej społeczności takich rozmiarów, i tu znalazłoby się pewnie paru dziwaków skrywających mroczne sekrety. Kto wie, jakim zboczeniem dawali upust?

48

**Sobota, 5 lipca, 11.00 Buffalo, stan Nowy Jork**

Earl uwielbiał, gdy lekarze imprezowali.  
Na kilka godzin zrzucali z siebie ciężar pracy w nieskończonym labiryncie korytarzy pełnych pacjentów, bólu i rozpacz, by się oddać swobodnym wygłupom jak dzieciaki na wakacjach. Ostatnio owa dekompresja - osiagająca chwilami skrajną postać, wszyscy lekarze uważali bowiem, że jeśli Bóg dał komukolwiek prawo do zabawy, to właśnie im — przynosiła jeszcze większą ulgę niż zwykle. Tu, z dala od pracy, czuli się wolni od zagrożenia SARS.  
Innego zdania była jednak publiczność. Choć warunki do rozegrania kolejnego udanego Dorocznego Biegu z Łózkami i Kaczkami Szpitala były idealne - błękitne niebo, spokojna, chłodząca bryza od strony jeziora Erie, liczne grono etatowych lekarzy i rezydentów - to jednak wzdłuż trasy stało niewiele widzów. Szpitale były już postrzegane jako siedliska wirusa, a ich pracownicy przestali być pożądanym towarzystwem.  
— Dobrze, że przynajmniej nikt nie przywiązuje nam dzwonek do szyi - żartował Sean Carrington, nawiązując do dawnego sposobu obchodzenia się z trędowatymi.  
Zasady konkurencji były proste. Uczestnicy zbierali się na starcie w tak zwanej dzielnicy teatralnej Buffalo - były tam dwa teatry i multipleks - i wybierali sobie sprzęt spośród zwykłych łóżek szpitalnych przeznaczonych na złom. Podzieleni na pięcioosobowe zespoły -jeden pasażer, czterech pchających - mieli za zadanie bezpiecznie dowieźć „pacjenta” oraz pełniutką kaczkę (z sokiem jabłkowym) na metę trasy, która okrążała dwa spore kwartały budynków.  
Przed wyścigiem miejscowi politycy i rekiny biznesu udzielali poparcia wybranym drużynom, z pompą prezentując czeki wielkości łóżkowych materacy, zwykle na pięciocyfrowe kwoty, podczas gdy uczestnicy zawodów ozdabiali

49

swe łóżka dowcipnymi transparentami, by przyciągnąć potencjalnych sponsorów. Oddział urologiczny startował pod flagą z napisem „Ekspres Toaletowy”, chirurgia jako „Ostrzy jak Brzytwa”, a położnicy Janet jako „Agenci Bociana”. Drużyna Earla beczelnie nazwała się „Oстрыm Dyżurem”, licząc na

pozytywne skojarzenia z serialem telewizyjnym. Jednak największą kwotę zgromadził faworyt i zwycięzca ostatnich pięciu wyścigów, zespół „Latające Anioły Jimmy'ego”. Nikt zbytnio się tym nie przejmował, ponieważ ksiądz dzielił swe łupy z uczciwością godną świętego.

- Niech Bóg błogosławi St PauFs! - zawołał w stronę rzadkiego tłumu widzów, odebrawszy czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów od rozpromienionego człowieczka o czarnej twarzy, właściciela znanej firmy deratyzacyjnej „Hasta La Vista, Baby”. Zaraz potem błysnął uśmiechem, którym mógłby przyćmić słońce, i dodał: - Tylko pamiętajcie, że podczas wyścigu nie będę okazywał chrześcijańskiego miłosierdzia.

Pozostali liderzy zespołów zaprotestowali, prezentując udawane oburzenie z talentem godnym gwiazd wrestlingu.

- Hej, ojczulku, to nie fair!
- Poskarżę się twojemu szefowi!
- Boska manipulacja!

Odpowiedział im tylko wymuszony śmiech publiczności.

• Albo nasze dowcipy są w tym roku wyjątkowo podłe - szepnął Thomas Biggs wprost do ucha Earla - albo ci nieliczni porządni obywatele, którzy mieli odwagę tu przyjść, nie są z tego powodu zbyt szczęśliwi.

• Jedno i drugie po trochu - mruknął stojący za nimi Sean. - Mówię wam, niedługo założą nam te dzwonki.

Prezentacje kolejnych zespołów trwały, a Earl pozował przed obiektywem szpitalnej fotografki, strojąc głupie miny i oliwiąc koła szpitalnego łóżka.

- Gotowi na kolejne lanie? - spytał słodko Jimmy, stając obok niego.

## 50

Earl udał, że zasłania się przed ciosem, a Jimmy napiął mięśnie niczym Atlas, ukazując sylwetkę, za jaką większość kulturystów oddałaby życie.

• Może słowo komentarza? - spytała dziewczyna z aparatem.

• To jest wyścig na dystansie dwóch kilometrów. Kapelani biegający codziennie dziesięć powinni dźwigać głazy dla wyrównania szans - powiedział Earl.

• Wiem, pijesz do Hippomenesa, ale on tylko upuszczał złote jabłka, by odwrócić uwagę kobiety, z którą się ścigał — odciął się Jimmy, ale gdy tylko fotografka się oddaliła, uśmiech znikł z jego twarzy, a spojrzenie skierowało się ku miejscu, w którym Susanne Roberts, Michael Popo-vitch, Thomas i J.S. podtykali właśnie widzom słomkowe kapelusze, zachęcając ich do wrzucania drobników.

- Możemy zamienić słowo na osobności? - spytał Jimmy. - Potrzebuję najwyżej minuty.

Earl zdążył się już przekonać, że jako wicedyrektor do spraw medycznych nigdy nie będzie miał chwili dla siebie. Nie mógł się ruszyć ani na krok, by ktoś nie łapał go i nie prosił o „słowo na osobności”. Tego dnia jednak, gdy wszyscy zamieniali się po trosze w klaunów, miał nadzieję, że odzyska wolność choć na kilka godzin. Mylił się. A Jimmy, choć trzymał stronę aniołów, był czasem istnym kardynałem Richelieu, gdy pragnął wywrzeć nacisk na kierownictwo szpitala.

- Jasne.

Odeszli razem w stronę zacisznej wnęki między kawiarnią Starbucks a irlandzką tawerną o oknach zamalowanych podobiznami krasnali.

Jimmy spojrzął na niezbyt zatłoczoną ulicę.

• Nie za wielu porządnymi obywatelami - zauważył.

• O co chodzi? - spytał niecierpliwie Earl. Chciał mieć już za sobą tę poważną rozmowę i wrócić do swojej drużyny. Coraz rzadziej miał okazję zrzucić skórę wielkiego szefa i być dla swych ludzi starym dobrym Earlem.

- Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem doskonale poradziłeś sobie w sprawie Baxtera - zaczął ksiądz. - Zdaje mi się, że był to najtrudniejszy przypadek w mojej karierze.

- Dzięki, Jimmy.
- Zamierzasz go wykorzystać w pracy z rezydentami?
- Oczywiście.
- Tych z onkologii też zaprosisz?
- Wszystkich, którzy zechcą. Do czego zmierzasz?
- Do tego, że skoro chciałeś pomóc Baxterowi, żeby nie cierpiał, wiem, że mogę przyjść do ciebie

i nie oskarżysz mnie o przekroczenie kompetencji...

Earl najeżył się, słuchając tych podchodów.

- Skończ z tym głaskaniem, Jimmy. Przecież widzę, że o coś ci chodzi — powiedział, czując się przy duchowym na tyle swobodnie, by pozwolić sobie na bezpośredniość. Wprawdzie nie byli przyjaciółmi - spotykali się jedynie w pracy - ale lubił Jimmy'ego i wyczuwał, że jest to odwzajemniona sympatia. Żaden z nich jednak dotąd nie proponował rozwinięcia tej znajomości, jakby wyczuwali instynktownie, że najlepiej będzie pozostawić ją w dotychczasowych granicach, dających przyjemny komfort pracy.

Jimmy jakby przygasł, a w jego oczach pojawił się cień smutku.

- Dotrze do ciebie skarga na mnie od jednego z kolegów z onkologii.
- Co takiego?
- W ostatnich dniach opowiadałem o tym, co zrobiłeś dla Baxtera, a raczej co byłeś gotów zrobić. Chciałem dać przykład do naśladowania... i niektórzy trochę się zirytowali.
- Nie do wiary...
- Chciałem cię tylko ostrze...
- Jimmy, do licha, przecież wiesz, że nie wolno ci ingerować w praktykę lekarską.

## 52

• A czy ja się wtrącam? Kiedy ktoś robi coś dobrego, tak jak ty, po prostu pozwalam sobie na szerzenie radosnej nowiny.

- Radosnej nowiny?
- Tak jest. Jezus to pochwalał... Więc trzymam Go za słowo.
- A którym to lekarzom, jeśli wolno spytać, zaniósłeś tę nowinę?

-Przede wszystkim ich szefowi, Peterowi Wyattowi. Uważam, że zawsze najlepiej gadać z górą...

Earl jęknął. Wyatt, choć sam jeszcze nie miał sześćdziesiątki na karku, był czołowym przedstawicielem starej gwardii St PauFs, reliktem dawnej epoki, w której lekarze stawiali samych siebie wysoko ponad zwykłymi śmiertelnikami i nie tolerowali niczyjej krytyki, a już zwłaszcza pochodzącej od istot niższych, czyli nie związanych z medycyną.

• Jimmy, nie strugaj naiwniaka, przecież wiedziałeś, że idąc do niego, pakujesz się w sam środek gniazda szerszeni.

- Czasem tak trzeba.
- Co dokładnie mu powiedziałeś?
- Że cała kilkunastoosobowa ekipa jego oddziału to dinozaury nie mające pojęcia o zwalczaniu bólu i że dobrze by im zrobiła odgórna kontrola w tej materii. Oczywiście zczekałem z tym aż do

dzisiaj, bo czułem się bezpieczniej, wygłaszając swoje poglądy w tłumie. Wiedziałem, że będzie musiał się zachować.

- Ty chyba żartujesz.

Jimmy wyglądał teraz raczej buntowniczo niż smutno. Pokręcił głową.

Na myśl o reakcji Petera Wyatta - w tłumie czy na osobności - na tak bezczelną zniewagę, zwłaszcza całkowicie usprawiedliwioną, żołądek Earla wykręcił zamaszysty piruet. W całej dziedzinie



opieki paliatywnej nie było bardziej drażliwej kwestii niż efektywna walka z bólem.

53

Dylemat polegał na tym, że im mocniejsze były środki znieczulające i im hojniejsze dawki, tym większe ryzyko zahamowania nie tylko bólu, ale i oddechu pacjenta. Niektórzy bardziej oświeceni lekarze zalecali dawki na tyle duże, by zapewnić pacjentowi komfort, nawet jeśli miałyby one przyspieszyć zgon. Inni tego nie robili. Woleli poprzestać na zbyt małych porcjach leków, niż ryzykować oskarżenie o udział w aktywnej eutanazji.

Earl pomyślał nagle, że Jimmy zwyczajnie się z niego nabija. Przecież nie mógł być aż takim wariatem, by uraczyć Wyatta taką opinią...

- Daj spokój. Żartujesz, prawda?

Spojrzenie Jimmy'ego zbłądziło gdzieś ponad ramieniem Earla, a jego oczy nagle się rozszerzyły.

- Słodki Jezu... On właśnie tu idzie.
- Skończ już te dowcipy, Jimmy. To nieodpowiedni temat.
- Przecież nie żartuję. Rany, jest purpurowy jak bakłażan.

Earl był prawie pewny, że Peter Wyatt nie stanie zaraz za jego plecami. Może Jimmy w ogóle z nim nie rozmawiał, jedynie zmyślił tę historię, żeby zwrócić uwagę nowego wicedyrektora do spraw medycznych na problem wart przemyślenia? Earl przepadał za tymi nagłymi zmianami tonu Jimmy'ego, od śmiertelnej powagi do kpiarstwa w czystej postaci. Wypowiadane w odpowiednim momencie, jego żarty potrafiły podnieść na duchu całą ekipę oddziału ratunkowego, ratując umysły lekarzy przed zgubnym wpływem szaleństwa, które wlewało się do szpitala wszystkimi drzwiami. Co więcej, przyjemne było także podejmowanie gry, przechytrzenie Jimmy'ego i demaskowanie jego blefów. Earl odprężył się.

• Akurat, Jimmy. Kiedy się odwrócę, zobaczę też papieża. Przyjdą razem, żeby dać ci nauczkę za wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

- Doktorze Garnet! - zarzęził chrapliwy głos doktora

54

Petera Wyatta, przyprawiając Earla o niemal fizyczny ból w kręgosłupie.

Jimmy skrzywił się;

-Mam zostać? Wiesz, moja obecność może zaognić sprawę.

- Jezus Chryste, ty naprawdę mu to powiedziałaś! -

Earl wciąż nie mógł uwierzyć.

Spojrzenie Jimmy'ego stwardniało i nie było w nim już nawet cienia smutku sprzed minuty.

- Jak mówiłem, tak trzeba. Mam zostać czy nie?
- Garnet, pozwól na słowo! - Wyatt był już o połowę bliżej.
- Jimmy, przysięgam, że odpłacę ci za to. Ale teraz zabieraj się stąd.
- To na razie.

Ksiądz posłał Garnetowi jeden ze swych magicznych uśmiechów, pośpiesznie rozciągnął ścięgna podkolanowe i oddalił się truchtem.

Wściekły Earl odwrócił się, by stawić czoło szefowi onkologii... i z trudem stłumił nerwowy śmiech na widok nadchodzącego mężczyzny. Krzaczaste brwi i głębokie bruzdy na czole upodabniały twarz Wyatta do pyska buldoga. Zazwyczaj jego krępe ciało opinał trzyczęściowy garnitur, w którym czuł się zapewne równie twardy jak Winston Churchill. Tego dnia jednak, w hawajskiej koszuli i bermudach, przypominał raczej krzywonogiego handlarza narkotykami.

- Peter, dobrze, że cię widzę. — Earl zmusił usta do przyjaznego uśmiechu i wyciągnął rękę na powitanie. —

Piękny dzień na wyścigi, nieprawdaż?

Posapując, Wyatt zatrzymał się i zupełnie zignorował przyjacielski gest.

- Widzę, że księżulo dotarł do ciebie pierwszy.

O, bracie, pomyślał Earl.

- Jimmy? Obiecał mi tylko, że dziś jak zwykle będzie

my tylko wachać kurz spod butów jego drużyny.

55

- A nie wspomniał o tym, co mi powiedział?

Z bliska Earl dostrzegł krople potu na mięsistym czole Wyatta - były tam, mimo chłodnego wiatru. Omal nie zaproponował mu, żeby gdzieś usiedli, ale przyszło mu do głowy, że onkolog, jako rasowy macho wieku średniego, wzięłyby to za śmiertelną obrazę.

• Ani słowem, Peter. A zresztą dlaczego miałby wspomnieć? Dziś jest czas na zabawę, nie na sprawy zawodowe.

• Gównu nie zabawę. Ten komediant w koloratce miał czelność instruować mnie i moich ludzi, jak należy się obchodzić z umierającymi pacjentami. Sugerował nawet, że przydałaby się kontrola naszej praktyki. Nigdy nie przepadałem za tymi nowoczesnymi kapelanami, którzy nieustannie gładzą o „porozumieniu” i „całościowej opiece”, jakby od tego miały się ludziom zmniejszać guzy. Ale dziś Fitzpatrick przekroczył granicę i nie chcę go więcej widzieć na moim oddziale. Dopilnuj, żeby trzymał się z daleka.

• Zaraz, zaraz... Tego zrobić nie mogę.

• Nie? - Wyatt gwałtownie zaciągnął się powietrzem i być może zabrzmiałoby to jak wyraz oburzenia, gdyby nie świszczący dźwięk, który wydobył się z jego nosa. - Jeśli nie, to pójdę prosto do CEO, do rady zarządzającej i do wszystkich innych instancji, byle tylko pozbyć się tego człowieka.

Gniewna tyrada Wyatta zaczęła zwracać uwagę przechodniów .

- Peter, to nie miejsce i czas.

Wyatt rozejrzał się zażenowany i przywołał na twarz profesjonalny uśmiech.

- Chcę, żeby zostawił w spokoju pacjentów onkolo

gii. - Jego głos zamienił się w szept, a raczej syk rozwścieczonego węża.

Earl zdołał utrzymać na ustach uśmiech, z którym rozpoczął tę rozmowę, ale z wysiłku czuł już pieczenie w mięśniach policzków.

- Nie zamierzam ci pomóc, Peter. Jimmy jest jedyną

56

osobą, z którą niektórzy pacjenci chcą rozmawiać, zwłaszcza ci śmiertelnie chorzy. Gdyby nie on, umieraliby w samotności.

Uśmiech Wyatta zastygł jak krzepnący smar.

• Gamet, zacznijmy od tego, że nie chciałem, żebyś został wicedyrektorem do spraw medycznych, i możesz być pewny, że nie zmienię zdania, jeśli będziesz...

• A ja jestem pewien, że możemy współpracować, Peter — przerwał mu Earl. Mimo bólu spróbował uśmiechnąć się nieco szerzej i przejąć kontrolę nad sytuacją. Tyle że teraz raczej szczyrzył zęby, niż się uśmiechał. - Może wyślę oficjalne upomnienie do niego i całej służby duszpasterskiej szpitala? Wyjaśnię, że choć zawsze ceniliśmy jego spostrzeżenia na temat potrzeb pacjentów, to jednak ostateczne decyzje w sprawie postępowania przeciwbólowego i leczenia zawsze były i będą wyłączną domeną lekarzy. Coś w rodzaju „Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie”.

Twarz Wyatta stała się jeszcze bardziej purpurowa.

- Kpisz sobie ze mnie.

Earl wyobraził go sobie w todze i wieńcu laurowym na skroniach. Jeżeli ktokolwiek miał kompleks cesarza i fantazjował o pełni władzy nad St PauFs - a zwłaszcza o podejmowaniu decyzji za pomocą uniesionego lub opuszczonego kciuka - to właśnie Peter Wyatt.

- Ależ skąd, Peter - odparł szybko Earl. Wiedział, że Wyatt ma sporą władzę nad resztą dinozaurów głoszących hasło „Każdy, byle nie Garnet” i że to on był głównym przeciwnikiem jego kandydatury. Wszyscy oni już nie mogli się doczekać, kiedy przyłożą rękę do jego upadku. Najlepszą obroną przed tą bandą było odpowiednio intensywne głośkanie oraz zaprzętanie ich uwagi pracą. - Prawda jest taka, że właśnie podsunąłeś mi wyśmienity po

myśl.

Ciężka szczeka Wyatta otworzyła się powoli, jakby szykowała się do połknięcia czegoś naprawdę sporego.

- Ja? Jaki znowu pomysł?

57

• Któż lepiej niż ty poprowadziłby obejmującą cały szpital kontrolę procedur zwalczania bólu? Przecież nikt inny, tylko ty dbałeś zawsze o to, by St PauFs był w tej dziedzinie w samej czołówce. - Była to prawda. Procedury kurzyły się na półkach we wszystkich pokojach pielęgniarek. — Ale czy możemy być pewni, że wszyscy używają protokołu właściwie? Dobrze wiesz, że w tej chwili to gorący temat. Doprawdy nie wiem, kto lepiej od ciebie potrafiłby poruszać się po tym polu minowym.

• Kontrola procedur w całym szpitalu? To potężne przedsięwzięcie...

• Ależ to twój pomysł, więc masz pełne prawo do jego realizacji. Nazwiemy tę akcję Audytem Wyatta. Będziesz mógł wziąć sobie do pomocy, kogo zechcesz. Polecę wszystkim szefom oddziałów, żeby z tobą współpracowali. To będzie twój projekt, od początku do końca.

• Przecież jestem zajęty i...

• Z tobą czy bez ciebie, Peter, ta kontrola zostanie wykonana. A przypuszczam, że bardzo trudno byłoby ci się pogodzić z nadzorem kogoś, kto miesza w sprawach będących twoją pasją. Znacznie trudniej, niż wykonać tę misję samodzielnie. Czyż nie dlatego wszyscy bierzemy na siebie tak szalone zadania?

Wyatt wahał się, a na jego grubo ciosanej twarzy malował się autentyczny niepokój.

- Rzeczywiście, byłoby trudno...

Earl tylko patrzył, jak opuszcza go chęć do kłótni.

Na początku swej kariery, pod koniec lat sześćdziesiątych, Wyatt miał dość odwagi, by zając się chorobami nowotworowymi, choć wtedy śmiertelność wśród pacjentów sięgała osiemdziesięciu procent. Jego badania przyczyniły się do opracowania leczenia, które postawiło na głowie statystyki leczenia chłoniaków: teraz udawało się ratować osiemdziesiąt procent chorych.

Jakie to smutne, myślał Earl, że ten tygrys tak skarłał. Niegdyś heroiczna walka z rakiem, a dziś takie przy-

58

ziemne drobiazgi jak spór kompetencyjny z nadgorliwym kapłanem.

i

- Co ty na to, Peter? Zastanowisz się?

Cisza. Wyatt wyglądał na przytłoczonego propozycją. Earl poszedł dalej, doskonale wiedząc o pokusie, której onkolog nie potrafił się oprzeć:

- Kto wie, może nawet będzie z tego artykuł? Gdybyś opracował zasady postępowania, które pomogłyby innym szpitalom lepiej realizować procedury zwalczania bólu, czołowe czasopisma byłyby się o prawo publikacji.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd Wyatt zdołał po raz ostatni coś opublikować. Co więcej, był ofiarą jednego z bardziej okrutnych spektakli, które rozgrywały się od czasu do czasu wśród badaczy akademickich. Pięć lat wcześniej, gdy już cierpiał z powodu braku publikacji, wreszcie poproszono go o prezentację pracy na ogólnokrajowym kongresie. Wystąpił, z dumą zaprezentował swe najnowsze dzieło i usiadł, czekając na pytania publiczności. Tymczasem moderator dyskusji, jak wieść głosi, wstał, wskazał palcem na Wyatta i powiedział: „Ten człowiek zaprezentował nam właśnie ten rodzaj badań, którego nie potrzebujemy”.

Earl przypuszczał więc, że szansa powrotu przywróci błysk w oczach Wyatta.

Nie przywróciła.

- Skoro nalegasz, nie mam wyboru - odparł Peter z kamienną twarzą.

Jego postawa zdumiała Earla. Przecież ego onkologa miało rozmiary Antarktydy, a wizja występu na jakimkolwiek forum zawsze rozjaśniała go tak, że mógł sam sobie służyć za sceniczny reflektor.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?
- Chyba będę musiał. - Zapewne z podobnym entuzjazmem wyrażałby zgodę na amputację nogi. Dziwne, pomyślał Earl. Ale co tam, u diabła, skoro udało się przynajmniej załagodzić aferę z Jimmym.

59

- Doskonale! Wracajmy do naszych i bawmy się dobrze na wyścigu.

- Czekaj! Musisz wiedzieć jeszcze o czymś.  
O Boże. Earl zerknął na zegarek, mając nadzieję, że Wyatt dostrzeże i właściwie odczyta ten gest.

- Zamieniam się w słuch.
- Pielęgniarki meldują mi o pacjentach skarżących się na doświadczenia z pogranicza życia i śmierci.
- Co takiego?
- Przecież wiesz, mówię o tym fenomenie wychodzenia z własnego ciała. Deloram pisał o tym artykuł.

Earl był już zupełnie skołowany.

- Peter, nie mam pojęcia, dlaczego mi o tym mówisz — powiedział i zaraz zdał sobie sprawę, że w jego głosie było więcej złości, niż chciał okazać. Choć z drugiej strony nawet jego cierpliwość miała swoje granice.

- Nigdy wcześniej nie mieliśmy takich raportów, a przynajmniej nie tak wiele. W pierwszych miesiącach pielęgniarki też się nimi nie przejmowały, ale podobnych zgłoszeń było coraz więcej. Niektórzy pacjenci byli ponoć autentycznie przerażeni. Przysięgam, że to musi być sprawa tego księdza. Pewnie truje im bezustannie o Bogu, niebie i życiu pozagrobowym, aż zaczynają ich męczyć nocne koszmary!

Earl zaklął w duchu. Nie mógł uwierzyć, że Wyatt aż tak bardzo chce się odegrać na Jimmym.

- Może po prostu częściej niż dawniej mówią na głos o tym, co ich trapi - powiedział, starając się ukryć zniecierpliwienie, i ruszył w stronę linii startu.

- Gamet, do cholery, to nie jest takie proste... - zaczął Wyatt, podążając za nim.
- Ostatnio w mediach nie brakuje podobnych historii, głównie za sprawą badań Stewarta - przerwał mu Earl. Miał nadzieję, że jeśli zbagatelizuje sprawę, Wyatt odpuści. - Może być tak, że jest to znacznie częstsze zjawisko, niż się nam wydawało, a pacjenci, którzy naczytali się

## 60

gazet, dochodzą do wniosku, że nie tylko im się to przytrafiło, i zaczynają mówić. - Earl dostrzegł w oddali Michaela, który przywoływał go niecierpliwym ruchem ręki. Szpitalne łóżko drużyny oddziału ratunkowego było już prawie na starcie. Najwyższy czas spławić Wyatta, pomyślał, przyspieszając kroku. - Tak czy inaczej, pora zacząć wyścig - dodał.

- Ale jest w tym coś dziwnego - ciągnął Wyatt, bez wysiłku zwiększając tempo marszu - bo większość ludzi, którym się to przytrafiło, wcale nie była bliska śmierci. Owszem, są śmiertelnie chorzy, cierpią, są w złym stanie, ale ich parametry życiowe są wciąż stabilne. To nie są ludzie, którzy powinni widywać anioły, tunele i jaskrawe światła.

To tyle, jeśli chodzi o dyplomację, pomyślał Earl.

- Na miłość boską, Peter! Oni umierają. Wielu z nich chce o tym mówić. Zawsze chcieli, nawet ateści. Taka jest ludzka natura. Ale to nie jest miejsce na dyskusję o takich sprawach.

- Hej! - zawołał Michael Popovitch, stojąc na środku ulicy, dobre trzydzieści metrów od nich. - Możemy zaczynać! - Brzmiało to tak, jakby miał serdecznie dosyć czekania.

A jego co znowu ugryzło?, zdziwił się Earl. Pozostali członkowie ekipy spoglądali na niego z lekką naganą i pukali palcami w zegarki, ale znacznie spokojniej. Dlaczego nie Michael?

- Wyluzuj! Przecież już idę - odkrzyknął i ruszył truchtem.

Wyatt wciąż dotrzymywał mu kroku; najwyraźniej uparł się, by dokończyć tę rozmowę.  
Tylko że Earl nie zamierzał mu na to pozwolić.

- Posłuchaj, Peter, musimy o tym porozmawiać, ale na pewno przy innej okazji. Wiedz jednak, że moim zdaniem nie powinieneś poświęcać tej sprawie aż tyle uwagi. - Przyspieszył, a gdy oddalił się o parę metrów, zawołał

61

przez ramię: - Może spytasz Stewarta o zdanie? W końcu jest specjalistą w tej sprawie.

Na linii startu Thomas, Susanne i J.S. zaczęli właśnie dobroduszny spór z „Agentami Bociana”, którzy próbowali podstępem odebrać im dobre miejsce startowe.

- Earlu Gamecie! - wykrzyknęła Janet, spoglądając na niego z wysokości szpitalnego łóżka. - Noszę w sobie twoje dziecko. Kodeks rycerski nakazuje, byś mi ustąpił miejsca! - Przycisnęła dłoń do czoła w melodramatycznej pozie ciemnionej damy.

Earl się roześmiał. Oboje z Janet z przyjemnością użyczyli swych aktorskich talentów w każdej z dobroczynnych imprez organizowanych przez szpital.

• W miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone - odkrzyknął. — Od początku miałem taki plan: ty będziesz w ciąży, a my na wewnętrznym torze!

• Earlu Gamecie, jesteś łajdakiem! - zawołała Janet ku ucieście wszystkich.

Zaśmiał się na to szelmowsko, przepychając się między zawodnikami innych drużyn, w pośpiechu ustawiającymi się na starcie.

W tym momencie dogonił go Wyatt.

- Pielęgniarki już to zrobiły, parę dni temu.

Odpieprz się wreszcie ode mnie, omal nie wrzasnął

Earl. Stali jednak pośrodku tłumu, a on wołał nie budzić uspiętego już gniewu Wyatta.

- Co zrobiły? — spytał grzecznie przez zacisnięte zęby.

- Poprosiły Stewarta Delorama, żeby przejrzał mel dunki pacjentów. Podobno zasugerował takie samo wyjście jak ty, ale zgodził się porozmawiać z tymi ludźmi, póki jeszcze żyją.

Głośniki zawieszono nad ulicą ożyły.

• Panie i panowie, prosimy na start. Dokoła rozległy się głośnie wiwaty.

Drużyny zajęły miejsca.

• Do nas, doktorze G! - krzyknęła J.S.

62

Zawtórowali jej Susanne i Thomas.

Ktoś zagrał na trąbce sygnałowej.

Ale Wyatt tak bardzo przejął się swoją wariacką historyjką, że nie reagował już na panujące dokoła podniecenie. Pochylił się tylko nad Earlem, by jego słowa nie zginęły w zgiełku.

— Nie wiem właściwie, co się stało: wczoraj wparował do mojego gabinetu wściekły jak wszyscy diabli, oskarżył mnie, że robię z niego szarlatana, i zaraz wybiegł.

O, bracie, pomyślał Earl. Kolejna wojna podjazdowa.

— Peter, mam po dziurki w nosie grania roli arbitra w tych waszych kłótniach rodem z przedszkola, a już zwłaszcza tych z udziałem Stewarta. Zachowajcie się choć raz jak dorośli i sami dojdźcie do porozumienia. - Ostatnie słowa Earl wykrzyknął głośnie, niż było to konieczne.

Zwały mięsa na twarzy Wyatta poruszyły się, tworząc dla odmiany grymas urazy.

— Ale on nawet nie chce ze mną rozmawiać.

Earl już tylko machnął ręką i dołączył do swoich -wszyscy powitali go gorąco, z wyjątkiem

Michaela, który wciąż wyglądał na poważnie rozgniewanego - gotów pchać z nimi łóżko aż do zwycięstwa (bo właśnie nadzieję na zwycięstwo wyrażał, wymieniając triumfalne i pełne sportowej złości gesty z Janet oraz członkami stojącej obok ekipy „Ostrych jak Brzytwa”, czyli chirurgami Seana Carringtona.

Boże, jakie piękne uczucie, pomyślał. Najzdrowsza chwila poranka: nie jestem odpowiedzialny za nic poza dowiezieniem do mety kaczki napełnionej sokiem jabłkowym !

## Rozdział 4

**Ta sama sobota, 17.30**

**Dach Ósmego Zachodniego Pawilonu,**

**St PauPs Hospital**

**Buffalo, stan Nowy Jork**

Jane Simmons siedziała przy stoliku ogrodowym, sącząc piwo i gawędząc z innymi pielęgniarkami z oddziału *ratunkowego*. *Srebrny medal za drugie miejsce - jak* zwykle za drużyną ojca Jimmy'ego, ale zdecydowanie bliżej niż w poprzednich latach - pobrzękiwał na szyjce butelki.

Tak zwana impreza finałowa trwała już prawie pięć godzin - dobre sześć razy dłużej niż sam wyścig - a wciąż uczestniczyło w niej mniej więcej sto osób. Wydawało się, że wszyscy z radością patrzą na znajoma twarze nie zasłonięte maskami. Ale prawdziwym powodem, dla którego Jane Simmons została tak długo, był ten, który teraz stał po drugiej stronie parkietu, w zdecydowanie zbyt sfeminizowanej, jak na jej gust, grupie rezydentów.

Thomas Biggs opierał się o stolik, krzyżując ramiona na piersi, śmiejąc się głośno i częściej słuchając, niż mówiąc.

Czuła zazdrość i zarazem nienawidziła siebie za to uczucie. Gdy wreszcie podszedł do zaimprovizowanego baru - długiego blatu przyniesionego z stolówki i zastawionego trunkami oraz kubkami z lodem - podeszła, żeby się przywitać.

**64**

- Cześć, Thomas. Napijemy się piwa?
- Hej, J.S., przykro mi, mam wczesny dyżur na oddziale. Zaczynam za parę godzin. Ale możemy napić się soku.
  - Jak słodko.
  - Zatańczymy?
  - Pewnie.

Porwał ją na parkiet, gdzie kilkanaście innych par snuło się w spokojnym rytmie *Lady in Red*. Muzyka płynęła z głośników zawieszonych na drzewkach rosnących w donicach. Wszystko to było częścią pożyczonej dekoracji, która zmieniła wysypany żwirem dach zachodniego skrzydła szpitala w coś, co program imprezy nazywał „Ogrodem na dachu”. Fioletoworóżowe aksamitne liny rozpięte między chromowanymi słupkami, broniące dostępu do krawędzi dachu, wyglądały tak, jakby przeniesiono je z holu eleganckiego kina. Tuż za nimi wyrastała istna dżungla pożyczonych roślin doniczkowych. Za ich gęstwiną zniknął trzymetrowy płot okalający dach, zamontowany przed sześciu laty, kiedy to ówczesny szef psychiatrii wykonał stąd samobójczy skok. Gdyby nie zieleń, miejsce to przypominałoby raczej więzienny dziedziniec.

J.S. ułożyła się wygodnie w jego ramionach, nie pierwszy raz doceniając go jako tancerza. Podobała jej się także delikatność jego objęć oraz twardość piersi, w którą się wtulała.

Wiedziała, że tej nocy czeka go dyżur na oddziale ratunkowym. Jak zwykle sprawdziła w grafiku, żeby wiedzieć, czy się spotkają. Niestety, jej zmiana zaczynała się dopiero o jedenastej.

Chryste! Pomyślała, że jak na dorosłą kobietę, czasem zachowuje się wprost zenująco na myśl o tym mężczyźnie. Wstydziła się patrzeć na niego, kiedy razem pracowali. Zastanawiała się, czy on czuje podobnie. Chciała, żeby czuł.

Wieczorny wiatr mierzwił jej włosy, gdy w rozmarzeniu opierała głowę o jego ramię. Thomas

ułożenie ramion, obejmując ją ciasniej. Podobało jej się to uczucie.

Gdy po raz pierwszy trafił na oddział, nie zwróciła na niego uwagi. Dla niej także był to pierwszy rok w St Paul's. Na co dzień śmiertelnie przerażona na myśl o błędzie w sztuce, w wolnym czasie zajęta studiowaniem wszelkich możliwych scenariuszy postępowania, by wreszcie poczuć się w pracy nieco pewniej, nie miała wiele czasu dla mężczyzn i nieszczęśliwie lubiła wychodzić z domu. Lecz po sześciu miesiącach poczuła się wystarczająco kompetentna, by dostrzec coś poza pracą i odrobinę nacieszyć się życiem - do tego stopnia, że zaczęła flirtować podczas świątecznej imprezy. To był błąd. Rozprężenie wśród kolegów i koleżanek było tak całkowite, jakby znaleźli się na szalonej imprezie Mardi Gras. Żony zostawiły w domu obrączki, mężowie zapomnieli, gdzie żyją, a single szalały bez zahamowań.

Wszyscy, ale nie doktor Thomas Biggs. Nie tylko potrafił odróżnić fokstrota od walca, ale także nie wykorzystał czasu, który razem spędzili na parkiecie, żeby ją obmacywać. Co więcej, między tańcami umiał z widoczną przyjemnością rozmawiać o sprawach nie związanych z pracą.

Od tamtej pory sprawdzała grafik jego dyżurów. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmów. Film, muzyka, medycyna - każda dziedzina była dobra. J.S. lubiła zwłaszcza jego cichy, spokojny głos z ledwie zauważalną nutą rodem z Tennessee. W wyobraźni widziała Thomasa jako postać z *Przemiętło z wiatrem*, mężczyznę, który wie, jak należy traktować damę. Oczywiście nigdy nie próbowała zdobyć monopolu na jego względy - nie chciała, by ludzie zaczęli plotkować. Nawet na kolejnych oddziałowych imprezach tańczyła z nim nie częściej niż z innymi. I tylko trochę bolało ją to, że i on nie próbuje przenieść tej znajomości na wyższy poziom.

Z początku przypuszczała, że Thomas nie chce się umawiać z kimś, z kim na co dzień pracuje, choć większość

## 66

rezydentów nie miała tego typu oporów i nie przepuszczała żadnej okazji do podboju. Potem jednak okresowa rotacja funkcji zmusiła go do przejścia na inne oddziały - niektóre znajdowały się poza miastem, w słynącym z winiarni rejonie Finger Lakes, na wschód od Buffalo - i wtedy prawie go nie widywała. Od czasu do czasu wpadali na siebie w stołówce i razem pili kawę. Thomas jednak nigdy nie proponował nic więcej, nie zaprosił jej nawet na obiad. Zaczęła podejrzewać, że jest gejem, ale szybko doszła do wniosku, że się myli. Zwykle umiała identyfikować orientację seksualną mężczyzny — miało to związek z natężeniem przyciągania, jakie popychało ją ku nim, a w tej skali Thomas zasługiwał na pełną dziesiątkę.

Aż wreszcie, sfrustrowana jego brakiem śmiałości i zupełnie zdezorientowana co do kierujących nim pobudek, spytała go wprost:

- Wolisz mężczyzn, czy masz problem akurat ze mną jako kobietą?

Jego smagła twarz poczerwieniała tak, że widać to było mimo gęstej brody.

- Chcesz pójść do mnie i się przekonać? - Było to raczej

wyzwanie niż autentyczne zaproszenie.

- Tak - odparła, podnosząc rękawicę. I tak zostali kochankami.
- Dlaczego czekałeś tak długo? - spytała w końcu.
- Bo nie chciałem, żebyśmy stali się pożywką dla najświeższych szpitalnych ploteczek.

Nienawidzę ich.

- Ja też.
- To co zrobimy? - Thomas naprawdę nie wiedział, co będzie dalej.
- Publicznie wciąż będziemy przyjaciółmi - odpowiedziała zdumiona, jak łatwo oddał jej inicjatywę. - Potrafisz dochować tajemnicy? Ale naprawdę dochować. Ani słowa, nikomu.

- Zobaczysz - odparł, wzruszając ramionami.

Tak narodziła się więź.

Było to przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia; minęło już osiem miesięcy.  
Byli kochankami z jedną przerwą na początku roku, gdy został powtórnie przeniesiony do Finger Lakes.

Muzyka ucichła i Jane otworzyła oczy. Zapowiadał się długi i spokojny, letni zachód słońca.

- Dziś chciałabym być kimś więcej niż twoją kumpelką - szepnęła.
- Tu, w szpitalu? Ktoś może nas nakryć.
- No to zostaje nam jutrzejszy poranek. Przyjdź do mnie, kiedy skończysz. Dam ci śniadanie.

Jego opaloną, urodziwą twarz rozjaśnił zaraźliwy uśmiech, który Jane uwielbiała.

- Chcesz powiedzieć, że wreszcie oswoiłaś moją wiejską osobę na tyle, żeby wpuścić ją do swego nowiutkiego mieszkania? - spytał kpiąco. - Co to się stało? Czyżby ktoś ci zafoliował meble?

Rzeczywiście wprowadziła się do nowego mieszkania, ale z sobie tylko znanych powodów wahała się, zanim go zaprosiła.

- Coś w tym guście. Co ty na to?
- Z przyjemnością - odparł i oddalił się, by dołączyć do rezydentów, z którymi poprzednio rozmawiał.

Jane czuła się fatalnie. Poszła na drugi koniec stołu, jak najdalej od koleżanek. Czy naprawdę Thomas pragnął jej tak jak ona jego? Chwilami podejrzewała, że jego niechęć do plotek jest tylko wymówką pozwalającą trzymać ją na dystans - była pod ręką, gdy jej potrzebował, ale zniknęła, gdy mu to pasowało.

- Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela - odezwał się głos za jej plecami.

Odwróciła się i zobaczyła ojca Jimmy'ego, stojącego z piwem w ręku. Uśmiechnął się krzywo i to wystarczyło, żeby poczuła się lepiej.

- Czołem, ojcze. Nie, nic takiego się nie stało.

Jimmy spojrzał w dal, na Thomasa.

68

- Na pewno?

J.S. poczuła falę ciepła na twarzy. Kapelan przecież nie mógł o nich wiedzieć. Byli tacy ostrożni

- O czym ksiądz mówi?
- Wyglądasz na nieszczęśliwą. A szkoda... taka utalentowana i piękna kobieta...

Rumieniec palił coraz mocniej.

- Nic mi nie jest.
- Naprawdę? Boja powiedziałbym, że J.S. brakuje dziś typowej dla niej iskry.
- Jestem zmęczona, to wszystko.
- A, skoro tak, to nie jestem zdziwiony. Ciężko pracujesz.
- Nie ciężiej niż inni.
- Z tym się nie zgodzę. Potrafię odróżnić dobrych pracowników, a ty, J.S., jesteś jednym z nich. W to, co robisz, wkładasz serce i duszę. Mimo upływu czasu nie zmieniłaś się pod tym względem ani trochę. I to mi się w tobie podoba.

Pochwały zaskoczyły Jane. Ojciec Jimmy zawsze był przyjacielski i wiele mówił o dobrej robocie pielęgniarzek, ale nigdy nie słyszała, by którykolwiek wyróżniał, a już zwłaszcza ją. Pewnie chciał ją pocieszyć.

- Dziękuję, ojcze. Miło mi.
- Nie ma to nic wspólnego z uprzejmością. - Ksiądz podszedł bliżej i usiadł obok niej. — Wielu pacjentów mówi o niezwykłym „kolczykowym aniele z oddziału ratunkowego”.

• Co takiego? - spytała ze śmiechem.

Jimmy uśmiechnął się jeszcze szerzej i pociągnął łyk piwa.

- Tak się zastanawiam, czy i ja nie powinienem zafundować sobie kolczyka. Jak sądzisz?

Roześmiała się powtórnie.



- Akurat.
- Kłopot w tym, że nigdy nie wiem, czy to w lewym, czy

69

w prawym uchu coś oznacza... Bo ja naturalnie nie mogę wysyłać niewłaściwych sygnałów.

- Ksiądz nie mówi poważnie....
- Ależ tak. To mi pomoże zdobyć zaufanie dzieciaków z ulicy.

J.S. popatrzyła mu w oczy, szukając oznak zdradzających, że znany dowcipniś toczy jedną ze swych słownych gier, ale zobaczyła w nich jedynie zamyślenie. Po raz pierwszy zadała sobie w duchu pytanie o jego wiek. Musiał mieć trzydzieści parę lat. Nie był więc za stary na noszenie takiej biżuterii, choć z drugiej strony nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała księdza z kolczykiem. Przypuszczała nawet, że reguły zabraniają duchownym takich ekstrawagancji.

- Zatem które ucho? Lewe czy prawe?

J.S. zachichotała.

- Wszystko jedno. Dziś to już nie ma znaczenia - odpo wiedziała. - Mogę księdzu przekłuć, jeśli trzeba - zapro ponowała i zaraz ogarnął ją wstyd.

Ale Jimmy tylko się zaśmiał.

- Nie wyobrażam sobie, żebym mógł powierzyć moje ucho komuś innemu. Powiedz tylko kiedy i gdzie.

Jego odpowiedź uspokoiła Jane. Najwyraźniej nie uznał jej oferty za obraźliwą.

• Świetnie. Spytaam Susanne, czy mogę skorzystać z gabinetu zabiegowego na naszym oddziale. Nie potrwa to dłużej niż parę minut. Ale niech ksiądz przyniesie kolczyk. Trzeba go włożyć od razu, żeby otwór się nie zasklepił.

• Załatwione. Daj znać, kiedy będziesz gotowa. I dzięki, J.S.

Jimmy wyciągnął rękę, żeby przypieczętować umowę. Siła uścisku nie zaskoczyła Jane - w końcu ksiądz nie był ułomkiem - ale zadziwiła ją szorstkość jego skóry. Były na niej ślady odcisków, które powstają jedynie po latach fizycznej pracy. Jak na dłoniach jej ojca.

## 70

Dotarło do niej, że zbyt długo ścisła jego dłoń, gdy po wiedział:

- Nie taka miękka, jak się spodziewałaś?
- O, przepraszam - odrzekła, rumieniąc się po raz kolejny.
- Daj spokój, jestem dumny, kiedy ktoś to zauważa. Mam twarde ręce, bo zanim poszedłem do seminarium, objąłem się na zachodzie przez ładnych parę lat. Jakiś czas byłem parobkiem na ranczo. Ty, zdaje się, też pochodzisz z prerii?

• Tak, ale bliżej wschodu. Wychowałam się w krainie pszenicy, w Grand Forks, w Dakocie Północnej, tuż przy granicy z Minnesotą.

• A, wiem, gdzie to jest. Na północ od tego miejsca, gdzie parę lat temu kręcili *Fargo*. Ten film, gdzie wszyscy mówią z norweskim akcentem.

Jane roześmiała się, bo doskonale wiedziała, o czym mówił - w swoim czasie całe Grand Forks pękało ze śmiechu, oglądając ten film.

- Nie mam pojęcia, o czym ksiądz mówi - powiedziała, starając się jak najwierniej oddać osobliwy akcent, który posługiwała się aktorka grająca rolę policjantki.

Ojciec Jimmy odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tak głośno, że siedzący najbliżej przerwali rozmowy i spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

- Doskonale - wysapał, krztusząc się ze śmiechu. Nie zauważył nawet, jaką reakcją wzbudził jego wybuch. - Po wiedz tak coś jeszcze.

Zdopingowana jego rozbawieniem Jane dorzuciła tym samym głosem:

- Ostrożnie, bo rzuci ksiądz pawia.

Tym razem śmiech zgiął Jimmy'ego wpół. J.S. sama zaczęła chichotać, bo rozbawienie księdza jak

zwykle okazało się zaraźliwe.

- Twoi rodzice jeszcze mieszkają w Grand Forks? - spytała, gdy się trochę opanowali.

Cień smutku przerwał wesołą chwilę.

71

- Mój ojciec zginął w wypadku na budowie, dwanaście lat temu. A mama jeszcze tam mieszka. — Jane uśmiechnęła się. - Razem z moim młodszym bratem, Arlissem, który mierzy już ponad metr osiemdziesiąt i jest w ostatniej klasie ogólniaka. I pomyśleć, że kiedyś go łałam...

Jimmy cofnął się z udawanym przestraszaniem.

- Doprawdy?

Tym razem jego irlandzki akcent rozśmieszył J.S.

- Muszę przyznać, że wciąż wyglądasz tak, jakbyś potrafiła się bronić - ciągnął ksiądz, pochylając się nieco w jej stronę. W jego oczach widziała rozbawienie. Przyłożył dłoń do ust, jakby chciał jej powierzyć wielki sekret. - A twoja szybkość bardzo mnie dziś niepokoiła. Biegasz jak gepard. Od lat nikt nie zdołał się tak zbliżyć do „Latających Aniołów”.

Gawędzili jeszcze przez parę minut o życiu na prerii, a potem ojciec Jimmy Fitzpatrick przeprosił ją i się oddalił.

Gdy odchodził, Jane pomyślała, że to dziwne, jaki wydawał jej się sympatyczny. Jej podejście do sprawy istnienia Boga ograniczało się właściwie do chęci zachowania „otwartego umysłu” w tej sprawie. A przecież ilekroć spotykała ojca Jimmy'ego na oddziale ratunkowym, nigdy nawet nie wyczuła z jego strony chęci przekonywania jej, w jakim błędzie tkwi, żywiąc tak słabą wiarę. Był przyjacielski i zabawny. A gdyby nie był księdzem... Jane odruchowo przerwała ten tok myśli. Mój Boże, co ja sobie wyobrażam?

A jednak obserwowała go, gdy się oddalał, żartując ze wszystkimi napotkanymi znajomymi. Aż wreszcie na jego drodze stanął doktor G. Zamienili kilka słów, marszcząc brwi, po czym wyszli razem, najwyraźniej rozpoczynając ożywioną dyskusję. Zatrzymali się jeszcze przy drzwiach prowadzących do wnętrza budynku, gdzie stały pudła z ubraniami ochronnymi, ale zmiana stroju nie przeszkodziła im w rozmowie.

## 72

Jane rozejrzała się w tłumie, wypatrując Thomasa. Stał w promieniach zachodzącego słońca, śmiał się, przechylając głowę na bok, i wszystko wskazywało na to, że niezmiernie bawi go towarzystwo stojącej przed nim kobiety. Przyjemne ciepło, które pozostało po spotkaniu z ojcem Jimmym, wyparowało w jednej chwili, a jego miejsce zajęła tęsknota, której J.S. nie cierpiała.

- Chciałabyś go, dziewczyno, co? - szepnęła wprost do jej ucha Susanne, siadając obok. - Przecież w przyszłym roku o tej porze już go tu nie będzie.

Jane poczuła, że się czerwieni.

- O czym ty mówisz?

Susanne lekceważąco machnęła ręką.

• Podobna jesteś do mnie - rzekła. - Lubisz trzymać prywatne sprawy w sekrecie. Ale ja i tak widzę, co jest grane między wami.

• Naprawdę, Susanne, odniosłaś chyba mylne wrażenie...

Urwała, widząc sceptycznie uniesioną brew. Dalsze tłumaczenia nie miały sensu.

Jane pokręciła głową i wzięła łyk piwa. Czuła wielką potrzebę podzielenia się z kimś życzliwym wszystkim tym, co czuła. Dawniej bez wysiłku nosiła w sobie uczucie do Thomasa, ale ostatnio było jej z tym coraz ciężej - taka była cena zachowania tajemnicy. Izolacja, samotność - to jej się nie podobało. Może rzeczywiście nadszedł czas szczerzej rozmowy?

- Skąd wiesz?
  - Patrzę i widzę. Jest coś szczególnego między wami, kiedy tańczycie. Przed ostatnimi świętami tego nie widziałam, ale od tamtej pory... - Susanne uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.
  - Co widzisz?
  - Jesteś bardziej rozluźniona.
  - A on?
- Susanne znów wzruszyła ramionami.

73

- Trudno powiedzieć. On z natury jest luźny, tylko czasem pozuje na wiejskiego błazna.

Jane roześmiała się, ale smutek szybko powrócił. Spojrzała na prześwit między dwoma sąsiednimi budynkami i dostrzegła w nim lśniąca powierzchnię jeziora Erie. Linia ciemnych chmur ciągnęła się nad horyzontem, a ich wierzchołki napuchły i rozciągnęły się jak kapelusze grzybów. Przypominały dawne niebo i bez troskie lata spędzone w domu, w Dakocie Północnej.

- Ale wygląda na porządnego faceta - dodała po chwili Susanne. - Potrafię zrozumieć, dlaczego wpadł ci w oko.

Potwierdzenie własnych instynktownych odczuć podniosło Jane na duchu. Ufała Susanne i lubiła to, że potrafi dzielić się myślami, nie wpadając w mentorski ton. Ta przyjacielska więź narodziła się między nimi bardzo wcześnie, ledwie parę dni po rozpoczęciu pracy na oddziale ratunkowym.

Choć od początku trwała w postanowieniu, że nie będzie się z nikim spotykać, Jane szybko opuściła gardę i próbowała zbliżyć się nieco do kolegów z oddziału, mając nadzieję, że szybciej dopasuje się do zespołu. Nie było to nic poważnego - ot, bez troskie rozmowy, przekomarzanie, które dobrze знаła z Grand Forks. Potem jednak pojawiły się komentarze podszyte erotycznymi aluzjami.

Z początku się obrażała, bo denerwował ją ten sposób odnoszenia się do kobiet. Już w ogólniaku musiała znosić teksty kolegów, w rodzaju „niezłe C i D”, szeptane wystarczająco głośno, by je usłyszała. Zaczęła wtedy nosić się w mało kobiecy sposób i choć, jak mawiała jej matka, była „godziwie obdarzona” cielesnymi walorami, nigdy nie czuła się swobodnie, występując w kostiumie kąpielowym. Kiedy więc mężczyźni z oddziału ratunkowego żartowali, że J.S. nie powinna zbliżać się zbyt do starszych panów z rozrusznikami serca, dostawała szału, choć przecież równie dobrze mogłaby uśmiechnąć się z rozbawieniem.

74

- To gnojki - powiedziała jej Susanne po pierwszym takim incydencie, gdy rozmawiały w cztery oczy w pokoju pielęgniarek. - Żaden z nich nawet by nie wiedział, jak się zabrać do tak szalowej babki jak ty. I może to powinno być twoją bronią. Zgaś ich raz a dobrze, to się uspokoją.

Kiedy więc kolejny mądrała pozwolił sobie na żart, Jane przebiegła czubkiem paznokcia w dół jego kitła, po drodze odpinając guziki, po czym spojrzała krytycznie na okolice jego krocza, mówiąc:

- Za to pacjentki, z rozrusznikiem czy bez, będą zupełnie niebezpieczne w twoim towarzystwie.

Dowcipniś zacerwienił się jak pomidor, a ci, którzy słyszeli ripostę, wydali z siebie gromkie „uuuu” i wybuchnęli śmiechem.

Jane miała wrażenie, że od tamtej pory traktowali ją nieco inaczej.

Susanne zaś stała się dla niej kimś w rodzaju starszej siostry i życzliwej ciotki w jednej osobie, próbującej dbać o jej dobro, a jednocześnie nie mieszać się do niczego.

- Thomas mówi, że w tej chwili nie chciałby, żebyśmy pozwalali sobie na więcej - wyznała J.S. - Nie mógłby znieść, gdyby wszyscy ciekawscy dookoła zaczęli grzebać w naszym życiu.

- Nie zaczną, jeśli im na to nie pozwolisz - odparła Susanne.

- Niby jak miałabym to zrobić?

Susanne uśmiechnęła się i pokręciła głową.

• Mniej więcej tak jak do tej pory, głuptasko: trzymając dziób na kłódkę. Dotąd się udawało, nieprawda?!"

• Ale ty wiedziałaś.

• To co innego. Mnie się udało, bo odczytałam coś w bratniej duszy. Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze coś zauważył.

Jane zastanawiała się, czy ojciec Jimmy mógł coś podejrzewać. -No tak.

75

- Zadaj sobie pytanie: dlaczego tak wiele wiesz o ludziach z naszego oddziału, którzy ze sobą sypiają? - ciągnęła Susanne.

Jane wzruszyła ramionami.

• Nie wiem. Wieści się roznoszą.

• Dlatego, że większość ludzi, gdy ogarnia ich smutek czy poczucie osamotnienia, zaczyna opowiadać o swojej miłości, żeby podnieść się na duchu. Przypuszczam, że w ten sposób czują się też bardziej realnie kochani. A ty, moja droga, jak dotąd opierałaś się tej pokusie. I właśnie dlatego, gdy tylko wychodzisz z tego budynku, wszyscy kierują swe radary w inną stronę.

Susanne chyba coś o tym wie, pomyślała Jane. Na całym oddziale prawie nigdy nie mówiło się o jej życiu osobistym. Niektórzy próbowali zgadywać, kto może być jej bliski, ale nie zachodzili w swych przypuszczeniach zbyt daleko, bo brakowało plotek, w których mogłoby kryć się ziarno prawdy. Susanne nie nosiła obrączki i nigdy nie rozmawiała o prywatnych sprawach, a kiedy wychodziła z oddziału, przepadała jak w czarnej dziurze.

- I dlatego nie mam pojęcia, dlaczego on miałby na tym etapie obawiać się plotek - kontynuowała Susanne. - Oboje dowiedliście, że potraficie być na tyle dyskretni, by zachować swoje sprawy dla siebie. Dlaczego więc nie musicie planować dalej niż do końca przyszłego roku?

Słuchając, jak ktoś inny wyraża słowami te same myśli, które i ją nachodziły, Jane poczuła ulgę. Susanne jak zawsze nie doradzała jej, co robić, ale raczej zachęcała do samodzielnego poszukiwania rozwiązania. Lecz przecież Jane już wiedziała, co robić. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, zrozumiałby już na jej miejscu, że czas zapytać Thomasa wprost, dlaczego nie chce rozmawiać o przyszłości. Powstrzymywały ją przed tym jedynie lęk przed prawdą oraz praktyczna filozofia ludzi prerii, którą wpoila jej matka: nigdy nie zadawaj pytań, gdy odpowiedzi mogą cię jeszcze bardziej zgnębić.

76

• Co takiego?!

• Musiałem, Jimmy. Inaczej Wyatt spróbowałby wyrzucić cię ze szpitala.

Książdz poderwał się z krzesła dla gości w ciasnym pokoju Earla i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem.

• Ale żeby zaraz zlecać mu kontrolę w sprawie procedur zwalczania bólu? To tak samo głupie jak... jak... jak mianować bin Ladena komisarzem od praw człowieka w ONZ!

• Albo jak to, że pouczaleś tego starego durnia, jak ma wykonywać swoją pracę. Skąd ci przyszedł do głowy tak idiotyczny pomysł?

Jimmy przystanął i posłał Earlowi miążdzące spojrzenie.

• Stąd, że nie zamierzam więcej siedzieć spokojnie i próbować nieść duchową pociechę nieszczęśnikom, którzy umierają, wyjąc z bólu.

• Przesadzasz...

• Do diabła, Earl, obudź się wreszcie! Kiedy widzisz tak okrutną scenę na swoim oddziale,

wkraczasz z morfiną, ketaminą, fentanylem... czymkolwiek, co może pomóc. A ja mogę tylko błagać pielęgniarki, które z kolei proszą rezydentów, a ci wypisują za małe dawki i znów trzeba ich błagać, tym razem o wezwanie lekarza nadzorującego. Ajedna trzecia z nich ani o jotę nie odstąpi od regulaminu, lecz mimo to błagam ich, a tymczasem pacjenci cierpią. Powiadam ci: powinien istnieć sąd karzący za okrucieństwo medyczne, tak jak istnieją sądy badające zbrodnie wojenne, a „tortury przez zaniechanie” powinny zostać uznane za przestępstwo... - Zabrakło mu tchu i umilkł, dysząc tak ciężko, jakby właśnie wpadł na metę biegu.

Earl siedział i słuchał go w oszołomieniu. Wiedział, że zdarzają się takie przypadki i że ich przebieg jest tak dramatyczny, jak opisał to Jimmy, ale nigdy dotąd nie mówiono mu o nich tak stanowczym tonem. W pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć.

77

- Naprawdę tak cię to męczy? - spytał wreszcie. Jimmy pokiwał głową.
- Czasami - odparł, wpatrując się niewidzialny punkt. Earl widział ból w jego spojrzeniu i wołał nie wiedzieć, jaki obraz maluje się przed oczami duchownego.
- Trzeba było przyjść do mnie, Jimmy - powiedział cicho. - Podać nazwiska pacjentów, numery kart historii choroby. Z taką dokumentacją można przyszpilić Wyatta i jemu podobnych.
- No jasne: przypadek za przypadkiem, komisja za komisją... to może potrwać wieki. Earl odetchnął głęboko.
- Ale wystarczy wytrwać, żeby zmienić zwyczaje nawet najbardziej upartych dinozaurów.
- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?
- Ja?
- Ty. Jesteś lekarzem. Nikt ci nie bronił dostępu do nazwisk i dokumentacji pacjentów. To już dwadzieścia pięć lat. Earl najeżył się.
- Nikt nie umiera w taki sposób na moim oddziale. Przynajmniej odkąd ja jestem tu szefem. Jimmy zmrużył oczy i spojrzał na niego surowo.
- I w tym cały kłopot z tobą, Earl. Chowasz się na oddziale ratunkowym.
- Chowam się?
- Właśnie tak. Tu bardziej niż na innych oddziałach sprawy są czarno-białe. Im bardziej chory pacjent, tym łatwiejsze wasze zadanie. Ustabilizować, podać leki, wysłać na górę. Nie zrozum mnie źle, świetnie sobie z tym radzisz. Jesteś zdecydowany, odważny i dobrze wyszkolony. Ale jeden z powodów, dla których tak ci pasuje ta robota, wcale nie jest zbyt szlachetny. Otóż pacjenci nie zostają tu długo i to ci się podoba. O tych, którzy tu umierają, możesz uczciwie powiedzieć, że odeszli, choć próbowaliście wszystkiego. Ich ból, strach i rozpacz są stłumione przez wstrząs albo opóźnione działaniem leków. Tu sprawy to-

78

czą się szybko. Nie musisz mieć do czynienia z długotrwałą męką, która czeka tych, co przeżyją.

- Zaraz, zaraz, Jimmy. Znam los ludzi, którzy opuszczają mój oddział. Ich lekarze informują mnie...

- Ja nie mówię o wynikach klinicznych albo zaspokajaniu twojej lekarskiej ciekawości.
- Jezu, Jimmy, co się z tobą dzieje, u licha?
- Powiem ci, co się dzieje z tobą. Nie możesz być wicedyrektorem do spraw medycznych, któremu wydaje się, że ma na wszystko odpowiedź.

Earl zerwał się na równe nogi.

- To nie fair!

• A kto mówi, że ma być fair? Powinieneś zobaczyć, jak twoi pacjenci sobie radzą, być świadkiem ich długotrwałej agonii albo powolnego godzenia się z tym, że pozostał im ledwie ułamek dawnego życia. Popatrz, jak po twoim sukcesie zbierają do kupy to, co zostało z nich po ataku serca, udarze czy ciężkim wypadku samochodowym.

• Do cholery, Jimmy, jak śmiesz...

• Śmiem, bo przez te wszystkie lata, które tu spędziłem, ani razu nie widziałem, jak idziesz na górę, żeby odwiedzić swoich pacjentów.

Earl poczuł się tak, jakby dostał cios w brzuch.

Stał nieruchomo za biurkiem i czułna plecach strużkę potu, choć tuż nad nim z przewodu wentylacyjnego w suficie płynął strumień chłodnego powietrza.

Czarne oczy Jimmy'ego wpatrywały się w niego z jeszcze większą intensywnością.

- Gdyby choć trochę interesowała cię ta kwestia, Earl, od czasu do czasu spotykałbym cię na tych oddziałach, gdzie toczy się prawdziwa gra. I może gdybyś popatrzył na te zmasakrowane dusze, którym zostały ostatnie dni życia, wyjące jak zranione zwierzęta, może wtedy i dla nich odnalazłbyś w sobie to samo współczucie, którym obdarzyłeś Artiego Baxtera, gdy starałeś się oszczędzić mu cierpień.

79

Z tymi słowami Jimmy oderwał magnetyczne spojrzenie od swej ofiary, cicho otworzył drzwi i zniknął w półmroku korytarza.

Przełożona pielęgniarek zsunęła okulary na sam czubek nosa, spojrzała na niego i pozwoliła, by opadły i zawisły na srebrnym łańcuszku.

- Doktor Gamet! Rzadko tu pana widzujemy.

„Tu” oznaczało oddział opieki paliatywnej, przez bardziej bezdusznych rezydentów nazywany stacją końcową.

- Zatem najwyższy czas, żebym się pokazał - odpowiedział, usiłując odczytać plakietkę z nazwiskiem kobiety. - Pani Yablonsky, czy mogłaby pani zebrać karty chorobowe i towarzyszyć mi przy obchodzie?

Siateczka zmarszczek w kąciakach oczu siostry Yablonsky się rozrzedziła.

• Chce pan widzieć pacjentów?

• Tak.

- Wszystkich?

-Tak jest.

-Teraz?

Earl skinął głową.

• Ale dlaczego?

• Chcę sprawdzić zlecenia środków przeciwbólowych. Widoczna nad maską część twarzy siostry Yablonsky zmarszczyła się ponownie.

- To znaczy... bez wiedzy lekarzy prowadzących?

Jeżu, spędzę tu całą noc, odpowiadając na jej pytania, pomyślał Earl.

- Wkrótce rozpocznie się w całym szpitalu kontrola procedur zwalczania bólu. Pokieruje nią doktor Wyatt, a ja uznałem, że nie zaszkodzi zacząć wcześniej.

Tym razem zdumienie zmarszczyło nawet znacznie gładze czoła dwóch młodszych pielęgniarek, które weszły i przystanąły za plecami przełożonej.

- I doktor Wyatt o tym wie? - spytała Yablonsky.

Earl uśmiechnął się w odpowiedzi:

- Cóż, to bardzo dziwne... - Odepchnęła się rękami i wstała z obrotowego krzesła.

Jej wzrost zaskoczył Earla: ich oczy spotkały się niemal na jednej wysokości. Miała też potężne ramiona i wyrzeźbione ciało kogoś, kto dla rozrywki pływa na drugi brzeg jeziora Erie i z powrotem.

Czekając, aż pielęgniarka przygotuje karty, Earl przebiegł wzrokiem po wypolerowanym, pustym korytarzu i wzdygnął się na samą myśl o tym, że miałby czekać na śmierć w takim miejscu. Kiedy przyjdzie czas, pomyślał, zostawcie mnie pod drzewem, z butelką whisky i ładnym widokiem na okolicę.

Nigdy nikomu się nie przyznał, ale w głębi duszy nienawidził szpitali, bo budziły w nim klaustrofobiczne odczucia. Jako pacjent nie znosił się poddawać reżimowi takich miejsc jak St Paul's, zwłaszcza gdy trzeba było paradować z gołym tyłkiem w wiązanej z tyłu, szpitalnej koszuli.

Przez okna na końcu korytarza widać było, jak słońce znika za masą burzowych chmur piętrzących się nad jeziorem. Hol ogarnął nagły półmrok, przecinany słabym, żółtym blaskiem małych lamp. Z zewnątrz dobiegł basowy pomruk grzmotu, a cichą muzykę sączącą się z radia stojącego na biurku zakłóciły trzaski wyładowań.

- Burza idzie - stwierdziła jedna z młodszych pielęgniarek, wyłączając odbiornik.

Dopiero teraz Earl usłyszał słabe jęki i zawodzenie. Iły to zaledwie strzępy dźwięków dobiegające z półmroku korytarza - zapewne łatwo było przyzwyczaić się do nich i ignorować je, zwłaszcza przy wsparciu radia.

- Zawsze tak wołają?
- O, to jeszcze nic - odparła Yablonsky. - Czasem wrzeszczą tak głośno, że człowiek nie słyszy własnych myśli. - Nieświadoma własnej gruboskórności nawet nie przerwała ładowania kolejnych kart na wózek.

Gniewny skurcz ścisnął żołądek Earla.

W pierwszym pokoju, do którego weszli, na łóżku leżał skulony starzec, wychudzony i pomarszczony jak mumia. Żółtaczka zażółciła jego skórę. Spał głęboko lub był pogrążony w letargu; nie odpowiadał, gdy Yablonsky zwracała się do niego po nazwisku i poprawiała zsuniętą maskę. Earl zostawił go w spokoju.

W sali obok leżała starsza pani w podobnym stanie.

W trzecim pokoju zastali wychudzoną staruszkę o poszarzałej twarzy i rzadkich, ale starannie zaczesanych włosach. Siedziała na krześle, wpatrując się w nadciągające chmury burzowe. Górna część jej oblicza rozjaśniła się na widok wchodzących.

- O, jak miło, nowy lekarz.

Earl zerknął w jej kartę jeszcze na korytarzu i wiedział, że ma przed sobą Sadie Locke chorą na raka piersi z przerzutami, których nie mogły już powstrzymać ani radioterapia, ani chemioterapia. Gdy podszedł bliżej i wyciągnęła rękę na powitanie, podomka zsunęła się nieco, odsłaniając skupiska czerwonych plam w miejscach, gdzie nowotwór zaatakował jej skórę. W powietrzu rozeszła się lekka woń rozkładu.

- Uwielbiam burze pod koniec gorących letnich dni, a pan? - powiedziała, gdy już zapewniła go, że leki pozwalają jej egzystować we względnym komforcie. - Są takie odświeżające i powietrze pachnie po nich tak cudownie.

- Doskonale rozumiem, co ma pani na myśli - odparł Earl. Jej przyjazne nastawienie rozluźniło go nieco. Zazwyczaj czuł się niezręcznie, gdy nie miał pacjentowi nic konkretnego do powiedzenia. - Ma pani rodzinę? - spytał po paru sekundach, głównie, by się zorientować, czy ktokolwiek dotrzymuje jej czasem towarzystwa. Nie wyobrażał sobie niczego gorszego niż spędzanie dni w samotności, w zamkniętym pokoju, bez nadziei na wizytę bliskiej osoby.

- Mam syna. Mój Donny prowadzi restaurację w Hono-

lulu. Nieczęsto go widuję, ale akurat w przyszłym tygodniu do mnie zajrzy, leci do Nowego Jorku w interesach. Poza tym nauczył mnie wysyłać e-maile - dodała, wskazując na turkusowego laptopa, który leżał na stoliku nocnym.

Czyli samotna, pomyślał mimowolnie Earl. Usilnie się zastanawiał, co jeszcze mógłby powiedzieć.

— Zna pani może szpitalnego kapelana, Jimmy'ego

Fitzpatricka?

Starsza pani rozpromieniła się.

— Ojca Jimmy'ego? Ależ oczywiście. Jest cudowny. Za wsze wie, co powiedzieć, żeby podnieść człowieka na duchu.

Coś podobnego, pomyślał kwaśno Earl, wciąż zszokowany werbalnym laniem, jakie sprawił mu ksiądz.

- I jak wybornie żartuje — ciągnęła pani Locke. -A przecież potrafi być poważny, kiedy trzeba.

- A co najbardziej pani w nim lubi? I wtedy, kiedy żartuje, i wtedy, kiedy jest poważny.

Earl miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o technice, która pozwalała Jimmy'emu zdobywać serca tutejszych pacjentów.

- Och, to proste: on nigdy nie marnuje mojego czasu. Nie opowiada andronów, że lekarze lada chwila wymyślą cudowny lek albo że ja sama z siebie nagłe ozdrowię. To prawdziwa ulga, kiedy ktoś szczerze przekazuje złe nowiny i nie udaje, że coś można jeszcze zdziałać, kiedy prawda jest inna. Ojciec Jimmy jest otwarty i dzięki temu może pomagać mi na własne sposoby.

- To znaczy jakie?

- Słuchając, rozmawiając o codziennych sprawach, podsycając moje zainteresowanie światem... wie pan, po prostu czuję, że jestem dla niego ważna. Choć oczywiście nie ma na to wszystko zbyt wiele czasu. Wielu innych pacjentów czeka na jego odwiedzin.

Earl zaczął już dziękować za rozmowę, choć niewiele się z niej dowiedział o sekrecie cudownych wizyt ojca Fitz-

patricka, ale pani Locke przerwała mu kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Wie pan, w czym tkwi tajemnica jego sukcesu?

Earl czekał w milczeniu.

- Wszystko zawiera się w jego spojrzeniu prosto w oczy i w słowach: „Przykro mi, że pani przez to wszystko przechodzi”. Dwadzieścia sekund takiej rozmowy i czuję się tak, jakby poświęcił mi dwadzieścia minut.

Kolejnych kilkanaście wizyt przebiegło nieco szybciej, ale nie były ani trochę łatwiejsze. Pacjenci zadawali pytania, na które nie umiał odpowiedzieć, i dzielili się z nim lękiem, którego nie umiał ukoić.

- Dlaczego właśnie ja? - pytali niektórzy, gdy chciał rozmawiać o bólu.

- Boję się śmierci - mówili inni.

Tysiące razy słyszał podobne słowa na oddziale ratunkowym. Tam jednak pośpiech i zamieszanie, nieodłącznie związane z zabiegami reanimacyjnymi, pozwalały zbyć te pytania i stwierdzenia krótkimi, zdawkowymi, pocieszającymi odpowiedziami. Tutaj ludzie patrzyli mu w oczy i oczekiwali pełnego skupienia oraz szczegółowych wyjaśnień.

- Nie wiem, co powiedzieć - powtarzał bez końca, z każdą chwilą nabierając przekonania, że wygadywanie bzdur byłoby na tym oddziale jeszcze większym błędem niż przyznanie się do braku słów. — Ale przykro mi, że musi pan przez to przechodzić.

Było ciężko, nie przerwał jednak obchodu. Owszem, znalazł wiele śladów cierpienia, ale zaczynał się zastanawiać, czy Jimmy nie przesadził, twierdząc, że pacjenci dostają zbyt mało leków



przeciwbólowych - większość z nich wydawała się wolna od fizycznego dyskomfortu.

I wtedy dotarli do pierwszego z ciągu pokoiów, których drzwi zostały przez pielęgniarki starannie zamknięte.

Właśnie stąd dochodziły głosy, które Earl słyszał wczesniej.

84

Spojrzał na kartę pacjentki, którą za chwilę mieli odwiedzić.

Elizabeth Matthews, lat pięćdziesiąt osiem, końcowa faza raka jajnika.

To, co zza drzwi przypominało ciche kwilenie, było w istocie nieustającym, piskliwym zawodzeniem. Światło było wyłączone, a żaluzje spuszczone, toteż ledwie dostrzegli zarys postaci leżącej na łóżku. W pokoju czuć było kwaśną woń zastarzałego potu.

Earl przełknął ślinę i podszedł bliżej, stopniowo przyzwyczajając się do ciemności. Kobieta leżała na boku, obejmując ramionami podkurczone kolana, skulona wokół miejsca, w którym śmiertelny guz najpierw pochłonął dawne źródło nowego życia, a potem większość organów ulokowanych w podbrzuszu, aż po miednicę. Kołysała się w tę i z powrotem, jakby jej brzuch był kołyską złośliwego nowotworu, a nieprzerwany jęk - usypiającą go kołysanką.

- Pani Matthews?

Przeraźliwy dźwięk, który wydobywał się z jej krtani, nawet nie zmienił tonacji.

Earl drgnął, kątem oka dostrzegając ruch w kącie pokoju.

- Doktorze? - odezwał się męski głos.

Earl odwrócił się i zobaczył wysoką, szczupłą postać unoszącą się właśnie z fotela ustawionego dość daleko od łóżka.

- Jestem mężem Elizabeth. - Mężczyzna wyciągnął rękę. - Dziękuję, że pan przyszedł.

Earl milczał, poruszony prostotą i godnością tego gestu. Albo człowiek ten miał nerwy ze stali, albo to, że jest świadkiem cierpienia żony, uczyniło go całkowicie obojętnym.

• Pani Matthews, proszę przyjąć wyrazy współczucia.

• Nic jej nie pomaga, doktorze. Od dwóch dni jest, w takim stanie. Rezydenci mówią, że dają jej maksymalną dozwoloną dawkę morfiny...

85

Słuchając go, Earl przeglądał dokumentację. Wreszcie znalazł ostatnie zalecenia: *Morphine sulfate, 5 mg, podskórnie, co 4 h.*

Maksymalną, dobre sobie, pomyślał. Zalecenia musiał sporządzić student medycyny, a właściwie skopiować je wiernie z *Poradnika lekarskiego*, biblii leków i ich standardowego dozowania. Tylko że Elizabeth Matthews nie odczuwała standardowego bólu.

Earl poczuł się pewniej.

- Proszę podać dziesięć miligramów midazolamu - zwrócił się do siostry Yablonsky. Tego rodzaju ból można było uśmierzyć w ciągu paru sekund.

-Ale...

- Natychmiast!

Jedna z młodszych pielęgniarek wybiegła na korytarz.

- Kiedy dostała ostatnią dawkę morfiny? - spytał Earl, sprawdzając drożność wkłucia dożylnego.

Yablonsky przejrzała notatki.

• Dziś o piętnastej - odparła. - Podczas obchodu.

• A teraz dochodzi ósma, czyli minęło pięć godzin. Zalecenia nakazują podawać morfinę co cztery godziny. Chyba zgodzi się pani, że pacjentka jest w potrzebie?

• No tak, ale...

• Ale dała jej pani tylko pięć miligramów?

• Podskórnie, tak jak przepisano.

• Nie poprosiła pani lekarza o zwiększenie dawki, mimo iż widać na pierwszy rzut oka, że pacjentka tego potrzebuje?

- W zleceniach nie zapisano więcej, panie doktorze. Poza tym chyba nie chcemy, żeby chora się przyzwyczaiła. Lek może przestać działać i...
- Nazywa to pani działaniem leku, pani Yablonsky? — przerwał jej Earl, wskazując na skuloną postać leżącą na łóżku.  
Sapiąc ze złości, przełożona pielęgniarek nerwowo wyrównała papiery, które trzymała w dłoniach.

86

- Nie, ale...
- Zatem co pani powie na to, żebyśmy zwiększyli dawkę do dziesięciu? A jeśli to nie pomoże, to do piętnastu. -Earl wyrwał jej kartę chorobową i pospiesznie zmienił zalecenia, kumulując swą irytację w wyjątkowo zamasztywanym podpisie. -A kiedy już będziemy wiedzieli, jaka dawka jest wystarczająca, przejdziemy na podawanie dożylnie. Nawet uliczne ćpuny wiedzą, że podskórne zastrzyki nie umywają się do solidnego walenia w żyłę, pani Yablonsky.  
Pielęgniarka spurpurowiała aż po koniuszki uszu.
- Doktorze Garnet, onkolog twierdzi, że chora może pozostać w tym stanie przez długie miesiące. Wreszcie wytworzy się tolerancja na morfinę i...
- I wtedy podamy leki uspokajające i nasenne, dokładnie tak, jak zrobię to za chwilę.  
Jak na zawołanie zjawiała się młodsza pielęgniarka i wręczyła mu strzykawkę z midazolamem, szybko działającym środkiem uspokajającym i nasennym. Earl zdezynfekował alkoholem boczny kranik kroplówki, wolno podał przez niego lek ze strzykawki.
- Trzeba robić wszystko, żeby zapewnić chorej komfort - ciągnął - zwłaszcza, gdyby miało to trwać miesiącami. Dobry Boże, a może na tym oddziale wyznaje się zasadę, że im dłużej pacjent żyje, tym dłużej nie dostaje wystarczających dawek morfiny?  
Młodsze koleżanki siostry Yablonsky, stojące za jej plecami, znacząco pokiwały głowami.  
Ich przełożona wysoko uniosła głowę i energicznie wyprostowała ramiona.
- Oczywiście, że nie.  
Earl zastanawiał się, czy w przeszłości nie służyła w armii.  
Zawodzenia Elizabeth cichły, w miarę jak zawartość strzykawki mieszała się z jej krwią. Jej pierś unosiła się teraz i opadała w miarę regularnie.

87

- Pan Matthews stanął po drugiej stronie łóżka, pochylił się i pogładził czoło żony.
- Teraz będzie lepiej, Elizabeth. Odpoczniesz. - Znuże nie nadało jego słowom ciężar gładów, ale dla uszu chorej musiały być lekkie jak lzy. Uśmiechnęła się, rozluźniła uścisk ramion wokół kolan i sięgnęła ręką do jego dłoni.  
Kilka sekund później zasnęła spokojnie.
  - Dzięki Bogu — powiedział pan Matthews i naciągnął na jej twarz maskę, która zsunęła się w dół, pod brodę. W marnym świetle dochodzącym z korytarza jego oczy były dziwnie wyłupiaste, pełne troski i zmęczenia.
  - Może i pan by się przespał? - zasugerował Earl. -Obiecuję, że żona będzie miała spokojną noc. Niech pan jedzie do domu i odpocznie. - Położył dłoń na ramieniu starszego mężczyzny i poczuł, że znużone ciało się poddaje. - Pani Yablonsky tymczasem wymyje panią Matthews gąbką oraz zmieni jej koszulę i pościel. - Earl odwrócił się w stronę pielęgniarki. — A także podniesie żaluzje. Jeśli pani Matthews się ocknie, przynajmniej będzie wiedziała, że jest noc. Jasne, pani Yablonsky?  
Pielęgniarka wzięła głęboki wdech.
  - Tak jest, panie doktorze.
  - Za dnia będziemy pilnować, żeby naturalne światło docierało do pokoju. Chora nie powinna być zdezorientowana. Prawda?  
Yablonsky skinęła głową.
  - Niech dostanie kolejną dawkę morfiny, gdy tylko midazolam przestanie działać, czyli mniej więcej za godzi

nę...

Earl recytował polecenia, a po ciemnych workach pod oczami pana Matthews'a płynęły łzy, po czym zniknęły za krawędzią maski. Materiał zdążył już nasiąknąć i przywrzeć do zapadniętych policzków. Mężczyzna wyciągnął rękę ponad śpiącą żonę. Tym razem jego dłoń drżała nieznacznie.

- Dziękuję - powiedział znacznie ciszej niż poprzednio.

88

Earl uściśnął jego rękę i dokończył wydawanie siostrze Yablonsky zaleceń, które więcej miały wspólnego z prostą ludzką godnością niż z medycyną. Nie miał tylko pewności, czy pielęgniarka nie spróbuje celowo czegoś pokręcić, tylko po to, by mu dopiec.

— Tak jest, panie doktorze - powtarzała bez końca.

Jej posępna mantra trochę go niepokoiła.

— Proszę dopilnować, żeby następna zmiana przestrzegła tych zaleceń. Nie chcę kolejnych problemów.

Omam nie stanęła na baczność.

— Mam dziś podwójny dyżur, będę tu do świtu - zamel dowiała.

Zapewne tylko niechęć do Gameta powstrzymała ją od dodania na końcu wojskowego „sir”. Earl obstawiał w duchu, że w poprzednim miejscu pracy miała stopień sierżanta.

Odprowadził pana Matthews'a do drzwi i oddał pod opiekę młodszej pielęgniarki, przykazując jej, by zaopatrzyła go w kupon na przejazd taksówką.

W ciągu godziny dokończył obchód z siostrą Yablonsky, podobnie poprawiając zalecenia dla kolejnych siedmiorga pacjentów, którym pozostały co najwyżej dni, jeśli nie godziny życia. Wiedział, że to, co tu zrobił, wywoła w szpitalu nie byle jakie fajerwerki, zwłaszcza że jeden z owych chorych był podopiecznym Wyatta.

Zanim powrócili do pokoju pielęgniarek, nastawienie siostry Yablonsky było już znacznie mniej wrogie. Wciąż była sztywna, ale w jej zachowaniu był więcej służbisto-sci niż niechęci; może nawet coś na kształt wrażliwości. Karl nie mógł jej zapomnieć obojętności, którą widział w pierwszych chwilach, ale przestał się dziwić, że personel tego oddziału broni się właśnie w ten sposób, obcując na co dzień ze śmiercią pacjentów.

— Proszę mi powiedzieć, pani Yablonsky... a może wolno mi zwracać się do pani po imieniu, Monico? - Earl wy-  
r/uł, że zdobył odrobinę jej sympatii i że jest to najlepszy

89

moment na skłonienie do mówienia, zanim Watt ogłosi go wrogiem publicznym numer jeden.

- Oczywiście, panie doktorze.

- Zatem, Monico, doktor Wyatt wspomniał mi o jeszcze jednej sprawie, w której być może mogłabyś mi pomóc.

- Jeśli tylko mogę.

- Opisał mi serię osobliwych zdarzeń...

Ciało pielęgniarki usztywniło się momentalnie, jakby wstrzymała oddech, czekając na dalsze słowa.

- Serię?

- Tak. Powiedział, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy niektórzy wasi pacjenci donosili o przeżyciach z pogranicza życia i śmierci, na przykład związanych z opuszczeniem własnego ciała.

- Ach, o to chodzi! - Yablonsky odetchnęła wreszcie i zaśmiała się cicho. - Tak! To rzeczywiście dziwne. Niektórzy z nich nie byli w aż tak ciężkim stanie.

- Masz może jakieś podejrzenia co do przyczyny tych zdarzeń?

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- Przypuszczam, że to uboczny skutek działania morfiny i innych leków. Sprawdzalam nawet informacje na temat takich przeżyć w Internecie. Wie pan, że jest tego

całkiem sporo? Czytałam o neuroprzekaznikach; podobno one są odpowiedzialne za te doznania, a także receptory w mózgu, które pod wpływem stymulacji wywołują wrażenie...

- A co o tym sądzi doktor Deloram? - wpadł jej w słowo Earl, który nie był szczególnie zainteresowany medycznymi rewelacjami z podejrzanych stron internetowych. - Zdaje się, że był tu parę dni temu i rozmawiał z kilkoma pacjentami? - dodał, starając się, by pytanie zabrzmiało możliwie niewinnie.

Zdziwienie pogłębiło zmarszczki na czole siostry Yablonsky.

- O tym też pan słyszał? - Pochyliła się nieco ku Earlo-

90

wi, a w jej oczach pojawił się gorliwy błysk właściwy osobom zawsze chętnym i gotowym do plotkowania. - To dopiero było „osobliwe zdarzenie”. Doktor przyszedł do nas wczoraj rano, miły jak zawsze, wziął listę nazwisk pacjentów i ruszył na obchód. Chciał porozmawiać z tymi, którzy opowiadali o dziwnych przeżyciach; oczywiście mam na myśli tych, którzy jeszcze żyli. Mniej więcej godzinę później wybiegł z oddziału z twarzą tak poczerwieniałą, że aż się bałam, czy nie przepalił maski. Nie zamienił z nami ani słowa. Nie wiem, co go tak rozgniewało. Pacjenci, z którymi rozmawiał, też nie wiedzieli. - Yablonsky wyprostowała się i lekko skinęła głową, jakby rzucała Karlowi wyzwanie: niech tylko spróbuje znaleźć logiczne wytłumaczenie tak dziwacznej demonstracji.

Earl spytał, czy mogłaby przygotować i dla niego taką listę - zamierzał zamienić później kilka słów z zaniepokojonymi pacjentami. Pomyślał też, że trzeba będzie zapytać Stewarta, co się stało. Kiedy jednak zjeżdżał windą na parter, jego myśli zaprzętało coś innego - nie relacje (i obcowaniu ze śmiercią).

Dlaczego Monica Yablonsky zareagowała tak niespokojnie na wzmiankę o „serii osobliwych zdarzeń”? Dlaczego poczuła taką ulgę, gdy wyjaśnił, co ma na myśli?

Zatrzymał się przy głównym wejściu do szpitala, gdzie zostawił ubranie ochronne w specjalnej skrzyni. Wyszedł na dziedziniec i w strugach ciepłego letniego deszczu pobiegł w stronę samochodu.

Wciąż się zastanawiał.

O jaką inną serię chodziło siostrze Yablonsky?

## Rozdział 5

Janet usłyszała, że samochód Earla zatrzymuje się na podjeździe.

Odrzuciła sobotnie wydanie „New York Herald”, choć miała ochotę przyłożyć mu gazetą za wracanie do domu w weekend o tak późnej porze. Zawsze czuła złość, gdy zatrzymywały go w pracy sprawy szpitalnej polityki, a nie pacjenci.

Spuchnięta, jędzowata i wściekła na faceta, który tak mnie urządził, pomyślała. Muszę uważać, bo przesadzę, jak ta kobieta z piosenki country... Tak czy inaczej Janet wołała, żeby jej mąż miał dobre wytłumaczenie dla swego dwugodzinnego spóźnienia.

Brendan uniósł głowę znad kolekcji zabawek - wśród skarbów rozłożonych na kuchennej podłodze miał między innymi kolejkę i komplet wywrotek.

- Tata przyjechał! - zawołał, gdy odgłosy z podwórka wreszcie przebiły się do świata jego wyobraźni. Zerwał się i pognął w stronę tylnych drzwi domu.

Janet podniosła się z trudem. Boże, pomyślała, nie pamiętam, żeby poprzednim razem była taka ciężka. Nie ma mowy, żeby pracowała do ostatniego dnia ciąży. W duchu czuła nawet ulgę, że ma sensowny powód do rozpoczęcia urlopu macierzyńskiego wcześniej niż przy pierwszym dziecku. Mimo iż początkowo powtarzała sobie stanowczo, że nie opuści pacjentek z powodu SARS, poważnie niepokoiły ją przypadki zarażenia kobiet w ciąży właśnie w szpitalu, o których tyle ostatnio słyszała.

- Tatusiu, słuchałem dziś, jak bije serduszko mojego braciszka! - darł się Brendan, stojąc na progu, z właściwym sześciolatkowi zapałem i rozradowaniem w szeroko otwartych, błękitnych oczach. - Mama przyłożyła sobie do brzucha takie radyjko i pozwoliła mi posłuchać.

Earl wyłonił się wreszcie zza zasłony deszczu, pochwycił syna i podniósł wysoko.

- Naprawdę? Świetnie!
- Chcesz wiedzieć, jak było? - Brendan nie zamierzał czekać na odpowiedź: ułożył usta w ciup i z powagą zaczął na przemian wciągać i wypuszczać powietrze, całkiem niezłe naśladowując odgłos tętna płodu wzmocniony urządzeniem dopplerowskim.

Mimo podłego nastroju Janet nie mogła się nie roześmiać. Pomyślała tylko, że Earl powinien był zrzucić ubranie w garażu, zostawić je w pralce i wziąć prysznic w prowizorycznej kabinie, którą ustawili tam specjalnie liż na początku epidemii. Możliwe, że popadała w paranoję - Earl zapewniał ją nieustannie, że środki ostrożności podejmowane w pracy są zupełnie wystarczające - ale za każdym razem, gdy przytulali swoje dziecko, czuła lęk na myśl o tym, że może przynieśli wirusa do domu na skórze lub ubraniu.

Earl spojrział na nią i chyba wyczytał z jej twarzy, że zanoszą się na kłopoty, bo natychmiast postawił Brendana na podłodze.

- Czy to nie cudowne? - powiedział do niego. - Ale za raz, jesteś pewny, że mama nie miała w brzuchu lokomotywy parowej?

- Nie, zresztą sam posłuchaj — odparł chłopiec, ciągnąc Ho w stronę matki. - Zrobiła dla nas spaghetti... Długo to trwało.

Earl cofnął się o krok, unosząc ręce.

- Tatuś musi się wykapać - powiedział i zniknął na schodach wiodących do piwnicy.

Wrócił po pięciu minutach, ubrany w dżinsy i T-shirt,

zaczesałszy do tyłu mokre, ciemne włosy. Przezornie przywitał się najpierw z Muffy, dorodną pudlicą, która wciąż uważała siebie za pierwotne potomstwo w rodzinie, a Brendana ze jedno ze swych szczeniąt. Miała dwanaście lat i uwielbiała spać, zwłaszcza na progach, tak by wchodzący musieli przestępować nad nią - nie musiała biec im na powitanie. Earl „pokiclował” ją za uszami - Janet nauczyła go tego słowa wkrótce po tym, jak się poznali, przed szesnastu laty; oznaczało tyle co „głaskać”. Muffy uwielbiała takie pieszczoty, a Brendan szybko nauczył się od niej doceniać ich urok. „Kiclować” pojawiło się w jego słowniku mniej więcej tak wcześnie jak „me!”

Poświęciwszy suce kilka sekund, Earl przygarnął do siebie Brendana i spróbował manewru pacyfikacyjnego pod nazwą „tatuś, synek i pudel w serii śmiesznych min”. Janet nawet nie drgnęła. Wtedy przypuścili we troje frontalny atak. Muffy pierwsza skoczyła na opartą o stół Janet, sięgając łapami jej ramion. Brendan złapał matkę za nogę, a Earl delikatnie objął rękami jej pokaźny brzuch, roztaczając drażniący mocny zapach mydła.

Gniew wyparował. Mieli za sobą piętnaście lat małżeństwa, a on wciąż potrafił rozbroić ją swym beztróskim urokiem. Chwyliła leżącą opodal chochlę i pogroziła im na niby.

- Myć ręce, brać sztućce i siadać do stołu - rozkazała, spoglądając chmurnie na Earla. - Kolacja jest już wystarczająco spóźniona.
- Przepraszam - odrzekł Earl, krzywiąc się z niechęcią. - Coś się zdarzyło w szpitalu.
- W sobotni wieczór?
- Opowiem ci, kiedy będziemy sami. Idziemy, stary -dodał, obejmując ramieniem Brendana. — Ale z ciebie brudas... - mruzczał, celowo umykając przed baczny spojrzeniem niebieskich oczu żony.

O pół do jedenastej wieczorem burza ucichła, a chmury rozeszły się na tyle, że wyrzał zza nich księżyc. Jego mglista poświata przesączała się przez korony drzew rosnących przed ich domem, a trawa, poruszana dość silnym wiatrem, na przemian srebrzyła się i ciemniała.

Janet zwinęła się w kłębek przy Earlu na kanapie w salonie, plecami do niego, i jednym uchem słuchała jego wyjaśnień.

- Nie zamierzam być słomianą wdową z powodu jakichś politycznych budżetów rozgrywających się akurat w sobotni wieczór - przerwała mu, wysłuchawszy tylko tyle, ile uważała za konieczne. - Ani też z powodu Jim-my'ego, Petera Wyatta czy innych doktorków nie potrafiących zadziałać zdecydowanie. Jasne?

- Tak jest, kapitanie. - Earl objął ją ramieniem i łagodnie odsunął kosmyk włosów, który opadł jej na policzek.

- Mówię poważnie - zapewniła go, patrząc mu prosto w oczy. - Jest parę osób, które bardziej zasługują na twój czas - dodała, kładąc rękę na brzuchu.

Uśmiechnął się i powiódł dłonią po krągłościach swej ciężarnej żony.

Jego palce uwolniły pragnienie, które zaskoczyło nawet ją samą. Poczowała, że się rumieni.

Pieścił ją dalej, bardzo wolno, zataczając dłonią coraz obszerniejsze kręgi.

Rozluźniła się i najpierw pozwoliła, by jej ciało dopasowało się do jego ciała, a potem wczuła się w rytm jego pieszczot, poruszając biodrami.

- Myślisz, że twój pasażer miałby coś przeciwko? - spytał po kilku minutach, gdy ich czuła współpraca nabrała tempa.

Wygięła plecy w łuk i uniosła ramiona, by objąć go za

- Tylko delikatnie - szepnęła mu wprost do ucha, przyciągając go bliżej. Był rozpalony.

Wyłączył lampkę i zabrał się do rozpinania guzików jej bluzki.

Kiedy skończyli, leżeli spokojnie wtuleni w siebie, a Earl czuł powiew chłodnego, nocnego powietrza, które płynęło ku nim z otwartych okien. Rozkoszując się ciepłem jej oddechu na swej piersi, pomyślał o tym, ile to już razy wprawiały go w zachwyt chwile rodzinnego szczęścia - miał Janet, miał Brendana, a już wkrótce miał do nich dołączyć drugi syn - lecz zawsze było to szczęście podszyte lekkim niepokojem. Życie spędzone na oddziale ratunkowym nauczyło go, jak szybko radość i miłość mogą zostać zmiecione przez ślepy los, zwykłe nieszczęście albo czyjś zły uczynek. Praca wpoila mu to przekonanie na dobre. Jasne, że mógł wspominać swoje zwycięstwa, ale porażki były jak nieusuwalne toksyny w organizmie człowieka: gnieździły się najgłębiej i pozostawały na zawsze.

- Musisz mieć więcej wiary w życie - powiedziała mu Janet wkrótce po tym, jak się poznali, gdy zaczęła zauważać pierwsze oznaki jego pesymistycznych poglądów na brutalne prawo przypadku. - Na każdego pacjenta, który trafia na twój oddział, przypadają tysiące zdrowych ludzi, którzy bezpiecznie wracają do domu. Poza tym ludzie tacy jak my sami mogą pomóc swojemu szczęściu.

Tak niezachwiany optymizm pasował jak ulał do kobiety, która zarabiała na życie, przyjmując porody. Był też pożądaną przeciwwagą dla doświadczeń Karla, który każdego dnia był świadkiem śmierci i ciężkich urazów.

Ostatnio jednak jego czarnowidztwo przyjęło nową postać. Choć nie wspominał o tym jeszcze Janet, poważnie się zastanawiał, czy poród w St Paul's jest dobrym pomysłem. Nikt jeszcze nie zaraził się SARS na oddziale położniczym, jednak w innych placówkach zdarzały się takie przypadki. Winowajcami byli zazwyczaj rezydenci, którzy wracali z oddziałów, gdzie mieli nieświadomy kontakt z zainfekowanymi pacjentami, którym jeszcze nie posta-

wiono diagnozy. W rezultacie nowo narodzone dzieci trafiały od razu do izolatki. To tylko kwestia czasu, powtarzał sobie każdego ranka, gdy Janet szła do pracy. Ona zaś rozumiała zagrożenie równie dobrze jak on i nie potrzebowała dodatkowej presji w postaci jego ostrzeżeń.

Earl zaczął się więc interesować porodami domowymi.

Wiatr nieco się wzmógł, niosąc do salonu lekki zapach tytoniu skrzydlatego - Janet posadziła w ogrodzie przed domem całą grządkę białych, gwiazdkształtnych kwiatków. Ich rześka, przyjemna woń skierowała myśli Earla ku samotnej kobiecie z oddziału opieki paliatywnej, tej, która zwierzyła mu się, że bardzo lubi aromat powietrza zaraz po burzy. Jak ona się nazywała? Sadie Locke? Najajutrz Earl zamierzał -jeśli tylko pozwoliłaby na to pogoda — polecieć jednemu z salowych, by zawiózł tę pacjentkę na wózku do ogrodu na dachu szpitala. Może nawet wózny mógłby upiększyć to miejsce, kupując parę palet roślin jednorocznych? Janet wied/iałaby, które najlepiej się nadają. A pacjenci, którzy czuliby się na siłach, mogliby uciec choć na chwilę od monotonii czterech ścian i szpitalnych zapachów.

Uśmiechnął się i przez chwilę pławił się w przyjemnym poczuciu samozadowolenia. Dlaczego nie? Wydawało mu się, że całkiem nieźle sprawuje się jako wicedyrektor do spraw medycznych. Myśl o tym, ile dobrego może zdziałać, mając taką władzę, napępiała go satysfakcją.

Widzisz, Jimmy?

## Niedziela, 6.00

### Oddział opieki paliatywnej, St Paul's Hospital

Monica Yablonsky skoczyła do telefonu wiszącego przy łóżku.

-Kod niebieski! - wykrzyknęła standardowe wezwanie ekipy reanimacyjnej do pacjenta z zatrzymaniem akcji

97

serca. — I dajcie mi trzeciorocznego z intensywnej terapii albo z ratunkowego!

A nie jakąś bandę żółtodziobów, dodała w myśli, odwieszając z trzaskiem słuchawkę. Dotknęła poszarzałej twarzy o szeroko otwartych oczach. Skóra chorej była zimna i gumista. Bóg jeden wie, kiedy umarła, pomyślała siostra Yablonsky. Na pewno nie przed chwilą. Ale skoro w karcie nie znalazł się zapis „nie reanimować”, a doktor Garnet zrobił poprzedniego wieczoru to, co zrobił, wskazane było postępowanie ściśle według procedur. Niech go szlag; że też musiał wtykać nos w nie swoje sprawy!

Założyła maskę oddechową na nos i usta martwej kobiety i dmuchnęła mocno.

Powietrze wydostało się z piskiem pod krawędziami maski, która powinna była dopasować się do kształtu twarzy.

Pierś Elizabeth Matthews ledwie się uniosła.

Monica spróbowała jeszcze raz.

Poczuła ten sam opór.

Mimo to trzeba iść na całość, pomyślała pielęgniarka. Ale czy w ten sposób nie stworzę wrażenia, że czuję się jeszcze bardziej winna? Garnet będzie bardzo skrupulatnie badał okoliczności zdarzenia. A jeśli wziąć pod uwagę jego reputację w dziedzinie wykrywania wszelkich śmierdzących spraw, był w stanie odkryć i inne przypadki, a wtedy siostry z nocnej zmiany musiałyby mieć się na baczności.

Wprawnie ułożyła dłonie na mostku Elizabeth Matthews i rozpoczęła uciskanie klatki piersiowej. Wyczuła spory opór i musiała użyć znacznie większej siły, by osiągnąć przepisowe dwa i pół centymetra ucisku wystarczające do masażu serca i wprawienia krwi w ruch.

Żebra pękły z trzaskiem pod jej dłońmi.

- Szlag - mruknęła cicho, kontynuując zabieg mniej energicznie. Lecz wcale nie była pewna, czyjej wysiłki nie wzmogą czujności Gameta.

- Mamy sygnał z ósmego piętra! - krzyknęła Jane Simmons. Zostawiła telefon i podbiegła do szafki, w której trzymali przenośny zestaw do sztucznej wentylacji. Chwytała go w locie i puściła się sprintem na korytarz, śladem Thomasa i reszty zespołu. Dotarłszy do windy, użyli specjalnego klucza, by przywołać kabinę z pominięciem po rządku przystanków.

Po niespełna minucie byli już na oddziale. Wbiegając do pokoju pacjentki, Jane zobaczyła szefową nocnej zmiany, panią Yablonsky, i jeszcze jedną pielęgniarkę - udzielały pierwszej pomocy, czerwone i spocone z wysiłku.

W korytarzu rozległ się tupot nóg i znajome skrzywienie kół - zbliżali się rezydenci z oddziału intensywnej terapii ze swym wózkiem. Zgraja żółtodziobów o przerażonych oczach otoczyła Thomasa i łóżko pacjentki. Ktoś rozciął jej koszulę nocną, inni wsunęli deskę pod plecy. Ktoś przyłożył dobrze nażelowane końcówki defibrylatora do jej kościstej piersi.

Monitor akcji serca pokazywał linię prostą.

- Udrożnię drogi oddechowej - odezwała się Jane, odsuwając na bok siostrę Yablonsky. Zdarła z twarzy pacjentki kieszonkową maskę, przez którą pielęgniarka próbowała wentylować Elizabeth Matthews. Jej uwagę przykuła na klejka z nazwiskiem chorej, umieszczona na wezglówiu łóżka.

Posypały się pytania.

- Nie ma wpisu o niepodejmowaniu reanimacji?
- Kiedy się zatrzymała?
- Jakie ma rozpoznanie?

Zwinne ręce podłączyły dodatkową kroplówkę.

Jane spróbowała rozchylić szczęki chorej. Były nadzwyczaj sztywne, ale udało jej się wsunąć między nie zakrzywioną końcówkę rurki ustno-gardłowej. Połączyła worek samorozprężalny i maskę z gniazdem w ścianie i po chwili w pokoju rozległ się syk tłoczonego tlenu. Ale gdy przyłożyła maskę do twarzy pacjentki i ścisnęła worek, jego

ścianki pozostały sztywne. Nie mogła wtłoczyć tlenu do płuc. Pewnie język blokuje przepływ, pomyślała. Spróbowała inaczej ułożyć głowę chorej, ale ciało stawiało równie mocny opór, jak wcześniej szczęki.

Urodziwa blondynka, która próbowała kontynuować ucisk klatki piersiowej - w czym wybitnie przeszkadzały jej długie włosy - zwolniła tempo po kilkunastu ruchach.

- Coś tu nie tak! - powiedziała, marszcząc brwi, ale nie przestała uciskać piersi martwej kobiety.

Thomas zbliżył się do łóżka, sięgnął ręką między stłoczonych wokół pacjentki, młodszych kolegów i czubkami palców dotknął szyi Elizabeth Matthews.

- Nie przywracacie tętna - stwierdził.

Gestem oddalił blondynkę (już zacerwienioną z wysiłku) i sam spróbował wykonać kilka ucisków. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. Przerwał zabieg, odchylił do końca prześcieradło i obrócił ciało kobiety, odsłaniając wielkie, purpurowe plamy na jej biodrach i na tylnej części ramion. Spojrzał badawczo na przełożoną pielęgniarek.

- Ta kobieta nie żyje co najmniej od czterech godzin - rzekł, wskazując na odbarwienia, a potem zwrócił się do rezydentów: - Co najmniej tyle czasu potrzeba, żeby po jawiły się te plamy. Nazywamy je plamami opadowymi,



a powstają one pośmiertnie, gdy krew spływa do najniższych położonych punktów ciała. — Thomas zaczynał mówić tonem doświadczonego wykładowcy. Prześcieradło, które na powrót rozpostarł, opadło jak całun na ciało Elizabeth Matthews. - I dlatego kod niebieski został użyty niepotrzebnie.

Policzki siostry Yablonsky zapłonęły. Podczas gdy pozostali zbierali sprzęt, Thomas Biggs poprowadził ją na bok.

- Dlaczego pani to zrobiła? - spytał.

Być może miała to być prywatna rozmowa, ale Jane bez trudu słyszała każde słowo.

W oczach pani Yablonsky pojawił się błysk niepokoju.

100

- Co takiego? - wysapała z oburzeniem.
- Dlaczego użyła pani kodu niebieskiego? Przecież wystarczyło dotknąć i obejrzyć pacjentkę tak, jak ja to zrobiłem. Jej skóra jest zimna. Wystąpiły już plamy opadowe.

Twarz siostry Yablonsky poczerwieniała jeszcze bardziej, a ścięgna mięśni w jej szyi naprężyły się jak postronki.

O rany, pomyślała Jane. Nie pierwszy raz była na ósmym piętrze i знаła już temperament przełożonej. Thomas zaś potrafił być mało dyplomatyczny, gdy chciał wytknąć komuś oczywisty błąd.

Na szczęście jednak wydawało się, że tego ranka Yablonsky nie ma ochoty na otwartą wojnę. Rozluźniła się nieznacznie.

- Przepraszam - powiedziała. — Powinam była sprawdzić.

Thomas przyglądał się jej przez chwilę, a potem uśmiechnął się dobrotliwie i w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- W porządku. Wszyscy popełniamy czasem błędy. Tylko... zdziwiłem się. Bo użycie kodu w takim przypadku - wyjaśnił, ruchem głowy wskazując na zmarłą - to ruch godny nowicjusza.

Spojrzenie siostry Yablonsky stwardniało.

O cholera, pomyślała Jane. Dlaczego musiał to dodać? Uparł się, żeby ją sprowokować.

Przełożona pielęgniarek spojrzała na Thomasa hardo, gotowa usadzić go w kilku słowach.

- Czyżby? No to niech pan wszystko skrzętnie zanotuje, doktorze Biggs, bo doktor Earl Garnet będzie bardzo zainteresowany tym zgonem.

Rozbawienie w oczach Thomasa minimalnie przygasło.

- Jak to?

- Tak to. Proszę mi wierzyć, że doktor Garnet będzie chciał wiedzieć, co się tu wydarzyło.

- Niby dlaczego miałby go interesować terminalny przy-

101

padek raka? - spytał Biggs. **Terali** jego głos brzmiał nieco mniej dziarsko.

- Dlatego, że wczoraj wieczorem osobiście podwoił tej pacjentce dawkę morfiny, nie konsultując tej zmiany z lekarzem prowadzącym.

Maska Thomasa otworzyła się, gdy mimowolnie w zdumieniu otworzył usta.

- Po co to zrobił?

Pozostali rezydenci słuchali bardzo uważnie.

- Niech pan sam go o to spyta - odparła Yablonsky, nawet nie ścisząc głosu. - Ja tylko wiem, że chciał rozpocząć jakąś tam kontrolę w kwestii zwalczania bólu. No i się sparzył. Będzie miał kontrolę, ale to jemu zapali się grunt pod nogami.

- To jasne, że nikt nie będzie kwestionował okoliczności śmierci chorej w takim stanie. - W głosie Thomasa z każdym zdaniem pobrzmiwało większe niedowierzanie.

- Ależ będzie, będzie, doktorze Biggs, bo według lekarza prowadzącego, pani Matthews miała przed sobą jeszcze kilka miesięcy życia.
  - W takich prognozach nie ma ani krzty pewności.
  - Być może. Ale ja radzę panu zapisać wszystkie okoliczności bardzo dokładnie, nie opuszczając najdrobniejszych szczegółów. Gwarantuję, że ta sprawa zostanie wzięta pod lupę.
- Bruzdy na czole Thomasa pogłębiły się nieco.
- Rozumiem - mruknął.
  - Mam nadzieję, że wszyscy rozumieją - dodała Yablonsky, spoglądając na obecnych tak, jakby byli skarconymi uczniakami.

A to suka, pomyślała Jane, wysłuchawszy tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczami. Przełożona pielęgniarek wykonała klasyczny manewr odwracający uwagę, który miał ochronić jej własny zad, ale najbardziej szokujące było to, że z premedytacją zrobiła to kosztem doktora G. A jej długi jęzor sprawi bez wątpienia, że plotki o rzeko-

102

mym przedawkowaniu leku rozejdą się po całym szpitalu jeszcze przed śniadaniem, cichy sąd pomówień zaś wyda wyrok skazujący najpóźniej w południe. Nawet gdyby czynniki oficjalne oczyściły Gameta, zatarcie złego wrażenia będzie bardzo trudne, a Yablonsky pracowała w szpitalu wystarczająco długo, by o tym wiedzieć. Dlaczego więc postąpiła tak podle?

Jeżeli był w budynku ktoś, do kogo jeszcze nie dotarły pogłoski o jego związku ze sprawą Elizabeth Matthews, to Earl Garnet nie miał szczęścia spotkać go w drodze na ósme piętro.

We wszystkich grupkach pielęgniarek, rezydentów i etatowych lekarzy, które mijał w korytarzach, natychmiast milkły rozmowy, a ich miejsce zajmowały szept i zakłopotane spojrzenia skierowane ku niemu. Niektórzy w ogóle unikali kontaktu wzrokowego. Nawet sprzątaczkę wołały na niego nie patrząc. Spojrzenia doganiały go dopiero zza pleców. Czuł je wyraźnie, jak tysiąc strzał wbitych w ciało.

Miał tylko tyle szczęścia, że jechał sam windą. Niedzielne poranki, nawet w porze zmiany dyżurów, były zwykle najspokojniejsze. Z każdym mijanym piętrzem zbierał siły przed konfrontacją z Peterem Wyattem. Wolał odłożyć słuchawkę, niż słuchać jego wrzasków i gróźb, ale zanim to zrobił, zdążył poznać większą część planów rozwścieczonego onkologa. Na początek mógł się spodziewać oskarżenia o działanie niezgodne ze sztuką lekarską oraz o zawieszenie go w obowiązkach wicedyrektora do spraw medycznych. Po oficjalnym potwierdzeniu śmiertelnego poziomu morfiny we krwi Elizabeth Matthews czekało go dochodzenie prokuratury. Wyatt obiecywał mu w najlepszym razie oskarżenie o rażące zaniedbanie, a w najgorszym -o zabójstwo. Oczywiście nie zamierzał też powstrzymać się przed powiadomieniem mediów o najdrobniejszych nawet, smakowitych detalach śledztwa.

103

Ale to, czego Earl obawiał się najbardziej, nie miał **nic** wspólnego z groźbami Petera Wyatta.

Drzwi rozsunęły się z sykiem i wyszedł na korytarz. Komitet powitalny czekał na niego przy stanowisku pielęgniarek, ale Earla interesował tylko starszy mężczyzna o umęczonych oczach, który siedział zgarbiony na krześle, wpatrując się w szarość świtu za oknem.

Ponura jak chmura gradowa Monica Yablonsky próbowała spojrzeć na Earla wrogo, ale nie wyszło jej to zbyt dobrze i tylko poprawiła okulary. Dwie pielęgniarki, których wcześniej nie spotkał, stały u jej boku, spoglądając na niego z wyczekiwaniem, jakby spodziewały się, że jakoś to wszystko naprawi. Wyatt, wystrojony na tę okazję w swój najlepszy, trzyczęściowy garnitur, wyskoczył przed podwładnych jak prowodyr linczu z marnego westernu.

- Zamknij się, Peter — warknął Earl, zanim Wyatt zdążył otworzyć usta, i minął go, wpatrzony w samotną postać przy oknie. - Panie Matthews - powiedział cicho, przyklękając obok.

Stary mężczyzna nie odpowiedział i nie spojrzął w jego stronę.

Earl zawahał się. Nie był pewny, czy brak reakcji powinien wziąć za przejaw niechęci do rozmowy czy za paraliżujący wpływ rozpacz.

- Panie Matthews - powtórzył.

- Proszę odejść. - Drżący głos brzmiał głucho, jakby się wydobywał z wydrążonej tykwy.

Earl z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Panie Matthews, wiem, że ma pan prawo czuć

gniew... - Urwał, przytłoczony myślą o tym, jak bezsen

sowne są tu wszelkie słowa. Zawsze tak się czuł, gdy

musiał pocieszać żywych w obliczu śmierci, a tym razem

w dodatku czuł się winny. - Przykro mi... - zaczął zno

wu. Zastanawiał się chwilę, co jeszcze mógłby powiedzieć.

I milczał, ponieważ wiedział, że słowa w niczym nie po

mogą.

104

W głębi oczu Matthews, dotąd pustych i martwych, zapaliła się mroczna i gorąca iskra gniewu.

- Zostawiłem ją samą, bo obiecał mi pan, że będzie bezpieczna. - Jego głos był niewiele głośniejszy

od szeptu, ale ciął jak stal. - Od dnia, w którym zachorowała, to jedno przerażało ją najmocniej: że

może mnie nie być przy niej, gdy nadejdzie koniec... - Spazm wstrząsnął ciałem Matthews,

przerwijąc jego skargę i zapierając dech. Żalony płacz, który wyrwał się po chwili z jego piersi,

rozniósł się echem po całym korytarzu. Earl wyobraził sobie, że dźwięk przenika szyby wind i szarość

poranka, wdzierając się do snów wszystkich pacjentów. Właśnie tak, zdawał się ostrzegać, tak mogą

cię tu urządzić.

## Rozdział 6

Milczenie Thomasa martwiło Jane, zajęta szykowaniem późnego śniadania.

To prawda, że oboje martwili się o doktora G. i prawie nie rozmawiali o innych sprawach. Ale potem Thomas umilkł i Jane zaczęła się zastanawiać, czy nie trapi go coś innego. Może przestało mu się podobać to, jak się kochali? Może nie czuł się dobrze w jej nowym mieszkaniu?

Wprowadziła się tu ledwie przed kilkoma tygodniami, szukając prywatności i samodzielności po dwóch latach życia pod wspólnym dachem z koleżankami z pracy. Jej nowy dom był prosty i ciasny, ale też schludny i przytulny. Ozdobiła ściany kolorowymi plakatami reklamującymi wycieczki do Grecji, na Hawaje i po Morzu Karaibskim, a także reprodukcjami dzieł Chagalla, Townsenda i Paula Klee - a wszystko po to, by jakoś zrekompensować marny widok za oknem, na budynek mieszkalny z brunatnego piaskowca i na pobliską szosę. Białe firany wpuszczały przez wielkie okna dostatecznie dużo dziennego światła, dodatkowo osłabiając wpływ przygnębiającej panoramy. W sumie więc mieszkanie nie było złe, zwłaszcza jak na możliwości kogoś, kto żył z pielęgniarskiej pensji. Tak przynajmniej odczuwała to Jane, gdy pokazywała koleżankom swą nową siedzibę. Prezentując ją Thomasowi, zastanawiała się jednak, czy jej wysiłki nie wydadzą się żaloszne komuś, kto już za rok miał zarabiać jako pełnoetatowy lekarz.

Lecz on przecież nigdy nie zachowywał się jak snob.

106

Gdyby taki był, rzuciłaby go w jednej chwili, ponieważ szkoda jej było czasu dla typów o płytkiej

naturze. Jej wątpliwości co do jego reakcji wynikały z czegoś głębszego, co nie od razu zdołała

zrozumieć. Z jego opowieści o dzieciństwie - spędzonym na farmie, z matką-wdową, której regularnie

wysyłał pieniądze — wywnioskowała, że podziela bliskie jej wartości: liczy się ciężka praca i

odpowiedzialność wobec rodziny. Pomału jednak, zwłaszcza gdy leżeli spleceni ramionami i zmęczeni

miłością, odsłaniał przed nią i inną prawdę: pod urokliwym luzem południowca kryła się stanowcza

wola uratowania przed ubóstwem tych, których kochał. I dlatego Jane nie była pewna jego reakcji -

czy Thomas poczuje się w jej nowym mieszkaniu swobodnie, czy będzie wciąż myślał o tym, jak znaleźć dla niej coś lepszego?

Choć przecież sam nie mieszkał w wiele lepszych warunkach: na najwyższym piętrze i wśród nowoczesnych mebli, ale za to z widokiem na ratusz miejski w Buffalo - toporny, trzydziestopiętrowy budynek o ścianach pokrytych rzędami wąskich, spiczastych okien mających ponoć nawiązywać do stylu art deco. Szkoda tylko, że gmach przypominał raczej obrzezanego penisa pokrytego lśniącą łuską.

- Dzięki Bogu życie w tej dzielnicy zdecydowanie nie jest na moją kieszeń - żartowała często Jane, a Thomas na szczęście śmiał się z tych docinków równie serdecznie jak ona.

Ale nie to było prawdziwą przyczyną jej wahań, nim zaprosiła go do siebie po raz pierwszy. Odkąd zostali kochankami, odkąd ogarnęło ich potężne i wzajemne pożądanie, zawsze spędzali noce u niego i na jego zaproszenie. Niepokoila ją zmiana układu w tym równaniu. Czy Thomas nie poczuje się przymuszany, kiedy go zaprosi? Ich związek był na tyle świeży, że czasem miała jeszcze kłopoty z odczytywaniem jego nastrojów i wolała, by sprawy wyglądały wciąż tak samo jak w pierwszych tygodniach. Aż do

107

poprzedniego dnia. Bo właśnie wtedy przestała się przejmować tym, co powie Thomas, jeśli poczuje się przyparty do muru. Możliwe, że był wschodzącą gwiazdą oddziału pomocy doraźnej, ale jeśli chodzi o sprawy miłosne... czy wszyscy mężczyźni z Tennessee lubią oddawać inicjatywę kobietom? Dobrze było chociaż to, że gdy Jane już wskazała mu słuszny kierunek, potrafił spełnić jej oczekiwania.

- Czemu jesteś taki milczący? - spytała, rozbijając jajka.

Uniósł głowę znad niedzielного wydania „New York Herald”, którego czytał, siedząc po turecku na podłodze. Jane często widziała u niego tę gazetę i specjalnie z myślą o nim kupiła świeżą w drodze ze szpitala. Wyobrażała sobie, że będą ją czytać razem w łóżku, otuleni szlafrokami, wymieniając uwagi o co ciekawszych artykułach i ciesząc się wzajemnie swoim towarzystwem. Czekala więc na kochanka wykapaną i pachnącą, z jego ulubioną gazetą i szklanką świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. I tak, jak miała nadzieję, gazeta została rzucona w ką, a sok nie ruszony, Thomas bowiem wolał najpierw nasycić inne pragnienie.

Lecz choć w łóżku nie brakło mu zapału, a potem zarzekał się uparcie, że będzie bronił doktora G., wciąż wydawał się jej daleki i niespokojny.

- Przykro mi, Jane, ale wciąż nie mogę zapomnieć o tym, co się dzisiaj stało. O tej Yablonsky i o tym, jak głośno oskarżała doktora Gameta. Nie rozumiem też, dla czego on w ogóle poszedł na oddział opieki paliatywnej i zaczął szafować morfiną. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że przez tę babę będzie miał poważne kłopoty.

Jane w pełni podzielała jego obawy.

- Ja też odniosłam wrażenie, że przesadziła. Przecież musiała wiedzieć, że inni zaczną gadać. - I naprawdę za częli. Zanim Jane skończyła dyżur, cały szpital huczał od plotek o tym, jak to doktor Gamet przedawkował lek, co zabiło pacjentkę. Ze złością rzuciła garść tartego sera na

108

na wpół usmażone jajka. - Właściwie to ktoś powinien ją spytać, dlaczego tak ochoczo zrzuciła winę na niego. Co takiego ma do ukrycia?

- Zapewne nic. Po prostu nie chciała, żeby mówiło się, że kłopoty się pojawiły, gdy była na dyżurze. A że przy okazji ucierpi porządny lekarz... Przypuszczam, że tylko o to chodzi.

-Ale żeby wprost sugerować, że przedawkował lek... tak się nie robi. Zresztą to niemożliwe!  
- Pewnie nie. - Thomas wstał, podszedł do kredensu i zajął się rozkładaniem sztućców. - Ale obawiam się, że plotki nie ustaną i będzie miał z tym poważny kłopot. Właśnie dlatego, że jest taki dobry.

Jane świetnie rozumiała, co ma na myśli. Kilka lat pracy wystarczyło, by doskonale poznała sytuację panującą w szpitalu. Jeśli chodzi o doktora G., istniały dwa obozy: ci, którzy go uwielbiali - z reguły ludzie ponadprzeciętnie utalentowani - oraz ci, którzy nieustannie mieli mu za złe jego kompetencje, a sami raczej nie błyszczeli. Niestety, tych ostatnich było znacznie więcej, a sam Gamet nie wysiłał się przesadnie, by zdobyć ich sympatię. Choć zwykle starał się walczyć z nimi metodami dyplomatycznymi, to ten, kto w swej głupocie naraził zdrowie pacjenta, szybko poznawał smak jego gniewu. Wszyscy, którzy tego doświadczyli, chcieli wreszcie doczekać się upadku Gameta; niektórzy zapewne byli nawet gotowi poprzeć Yablonsky w obwinianiu go o śmierć Elizabeth Matthews.

- Możesz mu jakoś pomóc? - spytała.

Thomas zdjął dwa kubki z haczyków pod wiszącą szafką i napełnił je kawą z zabytkowego ekspresu, który Jane przywiozła z Grand Forks, od matki.

-Jak?

-Nie wiem. Może udowodnić, że pacjentka i tak by umarła?

Przy śniadaniu wymieniali się pomysłami, próbując znaleźć rozwiązanie problemu doktora Gameta. Jane za-

109

uważała, że Thomas zaczyna się czuć w jej mieszkaniu swobodniej. Wszelkie wątpliwości zniknęły bez śladu i teraz zdawało jej się, że głupotą było w ogóle martwić się o jego reakcję. Jak pensjonarka, śmiała się z siebie w duchu, znowu szczęśliwa i zakochana.

Tyle że nie udało im się rozwiązać problemu doktora G.

Gdy Jane skończyła szkołę i po raz pierwszy stawiała się w pracy, Earl Garnet powiedział jej, że ma silną wolę i pewne ręce - ma szansę zostać świetną pielęgniarką na oddziale ratunkowym. Pierwszy rok nie był łatwy, ale właśnie te słowa podtrzymywały ją na duchu. Widziała, że Garnet jest z niej dumny; otoczona jego opieką nie tylko czuła się na oddziale coraz pewniej, ale także nabierała stopniowo przekonania, że znalazła zajęcie, które da jej satysfakcję i w którym sprawdzi się jak w żadnym innym zawodzie. Szanowała swego szefa tak jak ojca.

- Naprawdę nic nie możemy dla niego zrobić? - spytała, przyglądając się, jak Thomas ochoczo pochłania ją jecznicę. Ten widok sprawiał jej przyjemność. - A może da się wykorzystać fakt, że na oddziale opieki paliatywnej było więcej pacjentów bez wpisu o niepodejmowaniu reanimacji, u których wystąpiło zatrzymanie akcji serca?

Thomas znieruchomiał z uniesionym widelcem.

- Jak to?
- To nie pierwszy raz, kiedy ekipa reanimacyjna jest wzywana na górę podczas nocnej zmiany.
- Więc?
- Więc może Yablonsky próbuje zwalić na doktora G. winę za coś, co jest tylko jednym z serii zdarzeń.
- Serii?
- Tak. Zdarza się, że pacjenci umierają wcześniej, niż oczekiwano, ale jeśli się nad tym zastanowić... czy ostatnio nie mieliśmy więcej takich przypadków?
- Nie wiem, nie liczyłem - odparł Thomas.

110

- Aja myślę, że tak.
- Skąd wiesz? W tym zwariowanym systemie wzajemnego wsparcia spędzam czasem całe noce na

bieganiu z oddziału na oddział. Podobnie jak wszyscy z mojego roku... pędzimy gdzieś za każdym razem, gdy któryś z młodszych rezydentów zaczyna się bać i czuje, że traci grunt pod nogami.

• Wiem. Ale nawet jeśli nie lecę gdzieś osobiście, to przecież widzę, że rusza ekipa reanimacyjna. Za każdym razem, gdy tak się dzieje, zastanawiam się, który to znowu lekarz nie miał odwagi pogadać z pacjentem o niepodejmowaniu reanimacji. Wiesz, co mam na myśli?

Thomas skinął głową, wciąż trzymając widelec w połowie drogi do ust.

- Tak... I może jednak jest coś, co dałoby się zrobić.
- Co takiego?

Brodąta twarz uśmiechnęła się z właściwą sobie swobodą.

- Jeszcze nie mogę powiedzieć. Muszę najpierw coś sprawdzić - odparł, po czym mrugnął szelmowsko i zabrał się do jedzenia.

-Thomas! - J.S. odłożyła sztućce, choć ledwie tknęła swoją porcję. - Nie bądź taki tajemniczy. - Choć wiesz, jak lubię, kiedy taki jesteś, dodała w duchu. Od początku pociągała ją ta jego pewność siebie, którą emanował. Miała wrażenie, że zna wszystkie mechanizmy rządzące życiem. I że jak nikt inny orientuje się w bardziej soczystych sekretach szpitalnej społeczności. Zsunęła się ze swojego stołka i weszła mu na kolana, pozwalając, by jej szlafrok rozchylił się kusząco. - A teraz gadaj, co wiesz - powiedziała, obejmując go ramionami.

- Wcale nie jestem tajemniczy - odparł, mrugając po nownie. - Tylko ostrożny. Ostatnią rzeczą, której potrzebuje teraz doktor G., jest nowa fala plotek.

- Plotek? O czym?
- O oddziale opieki paliatywnej.

111

- Słyszałeś coś nowego?

Za każdym razem, gdy odkrywała skrzętnie maskowane sekrety kolegów i koleżanek z pracy, miała poczucie winy, lecz zarazem czuła coś w rodzaju satysfakcji. Wiedziała, kto z kim spał, kto zawałił robotę, a nawet, od czasu do czasu, kto dopuścił się poważniejszych przestępstw: molestowania czy oszustwa. I choć same wykroczenia napawały ją odrazą, to jednocześnie budziły w niej przyjemną pewność siebie - oto, jakich błędów udaje jej się uniknąć. Poza tym pochlebiali jej, że Thomas ufa jej na tyle, by dzielić się z nią tajemnicami.

Sięgnął ręką za jej plecy, wziął kawałek chleba i starannie wytarł z talerza resztkę cebuli, zielonej papryki i szynki.

• Nie słyszałem. Widziałem. — Wziął kęs do ust i przeżuł starannie, nie przestając się uśmiechać do Jane. Doskonale wiedział, że jej ciekawość właśnie osiągnęła punkt wrzenia.

• Thomas!

• Dobrze już, dobrze. Nie wiem, czy masz rację w sprawie większej ostatnio liczby wywoływanych kodów, ale ten poranek nie był moim pierwszym. Wzywano mnie już wcześniej, żebym spróbował reanimować pacjentów, którzy umarli w łóżku. Ciebie nie?

Jane wzruszyła ramionami.

• Czasami. Ale nie zawsze jestem w ekipie, więc może zdarza się to częściej... Do czego zmierzasz?

• Sprawdzę jeszcze dokumentację, ale mam wrażenie, że większość kodów zgłaszają nam w okolicy świtu, tak jak dziś. To oznacza, że znajdują ciała podczas ostatniego obchodu przed końcem zmiany. Może Yablonsky tak chętnie oskarża Garneta, bo jej pielęgniarki nie pilnują pacjentów w nocy tak skrupulatnie, jak powinny?

- Chcesz powiedzieć...

Thomas uciszył Jane, kładąc palec na jej ustach. Przełknął ostatni kęs, delikatnie wsunął dłonie pod szlafrok

112

i zaczął pieścić jej biodra. Z łobuzerskim błyskiem w oku

spojrzał na nią, szukając śladu sprzeciwu.

Odpowiedziała lekkim pocałunkiem.

- Może masz rację, że śmierć tej kobiety wpisuje się w dłuższą serię - ciągnął Thomas. Mówił cicho, nie prze stając gładzić pleców J.S. - I że więcej ma wspólnego z nie dostateczną opieką pielęgniarską niż z postępowaniem doktora Gameta.

- I z tym możemy coś zrobić - powiedziała, całując go ponownie, tym razem już nie tak lekko.

• Kiedy podała pani chorej pierwszą dziesięciomiligramową dawkę morfiny? - spytał Earl, wskazując na przykryte prześcieradłem ciało, które wciąż leżało na łóżku. Nalegał, by Monica Yablonsky poszła do pokoju Elizabeth Matthews wraz z nim, jakby obecność zmarłej miała skłonić pielęgniarkę do prawdomówności. Peter Wyatt poszedł już do laboratorium; obawiał się, że weekendowi technicy nie potraktują z należytą uwagą próbki krwi, w której mieli zmierzyć poziom morfiny.

• Godzinę po midazolamie - odrzekła. - Tak jak pan zalecił.

• Zaleciłem, żeby podać morfinę, gdy tylko działanie midazolamu zacznie słabnąć, czyli mniej więcej po godzinie.

Monica Yablonsky znużonym gestem uniosła dłonie ku głowie i rozmasowała skronie, przynajmniej teoretycznie przenosząc wirus z rękawiczek do własnego ciała. Earl nie odezwał się - podobnie bezmyślne odruchy zdarzały się w szpitalu sto razy dziennie - ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bitwa o oczyszczenie St PauFs z SARS jest [nż bitwą przegraną.

• Właśnie to chciałam powiedzieć - odrzekła Yablonsky. - Pani Matthews dostała morfinę, gdy zaczęła się budzić.

• A jednak z karty wynika, że było to równo o dzie-

113

więcej. Zmarła była widać wyjątkowo punktualną osobą... budziła się o równych godzinach.

• Czy pan insynuuje...

• Nalegam tylko, żeby opowiedziała mi pani szczegółowo o wszystkim, co wydarzyło się ostatniej nocy. Co do minuty. Kiedy zauważyła pani, że pacjentka się budzi?

Yablonsky zacisnęła wargi i odetchnęła głęboko, nie kryjąc irytacji.

• Może było dziesięć po dziewiątej.

• A potem?

• O co panu chodzi?

• Zaglądała pani do niej?

• Tak! Niejeden raz. Martwiło mnie to zwiększenie dawki. A jako że odesłał pan do domu jej męża, miałam chorą na oku. — Nie zamierzała ukrywać niechęci na myśl o tym, że z powodu decyzji Earla musiała okazywać w nocy szczególną czujność.

-I?

• Była stabilna.

• Oddech i parametry życiowe w normie?

• Tak, jak zapisano w karcie pacjentki.

Gdyby ktoś sprawdził obserwacje pielęgniarskie z nocnej zmiany na dowolnym piętrze szpitala, przekonałby się, że w większości kart widnieje liczba szesnastu oddechów na minutę, czyli średnia typowa dla osoby dorosłej... ale nie śpiącej. Dlaczego, skoro podczas snu spada ono do dwunastu? Dlatego, że wielu opiekunów, nie wyłączając lekarzy, nigdy nie zadaje sobie trudu liczenia oddechów, jeśli tylko oceniają na pierwszy rzut oka, że chory wdycha i wydycha powietrze bez większego problemu.

- Wszędzie widnieje liczba szesnaście - powiedział Earl, niżając głos do szeptu. - Może mi to pani wyjaśnić?

Yablonsky zaczerwieniła się, ale milczała. Pracowała w szpitalu wystarczająco długo, by wiedzieć, o co mu chodzi oraz że została przyłapana na gorącym uczynku i lepiej będzie nie stawiać oporu.

- Dla mnie to jasne - ciągnął Earl - że oddech pacjenta wydał się pani wystarczająco mocny i stabilny. Nie uważała pani, by osłabił go wpływ morfiny.

-Nie.

Garnet znowu zajrzał do karty.

- Widzę, że drugi zastrzyk dała jej pani o pierwszej w nocy.

Yablonsky przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Znowu zaczęła jęczeć o równej godzinie? Niesamowicie, pacjentka musiała mieć zegar w mózgu.

Skóra wokół oczu Yablonsky naprężyła się, a spojrzenie stało się jadowite.

• W porządku. Morfina przestała działać wkrótce po północy, ale miałam do dyspozycji tylko dwie pielęgniarki i pomocnicę. — Wie pan, jak to jest, cięcia... i musiałyśmy czuwać przy innych pacjentach, którym zmienił pan dawkowanie leków i którzy byli znacznie bliżsi śmierci. - Nie dodała „Za sprawą tych pańskich zaleceń”, ale można to było wyczytać z jej spojrzenia.

• Więc pozwoliła jej pani znowu wyc z holu. Kiedy wreszcie pani do niej dotarła?

Yablonsky odetchnęła głęboko.

- O pierwszej trzydzieści. - Jej rzeczowy ton nie sugerował, by dostrzegała w swojej postawie coś nagannego. - Parametry życiowe wciąż były w normie. I gdyby pan pytał: tak, znowu zasnęła. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że pierwsza silniejsza dawka jeszcze nie przestała działać i może nie trzeba już dawać drugiej. Mimo to podałam lek, bo chora ledwie pół godziny wcześniej rzeczywiście krzyczała, a ja dobrze pamiętałam, jak mówi! pan, że musimy wyprzedzić ból.

Yablonsky wymawiała teraz każde słowo niezwykle starannie, jakby lepsza wymowa mogła poprawić sens jej wypowiedzi.

Jej wyjaśnienia brzmiały jednak prawdopodobnie. Earl pomyślał, że być może usłyszał w końcu prawdę.

- O której zajrzała pani do niej ponownie?

Twarz siostry Yablonsky nabrała nowego odcienia szkarłatu.

- Może sam zgadnę? - dodał Earl, czując, że napięte mięśnie zamieniają jego brzuch w twardą kulę.

Buntowniczy blask zgasł w jej oczach. Garnet miał wrażenie, że pielęgniarka starzeje się w oczach, gdy patrzyła na okryte prześcieradłem zwłoki.

- O szóstej rano - odpowiedziała cichym, chrapliwym głosem.

Jenny Fraser, szefowa laboratorium, namierzyła Earla w jego gabinecie, dokąd się wycofał, żeby przemyśleć sytuację.

• Muszę cię ostrzec, Earl. Wyatt truje dupę mojemu technikowi, żeby zaraz dał mu wyniki analizy, ale ja już słyszałam, co się stało, i wolę, żebyś ty usłyszał je pierwszy.

• Są aż tak złe?

Jej wymuszony śmiech brzmiał w słuchawce metalicznie. Niepozorna kobieta słygnęła nie tylko z tego, że nosiła perły do pracy, w której stykała się z płynami ustrojowymi i strzępami ludzkiego ciała, ale także z tego, że przekazywała złe nowiny z subtelną żarłaczka ludojada.

Earl przygotował się na najgorsze.

- Jeżeli sekcja zwłok nie wykaże katastrofalnych nie



spodzianek, przyczyną śmierci będzie zatrucie morfiną. - Jenny wypowiedziała to zdanie wolno i rytmicznie, jakby każde słowo miało równą wartość. Była to popularna technika stosowana przez wykładowców z doświadczeniem klinicznym; podobno sprawiała, że nawet najbardziej tępe umysły pojmowały sens słów. Niestety, Jenny miała zwyczaj przemawiać w ten sposób także do swych podwładnych i kolegów. - Stężenie dwukrotnie przekraczało poziom terapeutyczny.

-Szląg.

116

— Na twoją korzyść przemawia to, że wcześniejsze badania wątroby i nerek chorej nie wykazały nieprawidłowości, więc teoretycznie powinna była znieść dawkę, jaką jej zaordynowałeś. Nikt nie może cię winić za to, że stało się inaczej.

Wiem o tym, pomyślał, słuchając dalszego ciągu raportu. Czytał kartę Elizabeth, zanim zlecił podanie morfiny. Prawda była taka, że Jenny nie była w stanie dostarczyć mu odpowiedzi, których potrzebował. Interesowało go na przykład, dlaczego Elizabeth przeżyła pierwszą dawkę, ale nie przeżyła drugiej. Jakim cudem pierwsza przestała działać tak szybko, że chora znowu krzyczała z bólu, a potem znowu zasnęła przed drugą dawką?

— Dzięki, Jenny. Cieszę się, że zadzwoniłaś najpierw do mnie - powiedział, gdy wysłuchał do końca raportu laboratoryjnego.

Odłożył słuchawkę i pozwolił sobie na chwilę chłodnego, logicznego rozumowania w różnych kierunkach. Odpowiedzi, których sobie udzielił, wcale mu się nie podobały.

Zadzwonił na centralę i poprosił o połączenie z Louise Quint, szefową całego weekendowego dyżuru pielęgniarskiego i podobnie jak on - weteranką St PauFs. Louise była doń podobna i w tym, że nie miała żadnych złudzeń co do bezlitosnych zasad szpitalnej polityki.

— Earl! — odezwała się głosem równie serdecznym jak zawsze. - Słyszałam, że zrmw-u wpakowałeś się po pachy. I to akurat wtedy, gdy zdawało mi się, że wreszcie wdra pałeś się na szczyt tej sterty łajna. To tyle, jeśli chodzi o moje nadzieje na przynajmniej chwilowy sukces porządkowych ludzi.

- Obawiam się, że to prawda, Lou.
- Jak mogę ci pomóc?
- Myślę, że Elizabeth Matthews dostała swoją dawkę morfiny dwukrotnie.

-Co?!

—Słyszałaś.

117

• Dlaczego tak sądzisz?  
• Dlatego, że po północy obudziła się, krzycząc z bólu, gdy pierwsza dawka, którą zleciłem, przestała działać. Jej mąż mówił, że kiedy cierpiała, nie mogła się sama uspokoić. A jednak około pierwszej przestała płakać i Monica Yablonsky zastała ją śpiącą, kiedy wreszcie zajrzała do niej o pierwszej trzydzieści.

• I co?  
• Zdaje się, że personel miał pracowitą noc, zwłaszcza o tej porze, która nas interesuje. Przypuszczam, że jedna z pielęgniarek dała pani Matthews zastrzyk, gdy usłyszała jej krzyki, czyli między północą a pierwszą, ale nie zapisała tego w karcie i nie powiadomiła siostry Yablonsky. Mniej więcej o pierwszej trzydzieści, gdy Yablonsky uporała się z innymi pacjentami, być może

nieświadomie podała drugą dawkę, a teraz kryją się nawzajem.

• Jezu - mruknęła Louise. - To dość ryzykowna hipoteza - dodała, choć nie zamierzała od razu wykluczyć takiej możliwości. - Bądź pod telefonem, zaraz się tym zajmę.

Oddzwoniła po godzinie.

- Jeżeli któraś z moich pielęgniarek dała dodatkową dawkę morfiny, to chyba z prywatnych zapasów, bo w całym szpitalu nie brakuje ani jednej ampułki. - Jej ton, tym razem lodowaty, zdradzał, że sprawę uważa za zamkniętą.

Na wszystkich piętrach *icki* narkotyczne przechowywano w szafce zamykanej na dwa klucze, niczym pulpit kontrolny w wyrzutni rakiet z głowicami jądrowymi, a personel liczył ampułki na początku każdej zmiany. Rytuał powtarzano po zakończeniu pracy, starannie zapisując dawki leku zużyte podczas dyżuru.

Nie był to idealny system, ale pozwalał na szybkie odkrycie pomyłek, a oszukanie go wymagało starannego planowania.

- Może zdążyły już uzupełnić zużytą ampułkę? - zasu gerował Earl, mając nadzieję, że Louise nie zamknie przed

118

nim tej furtki do końca. Jeżeli miał się oprzeć atakowi Wyatta, potrzebował jak najliczniejszego grona sprzymierzeńców o otwartych umysłach.

- Musiałyby działać niezwykle szybko. Poza tym skąd wzięłyby identyczny substytut, jeśli nie z innego szpitalnego zapasu? Jak dla mnie ta wersja nie trzyma się kupy.

Chyba że ukradły morfinę wcześniej, pomyślał Earl. Niestety, nie miał ani skrawka dowodów na potwierdzenie tak poważnego oskarżenia.

- Earl, gdybyś miał argumenty, stałabym murem po twojej stronie, aż do końca - dodała z powagą pani Quint. - Nawet przeciwko moim dziewczynom. - Połowa jej „dziewczyn” dobiegała sześćdziesiątki, ale nazywała je tak od lat, bo razem zaczynały pracę; być może próbowała w ten sposób oddalać od siebie myśl, że się zestarzały, a ona wraz z nimi. - Ale bez dowodów... mam nadzieję, że nie zamierzasz powtarzać tych oskarżeń w ich obecności, nawet jako hipotez.

Twarda, silna i bezpośrednia - nie spodziewał się po niej niczego innego.

- Dzięki, Lou, że sprawdziłaś.

Odłożył słuchawkę na widełki.

I poczuł się bardzo samotny. ... • Nie miał wyboru; musiał czekać na wyniki sekcji zwłok. Jako wicedyrektor do spraw medycznych mógł się postarać, by szybciej je przeprowadzono, ale rozwiązanie zagadki śmierci Elizabeth Matthews na poziomie komórkowym i tak musiało potrwać. Nie mógł przecież przyspieszyć procesu przygotowywania cienkich plastrów tkanek, na szklanych płytkach, umieszczenia ich na odpowiednio długi czas w całej serii roztworów, by zabarwić poszczególne ich struktury, a następnie szczegółowych badań mikroskopowych każdego z tak przygotowanych preparatów. Czekalo go oczekiwanie w stanie zawieszenia, i to przez tydzień lub dwa.

I było całkiem możliwe, że oficjalna przyczyna śmierci

119

nie będzie się różnić od tej, którą wszyscy, łącznie z nim, podejrzewali: zatrucie morfiną.

Wyatt tylko na to czekał, żeby zadać ostateczny cios.

Lecz polityka liczyła się w tym wszystkim najmniej, zwłaszcza w zestawieniu zjedną sprawą, która

zaprzętała umysł Earla: ktokolwiek podał Elizabeth Matthews zbyt dużą dawkę morfiny, musiał być do tego dobrze przygotowany.

**Niedziela, 6 lipca, 23.52**

### **Oddział opieki paliatywnej, St Paul's Hospital**

Sadie Locke miała za sobą udany dzień.

Dzięki temu uroczemu doktorowi Garnetowi spędziła kilka wieczornych godzin na świeżym powietrzu, siedząc wygodnie na dachu zachodniego skrzydła. Wciąż miała na twarzy maskę, ale i tak czuła chłodne powiewy wiatru. Lekarz nalegał, by nie zdejmowała maski, bo i inni pacjenci mogli wkrótce pojawić się na dachu, a zatem i to miejsce należało chronić przed wirusem, jak każdy inny zakątek szpitala. Ale wszystko inne podobało jej się nadzwyczajnie. Ustawione kręgiem rośliny doniczkowe szeleściły na wietrze, budząc wspomnienia z parku nieopodal jej domu w Lackawannie - małym miasteczku przy linii kolejowej *na* południe od Buffalo - gdzie lubiła *obserwować* pierwsze zabawy małego Donny'ego. A kiedy słońce opadło nad jezioro Erie, na gałęziach nad jej głową zasiały ptaki, najwyraźniej myśląc doniczkowy gaj na szczycie betonowej budowli z najprawdziwszym lasem. Skakały beztrosko, całkiem nieświadome sztuczności tego gąszczu, ani na chwilę nie przerywając swej wieczornej pieśni. W oddali, nad brzegiem jeziora, widać było ceglane kominy opuszczonych fabryk, które nie pluły w niebo dymem od czasów, gdy była młodą matką, a teraz stały się rajem dla szpaków. Niczym na bezgłośną komendę chmara ptaków pode-

120

rwała się nagle i uniosła w ciemniejące niebo, zawirowała i zaraz powróciła do wnętrza, jakby została wessana.

Napatrzywszy się na to wszystko, Sadie Locke nie mogła zasnąć. Nocne odgłosy szpitalnego życia budziły ją za każdym razem, gdy zapadała w drzemkę. Chłodne powietrze z kratki wentylacyjnej opływało jej twarz niczym lodowata woda. Niepokoiły ją też odgłosy kroków dobiegające z korytarza - krewni odwiedzali swych umierających bliskich. Właściwie nie same dźwięki były dla niej przykre, ale ich sens: nieuchronnie zbliżał się dzień, w którym i do niej ktoś przyjdzie po raz ostatni. Dziękowała Bogu, że Donny zdąży wrócić, zanim zabraknie jej sił, a może nawet posiedzi z nią na dachu? Bardzo chciała spędzić popołudnie na rozmowie z nim - o tym, jak wiele cudownych chwil przeżyli razem, gdy był mały, i jak bardzo jego ojciec wierzył, że spełni się jego marzenie i restauracja „Lucky Locke's” stanie się najlepszym lokalem w mieście.

Po omacku sięgnęła po plastikowy kubek z wodą, który pielęgniarka zostawiła na jej stoliku, i wzięła łyk.

Liczyła, że będzie miała jeszcze okazję powiedzieć Don-ny'emu, jak wiele radości dał swojemu ojcu. Obawiała się, że syn może zapamiętać go tylko jako człowieka z wolną wycofującego się w smutek, przytłoczonego zwyczajnością, która pochłonęła jego wymarzoną restaurację, a tak naprawdę tylko marną jadalnię, która wysysała z joga życia po osiemnaście godzin każdej doby, przez dwadzieścia długich lat.

Napiła się jeszcze.

Jeśli Bóg pozwoli, porozmawia z Donnym bardziej szczerze niż kiedykolwiek, nie ukrywając niczego. Niech zrozumie, że jego sukces jest także balsamem dla duszy nieżyjącego ojca. Zwłaszcza że nowy lokal nazywa się „Lucky Locke's 2”. Był to miły gest ze strony Donny'ego.

Trzeci łyk.

Zanim rak zmusił ją do pozostawania i leczenia w domu, kilka razy była na Hawajach i widziała restaurację.

121

Stała w palmowym gaju, przy ulicy o nazwie składającej się głównie z liter „k”, której za nic w świecie nie mogła zapamiętać, podobnie jak większości hawajskich słów. A teraz wiedziała, że kolejnej podróży nie będzie.

Jakaś postać stanęła na progu.

Pani Locke usiadła.

- Nie śpisz, Sadie? - spytał znajomy głos.
- Ojciec Jimmy. Spóźnił się ksiądz dzisiaj. - Kapelan odwiedzał ją każdego wieczoru, żeby sprawdzić, czy już zasnęła; dobrze pamiętał o bezsenności, która trawiła ją już od pierwszych dni pobytu.

Podszedł bliżej i jak zawsze przysiadł na skraju łóżka. W słabej poświacie korytarzowych lamp zobaczyła, że jego oczy są jakby bardziej zmęczone niż zwykle.

- Znowu myślisz o Donnym? - spytał Jimmy.

Uśmiechnęła się. Zawsze wiedział.

- Bardzo za nim tęsknię. Chcę go zobaczyć, póki jeszcze mogę. Zanim... - Skinęła głową w stronę drzwi, za którymi przesuwały się cienie ostatnich odwiedzających, spowite w ochronne stroje i prowadzące rozmowy cichymi, prawie żałobnymi głosami.

Ojciec Jimmy poklepał ją po rękę i powtórzył te same ciepłe słowa, którymi zawsze niósł jej otuchę, lecz tym razem wydawał się mniej skupiony.

- Jak się ojciec czuje? Nie jest dziś ojciec taki rześki jak zazwyczaj.
- Ja? O, dziękuję, że pytasz. Jestem zdrow, tylko może zmęczony po wczorajszym wielkim wyścigu. Mówiłem ci już, że „Latające Anioły” zwyciężyły?
- Tak. Mówił ksiądz wczoraj wieczorem.
- Naprawdę? A, to przepraszam. Pamięć zaczyna szwankować. Za to duma rośnie w siłę, skoro zaczynam gadać w kółko o wygrywaniu. Najpierw duma, a zaraz potem upadek.
- To zależy, z czego jest się dumnym, ojciec. Powiedziałabym, że wolno trochę się popuścić, kiedy chodzi o zbiór-

122

kę pieniędzy na rzecz szpitala. - Sadie miała nadzieję, że ojciec Jimmy zaśmieje się chociaż, ale nic takiego nie nastąpiło. - I miał ksiądz rację co do doktora Earla Gameta. I'amięta ksiądz, że opowiadałam o jego wizycie? - ciągnęła, zmieniając temat.

-Tak?

— Lekarz pierwsza klasa. Był tu dziś znowu i pozwolił mi posiedzieć w tym uroczym ogrodzie na dachu. Wydawało mi się, że jest tak samo zmęczony jak ojciec, a jednak «idał sobie trud. Proszę się nie gniewać, ale doktor wyglądał mi na przygnębionego, więc mu powiedziałam, jak bardzo go ojciec szanuje. Śmiał się i mówił, że to ksiądz namówił go do odwiedzin na oddziale. - Sadie miała nadzieję, że ojciec Jimmy rozchmurzy się nieco, gdy usłyszy, jak jego drobne gesty przynoszą radość jej i innym pacjentom. Napięta skóra wokół oczu była sygnałem, że i on od czasu do czasu potrzebuje pocieszenia.

Ale Jimmy tylko się skrzywił. Sadie zauważyła, że jego twarz — zazwyczaj tak młodzieńcza - wygląda na opuchniętą, gdy oświetla ją z boku blask korytarzowych lamp.

Musiał mieć naprawdę ciężki dzień, pomyślała, gdy się pożegnali, życząc sobie nawzajem dobrej nocy.

Obudził ją tupot nóg i skrzyp szybko obracających się kołek. Znała te dźwięki i obawiała się ich.

Kolejna ludzka istota niegotowa na śmierć, pomyślała.

Ona sama, choć bardzo pragnęła zobaczyć się jeszcze z Donnym, podpisała deklarację DNR, gdy tylko pielęgniarki zapytały ją, jaka jest jej wola - nie chciała, by reanimowano ją w razie zatrzymania akcji serca. Gdyby postąpiła inaczej, w odpowiednim czasie podjęto by reanimację, a potem musiałyby spotkać się ze śmiercią po raz drugi. Dziękuję serdecznie, myślała, jeden raz w zupełności mi wystarczy.

Leżała, słuchając trzasku wyładowań z defibrylatora

123

i cichych, zdecydowanych głosów „ekipy”. A potem wiele mówiącej ciszy.

Rzadko się zdarzało, że zespół reanimacyjny w pośpiechu opuszczał oddział, pchając przed sobą

łóżko, w biegu pompując powietrze w płuca pacjenta o pobladłej twarzy, i zapewne przechodzącego istny czyściec za życia. Częściej bywało tak, że ekipa wychodziła chyłkiem, ciągnąc swój wózek ze sprzętem do windy, by zjechać z powrotem na dół; potem ciszę przerywał już tylko płacz bliskich — jeśli zjawiał się ktoś taki. Później pielęgniarki wyprowadzały rozpaczających; spowite w zieleń postacie tworzyły upiorną, powolną procesję. Na koniec wywożono okryte prześcieradłem zwłoki.

Myśl o tym, że i ona pewnego dnia trafi do chłodnej kostnicy, w towarzystwo wielu innych martwych ciał, przyprawiała Sadie o dreszcze. Lepiej było nie poświęcać jej zbyt wiele uwagi. Za oknem, daleko na wschodnim horyzoncie, łuk szarawej poświaty odznaczył się na czarnym dotąd niebie. Sadie odwróciła się w stronę stolika nocnego i zrobiła to, co zawsze robiła na widok ekipy reanimacyjnej: dopisała maleńki krzyżyk w kalendarzu i zmówiła modlitwę za ofiarę - w jakimkolwiek stanie opuszczając oddział.

## Rozdział 7

**Poniedziałek, 7 lipca, 12.55**

**Ogród na dachu, St Paul's Hospital**

Wyciągnąłem się na krześle i udawałem, że rozkoszuję się ciepłem południowego słońca. W środku jednak, niczym rak, toczył mnie strach. Zawsze obecny, pożerał mnie dniem i nocą.

Były chwile, w których o tym zapomniałem. Budząc się /e snu, wciąż mogłem musnąć myślą obietnicę nowego, spokojnego dnia, reliktu czasów, które trwały, zanim zabiłem. Potem jednak przychodziła fala wspomnień i tonąłem pod ciężarem mojej tajemnicy, wiedząc, że nigdy nie uwolnię się z jej okowów, nigdy się nie odkupię. Ale gdy tylko wchodziłem znów w swoją rolę, nie było tak źle.

Dopóki nie pomyślałem, że Earl Garnet mnie tropi.

Jak wszyscy dobrzy lekarze, miał obsesyjną naturę w kwestii rozwiązywania problemów klinicznych. Jeżeli wyczuwał, że coś jest nie tak - w wynikach badań laboratoryjnych, w interpretacji danych klinicznych, w nieprawidłowej technice - lepiej było mieć się na baczności. Zawsze było tak, jakby tego typu błędy brał za osobistą zniewagę. Wiecznie snuł te swoje kazania, jak to doszło do zranień, których można uniknąć, i zaraz cały szpital wiedział, że doktor Garnet uważa takie porażki za zdradę tych, którzy oddali życie w jego ręce. Nie sądzę, żeby świadomie dowartościowywał siebie, trzymając się tego sposobu myślenia. (chodziło raczej o to, że czułby się potępiony, gdyby na jego

125

dyżurze cokolwiek poszło nie tak. Wszystko to jednak nie martwiło mnie zbyt, dopóki ograniczał swoją kontrolę do własnego oddziału. Teraz jednak wyraźnie powiększył swoje terytorium...

Panika na myśl o zdemaskowaniu zżerała mnie coraz szybciej, jak pleśń. Po raz milionowy wściekałem się na siebie w duchu za to, że byłem tak głupi i sądziłem, że wszystko to ujdzie mi na sucho, że będę taki sprytny i przechytrzę wszystkich.

Ale zaraz przypominałem sobie, że przecież mam ten plan, tę technikę, tę osobliwą zdolność odsuwania od siebie wszystkiego, czego nie chciałem widzieć i czuć. Doprowadziłem ją do perfekcji, próbując odseparować się od jej bólu, jej blizn. Tylko że ta umiejętność przyszła zbyt późno — nie wzniosłem barykad wystarczająco szybko, by nie pozwolić, żeby jej gniew stał się moim. Teraz jednak, gdy znałem tę sztuczkę, miałem do dyspozycji ochronną pelerynę, która spowijała mnie i czyniła niewidzialnym od morderstwa do morderstwa; stałem się istotą podobną do ducha. Albo też, gdyby sparafrazować słowa filozofa, nie myślę, więc nie ma mnie. Gdyby Garnet czy ktokolwiek inny zdał sobie kiedyś sprawę, że działa tu zabójca, znalazłby się na tropie kogoś, kto zniknął, przestał istnieć. Tak przynajmniej myślałem sobie, dopóki nie zaczynałem myśleć o tym wszystkim, co zrobiłem - tak jak teraz.

Powoli ogarniał mnie nieprzyjemny chłód, choć przecież świeciło słońce i byłem ciepło ubrany. Oblał mnie zimny pot.

Cholera! Gdybym tylko nie zaczął robić tego, co robię... Albo gdybym skończył z tym po

pierwszym zgonie. Nikt by się nie dowiedział. Aleja parłem dalej pewny, że ta Al greave była tylko wypadkiem przy pracy, że wciąż jeszcze mam szansę przeprowadzić pozostałych przez moje sesje w dobrym zdrowiu. Teraz zaś nie miałem wyboru: musiałem kontynuować, choćby po to, żeby uniknąć śmierci za

126

życia, czyli spędzenia reszty moich dni za kratkami, a kto wie, może i wyroku śmierci.

Na wpeł przymkniętymi oczami obserwowałem Garneta, który siedział całkiem blisko mnie. Niechęć chwyciła mnie mocno za gardło. Zostaw sprawy staremu dobremu Earlowi, a zmieni to miejsce w ogródek dla pacjentów i personelu. Podobno załatwił permanentne wypożyczenie całego tego zielska i nie planował zwrotu aż do pierwszych śniegów! Stał się pieprzonym bogiem tego szpitala!

Moja gorycz wobec tego człowieka i jego dobrej roboty wydała mi się zaskakująca. Ale czy powinna? W końcu sam skazałem się na pobyt po drugiej stronie moralnej przepaści. Wrodzona przyzwoitość Garneta była czymś, co już nie było mi dane. Właściwie to nic dziwnego, że za-zdrościłem mu i nienawidziłem go za to, jaki jest.

Ciepło pod maską i strojem ochronnym powróciło i stało się nieznośne. Bielizna lepiła się do gorącej skóry. Mimo to wciąż siedziałem nieruchomo w słońcu, rozglądając się uważnie.

Kobieta o udręczonym spojrzeniu, której rzadkie włosy powiewały na wietrze jak nitki babiego lata, siedziała opodal na wózku inwalidzkim zaparkowanym tuż pod jednym z doniczkowych drzewek. Idealne miejsce dla niej, pomyślałem.

Z odległości dziesięciu metrów dostrzegłem charakterystyczny, czerwony pasek na bransoletce informacyjnej oddziału opieki paliatywnej: oznaczał, że nie życzył sobie reanimacji. Nawet tu korzystała z kroplówki, zapewne dlatego, że chemio- lub radioterapia pozbawiła ją możliwości wydajnego przyjmowania płynów i pokarmów. Nie wyglądała natomiast na odurzoną lekami. Raz po raz pielęgniarki i salowe zatrzymywały się przy niej, żeby przywitać się i pogawędzić choć chwilę.

Pomyślałem, że od tej pory będę wybierał właśnie takie osoby. Ludzi, którzy są wciąż przytomni i myślący, ale których nikt nie próbowałby ratować po moich nocnych

127

sesjach. Nie mogłem już sobie pozwolić na to, by podmioty moich eksperymentów żyły dalej i szerzyły plotki o doświadczeniach z pogranicza życia i śmierci. W końcu ktoś mógłby przypomnieć sobie o jeden szczegół za dużo i zostałbym zdemaskowany. Deklaracja DNR była przynajmniej gwarancją, że nikt z ekipy reanimacyjnej nie zacznie zadawać zbędnych pytań o to, dlaczego ostatnio umiera więcej pacjentów niż zwykle. Nie sądziłem, by podobne pytania zadawali sobie lekarze prowadzący, ponieważ przyznaliby, że ich prognozy były błędne. A może nawet byliby tak wdzięczni za uwolnienie łóżek dla nowych pacjentów, że nawet nie przyszłoby im do głowy zastanawiać się, jak to się stało?

Wciąż przypatrywałem się tej kobiecie.

Wreszcie usłyszałem, jak ktoś się z nią wita.

- Dzień dobry, Sadie...

Potrzebowałem jeszcze kilkunastu sesji. Na pewno uzyskałbym z nich przynajmniej parę przydatnych taśm, choć większość była zazwyczaj zbyt marnej jakości. Miałem już jednak kilka dobrych nagrań i gdyby tylko udało się zdobyć jeszcze trochę, ich treść przekonałaby każdego. Choć z drugiej strony umierałem ze strachu na myśl o nieustającym zagrożeniu. Co gorsza, wciąż nie miałem pojęcia, kogo widziałem na korytarzu w piątkową noc i czego szukała ta osoba. Kto wie, kiedy miała pojawić się ponownie? A jako że Gamet postanowił zainteresować się sprawami tamtego oddziału, stał się bodaj najpoważniejszą przeszkodą na drodze do realizacji moich dyskretnych planów.

Jak mógłbym ją ominąć?

Do tej pory oddział opieki paliatywnej był cichym zakątkiem, w którym nikt nie głowił się zbyt nad tym, dlaczego umarł kolejny pacjent. Lekarze prawie nigdy nie zarządzali sekcji zwłok, a rodziny w głębi serca cieszyły się, że ukochana osoba odeszła już i nie cierpi. Innymi słowy, był to dla mnie idealny teren łowiecki.

I wciąż mógłby nim być, nawet mimo gadania o we-

128

wnątrzzszpitalnej kontroli i mimo wścibstwa Earla, a to dlatego, że nowy wicedyrektor do spraw medycznych, choć taki pedantyczny, czasem sam przysparzał sobie problemów. Przy odrobinie pomocy owe trudności mogły okazać się dla mnie przydatne, i to na kilka sposobów. Na przykład odwróciłyby jego uwagę. A jeśli nie...

Spojrzałem na Janet, leżącą obok na rozłożonym fotelu ogrodowym, i na jej wydatny brzuch opięty ochronnym kitlem.

Przerażała mnie myśl o tym, co mogło okazać się niezbędnym działaniem. Ale prawdą było to, że osobista tragedia i rozpacz zajęłyby Gameta jak nic innego.

Moje własne poczucie straty dopadło mnie ze zdwojoną siłą, budząc na nowo wściekłość, która nigdy do końca nie gasła - a przecież minęło już tyle lat, odkąd rozleciał się mój świat. Natychmiast przestałem się wahać.

Postanowiłem, że upozoruję wypadek. Wszak ciąża zawsze bywa ryzykowna...

13.07

Nieźle, pomyślał Earl, rozglądając się po korytarzach swego oddziału.

Nosze stojące rzędem pod ścianami holu - dawniej jedynie tymczasowy środek zaradczy, a ostatnio stały element wystroju wnętrza - były puste, a niezbyt głośny gwar rozmów dowodził, że personel w pełni kontroluje sytuację.

Gdy zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek, J.S. uniosła głowę znad czasopisma.

- Czołem, doktorze G.
- Widzę, że wreszcie mamy chwilę spokoju.
- Najwyższy czas - odpowiedziała, mrugając porozumiewawczo, i znowu zaczęła czytać.

Earl wypatrzył Thomasa, stojącego w kącie z grupką młodszych rezydentów. Biggs miał zadatki na dobrego

129

nauczyciela - potrafił wykorzystać każdą wolną chwilę i zamienić ją w miniseminarium; na tym oddziale była to cenna umiejętność.

Earl zaczekał na przerwę i dopiero wtedy przywołał Thomasa.

- Gdybyś mnie potrzebował, będę na patomorfologu.

Pracują tam nad jednym przypadkiem, który mnie inte resuje.

Spojrzenie Thomasa przewiercało go na wylot.

- Chodzi o tę Matthews?

Earl skinął głową.

• Widziałem w karcie, że to ty prowadziłeś ekipę reanimacyjną. Jeżeli nie jesteś zbyt zajęty, może dołączyłbyś...

• Dziękuję, doktorze Garnet, ale ci tutaj są zupełnie zieloni. — Thomas wskazał kciukiem na grupkę początkujących rezydentów, zajętych tyleż ożywioną, co mało rzeczową dyskusją na temat właściwej metody badania miednicy. Wokół jego oczu pojawiły się drobne linie rozbawienia. - Sam pan sły szy, że będzie lepiej, jeśli zostanę. -Biggs zaśmiał się, a potem rozejrzał na boki, jakby się upewniał, czy nikt nie stoi w pobliżu.

Earl odruchowo uczynił to samo. Teren był czysty, jeśli nie liczyć J.S.

- Powinien pan o czymś wiedzieć, jeśli chodzi o oddział opieki paliatywnej. Może to panu pomoże - powiedział

Thomas tylko trochę cichszym głosem.

Earl miał wrażenie, że obecność J.S. zupełnie mu nie przeszkadza.

-Tak?

Rezydent opowiedział mu o serii wezwań przed świtem

Earl nie był specjalnie zaskoczony. Nawet na tych od działach, gdzie w zasadzie nie było śmiertelnie chorych pacjentów, nocna opieka pielęgnarska pozostawiała wiele do życzenia, a chorych znajdowano niekiedy kilka godzin po śmierci. Niekiedy bywało tak źle, że rezydenci nazywali poranny obchód „poszukiwaniem trupów”. Mimo to

130

podziękował Thomasowi za informację, ujęty jego troską, i ruszył schodami w dół, do pracowni patomorfologu.

Otworzył drzwi z napisem „Wstęp surowo wzbroniony” i wszedł do pokoju, gdzie przeprowadzano sekcję. Piskliwe zawrodoenie tarczowej piły do kości przyprawiało o ból zębów. Len Gardner, mężczyzna raczej średniej budowy (nawet w grubym ochronnym ubraniu), uniósł głowę w chwili, gdy stalowe ostrze wgrzyzało się w żebro Elizabeth Matthews. Skóra na jej piersi została już rozcięta skalpelem; wielka litera „Y” ciągnęła się od obojczyków przez mostek aż po wzgórek łonowy.

— Cześć, Earl — powiedział Gardner tak swobodnie, jak by spotkali się na lunchu. — Pomyślałem, że akurat tym przypadkiem powinienem zająć się osobiście.

W St PauFs panowało przekonanie, że Len nigdy nie zostanie szefem. Był jednym z najzdolniejszych patologów w Buffalo, ale zupełnie nie miał czasu i ochoty na polityczne uprzejmości, które były niezbędnym elementem gry o stanowisko, i dlatego uparcie odmawiał przyjęcia nominacji na szefa oddziału. Poza tym lepiej niż ktokolwiek inny orientował się w brudnych sekretach szpitala: wiedział doskonale, kto popełnił błędy diagnostyczne lub terapeutyczne. A jako że z osobistym zaangażowaniem przedstawiał omylnym lekarzom smutne dowody ich pomyłek, Earl podejrzewał nawet, że Len specjalnie stara się być osobą niepopularną, by uniknąć nominacji. Niewykluczone, że warto brać z niego przykład, myślał niekiedy.

- Dzięki. Cieszę się, że to ty - odpowiedział szczerze Karl. Len był bowiem przede wszystkim nadzwyczajnie uczciwym człowiekiem.

- Cała przyjemność po mojej stronie - mruknął patolog, zabierając się do cięcia drugiego żebra.

Earl stanął z boku i oparł się o blat, na którym rząd pojemników do połowy napełnionych formaldehydem czekał już na najważniejsze narządy Elizabeth. Mimo podwójnej maski oraz hałaśliwego pochłaniacza zapachów, któ-

131

ry pracował pełną parą, opary chemikaliów drażniły jego podniebienie. Nieco dalej stała kolekcja próbek przeznaczonych na próbki płynów ustrojowych: krwi, moczu, treści żołądkowej, a nawet płynu mózgowo-rdzeniowego, w którym zanurzony był mózg. Len miał wysłać je wszystkie do laboratorium biochemicznego w celu ustalenia poziomu morfiny.

Earl spojrział znów na ciało Elizabeth Matthews i zatrzymał spojrzenie na jej twarzy. W blasku lampy chirurgicznej wyglądała jak lśniąca woskowa maska, a nie ludzkie oblicze. Earl nie mógł nawet stwierdzić w duchu, że po śmierci Elizabeth wreszcie znalazła spokój: jej rysy były ściągnięte bólem, kości odznaczały się wyraźnie pod skórą, a usta, wykrzywione grymasem, zdawały się wciąż emitować ten piskliwy, przenikliwy krzyk, o którym nie potrafił zapomnieć.

14.30

Atak mdłości nadszedł bez ostrzeżenia.

Janet zdarła maskę z twarzy i ledwie zdążyła do toalety, nim mięśnie jej brzucha zaczęły falować jak u egzotycznej tancerki. Cały lunch w jednej chwili trafił do muszli klozetowej, i to z siłą wodospadu.

Torsje były tak silne, że omal nie zemdląła i musiała podeprzeć się obiema rękami.

I zaraz poczuła się lepiej.



Co u diabła, zastanawiała się, czekając jeszcze parę minut na ewentualny nawrót. Wreszcie wstała chwiejnie i w tym momencie przyszła jej do głowy szalona myśl. Nie, uspokoiła się zaraz, to pewnie tylko ta sałatka z tuńczyka, którą serwują w stołówce. Szybko spłukała dowód niedyspozycji i powróciła do pokoju pielęgniarek.

132  
15.35

Earl zażartował kiedyś, że oddział intensywnej opieki medycznej w St Paul's ma wiele wspólnego z kasynem. Nie było tu okien i trudno było odróżnić dzień od nocy. Nie brakowało ekranów, piszczących i wyświetlających szczęśliwe lub nieszczęśliwe numerki, i to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I wreszcie, i tu, i tam rezultaty bywały ostateczne.

Niosąc pod pachą brązową teczkę z papierami, przemierzył równym krokiem dużą, słabo oświetloną salę. Wzdłuż jej ścian parawanami wydzielono stanowiska dla najciężej chorych pacjentów z całego szpitala; to tu za pomocą niezliczonych kroplówek i skomplikowanej maszynarii utrzymywano przy życiu tych, którzy omal nie opuścili ziemskiego padole. Tak przynajmniej wyglądało to wtedy, gdy .sprawami kierował Stewart. Talent i umiejętności pozwalały mu niekiedy zacierać linię między życiem a śmiercią; czynił to znacznie lepiej niż którykolwiek z podległych mu specjalistów. Niektórzy cmokali z niesmakiem i zarzucali mu, że bawi się w Boga, ale niewielu było takich malkontentów. W dodatku większość z nich chciałyby trafić właśnie do niego, gdyby zły los rzucił ich kiedyś w gościnne progi tego oddziału.

Earl rozpoznał ten dar Stewarta przed wielu laty, ndy razem zostali rezydentami w nowojorskim szpitalu miejskim. Wybór zajęć dowolnych dowodził jasno, że doktor Deloram zamierza łączyć doświadczenie kliniczne /i", szkoleniem praktycznym. Spędzał owe godziny z grupą lekarzy-naukowców, próbujących stworzyć optymalny protokół postępowania w przypadkach zagrożenia życia 11 pacjentów oddziału intensywnej terapii. Ukończywszy specjalizację, Stewart podjął pracę i w szpitalu, i na uniwersytecie. Dość szybko został dyrektorem tej samej urupy, do której przyłączył się jako rezydent. Porzucił ją w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

133

I wtedy całkiem niespodziewanie zatelefonował do Earla. Spytał, czy nie znalazłoby się dla niego miejsce w St Paul's. Znając z publikacji imponujący dorobek Stewarta i polegając na znakomitych rekomendacjach z Nowego Jorku, Gamet przedstawił go komisji rekrutacyjnej w St Paul's, która bez wahania zaoferowała mu etat.

Earl nigdy nie zrozumiał, dlaczego człowiek z tak wielkim narcystycznym apetytem na sukcesy naukowe postanowił porzucić Nowy Jork i przenieść się do Buffalo.

- Zanieczyszczenie - wyjaśnił mu kiedyś Stewart.

Earl z instynktownym niepokojem zbliżył się do rzędu czterech jaskrawo oświetlonych szklanych pomieszczeń ustawionych pod ścianą na końcu sali. Były to komory podciśnieniowe, zaprojektowane specjalnie dla pacjentów z poważnymi infekcjami dróg oddechowych. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, powietrze było zasysane do środka, co uniemożliwiało śmiertelnie mikrobom wydostanie się na zewnątrz i zarażenie personelu oraz pacjentów drogą inhalacji. Jeszcze trzy miesiące wcześniej komory niemal zawsze były puste. Teraz wszystkie łóżka zajęli pacjenci z SARS.

Earl podszedł jeszcze bliżej.

Za szybą najbliższej komory zobaczył ekipę w zielonych fartuchach, okularach ochronnych i dodatkowych plastikowych maskach. Medycy krzżeli się gorączkowo wokół masywnego mężczyzny o hebanowej skórze, który swego czasu toczył podobne bitwy u boku Earla na oddziale pomocy doraźnej, a teraz walczył o własne życie. Teddy Burns przez ponad dwadzieścia lat był w St Paul's technikiem aparatury oddechowej. Ledwie kilka tygodni wcześniej żartowali razem, że wiecznie są niewyspani, i licytowali się, który z nich ma większe cienie pod oczami.

- Jesteśmy, cholera, zbyt dumni, żeby pozwolić tej łajbie zatonać... oto cali my! - mawiał Teddy, mrugając poro

zumiewawczo i spiesząc do chorych.

A teraz te same, głęboko osadzone oczy spoglądały roz-

134

paczliwie na zakryte maskami twarze lekarzy. Pierś Ted-dy'ego zafalowała, gdy odruchowo bronił się przed rurką dotchawiczą, którą lekarze wpychali przez jego gardło, by podłączyć go do respiratora. Jego spojrzenie spoczęło wreszcie na Earlu i zmarszczki na jego czole pogłębiły się w jednej chwili, wyrażając całą wściekłość wobec tych brutalnych zabiegów, jakby znalezienie się w sytuacji tak wielu pacjentów, których dawniej ratował, stanowiło dla niego niewybaczalną zniewagę.

Earl poczuł dreszcz. Położył dłoń w rękawicze na szklanej tafli, mając nadzieję, że Teddy odczyta ten gest jako życzenie wszystkiego najlepszego.

Lecz Teddy odwrócił głowę, najwyraźniej zniesmaczo-ny uprzejmościami oferowanymi mu przez Earla w godzinie agonii.

Stewart Deloram, wyróżniający się z grupy ratowników gęstymi, czarnymi brwiami - niemal tak niesformymi jak jego czupryna - z wprawą umieścił przezroczystą, plastikową rurkę między żebrami po lewej stronie klatki piersiowej Teddy'ego.

Natychmiast pojawił się w niej spieniony, różowy płyn.

Kir Royale\*, pomyślał Earl, wspominając słowa Ted-dy'ego, którymi opisywał ową krwawą wydzielinę z opłucnej, nauczając studentów swego fachu. Obecność płynu oznaczała, że wirus zaatakował opłucną.

Jedno szybkie spojrzenie na wyniki badań biochemicznych wiszące na szybie powiedziało Earlowi, że uszkodzone są też wątroba, nerka oraz mięśnie.

Niewydolność wielonarządowa.

Twarze dwóch nastoletnich synów, których Teddy z taką dumą przyprowadzał niegdyś do szpitala, stanęły Earlowi przed oczami, a ich wspomnienie ścisnęło mu żołądek.

Stewart wyszedł z izolatki po kilku minutach, zrzuciw-

\* Kir Royale - aperitif (szampan z łyżeczką likieru z czarnej porzeczki).

135

szy zewnętrzną, skażoną warstwę odzieży za hermetycznie zamkniętymi drzwiami. Zaraz potem włożył świeży, podwójny uniform, dwie pary rękawiczek oraz nową maskę i ochraniacze na buty i włosy.

Tyle kroków do zapamiętania, tak łatwo zapomnieć o jednym, pomyślał Earl.

Gdy w Toronto pojawiły się pierwsze przypadki choroby wśród pielęgniarek i lekarzy - większość z nich na oddziałach ratunkowych i intensywnej opieki medycznej, choć przecież właśnie tam zawsze stosowano stroje ochronne - Earl i Stewart zasiedli do narady, by ustalić, jakie dodatkowe środki ostrożności pomogłyby zapobiec podobnym przypadkom w St Paul's.

- Wyglądacie jak para dziadków z Georgii na werandzie chałupy - kpił wtedy Thomas, specjalnie podkreślając swój południowy akcent.

Earl roześmiał się i odparował:

- Domyślam się więc, że faceci z Tennessee nigdy nie wystawiają foteli na werandę?
- Wystawiają. Takich nazywamy myślicielami.
- No to siadaj z nami, panie Myślicielu, i pomóż nam kombinować.

W ciągu piętnastu minut dopatrzyli się sześciu oczywistych luk w systemie bezpieczeństwa - od nieprawidłowego zawiązywania masek po zgubne nawyki drapania się po głowie i tarcia oczu. Gdy pracowali z zarażonymi pacjentami, którzy wymagali sztucznego oddychania - w tak zwanej strefie rozpylania, jak mawiali - wystarczyło jedno kaszlnięcie, by wirus wylądował na włosach, okularach, butach, dosłownie wszędzie. Jeżeli ktoś zdjął rękawiczki, zanim pozbył się ochraniaczy z obuwia czy włosów albo jeśli ktoś zawiązał sznurowadło, zanim zdjął rękawiczki, a potem poszedł do domu i tam zdjął buty... Możliwości i kombinacji było bardzo wiele, a wszystkie mogły skończyć się tak samo: obecnością wirusa SARS na palcach.

- A wtedy dłubiesz w nosie i giniesz - mówił Thomas,

136

zaciągając po swojemu. Wystarczyło, by przekonać każdego, kto wątpił. Zdanie to stało się głównym hasłem w kampanii uświadamiającej, którą prowadzili wśród współpracowników.

Teddy Burns był najnowszym dowodem na to, że ich starania były niewystarczające.

- Jakie ma szanse? - spytał Earl, gdy Stewart przebrał się w świeży strój.
- Nie wiem.

W oczach Delorama widać było głównie znużenie, gdy sięgał po kartę Teddy'ego, wsuniętą w naścienną kieszeń tuż obok przyklejonych wyników badań.

- Słyszałeś najnowsze plotki z Ośrodka Kontroli Chorb? — spytał, opisując ostatnie zabiegi wykonane u chorego. — Ze pracownicy oddziałów intensywnej opieki medycznej i ratunkowego będą musieli pracować stale w skafandrach Strykera?

Earl zmartwił. Wszyscy przedstawiciele jego fachu w Ameryce Północnej obawiali się tej chwili.

Stewart mówił o kombinezonach z indywidualnym zapasem tlenu, takich samych jak te, których używał personel w laboratoriach wirusologicznych czwartego stopnia oraz badacze pracujący w strefach wybuchu epidemii. Rezydenci nazywali je skafandrami kosmicznymi. Earl poczuł się pokonany, gdy pomyślał, że przyjdzie mu pracować w czymś takim. Rękawice i maski być może stwarzały pewną barierę i dystans między ludźmi, ale przynajmniej mógł rozmawiać z chorymi i koić ich lęk choćby dźwiękiem własnego głosu. Ale podchodzenie do i tak przerażonego pacjenta w stroju rodem z filmów science fiction i przemawianie do niego głosem stłumionym przez hermetyczny kaptur — nie, to wystarczyło, by do reszty zniszczyć ludzki wymiar profesji, którą Earl tak kochał. Ludzie tacy jak Teddy Burns umieraliby w zupełnej izolacji, prawie nie widząc, nie czując i nie słysząc tych, którzy próbowaliby ich ratować.

137

Earl zawahał się, czując, że to nie najlepszy moment na dyskusję o jego problemach.

- Gadaj, Earl - odezwał się Stewart, nie podnosząc głosu.  
wy. - Czego chcesz?

- Przysługi w sprawie Elizabeth Matthews.

Pióro Stewarta zatrzymało się w połowie litery.

-Tak?

• Tak. Właśnie wracam z jej sekcji. Znalaziono nowotwór i żadnych niespodzianek — dodał, podając Deloramowi teczkę. - Tu masz poziomy morfiny we krwi, zapiski ekipy reanimacyjnej oraz przypuszczalną godzinę zgonu. Reszta to raporty laboratoryjne, raporty pielęgniarskie, godziny zastrzyków oraz dawki leków. A także wzrost i waga pacjentki.

• Co z tego?

• Chciałbym, żebyś obliczył rzeczywistą dawkę morfiny, którą otrzymała na krótko przed śmiercią. - W specjalistycznych podręcznikach farmakologii można było znaleźć złożone wzory uwzględniające okres półtrwania oraz standardowe współczynniki wchłaniania niemal wszystkich leków produkowanych na świecie. Dla Stewarta była to lekka, przydatna w praktyce lektura.

• Zaraz, zaraz. Sugerujesz, że ktoś podał jej więcej, niż zleciłeś?

• Krótko mówiąc... tak.

Stewart zmrużył oczy, a miejsce znużenia zajęła w nich podejrzliwość.

• Dlaczego prosisz o to akurat mnie? Mógłbyś sam policzyć.

• A Wyatt natychmiast zażądałby niezależnej analizy. Już podpalił ogień pod patologią, domagając się wyników na przyszły tydzień. Zależy mu, żeby mnie przyszpilić. I dlatego chcę, żebyś to dla mnie zrobił.

Stewart patrzył mu w oczy, a bruzdy na jego czole wygładzały się z wolna.

- Tak, oczywiście. Chętnie ci pomogę. Ale jak sądzisz,

kto mógł tak namieszać? Zbyt wielu ludzi w St Paul's zdążyłem już wkurzyć, żeby nie zastanawiać się za każdym razem, gdy znowu mam szansę kogoś obrazić.

Earl streścił mu swoją teorię na temat pielęgniarek i podwójnej dawki.

Stewart prawie się rozpromienił.

- Możesz na mnie liczyć.

Wyglądało na to, że siostra Yablonsky i jej koleżanki nie widniały na liście osób, z którymi postanowił nie zadzierać.

- A jeśli rezultat nie będzie taki, jakiego się spodziewasz? - spytał.

• Wtedy prawdopodobnie będę udupiony - odparł Earl, sposobiąc się do wyjścia. - A przy okazji: słyszałem, że dziwne rzeczy działy się na tamtym oddziale.

Zmarszczki wróciły na czoło Stewarta.

• Wyatt wspominał, że kilkoro pacjentów skarżyło się na dziwne doświadczenia z pogranicza życia i śmierci, a kiedy pielęgniarki poprosiły cię o pomoc...

- To była lipa!

- Lipa?

Część twarzy Delorama widoczna ponad maską nabrała intensywnie czerwonej barwy.

- Tak. Ci, z którymi rozmawiałem, nie mieli do czynienia ze śmiercią bardziej niż ja czy ty.

- Nie rozumiem.

• Powiedziałem Wyattowi, że prawdopodobnie jest to skutek wszystkich tych doniesień mediów na temat mojej pracy. Siła sugestii, w połączeniu z podawanymi lekami, potrafi wywołać arcyciekawe sny.

- Wyatt powiedział, że po rozmowie z kilkorgiem pacjentów oskarżyłeś go, że próbuje cię zrobić.

Stewart zsiniał.

- To niezupełnie prawda...

- A według pielęgniarek, wybiegłeś z oddziału wściekły jak wszyscy diabli.

- Wściekły? Ależ skąd. Może rozdrażniony, bo marnowali mój czas, prosząc o sprawdzenie bezwartościowych raportów.

Earl był coraz bardziej zaciekawiony. Stewart nigdy nie minimalizował takich spraw, a tym razem wyraźnie chciał przedstawić zdarzenia z oddziału opieki paliatywnej jako niewiele znaczące.

- W jakim sensie bezwartościowych?

• Opowieści były zmyślane. Zaufaj mi, analizowałem wystarczająco dużo prawdziwych raportów tego typu, by odróżnić pewne wspólne elementy. A te po prostu nie były autentyczne.

Jak na człowieka, który zawsze miał dziesięć argumentów na poparcie swojej opinii w dyskusji na dowolny temat i nie wahał się prezentować ich z szybkością karabinu maszynowego, Stewart wyrażał się tym razem dość ogólnikowo. „Zaufaj mi” brzmiało jak klasyczny unik.

- Posłuchaj, ja cię o nic nie obwiniam. Ale jeśli odkryłeś coś dziwnego na oddziale Wyatta, to chciałbym o tym wiedzieć.

Uszy Stewarta jaśniały żywą czerwienią. Odetchnął głęboko i powoli; była to jedna z technik samokontroli, których od lat usiłował się nauczyć.

- W porządku. Na początku trochę się zagotowałem i pomyślałem, że Wyatt i jego pielęgniarki namówili pacjentów, żeby spróbowali mnie nabrać, opowiadając zmyślane historie.

- Nabrać cię? A po cóż, u diabła, mieliby to robić? ...

W oczach Delorama zapłonął gniew. »

- Żeby zdyskredytować mnie i moją pracę. - Pochylił się

i zaczął mówić półgłosem z takim zapalem, że Earl poczuł się nieswojo. - Bo widzisz, gdybym dał się oszukać i włączył te raporty do materiału badawczego, wtedy mogliby ujawnić prawdę i stałyby się one amunicją dla tych wszystkich, dla których moje publikacje nie są prawdziwą nauką.

Boże, miej go w opiece, pomyślał Earl.

140

- Stewart, czy możesz mi podać jeden sensowny powód, dla którego Wyatt i całe piętro pielęgniarek z oddziału opieki paliatywnej mieliby zrobić coś takiego? Po co zadawaliby sobie trud? I jak, twoim zdaniem, namówiliby pacjentów do współpracy?

Stewart znowu odetchnął głęboko.

- Muszę przyznać, że gdy było po wszystkim, również nie dostrzegłem w tym wielkiego sensu.

Dzięki Bogu, pomyślał Earl, ucieszony, że raz jeszcze przeważała odrobina rozsądku. Ledwie.

Dla osoby postronnej Stewart był zwykłym parano-ikiem. Earl jednak wiedział lepiej. Widział w nim człowieka wystarczająco bystrego, by przewidywać zdarzenia o dwanaście kroków naprzód, dalej niż ktokolwiek inny, i dostrzegać wszelkie możliwe scenariusze, z których mogły wynikać jak najbardziej realne kłopoty. Była to wspaniała cecha lekarza z oddziału intensywnej opieki medycznej, ale trudno było tolerować ją w zwykłym życiu. Co odróżniało Stewarta od zwyczajnego wariata? To, że potrafił później - gdy się go odpowiednio zachęciło - przyznać, że być może jego prognozy, zwłaszcza te oparte na towarzyskich interakcjach z innymi ludźmi, nie były aż tak prawdopodobne, jak mu się zdawało. Wydawało się, że przemógł się i tym razem, przynajmniej jeśli chodziło o ocenę intencji Wyatta, ale Earl wyczuwał, że Stewart ukrywa coś jeszcze.

- Nie wyjaśniłeś mi, dlaczego twoim zdaniem te raporty były fałszywe - powiedział, starając się, by jego głos nie brzmiał zaczepnie.

Czerwień twarzy Delorama straciła na intensywności.

- Po prostu wiem, że były. Rozpoznaję schematy. Poza tym to nie są policzalne dane.

Gówno prawda, pomyślał Earl. Stewart potrafił policzyć czy uściślić wszystko, co było mu potrzebne do prowadzenia badań, a już na pewno wypracował schemat wyłuskiwania fałszywych danych. Earl jednak postanowił nie

141

spychać go jeszcze dalej do obrony. Pokiwał tylko głową i zaczął z innej strony:

- Nie sądzisz więc, by Wyatt coś kombinował? Uwierz mi, gdybym miał coś na niego, moja sytuacja byłaby znacznie lepsza.

Stewart odprężył się momentalnie. Usiadł wygodniej w fotelu, jego twarz odzyskała normalną barwę, a krzaczasta brew uniosła się nieco drwiąco, jakby to Earl był wariatem.

- Chciałem tylko powiedzieć, że bezsensowny był po myśl, że Wyatt zatrudniłby pacjentów i pielęgniarki do próby zdyskredytowania mnie. Ale nie myśl, że nie byłby zdolny do sabotowania pracy badawczej innego naukowca, nawet spoza jego dziedziny. Jest narwany i zgorzkniały, bo stracił węgę i nie może ścierpieć, kiedy ktoś zajmuje jego miejsce na świeczniku. — Stewart uniosł lekko głowę, jakby pozował do zdjęcia. - Zwłaszcza, gdy ten ktoś jest osobą tak kontrowersyjną jak ja.

16.00

Wszyscy badacze mieli fioła.

Wszyscy wierzyli w głębi duszy, że ich własna praca, choćby dotyczyła najmniejszego i najbardziej zapomnianego wycinka nauki, zasługuje na Nagrodę Nobla. Spory trwające całe życie, pozwy, kontrpozwy, oskarżenia o plagiat, oszustwa, kradzieże danych, samobójstwa, morderstwa - wszystko było możliwe, gdy w grę wchodziła reputacja uczonego. Dramaty ukrytych namiętności bywały wręcz legendarne, a wszystko to w ramach profesji ponoć polegającej na praktykowaniu obiektywnego rozumowania.

A Stewart godnie wpisuje się w tę tradycję, myślał Earl, maszerując w stronę windy. Miał tylko nadzieję, że płomień rywalizacji nie ogarnie całego szpitala.

Wiedział, że niektórzy wicedyrektorzy do spraw me-

142

dycznych spędzali połowę swego czasu na rozdzielaniu „primadonn” skaczących sobie do gardeł. Dziwna historia Stewarta nie miała sensu, ale jeśli była w niej choć odrobina prawdy, warto było zdusić w zarodku to, co być może rodziło się między nim a Wyattem. Może nie był to konflikt, ale jednego Earl był pewien i czuł to już w kościach: Stewart coś ukrywał.

Jazda na ósme piętro zabrała mu tym razem pięć minut. Grupki zamaskowanych pacjentów w szlafrokach i ze stojakami na kroplówki dosiadały się na każdym piętrze, głośno narzekając, że tak długo trzeba czekać na zabiegi rehabilitacyjne tego popołudnia. W zasadzie nie słuchał ich skarg, póki nie dotarło do niego, że w ramach swych nowych obowiązków powinien zająć się tą sprawą.

Monica Yablonsky zeszytywniała, gdy zbliżył się do jej biurka, i nerwowym ruchem poprawiła okulary.

• Pani Yablonsky, chciałbym zobaczyć tę listę, o którą prosiłem. Tę samą, którą dostał doktor Deloram, gdy przyszedł porozmawiać z pacjentami zgłaszającymi...

• Wiem, o której liście pan mówi, doktorze Garnet. -Pielęgniarka stanęła na baczność, jakby oczekiwała inspekcji. - Tylko że nie przyda się ona panu na wiele.

• Dlaczego?

Yablonsky nie patrzyła mu w oczy.

• Po pierwsze, było na niej tylko pięć nazwisk...

• Zatem rozmawiam z pięcioma osobami.

• Tylko że to niemożliwe.

• Dlaczego?

• Bo trzy z nich już nie żyją, a dwie pozostałe są w śpiączce. 16.25

Archiwum nie przejęło jeszcze dokumentów zmarłych pacjentów, toteż Earl mógł przejrzeć je na miejscu.

143

Dwie osoby zastrzegły, że nie życzą sobie reanimacji, a według dokumentacji medycznej nie należało spodziewać się, by przeżyły dłużej. Stan trzeciej poprawił się nieznacznie i wkrótce miała wrócić na kilka dni do domu. To dla niej ogłoszono kod. Żadne notatki w kartach chorobowych nie sugerowały niezwykłych okoliczności śmierci - tyle że całą trójkę denatów znaleziono tuż przed świtem; nie oddychali i nie mieli pulsu.

Jeśli chodzi o dwoje pograżonych w śpiączce, wystarczyło spojrzenie na ostatnie wyniki badań laboratoryjnych, by stwierdzić, w jak złym są stanie. Oboje rozpoczęli już drogę ku zaburzeniom metabolicznym, które często kończą życie pacjentów z nowotworami. Nikt nawet się nie dziwił, gdy nie można było ich dobudzić na poranny posiłek.

Earl bez słowa komentarza zwrócił dokumenty siostrze Yablonsky. Kręciła się w pobliżu, gdy je czytał, i wydawała się skrępowana jego dociekliwością tak samo jak wtedy, gdy pytał o okoliczności

śmierci Elizabeth Matthews. A niech się poci, pomyślał. Może się zdradzi, jeśli ma coś do ukrycia. Bo jeśli instynkt i zdrowy rozsądek go nie zwodziły, ktoś na pewno coś ukrywał.

- Chciałbym zobaczyć listę nazwisk pielęgniarek, które raportowały opowieści pacjentów o dziwnych przygodach ze śmiercią - powiedział.

Yablonsky przełknęła ślinę.

- To może potrwać parę dni.
- Ma pani dwadzieścia cztery godziny.

Earl zjechał na parter, stojąc z pochmurną miną w kącie windy. Żaden lekarz nie lubi zbiegów okoliczności, zwłaszcza wtedy, gdy trzeba wyjaśniać kwestie życia i śmierci. Ludzie umierają w danym momencie z bardzo konkretnych powodów. Skoro w tej sprawie pozostawały one nieznanne, zapewne przeoczył jakiś szczegół. Jak to możliwe, że w piątek pięcioro pacjentów mogło porozmawiać ze Stewartem Deloramem, a w poniedziałek żaden z nich nie mógł już z nikim zamienić słowa?

144

Niezwykłe? Może i nie, próbował sobie wmówić, odwołując się do umiejętności, którą dopracowywał przez lata: odgrywania roli adwokata diabła przed własnym instynktem. Na oddziale takim jak ten ludzie umierają każdego dnia. Ci, których śmierci spodziewano się już wkrótce, mogli zapaść w śpiączkę ostatniej nocy. Gdyby zanalizować dane każdego z pięciorga pacjentów z osobna, los tych ludzi pewnie nie budziłby wielkich wątpliwości. W każdym przypadku znalazłaby się naturalna przyczyna śmierci. A gdyby Earl spróbował twierdzić, że jest inaczej, Wyatt oskarżyłby go o wiarę w teorię spiskową i odwracanie uwagi od śledztwa w sprawie Matthews. Lecz mimo to...

Earl poszedł prosto do swego gabinetu i zasiadł przed komputerem. Używając swych świeżo nabytych uprawnień wicedyrektora do spraw medycznych, wpisał kody dające mu dostęp do dokumentów wszystkich oddziałów. Wybrał oddział opieki paliatywnej, by sprawdzić, ile osób umarło tam nocą i czy trzy niedawne zgony były poważnym zawyżeniem średniej. Takie dane nie miały wielkiego znaczenia - zdarzały się przecież bardziej i mniej tragiczne momenty. Mimo to chciał wiedzieć.

Na początek sprawdził listę zgonów pacjentów z tego ranka. Sześć osób.

Czy to dużo? Nie miał pojęcia. Sprawdził średnią z innych dni z paru ostatnich miesięcy: 2,7.

- Czyli mamy o trzy i cztery dziesiąte człowieka więcej niż zwykle - wymamrotał, irytując się w duchu na absurdalność statystycznych obliczeń. Był gotów się założyć, że zdarzały się wcześniej podobne dni - sprawdził i odnalazł jeszcze kilkanaście poranków z sześcioma i więcej zgonami.

Mimo to jednak, przez wzgląd na rachunek prawdopodobieństwa, myśl o trzech zmarłych pacjentach i dwóch w stanie śpiączki nie dawała mu spokoju.

Jeżeli prawidłowo policzył, to szanse na to, że spośród setki pacjentów oddziału opieki paliatywnej umrze akurat

145

tych pięcioro, z którymi rozmawiał Stewart, były jak jeden do dziewięciu bilionów.

To zaś oznaczało, że ktoś przyłożył rękę do ich zejścia.

Ale z drugiej strony, na oddziale takim jak ten, pełnym terminalnie chorych, nic nie działo się wedle niezmiennych reguł. Tych pięcioro mogło być akurat znacznie bliżej śmierci, niż się Wyattowi wydawało. A może Stewart, wiecznie wypatrujący obrazy majestatu, pomylił się, oceniając ich świadectwa jako fałszywe? Może chorzy naprawdę doświadczyli tego, o czym informowali, ponieważ rzeczywiście byli bliscy śmierci, a ich rychły zgon był jedynie naturalną koleją rzeczy?

Takie rozwiązanie wydawało się bardziej prawdopodobne i bardziej sensowne niż teoria o czymś świadomym działaniu.

Earl zaczął się zastanawiać nad swą pierwotną reakcją i poczuł się głupio. Możliwe, że pozwolił, by poniosła go wyobraźnia. Nie wiadomo skąd nabrał pewności, że Stewart coś ukrywa. Nie miał pojęcia, czy Wyatt coś knuje. Po prostu nie rozważył na zimno wszystkich możliwości. Jak średnio rozgarnięty student medycyny, pomyślał. Zwykle nie wysnuwał tak pochopnych wniosków. Oczywiście nie pomógł też sobie i sprawie, z góry podejrzewając Yablonsky — właściwie nie

wiadomo o co, ale o coś bardzo złego.

Mimo to jednak zamierzał przycisnąć Stewarta, i to mocno, by wreszcie powiedział mu, dlaczego ocenił rapor ty pięciorga pacjentów jako fałszywe. A gdyby pojawiła się choćby sugestia, że Wyatt próbował podważać naukową wiarygodność Stewarta lub kogokolwiek innego, Earl za mierzał dobrać mu się do skóry. Zaraz, zaraz, pomyślał. Znowu się zagalopowałem. Lepiej będzie zapanować nad chęcią wtrącania się we wszystkie sprawy. Inaczej do końca swoich dni będę odkrywał pokłady nowych świństw. Nie po to zgodziłem się zostać wicedyrektorem, żeby ści gać zmory w całym szpitalu, tylko żeby usprawnić pracę mojego oddziału.

146

Przez jakiś czas siedział nieruchomo w swoim gabinecie, chłonąc spokój tego miejsca. Osiemset łóżek i osiemset dusz; czuł, że jeśli nie będzie uważał, każda z nich może się okazać problemem zrzuconym na jego barki. I pomyśleć, że ledwie dwa dni wcześniej Jimmy oskarżył go, że zbyt mało angażuje się w sprawy całego szpitala. Earl zastanawiał się teraz, czy prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że może się w nie zaplątać zbyt głęboko i pozwolić, żeby wysały z niego całą energię. Bo gdy już wyczuwał, że coś jest nie tak, nie umiał odpuścić.

Inną kwestią było oddanie się sprawom oddziału, na którym pracował. Nieustępliwość, która kazała mu do ostatka walczyć o życie pacjenta, przejmowała nad nim władzę także i w obliczu innych kłopotów. Odruchowo rzucał się na problem jak do tamowania gwałtownego krwotoku, zanim będzie za późno. Przyjmował wyzwania i raz za razem znajdował rozwiązania. Tu wszystko działo się na taką skalę, że nie groziło mu obciążeniem ponad siły.

Usiadł wygodniej w fotelu i popatrzył na skromne wnętrze — na stalowoszare, zwykłe szpitalne biurko, dwa proste chromowane krzesła dla gości pokryte czarnym tworzywem naugahyde, samotny kwiat w doniczce, który jakimś cudem przetrwał ciasnotę i brak słońca, bo okno gabinetu miało wymiary tacy kuchennej i pokryte było grubą warstwą brudu - i roześmiał się z cicha. Dyrektor zarządzający szpitala proponował mu w związku z awansem „znacznie bardziej stosowne lokum”, ale Earl odmówił, ponieważ zawsze uważał, że jeśli oczekuje się poświęceń od podwładnych, należy zacząć od siebie. Cały kłopot polegał na tym, by i w innych sprawach udało mu się zachować podobnie zdrowy rozsądek.

Musiał starannie rozdzielić swoje sprawy. Wybrać najważniejsze i skończyć z dzikimi pogoniami nie wiadomo za czym.

Zachować właściwą hierarchię problemów.

147

A jeśli chodzi o Yablonsky, dodał w myśli... rozmówię się z nią podczas obchodów.

Ale za każdym razem, gdy przypominał sobie o niej, jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Yablonsky wyglądała na niespokojną, kiedy przeglądał dokumentację pięciorga pacjentów. To jasne, że sama jego obecność mogła ją denerwować, zwłaszcza jeśli jego teoria o podwójnej dawce morfiny dla Matthews była prawdziwa. A jednak...

Było coś jeszcze. Jej reakcja na słowo „seria”, gdy rozmawiał z nią wieczorem, jeszcze przed śmiercią Matthews.

W kontekście medycznym było to słowo często używane, choćby w odniesieniu do serii niecodziennych zdarzeń, zachorowań czy nawet symptomów. Miało więc nieprzyjemne konotacje, ale nie aż tak, by wyprowadzało z równowagi doświadczoną pielęgniarkę. Chyba że...

Earl znał i taki kontekst, w którym słowo „seria” przyprawiało go o zimny dreszcz.

Wybrał numer punktu pielęgniarskiego i poprosił do telefonu Biggsa.

• Cześć, Thomas. Chciałbym prosić, żebyś zajrzał do naszych materiałów szkoleniowych i wyszukał dla mnie pewien artykuł. To jedno z tych epidemiologicznych pouczeń co do reanimacji



krążeniowo-oddechowej, opublikowane w „New England Journal”. Pokazuję go rezydentom co roku, więc pewnie pamiętasz. - Zapewne pamięta go też większość pielęgniarek, dodał w myśli. Nie wyłączając siostry Yablonsky. Szefowa pielęgniarek prosiła go przecież nieraz, by przeszkolił jej podwładne w tej materii.

- Jasne. Jaki miał tytuł?
- „Tajemnica seryjnych zgonów w szpitalach”.

Earl odłożył słuchawkę i powrócił do przeglądania statystyk z oddziału opieki paliatywnej. Tym razem zagłębił się w materiałach dotyczące okresu znacznie wcześniejszego niż trzy miesiące.

148

Jane Simmons kupiła zestaw w aptece z dala od domu, gdzie nikt jej nie znał. Możliwe, że niepotrzebnie się wysilała, bo sprzedawczyni nawet nie podniosła głowy, wydając jej towar.

W zaciszu swej łazienki umieściła kroplę moczu we właściwym miejscu i czekała.

Za minutę wszystko miało się wyjaśnić.

Przywołała w pamięci sceny z ostatnich sześciu tygodni.

Zdarzało jej się już, że nie miała okresu. Ścisłej mówiąc, były to spóźnienia - nawet o dwa tygodnie. Tym razem przypuszczała, że wypadł jej cały jeden cykl, ale krwawienie pojawi się lada dzień. Przecież tak bardzo starannie obchodziła się z krążkiem i pianką, a do tego za każdym razem nalegała, by Thomas używał prezerwatywy. Nie przyszło jej do głowy, że mogą popełnić błąd. „Problem pojawia się wtedy, kiedy zapominamy”, zapewniała ją doktor Graceton, namawiając do rezygnacji z tych przeklętych pigułek wywołujących nudności mimo nie kończących się eksperymentów z różnymi odmianami i dawkowaniem.

Zdarzało się, że wchodził w nią znowu, budząc ją w środku nocy. Na Boga, uwielbiała, kiedy brał ją właśnie taką, na wpół śpiącą. Lecz nawet wtedy miała dość świadomości, by przypomnieć mu o zabezpieczeniu, a wkładka wciąż była na miejscu po kilku godzinach od poprzedniego stosunku, po którym zasypiali wtuleni w siebie.

Kłopot w tym, że nie używała wtedy pianki.

Trzydzieści sekund.

Spojrzała na swoje mieszkanie za otwartymi drzwiami łazienki. Już nie wydawało jej się zbyt jasne. Reprodukcje, które wybrała raczej przez wzgląd na kolorystykę niż na nazwiska autorów, wydały jej się bure i tandetne - bo przecież nie były niczym więcej niż tylko tandetnymi imitacjami. To dziwne, jak drobiazgi, które z założenia powinny poprawiać humor, tracą moc, gdy zaczynają się prawdziwe kłopoty.

Dziesięć sekund.

149

Czuła się okropnie głupio, siedząc tak na wykafelkowanej podłodze i czekając na wyrok w sprawie swej przyszłości, którego źródłem miał być ten niepozorny przedmiot potrafiący wykryć chemiczny ślad embrionu w jej łonie. Płód mógłby mieć teraz sześć tygodni. Był ledwie kulą komórek, ale tkanki już zaczynały się różnicować na komórki mózgu, serca i skóry. Objęła kolana ramionami i zaczęła kołysać się wolno, tak jak robiła to, będąc małą dziewczynką, gdy coś ją martwiło.

Tyle że wtedy problemy miały inny kaliber: zadanie domowe, chłopak, który nie chciał z nią gadać, egzaminy. Nawet zmartwienia sprzed godziny wydawały jej się mało istotne: rachunki do opłacenia, zakupy... Same drobiazgi. Jedynym poważnym kłopotem było to, co się stanie z doktorem G. To wciąż miało znaczenie.

Do diabła, co on sobie teraz o mnie pomyśli? A doktor Graceton? Była taka miła, że przyjmowała ją u siebie - bez wątplenia za wstawiennictwem doktora G.

A matka? Była wręcz ekstatycznie dumna, wiedząc, że jej córka jako pierwsza osoba w rodzinie zdobyła solidne wykształcenie i zawód, że nie spędzi życia jak ona, sprząając knajpiane stoliki, od śmierci ojca - na dwie zmiany.

A teraz coś takiego.

Jak przyjmie nowiny Arliss, jej młodszy brat? Wspólnie planowali ucieczkę z Grand Forks.

Najpierw ona miała zostać pielęgniarką, a potem on, z jej pomocą finansową, miał pójść do college'u. Odkąd dostali szczeniaka, miał bzika na punkcie zwierząt i marzył, że zostanie weterynarzem. Gdyby Jane przestała pracować, jego przyszłość ległaby w gruzach.

A przede wszystkim... co pomyślałby Thomas?

Może nie powinna nikomu o tym mówić? Tylko pozbyć się dziecka w dyskretny sposób, tak żeby nikt się nie dowiedział.

Spojrzała na kropeczkę wskaźnika.

Była niebieska jak oczy noworodka.

150

## Rozdział 8

### To samo popołudnie, 17.45

#### Biuro dyrektora zarządzającego, St Paul's Hospital

Doktor Paul Hurst rzucił na biurko artykuł, który pokazał mu Earl.

- Przecież to normalne, że umierają. To oddział dla śmiertelnie chorych.
- Mimo to uznałem, że powinieneś wiedzieć.
- Z powodu... jak to określiłeś? Spadku przeciętnej długości pobytu pacjentów z dwudziestu siedmiu dni do dwudziestu czterech, według danych z trzech miesięcy, a także wzrostu o pięć dziesiątych średniej liczby zgonów zgłaszanych każdego ranka? To znikomo małe zmiany.
- Niezupełnie. W praktyce to o czternaście zgonów więcej każdego miesiąca, przy czym wszystkie wydarzyły się nocą. Trzy miesiące wcześniej doszło do podobnej zmiany: wzrostu o mniej więcej jedenaście zgonów miesięcznie, głównie nocnych. W poprzednich latach wskaźniki utrzymywały stały poziom: na każdy dzień przypadało średnio trzy i trzy dziesiąte zgonu i tylko połowa zejść przypadała na noc.

Hurst przewrócił oczami.

— Czy ty siebie słuchasz? Gadasz jak mój makler rozta czający wizję nieistniejących zysków. Poza tym, być może przyjmujemy ostatnio pacjentów w bardziej zaawansowanych stadiach chorób i dlatego żyją krócej? Do diabła, brzmi to jak coś, z czego powinniśmy być dumni: skrócony

151

pobyt w szpitalu, lepsze wykorzystanie łóżek. Zainicjowałeś i popierałeś ten trend w całym szpitalu, żeby odciążyć oddział ratunkowy. Dlaczego nie podoba ci się on w paliatywnym?

Większość lekarzy nie miała problemu z kwestią nieuchronności śmierci i uważała zgon za rzecz równie naturalną jak życie. Earl nie słyszał natomiast nigdy, by któryś z jego kolegów wygłaszał pochwałę śmierci jako przyczynku do bardziej efektywnego wykorzystania łóżek szpitalnych. Większość lekarzy miała wystarczającą świadomość własnej śmiertelności, by darować sobie taką gruboskórność. Były jednak wyjątki.

Paul Hurst, były chirurg, po czterdziestce przeżył pierwszy atak serca i od tamtej pory - czyli od dwudziestu lat - jego cera była ziemista. Zaprzestał wykonywania zawodu i objął stanowisko wicedyrektora do spraw medycznych, wychodząc z ryzykownego założenia, że szpitalna polityka będzie mniej stresująca niż operatywa.

Mylił się.

Earl stał się jego wrogiem przed dziesięcioma laty, gdy odkrył skandal księgowy, który Hurst starał się ukryć. Wicedyrektor kilkakrotnie próbował się potem odegrać, zabiegając o zwolnienie Earla.

W ostatnich latach jednak, gdy Hurst wreszcie osiągnął upragniony cel i został dyrektorem zarządzającym St Paul's Hospital, nastąpiło między nimi coś w rodzaju czujnego zawieszenia broni. Nie

był to jeszcze oficjalny rozejm, ale raczej zgoda co do tego, że Earl Garnet potrafi odpłacać pięknym za nadobne. Z opinią tą zgadzali się zresztą wszyscy pracownicy szpitala, którzy gry o władzę obserwowali z równym zaciekawieniem jak mecze ligi baseballowej.

Ich uznanie dawało Earlowi niemałą satysfakcję.

- Jasne, że może chodzić o przyjmowanie pacjentów w bardziej zaawansowanych stadiach chorób - zgodził się, podnosząc „New England Journal” i raz jeszcze pokazując

152

Hurstowi artykuł. - Ja tylko chcę mieć pewność, że nie mamy tu własnego anioła śmierci, który skraca cierpienia pacjentów.

Raport, o którym rozmawiali, trafił w połowie lat osiemdziesiątych do wielu ogólnokrajowych gazet. Ukazał się wkrótce po tym, jak prokuratura nowojorska wystąpiła z oskarżeniem przeciwko pielęgniarce, która rzekomo truła digoksyną dzieci na oddziale pediatrycznym. Sąd oczyścił ją z zarzutów. Wkrótce potem zespół epidemiologów skontrolował kilka szpitali, w których stwierdzono serie niewyjaśnionych przypadków zatrzymania krążenia. Chcieli znaleźć sposób, który pozwoliłby na uniknięcie fałszywych oskarżeń w przyszłości, a w wypadku potwierdzenia zarzutów - szybkie i jednoznaczne ustalenie winowajcy. W każdej ze zbadanych instytucji dokonano porównania dat tajemniczych zdarzeń z grafikami dyżurów pielęgniarstw. W kilku przypadkach okazało się, że jedna i ta sama osoba miała styczność z pacjentami, którzy zmarli w podejrzanych okolicznościach. Tym sposobem doprowadzono do oskarżenia czworga seryjnych morderców, z których jeden działał nawet w dwóch stanach. Od tamtej pory każdy przypadek nieuzasadnionego wzrostu śmiertelności wśród pacjentów szpitala budzi wśród administratorów odruch nerwowego przeglądania list dyżurów.

Hurst pochwycił gazetę i postukał palcem - w ochronnej rękawiczce - w pierwszy akapit artykułu. Nawet w lateksowej osłonie palce chirurga pasowały do całej reszty jego ciała: były długie i chude.

— Proponuję, żebyś raz jeszcze przyjrzał się kryteriom, na podstawie których wysnuwasz takie insynuacje. - Hurst spojrział na Earla ponad stylowymi, małymi szklami okularów w drucianej oprawie i przeczytał: - „Podejrzenia powinny wzbudzać tylko te przypadki śmierci i zatrzymania krążenia, które zachodzą w niespodziewanym momencie lub bez związku z historią choroby pacjenta”. - Chirurg umilkł i raz jeszcze rzucił gazetę na blat

153

wielkiego i masywnego mahoniowego biurka. - Jak dotąd niczego takiego nie udowodniłeś.

- Będę dalej sprawdzał.
- Jezu! - Hurst uniósł ręce, żeby potrzeć oczy, ale widok rękawiczek powstrzymał go; poprzestał na ułożeniu piramidki z palców na wysokości twarzy.

Przez te wszystkie lata Earl widział ten gest setki razy, choć zwykle bez ochronnej odzieży. Zazwyczaj poprzedzał on jakiś wyrachowany ruch Hursta, mający na celu podcięcie skrzydeł temu, kto mu się sprzeciwiał. Earl przygotował się więc na atak, a kiedy nań czekał, uderzył go surrealizm całej tej sytuacji: oto oni, dwaj lekarze w laboratoryjnych strojach ochronnych, toczący pojedynek w zdobionym drewnem gabinecie, wyposażonym w gruby na cal dywan i zabytkowe krzesła kryte kwiecistym materiałem, o które biłoby się każde muzeum.

- Wiesz, Earl - zaczął Hurst dziwnie zmęczonym głosem - mimo tego wszystkiego, co nas dawniej różniło, ucieczyło mnie, że cię mianowano wicedyrektorem do spraw medycznych. Musisz wiedzieć, że nawet poparłem twoją kandydaturę na radzie.

Earl poczuł zimny dreszcz. Kiedy Hurst zaczyna od smarowania, trzeba się strzec, pomyślał.

- Akurat — parsknął i zaśmiał się sarkastycznie, aby zakomunikować szefowi, że nie da się nabrać na takie sztuczki.

- Mówię poważnie. Dbasz o ten cały interes tak samo jak ja. Po prostu czasem różnimy się w ocenie tego, co jest dla szpitala najlepsze.

Czyżby? Być może jest tak dlatego, że masz fioła na punkcie władzy i trochę za bardzo obchodzi cię St Paul's, a trochę za mało pacjenci, pomyślał Earl, ale się nie odezwał.

- Nie umiałem wyobrazić sobie twardszej ekipy niż ty i ja, która mogłaby przeprowadzić St Paul's przez całe to zamieszanie z SARS. Co więc powiesz na to, żebyśmy za-

154

kopali topór wojenny i razem zajęli się walką z prawdziwym wrogiem?

Hurst wstał i wyciągnął rękę nad zasypianym papierami biurkiem.

Tego Earl się nie spodziewał. Patrzył na dłoń dyrektora jak na łeb bardzo jadowitego węża.

- Daj spokój, Earl. To słuszna myśl i dobrze o tym wiesz. Jesteś najbardziej błyskotliwym i najbardziej uparłym sukinsynem, jakiego w życiu spotkałem. Nie masz pojęcia, ile moglibyśmy osiągnąć, pracując razem.

Earl z pewnym wahaniem uściśnął jego rękę.

- A teraz wróćmy do sprawy oddziału paliatywnego.

Pozwól, że cię o coś spytam: czy gdybyś nie był lekarzem zamieszany w sprawę Elizabeth Matthews, równie chętnie przeprowadzałbyś to śledztwo?

Gamet natychmiast powrócił do defensywy, czując, że jednak dał się nabrać.

- Zaraz, zaraz, przecież nie robię tego, żeby chronić własną dupę!
- Po prostu uczciwie mi odpowiedz. Tylko o to proszę. Czy naciskałbyś tak jak teraz, czy zostawiłbyś sprawę i spokojnie zaczekał na wyniki raportu posekcyjnego?

Earl zawahał się, poruszony szczerą nutą w głosie Hursta, ale wciąż nie do końca przekonany, czy nie jest to kolejna pułapka.

- Dowody na rzekome seryjne zgony są słabe. A z drugiej strony wiesz, jaki wpływ na pielęgniarce miałyby tego typu dochodzenie. Naprawdę uważasz, że potrzebne im takie zmartwienie, akurat teraz, gdy najmniejsze odstępstwo od protokołu ochrony przed SARS może równać się wyrokowi śmierci?

Earl z niechęcią musiał przyznać, że Hurst ma rację.

- Nie, chyba bym zaczekał.

- To dobrze. W takim razie zobaczymy się na spotkaniu. A przy okazji, jak się miewa Janet? Może zamierza pracować do ostatniej chwili, jak poprzednio?

155

- Jest w dobrej formie - odparł Earl. Z niespodziewaną życzliwością starego dyrektora czuł się równie nieswojo jak podczas niezliczonych starć w przeszłości.

18.50

Laboratorium patomorfologiczne znajdowało się w ślepych zaułku piwnicy, w bodaj najstarszej i najmniej uczęszczanej części szpitala. Same pomieszczenia poddano renowacji, ale prowadzącego do nich korytarza — nie. Rezydenci nazywali go „tunelem”. Nawet oświetlenie było tu z poprzedniej epoki: nagie żarówki otoczone zielonkawymi kołnierzami ochronnymi z metalu rzucały stożki żółtego światła w piętnastometrowych odstępach; przestrzenie między nimi wypełniał mrok.

Janet Graceton szybkim krokiem przemierzała ciemny korytarz. Z za ciężkich drewnianych drzwi prowadzących do kostnicy zdawała się dolatywać słaba, ale wyczuwalna i charakterystyczna woń rozkładu. Janet starała się nie zwracać uwagi na zapachy; znacznie bardziej interesowała ją płatanina rur i pajęczyn przesłaniających strop ledwie trzydzieści centymetrów nad jej głową. Nigdy nie widziała mieszkających tu pajaków, ale często się zastanawiała, czym się żywią - tu, gdzie nie fruwały

i nie pełzały żadne owady. Nie chciała wierzyć w opowieści powtarzane przez pokolenia szpitalnych techników - że ich pożywieniem są resztki ze stołów sekcyjnych i że tak dokarmiane pająki osiągają wielkość talerza. Lecz mimo to za każdym razem, gdy szła do laboratorium patomor-fologicznego, ciche odgłosy dobiegające spod sufitu zawsze wydawały jej się niepokojąco bliskie i mimowolnie przyspieszała kroku.

Minęła puste sale sekcyjne, zerkając przez otwarte na oścież drzwi na lśniące stoły z nierdzewnej stali. Tu dominował odór chemicznych środków konserwujących, który

156

bez trudu przenikał przez ochronną maskę i drażnił nos i oczy.

Kolejne kilka pomieszczeń wypełniały ławy robocze o nieskazitelnie czystych, srebrzystych blatach. Stały na nich dziesiątki mikroskopów, stopy płaskich, szerokich szuflad z rzędami szklanych płytek z preparatami oraz niezliczone regały zastawione buteleczkami odczynników i barwników w odcieniach tak papuzich, że mogłyby rywalizować z malunkami pierwszoklasisty Brendana.

Tym, którzy tu pracowali — na wcześniejszą zmianę -służyły do odkrywania tajemnic chorych tkanek i komórek.

Janet podeszła do drzwi, na których mlecznej szybie widniał napis „Len Gardner”, i zapukała.

Nikt nie odpowiedział.

Od lat miała własną kartę wstępu, bo często musiała zaglądać tu po godzinach, by odebrać gotowe raporty. Skorzystała z niej i tym razem — otworzyła drzwi i znalazła się w przedsionku, w którym zwykle siedziała sekretarka Lena. Jej także nie było; zrobiła to, co wszyscy inni rozsądni ludzie o tej porze — poszła do domu. Tak przynajmniej przypuszczała Janet, a miała ku temu podstawy, bo osobiście przyjęła na świat dwie córki i syna tej kobiety. Zdjęcia dzieci stały na pustym biurku, a ich widok obudził w Janet tęsknotę za Brendanem i — po raz milionowy - wyrzut sumienia, który prześladowuje większość pracujących matek. Nigdy nie próbowała racjonalizować swego poczucia winy. Jedyńm, przed kim powinna była się tłumaczyć, był jej syn, a słowa, którymi mogłaby może trafić do serca dorosłego człowieka, dla Brendana nie liczyły się tak jak ciepło jej ramion i dźwięk matczynego głosu.

Podeszła do wewnętrznych drzwi i znowu zapukała.

Cisza.

Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Nie spodziewała się, że zastanie Lena, ale obiecał jej, że przed wyjściem zostawi wynik badania histopatologicznego jednej z jej pacjentek. Kobieta czekała z mężem na piętrze; chciała

157

wiedzieć, czy jej nowotwór jajnika nie rozprzestrzenił się jeszcze na tyle, by Janet nie mogła go usunąć.

Wśród rozrzuconych na biurku papierów dostrzegła kopertę ze swoim nazwiskiem, opartą o stos segregatorów. Rozdarła ją, omiotła raport spojrzeniem i już wiedziała, że kobieta umrze za sześć miesięcy.

Wyszła z powrotem na pusty korytarz i ciężko oparła się o ścianę.

Nie było dla niej większego brzemienia niż przekazanie złych wieści. Zebrała w sobie siły, by udzielić chorej wsparcia. Lecz tak naprawdę najbardziej lękała się wejścia do pokoju i pierwszego spojrzenia, które złamie w małżonkach całą nadzieję. Nigdy nie nauczyła się maskować mroku, który w takich momentach pojawiał się w jej oczach. Wyływał nieodmiennie, gdy nadchodził czas ogłoszenia wyroku śmierci.

Nie narodzony syn poruszył się w jej łonie i kopnął energicznie, przypominając o swej obecności - jakby mogła o nim zapomnieć! O tej porze dnia brzuch ciążył jej już tak niemiłosiernie, jakby od rana zdążył podwoić swą wagę i objętość. Lecz ani trud, ani całe życie spędzone w służbie tysięcy ciężarnych kobiet nie mogły przesłonić cudowności takich chwil. Janet w zasadzie postanowiła już, że tym razem pójdzie na macierzyński wcześniej. Dlaczego nie? Miałyby więcej czasu dla Brendana; po jego powrocie ze szkoły mogliby razem snuć plany na nowe życie z małym braciszkiem. Wreszcie w spokoju spędziliby wieczory i weekendy - chłopiec nie zaznał jeszcze tej przyjemności w swym

krótkim życiu. Do diabła, mogłaby nawet ofiarować mu tę...

Dziwne pyknięcie i cichy brzęk szkła przerwały jej rozmyślania. Dźwięki dobiegły z głębi tunelu, ich źródło musiało się znajdować gdzieś przy drzwiach wind. Janet przyjrzała się bacznie wysepkom światła i stwierdziła, że fragment korytarza pograżył się w zupełnej ciemności.

Czyżby pękła żarówka?

158

Ponownie rozległ się odgłos tłuczonego szkła, tym razem mocniejszy, jakby pękła butelka. Za tym uderzeniem kryła się siła.

Co u diabła?

Janet odepchnęła się rękami od ściany.

- Halo? Jest tam kto? - zawołała, wpatrując się w ciemność w oddali. Nikogo nie dostrzegła.

Usłyszała za to szelest nie głośniejszy od szeptu, powielony cichym echem. Czyżby papierowe ochraniacze na buty szorowały o beton? Nie była pewna.

— Pytałam, czy ktoś tam jest!

W oddali otworzyły się drzwi dobrze oświetlonej klatki schodowej i niewyraźna postać opuściła piwnicę.

-Hej!

Drzwi zatrzasnęły się i znowu została sama.

Ktoś się o coś potknął w ciemności, pomyślała. Ktoś, kto w ogóle nie powinien tu zaglądać, sądząc po tym, jak szybko się zmył. Nieważne. Trzeba będzie zawiadomić sprzątaczkę, zanim ktoś się pokaleczy na stłuczonym szkłe.

Janet ruszyła w stronę wind, mając nadzieję, że wystarczy jej światła.

Minęła już drewniane drzwi kostnicy i zdołała się znów skupić na śmiertelnie chorej pacjentce, gdy nagle poczuła osobliwy - choć znajomy - zapach, którego nie było tu, gdy szła w przeciwną stronę. W pierwszej chwili był tylko drażniący, ale szybko napelnił jej nos i zaczął drapać w gardle.

Okropność, pomyślała, dociskając maskę do twarzy, by powstrzymać jakoś tę przykrą woń.

Ale podrażnienie trwało, a do tego zaczęły ją szczypać oczy. Zmrużyła je i zapatrzyła się w mrok, zastanawiając się, czy w taki sposób zdoła dotrzeć do wind. Zapewne tak. Nie widziała samych drzwi, ale miała wrażenie, że dostrzega łagodny blask podświetlanego przycisku ledwie kilkanaście metrów przed sobą. Wstrzymać oddech i biegiem, rozkazała sobie w duchu.

159

Po kilku krokach poczuła się znacznie gorzej. Co ten idiota rozlał? Wiedziała, że podziemne magazyny zawierają niezmierzone zapasy toksycznych płynów. Te same substancje, które tak dobrze konserwowały organy i tkanki, były śmiertelnie niebezpieczne dla żywych komórek i dlatego każda z pracujących kobiet przechodziła na urlop zdrowotny, gdy tylko się dowiadywała, że jest w ciąży.

Od przycisku windy dzieliło ją może dziesięć metrów. Zawrócić? Ruszyła przed siebie jeszcze szybciej. Jeszcze dziesięć sekund i będę bezpieczna, pomyślała. Wystarczy wstrzymać oddech na chwilę. Biegła z ręką wyciągniętą przed siebie, próbując sobie przypomnieć, skąd zna ten zapach. Kojarzył się z wonią lekarstw, był tak silny, że prawie czuła jego smak - wydawał się chłodny i gorzki. Taki znajomy, a zarazem...

O Boże!

Teraz dopiero przypomniała sobie czasy studiów, kiedy wykonywali proste eksperymenty laboratoryjne na szczurach i znieczulali je chloroformem.

Jezu Chryste, pomyślała, czując, że zaczyna jej się kręcić w głowie. W skroniach pojawił się lekki ból. Spróbowała zatrzymać się w miejscu, ale wpadła w poślizg. W pierwszej chwili sądziła, że to wina papierowych ochraniaczy na buty, ale zaraz dostrzegła w półmroku błysk posadzki zalanej płynem. W tej samej sekundzie poczuła pod stopami chrobot szklanych drobin. Wpakowała się w sam środek plamy chloroformu.

Przebierała nogami w miejscu, jak postać z kreskówki usiłująca zmienić kierunek biegu, aż wreszcie straciła równowagę i opadła ciężko na dłonie i kolana. Krzyknęła mimowolnie, wypuszczając

powietrze z płuc, ale świadomie powstrzymała się od zaczerpnięcia tchu. Czuła w rękach dotkliwy ból, a pod cienkim lateksem rozlewały się już czerwone plamy podobne do płatków kwiatów. Moje dłonie! Dla chirurga dłonie są równie ważne jak dla pianisty. Instynktownie poruszyła palcami, sprawdzając, czy

160

ścięgna nie zostały przecięte. Czuła, że za chwilę zemdleje - nie pod wpływem chloroformu, ale z braku powietrza w płucach. Spojrzała na lśniące drobiny wystające z rozciętej skóry, ale musiała na razie je zostawić.

Chloroform, podobnie jak eter, jest niezwykle lotny, paruje błyskawicznie i równie szybko przedostaje się do krwioobiegu, jeśli zostanie wciągnięty do płuc. Janet wiedziała, że jeśli nie wydostanie się z tej kałuży, epicentrum usypiających oparów, będzie w niej spać. A dziecko wraz z nią.

Podniosła się niepewnie, brocząc krwią z pociętych dłoni. Rozstawiła szeroko nogi, jakby szła po lodzie, i ostrożnie ruszyła w stronę pokoiów, które nie tak dawno opuściła.

Była pewna, że tam stężenie oparów będzie znacznie mniejsze i będzie mogła zadzwonić po pomoc. Byle nie oddychać. Jeszcze przez kilka sekund.

Najbardziej lękała się o dziecko. Nawet jednorazowy kontakt z chloroformem, jeśli tylko jego stężenie we krwi osiągnie wystarczająco wysoki poziom, może się skończyć uszkodzeniem nerek i wątroby płodu.

Janet poczuła mdłości.

O Boże, nie! Opary najwyraźniej trafiły już do jej krwioobiegu. I dziecka.

Posadzka wydała się jej mniej śliska; Janet zaczęła biec w stronę bezpiecznego gabinetu. Dziwiło ją tylko, że opary są wciąż mocno skoncentrowane: szczypały w oczy, w nos i w gardło. Ktokolwiek to był, musiał rozbić kilkuli-trowy pojemnik!

Obraz przed jej oczami rozmył się nagle.

Nie mogę tu zemdleć!

Potknęła się.

Dotarła do pierwszych drzwi.

Ciężkie i drewniane, zdawały się wisieć w głębi czarnej dziury. Miały zamek elektroniczny, jak wszystkie drzwi w pracowni patomorfologicznej. Czy karta zadziała?

161

Janet wyłowiła ją z kieszeni, wsunęła do szczeliny i pociągnęła uchwyt z nierdzewnej stali, która wywołała .skojarzenie ze starą lodówką matki.

Drzwi się otworzyły.

Chłodne powietrze opłynęło ją i wdarło się do płuc. Wszechobecne opary, które podążały za nią aż tu, również wypełniły jej pierś. Tym razem poczuła się tak, jakby wciągnęła żywy ogień.

Zakreśliło jej się w głowie.

Zdołała dać jeszcze krok naprzód, do wnętrza kostnicy, dziwiąc się srebrzystej mgiełce własnego oddechu, a potem kolana ugięły się pod nią i osunęła się w ciemność. Wciąż jednak słyszała.

Głośny trzask za plecami.

Tak zatrzaskiwały się drzwi w lodówce u matki.

19.00

Earl spojrział na zegarek i zaklął. Miał wyjść już pół godziny temu, ale gdy wrócił od Hursta, na biurku czekało już kilkanaście teczek z krótką notatką od Michaela Popovitcha.

„Dasz wiarę?” - napisał Popovitch.

Earl nie mógł uwierzyć.

W każdym wypadku, który opisano w papierach, któryś z rezydentów popełnił coś, co mogło się okazać poważnym błędem w sztuce. Pięć przeoczonych złamań, trzy nierozpoznane zapalenia płuc,

cztery przeoczenia niepokojących wyników elektrokardiografii. Na szczęście Michael w lot wychwycił wszystkie pomyłki.

Lipcowe nerwy, pomyślał Earl, podpisując wszystkie dwanaście raportów. Zapamiętał jednak, że rano trzeba będzie poprosić Thomasa, żeby urządził młodszym kolegom seminaria i uzupełnił luki w ich podstawowej wiedzy.

162

Earl sięgnął po słuchawkę i wybrał numer domowy, spodziewając się usłyszeć bardzo zniecierpliwioną Janet, domagającą się jego rychłego powrotu.

Odezwiała się gospodyni. Nie miała żadnych wiadomości od Janet.

Dziwne.

- Cześć, tatusiu - powiedział Brendan, gdy oddała mu słuchawkę. - Kiedy wrócisz?
- Za dwadzieścia minut.
- Obiecujesz?
- Obiecuję.

Janet musiała utknąć w porodówce. Earl wybrał numer ginekologii, który znał na pamięć.

- Przykro mi, doktorze Garnet, ale nie ma jej tu. Nie widziałam jej od paru godzin.

Zatelefonował do centrali.

- Próbujemy wywołać jej pager od dwudziestu minut, doktorze Garnet. Na oddziale czeka na nią pacjentka.

Bardzo dziwne.

- Chce pan, żeby do pana oddzwoniła, kiedy już ją namierzemy? - spytał telefonista.
- Tak, proszę.

Gdzie ona mogła zniknąć?

Wstał, przeciągnął się i podniósł z podłogi teczkę. Może jest już w drodze do domu, pomyślał, choć bardzo wątpił, by zapomniiała o pacjentce.

Spróbował jeszcze wywołać jej telefon komórkowy.

- Zrealizowanie połączenia jest w tej chwili niemożliwe...

Rozłączył się. To nagranie oznaczało, że wyłączyła telefon i najprawdopodobniej nie opuściła jeszcze szpitala.

Nie było powodu, by oboje siedzieli po godzinach.

Wyłączył światło i wyszedł z gabinetu. W nogach i plecach czuł solidne zmęczenie. Noszenie dodatkowej odzieży ochronnej i oddychanie przez maskę potęgowały zmęczenie.

163

- Nie było tu Michaela? - spytał, w drodze do wyjścia zaglądając do pokoju pielęgniarek. Chciał podziękować czujnemu przyjacielowi za dwunastokrotną interwencję w obronie czyjegoś zdrowia.

Nikt nie widział Michaela od godziny.

- Chryste, wszyscy naraz postanowili zniknąć - mruknął.

Znalazł go w biurze, pochylonego z ponurą miną nad czymś, co z daleka wyglądało na akt zgonu.

- Hej, Michael, zbieraj się do domu. Wystarczy tego grzebania w papierkach. Żona i syn są ważniejsi.

Donna, wesoła kobieta starsza od niego o pięć lat, oraz Terry, ruchliwy dzieciak o pół roku młodszy od Brendana, byli opoką dla Michaela Popovitcha. Miał bzika na punkcie pracy, ale za nimi szalał jeszcze bardziej.

Skóra wokół oczu Michaela zmarszczyła się, co musiało oznaczać uśmiech, ale smutne spojrzenie zdradzało, że był to raczej wymuszony grymas. Popovitch nieznacznie przesunął rękę, tak by zasłonić górną część dokumentu, który wypisywał.



- Dobrze się czujesz, Michael?
- Jasne. A co?
- Nie wyglądasz za dobrze.
- Prześpię się i będę jak nowy.

Brzmiało to mniej więcej tak przekonująco jak obietnica dworcowego ćpuna, że od jutra będzie grzeczny.

Earl wpatrywał się w niego z uwagą. Michael uparcie powtarzał, że nie dzieje się z nim nic złego, bez względu na to, jak często Earl zadawał mu to samo pytanie. Coś go gryzło, ale wołał milczeć lub wskazywać na SARS jako dodatkową przyczynę stresu. Oczywiście mogło być i tak. Tylko że Earl wiedział, że jego przyjaciel prędzej poszedłby na kanałowe leczenie zęba, niż zwierzył się z osobistego problemu. Jak większość lekarzy, choć zawsze gotowy nieść pomoc chorym i potrzebującym, szukanie pomocy dla siebie uważał za porażkę.

164

- Chryste, Michael, czy możesz wreszcie przestać pieprzyć i powiedzieć mi, co się dzieje? O czym ty mówisz?

- Jezu...
- O Jezusie?
- Do diabła, ależ z ciebie uparty idiota! A przy okazji, dzięki za ocalenie oddziału przed diagnozami pierwszo-rocznych. Po raz milionowy, jeśli dobrze liczę.

Michael ponownie zmrużył oczy, tym razem w bardziej przekonującej próbie uśmiechu, a z jego pękatej piersi wydobył się chichot.

- Proszę bardzo.

— Ale jak to śpiewają w piosence, „Komuś musisz po wiedzieć”.

Michael podniósł z biurka książkę i udał, że chce nią rzucić.

— Dobrze już, dobrze! — Earl zamknął drzwi i energicznym krokiem ruszył w stronę wyjścia, przy którym dokonywano selekcji pacjentów.

Co gryzło Michaela? Czy po latach patrzenia na ludzkie istoty zredukowane do kupy mięsa, krwi i innych płynów dotarł do kresu wytrzymałości? Taki stan prędzej czy później ogarniał każdego z lekarzy oddziału ratunkowego. Earl zbyt wielu kolegom doradzał w tej sprawie, by nie wiedzieć, że tak właśnie jest. Ale ofiary wypalenia miały to specyficzne, udęczone spojrzenie, które mówiło, że nie mogą zapomnieć pewnych obrazów, nie mogą się od nich uwolnić. W spojrzeniu Michaela było coś innego, jakaś ostrożność, czujność, jakby wciąż czegoś wypatrywał. I dlaczego próbował ukryć to, co pisał w akcie zgonu?

Earl zostawił odzież ochronną w koszu przy drzwiach i wyszedł na świeże powietrze. Chłodny letni wiatr przyniósł zapach jeziora. Jak zawsze poczuł ulgę, porzucając kilogramy przepeconego materiału. Czuł się tak, jakby się uwolnił z kokonu martwej skóry.

Wyjeżdżając z parkingu, zobaczył zieloną mazdę ka-

165

briolet, świetny rocznik 1990, należąca do Janet. Wóz, którym lubiła jeździć latem, stał na zwykłym miejscu. Rozczarowanie natychmiast zmiotło krótkotrwałą radość Earla. Nie po raz pierwszy buntował się przeciwko tyranii położnictwa, ale już dawno zaprzestał otwartej walki. Tym razem pocieszyła go myśl, że tego wieczoru przynajmniej jedno z rodziców ułoży Brendana do snu. Z tą myślą popędził w stronę domu.

Obudził ją chłód.

Zmusiła się do mrugnienia powiekami, ale absolutna ciemność nie ustąpiła. Walczyła, by otrząsnąć się z senności, która nie chciała jej opuścić. Bez zmian. Wciąż otaczała ją głęboka czerń, jakby wcale nie otworzyła oczu. Ale przecież były otwarte. Janet czuła też ból głowy, a przykry, kwaśny smak w gardle przyprawiał ją o mdłości.

Chloroform!

I coś jeszcze.

Zapachy wypełniły jej głowę, aż wreszcie sobie przypomniała. Zerwała się na nogi, zachwiała mocno i natychmiast pożałowała tak nagłego ruchu. Wyciągnęła ręce ku ciemności, mając nadzieję, że napotka coś, o co będzie mogła się oprzeć. Wyczuła lewą dłonią sztywny kontur otwartych ust, nosa i policzków, doskonale odznaczający się pod folią.

- Cholera! - wykrzyknęła, ale nie cofnęła dłoni z twarzy nieboszczyka, by nie wpakować się w coś jeszcze mniej przyjemnego.

Zawroty głowy uspokoiły się po chwili. Odwróciła się w stronę zwłok, zamierzając po omacku odnaleźć drogę wzdłuż półki, na której spoczywały, aż do samych drzwi.

Jak długo tu leżała? I dlaczego smród chloroformu po został tak silny? Miała wrażenie, że znowu zaczyna ją usy piąć, choć przecież drzwi kostnicy powinny były zatrzymać większość...

166

Upadek!

Ubranie musiało nasiąknąć chloroformem. Chłód kostnicy spowolnił parowanie na tyle, że opary nie uśpiły jej na długo, ale Janet wiedziała, że musi się jak najszybciej przebrać i wykapać, zmyć z siebie tę substancję do końca, bo inaczej dziecko...

Pragnienie wydostania się stąd przyćmiło wszystko inne.

Przekłete trupy, pomyślała. Po omacku przesunęła się obok czegoś, co musiało być czaszką z obciętym wierzchołkiem, pokonała przerwę i odnalazła stopy i nogi innych zwłok. Korpus, szyja, głowa i znowu stopy.

Znieruchomi ała.

Nie mogła być aż tak daleko od drzwi. Widocznie posuwała się w głąb kostnicy. Mamrocząc kolejne przekleństwa i próbując oddychać możliwie płytko, zawróciła, by tą makabryczną trasą podjąć nową wędrówkę.

Po paru sekundach dotarła do ściany. Krok w lewo i dotknęła framugi. Sekundę później naciskała klamkę.

Drzwi nie ustąpiły.

Cholera!

Spróbowała jeszcze raz.

Nk.

Jak to możliwe, że się zatrasnęły?

Nacisnęła całym ciężarem ciała.

Bez efektu.

To niemożliwe, pomyślała, próbując zachować spokój. Z każdą sekundą było jej coraz zimniej; narastały też nieznośne zawroty głowy wywołane anestetycznym odurzeniem. W każdej chłodni, w której zdarzyło jej się przebywać, drzwi były wyposażone w metalowy dysk, który pozwalał otworzyć je, gdyby ktoś zatrasnął się w środku. Tu przecież nie mogło być inaczej. Janet macała ścianę wokół drzwi, ale nie znalazła niczego takiego.

Cofnęła się i zmusiła do chłodnej analizy sytuacji. Nie było to proste, kiedy jej umysł wciąż znajdował się pod

167

wpływem chloroformu. Przede wszystkim więc musiała pozbyć się tych oparów. I znaleźć źródło światła.

Znowu poczuła mdlący smak na języku.

Najpierw opary.

Ściągnęła zewnętrzny fartuch, bluzę i spódnice. Rzuciła wszystko w głąb długiego, wąskiego pomieszczenia, uznając, że im dalej się znajdują, tym lepiej. Ubranie pod spodem było suche; czym prędzej ściągnęła halkę, zwinęła w kulkę i przycisnęła ją sobie do maski, powstrzymując przenikanie oparów co najmniej o połowę.

Teraz światło, pomyślała.

Wolną ręką zaczęła obmacywać ściany w poszukiwaniu włącznika, ale nie znalazła go. Musiałam przegapić, stwierdziła. Odrzuciła halkę i spróbowała obiema rękami, metodycznie przesuając dłonie po murze, dzieląc go na kwadraty o polu kilkudziesięciu centymetrów kwadratowych.

Opary znów zaczęły działać na jej nos, oczy i umysł.

Postanowiła pozbyć się tego problemu na dobre. Raz jeszcze zakryła twarz halką, uklękła i na czworakach ruszyła w głąb sali. Gdy odnalazła porzucone ubranie, wstała i sięgnęła w tę stronę, gdzie powinny być leżeć najbliższe zwłoki. Podeszła do nich z wyciągniętą ręką.

Jej palce otarły się o plastikowy wór. Opuściła ramię i wyczuła pod dłonią charakterystyczne kikuty rozciętych żeber. Przesunęła rękę w stronę głowy denata, omijając ostre odłamki kości, które pozostały po usunięciu mostka, i odnalazła końcówkę suwaka. Otworzywszy go, wypuściła słodkawą woń rozkładu, która wcześniej była tylko nieszkodliwym tłem. Oto skutki obecności cukru w ludzkim ciele, pomyślała, próbując zbagatelizować moc fetoru przez odwołanie się do nauki; nieraz stosowała tę sztuczkę w sali porodowej, by nie myśleć o mniej przyjemnych woniach. Często przetykała ślinę, co pozwoliło jej nie zwymiotować. Wcisnęła mokre ubranie do wnętrza worka.

- Przepraszam - powiedziała do martwego pacjenta,

168

zanim na powrót zapięła zamek. Dźwięk był taki sam jak przy zasuwaniu zamka w zabawkowym namiocie Bren-dana.

Zanim wróciła do drzwi, mogła już oddychać bez halki w charakterze filtra. Powróciła też do poszukiwania włącznika.

Już prawie straciła nadzieję, gdy wyczuła w końcu pła-ski, nieco wystający ze ściany prostokąt. Nie było w nim jednak galki i pewnie dlatego przeoczyła go za pierwszym razem.

- Proszę, zadziałaj - mruknęła do siebie, naciskając prostokąt palcami. Przechylił się nieco i światło zalało wnętrze kostnicy.

Rzędy lśniących, szarych kształtów w półprzezroczystych workach, przez które można było rozróżnić rysy twarzy, sprawiły, że zapragnęła znowu zgasić światło.

Nie ma czasu na wybrzydzenie, powiedziała sobie w duchu i powróciła do drzwi, tym razem szukając mechanizmu zamka.

Zobaczyła go natychmiast. Nie był to dysk, który spodziewała się ujrzeć, tylko zamek elektroniczny ze szczeliną na kartę.

Kartę, którą zostawiła w identycznym zamku po drugiej stronie.

Teraz dopiero poczuła w żołądku prawdziwe ukłucie paniki.

Kiedy ktoś zostawił kartę w szpitalnym zamku, system bezpieczeństwa już po paru minutach dezaktywował pasek magnetyczny i blokował mechanizm, by uniemożliwić skorzystanie z karty przypadkowemu znalazcy.

Zimne powietrze wydało jej się lepkie; czuła ucisk w piersi, narastający aż do punktu eksplozji.

Nie mogła przecież tu utknąć na zawsze. Nie ona. Nie doktor Janet Graceton w trzydziestym piątym tygodniu ciąży. Nie mogła zamarznąć na śmierć w przeklętej kostnicy własnego szpitala.

169

A jednak właśnie na to się zanosilo. Chyba że w miarę szybko znajdzie się rozwiązanie.

Zaczęła drżeć.

Telefon! Poszukać telefonu! Własną komórkę zostawiła w samochodzie, jak zawsze, ale może mieli tu naścienny aparat, gdzieś za regałami, specjalnie dla ludzi na tyle głupich, że sami zatraskiwali się w chłodniach...

Szybkie przeszukanie rozwiązało jej nadzieję.

Na tyłach pomieszczenia znalazła za to coś, co wyglądało na termostat. Gdyby udało jej się podwyższyć temperaturę, może gdzieś uruchomiłby się alarm? Po bliższych oględzinach doszła do wniosku, że urządzenie jedynie mierzy temperaturę i że nie da się go zresetować. Wciąż jednak mogła mieć nadzieję, że wzrost temperatury włączy system alarmowy.

Zdarła z twarzy maskę i wraz z halką owinęła ją wokół czujnika, tworząc coś na kształt gniazda.

Zwinęła ręce w tubę i zaczęła chuchać. Temperatura na cyfrowym wskaźniku natychmiast skoczyła o kilka stopni.

Chuchała uparcie, obserwując, jak z każdym oddechem zmieniają się wskazania termometru, aż wreszcie znowu poczuła zawroty głowy, ale tym razem z powodu hiper-wentylacji. Nie przeszkadzała jej świadomość, że zdjęła maskę z twarzy: nie spodziewała się, by w najbliższym czasie ktoś w tym pomieszczeniu kichnął czy zakaszał.

Chuchała jak szalona, z determinacją bardziej pragnąc ocalić nie narodzonego syna niż siebie samą.

Jego dom - jej wielki, biały brzuch - lśnił wilgocią w chłodzie kostnicy.

Janet z coraz większą wściekłością myślała o tym, kto jej... i jemu to zrobił.

- Wiedział, sukinsyn - powtarzała na głos, by nie szczekać zębami. - Słyszał, jak krzyknęłam, a mimo to uciekł. Jeśli tylko stąd wyjdę, to Bóg mi świadkiem, że ktokolwiek to był, zapłaci mi za to.

170

19.45

Susanne Roberts czekała na Earla przy wjeździe dla karet, z kompletem ubrań ochronnych w dłoni.

• Wyczułyśmy z panią Quint zapach tych oparów, gdy zjeżdżałyśmy windą, wracając z narady pielęgniarek. Powiedziała, że kojarzy jej się ta woń z eterem z dawnych lat, kiedy jeszcze pracowała latem w szpitalu w jej rodzinnym mieście, jako wolontariuszka.

• Jesteś pewna, że Janet nic się nie stało? - spytał, ubierając się w pośpiechu.

• Nic, tylko tak wścieklej jeszcze jej nie widziałam. Upiera się, że ten, kto upuścił butle, zostawił ją na dole celowo.

I tak ściśnięty żołądek Earla stwardniał jeszcze bardziej.

- Ma powierzchowne rany dłoni, ale trzeba powiedzieć, że ślady krwi na posadzce i odcisk dłoni na drzwiach kostnicy prawdopodobnie ocaliły jej życie...

Earl wciągnął lateksowe rękawiczki i pobiegł przez salę selekcyjną, słuchając opowieści Susanne i zawiązując maskę. Telefon zadzwonił ledwie dziesięć minut po jego powrocie do domu. Powrotna podróż do szpitala zabrała mu kolejne siedem minut, a trzy dodatkowe - kłótnia z policjantem, który najpierw go zatrzymał, a następnie eskortował na sygnale aż do bram szpitala.

Usłyszał Janet, gdy tylko minęli wewnętrzne drzwi.

- Nic mi nie jest, do cholery!

Pokój reanimacyjny był pełen ludzi, tłoczących się wokół stojącego pośrodku łóżka, na którym siedziała Janet. Ramiona buntowniczo skrzyżowała na piersi, a oczami błyskała gniewnie znad maski, złorzecząc głośno każdemu, kto próbował jej dotknąć.

Earl uspokoił się nieco i rozejrzał uważniej po pokoju.

Susanne wezwała bodaj wszystkich, kogo tylko się dało. Najbliżej Janet stali anestezjolog i troje położników z prze-

171

nośnym aparatem dopplerowskim. Tuż za nimi znaleźli się Stewart Deloram i Michael. Dalej wianuszek rezydentów, gotowych pobrać krew i przeprowadzić cały wachlarz badań - zwykle reagowali w ten sposób, gdy nie mieli pojęcia co należy robić. Trzeba przyznać, że Thomas zachowywał się rozsądniej: stał z boku i starał się powściągnąć zapędy młodszych kolegów. Pojawił się nawet Paul Hurst. Krążył w pobliżu i ułożywszy palce w ulubioną piramidkę bębnił nimi o maskę. Pewnie się boi, że sława szpitala może ucierpieć, pomyślał Earl, przepychając się przez tłum. Wreszcie go zauważyła.

• Earl! Dzięki Bogu. W tej chwili powiedz tym wszystkim ludziom, że mają mnie stąd wypuścić.

• Oczywiście - odparł, chwytając jej wyciągniętą rękę. - Gdy tylko lekarze, którzy cię badają, stwierdzą, że nic ci nie grozi.

Rezydenci umilkli natychmiast, czując nad sobą silną władzę. W oczach kolegów Janet pojawił się wyraz ulgi. Anestezjolog rozluźnił spięte ramiona, a Michael mrugnął porozumiewawczo do Earla. Nareszcie ktoś dorosły przejął dowództwo, zdawali się mówić. Nawet Stewart patrzył na niego z aprobatą, dyskretnie unosząc kciuki do góry.

Janet jednak nie była zadowolona.

• O czym ty mówisz, Earlu Gamecie? Badanie dopplerowskie wypadło dobrze, więc nie zamierzam tu zostać ani sekundy dłużej. Poinformuj wszystkich, że jedziemy do domu.

• Michael jest tu lekarzem dyżurnym, kochanie. - Earl przemówił zdecydowanie, znając prawdziwą przyczynę nierozsądnego zachowania Janet. Zawsze wiedział, kiedy się czegoś naprawdę bała: zaczynała wtedy wydawać polecenia, jakby w ten sposób mogła odzyskać władzę nad światem, który ją przeraził. Gdyby coś groziło dziecku, wzięłaby pod swoje rozkazy choćby i cały szpital. - Po badaniu natychmiast pojedziemy, obiecuję - powiedział i żeby

172

dodać jej otuchy, uściskał delikatnie jej rękę, pamiętając o ranach ukrytych pod lateksem.

Spojrzała na niego ponuro i buntowniczo.

Uśmiechnął się, choć wiedział, że nie widzi jego ust; miał nadzieję, że oczy nadadzą wystarczająco jasny komunikat.

- Nie wyjdę stąd bez ciebie, zaufaj mi - szepnął, pochyłając się nad nią i dotykając czołem jej czoła.

Spojrzenie Janet złagodniało.

• Dobrze, będę grzeczna - odpowiedziała cichszym, ale wciąż pełnym napięcia głosem.

• Brawo, Janet - wtrącił Michael, stając obok i uśmiechając się oczami. - Powiedziałbym, że pewnie masz rację i nic ci nie jest — dodał, unikając błędu zwracania się wprost do Earla, tak jakby Janet nie było w pokoju. W jego głosie było ciepło i otucha, na które zawsze mogli liczyć jego pacjenci. Nie było natomiast ani śladu udreki, którą Earl dostrzegł wcześniej. - Gdyby twoje omdlenie było skutkiem działania chloroformu, potrwałoby znacznie dłużej. Myślę więc, że możemy spokojnie założyć, iż było ono raczej konsekwencją długotrwałego wstrzymania oddechu.

Wstrzymanie oddechu istotnie mogło spowolnić pracę serca, a to z kolei oznaczało spadek ciśnienia krwi i nagłą utratę przytomności.

• Otóż to, Michael - odpowiedziała Janet. - Zatem możecie mnie stąd wypuścić.

• Zgoda, ale chyba pozwolisz na jedno badanie krwi? Sprawdzimy poziom chloroformu.

Janet spojrzała na niego pytająco.

- A nie został już rozłożony?

- Jeśli nie będzie ani śladu chloroformu we krwi, uznamy, że wchłonęłaś nieznaczną ilość. Jeśli jednak coś zarejestrujemy, choćby najniższe stężenie, to znając w przybliżeniu czas wchłonięcia, możemy obliczyć maksymalną dawkę, jaka znalazła się w twoim krwiobiegu. Tak czy inaczej, będziemy spokojniejsi.

173

Pod warunkiem że będzie to dobra wiadomość, uzupełnił w duchu Earl. Musiał jednak przyznać, że Michael mówi rozsądnie.

Janet również wyglądała na przekonaną.

- Zgoda, ale tylko jedno badanie - powiedziała, spoglądając po twarzach rezydentów. - I bez obrazy, ale wy macie jeszcze trochę za dużo zapału do pracy z igłami. Niech Michael czyni honory - dodała, wyciągając dłoń niczym księżniczka oczekująca pocałunku w rękę.

Popovitch uśmiechnął się jeszcze cieplej kącikami oczu i sięgnął po opaskę uciskową.

- Czy wszyscy zgadzają się na ten plan? - spytał, spoglądając zwłaszcza na anestezjologa i troje ginekologów-

-położników.

Zgodnie skinęli głowami.

Pocziwy stary Michael, jak zawsze skrupulatny i potrafiący nakłonić wszystkich do współpracy, pomyślał Earl.

- Chwileczkę — wtrącił Stewart. — Przecież mogło dojść do uszkodzenia wątroby albo nerek, może nawet jednego i drugiego, nie mówiąc już o tym, że nie możemy ustalić, czy plód...

- Jestem pewien, że nie będzie to miało znaczenia, jeśli nie odkryjemy we krwi wysokiego stężenia chloroformu - odparł Earl i stanowczym gestem pochwyił Stewarta pod łokieć, by odprowadzić go na bok. - Co ty wyrabiasz, do ciężkiej cholery? - spytał natarczywym szeptem, gdy dostatecznie oddalili się od łóżka. Brak wrażliwości Stewarta wyprowadził go z równowagi. - Wszyscy znamy zagrożenia, a już zwłaszcza Janet. Umiera ze strachu i bez twojego ponurego krakania. A może próbujesz przerazić ją na śmierć?

Krzaczaste brwi Stewarta uniosły się wysoko, ku granicy włosów, których nie pomieściłaby chyba żadna czapka. Wpatrywał się w Earla z niedowierzaniem, jakby naprawdę nie rozumiał, o co tyle hałasu.

174

— W porządku, nie musisz mi zaraz urywać głowy z tego powodu. Próbowałem się na coś przydać, do kurwy nęczy. — Deloram wyrwał ramię z rąk Gameta i jak burza wypadł z pokoju.

Earl zapanował nad sobą i nie pobiegł za nim - wcale nie był pewny, czy nie udusiłby drania za tę jego bezmyślność, a już na pewno nie miał nastroju na łagodzenie sporu, który mógł się przerodzić w urazę na całe życie. Miał w tej chwili na tyle dosyć Stewarta, że i tak nie miałyby to sensu. Poza tym żadna siła nie okiełznałaby temperamentu Delorama, póki on sam by trochę nie ostygł. Earl postanowił, że pogada z nim nazajutrz. Może uda się wtedy uzyskać jaśniejsze zeznanie w sprawie pacjentów Wyatta.

- Earl, możemy zamienić słowo? — odezwał się Hurst, podchodząc z boku. Tym razem on wziął Gameta pod ramię i poprowadził do kąta. Gładki ton CEO wystarczył, by zmrozić atmosferę. - Chodzi mi o to uparte twierdzenie Janet, że ktoś upuścił butlę z chloroformem i celowo zostawił ją samą w niebezpieczeństwie - zaczął, nie patrząc w stronę łóżka. - Czy mógłbyś przekonać ją, żeby uznała to zdarzenie za zwykły wypadek? Obaj przecież zgadzamy się z opinią, że wszyscy są już dostatecznie wystraszeni z powodu SARS. Nie potrzebujemy plotek o kimś, kto rzekomo biega po szpitalu, celowo godząc w życie...

- Moja żona jest najbardziej trzeźwo myślącą, nieustraszoną i nie ulegającą hysterii osobą, jaką znam - przerwał mu Earl, głosem cichym i lodowatym, choć po utarczce ze Stewartem wprost gotował się w środku. Nachylił się wprost nad uchem Hursta. - Jeżeli twierdzi, że ktoś celowo zostawił ją w niebezpieczeństwie, to właśnie z taką sprawą mamy do czynienia, rozumiesz? To oznacza, że nie będzie żadnego zmiotania brudów pod dywan. Co więcej, jeśli dostanę tego łajdaka w swoje ręce, to ani ty, ani nikt inny z personelu nie będzie już musiał martwić się o szkody, jakie mógłby jeszcze poczynić.

Hurst spojrział na niego spod uniesionej brwi.

175

- Doprawdy, Earl, spodziewałem się po tobie bardziej wyważonej i dojrzałej odpowiedzi. Proponuję, żebyś poćwiżył sztukę dostrzegania szerszego kontekstu.

Earl pochylił się nad drugim uchem Hursta, jakby wykonywał namiętne francuskie powitanie.

- Paul, powiedzmy sobie tylko, że do osób próbujących skrzywdzić Janet czuję to samo, co ty czujesz do osób działających na szkodę tego szpitala.

Hurst cofnął się chwiejnie o krok.

- Rozumiem - mruknął, marszcząc czoło. - Oczywiście mógłbyś...

- Janet! - rozległ się krzyk Lena Gardnera, który właśnie wpadł do pokoju, powiewając tasiemką nie do końca zawiązanej maseczki chirurgicznej. - Co ja słyszę o jakichś typach, którzy cię duszą chloroformem w pobliżu kostnicy?

Hurst usztywnił się natychmiast, ale nie odwrócił. Zachował spokój i założył ręce na plecach, jak gospodarz, który usłyszał niezbyt miłą uwagę od jednego z gości przyjęcia koktajlowego.

Earl dał patologowi sygnał, żeby poprawił maskę.

- Len — odpowiedziała Janet. - Oto i człowiek, któremu chciałabym zadać pytanie. Właściwie po co trzymacie tam zapas chloroformu? I kto u diabła mógłby włączyć się korytarzami z wielką butlą tego świństwa?

- Właśnie to jest najdziwniejsze - odparł zdecydowanie Len. Rozmowy ucichły i wszyscy słuchali teraz tego, co miał do powiedzenia. - Prawie nie używamy chloroformu, a jeśli już, to tylko do roztworu Carnoya, żeby przyspieszyć zestalenie tkanek. Ale nawet wtedy nikt nie potrzebuje całej butli.

Jego rozmowie z Janet na temat dziwnego ciągu zdarzeń przysłuchiwali się z wielką uwagą przedstawiciele trzech najbardziej rozplotkowanych grup w St Paul's: rezydenci, pielęgniarki i lekarze.

- Widzisz? - odezwał się cicho Hurst, przewiercając

176

Earla wzrokiem. — Takie tanie sensacje nie przyniosą nam żadnego pożytku. — Pokręci! głową z pełną smutku dezaprobatą, jakby to Earl był osobiście odpowiedzialny za przebieg rozmowy toczącej się w pokoju, i wyszedł.

Dopiero teraz Earl zauważył, że długie palce prawej dłoni chirurga zacisnęły się w pięść.

## **Wtorek, 8 lipca, 2.30**

### **Oddział opieki paliatywnej, St Paul's Hospital**

Sadie Locke drgnęła i usiadła na posłaniu.

- Ojciec Jimmy?

Leżała z zamkniętymi oczami, czekając na jego wizytę, i właśnie wtedy usłyszała szelest. Nikt nie odpowiedział. Przy drzwiach poruszył się jakiś cień.

- Przepraszam, pomyliłem pokoje - szepnął czujrjś głos.

Cień wycofał się i zniknął na korytarzu.

## **Rozdział 9**

## **Wtorek, 8 lipca, 7.05**

- Gęsta jak sadło na słoniowej dupie - mruknął Tho mas Biggs, jak piłą tnąc mrok przeciągłą i brzęcząca, po ludniową wymową każdego słowa. Zmrużył oczy i spojrzał w górę, na białe macki chwytające górne piętra St Paul's. Mgła znad jeziora Erie zasnęła już całe centrum miasta.

Earl wzdrygnął się w wilgotnym powietrzu. Przegląd wchodzących do szpitala przebiegał tego ranka bardziej ślamazarnie niż zwykle, a żołnierze tej nierównej walki byli dziwnie milczący.

Byli armią, która tego ranka dowiedziała się o kolejnej przegranej bitwie. Media doniosły o trzydziestu możliwych przypadkach SARS i kolejnych trzech zgonach - wszystkie nastąpiły w ośrodku rehabilitacyjnym nie dalej niż trzy przecznice od szpitala. Tłum pracowników był zaś przybity głównie tym, że jedna ze zmarłych przeszła niedawno operację biodra w St Paul's i właśnie tam musiała zarazić się chorobą od kogoś z personelu.

Za namową męża Janet wreszcie zgodziła się wziąć dzień wolnego, choć Earl musiał najpierw gorliwie przytaknąć, że jest najzupełniej zdrowa. W gruncie rzeczy zmartwiło go to, że dość łatwo

dała się przekonać do pozostania w domu. To oznaczało, że ostatnie wydarzenia wstrząsnęły nią bardziej, niż przypuszczał.

- Wiadomo już, kto może być nosicielem? - spytał Earl, gdy dotarł do stanowiska kontrolnego.

178

- Nie - odparła pielęgniarka dziwnie piskliwym głosem, zdradzającym silne napięcie strun głosowych.

Spojrzał na nią uważnie - a przynajmniej na to, co mógł dostrzec ponad maską.

Błękitne oczy, młode i pełne lęku, najpierw popatrzyły na niego, a potem w popłochu skierowały się w inną stronę. Dziewczyna musiała się zawstydić, że dostrzegł jej strach.

Na oddziale ratunkowym, jak to zwykle bywało po doniesieniach lokalizujących ognisko SARS w St PauFs, nie było ani śladu gorączkowej krzątaniny. Poczekalnia była wręcz pusta.

• Dobry dzień na przeliczenie zapasów - orzekła Su-sanne. Wierzyła, że najlepszym lekiem na strach przed nową fazą epidemii jest intensywna praca. — Jak się miewa Janet?

• Wzięła wolny dzień.

• Naprawdę? -Tak.

• Ooo. Dobrze się czuje?

• Tak sądzę. Przynajmniej fizycznie. Susanne zmarszczyła brwi.

- A dlaczego i ty się nie wymkniesz, nie spędzisz z nią całego dnia? - spytała, wskazując na biurko przy stanowisku selekcji pacjentów, gdzie J.S. siedziała samotnie, znużona i wpatrzona w przestrzeń. - Niewiele się tu dzieje.

Miała rację.

• Możliwe, że tak zrobię. Dzięki, Susanne. — Musiał przygotować trochę materiałów szkoleniowych na przy-szlotygodniowe spotkanie ze studentami, ale to mogło poczekać. Najpierw jednak zapytał Michaela o zdanie.

• Idź do domu - odparł Popovitch, gdy usłyszał, że Janet nie przyszła do pracy. - Ja sobie poradzę. - Spojrzał w bok, na Thomasa, który zbierał rezydentów na poranny obchód. - Zwłaszcza w towarzystwie doktora Biggsa.

Brodacz z Tennessee spojrział na niego z uśmiechem.

179

• Dziękuję, doktorze Popovitch. Jeśli dostanę to na piśmie, w przyszłym roku złożę podanie o pracę na tym oddziale.

• Nie ma sprawy - odparł Michael bez wahania.

• Na mnie też możesz liczyć - dorzucił Earl. Pierwszy raz usłyszał z ust Thomasa deklarację chęci przyłączenia się do zespołu. - Mówisz poważnie?

-Jasne. Podoba mi się tu. Świetny oddział. Szpital, uniwersytet, środowisko naukowe... wszystko to pasuje jak ulał do modelu kariery, który sobie wymyśliłem. Miasto niezbyt duże, bardzo zielone, świetne jezioro. Dla chłopaka z pagórków Tennessee góry o godzinę jazdy na południe to prawdziwy skarb.

Earl podszedł bliżej i poklepał go po plecach.

- To dobra wiadomość na początek tak parszywego dnia - stwierdził. Zauważył, że wszystkie stojące w pobliżu pielęgniarki kiwają głowami z aprobatą. - Widzę, że masz też poparcie siły, która naprawdę się tu liczy.

Susanne pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Idź już do domu, Earl. Powiedz Janet, że jesteś prezydentem od nas wszystkich.

Earl uśmiechnął się szeroko.

• Spokojnie, bo zaraz pomyślę, że chcecie się mnie pozbyć.

• Jaki sprostregawczy — rzuciła Susanne przez ramię, odchodząc w stronę szafki z lekami.



Mijając stanowisko selekcji chorych, Earl mrugnął porozumiewawczo do J.S.

- Wykopali mnie z własnego oddziału. Co ty na to,

J.S.?

Spodziewał się typowej dla niej, wesołej riposty. Tymczasem J.S. tylko drgnęła niespokojnie, wyrwana z zamyślenia, i spojrzała na niego tak, jakby nie usłyszała, co mówił. Wyglądała dość blado.

- Dobrze się czujesz?
- Dobrze, doktorze G.

180

• Na pewno?  
• Oczywiście. - J.S. wyprostowała się na krześle. - Przecież jestem pielęgniarzką selekcyjną. Kto lepiej ode mnie wie, czy wszystko ze mną w porządku?

• Pewnie. - Earl zostawił ją w spokoju, ale w drodze do windy pomyślał jeszcze, że powinien był przepytąć ją bardziej szczegółowo.

Nosiciele...

Na samą myśl o tym poczuł mdłości.

7.25

Oddział intensywnej opieki medycznej jak zawsze o poranku tętnił życiem. Tutejsi pacjenci byli nader eklektyczną grupą, bowiem ich rozliczne problemy zdrowotne wymagały konsultacji lekarzy bodaj wszystkich specjalności. Kardiolodzy, neurologi, immunolodzy, onkolodzy, interniści - przystawali małymi grupkami przy kolejnych łózkach i na zmianę informowali się o stanie poszczególnych układów. Na szczęście wielu chorych, o których rozmawiano, było w stanie głębokiego uspienia i ani trochę nie przejmowało się wymianą fachowych uwag. Ci jednak, którzy byli przytomni, w oszołomieniu słuchali nazwisk sędziwych profesorów i ich opowieści o stanie serca i mózgu, o odpowiedzi białych krwinek, o nowotworach i zaburzeniach metabolizmu - opowieści, które zdawały się dotyczyć poszczególnych narządów, a nie całego organizmu, jakby tylko ślepy los umieścił je w ciele konkretnego pacjenta. Jako prawdziwi profesjonalści starali się przynajmniej maskować radość z każdego odkrycia i nie zachowywać głośniejsz niż klienci pasażu handlowego.

Earl ich zignorował i poszedł prosto do stanowiska pielęgniarek. Stał za plecami Stewarta Delorama, który siedział pochylony i wertował zawartość szuflady ze znalezionymi drobiazgami.

181

- Czy ktoś widział moje cholerne kluczyki? Chyba znowu je gdzieś zgubiłem.

Wszystkie pielęgniarki, do których dotarło to rozpaczliwe zapytanie, jak na komendę przewróciły oczami. Earl usłyszał, że co najmniej trzy z nich rzuciły komentarz o przywiązywaniu cennych drobiazków sznurkiem. Ten człowiek potrafił prześledzić ruch każdej cząsteczki w ciele pacjenta, ale zupełnie nie radził sobie z rzeczami osobistymi.

Stewart odwrócił się wreszcie, spojrzał na Earla i wstał energicznie.

• Earl! Właśnie chciałem złożyć ci wizytę. - Wypowiedział te słowa całkiem szczerze, jakby naprawdę miał taki zamiar. Dziwnie zabrzmiały w jego ustach.

• Co takiego? - Earl spodziewał się raczej ostrej walki.  
• Chciałem przeprosić cię za to, że nie wziąłem pod uwagę tego, co myśli i czuje Janet. Naprawdę bywam czasem osłem w takich sprawach.

Proszę, proszę, zdumiał się w duchu Earl.

• Pójdę na ginekologię i przeproszę ją osobiście, gdy tylko wyprowadzę sprawy na prostą na moim oddziale...

• Ona jest w domu, Stewart.

Grube czarne brwi wygięły się jak włochate gąsienice.

• Jak to?

- Postanowiła zrobić sobie wolne.
  - Ach tak.
  - Myślę, że fizycznie jest w całkiem dobrej formie. Na szczęście w jej krwi nie wykryto ani śladu chloroformu, więc wątpię, żeby opary dotarły do dziecka. I tylko to, że było to czyjeś celowe działanie, bardzo ją poruszyło.
    - Cholera, mam nadzieję, że nie pogorszyłem jej stanu.
    - Nie, nie, jestem pewien, że o tym już zapomniała. A przyszedłem tu, żeby pogadać z tobą o innej sprawie. Poszukajmy jakiegoś cichego kąta.
- Przeszli na stanowisko otoczone półokręgiem monitorów. Mierzalne parametry życia - ciśnienie krwi, tętno

182

siła skurczów serca, saturacja, częstość oddechów - tańczyły na zielonych, fluorescencyjnych wyświetlaczach.

• Poszedłem na oddział Petera Wyatta, żeby porozmawiać z pacjentami, których przepytywałeś i których raporty nazwałeś fałszywymi.

• Co takiego? — Jego oczy rozszerzyły się jak ślepiec dzikiego zwierzęcia zaskoczonego przez drapieżcę.

• Spokojnie, chłopie. Jeżeli Wyatt wszcząłby wendetę przeciwko tobie, wołałbym o tym wiedzieć... chciałem zgasić sprawę, zanim wymknęłaby się spod kontroli.

Stewart był wciąż niepocieszony, wyraz jego twarzy oscylował między niedowierzaniem a wściekłością.

— Tylko że od piątku, kiedy złożyłeś im wizytę, wszyscy co do jednego umarli lub zapadli w śpiączkę.

Niedowierzanie zwyciężyło.

- Co takiego?!
- Słyszałeś. Są martwi lub prawie martwi.
- Mój Boże.
- Czy odniosłeś wrażenie, że są w tak ciężkim stanie, kiedy z nimi rozmawiałeś?
- No, nie wiem. Nie oceniałem ich w kategoriach medycznych...

Wyglądało na to, że wiadomość kompletnie go oszołomiła. I że szukał właściwej odpowiedzi!

— Daj spokój, Stewart, nie musisz przeprowadzać u każdego gruntownych badań, żeby wiedzieć, czy stoi nad grobem. Według kart chorobowych byli w złym stanie, ale zdecydowanie wołałbym wiedzieć, jak się prezentowali. Domyśliłbyś się, patrząc na nich, że tak szybko odejdą?

— Chcesz powiedzieć, że nie rozmawiałeś z żadnym z nich?

Earl miał wrażenie, że Stewart w ogóle nie usłyszał pytania.

- Nie rozmawiałem. A teraz odpowiedz mi.
- Tak, byli chorzy - rzekł zdecydowanie Deloram. Wyraz zdziwienia ustąpił z jego twarzy, a jego miejsce za-

183

jęła obojętność. - Żadnemu nie dałbym więcej niż kilka dni.

-Naprawdę?

- Naprawdę.

Earl poczuł w żołądku lodowaty chłód.

- Czyli wcale cię nie dziwi, że mamy troje w kostnicy i dwoje w śpiączce?
- Ani trochę. - Stewart znowu spoglądał na niego podejrzliwie. - Do czego zmierzasz?
- W pierwszej chwili wyglądałeś na zdumionego.

Deloram usiadł prosto, wypiął pierś i unióśł podbródek.

- Tylko tym, że poszedłeś ich przepytwać. Ale myślę, że powinienem ci za to podziękować, bo

chciałeś bronić moich racji przeciwko racjom Wyatta.

- Racji St Paul's, jeśli chodzi o ścisłość.

- Nie rozumiem.

- A ja myślę, że rozumiesz. — Earl odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Nie miał najmniejszej ochoty dać się zepchnąć do obrony. Miał inne sposoby na uzyskanie informacji, których potrzebował. Machinalnie spojrzął w stronę szklanych komór na końcu sali. Były jaskrawo oświetlone, a pielęgniarki krzątały się żwawo przy pacjentach. Tylko że posłanie, na którym Teddy Burns poprzedniego dnia walczył o każdy oddech, było puste.

Stewart dostrzegł jego spojrzenie.

- Tak, wiem. Fatalna sprawa — powiedział, unosząc ręce ku niebu bezradnym gestem. Mógł udawać w wielu innych sprawach, ale tym razem w jego głosie brzmiały żal i gniew, których nie da się zafalszować. - W nocy ustała akcja serca. Nie mogłem go uratować.

Przez całą podróż windą na ósme piętro Earl stał ciężko oparty plecami o ścianę. Jako wicedyrektor do spraw medycznych miał obowiązek przygotować uroczystość żałobną ku pamięci Teddy'ego. Zastanawiał się, co właściwie miałby powiedzieć.

184

Pamiętam wszystkie te chwile, gdy ramię przy ramieniu walczyliśmy, by tchnąć życie w ciało, które przekroczyło już granicę śmierci...

Nie umiał dokończyć. Nie pozwalało mu na to wspomnienie niesmaku malującego się na twarzy Teddy'ego, gdy walczył o jeszcze jeden oddech i nikt nie potrafił mu pomóc.

Earl zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek na oddziale opieki paliatywnej i spytał szefową zmiany, chudzinę w okularach a la Elton John, czy Monica Yablon-sky zostawiła dla niego listę wszystkich koleżanek, które przekazały jej historie pacjentów po dziwnych przejściach na granicy życia i śmierci.

Nie zostawiła.

- A czy pani może zrobić dla mnie taką listę? - spytał.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, wzruszyła ramionami i zanotowała sobie jego życzenie.

Być może nawet lepiej będzie nie kontaktować się z Monicą Yablonsky, pomyślał, wciskając guzik przywołania windy. Im mniej konfrontacji, tym większe szanse na ustalenie faktów bez zbędnego hałasu. Bez względu na to, jak irytujący był stary manipulant Hurst, jego słowa o śmiertelnych skutkach niepokoju w szpitalu były prawdą. Poranne gazety podkreślały, że najważniejsze w obecnej sytuacji jest skupienie na najdrobniejszych nawet detalach procedur zabezpieczania się przed infekcją. Najgorsze jednak było to, że nawet owo skupienie bywało niewystarczające. Teddy Burns nie potrafił wyjaśnić komitetowi kontrolnemu do spraw SARS, jakie uchybienie kosztowało go życie.

Drzwi kabiny się rozsunęły.

Earl nie wszedł do windy. Potrzebował spokojnego miejsca, by oczyścić umysł.

Ogród na dachu. W taki dzień jak ten powinien być pusty.

Kilka minut później, gdy otoczyła go mgła, poczuł się,

185

jak na skalnej półce gdzieś wysoko w górach. Buffalo zniknęło z pola widzenia, a odgłosy miejskiego życia były stłumione, jakby dobiegały z szarego snu. Krajobraz tego lewitującego świata wypełniały drzewka doniczkowe. Gdy obszedł ogród dookoła, na jego czole perliły się chłodne krople mgły.

Lecz nawet one nie pomogły na ucisk w żołądku.

Stewart wyraźnie poczuł ulgę, gdy uświadomił sobie, że pacjenci nie powtórzą już nikomu tego, co mówili mu o doświadczeniach z pogranicza śmierci. Z drugiej strony jednak nie byłoby przesadą stwierdzenie, że co najmniej przez kilka sekund był też autentycznie zdumiony na wieść o ich śmierci czy śpiączce.

Ale co to mogło oznaczać?

Po pierwsze, Deloram najwyraźniej się nie spodziewał, że ci pacjenci praktycznie stoją nad grobem, gdy rozmawiał z nimi w zeszłym tygodniu. Tylko dlaczego po prostu nie powiedział o tym Earlowi? Dlaczego nagle zaczął się upierać, że bez wątpienia byli umierający?

Earl spojrział na sąsiedni budynek szpitalny. Mgła zmieniła go w daleką, rozmazaną smugę. Prawdziwy dom zagadek, pomyślał.

Ale gdyby udało się skłonić pielęgniarki z opieki paliatywnej do przypomnienia sobie szczegółów opowieści pacjentów, być może dałoby się też ustalić, co tak bardzo chciał ukryć Stewart.

Potrzebne było też szersze - oczywiście ukradkowe - spojrzenie na działalność tego oddziału, gdy tylko znajdzie się jakiś sposób. Bo jeśli Yablonsky i jej koleżanki zabiły Elizabeth Matthews, przypadkowo przedawkowując morfinę, Earl miał szczerzy zamiar nie dopuścić, by kiedykolwiek przyszło im do głowy tuszować inne „serie osobliwych zdarzeń”.

A jeśli chodzi o tego tępaka, który ostatniej nocy zostawił Janet w opałach, Earl zamierzał odszukać go i dobrać mu się do tyłka. Jako wicedyrektor do spraw medycznych

186

miał na to spore szanse. Wystarczyło popytać, czy nie widziano kogoś w pobliżu schodów. Czy nikt nie wyczuł od kogoś zapachu chloroformu. Niech wszyscy wiedzą, kto tu jest szeryfem. Bez żadnych subtelnosci. Ten, kto zostawił Janet w piwnicy, był przestępcą.

Z nieba trysnęły drobniutkie krople deszczu.

Earl się nie ruszył. Zupełnie nie ciągnęło go do ciasnych korytarzy szpitala. Pozwolił, by jego myśli zdryfowały ku temu, co wydawało się nie do pomyślenia. A jeśli ktoś celowo rozbił butlę z chloroformem?

Natychmiast odrzucił ten koncept.

Absolutnie nie. Dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy? Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby czegoś takiego ani Janet, ani nikomu innemu. Byłby maniakiem, gdyby to uczynił. Boże, Hurst miałby świętą rację, gdyby zgnoił mnie za wyskakiwanie z takimi pomysłami, skonstatował.

Najwyższy czas iść do domu, pomyślał. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer domowy.

- Cześć - powiedział, gdy zgłosiła się Janet. - Będę za dwadzieścia minut. Moi ludzie dali mi wolne.

Zaśmiała się niskim, nieco gardłowym głosem.

- Chcesz powiedzieć, że cię wykopali? Susanne już do mnie dzwoniła. Chciała, żebym cię zatrzymała siłą, gdyby przyszło ci do głowy wrócić do szpitala.

Lubił ten niski głos.

- To znaczy, że mamy dom dla siebie?
- Mamy dom dla siebie.

Nie ma ptaków, pomyślał, kierując się w stronę drzwi. Odkąd tu przyszedł, nie usłyszał ani jednego ptasiego głosu. Pewnie mają dość rozumu, żeby zaszyć się gdzieś i przeczekać taki dzień, pomyślał.

Jane Simmons cieszyła się, że Susanne dała jej coś do roboty. Gdy tylko miała chwilę dla siebie, zaczynała od nowa zadreć się pytaniami bez odpowiedzi.

187

Czy powinna wrócić do domu?

Powiedzieć Thomasowi?

Urodzić dziecko?

Oddać je?

A może zrobić coś gorszego?

Pytania tłoczyły się w jej głowie, a potencjalne odpowiedzi wydawały się tak obce, jakby dotyczyły kogoś innego, nie jej.

I dlatego wołała liczyć cewniki, igły, maski tlenowe, fartuchy chirurgiczne i zestawy do wkluc dożylnych. Zajęła się też sortowaniem tac na instrumenty i wypisywaniem formularzy zamówień.

Czymkolwiek, byle nie myśleć o sobie.

Od czasu do czasu zajmowała się też nielicznymi pacjentami, którym desperacja kazała pojawić się w szpitalu mimo lęku przed SARS.

Niektórzy przybyli za późno.

Pięćdziesięcioletni profesor matematyki z udarem przyjechał o godzinę za późno, by leki rozpuszczające skrzepy mogły odblokować naczynia krwionośne i uratować jego funkcję mowy.

Czterdziestopięcioletni policjant zjawił się z powodu powtarzających się bólów w klatce piersiowej. Było zdecydowanie za późno, by ratować uszkodzony mięsień sercowy.

Trzydziestoletnia kobieta ignorowała bóle brzucha tak długo, że doszło do perforacji wyrostka robaczkowego i zakażenia. Była we wstrząsie i walczyła o życie.

Jane nie siliła się nawet na profesjonalną rezerwę wobec pacjentów i naprawdę szczerze rozpaczała nad losem tych nieszczęśników, ich cierpienia i marne perspektywy bowiem pomagały jej zapomnieć o własnych problemach.

W pewnym sensie była to nawet niezła metoda. Pomagała na pół godziny. Od czasu do czasu.

O czternastej trzydzieści, gdy na oddziale znowu zapanował spokój, J.S. pospieszyła do magazynku, by dalej inwentaryzować zapasy.

188

I zaskoczyła ojca Jimmy'ego, który szukał czegoś w jednej z szafek.

- O, Jane - powiedział. - Z nieba mi spadłaś. Nie znałaśbyś dla mnie pojemnika na mocz? Spóźniam się z do rocznym badaniem, muszę złożyć ofiarę lekarzowi.

Zaskoczona jego obecnością i wcale nie pragnąca towarzystwa Jane szybko znalazła pojemnik.

- A pamiętasz o tej małej przysłudze, o którą prosiłem? - zagadnął Jimmy, dotykając ucha. - Pozwoliłem sobie zapytać Susanne. Powiedziała, że to dobry pomysł, ale pod warunkiem że zrobimy to dzisiaj, kiedy nie macie tu zbyt wielu klientów.

Tylko nie teraz, pomyślała. Pragnęła wyłącznie samotności i zatracenia w możliwie bezmyślnej pracy.

- Ojcze, właściwie powinnam zająć się listami zapasów...

- W czym chętnie ci pomogę. A skoro ja nazywam cię Jane, może ty odpuścisz sobie „ojca”? Mów mi Jimmy. Jimmy Fitzpatrick. To od czego zaczynamy?

O rany! Potrafił być rozbrajający, ale J.S. i tak wolała być sama.

- Nie trzeba, ja...

- Nonsens.

- Posłuchaj, może twoim uchem się zajmę...

- Dopiero wtedy, kiedy pomogę ci się uporać z robotą. Wyglądasz, jakbyś akurat dziś naprawdę potrzebowała pomocy. - Książd pochylał się w jej stronę i poruszył brwiami trzy razy, zupełnie jak Graucho Marx, wpatrując się w nią wybaluszonymi oczami klauna. - Marnie, powiadam, wyglądasz marnie albo nie jestem lekarzem! Zaraz, ja nie jestem lekarzem.

Roześmiała się.

Ojciec Jimmy już się nie wygłupiał.

- Pytam poważnie, Jane, nic ci nie jest?

Ostrożnie, pomyślała J.S. On bywa bardzo spostrzegawczy.

- Oczywiście, że nie. Skąd to pytanie?

189

- Stąd, że jesteś bladozielona i nie masz w oczach tego błysku, który zwykle widzę.

Zanim się obejrzała, duchowny zdjął rękawiczkę i delikatnie położył dłoń na jej czole.

- Nie masz gorączki. To dobrze.

Jego ręka była przyjemnie ciepła.

• O co więc chodzi? - spytał. Odwrócił się w stronę kontuaru, wyjął z pudełka nową rękawiczkę i zaczął ją wkładać. - Zdecydowanie nie jesteś dziś sobą.

• Chwileczkę, ojcz.... to znaczy: Jimmy. - Złapała go za nadgarstek i poprowadziła w stronę umywalki. - Najpierw umyj. Tylko tego nam potrzeba, żeby szpitalny kapelan rozchorował się z winy mojego czoła. Nie masz pojęcia, z iloma chorymi miałam dziś styczność.

• Tak jest, proszę pani - zgodził się posłusznie i roześmiał się, myjąc ręce. - Ale ty masz mi się zaraz wypowiadać. Nie możemy pozwolić, żeby rozchorował się nasz kolczykowany anioł od nagłych wypadków.

Uśmiechnęła się ostrożnie.

- Jestem po prostu zmęczona.

Spojrzał na nią z ukosa. Włożywszy świeże rękawiczki, zacisnął dłonie na jej rękach i popatrzył na nią wzrokiem zdolnym przebić się przez każdą maskaradę.

- Jane, całe życie spędziłem na wyszukiwaniu strapiomych ludzi. Albo potrzebny ci lekarz, albo przyjaciel, albo jeden i drugi. Ale ja stąd nie wyjdę, póki nie powiesz mi, o co chodzi.

Ostatniej nocy prawie nie spała. Rano, gdy usłyszała, że Thomas być może zostanie w St Paul's, poczuła wielką radość i jeszcze większą nadzieję. Na pewno chce, żebyśmy byli razem, pomyślała wtedy. Ale skoro tak, to dlaczego nie ja dowiedziałam się o tym pierwsza? Uwaga, zbliża się kolejna zmiana nastroju, ostrzegła się w duchu.

I zaraz poczuła, że chce jej się płakać. Parę minut później opanowała się i spokojnie odpowiedziała doktorowi G., że nic jej nie jest.

190

Dzika jazda zmiennych nastrojów trwała przez cały dzień. Im bliższy był koniec dyżuru, tym bardziej się czuła samotna. Dobrze, że przynajmniej udawało jej się udawać, że wszystko jest w porządku.

Aż do tej chwili.

Upór ojca Jimmy'ego, który tak bardzo chciał, by się otworzyła, sprawił, że coś pękło w jej piersi. Zdołała powstrzymać łzy, ale zacisnęła dłonie w pięści i uwolniła je z jego uścisku. Odwróciła się plecami zawstydzona, pragnąc się zapaść pod ziemię.

- Hej, J.S., co się stało? Powiedz mi. Potrafię pomóc.

I proszę, nie spodziewaj się, że uda ci się mnie splawić.

W jego głosie, który zdawał się teraz dobiegać ze wszystkich stron jednocześnie, pojawiła się nowa natarczywość. Jane dziwnie się czuła, jakby jego słowa utworzyły ochronną klatkę, w której nie mogło jej skrzywdzić. Przestała się zastanawiać nad ich sensem i pozwoliła, by sam dźwięk łagodził ból, który czuła. Wreszcie ręce Jim-my'ego objęły jej ramię i obróciły ją delikatnie. Spojrzeli sobie w oczy. Widziała odbicie własnej twarzy w jego źrenicach i zdumiała się tym, jak wielka była intensywność jego troski.

- Przepraszam, Jimmy - powiedziała, zaskoczona też tym, jaki wpływ ma na nią jego obecność. Przez sekundę miała przed sobą mężczyznę, nie tylko księdza.

Jakby wyczuwając jej zażenowanie, natychmiast cofnął dłonie. Musi być przyzwyczajony, że kobiety tak na niego reagują, pomyślała Jane, jeszcze bardziej zakłopotana.

- Co, na miłość boską, mogło cię tak załamać? - spytał cicho. - A może raczej kto? Naprawdę dziwię się, że po zwalasz, by cokolwiek lub ktokolwiek tak cię pokonał.

Słowa były może ciche, ale bolały. Musiał się domyślać, że chodzi o Thomasa. Pewnie widział już wystarczająco wiele głupich dziewczuch z małych miasteczek, które same zafundowały sobie kłopoty, by się rozczulać nad moim problemem, myślała Jane. Tylko że ja za cholere nie powiem

191

mu, co się stało. Nie będę kolejną ofiarą, którą mógłby się zaopiekować.

Ofiarą!

To słowo także ją zabolalo. Po raz pierwszy, odkąd ta przeklęta niebieska kropka odmieniła jej życie, Jane czuła gniew. Była wściekła, że zrobiła z siebie taką smętną, za-ryczaną idiotkę. Odkąd sięgała pamięcią, nie miała zwyczaju płakać; zawsze musiała być twardsza od chłopaków, bez względu na ból. Nigdy nie grała bezradnej dziewczynki - trzymała się tej zasady już jako nastolatka; duma wzmacniała jej zewnętrzny wizerunek „twardzielki”. Tylko dlatego wyrwała się z Grand Forks, skończyła szkołę pielęgniarstwa i dostała pracę na oddziale ratunkowym St. Paul's. Nie mogła pozwolić, by tak wypracowany model działania ją teraz zawiódł.

A ojciec Jimmy pomógł jej przynajmniej obudzić w sobie wolę walki w trudnej sytuacji.

— Nie jest to sprawa, o której chciałabym teraz rozmawiać — powiedziała, ustanawiając tym razem wyraźny dystans między sobą a Jimmym oraz tym wszystkim, co zaszło chwilę wcześniej.

Jego oczy znowu spoglądały na nią figlarnie.

- O, to zabrzmiało już bardziej jak słowa tej twardej J.S., którą znam. - Taktownie podał jej pudełko chusteczek i jak gdyby nigdy nic dodał, że będzie czekał na nią w jednym z gabinetów zabiegowych. - Muszę zebrać od wagę przed operacją - zakończył, nim zostawił ją samą.

Innymi słowy wiedział, że i ona potrzebuje chwili, żeby się pozbierać, i zdołał rozwinąć sytuację w taki sposób, by żadne z nich nie musiało się czuć zażenowane. Facet ma klasę.

Jane ogarnął spokój. Miała takie wrażenie, jakby po długiej podróży wrócił do niej stary przyjaciel. Podobało jej się to uczucie. Znowu czuła się dobrze ze sobą; wróciła dawna pewność siebie, którą straciła, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Tak, kochała Thomasa. Tak, nosiła

192

w sobie jego dziecko. Tak, niewykluczone, że był ślepym dupkiem w kwestii tego, czy będą ze sobą dłużej niż rok.

Był to spokój, który nią wstrząsnął. Pozwolił jej zrozumieć, że wszelkie decyzje w sprawie dziecka należą do niej. Po prostu wiedziała, że tak jest. Nie miała pojęcia skąd, ale wiedziała - tak, jak wiedziała, że jej serce bije, a płuca oddychają. W tym momencie dziecko stało się żywą istotą, już nie tylko częścią jej ciała. Przez chwilę czuła się uwolniona od niepokoju i żalów, które przepełniały ją ostatniej doby. Uwolniona nawet od ciężaru szukania rozwiązań zadowolających Thomasa. Wiedziała, że będzie wybierać to, co jest najlepsze dla niej i jej potomstwa, kropka.

Czuła się jeszcze tylko trochę zdezorientowana pytaniami ojca Jimmy'ego. A może były to raczej wyzwania? Tak czy inaczej, to on był sprawcą gruntownej zmiany jej nastroju.

Podeszła do lustra nad umywalką, żeby poprawić makijaż oczu. Pomyślała z niepokojem, że skoro doktor G. i ojciec Jimmy zauważyli, że coś jest nie tak, to Susanne i pozostali zapewne też wkrótce zaczną się domyślać. Spojrzenie, które zobaczyła w lustrze, było jednak całkiem spokojne. Odpowiednie dla publiczności, pomyślała. Wyjęła kostkę lodu z zamrażarki z lekami<sup>^</sup> wybrała dużą igłę i dołożyła próbkę z plastikowym kapslem jako podkładkę. Zabrała jeszcze spis zapasów, które zdążyła przeliczyć, i ruszyła w stronę gabinetu zabiegowego.

Zajmując się uchem ojca Jimmy'ego, słuchała jego opowieści o tym, jak dorastał w Chicago z ojcem, irlandzkim gliniarzem.

- Byłem najmłodszym z czterech synów, a moja matka, Greczynka z pochodzenia, rządziła nami wszystkimi, nie wyłączając taty, żelazną ręką.

To, że Jimmy mówił tylko o sobie, działało na Jane uspokajająco; nie chciała być teraz w centrum uwagi. Przypuszczała nawet, że właśnie to było jego intencją.

193

- Dlaczego zostałeś księdzem?" — spytała w pewnym momencie.
- Dobre pytanie. Wszyscy moi bracia zostali lekarzami, a tata bardzo nie chciał, żeby którykolwiek

z nas został glina. Jako że obcował na co dzień z odwieczną kwestią dobra i zła, a moi bracia zajęli się fizyczną stroną łatania ludzkiej natury, dusza wydała mi się idealnym terenem eksploracji.

Roześmiała się i pchnęła igłę. Nawet się nie skrzywił.

- Ale tak naprawdę to jeszcze nie jestem księdzem, choć wszyscy tu tak o mnie myślą i nazywają mnie ojcem. Skończyłem seminarium w Rzymie, dwa lata filozofii, trzy lata teologii, a potem magisterium w dziedzinie zarządzania szpitalem. Teraz robię doktorat. Mam pełne prawo być kapłanem, ale do ślubów mam jeszcze parę lat.

- Równie długa droga jak studia medyczne - stwierdziła Jane, uciskając przebite ucho, by powstrzymać krwawienie.

- Zgadza się, choć muszę powiedzieć, że historia filozofii i myśli ludzkiej intryguje mnie bardziej niż zasady działania nerwów i mięśni.

Kilka minut później Jimmy Fitzpatrick opuścił gabinet z małym, lśniącym, złotym pierścieniem w prawym uchu.

Susanne zajrzała do pokoju, gdy Jane sprzątała po zabiegu.

- Muszę powiedzieć, że lepiej wyglądasz.
- Ja? Nie wiedziałam, że przedtem wyglądałam gorzej.
- Wiesz, co mam na myśli. Nie byłaś sobą.
- Tak mówią.
- Czyżby pocieszył cię ojciec Jimmy? Poszedł do pokoju pielęgniarek, pochwalił się twoim dziełem. Jest jak dzieciak, chwali się każdemu, kto zechce go wysłuchać: „J.S. jest niesamowita. Nic nie poczułem”.

Jane się uśmiechnęła.

194

- To on jest niesamowity. I rzeczywiście wie... - zawahała się, bo słowa „jak traktować kobiety” wydały jej się nieodpowiednie.

- Co wie?

- Wie, jacy są ludzie i co chcieliby usłyszeć.

Susanne chciała właśnie wyrzucić kawałek zużytej gazy do pojemnika na odpady, ale zatrzymała się w pół ruchu.

- Lubisz go?

Jane nie przerwała mycia rąk.

- Jasne. A kto go nie lubi?

Susanne przyglądała się jej jeszcze przez parę sekund.

- Wiesz, co jest ciekawego w życiu ojca Jimmy'ego? Jego matka.
- Mówił mi o niej. Zdaje się, że była dzielną kobietą.
- A wspominał, że jej ojciec był księdzem? Jane znieruchomiała.
- Co takiego?

Susanne rozejrzała się po kontuarze i sięgnęła po listę zapasów sporządzoną przez J.S.

- Tak, tak. Pełnił posługę w tak zwanym wschodnim Kościele ortodoksyjnym, a właściwie w jego greckiej archidiecezji. Tamtejsi księża mogą się żenić, jeśli tylko nie złożyli jeszcze ślubów. Jimmy wyjaśnił mi to kiedyś na oddziałowej imprezie.

- Nie wiedziałam.

-I tak samo jest z ojcem Jimmym. Przez wzgląd na matkę dostał pozwolenie na przyjęcie ślubów w greckim Kościele prawosławnym. Nie robi z tego sensacji, bo nie chce mieszać w głowach pacjentom. Powiedział mi kiedyś, że posługa szpitalnego kapłana polega na niesieniu duchowej pociechy, a nie na propagowaniu religii czy nauk Kościoła, do którego się należy. I tak sobie myślę, że właśnie dlatego tak świetnie sobie radzi z różnymi ludźmi.

- Rozumiem.

Gdyby ktoś przysłuchiwał się tej rozmowie, słowa Su-

195

sannę nie brzmiałyby dlań inaczej niż wszystkie inne luźne rozmowy prowadzone podczas przerwy w



pracy. Tyle że Jane знаła swoją szefową: Susanne nie cierpiała plotek, więc skoro szczegółowo opowiadała o czyichś osobistych sprawach, musiała mieć ku temu powód.

Susanne uniosła w górę spis, który właśnie przejrzała.

- W którym pokoju robiłaś tę inwentaryzację?

Jane potrzebowała sekundy, żeby wrócić myślą do spraw przyziemnych.

- W magazynku obok sali reanimacyjnej. Wiesz, musiałam się czymś zająć.

Susanne pokręciła głową.

- Przykro mi to mówić, ale ja też robiłam tam spis inwentarza, dziś rano. I widzę, że pomyliłaś się w liczeniu strzykawek — wyjaśniła, wskazując na liczbę strzykawek o pojemności dziesięciu centymetrów sześciennych.

- Naprawdę? Jestem pewna, że tyle było. Susanne zmarszczyła brwi.
- To może sprawdzimy razem?
- Jasne.

Pięć minut później wiedziały już, że **obliczenia Jane** były prawidłowe.

Zmarszczki na czole Susanne się pogłębiły.

- Szlag!

Jane nie przypominała sobie, by kiedykolwiek słyszała to słowo z jej ust.

- O co chodzi?
- Dziś rano naliczyłam o pięćdziesiąt więcej.
- Może się pogubiłaś? To się zdarza. Poza tym jak mo

żesz pamiętać akurat tę liczbę?

Susanne westchnęła.

- Nie mów o tym nikomu, ale bardzo uważnie przyglądam się zapasom strzykawek tego rozmiaru.
- Dlaczego?
- Bo myślę, że ktoś je podkrada.
- Co takiego?

196

Przez kolejny kwadrans Jane dyskretnie się upewniała, czy żadna z pielęgniarek nie wzięła z magazynu garści strzykawek, żeby uzupełnić zawartość rozstawionych tu i ówdzie podręcznych pojemników. Robiąc to, wciąż się zastanawiała, dlaczego Susanne w niecodzienny dla siebie sposób przekazała jej informację, że ojciec Jimmy potencjalnie mógłby się ożenić. Dlaczego uważała, że Jane powinna to wiedzieć?

Czyżby grubymi nićmi szyta próba swatania? Nie, to byłoby wbrew wszelkim zasadom prywatności, których Susanne zażarcie broniła. Poza tym przecież wiedziała już o Thomasie i chyba akceptowała ich związek. Zatem o co chodziło?

- Nie chciałam, żebyś czuła się niezręcznie, uważając go za atrakcyjnego mężczyznę - wyjaśniła Susanne, gdy Jane zapytała ją o to wprost.

- Wcale nie uznałam go za atrakcyjnego. Susanne roześmiała się.
- No, to chyba jesteś jedyna na naszym oddziale. -Ale...

• Spokojnie. On nigdy nie wykazywał zainteresowania kobietami, z którymi pracuje. Ale powiedzmy sobie otwarcie, że mężczyźni i kobiety całkiem nieświadomie wysyłają czasem sygnały dotyczące ich seksualności. A Jimmy nie różni się pod tym względem od innych ludzi, i jest pod ręką. Dlatego właśnie, jak sądzę, ujawnił przed nami, że może się związać z kobietą. Nie chciał, żebyśmy czuły się winne, czując zwykłą damsko-męską chemię czy choćby snując w myślach mało uduchowione rozważania co by było, gdyby. Gdyby chodziło o kogoś innego, nazwałabym to szczytem zarozumiałstwa, ale w wypadku ojca Jim-my'ego... to po prostu sposób na uniknięcie niepotrzebnych spięć w i tak mocno naładowanym miejscu pracy.

• O mnie nie musi się martwić — powtórzyła uparcie Jane, nie mając ochoty się przyznać, że sama czuła przez chwilę pociąg do Jimmy'ego. Nie zdradziłaby też, że poczu-

ła się trochę mniej głupio, gdy usłyszała od Susanne, że kapelan nie ślubował celibatu.

- A co z naszymi strzykawkami? - spytała szefowa.
- Ani śladu brakujących pięćdziesięciu - odparła Jane, potrząsając głową.

Kilka minut przed piętnastą — i przed końcem zmiany - w odstępie paru chwil podjechało sześć ambulansów.

- Jak zwykle - mruknęła J.S., biegnąc do magazynku po worki do kroplówek. Wyjmując je z szafki, zauważyła, że ojciec Jimmy zapomniał plastikowego kubka na próbkę moczu. Dziwne, pomyślała. Przecież właśnie po to przy szedł.

### **Tego samego dnia, 23.45**

Wśliznąłem się do piwnicy i po cichu zamknąłem za sobą drzwi.

Ledwie parę centymetrów od mojego ucha rozległ się przenikliwy skrzyp zawiasu. Zamarłem, nasłuchując reakcji na górze.

Stojąc w absolutnej ciemności, usłyszałem tylko łagodny pomruk pracującej gdzieś obok zamrażarki. Żaden inny dźwięk nie zakłócał podziemnej ciszy.

A potem tuż nad moją głowę skrzypnęła deska podłogowa.

Pies?

Wstrzymałem oddech, bojąc się choćby drgnąć.

Nic więcej się nie wydarzyło. Wysiłałem słuch, czekaając na charakterystyczny stuk pazurów o drewno lub li noleum.

Nadal nic.

Zamrażarka się wyłączyła. Znowu absolutna cisza.

Wolno i bezgłośnie wypuściłem powietrze ustami, gotów zareagować na jakikolwiek ruch człowieka czy zwierzęcia.

198

Martwa cisza domu uspokoiła mnie.

Włączyłem kieszonkową latarkę i na palcach zszedłem na dół po schodach łączących piwnicę z kuchnią. Znowu zni eruchomi ałem.

Z parteru dobiegało głuchoe tykanie elektrycznego zegara. Cała reszta domu była cicha, podobnie jak piwnica.

Musiałem być niezwykle ostrożny, żeby nie zbudzić psa.

Usiadłem na betonowej podłodze i omiotłem pomieszczenie smugą światła, szukając tego, czego potrzebowałem. Sprawdziłem średnicę rur biegnących pod stropem i dopracowałem szczegóły mojego planu.

To się musi udać.

Zdecydowanie tak.

### **Środa, 9 lipca, 1.30**

Janet nie mogła zasnąć. Wstała i zarzuciła na siebie podomkę. Usłyszała, że MufTy wierci się gdzieś w nogach łóżka, a chwilę potem łapy pudlicy zatupały miękko na dywanie. Gdy Janet wyjeżdżała nocą do porodu, suka zawsze odprowadzała ją do drzwi i czekała przy nich na powrót pani. Earl, który wieki temu nauczył się przesypiać jej nocne wyprawy, na pożegnanie zmienił tylko tempo oddechu.

W sypialni panowały egipskie ciemności; gęsta mgła skutecznie zdusiła poświatę ulicznych latarni.

Janet zeszła na dół, do kuchni, przygotowała kubek gorącej czekolady i usiadła skulona na kanapie w salonie. Mimo mglistego mroku na zewnątrz uchyliła okno, by wpuścić do domu zapach tytoniu.

Muffy podeszła do niej ze zdziwieniem. Mała dawka „kiclowania” za uchem przekonała ją do ułożenia się na stopach Janet. Po chwili zaskomlała cicho.

199

- Coraz ciężiej ci się ruszać, staruszko? - spytała Janet, masując palcami stóp kudłaty brzuch suki.

Muffy nagrodziła jej wysiłki psim westchnieniem zadowolenia.

Janet podjęła decyzję. Nie tylko weźmie urlop, ale też zrobi to najszybciej jak się da, gdy tylko przekaże koleżankom swoje pacjentki.

Próbowała wmawiać sobie, że wydarzenia ostatniego wieczora nie wywarły na niej żadnego wrażenia, że to ciało od tygodni upominało się o zwolnienie tempa życia i że ta ciąża musi wyglądać inaczej, wymagać więcej spokoju. Ze teraz wreszcie znalazła w sobie dość rozsądku, by usłuchać wewnętrznego głosu.

Ale tak naprawdę coś się jednak zmieniło. Jej niedawna zuchwałość skurczyła się nieco w obliczu tego, co mogłoby się stać, gdyby Susanne nie wezwała pomocy.

Wspomnienie lodowatego chłodu kostnicy przyprawiło ją o dreszcz. Zaciśnęła dłonie na ciepłym kubku, by się ogrzać. Ale chłód, nie mający nic wspólnego z mglistą aurą nocy, pozostał.

Otuliła się ciaśniej podomką i poprawiła poduszki pod plecami, na próżno próbując znaleźć wygodną pozycję. Odpowiedzią na te ruchy było kopnięcie w brzuch.

- Przepraszam, mały człowieczku - mruknęła. Wie dząc, że jej głos brzmi w uszach dziecka tak, jakby mó wiła pod wodą, zaczęła cicho nucić. Dźwięki układały się z wolna w melodię *Puff the Magic Dragon*. Zachichotała po chwili, bo dziecko się uspokoiło. - Jeszcze pięć tygodni i na własne uszy usłyszysz, jak mama śpiewa. To będzie szok.

Dziecko szturchnęło ją lekko.

- Mam dać ci spać, prawda? - szepnęła i znowu zaśpie wała, tym razem ciszej i ze słowami.

Jej syn poruszył się jeszcze raz i znieruchomiał.

Janet oddała się rozmyślaniom.

Na przykład o Brendanie, którego oczy były tak peł-

200

ne radości, gdy wróciwszy ze szkoły, zobaczył mamę i tatę w domu. Wkrótce miała spędzić z nim więcej dni. Znacznie, znacznie więcej.

Przeciągnęła się i ułożyła głowę na oparciu kanapy, rozkoszując się wspomnieniem wspólnej zabawy: złożyli jego starą kołyskę, przygotowali maleńką pościel i wydobyli z ukrycia wszystkie pluszowe zwierzaki, które wciąż kochał, ale starannie chował, by jego sześcioletni przyjaciele nie zobaczyli ich, gdy wpadali, żeby się pobawić.

Uśmiechała się, czując ulgę. Nareszcie Brendan będzie jej małym synkiem, a ona jego mamą. Nie będzie musiał walczyć o jej czas i uwagę, konkurować z wyzwaniem praktyki położniczej. Być może, pomyślała, ale tylko być może uda się stworzyć dla niego magiczne interludium, czasową oazę, w której odzyska wszystko to, co stracił, nie mając jej blisko siebie.

- Tak, akurat - powiedziała na głos. Doradzała wystar czając wielu młodym matkom borykającym się z konflik tem kariera-rodzina, by potrafić odróżnić rzeczywistość od fantazji napędzanych poczuciem winy. Mimo to podo bał jej się ten pomysł. Sześć miesięcy to dla sześciolatka nieskończenie długi czas. A przecież Brendan i tak czuł się bezpieczny, pewny i kochany. Ale takich uczuć nigdy nie

za wiele, pomyślała i roześmiała się w głos.

Muffy uniosła łeb i spojrzała na nią.

- Stałam się taka sama jak moja matka - powiedziała jej Janet. - Ona naprawdę umiała sprawić, że człowiek czuł się kochany. Doprowadzała mnie i moich braci do szału, bo nigdy nie przepuściła okazji do przytulania się i innych czułości.

Muffy spuściła łeb, zupełnie niezainteresowana.

Brendan, rzecz jasna, mógł zareagować tak samo jak jej bracia. Może uzna, że mama zmieniała się w wielką, ob-ciachową nudziarę, jeśli będę wisieć nad nim nieustannie? To dopiero byłaby porażka, pomyślała Janet.

Upiła łyk ciepłej czekolady.

201

Za to Earlowi ulży, kiedy wreszcie przestanę chodzić do pracy. Jest taki uparty, tak draży temat, a jednocześnie nigdy nie odbiera mi prawa do podjęcia decyzji. A przecież cała ta jego wystudiowana neutralność wrzeszczy na całe gardło: „Kobieto, zabieraj się stamtąd w cholerę!” Co więcej, poczciwy głuptas wierzy, że jest uosobieniem nie wtrącającego się męża.

Za to ona zamierzała wtrącać się w jego sprawy, i to z impetem. Wiedziała, że odkąd został wicedyrektorem do spraw medycznych, poważne kłopoty są tylko kwestią czasu, a to z powodu unikatowej kombinacji jego cech: miał wyjątkowy talent do wywąchiwania śmierdzących spraw, a zarazem w żaden sposób nie umiał zostawić ich w spokoju. A przecież sama namawiała go do przyjęcia tej posady. Nie tylko dlatego, że czułby się żałośnie pod rządami jakiegoś pajaca z dyplomem MBA w kieszeni - a ostatnio głównie tacy zajmowali ważne stanowiska w szpitalach -ale dlatego że nowe obowiązki co jakiś czas odciągały go od pracy na oddziale ratunkowym. Wiedziała, że potrzebuje emocji związanych z praktykowaniem tej „medycyny ekstremalnej”, niepowtarzalnej radości „wskrzyszania umarłych”, jak nazywali to niektórzy, ale choć był wybitny w swojej dziedzinie, jego uzależnienie od tego zajęcia wydawało się Janet przerażające. A gdyby pewnego dnia stracił zapał, wypalił się jak wielu jego kolegów? Oni także czerpali z pracy ogromną satysfakcję, lecz przecież dawne triumfy nie ocaliły ich, gdy wreszcie nadszedł przełomowy rok, o jeden rok za wiele. Kiedy więc znający się na rzeczy nazywali ten oddział „otchłanią”, wiedzieli, co mówią. Prędzej czy później otchłań wciągała każdego, kto tam pracował.

Janet uznała, że w najlepszym razie może spowodować opóźnienie tego nieuchronnego procesu, kupić trochę czasu i być może stopniowo odzwyczaić Earla od tego, co było dlań jak powietrze. Nowa posada i nowe wyzwania wydawały się najodpowiedniejszym rozwiązaniem. Lecz

202

nowe obowiązki wciągały Earla szybciej i głębiej, niż się spodziewała. Między romantyczną chwilą spędzoną we dwoje a powrotem Brendana ze szkoły ze ściśniętym żołądkiem wysłuchała opowieści o tym, jak bardzo przejął się niedawnymi seryjnymi zgonami na oddziale opieki paliatywnej. Jako że jego podejrzania oscylowały między wizją pielęgniarek zabawiających się w anioły śmierci a pomysłem, że Stewart Deloram morduje pacjentów w celu wyciszenia ich opowieści na temat doświadczeń z pogranicza życia i śmierci, pięcioro chorych zaś, którzy mogli rzucić jakieś światło na tę sprawę, już pożegnało się ze światem, powstała sytuacja, która nie dawała Karlowi spokoju. Janet знаła go wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie wycofa się, póki nie udowodni lub zdecydowanie nie wykluczy swych najbardziej mrocznych hipotez. Rozumiała też, że nigdy nie należy bezpośrednio odwozić go od tego zamiaru. A co najważniejsze, nauczyła się też ufać jego absolutnie niezawodnemu instynktowi, który pozwalał mu dostrzegać powtarzalne wzory postępowania tam, gdzie inni widzieli tylko chaos nie związanych ze sobą wydarzeń. Bo ilekroć wyczuwał śmierdzącą sprawę i zaczynał ją zgłębiać, okazywało się, że ma rację.

Nie miał jednak pojęcia, że w tej chwili najbardziej potrzebuje kumpla, partnera. Kogoś, kto pomógłby mu w zgłębianiu tej sprawy, która nie dawała mu spokoju, a zarazem pozostałby poza zasięgiem radarów Hursta czy Wyatta. Ci dwaj, gdyby tylko się domyślili, co kombinuje Earl,

zamieniliby jego życie w istne piekło, a przy okazji - także życie jej i Brendana. Bo Earl w misji bojowej zmieniał się w domowego Hamleta: nie myślał o niczym innym. Co gorsza, gdyby w całej tej grze odkrył prawdziwe źródło zła, reakcja prawdziwego anioła śmierci mogłaby być dla niego piekielnie niebezpieczna.

Tak, Janet nadawała się na partnera w tym przedsięwzięciu. Miała dość wolnego czasu, gdy Brendan chodził do szkoły. Miała też prawo pójść do szpitala i po cichu

203

przyjrzeć się grafikom dyżurów pielęgniarskich w zestawieniu z datami zgonów. Mogła być dla Earla tarczą, która uchroni go przed kłopotami. Nikt nawet nie zwróciłby uwagi na to, że jej dociekania wykraczają poza sferę ginekologii i położnictwa. A przede wszystkim, gdyby jakimś cudem się okazało, że wszystko to jest tylko wymysłem jego wyobraźni, mogliby nareszcie odetchnąć z ulgą.

Najpierw jednak musi przekonać swego Samotnego Jeźdźca, by zaakceptował jej pomoc. Był bystrzejszy niż większość znanych jej ludzi i zapewne z tej przyczyny nieodmiennie czuł się zobowiązany do rozwiązywania problemów - także tych na swoim oddziale - na własną rękę. Czy mogła go skłonić, by zechciał jej pomocy?

Dopiła czekoladę i wyrzała przez okno.

Mgła uniosła się nieco i zmieniła w gęstwinę wąskich smug, które wiły się wokół ulicznych latarni, ostrożnym dotykiem badając ich milczący blask. A potem zerwał się wiatr i leniwie odpłynęły w dal, żeglując przez noc jak flotylla złych snów.

## Rozdział 10

**Trzy dni później, sobota, 12 lipca, 0.45**

**Oddział opieki paliatywnej w St Paul's Hospital**

Earl cofnął się w mrok.

Dostrzegł ruch w głębokim cieniu na samym końcu korytarza.

Czuł ból w mięśniach, jakby ktoś rozciągnął je ponad miarę. Po raz setny, odkąd wśliznął się do tej sali prawie przed godziną, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

I wciąż wpatrywał się w tę ciemną czeluść, w której mógł się ukryć człowiek.

I czekał.

Początkowo czuł się dość głupio. Z jego koncepcji statystycznego badania seryjnych zgonów jak na razie niewiele wynikało, a przynajmniej Janet nie dopatrywała się żadnej prawidłowości między grafikami dyżurów a zwiększoną śmiertelnością wśród pacjentów. Ale temat nie był jeszcze wyczerpany.

Zadanie wymagało ogromu pracy i Earl dziękował Bogu, że był wystarczająco sprytny, żeby prosić Janet o pomoc. Pomysł przyszedł mu zniemacka do głowy przed paroma dniami, podczas wspólnego śniadania. Zyskał cenną pomoc w analizowaniu danych, ale to nie było wszystko. Projekt ten okazał się ostateczną zachętą dla Janet do przejścia na wcześniejszy urlop, a co najlepsze - była przekonana, że to jej własna decyzja! Zabawne, jak to się czasem w życiu układa, pomyślał Earl.

205

Szkoda tylko, że wyniki analizy niewiele im pomogły-

Żadna z pielęgniarek nie pracowała częściej niż inne, gdy umierali pacjenci, a grafik siostry Yablonsky wydawał się najmniej podejrzany ze wszystkich. Z dotąd sprawdzonych zapisów wynikało, że nie więcej niż raz w tygodniu zostawała na drugą zmianę.

- Może więc Hurst miał rację? Może przyjmujemy pacjentów w późniejszym stadium chorób i dlatego umierają szybciej? - pytała ostatniej nocy Janet, nieomal z nadzieją w głosie, choć mieli jeszcze do sprawdzenia dane z ładnych paru miesięcy.

A może samozwańcza anielica śmierci przewidziała, że ktoś może poprowadzić śledztwo tą metodą i zabijała swe ofiary poza własnymi dyżurami, pomyślał Earl. T dlatego wybrał się na tę nocną

wycieczkę: żeby sprawdzić, jak łatwo można się dostać na oddział opieki paliatywnej i poruszać się po nim. Zrobił to, choć miał świadomość, że coraz bliższy jest w swym uporze tym wariatom, którzy pojawiali się czasem jako jego pacjenci, głęboko wierzący w teorie spiskowe wszelkiej maści. Uważał jednak, że skoro jest świadom tego podobieństwa, to jego szaleństwo nie posunęło się jeszcze zbyt daleko. Chyba że Janet by się o tym dowiedziała - wtedy zamierzał się przyznać do kompletnego braku poczytalności.

Bez problemu przemknął niezauważony tylnymi schodami. Obliczył, że po północy nie powinien tam nikogo spotkać, i liczył na to, że litościwy „morderca” dokonał tej samej kalkulacji.

Gdy dotarł na ósme piętro, z wahaniem przystanął przed drzwiami. Wiedział, że jeśli je otworzy, światło wedrze się do mrocznego korytarza i natychmiast zostanie zauważone, jeśli choćby jedna pielęgniarka czuwa przy kontuarze. Cofnął się do potrójnego wyłącznika i zgasił wszystkie światła na klatce schodowej. Zapadła ciemność, którą z trudem przebijał blask słabych lampek rozmiesz-

206

czonych na półpiętrach. Teraz nikt nie zauważy, pomyślał Earl i nacisnął klamkę.

Dotarł bezpiecznie do celu — pustego pokoju, w którym się teraz znajdował - ale równie dobrze mógł wejść do każdego innego pomieszczenia i zrobić z bezradnymi pacjentami co tylko przyszłoby mu do głowy. Nie zauważył ani jednej pielęgniarki; słyszał tylko ich radio oraz gwar rozmów dochodzący ze stanowiska tuż obok wind. Sądząc po swobodnym tonie i wybuchach śmiechu, jęki niosące się korytarzem tak samo jak ostatniej soboty, gdy odwiedził ten oddział, nie robiły na nich żadnego wrażenia.

Earl jednak nie mógł zignorować tych koszmarnych dźwięków. Wypełniały przestrzeń nieznośnym smutkiem, a zarazem było w nich coś naglącego, jak w głosach kochanków.

Im dłużej stał w półprzymkniętych drzwiach i nasłuchiwał, tym większy wzbierał w nim gniew. Udowodnił już, że każdy głupiec może paradować po oddziale opieki paliatywnej wedle uznania, a teraz miał ochotę zostać tu dłużej, żeby się przekonać, ile czasu konający nieszczęśnicy będą musieli czekać na pomoc swych tak zwanych opiekunek. Własnych podwładnych obdarłby żywcem ze skóry za taką bezdusność, lecz tu, na paliatywnym, pielęgniarki nie tylko nie pomagały chorym w bólu, ale i wysyłały im zakodowaną wiadomość: „Nie liczysz się nawet na tyle, żeby chciało nam się trzymać cię za rękę w twej ostatniej godzinie”.

Na Boga, jeszcze trzydzieści minut i popamiętacie mnie, myślał. Będę tu stał, palcami stóp blokując drzwi, aż się upewnię, że żadna z was nie zadaje sobie trudu doglądania pacjentów. A potem was załatwię.

Taki miał plan - do czasu, aż zauważył w mroku postać, która przykuła jego uwagę.

Intruz sunął od drzwi do drzwi jak duch, zbliżając się szybko. Jego twarz była niewidoczna, ale w słabym świe-

207

tle dalekiego stanowiska pielęgniarek błyskały raz po raz jego oczy.

Earl poczuł dreszcz przekonany, że oczy spoglądają wprost na niego. Wolniutko cofnął nogę i ostrożnie przymknął drzwi, pozostawiając jedynie wąską szczelinę.

Postać przemknęła na drugą stronę korytarza i zbliżyła się niebezpiecznie, najwyraźniej zmierzając prosto w stronę kryjówki Earla.

Jasna cholera! Earl odskoczył odruchowo i zaczął cofać się na palcach w stronę łazienki. Ledwie zdążył się w niej ukryć, gdy drzwi otworzyły się bezgłośnie i sylwetka intruza zarysowała się na tle nieco jaśniejszej szarości korytarza. Earl zamarł, mając nadzieję, że mrok ciasnej kłitki dobrze go maskuje.

Nieznajomy wszedł i przytrzymał drzwi, by sprężyna nie zamknęła ich zbyt szybko. Podkrał się do żaluzji i pociągnął za sznurek. Pomarańczowy blask lamp sodowych natychmiast pokrył pokój tygrysimi paskami światła.

Intruz odwrócił się i z wyraźnym zaskoczeniem spojrzął na pusty materac. Znieruchomiał, jakby zahipnotyzowany jego nagością.

Lomot własnego serca wypełniał uszy Earla hałasem, który zdawał się brzmieć jak bębnienie w

pusty pień. To musi być ta zabójcza pielęgniarka. Albo pielęgniarz, pomyślał pod wpływem impulsu i już przygotowywał się do zadania ciosu, gdy nagle dostrzegł własne odbicie w lustrze wiszącym w pokoju dokładnie naprzeciwko łazienki. Poziome pasma światła i ciemności upodabniały jego strój ochronny do bandaży mumii; mógł być pewny, że jeśli zrobi choć krok naprzód, przeciwnik dostrzeże w lustrze ruch. Wahanie dało mu czas na rozważenie jeszcze jednej, dość trzeźwej myśli: a jeśli ktoś po prostu wszedł do pokoju przez pomyłkę?

Nie ośmielając się nawet zaczerpnąć tchu, zaczął wolno unosić prawe ramię, by sięgnąć do włącznika światła. Zakładał, że zaskoczony intruz rzuci się do ucieczki, ale choć

208

przez chwilę jego twarz będzie widoczna. W tej chwili — w marnym świetle i z powodu maskującego stroju ochronnego - nie umiał nawet określić jego płci.

Lustro powtórzyło wiernie jego ruch.

Postać zastygła na moment, a potem odwróciła się gwałtownie i skoczyła ku niemu.

Earl przyjął uderzenie na klatkę piersiową i stracił równowagę. Czyjs mocny bark uniósł go nieco i wbił w wykafelkowaną ścianę. Moc uderzenia zamieniła płuca Ear-la w miechy, z których powietrze umknęło z rykiem. Coś błysnęło oślepiająco przed jego oczami, a potem osunął się na ziemię, walcząc z ogarniającą go ciemnością, która zdawała się wciągać go w spiralną otchłań.

Przegrał i mrok wsączył się do jego umysłu, ale zanim stracił świadomość, usłyszał jeszcze charakterystyczne skrzypienie: ktoś biegł po linoleum. Brzmi jak świergot ptaków, pomyślał.

Kimkolwiek był intruz, na pewno nie nosił papierowych ochraniaczy na buty.

- Może powiesz nam, co tam robiłeś, u diabła?

Niespokojny głos Jimmy'ego wdzierał się w czaszkę

Earla jak wiertło. Otworzył oczy i zobaczył jaskrawe światła pod sufitem oraz księdza, który pochylał się nad nim w asyście dwóch pielęgniarek. Spróbował usiąść i teraz dopiero zauważył, że leży na nagim materacu.

- Złapaliście go?
- Kogo?

Earl spojrział na zegarek. Nie był nieprzytomny **dłużej** niż kilka minut.

- Tego, kto mnie zaatakował.

• Nikogo tu nie widziałem. Znalazłem cię tu, kiedy jak zwykle zaszedłem, żeby powiedzieć Sadie dobranoc. - Jim-my spojrział po twarzach pielęgniarek. - A propos, gdzie ona jest?

• Dałem jej przepustkę na weekend - odpowiedział Earl, z trudem siadając na brzegu łóżka. Głowa i plecy

209

bolały go jak diabli, nawet gdy oddychał. — Jej syn przyleciał z Honolulu dzień wcześniej. Zrobił jej niespodziankę: wynajął pielęgniarkę i sprowadził Sadie do domu, żeby mogli spędzić razem kilka dni. Nie mogła się skontaktować z Wyattem, a rezydenci nie chcieli podjąć decyzji. Nie wiedziała, do kogo prócz mnie mogłaby zwrócić się o pomoc.

- Dobrze, ale co ty tu robisz? - Głos kapelana wciąż był pełen napięcia.

Earl spojrział najpierw na niego, a potem na pielęgniarki. Światło atakowało go wciąż z siłą solidnej migreny.

- Wiedząc, że pokój Sadie będzie wolny, postanowiłem przeprowadzić małą kontrolę: sprawdzić, jak często pracownicy nocnej zmiany zaglądną do pacjentów. I wierzcie mi, moje panie, nie zrobiłyście na mnie dobrego wrażenia! - Nie była to cała prawda, ale uznał, że to wystarczające wytłumaczenie jego nocnej wizyty. Gorączkowo zastał się nad tym, kim był intruz, i nie miał najmniejszej ochoty na zwierzenia na temat znacznie bardziej mrocz

nych podejrzeń, które sprowadziły go tu w środku nocy.

Jak przewidywał, pielęgniarki zareagowały oburzeniem.

- Jak pan może tak mówić?

- Traktujemy tych ludzi jak własnych rodziców!

W takim razie współczuję waszym matkom i ojcom, po myślał Earl.

- Proszę mi powiedzieć, czy w ciągu ostatnich dwudzie-  
stu minut któraś z siostr zrobiła sobie przerwę w pracy?

Zaskoczył je tym pytaniem.

Odpowiedziała mu młodsza, której piegi idealnie pasowały kolorem do kosmyków rudych włosów wystających spod czepka.

- Nie! A dlaczego pan pyta? - Jej głos stał się nagle piskliwy. - Chce pan powiedzieć, że to któraś z nas pana przewróciła?

Zignorował jej pytanie.

210

• A co z salowymi? Czy któryś miałby powód, żeby zaglądać tu o tej porze?

• Jasne, że nie - odpowiedziała starsza, żując wielki kawał gumy z hardą miną ulicznej dziwki. - Zdjęliśmy pościel z łóżka Sadie, kiedy wyszła. Założymy znowu, w niedzielę wieczorem, tuż przed jej powrotem.

• Sprzątaczk?

• O tej porze? - odpowiedziała pytaniem młodsza. Jej oczy mówiły: „Daj pan spokój”.

Earl spojrział na stolik nocny. Leżały na nim kalendarz, zdjęcie młodego, opalonego mężczyzny - zapewne Don-ny'ego - oraz kilka ołówków. Otworzył szufladę. Zobaczył tylko Biblię, chusteczki i papeterię.

• Czy Sadie trzymała tu biżuterię lub inne cenne przedmioty, które ktoś mógłby chcieć ukraść?

• Jeśli tak, to zabrała je ze sobą - odrzekła żująca. - W końcu wie, że nie będzie miała już wielu okazji, żeby ponosić takie rzeczy.

Earl zgrzytnął zębami, słysząc tę cyniczną uwagę.

• A co z rezydentami, którzy wpadają czasem do pustych pokojów na szybki numer? - zasugerowała młodsza, zabarwiając swoje słowa odpowiednio bezczelnym tonem. — Nie podejrzewa ich pan?

• Rezydentów?

• Tak. Takich tandeciarzy, co to żałują kasy na motel. Kapuje pan, nie? A może sądzi pan, że to się nie zdarza?

Oczywiście wiedział, że się zdarza. Tylko czy ktoś, kto umówił się w pustym pokoju na ekspresową randkę, zaatakowałby go tak brutalnie, żeby nie zostać zdemaskowanym?

Miał już dość rozmowy z wyraźnie wrogo nastawionymi pielęgniarkami. Wskazał palcem na tę piegowatą.

- Proszę zawiadomić ochronę. Niech szukają osoby bez ochraniaczy na butach. - Prawdopodobnie nie miało to wielkiego sensu; w całym szpitalu stały kosze ze strojami ochronnymi. Napastnik zapewne zdążył się zaopa-

211

trzyć w ochraniacze w ciągu minuty od opuszczenia oddziału.

- Po co ktoś miałby zdejmować papierowe ochrania-  
cze? - spytała pielęgniarka.

Jimmy wykonał kilka tanecznych kroków w stylu Freda Astaire'a, ślizgając się niemożliwie.

- Dla lepszej przyczepności - wyjaśnił, wciąż spięty.

Kiwnęła głowa i wyszła.

Earl wstał z wysiłkiem, a Jimmy natychmiast pospieszył mu z pomocą.



- Może sprowadzę cię na dół, żeby twoi ludzie cię obejrżeli?

Wyraźnie wytrąciło go z równowagi całe to zajście, pomyślał Earl. Jimmy zaciągał po irlandzku wyłącznie wtedy, gdy żartował lub gdy coś wstrząsnęło nim do głębi.

• Nie, nie trzeba. Nie byłem nieprzytomny dłużej niż pięć minut. Przypadki utraty przytomności nie trwającej dłużej niż dwadzieścia minut nie kwalifikują się nawet do tomografii komputerowej. - Nie było to całkiem prawdziwe twierdzenie, ale wystarczająco prawdopodobne, by mógł się oddalić w spokoju. Miał ochotę wrócić do własnego łóżka.

• A może zapytamy, jak ojciec się tu dostał? - odezwała się żująca gumę, tonem jeszcze kwaśniejszym niż zwykle. - Nie widziałyśmy nawet, kiedy ojciec wszedł. Jak zwykle zresztą - dodała, spoglądając na Earla. - A może tylko niższy personel nadaje się na podejrzanych?

Oczy Jimmy'ego zapłonęły jak dwa węgle, a Earl zerwał się na równe nogi.

- Dostyc tego! - zawołał i w tym momencie nagły zawrót głowy zmusił go do powrotu do pozycji siedzącej.

Podparł głowę dłońmi i z niedowierzaniem patrzył, jak Jimmy pochyła się ku pielęgniarce, unosząc rękę jak bokser - choć nie zacisnął pięści, jedynie celował w nią zagiętymi jak szpony palcami.

- Nie widujecie mnie, ponieważ żadna z was nie pod-

212

nosi nosa znad kubka z kawą i ani na chwilę nie przerywacie tych swoich pogawędek... - tylko to wam w głowie. I dlatego nie tylko nie zauważacie moich wizyt, ale także nie słyszycie, co się wokół was dzieje. - Skierował palce ku górze i w ciszy rozległ się jednostajny jęk cierpiących, niezmienny jak szum dalekiego oceanu. - Gdybyście naprawdę słuchały tego, na co stałyście się głuche, być może znalazłybyście w sercach choć tyle miłosierdzia, by pocieszyć umęczone dusze, które odchodzą z tego świata samotne i przerażone.

Kobieta cofnęła się odruchowo, spoglądając na Jim-my'ego w zdumieniu.

• Zaraz, zaraz....

• A jeśli tego nie zrobicie - dodał, zbliżając się o krok -to kiedy przyjdzie wasza pora, każda z tych cierpiących dusz będzie krążyć u bram świętego Piotra, czekając na was, gotowa zaświadczyć przeciwko wam i zesłać was w głębiny.

Pielęgniarka poczerwieniała, jakby zbyt długo była na słońcu.

• Jak ojciec śmie grozić...

• Grozić? O nie, moja droga. To tylko staroświeckie kazanie... szerzenie bojaźni bożej w duszy nędznej grzesznicy, by ją ocalić. - Oczy Jimmy'ego otoczyły zmarszczki uśmiechu, ale błyski w nich wciąż były twarde jak diamenty.

Kobieta wykonała jeszcze kilka ruchów zuchwą, jakby przekładała gumę z jednej strony ust na drugą, po czym wycofała się na korytarz.

• Niech mi Bóg wybaczy, ale ktoś musiał jej nagadać — powiedział Jimmy. W stresie tak mocno zaciskał szczęki, że jego maska wydawała się o numer za mała.

• Bez wątplenia - zgodził się Earl. Ale w duchu powiedział sobie, że nigdy jeszcze nie widział Fitzpatricka w takim stanie.

• Ale proszę, minął tydzień i jaka różnica - odezwał się

213

Jimmy, zmieniając temat. - Pomyśleć tylko, że w zeszłą sobotę mówiłeś mi, że mam dać spokój Wyattowi i jego załodze. A teraz mi kibicujesz.

Tym razem jego irlandzki akcent brzmiał już komicznie i Earl spróbował się zaśmiać, w nadziei że rozładuje atmosferę. Jego chichot zabrzmiał jednak sucho i sztucznie.

Ogień w oczach Jimmy'ego przygasł.

- Przepraszam, Earl - powiedział, westchnąwszy głę boko. - Zdaje się, że jestem ostatnio tak samo podmino wany jak inni.

Earl wzruszył ramionami.

- To zrozumiałe.
- Poza tym nie mogę przestać myśleć o tym, że gdybym cię nie podpuścił w tamtą sobotę, nie wpakowałbyś się w te całe kłopoty...
- Ejże, przecież musiałem się zorientować w sytuacji.
- Aleja wcale nie chciałem, żebyś dostał obsesji na tym punkcie i zakradał się na oddział w środku nocy.
- Nie dostałem żadnej obsesji.
- Popatrz tylko, co się dzisiaj stało. Naprawdę mogłeś ucierpieć. Na miłość boską, bądź mądrzejszy. Przypuszczam, że nie miało się tu wydarzyć nic bardziej zdrożnego niż drobna kradzież. Skoro my wiemy, że pielęgniarki nie przykładają się tu do pracy, to i złodzieje w naszej małej społeczności muszą o tym wiedzieć.
- Mam być mądrzejszy?
- Tak, właśnie mądrzejszy. Wszyscy mamy na głowie poważne problemy. Niech ochroniarze zajmą się łapaniem łajdaków zakradających się po nocy do pokoi starszych pań i kradnących ich własność. Mówię poważnie, Earl.

Brzmiało to jak naprawdę dobra rada.

- Może Sadie wie, kto to mógł być - zasugerował Jimmy. - Może ktoś zbyt się interesował jej dobytkiem?

214

- Może.

Tylko że Jimmy nie wiedział o jednym: ten, kto kręcił się tu tej nocy, mógł być zabójcą pacjentów. Trudno było odgadnąć jego tożsamość na podstawie wzrostu. Może to była kobieta? Na przykład Monica Yablonsky miała dość krzepy, żeby powalić Earla na ziemię. Równie dobrze mógł to uczynić buldog Wyatt, jeśli miał coś wspólnego ze sprawą. Albo i Stewart, jeżeli chciał ukryć swoje sekrety. Albo, co gorsza, mogła to być zupełnie obca osoba, nic nie znacząca cyferka wśród tysięcy ludzi pracujących w St Paul's. Może nie była lekarzem? Może jej motywacje były zupełnie niezrozumiałe?

Earl wzdrygnął się mimowolnie.

Nie miał nadziei na to, że statystyczne badania przyniosą rozwiązanie. Chciał tylko, by ten, kto zaatakował go tej nocy, okazał się drobnym złodziejaszkiem.

Podziękował Jimmy'emu za pomoc i o własnych siłach wyszedł ze szpitala.

Otwierając drzwi samochodu, myślał ze zdwojoną intensywnością o tym, co się stało. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że miało to jakiś związek z niewyjaśnionymi zgonami na oddziale opieki paliatywnej. Krąg podejrzanych był olbrzymi: mógł nim być i ten, kto ze swoiście pojętej litości chciał skracać cierpienia chorych na raka, i ten, kto gotów był zrobić wszystko, byle tylko zamaskować skandal. Każdy, poczynając od Hursta na samej górze, a kończąc na najmniej znaczącym pracowniku szpitala. Earl nie mógł przestać myśleć o najgorszym scenariuszu: że sprawcą może być każdy, a motyw - jakkolwiek.

Oczami wyobraźni widział twarze. Nie mógł odsunąć od siebie tego widoku.

Przyjaciele, koledzy, maniacy na punkcie eutanazji -czy to pojednaj, czy po drugiej stronie barykady - przypominali mu się wszyscy po kolei, nawet... Nie, to już przesada, pomyślał. Pora wracać do domu i się przespać.

Kilka głębokich oddechów chłodnym powietrzem nocy

215

pomogło mu zapanować nad wirem myśli. I tylko jeden obraz powracał uparcie, gdy jechał w stronę domu, a także potem, podczas niespokojnego snu.

Zamaskowana postać o błyszczących oczach, pochylona z wyciągniętymi rękami nad łóżkiem Sadie Locke.

## Rozdział 11

Tym razem sny nadeszły pod koniec nocy.  
Czasem stałem u szczytu schodów i wołałem ją. i  
Bez odpowiedzi.  
Brak światła w piwnicy.  
A przecież bez wątpienia słyszałem jakiś **hałas na dole**.  
Innym razem szedłem korytarzem do jego biura.  
Światła były przygaszone.  
Gdy podeszedłem bliżej, usłyszałem szum płynącej wody. Silny strumień. Jakby ktoś napełniał wannę.  
Tylko że w takim miejscu nie powinno być wody.  
Albo mój sen zaczynał się w taki sposób, że nie miałem pojęcia, dokąd mnie ostatecznie doprowadzi. Na przykład w samym środku słonecznego dnia, w parku, pośród zieleni traw, w podmuchach łagodnego wiatru i w ciepłe promieni przebijających się przez pomarańczowe i żółte liście. A może i to były wskazówki? Może dzień naprawdę był słoneczny? Czy poszliśmy do parku? Nie pamiętałem. Ale pora roku się zgadzała: jesień. Nie przypominałem sobie koloru liści, ale znałem datę, dziewiąty dzień listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Datę, która utkwiała w mojej głowie jak kula. Dzień, w którym świat zmienił się na lepsze, ale mój wszechświat się rozpadł.  
Czy dlatego właśnie on wybrał ten dzień? Żeby mieć pewność, że nikt nigdy nie zapomni o rocznicy?  
Może.

217

A może nasza zbliżająca się wizyta pomogła mu wybrać termin — nie mógł się z nami spotkać - i po prostu wykorzystał historyczny zbieg okoliczności, moment, w którym wszyscy inni mieli wlepiąć wzrok w telewizory i nie przeszkadzać.

Czasem odmieniał mi się punkt widzenia i nagle znajdowałem się w głowie Jerome'a, zmuszony doświadczać tego, jak strasznie samotny czuł się w tych rozpaczliwych, a przecież tak metodycznie zaplanowanych chwilach.

A potem znowu wracałem do punktu wyjścia: znów bałem się nadchodzących zdarzeń, lecz nie wiedziałem, na czym będą polegać.

Ale bez względu na to, jak i gdzie się rozpoczynały, wszystkie sny wiodły mnie w to samo miejsce i tak samo się kończyły.

Stałem w ciemności, wsłuchując się w kaskady wody szumiącej za drzwiami. Pamiętam też urywki ledwie słyszalnej muzyki. Krople skapujące z moich butów, gdy zrobiłem krok naprzód, uświadomiły mi, że stoję w kałuży, która wypłynęła spod progu.

Znowu zawołałem.

Bez odpowiedzi.

Nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Nacisnąłem mocniej i pchnąłem.

Otworzyły się i szum wody stał się jeszcze głośniejszy. Rozpoznałem też piosenkę.

- Halo? - zawołałem, przekrzykując te dźwięki, i rozejrzałem się w półmroku laboratorium.

Znowu bez odpowiedzi.

Cyfrowe wyświetlacze, jarzące się zielenią i ognistą czerwienią, rzucały neonowy blask, który nieznacznie drżał, odbijając się w rozlewisku na podłodze. Pośrodku, niczym odwrócona fontanna, tryskał strumień wody z uszkodzonej rury biegnącej pod sufitem. Światła było wystarczająco dużo, by krople lśniły szmaragdowo i rubi-

218

riowo, ale pośrodku ich kaskady wisiał jakiś ciemny, nieprzezroczysty kształt.

Powinienem był odwrócić się i wyjść, sprowadzić konserwatora.

Ale ten ciemny kształt mnie przyciągał.

Gdy podszedłem, przybrał ludzką postać; wyglądało to tak, jakby ktoś stał pod prysznicem, z głową pochyloną do przodu i skulonymi ramionami, przyjmując na kark i górną część pleców całą moc wodnego strumienia. Podszedłem jeszcze bliżej i poczułem na twarzy dotyk kropelek tworzących delikatną mgiełkę wokół głowy tej postaci. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale wszedłem pod tę wodną kopułę i spojrzałem na zwróconą ku dołowi twarz, która patrzyła prosto na mnie. Słabe światło odbijało się na mokrej skórze, nadając jej oliwny połysk i nieco purpurowy odcień. Wybałuszone oczy sprawiały wrażenie wściekłych, spuchnięte policzki chciały pęknąć, a obrzmiały język, wielki jak polska kiełbasa, zwisał krzywo z półotwartych ust.

Krzyknąłem i obudziłem się zlany potem.

Przez moment czułem ulgę, która przepelniała mnie za każdym razem, gdy uciekałem przed tym koszmarem.

Ale zaraz świt dał mi po oczach, wciskając się między poziome pasy żaluzji, i przypomniałem sobie o pokoju starej kobiety.

I o zasadzce Gameta.

Kolejny dzień nie odstępował mnie strach przed zdemaskowaniem. Nie mogłem już się przed nim bronić. Pasożytował już nawet na moim drugim „ja”, a to oznaczało, że ktoś mógł w końcu dostrzec mój lęk i nabrać podejrzeń.

Cholera.

Ale przynajmniej Earl mnie nie rozpoznał; gdyby było inaczej, miałbym już policję u drzwi.

Tylko co on tam robił, u diabła? I skąd wiedział, że powinien odesłać tę starą w bezpieczne miejsce? Czyż-

219

by coś przeczuwał? Czy mógł odkryć całą tajemnicę? Chryste, a może to on skradał się korytarzem w zeszłym tygodniu?

Moja skóra znów stała się lepka; pot wsączał się w i tak nieciekawie pachnącą pościel. Odrzuciłem z obrzydzeniem koldrę i poszedłem pod prysznic. Odkręciłem do końca kurek zimnej wody. Lodowate igielki zmyły złe myśli o ucieczce i pomogły się skupić, ale nie przyniosły wielkiego pocieszenia. Gdy próbowałem zapanować nad najgorszymi obawami i odróżnić fakty od zagrożeń, które istniały tylko w mojej wyobraźni, z bólem uzmysłowiłem sobie kilka spraw, które odsunęły w cień wszystkie inne.

Kimkolwiek była postać w korytarzu, nie zmieniało to faktu, że to Gamet czatował na mnie ostatniej nocy. Bez względu na to, dlaczego odesłał tę kobietę i trzymał straż w jej pokoju, teraz miał już pewność, że znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie. To oznaczało, że będzie bardziej czujny niż kiedykolwiek i że nikt i nic nie powstrzyma go przed drażnieniem prawdy.

Ale jakiej prawdy, oto jest pytanie. Tej, którą zaplanowałem specjalnie dla niego, czy tej rzeczywistej? Fałszywe tropy nie musiały wcale zmylić Earla. Przecież mógł znaleźć wszystkie kawałki tej układanki, nie było to takie trudne, a w dodatku miał wystarczający potencjał umysłowy, by nie tylko je znaleźć, ale i złożyć w całość.

Pora przyspieszyć wdrażanie planu.

### **Niedziela, 13 lipca, 18.10**

- Siadaj, Thomas. - Jane była dziwnie spokojna i czuła, że w pełni panuje nad sytuacją. To poczucie siły towarzyszyło jej przez cały weekend, najpierw gdy odmawiała spotkania z Thomasem, a potem gdy kazała mu się stawić w swoim mieszkaniu. To, że zjawił się dwadzieścia minut przed czasem, tylko umocniło jej postawę, któ-

220

ra mogła streścić słowami „albo po mojemu, albo do widzenia”.

Nie rozciągnął się, jak to zwykle robił przed kolacją, na dywan w salonie, tylko zasiadł na jednym z tapicerowanych krzeseł, które wydawało się o rozmiar za małe dla niego. Musiał zgąć się

nieco, jak na wpół złożonym leżaku.

Zachichotała na ten widok.

Uśmiechnął się natychmiast.

- O, tak lepiej. Boże, tak tu **pachniało powagą, że już** się spodziewałem złych nowin.

Nie odpowiedziała.

Pochylił się zaraz, a na jego **twarzy pojawił się wyraz** zatroskania.

- J.S., co się dzieje?

Nie lubiła, kiedy zwracał się do niej inicjałami, jak czynił to doktor G. Miała wrażenie, że to ingerencja w coś prywatnego, co dzieliła z wyjątkowym przyjacielem.

Patrzyła na szczupłą, ale i mocną postać oraz wąską twarz okoloną brodą, zastanawiając się, jak doskonale jego wygląd wpisywał się w jej nastoletnie fantazje o południowcach, ludziach lasu twardych jak dębowy trzonek topora, a zarazem bardziej chłopięcych niż męskich. Pora dorosnąć, pomyślała. I sprawdzić, ile jest wart.

- Jestem w ciąży.

Miała wrażenie, że przestał oddychać.

Sekundy płynęły wolno w dyskretnej ciszy.

- Thomas, słyszałeś, co powiedziałam?

-Jezu, Jane, daj mi chwilę. To dość szokująca nowina.

- Naprawdę? A ile razy się kochaliśmy? Ze sto? A czy za każdym razem używałeś świeżej prezerwatywy, kiedy zaczynaliśmy od nowa? Byłam w tym wszystkim tak samo nieuważna jak ty; to dzieło zbiorowe. Bądź tak miły i daruj sobie to zdumienie. - Zaskoczyło ją to, jak wiele niecierpliwości jest w jej głosie. Ale co tam, do diabła, pomyśla-

221

ła. Niech się dzieje, co chce. Nie ma czasu na bzdury. Nie w tej chwili.

Patrzył na nią z otwartymi ustami, jakby była zupełnie obcą osobą.

Położyła dłoń na jego głowie i przeczesła palcami włosy.

- Zapomnij o uprzejmych kłamstwach, Thomas. Muszę wiedzieć: chcesz tego dziecka czy nie? Chcesz być tatą? - Jej słowa były brutalnie szczere i mocno kontrastowały ze spokojnym tonem głosu.

Otworzył usta jeszcze szerzej.

- I za cholerę nie będę błagać. Jeżeli nie chcesz mieć nic wspólnego z tym dzieckiem, zabieraj się stąd i załatw sobie adwokata.

Thomas jakby zgiął się jeszcze mocniej na swym zbyt małym krześle.

Myśl tylko o dziecku, upomniała się w myśli Jane. Radowało ją poczucie wolności. Od rozczarowania matki jej postawą. Od dezaprobaty wszystkich w Grand Forks. Od plotkujących języków w St Paul's. Czuła się tak, jakby opadły krepujące ją łańcuchy. Zniknęło wahanie i nieustanne roztrząsanie pytania: co dalej? Praca? Będzie trzymać się jej tak długo, jak się da. Dokąd pójść? Zostanie tu, w swoim mieszkaniu. Kto jej nagada, że powinna była zachować ostrożność? Oczywiście braciszek, Arliss.

Pstryk, pstryk, pstryk - decyzje i odpowiedzi pojawiły się we właściwych miejscach.

A Thomas patrzył na nią w bezbrzeżnym zdumieniu.

Tym większą satysfakcję dawało jej to nagłe przejęcie inicjatywy.

- Nigdy cię takiej nie widziałem - powiedział z niedowierzaniem. - Ty... ty... promieniejesz.

To hormony, głupolu, chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Ale milczenie zaciążyło jej zaraz jak wielki balast na piersi; jak gdyby tymi paroma słowami Thomas przechwycił ją w locie i na powrót postawił na ziemi.

- Chcę powiedzieć, Jane, że... Po prostu kwitniesz. -  
Wstał, podszedł do niej i oplótł ją ramionami.

Oparła mu się.

- Nie. Teraz powiesz mi, czego chcesz.
- Kocham cię.
- Jasne. A co z dzieckiem? Uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Z dumą zostanę tatą u twego boku.

Patrzyła, jak jego źrenice rozszerzają się bardziej niż kiedykolwiek; nawet w łóżku nie bywały tak wielkie. Czyżby z pożądania? Nie tym razem. Wyglądał raczej tak, jakby ktoś przyłapał go w połowie opowiadania dowcipu i nagle bomba wybuchła.

Pod jej uważnym spojrzeniem przeszedł do obrony.

- No co? - spytał, uśmiechając się jeszcze szerzej.
- Z dumą?

- Ano z dumą. Jestem zaskoczony, ale dumny. - Uśmiechał się wciąż, jakby coraz bardziej podobało mu się słowo, które wybrał. Pochylił głowę, żeby pocałować Jane.

Uchyliła się i odsunęła go na długość ramion.

- Dumny! - powtórzyła tak, jakby było w tym słowie coś odrażającego.

Thomas nie był już taki pewny siebie. Zaatakowała z tym większą siłą.

- A cóż to u diabła znaczy, że jesteś dumny? Co, zamie rzasz wyciąć kolejny karb na swoim... swoim... nieważne na czym, tylko dlatego, że mnie zapyliliś?

Jego oczy rozszerzyły się jeszcze odrobinę, a potem zwęziły do rozmiaru czubka szpilki.

Takie źrenice widywała tylko w świetle lampy stroboskopowej.

Kilka razy zaczerpnął powietrza ustami, ale się nie odezwał.

Jej zniecierpliwienie sięgnęło stratosfery.

- No to posłuchaj, kolo, jakie mam dla ciebie nowiny. Nie jestem ani twoim, ani niczym trofeum łowieckim. - Wie-

działa doskonale, że werbalnie balansuje między byciem ostatnią suką a ostatnią wariatką, ale nieopisaną radość dawało jej to, że Thomas kurczy się pod naporem jej słów.

- Cholera, Jane, tak mi przykro...
- Mnie też.
- Ale nie bądź na mnie wściekła...
- A dlaczego? Właśnie jestem. -Ależ...
- Ależ co? Mów do mnie, Thomas.

Ku swemu zdumieniu usłyszała nerwowy chichot. Th(fr\* mas próbował nad nim zapanować, ale zamiast tego wybuchnął głośnym śmiechem z głębi piersi.

- Jesteś dziś po prostu niemożliwa - wysapał wreszcie i uklęknął przed nią. - Wybacz, pobij mnie, nakrzyycz, jeśli chcesz, ale jestem: zachwycony, dumny, szczęśliwy, zaskoczony... — powiedz „stop”, kiedy wymienię właściwe słowo... że mogę być ojcem twojego dziecka.

Jej gniew rozpułnął się i zniknął bez śladu.

Wyciągnął do niej ręce i przywołał tym swoim diabelnie kuszącym uśmiechem.

Skoczyła naprzód, przewróciła go na plecy i przycisnęła ciężarem swojego ciała. Siedząc mu na piersi, zablokowała kolanami jego ramiona.

- Więc chcesz być tatą?
- Chcę być tatą.

- I mnie też chcesz?
- Kocham cię.
- Chcesz kochać, być wiernym i posłusznym?
- O, tak, zwłaszcza posłusznym! Bo inaczej mnie zabijesz, prawda?
- Prawda!

Cieszyła się tak, jakby odniosła wielkie zwycięstwo; jakby stanęła oko w oko z przeznaczeniem i napluła na nie, jakby zdobyła swój pierścień... Przychodziły jej do głowy różne wyświechtane porównania, ale ważne było to, że postawiła na swoim.

224

I na dodatek zdobyła seksownego człowieka lasu z Tennessee.  
Całkiem jak Daisy Mae z komiksu.

### Poniedziałek, 14 lipca, 21.30

Earl ułożył się wygodniej w fotelu w swoim gabinecie i wybrał z listy szybkich połączeń numer domowy Michaela. Następnego dnia Popovitch miał reprezentować oddział podczas raportu posekcyjnego i należało go o tym uprzedzić. Zwłaszcza że zapowiadał się on nader burzliwie, a więc mógł potrwać dłużej niż zwykle.

- Halo? - Głos Donny był trochę niewyraźny, jakby została wyrwana ze snu.
- Donna, tu Earl. Obudziłem cię? Przepraszam. Chciałbym mówić z Michaelem. Sądziłem, że jeszcze nie śpisz. -Popovitch i jego żona byli ostatnimi znajomymi z jego grupy wiekowej, którym chciało się jeszcze oglądać wiadomości o dwudziestej trzeciej.

- Przecież ma dziś dyżur na oddziale.

Jasny gwint.

- No tak! Ależ ze mnie idiota. Chyba przestają ogarniać grafik dyżurów - powiedział pośpiesznie, by jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. - Zadzwoń tam. Spij spokojnie. Dobrej nocy. - Odłożył słuchawkę, zanim Donna zdążyła odpowiedzieć.

W ciągu tylu lat pracy wiele razy dzwonił do domów swych kolegów i słyszał odpowiedzi małżonków, że poszukiwana osoba powinna być w szpitalu. T za każdym razem odgrywał wtedy rolę roztargnionego profesora, twierdząc, że pogubił się w grafiku. Lecz prawda była taka, że rozkładu dyżurów nie mógł zapomnieć; pamiętał go równie dobrze jak numer telefonu do własnego domu. Wszyscy mieli swoje stałe miejsca w grafiku, a on znał je na pamięć, podobnie jak oni. Życie lekarza z oddziału ratun-

225

kowego obracało się wokół jednego schematu: kto dostaje urlop latem, kto pracuje w Boże Narodzenie i kto bierze dyżur w sylwestra. Żadna inna sprawa nie przyprawiała szefa o taki ból głowy jak pilnowanie, by w żadnym dniu roku nie zabrakło ludzi do pracy. Michael nigdy nie pracował w poniedziałkowe wieczory. Zatem jeśli nie zamienił się z kimś w ostatniej chwili, najwyraźniej okłamał Donnę co do swoich planów.

Przyłapanie kogoś na takim wysoku zawsze było dla Earla bolesne. Wolał nie wiedzieć o osobistych problemach ludzi, z którymi pracował. Niestety, kłopoty w domu często oznaczały kłopoty w pracy. Z konieczności więc przyglądał się uważniej podwładnym, których intymne sekrety zdarzyło mu się przypadkowo odkryć. Ale dowiedzieć się czegoś takiego o przyjacielu, koledze, zastępcy — to oznaczało problem na trzech frontach jednocześnie i zupełnie nowy poziom ostrożności we wzajemnych stosunkach.

Boże, obym tylko się mylił, pomyślał Earl, dzwoniąc na swój oddział.

- Witam, tu Garnet. Kto ma dziś dyżur?
- Doktorzy Green i Kradic - odpowiedziała telefonistka, wymieniając nazwiska dwóch weteranów,

którzy od wieków trzymali wachkę w poniedziałkowe wieczory. - Mam łączyć?

- Właściwie to bardziej mnie ciekawi to, czy jest tam gdzieś Michael Popovitch. Może siedzi w swoim gabinecie?

- Chwileczkę, sprawdzę.

Earl odetchnął głęboko i zapatrzył się na drzewa za oknem, kołysane silnym wiatrem przed zapowiadaną na noc burzą. Liściaste konary przesuwaly się w tę i z powrotem na tle latarni, zasłaniając i odsłaniając światło niczym oszalałe semafony.

- Przykro mi, doktorze Garnet, ale nikt go tu nie widział.

226

**Wtorek, 15 lipca, 7.00**

**Sala konferencyjna patomorfologii**

**Paul's Hospital**

Szczałki ciała Elizabeth Matthews leżały w otwartych, przezroczystych pojemnikach z tworzywa sztucznego, ustawionych długim rzędem na wielkim, wypolerowanym dębowym stole. Earl przyjrzał się najpierw wątrobie koloru ochry, a potem zabarwionym węglem płucom palaczki, dwóm lśniącym, szarym nerkom oraz rdzawoczerwonemu sercu okrytemu żółtawymi kawałkami tłuszczu, którego przedsińki i komory otwarto jak wnętrze dorodnej papryki. Na osobnej tacy leżało danie dnia: bezkształtna, gru-złowata masa nowotworu o perłowej barwie, porastająca i przenikająca jajniki i macicę, a raczej równie bezkształtną, czerwono-brązową papkę, która z nich została. Ostatnie dwa eksponaty — zwinięty fragment jelita oraz dwie połówki mózgu - spoczywały nieco dalej, nie robiąc nawet w przybliżeniu takiego wrażenia jak zawartość tacy.

W czasach przed wybuchem epidemii SARS zapach świeżej kawy pomógłby zniwelować przykrą woń towarzyszącą nieodłącznie takim sesjom, ale teraz było inaczej. Nie serwowano lekarzom napojów, a w całym szpitalu pojawiły się tablice z napisem „Zakaz jedzenia w pracy” oraz znaki wyobrażające ludzką postać unoszącą maskę, by ugryźć ciastko, otoczoną czerwonym okręgiem i przekreśloną wyraźną, grubą kreską biegnącą ukośnie. Większość pracowników uważała tę restrykcję za bardziej dolegliwą niż zakaz palenia. Palacze należeli wszak do mniejszości, podczas gdy zakaz jedzenia dotykał wszystkich, skazując ich na głód, niedobór kofeiny i piekielnie podły humor.

Mimo to raporty posekcyjne pozostały dość popularnym rodzajem spotkań lekarzy i stażystów. Nóż patomorfologa nie oszczędzał nikogo i odsłaniał ostateczną, prawdziwą diagnozę, ujawniając wszelkie pomyłki - czy to obciążające najznakomitszego szefa czy najmarniejszego studen-

227

ta. Sala była więc zwykle pełna, ponieważ z jednej strony można było się czegoś nauczyć, a z drugiej - być świadkiem niepowtarzalnego i publicznego zrównania praw i obnażenia prawdy.

Tyle że tego dnia Earl wykorzystał swoje uprawnienia wicedyrektorskie i ograniczył grono uczestników do najważniejszych graczy związanych ze sprawą. Rozmowa, na której mu zależało, nie wymagała obecności innych osób, toteż publiczność nie została wpuszczona. Hurst zgodził się na to bardzo chętnie i bez zastrzeżeń, jak zawsze gotów ukryć wszelkie brudy, czy to w dobie SARS, czy w jakimkolwiek innym czasie. Zwłaszcza że wciąż nie było pewności, czy pan Matthews złoży pozew w sądzie.

Earl popatrzył po twarzach gości.

Obok niego, o kilka krzeseł dalej, siedział, choć właściwie należałoby powiedzieć: półleżał, Thomas Biggs, ubrany w świeżutki biały kitel, sennie przyglądał się otwartym pojemnikom spod półprzymkniętych powiek -jego kondycja była skutkiem serii nocnych wezwań do chorych.

Dalej siedział Jimmy, wyprostowany i czujny, jakby gotowy do skoku. Sądząc po zmarszczkach na czole, zastanawiał się usilnie, po co został tu zaproszony.

Wszyscy inni postanowili usiąść naprzeciwko Earla, po drugiej stronie stołu.

Pośrodku zajął miejsce Paul Hurst. Skupił się na układaniu smukłych palców w wydłużony trójkąt



na wysokości twarzy i wystukiwaniu nimi nieskomplikowanego rytmu.

Jego siostra, Madelaine Hurst, dyrektor i główna przełożona całej służby pielęgniarstwa w St Paul's, usiadła po jego prawicy. Nie było w tym nic dziwnego. Zawsze zajmowała to miejsce, nieświadoma lub obojętna wobec symbolicznego sensu „bycia prawą ręką szefa”. Była szczupłą kobietą o surowych, szarych oczach, słynącą z tego, że broniła swej domeny równie zaciekle, jak jej brat bronił całego szpitala. Wpatrywała się w Earla stalowym wzrokiem, twardym i zimnym jak kajdanki.

228

Obok niej siedziała pani Quint, sprawiająca wrażenie zrelaksowanej, jej oblicze bowiem było tysiąc razy przyjaźniejszy światu niż twarz jej przełożonej. Wcześniej życzyła nawet Earlowi miłego poranka. Lecz mimo aury dobrotliwości jej korpulentne ciało emanowało siłą i wiadomo było, że jako pełniąca obowiązki szefa w feralną noc, pani Quint bronić będzie swych „dziewcząt” równie mocno jak Madelaine Hurst.

Największa wrogość biła jednak od Petera Wyatta i siostry Yablonsky, którzy wpatrywali się w Earla nieustępliwym wzrokiem z dalekiego końca stołu. Zajawszy miejsce tuż przy wielkim, zamontowanym na ścianie ekranie telewizyjnym, przygotowanym już do prezentacji wyników, mogli być pewni, że wszyscy będą doskonale widzieli ich dezaprobatę.

Zgodnie z przewidywaniami, pomyślał Earl.

Zaskoczył go jedynie Stewart Deloram. Usadowił się przy lewym łokciu Paula Hursta i czarował go od pierwszej minuty, tocząc beztruską pogawędkę i starannie unikając wzroku Earla.

O co mu chodziło?

Len Gardner, który jak zawsze zajął miejsce w wielkim fotelu na drugim końcu stołu, wstał.

- Możemy zaczynać - powiedział i dotknął palcem swego laptopa, ożywiając obraz na naściennym ekranie: wir różowych linii i błękitnych kropek. Była to typowa kompozycja kolorów używanych przez patologów do wybarwienia tkanek, tak aby ocenić je pod mikroskopem. Akurat ten wzorek, faliste, fioletoworóżowe pasma, kojarzyły się Earlowi z twórczością van Gogha, a purpurowe kropczki widniejące poniżej - ze śladami pędzla Moneta. Razem jednak dawały obraz normalnego mięśnia macicy w otoczeniu resztek błony śluzowej.

Len pokazał zebrany całą serię podobnych obrazów - fragmentów mięśnia i coraz bardziej uszkodzonej błony śluzowej - by unaocznić postępy nowotworu.

229

- Stopniowa inwazja - mówił - krok po kroku niszczyła układ rozrodczy Elizabeth Matthews.

Earl przypomniał sobie upiornie wykrzywioną twarz cierpiącej kobiety.

Demonstracja trwała, a Stewart od czasu do czasu szeptał coś Hurstowi do ucha, wskazując na ekran. Najwyraźniej dodawał coś od siebie do komentarzy Lena. I wciąż nie patrzył na Earla.

Len tymczasem pokazał obrazy dowodzące, że rak nie zaatakował jeszcze innych organów ciała chorej - nie było na nich nawet śladu zmian chorobowych.

- To pewne, że nowotwór nie osiągnął jeszcze stanu, który bezpośrednio zagrażałby życiu pacjentki - podkreślił.

A potem odłożył laserowy wskaźnik i podniósł guz leżący na tacy. Wbijając weń stalowy pręt długi jak drut do robótek ręcznych, zademonstrował w skali makro zmiany, jakie zaszły w ciele Elizabeth Matthews.

- Jakież pytania? - spytał na zakończenie.

Nikt się nie zgłosił.

Earl zastanawiał się często, jak okropnym spektaklem niezdrowego podglądactwa byłyby takie spotkania dla postronnego obserwatora. A przecież właśnie na tym polegała nauka medycznego rzemiosła, na ujawnianiu triumfów i porażek sztuki lekarskiej i analizowaniu ich z taką dozą pewności, jakiej nie dawała żadna inna dyscyplina. Gdyby kiedyś musieli zaprzestać takich praktyk pod wpływem opinii publicznej, może nie działaliby dalej jak ślepcy, ale z pewnością jak jednoocy.

Len skinął na Stewarta.

- Doktor Deloram zgłosił się na ochotnika do prezentacji i interpretacji tego przypadku od strony biochemicznej, włączając w to pośmiertną analizę poziomu leków w tkankach zmarłej.
- Dziękuję, Len. - Stewart wstał i wcisnął guzik pilota. Projektor slajdów ustawiony na stalowym stoliku zaczął

230

pracować z głośnym buczeniem. Jeszcze kilka kliknięć i mechanizm zagrzechotał, podając pierwszy slajd. Kolejny klawisz - i z sufitu nad ekranem telewizyjnym opadł ekran filmowy.

Cud, że nie podłożył do tego muzyki z *Odysei kosmicznej 2001*, pomyślał Earl.

Na białej płachcie pojawiły się wykresy i kolumny liczb. - Jak państwo widzą, jeśli nie liczyć podwyższonego poziomu wapnia, będącego wynikiem ataku nowotworu na kość miednicy pacjentki - zaczął Stewart - parametry hematologiczne i biochemiczne były w chwili śmierci zbliżone do normalnych. Innymi słowy, jak zademonstrował nam to elegancko doktor Gardner, nie doszło jeszcze do niewydolności wielonarządowej. - Na ekranie pojawiło się nowe zestawienie liczb. - Przede wszystkim chcę zwrócić uwagę państwa na normalne funkcjonowanie wątroby i nerek chorej, ponieważ ten czynnik będzie miał wpływ na orzeczenie o przyczynach zgonu. - Deloram odwrócił się w stronę pielęgniarek. — Bez wątpienia pamiętają panic, że morfina jest rozkładana w wątrobie, a wydalana przez nerki. Spojrzawszy na widoczne tu standardowe wartości, lekarz może spokojnie orzec, że pacjentka była zdolna do zmetabolizowania nowej dawki leku, zwiększonej na polecenie doktora Gameta, zwłaszcza że poprzednio podawane dawki nie złagodziły bólu.

Stewart umilkł i spojrzał na pielęgniarki, unosząc brwi jak mim oczekujący reakcji publiczności.

Pani Quint z niechęcią skinęła głową.

Madelaine Hurst tylko patrzyła na Deloramą.

Monica Yablonsky wyglądała natomiast na ciężko przerażoną, jak jeleni oślepieni latarką kłusownika. Zaczęła manipulować nerwowo przy swych okularach.

Brawo, Stewart, pomyślał Earl. Oby tak dalej.

- Zakładam też, że wszyscy tu obecni są świadomi sekwencji zdarzeń prowadzących do śmierci pacjentki - ciągnął Stewart. - Mówię o podwojeniu dawki morfiny przez

231

doktora Gameta, o porach, w jakich podano lek, oraz o parametrach życiowych pacjentki. Nikt się nie sprzeciwił.

- Doskonale. Choć przyczyną śmierci chorej był nie wątpliwie zabójczy poziom morfiny w jej organizmie, źródło tej toksycznej koncentracji nie jest zupełnie jasne.

Co?!

- Stężenie leku we krwi w chwili śmierci może wskazywać, iż być może podano pacjentce dwukrotnie więcej morfiny, niż zalecił doktor Gamet. Nie sposób jednak wyjaśnić okoliczności, w jakich to nastąpiło.

Zaraz, zaraz. Jak to „nie jest zupełnie jasne”? Co za bzdury?!

- Spadek ciśnienia krwi mógł być wynikiem opóźnionego wchłonięcia pierwszej dawki, podanej mniej więcej o dziewiątej wieczorem. Później, gdy ciśnienie znowu wzrosło i tempo wchłaniania narkotyku do krwi pacjentki powróciło do normy, do krwioobiegu mogła trafić jednocześnie reszta pierwszego zastrzyku, jak i cała dawka drugiego, wywołując toksyczne i w rezultacie zabójcze stężenie.

Nie! Nie, to nie tak!

- Choć zapisy pielęgniarek wskazują, że w organizmie chorej nie nastąpiły takie fluktuacje - ciągnął Stewart gładko i śpiewnie, jakby oprowadzał wycieczkę, a nie opo

wiadał o przyczynach czyjejś śmierci - to jednak możliwe jest, że po prostu nie zostały wykryte przez aparaturę. Podkreślam jeszcze raz, że zgodnie z opinią doktora Gardnera, nowotwór, choć był przyczyną wielkiego cierpienia, nie osiągnął jeszcze stadium bezpośrednio zagrażającego życiu pacjentki. Powszechnie natomiast wiadomo, że morfina może obniżyć ciśnienie krwi chorego. Pozostają nam więc dwa możliwe scenariusze: albo ktoś zdublował drugi zastrzyk, albo nie wykryte fluktuacje ciśnienia krwi do prowadziły do opóźnionej absorpcji pierwszej dawki, do prowadząc do kumulacji stężenia w chwili podania drugiego zastrzyku.

232

Earl zerwał się jak oparzony.

• Co ty wygadujesz, do ciężkiej cholery? Prelegent usiadł i zapatrzył się na lśniący blat stołu.

• Stewart, to są bzdury i dobrze o tym wiesz. Deloram nie odpowiedział i wciąż unikał kontaktu wzrokowego, ale Earl zauważył, że jego źrenice rozszerzyły się znacznie.

To to samo co nos Pinokia, ty kłamliwy sukinsynu, pomyślał ze złością.

• Dlaczego to robisz, Stewart?

• Co takiego?

- Wiesz dobrze, do cholery. Bredzisz o tych fluktuacjach ciśnienia!

W tym momencie Earl zrozumiał dlaczego: podsuwał scenariusz, który dawał Hurstowi bezpieczne wyjście z sytuacji. Nie całkiem dobre, nie do końca trzymające się kupy, ale wystarczająco dobre, by poprzeć wyniki sekcji i powstrzymać zebranych przed wydaniem jednoznacznej opinii. To oznaczało ugrzęźnięcie całego dochodzenia i uniknięcie publicznego skandalu.

• Takie fluktuacje są bardzo częste u umierających pacjentów - odparł Stewart, wzruszając ramionami. - Niekiedy jednego dnia są praktycznie w śpiączce, a następnego ciśnienie wraca do normy, przy czym poprawa następuje bez powodu wyraźniejszego niż chęć pożegnania się z tym światem. A wszystko to przy niezmiennych parametrach metabolizmu. Tej strony funkcjonowania nowotworów jeszcze nie rozumiemy. Budzą się skojarzenia ze złym humorem...

• Patrz mi w oczy, sukinsynu! - warknął Earl i omal nie pochwycił Stewarta za kołnierz.

• Skąd masz pewność, że tak nie było? - odezwał się Paul Hurst, spoglądając na Earla przez piramidkę z palców. -Bo moim zdaniem oba scenariusze brzmią równie rozsądnie. Masz jakiś dowód na poparcie jednego lub drugiego?

• Nie było żadnych poważnych spadków ciśnienia krwi

233

Elizabeth Matthews ani tamtej nocy, ani żadnej innej -wycedził Earl, z trudem panując nad gniewem.

• Nie zostały zarejestrowane. Ale skoro pomiar nie miał charakteru ciągłego, czy możemy mieć pewność?

• To piekielnie nieprawdopodobna teoria i dobrze o tym wiesz. - Earl zwrócił się do Lena. - A ty się z tym zgadzasz?

Zmarszczone czoło patologa było wystarczającą odpowiedzią.

• Jasne, że nie - odparł mimo wszystko. - Stewart, to jakiś przekręt.

• Chwileczkę - obruszył się specjalista od intensywnej terapii. — Ja tylko prezentuję możliwości.

To wy zdecydujecie, która z nich jest bardziej prawdopodobna. — W jego głosie pobrzmiwała żałość.

• Ktoś ci kazał wyskoczyć z czymś takim, prawda? -odezwał się Earl. - Mogłem się tego spodziewać - dodał i wskazał ręką na Hursta. - Ale ty?

Stewart pokręcił głową, jakby sprzeciwiał się temu oskarżeniu. Wreszcie popatrzył na Earla.

- Nie rozumiesz? Ten oto trybunał zdejmuje cię z widelca - wyjaśnił, jakby to miało usprawiedliwić jego czyn. - Tym sposobem ani ty, ani pielęgniarka nie zostaniecie oskarżeni o niedopełnienie obowiązków i sprawa umrze śmiercią naturalną.

Paul zmrużył oczy i spojrzał na Lena ponad okularami.

- Jako były chirurg nie ośmielę się wystąpić przeciwko patologowi w kwestii ustalenia przyczyny śmierci. Mamy zatem przedawkowanie morfiny, czy tak? Zgadzą się co do tego?

- Tak. Ale powtarzam, wstrząs nie odegrał żadnej roli w tym przedawkowaniu.

- I taka opinia zostanie zapisana. My zaś będziemy musieli zgodzić się co do tego, że mamy rozbieżne opinie na ten temat.

234

Jego arogancja zaparła Earlowi dech w piersi. W sądzie nigdy nie uszlaby im na sucho tak oczywista próba zniekształcenia faktów. Tyle że raporty posekcyjne nie miały tej rangi, co posiedzenia sądu. Miały być świętą wyrocznią klinicznej prawdy ostatecznej, ale nic poza dobrą wiarą lekarzy nie gwarantowało ich uczciwości.

Żołądek Earla był już ściśnięty do granic możliwości.

Gamet spojrzał na siostrę Yablonsky, która pobladła i zaczęła przesuwać okulary w palcach jak różaniec.

— Masz coś do powiedzenia, Monico? - spytał. - Dobrze wiesz, że taka opinia wskazuje znacznie bardziej na twoją winę niż moją.

Jimmy spojrzał na niego z dezaprobatą, jakby doradzał mu przyjęcie tego, co mu dają koledzy, i ucieczkę póki czas.

Madelaine Hurst pochylała się, marszcząc czoło tak, że jej twarz nabrała sokolich rysów.

- Proszę posłuchać, doktorze Gamet...

- Czekam na odpowiedź, siostrze - rzekł Earl, ignorując ją całkowicie.

Paul Hurst pochylał się ku siostrze. Jego zazwyczaj bezbarwna skóra miała teraz szary odcień, a zmiana ta nastąpiła stopniowo, jakby to dym rozchodził się spod maski na wszystkie strony, najpierw barwiąc jego skronie, potem czoło i wreszcie szyję.

- Garnet, zgodziliśmy się, że nie będziemy o tym dyskutować...

- Zgodziłem się zaczekać i wysłuchać wyników badań, zanim podejmę jakiegokolwiek działania. Nie mówiłem, że pozwolę ukrywać fakty.

- Chyba nie mówisz poważnie? Chcesz rozpętać w szpitalu aferę akurat teraz, gdy...

- Jaką aferę? Przecież właśnie dla utrzymania spokoju ograniczyłem prawo wstępu na to spotkanie do najwęższego grona zainteresowanych. Założę się, że ktoś w tej sali zna całą prawdę o śmierci Elizabeth Matthews oraz

235

o zgonach innych pacjentów na oddziale opieki paliatywnej. Możemy wyjaśnić sobie tę sprawę tu i teraz, za zamkniętymi drzwiami.

- Ty wciąż nie widzisz całościowego obrazu...

- Nie? - Earl wskazał palcem na siostrę Yablonsky. - Całościowy obraz jest taki, że ona próbowała obciążyć mnie winą za śmierć pacjentki, która była pod jej opieką. Mój główny rezydent, Thomas Biggs, powiedział, że nastąpił wzrost liczby pacjentów, którzy umierają nocą na oddziale opieki paliatywnej, a których zgon odkrywany jest dopiero wczesnym rankiem. Dla mnie to jasne, że ktoś tu nie czuwa wystarczająco uważnie podczas nocnych dyżurów. Kilka dni temu sam byłem świadkiem takiej niedbałości, a kapelan naszego szpitala, Jimmy Fitzpatrick, na pewno potwierdzi moje słowa. Nie tylko udało mi się bez trudu wejść niepostrzeżenie na teren oddziału, ale dokonał tego także niezidentyfikowany intruz. Sądzę, że nie możemy ignorować takich faktów. Jesteś innego zdania,

Paul? A co ze wzrostem śmiertelności oraz z podejrzeniem, że śmierć Elizabeth Matthews może być elementem seryjnych...

• Nie! - wrzasnęła Monica Yablonsky, spoglądając na niego z przerażeniem. - Nie zrobi pan ze mnie kozła ofiarnego! - Jej głos osiągnął ten poziom piskliwości, który wywołuje ból w ludzkim uchu oraz sprawia, że psy zaczynają wyć. - Nie pozwolę na to!

Bingo, pomyślał Earl. Zbliża się chwila, w której ktoś wystąpi z deklaracją typu „Nie zniesiecie całej prawdy”.

Mimo iż spędził cały weekend na analizach i obliczeniach, mimo iż asystowała mu w tym Janet, Earl nie zdołał ustalić, czy statystyki potwierdzają jego teorię o seryjnych zgonach. Z całą pewnością nie stwierdził też, by siostra Yablonsky była winna czy choćby bardziej podejrzana niż inne pielęgniarki. Nie był nawet pewny, czy napastnik, który powalił go w nocy, odgrywał jakąkolwiek rolę w sprawie. Ale przyszedł na tę radę głównie po to, by przycisnąć właśnie Yablonsky, bo jej oczywista nerwo-

236

wość podpowiadała mu, że ona coś wie i że jest to wiedza, która każe jej czuć strach.

Dlaczego? Od czasu artykułu w „New England Journal”, który wstrząsnął środowiskiem, śledztwa w sprawie niewyjaśnionych zgonów pacjentów rozpoczynały się właśnie od badania postawy pielęgniarek. Ona o tym wiedziała i musiała się bać, bez względu na to, czy sama przypadkowo przedawkowała pacjentce lek i broniła się kłamstwem, czy czyniła coś znacznie gorszego, czy może była niewinna, ale próbowała kryć prawdziwego sprawcę. Earl zamierzał więc potrząsnąć nią na tyle mocno, by opuściła gardę i przypadkiem zdradziła swój sekret.

Taki przynajmniej miał plan, który w tej fazie zdawał się działać całkiem nieźle.

Lecz w tym momencie Jimmy stanął u boku pielęgniarki i obronnym gestem otoczył ją ramionami.

— Na miłość boską, Earl, odpuść już sobie!

Pani Quint podeszła czym prędzej i dołączyła do nich.

— Spokojnie, Monico - powiedziała, gładząc ją po plecach jak małe dziecko. Jej głos, cichy jak zawsze, brzmiał lodowato, jakby wydawała rozkaz.

Monica spoglądała rozpaczliwie to na nią, to na ojca Jimmy'ego.

— Mam być spokojna? To nie na was się wziął!

Madelaine zwróciła się do swego brata:

• Paul, natychmiast przerwij ten haniebny atak na dobre imię zasłużonej pielęgniarki.

• Garnet! - ryknął Peter Wyatt, podnosząc się z krzesła tak, jakby był wulkanem wynurzającym się spod powierzchni oceanu. - Niniejszym oskarżam cię oficjalnie o wygłaszanie obraźliwych komentarzy pod adresem pracowników mojego oddziału.

• A ja zawieszam cię w obowiązkach wicedyrektora do spraw medycznych - dorzucił Paul Hurst, jakby śpiewał w duecie z Wyattem. - I obiecuję przesłuchanie pod zarzutem zachowania sprzecznego z etyką zawodową.

237

Earl zignorował ich wszystkich i uparcie wpatrywał się w siostrę Yablonsky.

• I co ty na to, Monico? Przestań kłamać, bo pójdę z tą sprawą na policję i będziesz skończona...

• Nie! - odrzyknęła, znowu przenikliwym sopranem. - Nie dam się zrobić!

• Wystarczy, Monico! - Bazyliiskowe spojrzenie Made-laine Hurst wbiło w nią tysiąc skalpeli. -

Temat uważam za zamknięty.

Monica Yablonsky popatrzyła na nią buntowniczo.

- Nie, nie jest zamknięty. Ani trochę! - Odwróciła się gwałtownie w stronę Earla, a jej źrenice były tak szerokie ze strachu, że pozostawiły tylko cienki okrąg brązowych tęczywek. - Doktorze Gamet, chciał pan wiedzieć, o czym dokładnie mówili pielęgniarkom pacjenci, którzy zgłaszali doświadczenia z pogranicza życia i śmierci?

Stewart wyprężył się jak struna.

• Tak jest - odparł gładko Earl. - Tylko że żaden z przełożonych, nie wyłączając ciebie, jakoś nie mógł znaleźć takiej osoby, która by cokolwiek pamiętała.

• To dlatego, że kazano im milczeć.

• Zamknij się, Monico - szepnęła Madelaine Hurst.

• Nie mam zamiaru. Nie wtedy, kiedy on zaczyna gadać o niewyjaśnionych seryjnych zgonach i otwarcie podejrzewa ludzi o morderstwo. — Mówiąc to, siostra Yablonsky wpatrywała się w Earla tak intensywnie, jakby chciała utworzyć wzrokiem tunel łączący tylko ich dwoje, a wyłączający wszystkich pozostałych.

• Mów dalej - zachęcił ją Gamet.

• Monico!

• Dziewczyny, które słyszały te opowieści, zwróciły uwagę na jeden bardzo dziwny szczegół.

• Jaki?

• Do diabła, Monico, nakazuję ci milczeć!

• Nie mówili jedynie o światłach, tunelach, utraconych bliskich i o tym, że unosili się nad władnymi ciałami-

238

mi. Wszystko to są typowe relacje. - Yablonsky mówiła o nich z pogardą właściwą komuś, kto ani trochę nie wierzy w takie historie.

Paul zerwał się energicznie, przewracając przy tym fotel.

- Mów dalej, Monico Yablonsky, zostaniesz zawieszona na zawsze — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Earl pochylił się ku niej nad stołem.

- Nie zostaniesz zawieszona, zaufaj mi. Powiedz prawdę teraz, a nikt nie waży się ciebie tknąć, nawet ja. To, co mówi się w tym gronie, jest objęte immunitetem. - Nie kła mał. Nie wolno było zaskarżać żadnych wypowiedzi, które padały podczas raportu posekcyjnego. Zasada ta została wymyślona po to, by chronić lekarzy przed odpowiedzialnością prawną, jeżeli uczciwie przyznawali się do błędów i pozostali członkowie gremium mogli się czegoś nauczyć. Lecz czy prawo obroni też siostrę Yablonsky przed CEO St Paul's Hospital i przełożoną pielęgniarek, naprawdę nie miał pojęcia.

Monica chyba jednak uwierzyła.

• Wielu pacjentów mówiło, że kiedy to się działo, ktoś szeptem zadawał im pytania - odpowiedziała, nie spuszczać go z oka.

• Pytania?

• Tak. Czy widzieli Boga? Czy spoglądają na siebie z góry? Jak wyglądało niebo? Szalone rzeczy.

• Żartujesz.

Yablonsky wyjęła z kieszeni chusteczkę i przetarła oczy, starając się nie dotknąć ich palcami.

- Przysięgam, że to prawda.

Earl poczuł się tak, jakby wszedł do windy, która opada zbyt szybko.

Dlaczego miałby jej wierzyć? Może była to kolejna próba rzucenia podejrzeń na kogoś innego? Lecz z drugiej strony była to historia tak osobliwa, że nie mogła być zmyślona. Poza tym pasowała do okoliczności - tyle że dawała mu odpowiedź, której nie chciał.

239

Spojrzał z niechęcią na Stewarta.

Tym razem to jego źrenice miały wielkość ćwierćdola-rówek.

O mój Boże, pomyślał Earl, czując w brzuchu jawną rewolucję.

- To dlatego twierdziłeś, że ich raporty są fałszywe? -

powiedział z niedowierzaniem, choć dobrze wiedział, że taka jest prawda.

Krople potu załśniły na czole Stewarta.

- Nie, ja naprawdę...
- Nie kłam!
- Nie kłamię. To znaczy: nie jest tak, jak myślisz. Proszę cię, Earl, musisz mi uwierzyć...
- Jasne, że kłamię - wtrąciła Monica Yablonsky. - Żeby chronić własny tyłek! - Gniew tym razem obniżył jej głos i uczynił chrapliwym, jakby słowa kaleczyły jej gardło. -A może ktoś jeszcze miał ochotę rozmawiać ze zmarłymi?

### **Dział badań klinicznych, piwnice St Paul's Hospital**

- Przysięgam, Earl, że nie zrobiłem nic złego - zaklinał się Stewart drżącym głosem. Wstał zza biurka, trzepocąc dłońmi w rękawiczkach tak, że jego palce wibrowały jak skrzydła kolibra. Wszędzie dookoła piętrzyły się stosy pa pierów, a wśród nich najwięcej dokumentacji akcji reanimacyjnych oraz całe roczniki pism naukowych poświęconych intensywnej terapii. Papiery te zalegały tu zawsze, ale teraz wydawało się, że lada chwila go zasypią, tak bardzo się kulił pośród nich. Zdjęty strachem strzelał oczami na boki jak przyparty do muru ćpun.

Earl oparł się o zamknięte drzwi i patrzył z kliniczną fascynacją, jak Stewart się wiję, próbując uniknąć konfrontacji, aż wreszcie widok jego upadku stał się nie do zniesienia.

Gdy raport posekcyjny kończył się wielkim zamiesz-

240

niem, Stewart w ostatnich chwilach już tylko zezował na Earla tak, że oczy omal nie wyszły mu z orbit, w końcu jednak postanowił salwować się ucieczką. Earl pognał za nim do jego ciasnego gabinetu.

- Okłamałeś mnie - powiedział.
- Tak, wiem, ale tylko w sprawie tego, co usłyszałem od pacjentów. Wiedziałem, że jeśli to się rozejdzie, ludzie zareagują tak samo jak dziś przy stole. Pomyślał, że miałem z tym coś wspólnego. - Deloram wydawał z siebie krótkie, gwałtowne potoki słów, chwilami prawie kwiląc, a chwilami basując. - W tej grze wystarczy leciutka woń gówna, żeby człowiek był skończony jako badacz. A możesz mi wierzyć, że zdążyłem narobić sobie znacznie więcej wrogów, niżbym chciał, choć moim zdaniem powoduje nimi głównie zazdrość.

Albo prosta reakcja na twoje nieznośne zarozumiałstwo, dodał w duchu Earl.

- Radź pewny, że znajdują się rzesze chętnych do plotkowania przeciwko mnie - ciągnął Stewart, błędąc coraz bardziej. - O Boże! Moje fundusze badawcze! Cofną mi je z dnia na dzień...
- A tak konkretnie to czego miałyby dotyczyć te plotki? — przerwał mu Earl. Udawanie współczucia przychodziło mu z wielkim trudem.

Stewart niecierpliwie machnął ręką.

— Dobrze wiesz czego. Że nękałem umierających pacjentów pytaniami bez ich zgody. - Ruchy rękami przestały Stewartowi wystarczać; zaczął spacerować, lecz w pomieszczeniu o boku trzech metrów w praktyce oznaczało to kręcenie się w kółko. - Że sztucznie wywoływałem stan graniczny ze śmiercią, żeby zyskać więcej materiałów do publikacji. Że zdecydowałem się zbierać relacje w czasie rzeczywistym, a nie przetrawione już świadectwa, żeby uciszyć krytyków moich poprzednich prac. Wszystko

to oczywiście gówna prawda, ale wystarczająco sprytnie przedstawiona, by mi zaszkodzić.

241

Earl poczuł nieprzyjemny dreszcz, gdy uświadomił sobie, że podobnie jak nie ma pewności, czy Stewart jest zdolny do tak odrażających praktyk, nie może też wykluczyć takiej ewentualności. Miał coraz gorsze przeczucia.

- Niby jak ci oskarżyciele mieliby wyjaśnić twoje czy ny? - spytał.

Stewart znieruchomiał, spojrzął na Earla i pobladł tak, jakby miał zemdleć. Oparł dłoń na biurku, by nie stracić równowagi, po czym wolniutko usiadł.

- Ty też uważasz, że to zrobiłem, prawda?

Udawaj sprzymierzeńca, doradził sobie w myśli Earl. Przyjrzał się uważnie postaci Stewarta, zastanawiając się, czy to on mógł być nocnym intruzem, który go zaatakował. Trudno ocenić, pomyślał. Choć większość dnia spędzał w czterech ścianach mrocznego oddziału intensywnej terapii, Deloram zachował niezłą formę. Był też dość wysoki i dostatecznie szeroki w ramionach.

- Jezu, Earl - odezwał się Stewart po chwili. - Ze wszystkich ludzi akurat ty powinienes mi wierzyć. Każdy mógł spróbować mnie zrobić...

Dzwonek telefonu przerwał mu w pół zdania.

- Halo? - rzucił Deloram do słuchawki. Jego czoło w jednej chwili poczerwieniało i załśniło znów kroplami potu. - Nie, nic takiego — odpowiedział swemu rozmówcy. - To tylko leniwa pielęgniarka próbowała winić wszystkich dookoła...

Jego twarz nabierała coraz intensywniejszej barwy, a palce pobielwały pod warstewką lateksu, gdy mocno zacisnęła dłoń na słuchawce.

Jedno było jasne: któryś z uczestników narady już zaczął plotkować. Zapewne Yablonsky; to było bardzo w jej stylu.

- Próbowała nawet wrabiać Earla Gameta... Sądzę, że teraz moja kolej... Kto wie, może następnym razem będzie twoja... - Śmiał się stanowczo zbyt głośno i zbyt długo. - Nie ma sprawy - prawie krzyknął.

242

Słuchając tej rozpaczliwej parodii beztroski, Earl zgrzytnął zębami. Na oddziale ratunkowym ten dźwięk towarzyszył zazwyczaj zimnemu uśmiechowi, który sygnalizował osobie wybierającej się właśnie do domu, że ma zostać, otworzyć szafkę z lekarstwami i zacząć liczyć pigułki.

Stewart wciąż jeszcze uspokajał swego rozmówcę, gdy jego laptop zaczął sygnalizować nadejście całej serii e-mai-li. Dźwięk powtarzał się monotonnie, jak odgłos jednorękiego bandyty wyplacającego wygraną, a z każdym dzwonkiem w oczach Delorama widać było większe przerażenie. Mimo strachu zdołał jednak zdobyć się na odrobinę wymuszonego śmiechu i niemal wesoło zaproponował:

- Może zjemy wkrótce lunch? Lubisz meksykańską kuchnię?

W końcu odłożył słuchawkę i objął głowę obiema rękami, jakby się obawiał, że mogłaby odlecieć.

- Ta sprawa mnie zniszczy! - zawołał drżącym głosem, bliski płaczu. Patrzył na Earla z bólem człowieka, który niezbyt dobrze rozumie, dlaczego nagle cały jego świat zaczął się walić w gruzy. - Przysięgam, że przez wszystkie lata moich badań nigdy, ani razu nie złamałem zasad etyki.

Earl bardzo chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Na szczęście telefon zadzwonił ponownie,



ratując go z opresji.

Stewart zmarszczył brwi, zawahał się, w końcu jednak podniósł słuchawkę i z bardzo niewielkimi zmianami powtórzył rozmowę sprzed paru minut, tyle że tym razem zaproponował rozmówcy chińską kuchnię.

Gdy odłożył słuchawkę, Earl zapytał go:

- Czy to całe dzisiejsze przedstawienie na temat przy czyn śmierci Elizabeth Matthews było twoim pomysłem, czy może namówił cię na to Hurst?

Deloram nie odpowiedział. Z wielkim zainteresowaniem wpatrywał się w tropikalną rybkę, która leniwie pływała po ekranie jego komputera.

243

- Stewart?

Deloram odetchnął głęboko, jak nurek przed skokiem do wody.

• Poszedłem do Hursta, żeby go ostrzec, że po oddziale opieki paliatywnej mogą krążyć dziwne opowieści o doświadczeniach z pogranicza życia i śmierci, które nie przyniosą niczego dobrego ani szpitalowi, ani mnie. Wcześniej, o ile mi wiadomo, pielęgniarkom, które zgłaszały takie raporty lekarzom albo swojej szefowej, mówiono, że to tylko halucynacje i że nie powinny brać ich zbyt poważnie. Ale ja wołałem mieć pewność, że nikt nie wskaże na mnie. Hurst obiecał wyciszyć wszelkie insynuacje, ale też zasugerował, żebym skłonił cię do zaprzestania węszenia na oddziale i prowokowania konfliktów. Miałem to zrobić, wydając dwuznaczny wyrok w sprawie Matthews. Takie rozstrzygnięcie byłoby dobre dla St PauFs, a jako że nikomu nie udowodniono by błędu, jak mówił Hurst, nie miałbyś powodu do dalszego śledztwa. To z kolei oznaczałoby mniejsze szanse na to, że dotrzesz do tych dziwnych relacji, co byłoby korzystne dla mnie.

• Naprawdę byłeś aż tak naiwny?

- Aż tak zdesperowany.

Earl nie odpowiedział.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Earl patrzył, jak Stewart poci się, próbując zgrywać lek-koducha, podczas gdy wybałuszał oczy ze strachu, wiercił się w fotelu, recytował coraz mniej przekonujące wyjaśnienia, a jego wolna ręka nieustannie czegoś szukała.

Jakby paniczna paplanina mogła go uratować, pomyślał Earl. Nie w dobie Internetu. Spędził życie, w pocie czoła pracując naukowo, a teraz jedno naciśnięcie klawisza wystarczy, by zniszczyć go, i to na całym świecie w tym samym momencie.

Stewart wystosował jeszcze jedno zaproszenie, tym razem serdecznie polecając pobliskie bistro z włoskim jedzeniem, po czym odłożył słuchawkę i odłączył kabel.

244

- Pieprzyć ich! - mruknął w niezbyt przekonującym odruchu buntu.

Earl stracił cierpliwość.

- Co teraz, Stewart? Mnie też kupisz kubkiem kawy i ka wałkiem chleba? Nie możesz wydostać się z tego bagna, zapraszając wszystkich zbytnio zainteresowanych sprawą na żarcie i chłanie.

Stewart wyskoczył zza biurka i stanął nos w nos z Ear-lem.

• Jak możesz być tak głupi jak cała ta banda idiotów i wierzyć, że miałem coś wspólnego z przeżyciami tych pacjentów?

• Nie wiem jeszcze, w co powinienem wierzyć.

• Zmądrzej wreszcie, do ciężkiej cholery! Spośród wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś rozumieć najlepiej, że nie ma w tych oskarżeniach żdźbła prawdy. Zadaj sobie pytanie, czy byłbym aż tak głupi, żeby ryzykować karierę, pakując się w prymitywny przekręt polegający na fałszowaniu danych. Przecież równie dobrze mógłbym od razu wskazać palcem na siebie! Myśl realistycznie, Earl.

- Ty wciąż nie rozumiesz, Stewart?
- Czego nie rozumiem?
- Że to, czy popełniłeś naukowe fałszerstwo, czy też **nie**, nie ma absolutnie żadnego znaczenia.
- Nie ma?
- Nie. Chodzi o to, czy potrafiłbyś zabić trzy osoby, a dwie inne wprowadzić w stan śpiączki po to, żeby nie opowiadały o twoim domniemanym fałszerstwie.

Stewart spurpurowiał ponownie. Z tak małej odległości Earl widział każdą, najdrobniejszą nawet kroplę potu na jego czole.

- Ty draniu! — wycedził Deloram, warcząc przy tym tak, jakby zbierał flegmę z gardła i zamierzał opluć Earla. - Wynoś się! W tej chwili wypieprzaj z mojego gabinetu!

## Rozdział 12

Thomas wypatrzył go natychmiast, gdy tylko Earl przekroczył próg oddziału ratunkowego.

- Doktorze Gamet! - zawołał i w pośpiechu przeprosił kobietę, która przyciskała przesiąknięty krwią gazik do rany na swej dłoni.

Para studentów medycyny, do tej pory kręcąca się w pobliżu w poszukiwaniu sposobności do działania, ochoczo zajęła jego miejsce przy rannej.

• Chodź ze mną - odpowiedział Earl, energicznym krokiem zmierzając w stronę swego gabinetu w głębi oddziału.

• Jeśli chodzi o raport posekcyjny...

• Przykro mi, ale nie jestem w nastroju do rozmów na temat tej przekłetej farsy; zresztą oficjalnie ta sprawa już nie mieści się w moich kompetencjach.

• I właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Jeśli mogę jakoś pomóc, pozałatwiać sprawy, których pan nie będzie mógł ruszyć, zawieszony przez Hursta...

• To nie będzie konieczne. - Earl naprawdę nie miał nastroju na rozmowę z nadgorliwym rezydentem, bez względu na to, jak dobre były intencje Thomasa. Miał już własny plan. - Ale dziękuję.

Thomas wciąż szedł obok niego.

- Pomyślałem tylko... że to, co zrobił Hurst, jest podłe.

I pan, i cały ten szpital zasługujecie na coś lepszego. A poza tym, w jaki inny sposób mamy poznać prawdę o tym, co się tu dzieje?

246

Earl wyprostowanym ramieniem pchnął drzwi prowadzące do skrzydła administracyjnego i minął je zdecydowanym krokiem.

— Doceniam twoje chęci, Thomas, ale nie zamierzam angażować podwładnych w pranie szpitalnych brudów. Wymagania programowe dla rezydentów trzeciorocznych powinny wystarczająco wypełnić twój czas.

Thomas nie ustępował.

— Ależ właśnie o to mi chodzi, panie doktorze. Muszę napisać pracę, żeby zaliczyli mi rok. Dlaczego nie miałyby dotyczyć niewyjaśnionych, seryjnych zgonów?

Earl zwołnił.

• To jest... - Nie wiedział, co odpowiedzieć.

• Proszę pomyśleć: temat jest dobry i ciekawy, być może na tyle ciekawy, że ktoś opublikuje tę pracę i będę mógł prowadzić dalsze badania tu, na oddziale. A przy okazji może uda mi się znaleźć klucz do tego, co dzieje się na paliatywnym. A najpiękniejsze jest to, że nikt, nie wyłączając doktora

Hursta, nie będzie o tym wiedział. Bo kto z etatowych lekarzy interesuje się tym, o czym rezydent pisze pracę? Na tym etapie nie mamy obowiązku nikogo informować nawet o wybranym temacie. Mógłbym siedzieć sobie przy komputerze albo w archiwum, grzebać, gdzie tylko zechcę, i nikt nawet by na mnie nie spojrział, nie mówiąc o tym, by miał się poczuć nerwowo.

Interesujące, pomyślał Earl. Jak dotąd Janet robiła to samo i nikogo to nie zaciekało. Tylko że miała przed sobą jeszcze dane z trzech miesięcy do sprawdzenia, a teraz, kiedy Hurst miał się na baczności i tylko szukał pretekstu do ostatecznego uderzenia, dyskretna praca mogła być dla niej jeszcze trudniejsza. Do licha, właśnie na nią przede wszystkim będzie miał oko, uświadomił sobie Earl. A z drugiej strony zwykły rezydent może ująć jego uwagi. Thomas mógłby ściągnąć dane ze wszystkich oddziałów, żeby nie wzbudzić podejrzeń zbyt dużą koncentracją na oddziale opieki paliatywnej.

247

- Porozmawiajmy o tym — zaproponował, stając przed drzwiami swego gabinetu. Otworzył zamek, wszedł do środka, opadł ciężko na wysoki fotel i gestem zaprosił Thomasa, by usiadł na krześle dla gości. - Pytałbyś mnie o zdanie przed podjęciem jakichkolwiek kroków? - spytał.

Thomas usiadł szybko i pochylił się, opierając się na biurku.

- Oczywiście.
- Musiałbyś też zachować ścisłą tajemnicę. Nikomu ani słowa, rozumiesz? Słyszałeś już o starciu, które przytrafiło mi się w sobotę nad ranem? Ktokolwiek to był, nie chcę, by i ciebie zaatakował.

- Jasne. Nikomu ani słowa.

Earl włączył komputer.

- A jako twój przełożony będę miał ostatnie słowo w sprawie tego, co się nadaje do publikacji, a co nie.

Thomas spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Oczywiście, ale chyba nie zamierza pan ukryć wszystkiego, co uda nam się ustalić?
- Mówię tylko, że będziemy trzymać się faktów: niech to będzie klasyczne badanie statystyczne, grupowanie danych... na początek ustalenie zależności między datami zgonów a rozkładem dyżurów. Z całą pewnością nie będzie tu miejsca, a już zwłaszcza w specjalistycznym czasopiśmie, na niepotwierdzone, szkodliwe insynuacje. Takie, jakie Yablonsky rzuciła dziś rano na Stewarta.

Thomas cofnął się, jakby dostał w twarz.

- Chyba nie powie mi pan, że uważa go za niewinnego?

-Nie przepadam za linczami - ciągnął Earl, ignorując pytanie. — A właśnie tym były dzisiejsze oskarżenia tej Yablonsky. Wystarczyły, by wilki zaczęły rozdzierać Stewarta na strzępy. - Mówiąc to, uruchomił popularną wyszukiwarkę o profilu medycznym. - Właśnie od niego wracam. Nieładny to widok, kiedy w oczach rozpada się

248

czyjaś reputacja. Zwłaszcza gdy ten ktoś wcale na to nie zasłużył. Równie dobrze mogliby go żywcem obedrzeć ze skóry.

- Mój Boże, widząc, jak pan go atakował, sądziłem, że zgadza się pan z jej oskarżeniami...
- Ależ wiem dobrze, że kłamał, próbując utrzymać w tajemnicy to, co opowiadali umierający pacjenci. Ale stąd jeszcze bardzo daleka droga do oskarżenia go o to, że celowo aranżował pozagrobowe rozmowy. Poza tym zmusił mnie do zadania sobie jednego pytania, które powinien zadać każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, zanim pochopnie oskarży go o cokolwiek. - Earl umilkł, dając Thomasowi czas na szybką dedukcję. Przyglądał się wynikowi wyszukiwania.

Rezydent spojrział na niego, marszcząc brwi.

- No pomyśl. Po co Stewart miałby robić coś tak żenującego, a w dodatku jednoznacznie kojarzącego się z jego pracą badawczą? Aha... i mamy jeszcze to - dodał, obracając monitor w taki

sposób, by obaj mogli odczytać duży, czarny tytuł: „Doświadczenia z pogranicza śmierci wywołane ketaminą”.

- Jasna dupa - mruknął Thomas, wpatrując się w ekran szeroko otwartymi oczami.
- Zanim zaczęła się cała ta afera, Monica Yablonsky wspomniała mi przypadkiem, że tego typu informacje można znaleźć w Internecie. Wtedy jednak nie zastanawiałem się nad tym zbyt głęboko - wyjaśnił Earl, przeglądając streszczenie artykułu.

Thomas czytał razem z nim, nachyliwszy się jeszcze mocniej w stronę monitora.

Wydawało się, że to całkiem rzeczowa publikacja, opisująca doświadczenie grupy naukowców, które polegało na wywołaniu za pomocą podanej dożylnie ketaminy klasycznego efektu „z pogranicza życia i śmierci”. Wszystko dawało się wytłumaczyć językiem chemii. Earl znał ane-stetyczne właściwości tego leku, bo sam używał go na od-

249

dziale ratunkowym. Artykuł jednak analizował głównie to, jak ketamina blokuje neuroprzebieżnik glutaminian w pewnych rejonach mózgu, zwanych receptorami kwasu N-metylo-D-asparginowego (NMDA), wywołując u badanego osobliwe doznania: widzenia jaskrawych świateł, błyskawicznego lotu tunelem, unoszenia się nad własnym ciałem i spotkania ze zmarłymi bliskimi. Earl pierwszy raz widział tak szczegółowe opracowanie na ten temat. Gdy ratowali życie pacjentowi i po podaniu ketaminy występowały podobne symptomy, nazywał je po prostu efektem ubocznym.

- To pieprzony podręcznik - stwierdził Thomas. -I mówiła panu o nim Monica Yablonsky?
- Tak, kiedy pierwszy raz pytałem ją o raporty od pacjentów Wyatta.
- Sądzi pan, że to może być jej sprawka?
- Prowadzenie takich doświadczeń? Nie mam pojęcia. Po co miałyby to robić? No, chyba że miałyby to jakiś związek z serią zabójstw z litości. Ale z drugiej strony, po co przepytywać pacjentów przed ich zgładzeniem? A jeśli mamy do czynienia z zabójstwami z litości, to dlaczego pozostawiono pacjentom dość czasu, by zdążyli opowiedzieć o doświadczeniach?

Thomas opadł na krzesło i milczał przez chwilę, myśląc intensywnie.

- Wszystko, co pan mówi... jest dość niejasne, prawda?

-Nieprawda.

- Jak to?
  - Ktoś grasuje po oddziale opieki paliatywnej. Ktoś o mocnych ramionach, które zatrzymałyby i ciężarówkę. Nie ma w tym nic niejasnego.
  - Cholera!
  - O co chodzi?
  - Stewart Deloram ma niezłe bary.
- Earl westchnął ciężko.

250

- I bardzo dobre powody, by nie podawać pacjentom wielkich dawek ketaminy.
- Mam nadzieję, bo świetny z niego nauczyciel i nie chciałbym, żeby wpadł w tarapaty, tylko że...
- Tylko że trudno mieć pewność co do czyjejś uczciwości, gdy wokół krąży tyle podejrzeń.
- Właśnie. Ja na przykład zastanawiam się teraz, dlaczego ktoś tak bystry jak Stewart nie miałby liczyć na to, że od razu odrzucimy podejrzenia względem jego osoby, uznając je za zbyt oczywiste. Nie mogę wykluczyć, że spróbowałby zagrać w ten sposób swoją inteligencją... tylko że jego plan się nie powiódł.

• Być może. - Earl postanowił nie wspominać o swych najgorszych podejrzeniach: że Stewart mógł uciszyć pięcioro pacjentów specjalnie po to, by uniknąć skandalu, który właśnie niszczył jego karierę. Gdyby Thomas usłyszał takie oskarżenie, miałby poważny problem z obiektywnym traktowaniem Stewarta. - Możemy spekulować choćby i cały dzień - powiedział i wstał, sygnalizując koniec spotkania. - Ale wierzę, że twoja analiza pomoże nam odkryć fakty.

Thomas podniósł się powoli, jakby wcale nie miał ochoty wyjść.

- W pewnym sensie trochę się boję tego, co może wypłynąć. Wskazywanie palcami bywa

przykrym zajęciem.

- Znacznie gorsze byłoby pozostawienie zabójcy na wolności - odparł Earl, mając nadzieję, że Thomas zachowa obiektywizm.

Rezydent skinął głową, ale w jego oczach nie było już entuzjazmu, z którym zaczynał tę rozmowę. Prawdopodobnie nie zastanawiał się wcześniej, że będzie musiał ścigać ludzi, których tak dobrze znał, pomyślał Earl.

- Janet wykonała już część pracy - rzekł. - Naturalnie oszczędzilibyśmy sporo czasu, gdyby pokazała ci dotychczasowe wyniki, ale nie tu, w szpitalu. Hurst mógłby się czegoś domyślić, gdyby zobaczył was razem.

251

Thomas uniósł brwi.

- Doktor Graceton już zajęła się grupowaniem danych?
- Oczywiście w ścisłej tajemnicy - odparł Earl i raz jeszcze w duchu pogratulował sobie pomysłu wciągnięcia żony w tę sprawę. - Może więc wpadłbyś dziś do nas na kolację? W spokoju przejrzyś materiały. Jak dotąd Janet zajmowała się tylko personelem oddziału paliatywnego, ale wygląda na to, że trzeba będzie pójść dalej i sprawdzić wszystkich pracowników szpitala. Może też zająć się obróbką danych, które ty jej dostarczysz. Na pewno wystarczy roboty dla was obojga. Trzeba przyjrzeć się wszystkim: pielęgniarcom, lekarzom, rezydentom, salowym, sanitariuszom, nawet tym, którzy wchodzili na teren szpitala poza własnymi dyżurami.

-Ale...

- Widzisz, każde użycie karty dostępu zostawia ślad w systemie komputerowym. Naturalnie będę musiał wykorzystać swoje układy, żeby dotrzeć do bazy danych.

-Tak, ale...

- O reszcie spraw pogadamy wieczorem - uciął Earl, nie dając Thomasowi dojść do słowa. Nie zamierzał wdawać się w nieskończone dyskusje i zgadywanki. - Radzę pościć aż do kolacji; Janet jest najlepszą kucharką w Buffalo...

- Doktorze Garnet, przepraszam, ale właśnie usiłowałem panu powiedzieć, że jestem już umówiony na kolację.

Czując się dość głupio, Earl zaprosił go na następny wieczór.

## 17.55

### Oddział opieki paliatywnej

Sadie Locke zostawiła doktorowi Earlowi Garnetowi wiadomość: chciała się z nim zobaczyć.

## 252

Siedząc na brzegu łóżka i zmagając się niespiesznie z kolacją - papkami różnych kolorów, które przyniesiono jej w miseczkach rozstawionych na tacy — spoglądała na swoje odbicie w lustrze. Zdecydowanie dobrze mi zrobił weekend w domu, z Donnym, pomyślała. Na jej twarzy pojawiła się miedziana opalenizna, jej oczy błyszczały - była to zmiana, którą mogły wywołać jedynie miłość i bliskość rodziny.

Spojrzała na zegarek. Doktor Garnet powiedział, że przyjdzie przed szóstą.

- Dzień dobry, pani Locke - dobiegł od strony drzwi znajomy głos. - Nie chciałbym przeszkadzać w kolacji...

- Doktor Garnet! Proszę, proszę wejść. - Sadie odstawiła tacę i gestem zachęciła go, by podszedł bliżej. - Pielęgniarki mówiły, że przeżył pan tu nie lada przygodę, kiedy mnie nie było.

Earl zachichotał.

- Niestety tak.

- Nic panu nie jest?

• Po godzinie siedzenia na krześle zaczynają mnie boleć plecy, a jeśli zbyt gwałtownie obróć głowę, też czuję co nieco... Ale poza tym jestem cały i zdrowy. Co mogę dla pani zrobić?

Przywołała go jeszcze bliżej.

- Chodzi raczej o to, co ja mogę zrobić dla pana - po wiedziała szeptem. - Możliwe, że widziałam tę osobę, która pana zaatakowała.

-Tak?

- Tak. W ostatni wtorek nad ranem ktoś próbował tu wejść, ale go wystraszyłam.
- Co takiego?!
- No, może nie wystraszyłam, ale zaskoczyłam. Najwyraźniej spodziewał się, że będę spać.
- Jak to się stało? - spytał Earl, siadając na łóżku.
- Usłyszałam, że ktoś wchodzi, i pomyślałam, że to ojciec Jimmy... - uroczy człowiek, zawsze mnie odwiedza

253

wieczorem, czasem nawet bardzo późno... ale zobaczyłam tylko postać w drzwiach. Było zbyt ciemno, żeby dostrzec oczy...

- Może to jedna z waszych pielęgniarek?
- Nie sądzę. To była spora postać.
- Mężczyzna czy kobieta?
- Trudno powiedzieć. Za ciemno.
- Mówił albo mówiła coś?
- Że to nie ten pokój.
- A głos? Rozpoznałaby pani głos?
- Nie. To był tylko szept.

Kosmyki jej włosów sterczały jak lodowe rozki z logo Dairy Queen, a oczy błyszczały satysfakcją: Sadie była dumna, że mogła mu o tym opowiedzieć.

Lecz jej historia zaniepokoiła Earla. Skoro wizyta w sobotę nad ranem była już drugą próbą wejścia do tego pokoju, to teoria o poszukiwaniach pustego łóżka na szybki numer albo o okradzeniu starszej pani wysłanej na przepustkę nie była warta funta kłaków. Earl miał ochotę zapytać, czy ktokolwiek miał powód, by zrobić jej krzywdę, ale postanowił, że najpierw należy uspokoić starszą panią.

• Sadie, chcę, żeby pani wiedziała, że to się nie powtórzy. Pewnie zauważyła pani, że postawiłem ochroniarza u drzwi oddziału?

• Tak - odpowiedziała i pochyliła się ku niemu, by szepnąć konspiracyjnie: - To dlatego domyśliłam się, że potraktował pan poważnie to, co się tu stało, i że na pewno chciałby pan usłyszeć o wtorkowej wizycie - wyjaśniła i zaakcentowała swoją wypowiedź zdecydowanym skinieniem głową.

Jest bardziej podniecona niż wystraszona, pomyślał z rozbawieniem Earl.

- W porządku. A teraz chciałbym zadać kilka pytań.

Ma pani wrogów?

Jej oczy rozszerzyły się z zachwytem.

254

- Ja? - Wydawała się zaszczyczona, jakby sama myślała o tym, że może być wystarczająco ważna, by stanowić cel ataku, była dla niej wielkim komplementem. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się w głos. - Następne pytanie proszę! - Machnęła ręką tak, jak czyni to ktoś, kto chce zbyć niewinne pochlebstwo, ale w istocie rozkoszuje się nim.

Earl zadał jej jeszcze kilka pytań, ale nie dlatego, że spodziewał się usłyszeć jakieś rewelacje, tylko dlatego, by poczuła ulgę, którą przynosi większości pacjentów świadomość, iż są częścią czegoś

większego niż tylko własnej choroby. Rozmawiali więc, a jego wzrok błędził po niewymyślnych sprzętach na jej nocnym stoliku, których wcześniej nie widział. Po chwili przeniósł spojrzenie na kalendarz. Tym razem zauważył, że Sadie skreśliła mniej więcej jedną czwartą dat; gdzieś widniały serie dwóch lub trzech krzyżyków. Szukając zręcznego sposobu na zakończenie tej rozmowy - Janet chciała go widzieć wieczorem w domu - zmienił temat:

- Czy to oznaczenie wizyt ojca Jimmy'ego? - spytał, wskazując na kalendarz.
- O, nie. Kapelan odwiedza mnie prawie co wieczór. Atu zaznaczam te dni, kiedy któryś z nieszczęsnych moich sąsiadów próbuje się przenieść na tamten świat, tylko że zaraz pojawia się ekipa młodych lekarzy z tym skrzypiącym wózkiem. Dlaczego ludzie nie mogą sobie odchodzić po cichutku i w spokoju, tego nigdy nie pojmę.

Earl zauważył bransoletkę z napisem DNR na jej nadgarstku. Z pewnością ma rację, pomyślał, ale się nie odezwał. Niepokoiła go duża liczba krzyżyków.

23.07

Stewart wszedł do przedpionka swego domu, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie ciężko. Gdyby również ła-

255

two było oddzielić całe życie od wpływów zewnętrznego świata, nie pozwolić ludziom na wdzieranie się do środka i traktowanie wszystkiego, pomyślał. Tylko że to już się wydarzyło.

Rozejrzał się po marmurowym holu, którego szarą posadzkę zmiękczał blask lampek wpuszczonych w ściany i sufit. Tego wieczoru dom przypominał mu raczej mauzoleum, choć całkiem niezłe wyposażone. Na palisandrowym stoliku stała mała mosiężna lampa z zielonym abażurem, rzucająca złotą plamę światła na listy, które zostawiła dla niego gospodyni. Zwykle widok korespondencji podnosił go na duchu - najnowsze wieści od kolegów, których podziwiał, były nagrodą za maratoński wysiłek całego dnia. Były, ale już nie są, pomyślał.

Ze słabo oświetlonego salonu po lewej dobiegały ciche dźwięki muzyki Mozarta. System stereo był zaprogramowany, by włączał się równocześnie ze światłem. Stewart nie lubił wracać do ciemnego, milczącego domu - był to jeden z podstępów samotnego mężczyzny, który pozwolił, by praca zawodowa pochłonęła bez reszty jego życie osobiste. Ale w tej chwili Deloram miał wrażenie, że to jedynie żalosna sztuczka, podkreślająca tylko pustkę tego miejsca.

Tocco zbiegła po schodach z góry, gdzie spała na jego łóżku. Jej czarna sierść lśniła, brązowe oczy były pełne ciepła, a różowy jęzor - gotów do mokrego powitania. Labradorka, wielka jak młoda niedźwiedzica, od dziesięciu lat co wieczór witała w ten sposób swego pana.

Ale tym razem nie znalazł pocieszenia w jej radości.

Nie mógł.

Być może już nigdy.

Rzucił na podłogę teczkę z papierami i jak w transie ruszył w stronę barku w dalekim kącie salonu, mijając gustowne, zabytkowe krzesła, dwie kanapy i kolejne stoliki z lampami - oczywiście dobrane przez dekoratora wewnątrz.

256

Nigdy nie pił alkoholu. Na przyjęciach częstował się wyłącznie napojami gazowanymi.

- Mogą dzwonić z oddziału — mawiał gospodarzom, którzy namawiali go do skosztowania trunków. Prawda jednak była taka, że nie lubił smaku alkoholu. Zawsze tak było; pozostawał trzeźwy nawet na piwnych imprezach w czasie studiów.

Teraz jednak nalał sobie kieliszek brandy i wypił tak, jakby kazano mu przełknąć gorzkie lekarstwo.

Palilo w żołądku. Nic dziwnego, skoro przez cały dzień nic nie jadł.

Tocco wsunęła pysk pod jego wolną rękę i obróciła łeb tak, by mógł podrapać ją za uchem.

Nalał sobie jeszcze, poszedł do jadalni i usiadł za stołem z brazylijskiego mahoni, przy którym

niezmiernie rzadko zasiadało tyle osób, dla ilu był przeznaczony, czyli dwanaście. Wstał po chwili i oparłszy się o równie rzadko otwierany kredens z porcelaną, przez chwilę podziwiał swą nieczęsto oglądaną kolekcję gobelinów, z których każdy był kopią obrazu van Gogha.

Wciąż niespokojny odstawił nietkniętą brandy na polerowane drewno kredensu i przeszedł do kuchni, w której miał dosłownie każdy ze znanych kucharzom sprzętów. Brakowało w niej zaledwie jedzenia - w lodówce znalazł podstawowe produkty, a w zamrażarce leżały skute lodem gotowe dania. Patrzył na nie przez chwilę, czując, że ma coraz mniejszą ochotę na posiłek. Tocco podeszła do szafki, w której przechowywał jej przysmaki, i z nadzieją po-merdała ogonem.

Stewart wyjął z worka kilka psich ciastek i rzucił je na podłogę. Tocco położyła się natychmiast, chwyciła pierwsze z nich łapami i z radością wbiła zęby w pionowo sterczącą końcówkę. Nie miała pojęcia, że tego dnia świat jej pana się zawalił.

Minął wahadłowe drzwi i zszedł do pokoju, w którym czekał na niego ekran plazmowy wielkości ulicznego bill-

257

boardu oraz zestaw trzydziestu głośników kina domowego. Na podłodze leżała sterta płyt DVD, których nie miał czasu zwrócić. Na jej szczycie kiwali się niebezpiecznie *Złodzieje rowerów* Vittoria De Sica; płyta w każdej chwili mogła wylądować na podłodze.

Po chwili wrócił do holu, opadł ciężko na marmurową posadzkę i spróbował dokonać bilansu zdarzeń.

Pierwszy tuzin telefonów to głupie pytania: „Czy to prawda?” Gamet był świadkiem początkowych rozmów z tej serii.

Odpowiadał każdemu jednakowo - że wszystko w porządku, że to tylko wielkie nieporozumienie - ale dobrze wiedział, że nikogo nie zdołał oszukać.

Potem zadzwonili ci, którzy już podjęli decyzję.

- Nie chodzi tylko o pana. Wstrzymujemy finansowanie wszelkich badań - łgali przeprasząc. - Naturalnie będzie pan pierwszym, do którego się odezwiemy, gdy tylko poprawi się stan gospodarki...

Odebrali mu dziesięć milionów dolarów w grantach w ciągu niespełna dwóch godzin i wiedział, że nigdy nie zdoła zdobyć na nowo takiej kwoty. Jego upadek był wyjątkowo dynamiczny, gdyż bardzo wiele osób chciało go ukarać — nie, nie ukarać, po prostu zniszczyć.

Tocco wyszła niespiesznie z kuchni, obróciła się w kółko trzy razy i padła plackiem na podłogę. Zaczęła toaletę swego lśniącego futra, zupełnie nie przejmując się tym, że jej pan leży nieruchomo pośrodku holu.

Wdzięczny, że znalazła się choć jedna żywa istota, która nie próbuje go osądzać, wyciągnął rękę i dopieścił ucho, które zignorował parę minut wcześniej.

Natychmiast spróbowała pocałować jego dłoń.

Pomyślał o wszystkich tych, którzy obrazili go tego dnia. Pamiętał jeszcze ich miny, ich nieustanne pragnienie obcowania z prawdziwym zwycięzcą, kiedy byli nim zachwyceni i w dodatku uważali to za wielki przywilej. Jakże różniły się od tych kwaśnych grymasów, które wi-

258

dział w ciągu ostatnich dwunastu godzin. I od tych zimnych, lekceważących głosów. Przypominały mu tę przepaść między wiecznym zrządzeniem wszystkich jego byłych żon a ich radosnym świergotem, gdy po raz pierwszy mówiły mu „tak”.

Najbardziej jednak przerażała go utrata kontroli nad własną pracą. Nagle odebrano mu zdolność wzbudzania szacunku i naginania innych do własnej woli.

Wstał i spojrzął na wieszak, gdzie zwykle zostawiał smycz Tocco. Nie było jej.

Zszedł do piwnicy i sprawdził haczyk, na którym niekiedy wieszała ją gospodyni.

Tocco ruszyła za nim, machając ogonem. Przeczuwała rychły spacer.

Spojrzał na rury pod sufitem i wtedy zobaczył twarz, która prześladowała go od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Sina, opuchnięta i wykrzywiona, wciąż mieszkała gdzieś w zakamarkach jego pamięci, gotowa pojawić się bez ostrzeżenia, ożywiona choćby najdalszym skojarzeniem. Zdarzało się to, gdy



prezentował nową pracę, gdy wysłuchiwał komplementów od młodszych kolegów, a raz nawet podczas wywiadu, którego udzielał Winfrey Oprah. Obraz tej twarzy, a zwłaszcza wybałuszonych oczu, wciąż powracał niczym mściwy upiór. Ich czarne spojrzenie przewiercało na wylot jego źrenice i jak sonda sięgało głębiej, do miejsca, którego anatomowie nie potrafili odnaleźć — tam, gdzie wśród zwiniętych zakrętów szarej i białej substancji rezydowało sumienie. Bo to zimne, martwe spojrzenie zmuszało go do ponownego przeżywania zdrady, której się dopuścił, do przyznania się, że szerzył insynuacje i szeptane kłamstwa, które stały się przyczyną upadku tego, kto teraz spoglądał nań oskarżycielsko oczami zjawy. Jedyna ucieczka przed klątwą? Wyteżona praca na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Pobiegł na górę, a za nim skomlała Tocco. Gdy zatrza-

259

snął za sobą frontowe drzwi, rozczarowana mogła tylko zaszczekać.

Z piskiem opon ruszył z podjazdu i popędził w stronę szpitala.

Mój oddział, myślał. Tam będę bezpieczny.

### Środa, 16 lipca, 2.33

Jane Simmons ocknęła się w swoim łóżku z krzykiem na ustach. Ból rozrywał jej brzuch.

- Chryste! -jęknęła, obejmując się ramionami i kuląc na posłaniu. — Thomas!

I wtedy sobie przypomniała: pojechał z powrotem do szpitala, żeby zmienić rezydenta, który zastępował go przez parę godzin. Od niedzieli, kiedy oznajmiła mu wielką nowinę, ku jej zadowoleniu zmienił swój rozkład zajęć tak, by mogli jadać razem kolacje co najmniej trzy razy w tygodniu.

Chwycił ją kolejny skurcz, jakby ktoś wkręcał jej wnętrzności w wyżymaczkę.

- Jezu! — zaskowytała, kuląc się jeszcze mocniej.

Wieczorem jadła lucjana - ryba wydawała się świeża i naprawdę dobrze ją wysmażyła. Ale częstowała się też sałatką ziemniaczaną - może więc majonez? Nic innego nie mogło wywołać takiego bólu. Pili tylko świeży sok owocowy, żadnego alkoholu. Thomas przyniósł tym razem cytryny i grejpfruta, starczyło na cały dzbanek.

• Toast! - zarządziła, już trzeci wieczór z rzędu upierając się, by używali kieliszków do szampana, przeznaczonych na specjalne okazje.

• Kurczę, pokażę ci, jak to się robi w Tennessee - odpowiedział ze śmiechem i pociągnął łyk soku prosto z dzbanka. Często to robił, na złość Jane.

• W Grand Forks też się tak robi, ale tylko za stodołą - odparowała i tak przekomarzali się przez chwilę, nie

260

ustępując ani na krok. Wreszcie uparła się, żeby napęlił kieliszki aż po brzegi. Wzniesli je ku górze, jak należy, żeby wypić za siebie i za dziecko...

- O Boże! - krzyknęła.

Kolejna fala bólu, jeszcze mocniejsza od poprzednich, chwyciła ją jak dwie potężne ręce próbujące rozerwać ją na pół. Poczowała coś śliskiego między udami. Ciepłego i lepkiego. Instynktownie sięgnęła ręką i poczuła strumień gorącego płynu.

- O Boże, nie... - wymamrotała, sięgając do włącznika światła i przygotowując się na ten widok.

Nic nie mogło jej przygotować.

Okrągła czerwona plama między jej nogami stale się rozszerzała; sięgała już od bioder do kolan i niżej. Z każdym atakiem bólu kolejna fala krwi buchała z jej pochwy. A pośrodku tego wszystkiego spoczywały sine szczątki tego, co było jej dzieckiem.

Krzyknęła głośno i wyciągnęła rękę ku niemu, ale powstrzymała się.

Nowe fale bólu zmusiły ją do przyjęcia pozycji embrionalnej. Przed oczami widziała ciemne kręgi.

Mimo zawrotów głowy zdołała wyprostować się na tyle, by sięgnąć po słuchawkę i spróbować

wbić numer 911. Zakrwawione palce ślizgały się po klawiaturze.

Michael Popovitch wyszedł bocznymi drzwiami i poluzował tasiemki maski. Chłodna noc, wciąż wilgotna po deszczu, który spadł przed godziną, pachniała słodko. Pozostał w pobliżu przebieralni - czyściśca, jak nazywali ją rezydenci, strefy pomiędzy bezpiecznym światem zewnętrznym a chorym królestwem szpitala. Zawsze uważał, że właśnie tu dokona się zwycięstwo albo porażka w tej bitwie. Prędej czy później, mimo wszelkich zabezpieczeń, ktoś wyniesie wirusa na ulice miasta, domu, do rodziny, przyjaciół — do wszystkich.

Odetchnął głęboko i, nareszcie wolny od ciasnej ma-

261

ski, cieszył się uderzającą do głowy świeżością powietrza. Smakowało mu tak bardzo, jak dawno temu papierosy. W oddali rozległ się jakby świszczący dźwięk, a potem się powtórzył. Po chwili unosił się i opadał już rytmicznie, regularny jak oddech.

Zbliżała się karetka.

Jeszcze pięć minut, ocenił. W śpiącym mieście dźwięk niesie się daleko.

Oparł się o mur i spojrzął na gwiazdy. Łatki migotliwego srebra widać było pomiędzy ustępującymi pasmami chmur. Następny dzień zapowiadał się słonecznie. Michael nie zamierzał więc odsypiać dyżuru. Postanowił wybrać się na plażę z Terry'm i Donną.

Całej trójce przydałaby się taka chwila relaksu.

Kłótnie między nim a Donną na pewno nie służyły dziecku. Nie rzucali ciężkimi przedmiotami i nie bili się, rzecz jasna, ale w domu panowało napięcie, przywodzące na myśl ciężką poduszkę przyciśniętą do twarzy.

Popovitch pamiętał takie trudne chwile między własnymi rodzicami. Nie zostawiły blizn w jego psychice, ale w swoim czasie był przez nie nieszczęśliwy. Wielka różnica polegała na tym, że jego mama i tata potrafili zakończyć ten konflikt. A tu, jeśli nie zdecyduje się zrezygnować z pracy, napięcie między nim a Donną mogło trwać tak długo jak zagrożenie SARS - być może wieczność.

Czasami nie chciała nawet z nim spać. Krzywiła się za każdym razem, gdy przytulał Terry'ego, i wynajdywała wszelkie możliwe powody, by dzieciak jak najwięcej czasu spędzał u jej matki. Za każdym razem, gdy media donosiły o śmierci pielęgniarki czy lekarza, patrzyła na niego jak na mordercę.

Mógł opuścić St PauFs, przenieść się gdzieś, gdzie choroba jeszcze nie dotarła. Nie było to jednak takie proste. SARS zaś mogła pojawić się wszędzie. I pewnie wkrótce miało to nastąpić. Poza tym, gdyby jego następcą dobrał

262

się do papierów i zobaczył, czym zajmował się Michael Popovitch...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, wrywając go z zamyślenia.

- Doktorze Popovitch! - zawołał Thomas Biggs, wychylając się zdyszany zza drzwi. - Mamy informację z ambulanżu. Wiozą kobietę w poważnym szoku po poronieniu.

Michael odepchnął się od ściany. Wycie syreny było już znacznie głośniejsze i zbliżało się szybciej, niż się spodziewał. Musieli naprawdę gnać.

- Wszystko gotowe?

Thomas skinął głową.

Michael poczuł szybsze bicie serca, tak jak pierwszego dnia pracy na oddziale ratunkowym. Zmieniło się tylko tyle, że umiał już skierować strumień adrenaliny we właściwe miejsce: z jej pomocą oczyścić umysł i wyostrzyć zmysły. Wkraczał do sfery, w której musiał reagować bez wahania, bez domysłów, bez wątpliwości. Takie chwile czystego działania przeżywał tylko tu, na dole. Im bliższe było wycie syren, tym większy ogarniał go spokój.

Thomas, jak wszyscy nowicjusze, kręcił się niecierpliwie, ale nie wchodził mu w drogę.

Czekali jeszcze, gdy znajomy ciemny mercedes wjechał na parking dla lekarzy. Wsiadł z niego

Stewart Delo-ram.

• A co on tu robi? - mruknął Thomas. — Po takim laniu, jakie dzisiaj dostał, każdy chciałby tylko zaszyć się w domu, pod łóżkiem.

• Chyba nie znasz Stewarta - odparł Michael i pomachał Deloramowi na powitanie.

Stewart zauważył ich i obejrzał się w stronę, z której dobiegało narastające wycie syreny. Było już tak blisko, że Michael czuł w uszach lekką wibrację.

- Czekacie na coś specjalnego? - zawołał Stewart, kie-

26.3

rując się ku przeciwległej stronie placu dla karetek, gdzie znajdowały się drzwi dla personelu szpitala.

- Kobieta we wstrząsie — odrzyknął Michael. - Prawdopodobnie po poronieniu.

Stewart wsunął kartę do zamka.

• Mogę pomóc? - Wszedł do holu i wyciągnął czysty kitel z wózka ze świeżą odzieżą.

• To raczej sprawa dla położnika - odparł Thomas, wpatrując się w splamiony olejami asfalt, który ich dzielił. Ton jego głosu sugerował, że Stewart mógłby się zająć własnymi sprawami.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że rezydent już dokonał oceny.

- Sprawiedliwość ludowa, Thomas? — mruknął Michael. - Czy może nikt nie jest winny, póki wina nie została mu dowiedziona?

W pierwszej chwili Biggs nie odpowiedział.

• Chcę, żeby był tym, za kogo zawsze go miałem - odrzekł wreszcie. - Tylko nie wiem, czy jeszcze mogę mu ufać.

• To zrozumiałe - stwierdził Michael głosem możliwie cichym, ale nie wpadającym w szept. - Ale też wiele się od niego nauczyłeś. Czy nie zasługuje przynajmniej na wątpliwości z naszej strony?

• Uważasz, że jest niewinny?

• Uważam, że przepracował ze mną zbyt wiele lat, ratując ludziom życie, żebym mógł teraz odwrócić się do niego plecami. - A poza tym, dodał w myśli Michael, będę miał w St Paul's choć jednego przyjaciela, kiedy sam wpadnę w kłopoty. - Dobrze, że jesteś, Stewart! - zawołał głośno, spoglądając wprost na Thomasa. - Wstrząs to wstrząs, nieprawdaż? - dodał tym samym tonem.

Młody rezydent uniósł brwi z dezaprobatą, ale się nie odezwał. Karetka zajeżdżała z piskiem opon na parking, a jej syrena ucichła z chrapliwym pomrukiem.

264

Jane leżała drżąca na noszach, a ponad nią raz po raz pojawiały się twarze podobne do balonów niesionych wiatrem.

- Kontakt dożylny założony!

-Grupa krwi. Próba krzyżowa... dla sześciu jednostek... nie, dziesięciu!

- Dwie jednostki, grupa zero, podłączone.

Głosy dobiegały do niej jakby z końca długiego tunelu. Miała wrażenie, że są pełne paniki. Zawsze takie są, kiedy na oddział trafia ktoś z naszych, pomyślała.

• Nadal krwawi.

• Skurczowe spadło, do osiemdziesięciu.

• Gdzie ginekolog?

Czuła, że ogarnia ją chłód. Czuła też pieczenie — kroplówki podłączono do ud, ramion i szyi. Cewnik wprowadzony do jej pęcherza wywołał urojoną potrzebę oddania moczu, której nie mogła zaspokoić. Ból w brzuchu atakował rytmicznie, z brutalną siłą pięściarza.

Popovitch i Deloram nie mieli ani chwili, żeby rzucić choć słowo pocieszenia. Wykrzykiwali polecenia i w podnieceniu wymieniali uwagi. Ich zachowanie sprawiło, że się bała.

Była też wściekła. Jak mogą zredukować ją do odczytów ciśnienia, parametrów krwi i parametrów biochemicznych? I co tu robi Deloram?

- Czekasz na parę słów od prawie trupa, Stewart? -  
wymamrotała wystarczająco zbuntowana, by zwrócić się  
do niego po imieniu.

Wystraszył się i w zdumieniu uniósł brwi.

- Żartuję - dodała. - Teraz przynajmniej mnie zauważyłeś.
- Na pewno chcesz, żebym się tobą zajmował?
- No jasne, do cholery, tylko przestań roztrząsać własne problemy. I nie gap się na mnie, jakbym już była duchem.

Spod maski dobiegł stłumiony śmiech.

265

- Ale z ciebie numer, Jane.
- Jest źle?
- Nic się nie martw. Nie pozwolę odejść jednej z niewielu osób, które jeszcze chcą ze mną gadać. Michael Popovitch pochylił się nad nią z wynikami laboratoryjnymi w dłoni.
- Nie bierzesz aspiryny i leków rozrzedzających krew? - spytał.
- Nie. - Jej odpowiedź zabrzmiała jak jęk.
- Krwawienia?
- Ani jednego.

Ból powrócił. Nagle zapragnęła, żeby był przy niej doktor G.  
I Thomas, który miotał się po sali z rozpaczą w oczach.  
- Trzymaj się, Jane — szeptał za każdym razem, gdy  
był wystarczająco blisko.

Pomyślała, że jeszcze kilka godzin temu oddawali się miłosnym igraszkom, i nagle poczuła się  
bardziej naga niż kiedykolwiek.

Mów do mnie, do cholery! Zostaw te cyferki, analizy i igły innym, myślała ze złością. I wreszcie  
weź mnie za rękę.

Poczuła, że spada spiralnym torem, i ogarnęły ją mdłości.

O Boże, ja umieram.

- Podjednostka beta pozytywna - oznajmił płynący  
z głośnika kobiecy głos. Echo rozniosło go po całej sali.

Nie rozpoznała go.

- Ewidentnie zaszła.

Ja ci dam „zaszła”, suko! Jane miała ochotę krzyknąć.

- Dlaczego tak mocno krwawi? - spytał jeden z rezydentów.
- Zatrzymanie łożyska - odpowiedział Thomas z wymuszoną swobodą; zawsze tak się zachowywał, gdy siłił się na spokój i mentorski ton. - Musimy rozszerzyć szyjkę i wyłyżczkować macicę...

Kolejne ukłucie gniewu spowolniło jej upadek w ciem-

266

ność, a nawet przywróciło jej siły. Miała wielką ochotę chwycić go za to, czemu zawdzięczała ciężę, i  
mocno wykręcić. W tym momencie usłyszała kobiecy głos w korytarzu; brzmiał równie cudownie jak  
daleki dźwięk trąbki zwiastujący kawaleryjską odsiecz.

- No dobrze, co tu dla mnie macie na ostatnią wizytę  
w szpitalu... o mój Boże, J.S.!

Doktor Graceton pojawiła się w polu widzenia i pochyliła się nisko, dodając chorej otuchy  
mocnym uściskiem dłoni.

- Musimy szczerze porozmawiać - szepnęła. - Ile czasu minęło od rozpoczęcia ostatniego cyklu?
- Prawie dwa miesiące. - J.S. czuła wate w ustach; mówiła niewyraźnie.
- Bierzesz jakieś leki?
- Nie.

Doktor Graceton pochyliła się niżej.

- Czy próbowałaś aborcji na własną rękę? Czegoś w rodzaju RU-486 z Europy?
- Nie, niczego... - Jane urwała i krzyknęła, bo w tej samej chwili dopadł ją kolejny skurcz macicy. Doktor Graceton zmarszczyła brwi.
- Przykro mi, J.S., ale musiałam zapytać.
- Nie, postanowiliśmy, że urodzę dziecko.
- Rozumiem. - Zmarszczki na czole Janet jeszcze się pogłębiły. - Może więc wzięłaś coś

przypadkowo?

- Nie sędzę.
- Używałaś leków przeciwwzpalnych?
- Czasem, ale...
- Arthrotecu albo Cytotecu?

J.S. pokręciła głową, rozpoznając nazwy leków zawierających mizoprostol, analog prostaglandyny blokujący powstawanie wrzodów, częstego efektu ubocznego przyjmowania leków na zapalenie stawów. Powodowały one otwarcie szyjki macicy. Jane widziała już na oddziale kilka kobiet, które poroniły po przyjęciu tych specyfików.

267

- Nie, nic z tych rzeczy.

Doktor Graceton spojrzała na Popovitcha.

- Mamy już jakieś wyniki z laboratorium?

Michael właśnie kończył ustawianie części łóżka tak, by krew spływała z uniesionych nóg do bardziej istotnych organów. Stres naprężył pobladłą skórę wokół jego oczu tak bardzo, że być może i jemu przydałby się podobny zabieg.

- Hej, doktorze Popovitch - odezwała się Jane na tyle pewnie, na ile starczyło jej sił. - Głowa do góry. Boję się o pana.

Spojrzał na nią z góry i zapewne spróbował się uśmiechnąć, bo zmarszczki wokół jego oczu poruszyły się nieznacznie.

• Przepraszam, Jane. Zdaje mi się, że na co dzień polegam w tej kwestii na tobie. - Michael przeniósł wzrok na doktor Graceton. - Biochemia w normie. Ale nawet bez wyników z laboratorium mogę ci powiedzieć, że w tej chwili mamy praktycznie zerową krzepliwość. Prawie żadnego skrzepu.

• W takim razie podamy jej świeżo mrożone osocze - odpowiedziała Janet, machając niecierpliwie ręką, jakby była to rzecz oczywista. Chodziło o krew, która mogła podnieść poziom czynników krzepnięcia.

Popovitch mrugnął do J.S.

- Już się odmraża w mikrofalówce, moja droga.

Udał komika W.C. Fieldsa na tyle wiernie, że uśmiechnęła się mimo bólu. Ten numer zawsze wywoływał co najmniej kilka chichotów i rozluźniał atmosferę przy pracy.

- Tak lepiej - powiedziała.

Stewart podbiegł z wydrukiem w rękę.

- Mam resztę wyników - powiedział.

Stłoczyli się wokół niego, jakby przyniósł najświeższą gazetę. Wyrecytował długą „alfabetyczną zupę” akronimów opisujących zaburzenia w funkcjonowaniu krwi.

- DIC? - spytał Thomas.

268

O Boże! Jane rozpoznała ten skrót. Oznaczał on groźną komplikację występującą podczas wstrząsu krwotocznego: rozsiane wykrzepianie wewnątrzmaciczne. Polegało ono na tym, że organizm Jane wykorzystał już cały zapas czynników krzepnięcia, próbując wywołać krzepnięcie w całym układzie krwionośnym, nawet tam, gdzie nie było to potrzebne. W praktyce oznaczało to, że ma pięćdziesiąt procent szans na przeżycie. W dodatku leczenie tej przypadłości zawsze wydawało jej się istnym szaleństwem: podawano heparynę, by jeszcze bardziej spowolnić krzepnięcie krwi, w nadziei że zaoszczędzone tym sposobem czynniki pomogą zahamować krwotok we właściwym miejscu.

Niewielu pacjentom, którzy doświadczyli czegoś takiego, udało się przeżyć.

- Ja umrę - wymamrotała. A może tylko pomyślała?

Nikt tego nie zauważył.

Doktor Graceton wyrwała Stewartowi raport.

- Co ty wygadujesz, Thomas? Zaden DIC, tylko zwiększone INR. Płytki krwi i PTT w normie.

Znowu alfabetyczna zupa.

- Właśnie, uważaj, co mówisz - dorzucił Michael - bo wystraszysz J.S. na śmierć.

- Nie tego cię uczyłem, Thomas — wtrącił Stewart, a jego krzaczaste brwi uniosły się w oburzeniu.

Thomas udał oszołomionego.

- A, tak - powiedział. - Głupio gadam.

Kłamią, żeby mnie chronić, pomyślała Jane.

Rozległ się dźwięk mikrofalówki i nim minęło kilka sekund, pielęgniarki dołączyły kolejne ciemnoczerwone worki do baterii kroplówek, które wlewały się w jej ciało. Tym razem wyraźnie poczuła ciepło w żyłach, ale reszta jej ciała była przeraźliwie zimna. Znowu zaczęła odpływać.

- Umieram — zawołała.

- Nic podobnego - odparła zdecydowanie Janet.

A jednak traciła przytomność, co nie przeszkadzało jej czuć kolejnego skurczu macicy.

269

Trzej pozostali lekarze cofnęli się nieco i dyskutowali półgłosem, gestykulując z ożywieniem.

- Ciśnienie spadło do sześćdziesięciu pięciu! - krzyknął ktoś.

Thomas pojawił się u jej boku i złapał ją za rękę.

- Trzymaj się, Jane. Kocham cię - szepnął wprost do jej ucha.

Nareszcie, pomyślała z wysiłkiem. Thomas jednak zaraz zniknął, po czym powrócił z igłą, by pobrać krew na kolejne badanie.

Jezu, pomyślała, tym razem już porządnie wściekła. Janet znowu zjawiała się u jej boku.

- Jedziemy na salę operacyjną!

Ekipa błyskawicznie przerzuciła na łóżko lub przygotowała do transportu wszystko, co należało zabrać w tę podróż: monitory, zbiorniki z tlenem, kroplówki.

- Podajcie jej dożylnie fitonadion - zarządził Stewart.

Ten termin również był znany Jane - kryła się pod nim witamina K. Często używali tego specyfiku na oddziale ratunkowym, by odwrócić skutki działania Coumadyny, leku powodującego obniżenie krzepliwości krwi przez zakłócenie działania witaminy K i innych substancji biorących udział w krzepnięciu.

- Ale ja nigdy w życiu nie brałam Coumadyny...

- Spokojnie - przerwał jej Deloram. - Prawdopodobnie masz wrodzony niski poziom protrombiny.

W badaniach efekt jest taki sam jak po przedawkowaniu Coumadyny. Fitonadion podniesie efektywność tej odrobiny protrombiny, którą masz. Ludzie cierpiący na jej brak często nawet o tym nie wiedzą, póki nie przytrafi im się taka sytuacja jak ta. Czy zwykle mocno krwawisz, kiedy się skaleczysz?

- Nie powiedziałabym...

- A co z miesiączkami? Obfite?

- Czasem, ale...

- Cześć, J.S. - odezwał się inny znajomy głos, przery-

270

wając ciąg irytujących pytań Delorama. Dłoń w rękawiczce, ciepła mimo lateksowej ochrony, chwyciła ją za rękę.

- Cześć, Jimmy - odpowiedziała. Wydawało jej się, że jej własne słowa brzmią jak dalekie echo. - Powiedz, że nie przychodzisz służbowo.

Uśmiech zmarszczył skórę wokół jego oczu.

- Nie, przychodzę jako przyjaciel.
- Potrzebny mi przyjaciel.
- Więc jestem do twojej dyspozycji.
- Na pewno? Teraz, kiedy praktycznie wytatuowano mi szkarłatne A na czole?

Uścisk dłoni przybrał na sile.

- Dosyć tego gadania. Wkrótce będziemy pili razem kawę, jak zawsze.

Ledwie dwanaście godzin wcześniej raczyli się herbatą w dyżurce.

- A kiedy wrócisz do sił, będę chciał parkę dla tego - dodał, muskając palcem swój koleczyk. - Nie masz pojęcia, jaką gwiazdę zrobił ze mnie wśród starszych pań na ginekologicznym.

Spróbowała uśmiechnąć się do niego. Nikt nie dał jej maski. Czy Jimmy miał być ostatnią osobą na tym świecie, która zobaczy jej uśmiech?

Znowu Janet zbliżyła się.

- Plan jest taki: jedziemy na salę operacyjną, wyłeczkuję macicę, a kiedy osocze zacznie działać, krwotok ustanie. Krótka mowa: nie umrzesz i będziesz mogła mieć dzieci.

Jane drżała coraz mocniej i czuła zawroty głowy.

- Mam nadzieję.
- A jeśli ci kowboje z ratunkowego już skończyli cię kłuć... powiedziała Janet, po czym dodała znacznie głośniejszym głosem... to może znaleźliby też jakiś koczyk dla tej pani?

Zaczęła tracić przytomność. Ścisnęła mocniej rękę Jimmy'ego, ale nawet on nie mógł zatrzymać jej upadku w ciemność.

271

## Rozdział 13

Janet biegła korytarzem, asekurowując łóżko przy ostrych wirażach w śmiertelnie realistycznej powtórce wyścigu, który odbył się na ulicach Buffalo ledwie dwie soboty wcześniej.

Nawet Jimmy pomagał, podtrzymując rozhuśtane kroplówki.

Stewart Deloram w biegu regulował tempo podawania leków.

Janet ani na chwilę nie przerywała litanii uspokajających słów. Zapewniała J.S., że wszystko będzie dobrze, że wiele, wiele razy wychodzili i z gorszych opresji, że wkrótce wszystko to będzie ledwie nieprzyjemnym wspomnieniem. Tak naprawdę jednak nawet nie miała pewności, czy pacjentka ją słyszy; w duchu szacowała, że jeśli w ciągu dziesięciu minut nie powstrzymają upływu krwi, J.S. umrze.

Wezwali windę i kilkadziesiąt sekund później na spotkanie wybiegła im ekipa pielęgniarek, a na sali operacyjnej czekał już anestezjolog.

Krwotok trwał.

Rozbieranie, mycie, wkładanie sterylnych strojów, rękawiczek i masek - wszystko to zabierało cenne sekundy.

- Ciśnienie spadło, do sześćdziesięciu dwóch - zameldowała jedna z pielęgniarek z oddziału ginekologiczno-położniczego.

Stewart pospieszenie otworzył kroplówki do maksimum.

Jimmy znów stał u boku J.S. Nie pierwszy raz był

w sytuacji, w której przede wszystkim miał nie zawadzać lekarzom - zawisł dyskretnie u wezłowania łóżka, trzymając Jane za rękę i przemawiając do niej cicho, aż wreszcie anestezjolog skinął głową na znak, że pacjentka jest już znieczulona. Wtedy dopiero Jimmy cofnął się do kąta sali, najwyraźniej z zamiarem pozostania i obserwowania operacji. Jego ciemne oczy błyszczały mocno.

Janet po raz pierwszy, odkąd go znała, dostrzegła w nich strach.

Mój Boże, pomyślała, on ją kocha.

- Gotowa, dla pani doktor - ponaglił ją zdenerwowany anestezjolog. - Ciśnienie spadało do sześćdziesięciu. - Paśma siwych włosów wystawały mu spod czepka, jakby specjalnie chciał zmanifestować przed Janet, że nie przyszło jej pracować z nowicjuszem.

Pielęgniarki umieściły nogi J.S. w strzemionach i ustawiły między nimi stółek dostosowany do wzrostu Janet. Usiadłszy na nim, przygotowała się do ostatecznego zabiegu: wyskrobania wszelkich resztek z jamy macicy. Po całkowitym opróżnieniu macica się musiała obkurczyć, blokując wszelkie krwawiące miejsca, jak ucisk na ranę.

Na razie jednak z szyjki macicy płynęła krew niosąca resztki płodu.

- Ssanie - zarządziła Janet.

Oczyszczaniu pola operacyjnego za pomocą cewników towarzyszył taki sam dźwięk, jaki wydaje słomka na dnie kubka z koktajlem mlecznym. Strumień krwi osłabł.

Janet rozszerzyła szyjkę macicy legarami, po czym zabrała się do oczyszczania ścian jamy macicy.

- Ciśnienie nadal sześćdziesiąt, tętno skoczyło do stu sześćdziesięciu. Możliwe, że nie masz za wiele czasu.

- Podawaj mi odczyt na bieżąco. - Janet usunęła bardzo niewielką ilość tkanki, a jednak krwawienie wciąż było bardzo silne; ciepły strumień opływał jej ręce i nie było w nim ani śladu skrzepów.

Zdecydowanie coś nie tak z krzepliwością, pomyślała.

- Nowy wynik INR? - spytała.

- Wciąż wysoki, ale reszta w normie — odparł Stewart. To oznaczało, że problemem jest wciąż niski poziom pro-trombiny, a nie znacznie bardziej niebezpieczne DIC. Przynajmniej na razie.

Deloram wciąż uwijał się przy kroplówkach, wymieniając opróżnione worki z czerwonymi krwinkami i osoczem, spinając nowe pneumatycznymi obręczami przyspieszającymi przepływ i podając kolejne litry soli fizjologicznej, by maksymalnie wypełnić łożysko naczyniowe - a wszystko po to, by nie nastąpiło zatrzymanie krążenia. Jednak strach w jego oczach podpowiadał Janet, że przegrywa tę bitwę.

- Pięćdziesiąt pięć.

Janet zakończyła łyżeczkowanie ścian jamy macicy i usunęła ostatnie fragmenty popłodu. Żaden z nich nie był na tyle duży, by usprawiedliwiać tak obfity krwotok. Jej stan powinien się już poprawiać.

Chyba że...

- Ciśnienie w dół do pięćdziesięciu, tętno wciąż szybko... sto pięćdziesiąt pięć... sto sześćdziesiąt...

Mogła zatrzymać się w każdej chwili.

Janet poczuła na plecach zimny pot.

Albo krzepliwość nie poprawiła się ani trochę, albo podczas łyżeczkowania posunęła się za daleko i przebiła ścianę macicy, powodując nowy krwotok. Tkanka była wystarczająco elastyczna, by rozciągnąć się i pomieścić dziecko, ale tak delikatna, że można było przebić ją łyżką i nawet tego nie poczuć. Nigdy jeszcze jej się to nie zdarzyło, ale wiedziała, że nieszczęścia zdarzają się najczęściej wtedy, gdy są najmniej pożądane.

Musiała sprawdzić.

- Skalpel - powiedziała, odkładając łyżkę. - Przygodo



wać się do laparotomii i być może zeszyca przebitej macicy.

Usłyszała gwałtowne wdechy i wszyscy spojrzeli na nią

274

szeroko otwartymi oczami, ale nikt się nie odezwał. Od tej pory tylko ona miała się wypowiadać.

Pielęgniarka stojąca obok niej wpięła ostrze do oprawki z nierdzewnej stali i podała narzędzie. Jej koleżanki podsunęły bliżej stoliki z narzędziami i zdjęty z nich ochronne przykrycia. Jedna z nich szybko umyła rejon cięcia.

Stewart umieścił igłę grubości gwoździa pod obojczykiem J.S. i rozpoczął podawanie szóstej kroplówki do żyły podobojczykowej.

- Przygotować się do tamponady cięcia gazą. Ssanie w pogotowiu.

Jednym ruchem Janet wykonała poziome, dziesięcio-centymetrowe cięcie skóry i żółtej warstwy podskórnej tkanki tłuszczowej na wysokości górnej krawędzi miednicy, zwane cięciem bikini. Nacięcie natychmiast pokryło się krwią, ale palce pielęgniarki odchyliły skórę i ucisnęły miejsce cięcia tamponem, który szybko wchłaniał płyn.

W drugim podejściu cięła głębiej, wnikając w żółte kuleczki tłuszczu, aż do białej powięzi otaczającej mięsień brzucha. Przez tę warstwę przebiła się trzecim cięciem samego czubka skalpela; elastyczna tkanka rozchyliła się samoistnie, odsłaniając fałd ciemnoczerwonej tkanki mięśniowej. Janet odłożyła skalpel i palcami torowała sobie drogę dalej, aż do perłowszarej błony wyściełającej miednicę. Dwie pielęgniarki bez polecenia przytrzymały rozsunięte tkanki małymi hakami z nierdzewnej stali.

Gdy Janet miała już dość miejsca do działania, inna pielęgniarka podała jej pęsetę do lewej i nożyczki chirurgiczne do prawej ręki. Pochwyciła błonę pęsetą i uniosła, tworząc coś na kształt małego namiotu. Nożyczkami wycięła mniej więcej dziesięciocentymetrową szczelinę.

Rozsunęła jej brzegi palcami i odsłoniła ciemny, gruszkowaty kształt macicy. Lśniła jak nowa, spoczywając w wolnym od krwi gąszczu więzadeł i błon w kolorze ochry.

Być może jednak jej nie przebiłam, pomyślała. Dla pew-

275

ności delikatnie obmacała śliski organ Opuszkami palców, szukając choćby najmniejszych otworów.

Nie znalazła ani jednego.

Szukała źródła krwawienia.

Czerwony płyn ściekał wyłącznie z tych naczyń, które uszkodziła, rozcinając skórę. Z zewnątrz macica wyglądała na nienaruszoną, gotową na przyjęcie nowego życia, jakby nic się nie wydarzyło.

Ale z jej wnętrza wciąż lała się krew, spływając bezszelestnie spomiędzy nóg J.S. i z głośnym chlupotem spadając do stalowej misy, którą podstawiły pielęgniarki.

Gorączkowe działania dobiegły końca i Janet poczuła się nagle bezradna. Dotarła do kresu możliwości.

Większa dawka witaminy K nie mogła już pomóc; na skutki jej działania trzeba było czekać godzinami.

Usunięcie macicy spowodowałoby kolejny krwotok.

Jedyną nadzieją na ratunek było działanie świeżo mrożonego osocza — i zawartych w nim czynników krzepnięcia.

Janet przygotowywała się do najcięższego zadania w pracy chirurga: musiała czekać i pozwolić, by czas zadecydował o życiu lub śmierci pacjentki.

• Ciśnienie?

• Pięćdziesiąt pięć - odparł anestezjolog, jak zawsze głosem gładkim jak lód.

Nikt się nie odzywał.

W tej ciszy każdy kolejny ruch worka wentylacyjnego wydawał się głośniejszy.

Odstępy między dźwiękami aparatury oznaczającymi uderzenia serca stały się tak małe, że w praktyce z głośnika wydobywał się jednostajny dźwięk.

Strumyk krwi spływającej do pojemnika płynął równym tempem.

Jedna z pielęgniarek opróżniła go i zanotowała objętość.  
Inni liczyli nasiąknięte gaziki, usypane na tacach w trzy-

276

dziestocentymetrowe stosy, z których każdy mógł zawierać do dwudziestu centymetrów sześciennych krwi. Nikt nie wiedział, czy serce J.S. zdoła dalej tłoczyć życiodajny płyn, czy wkrótce będzie puste i się zapadnie. Lecz nawet gdyby dalej pracowało, trudno było przewidzieć, czy najważniejsze organy - mózg, nerki, wątroba - dostaną wystarczającą ilość tlenu, by przetrwać bez uszkodzeń.

Janet mogła jedynie czekać i to właśnie robiła - doświadczenie nabyte przez lata praktyki pomogło jej zachować zewnętrzny spokój, choć strach, że być może straci J.S., ścisnął ją za gardło z wielką siłą.

I wtedy pomyślała o Jimmym; o tym, co on musiał teraz przeżywać.

Gdy spojrzała na niego, stał nieruchomy jak wartownik, ale skinął głową w ledwie zauważalny sposób, jakby chciał dać jej znak, że wszystko będzie dobrze.

Zatrzymanie akcji serca J.S. nastąpiło o czwartej dziesiątej nad ranem.

Stewart rozciął jej klatkę piersiową, wsunął do środka dłoń i rozpoczął bezpośredni masaż serca.

Krwotok ustawał z wolna.

To dlatego, że Jane umiera, pomyślała Janet.

Niemal pięć minut później odezwał się anestezjolog:

- Wywołujesz całkiem niezłe tętno.

Trzydzieści sekund później serce podjęło samodzielną pracę; ożyło w rękę Stewarta.

Ciśnienie krwi Jane rosło w dobrym tempie i wszyscy się spodziewali, że lada chwila krwotok powróci.

Ale nie powrócił.

### **Później tego samego ranka, 7.30 Ogród na dachu St Paul's Hospital**

- Mówię ci, Earl, on był wspaniały - powiedziała Janet, obejmując Stewarta ramieniem. - Po prostu wspaniały.

277

Deloram poczerwieniał, ale sądząc po kącikach oczu, uśmiechał się szeroko.

- To Janet kierowała operacją - bąknął, nienaturalnie speszony pochwałą.

Upadek do rangi pariasa i powrót do roli bohatera w ciągu jednego dnia miewają czasem taki wpływ na człowieka, nawet na miejscową primadonnę, pomyślał Earl. Było mu trochę nieswojo, że Janet pieje z zachwytu nad człowiekiem, który miał jeszcze sporo do wyjaśnienia na temat swojej działalności.

Stewart także wyglądał na zakłopotanego; starał się nie patrzeć Earlowi w oczy.

Z dołu dobiegały odgłosy porannego ruchu ulicznego, a lazuruowe niebo opadało w oddali ku wodom jeziora Erie, zlewając się z nimi niezauważalnie gdzieś za mglistym horyzontem. Zapowiadał się upalny dzień i jak to zwykle bywało, odkąd otwarto ogród, wielu pracowników rannej zmiany zjawiało się na dachu, by odetchnąć jeszcze chłodnym powietrzem. Niektórzy spoglądali na Stewarta wilkiem, ale wiele pielęgniarek, które poprzedniego dnia patrzyły na niego tak samo, teraz podchodziło, by podziękować mu za uratowanie J.S.

Jane tymczasem leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej, wciąż nieprzytomna, ale jej parametry życiowe były stabilne, a wskaźniki biochemiczne krwi normalne, toteż prognozy były całkiem dobre. Nawet wskaźnik INR wrócił do rozsądnych wartości, zapewne dzięki witaminie K. Hematolodzy wiedzieli, że muszą pilnować tej sprawy.

- Dziękujemy Bogu, że J.S. z tego wyjdzie - powiedział Earl do Stewarta, na wszelki wypadek dość neutralnym tonem. - Z kim była w ciąży? - dodał, by zmienić temat rozmowy.

Oczy Janet rozbłysły.

- To ci się spodoba! Gdy tylko skończył dyżur na twoim oddziale, Thomas Biggs zjawił się przy jej łóżku, opiekuń-

278

czy jak lichu. Wygląda na to, że pozwolili sobie na dyskretny romans pod twoim nosem.

- Thomas?
  - Tak jest. Ja też byłam zaskoczona. Przez chwilę podejrzewałam nawet, że to Jimmy, bo tak się przy niej trzymał...
  - Przepraszam was, ale muszę jechać do domu - wtrącił Stewart, z wyraźnym zmęczeniem podnosząc się z ławki. - Teraz przynajmniej będę w stanie zasnąć.
  - Zasłużyłeś na to - odrzekła ciepło Janet, ściskając jego ramię.
  - Jesteś dla niego strasznie miła - zauważył Earl, gdy Deloram odszedł. Nie miał jeszcze okazji do prywatnej rozmowy z Janet po tym, co wydarzyło się podczas narady poprzedniego ranka.
  - A ty wierzysz w to, co mówi Monica Yablonsky? - spytała Janet. Sceptyczny ton jej głosu i układ brwi nie pozostawiały wątpliwości co do jej opinii.
  - Nie jestem pewny.
  - Tylko tyle? Daj spokój!
  - No dobrze: zgadzam się, że nie byłby aż tak głupi, żeby wywoływać przeżycia z pogranicza śmierci.
  - Ale?
  - Ale nawet jeśli nie miał z tym nic wspólnego, to wciąż nie wiem, jak daleko potrafiłyby się posunąć, żeby zapobiec ujawnieniu takiego skandalu.
- Janet zmarszczyła brwi.
- Chcesz powiedzieć, że pozbył się pacjentów, którzy donosili o swoich przeżyciach?
  - To okropna myśl, ale... tak.
  - Jezu! — Janet skierowała wzrok ku tafli jeziora, a jej niebieskie oczy pociemniały, nabierając głębi dalekiej toni. - Wiem, że przesadnie reaguje na to, co mówią o nim inni, czasem zakrawa to nawet na paranoję. - Potrząsnęła głową. - Ale żeby aż uciszać ludzi, zabijać ich albo zostawiać w stanie śpiączki... To cholernie duży krok na-

279

przód. - Janet odetchnęła głęboko, mocno wypychając maskę. - Problem z podejrzewaniem kogoś o najgorsze polega na tym, że kiedy już się zacznie, trudno przestać.

- Nie musisz mi o tym przypominać. Lepiej przekonaj mnie, że się mylę.

Odetchnęła z wysiłkiem po raz drugi, jakby wykonywała ćwiczenia przedporodowe.

- Nie powiem, że nie rozumiem, o co ci chodzi. Ste warta zawsze trudno było rozszyfrować. A jeśli ktokolwiek potrafiłby manipulować pacjentem na granicy życia i śmierci, to właśnie on. - Janet wzdrygnęła się. - I choć to, co zrobił dla J.S., było cudowne, ja zawsze trochę się boję, kiedy patrzę, jak Stewart rzuca się do pracy. Jest w tym jakaś desperacja. I wiem, że w naszym zawodzie ten, kto jest naprawdę dobry, musi mieć obsesję na punkcie najmniejszych nawet detali, ale chyba nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo praca pochłania Stewarta. Jakby znajdował w niej schronienie. Ale czy potrafiłby za bić, żeby zachować swoje prawo do zabawy w Boga? - Janet pokręciła głową. — Naprawdę nie wiem.

Earl poczuł się bardziej nieswojo niż kiedykolwiek. W głębi duszy pragnął, żeby Janet odrzuciła jego zastrzeżenia wobec Stewarta. Pora na kolejną zmianę tematu, pomyślał.

- Co z dzisiejszą kolacją? Pamiętaj, że zaprosiłem Thoma. Popracujesz z nim nad statystykami?

Janet przeciągnęła się i ziewnęła potężnie.

- Już mi powiedział, że mam się spodziewać wizyty.
- Naprawdę? - Ta wiadomość zirytowała Earla. - Zastanów się, wyglądasz na wykończoną.
- Nie martw się. Rzucę tylko okiem na kilka moich pacjentek i wracam do domu. Prześpię się, a Brendan będzie miał kolejną niespodziankę, kiedy wróci ze szkoły. Razem przygotujemy kolację.
- Po tym, co mi powiedziałaś, przypuszczałbym raczej, że Thomas będzie wolał zostać przy J.S.

280

- To fakt. Ale wygląda na to, że bardzo się zawziął, żeby wyjaśnić, co się dzieje na paliatywnym. Mam też wrażenie, że zupełnie zmienił zdanie na temat Stewarta i próbuje oczyścić jego nazwisko, a wszystko dlatego, że Stewart uratował J.S. Czyż miłość nie jest wspaniała?

Earl zmarszczył brwi.

- Chwileczkę, nie mogę pozwolić, żeby zmienił tę sprawę w jakąś osobistą krucjatę.

Janet wstała.

- Nie przejmuj się, już ja ustawię Thomasa. Poza tym wyjaśniłam mu już, że analiza dyżurów Stewarta nie przyniesie żadnych rezultatów. Kłopot z facetem, który nie ma życia prywatnego, polega na tym, że on zawsze siedzi w pracy, więc grupowanie danych w tym wypadku nie ma żadnego sensu.

Earl wpadł na pomysł.

- Może miałyby sens, gdybyś sprawdziła, kiedy Stewarta nie było.
- Co takiego?

Kilka minut później pochylał się już nad ramieniem Janet siedzącej przy komputerze w jego gabinecie. Wywołali statystyki dotyczące oddziału opieki paliatywnej, te same, które analizowali od paru dni.

- Znajdź dane, które wskazywały na pierwszy wzrost śmiertelności, te sprzed sześciu miesięcy. Potem przejdź do drugiego wzrostu, tego z kwietnia, tuż po wybuchu epidemii SARS - powiedział.

Przywołała potrzebne dane na ekran. Pierwsze trzy kolumny pokazywały wzrost o jedenaście zgonów miesięcznie i utrzymanie tego poziomu. Ostatnie trzy prezentowały kolejną falę, wzrost do czterestu zgonów miesięcznie.

- Teraz rozbij te dane na układ tygodniowy.

Sześć dużych kolumn zmieniło się w dwadzieścia sześć krótszych list. Z tygodnia na tydzień dane prawie się nie zmieniały, oczywiście w granicach wybranych miesięcy.

281

• A teraz - ciągnął Earl - przypomnij sobie te spotkania z mediami, na które jeździł Stewart. Pamiętasz?

- O mój Boże, tak.
- Jedno z nich odbyło się na samym początku roku. Uwierz mi, pamiętam to doskonale, bo bez jego pomocy mój oddział zawsze przeżywa piekło.
- Sprawdźmy więc... - Janet kliknęła kolumnę danych o śmiertelności na oddziale paliatywnym w owym tygodniu i rozbiła ją na poszczególne dni.

Kiedy Stewart przebywał w Nowym Jorku, Chicago i Los Angeles, gawędząc z Connie, Larrym, Lettermanem i Oprah, liczba umierających na oddziale paliatywnym była mniej więcej stabilna i wciąż wysoka, na poziomie dwudziestu pięciu i sześciu dziesiątych zgonu tygodniowo, czyli trzech i sześciu dziesiątych dziennie.

- Zatem możemy zapomnieć o bezpośrednim związku

Stewarty ze śmiercią pacjentów w pierwszej fali - stwierdziła Janet.

Earl zastanawiał się przez chwilę.

- Co nie wyklucza możliwości, że miał współnika. Poza tym, wciąż nie wiemy, czy nie maczał palców w tej drugiej fali sprzed paru dni.

## 7.56

### **Oddział intensywnej opieki medycznej, St PauPs Hospital**

Jane Simmons czuła mrok. Weiskał się do jej nosa, do ust, do gardła, dusił ją tak, jak dusiłaby czarna ziemia, gdyby ktoś pogrzebał ją żywcem.

W panice próbowała wypłynąć na powierzchnię, aż wreszcie poczuła, że czyjaś ręka łapie ją i ciągnie w stronę światła.

- Jimmy? - próbowała powiedzieć, otwierając oczy, ale dławiała ją jakaś rura wciśnięta do gardła.

282

Powitało ją ciemnobrazowe spojrzenie Thomasa?

- Cześć, kochanie - powiedział bardzo miękki głosem. - Witaj w domu.

Na krótką chwilę zdezorientował ją ten widok, a ciche piski dobiegające gdzieś z tyłu, choć znajome, wydawały się zupełnie nie na miejscu. Minęła sekunda, zanim dotarło do niej, że leży na szpitalnym łóżku, podłączona do sześciu kroplówek, z rurką wbitą po lewej stronie klatki piersiowej oraz z rurką intubacyjną w gardle.

I wtedy sobie przypomniała.

Ból, krew, szpitalną salę... I Jimmy'ego, który trzymał ją za rękę. Ostatni głos, który słyszała, należał do niego. Dziwnie się czuła, otwierając oczy i widząc Thomasa na jego miejscu.

Lecz mimo to się ucieszyła.

- Jimmy musiał wyjść, ale mówił, że wróci - wyjaśnił Thomas. Zsunął maskę i pochylił się, żeby pocałować Jane. - Ważne jest to, że trzymasz się fantastycznie i wraçasz do zdrowia. Doktor Deloram uważa, że to niesamowite, bo może już dziś po południu odłączyć cię od respiratora i rozintubują. Masz naprawdę mocarne płuca.

Jego oddech pachniał pastą do zębów. Gdy przyciskał usta do jej policzka, omiotła szybkim spojrzeniem parawany wyznaczające granice jej boks i po ich bladoniebieskiej barwie domyśliła się, że leży na oddziale intensywnej opieki medycznej. Thomas tymczasem najwyraźniej zapomniał już o tym, jak ledwie ważył się spojrzeć w jej stronę, gdy wyniesiono ją z karetki. Teraz się nie boisz, że ktoś nas przyłapie? Chciała zadać mu to pytanie, trochę zdziwiona, jak intensywną złość poczuła na samą myśl o jego niedawnym zachowaniu.

Musiał wyczuć jej gniew, bo cofnął się i spojrzał na nią uważnie. Patrzył tak przez chwilę, z coraz większym zdziwieniem, które nagle zmieniło się w uśmiech.

- Hej, przecież nie mogłem cały czas trzymać się z dala, więc nasz sekret się wydał. Ale kogo to obchodzi? By-

283

łem głupi, przejmując się czymś takim. Teraz mam ochotę stanąć na dachu i krzyczeć, że cię Kocham.

Za mało i za późno, powiedziałyby, gdyby tylko mogła, wyłącznie po to, żeby baran trochę pocierpiał. Nawet miłość Daisy Mae miała swoje granice.

I nagle poczuła wewnętrzną pustkę.

To pewnie przez te wszystkie przeżycia i leki, pomyślała.  
Thomas uściskał jej dłoń.  
Próbowała uśmiechnąć się w odpowiedzi, co nie było łatwe dla kogoś, komu wsadzono w gardło sporą rurę, i bez ostrzeżenia zapadła znowu w sen.

8.55

Zanim zaczęły się problemy z SARS, Earl codziennie wypijał cappuccino w zaciszu swego gabinetu, przeglądając poranne wydanie „New York Herald”.

Za sprawą zasad, które sam wymyślił, a które zabraniały zdejmowania masek we wszystkich pomieszczeniach oddziału z wyjątkiem pokoju, w którym spożywano posiłki, teraz pozostała mu już tylko gazeta. Lecz bez kofeinowego wspomagacza, który dawał mu energię do brnięcia przez artykuły, kończyło się coraz częściej na tym, że siedział wygodnie w fotelu i spoglądał w okno, które zmaconym światłem przypominało mu o istnieniu słońca i świeżego powietrza.

Gryzło go to, co Janet powiedziała o Stewarcie i jego „ukrywaniu się” w pracy naukowej. Wprawdzie nie odkryła tymi słowami niczego, o czym nie wiedziałaby już cały szpital, ale to, co z górą dziesięć lat brano za drobne dziwactwo wybitnie uzdolnionego lekarza i gwiazdy oddziału intensywnej opieki medycznej, stało się nagle skazą wymagającą starannej obserwacji.

Przed czym się ukrywa? - zastanawiał się Earl.

284

Taktyka uników, którą od lat stosował wobec niego Stewart, podsuwała jednak na myśl miejsce, w którym mogła się kryć odpowiedź.

Earl sięgnął po telefon i wybrał numer 212, który wrył się w jego pamięć prawie trzydzieści lat wcześniej.

- Szpital miejski w Nowym Jorku.
- Chciałbym rozmawiać z dyrektorem badań klinicznych.
- Czyli z doktor Cheryl Branagh. Chwileczkę proszę.

To nazwisko nic mu nie mówiło. I dobrze, pomyślał. Łączy mnie z tym szpitalem długa historia. Więcej osiągnę, rozmawiając z kimś, kto mnie nie pamięta.

Dziesięć minut później, po serii rozmów z mnóstwem sekretarek, odezwał się oficjalnie brzmiący, kobiecy głos:

- Branagh, słucham.
- Doktor Branagh, nazywam się Earl Garnet. Dzwonię z St Paul's...

-Wiem, kim pan jest, doktorze Garnet. Podobnie jak wszyscy, którzy tu pracują. Parę lat temu przewrócił pan to miejsce do góry nogami.

No ładnie, pomyślał Earl. Branagh miała na myśli siedlisko mrocznych sekretów, które odkrył przed laty w nowojorskim szpitalu, prowadząc śledztwo w sprawie śmierci dawnego kolegi z klasy.

- No tak, ale to zupełnie inna sprawa i...

Przerwał mu jej niewymuszony chichot.

- Ależ trzeba było to zrobić. W mojej książce występuje pan jako bohater pozytywny. W czym mogę panu pomóc?

Co za ulga, pomyślał Earl.

• Nie jestem pewien, czy pani może. Chodzi o zamierzchłe czasy, a w dodatku musimy dochować ścisłej tajemnicy.

- No, teraz mnie pan zaintrygował.
- Możliwe, że mamy problem z jednym z naszych pracowników. Chodzi o naukowca klinicznego, który dołączył do nas w osiemdziesiątym dziewiątym. Jest u nas bardzo

285

ceniony, ale do dziś nie wiem, dlaczego opuścił szpital miejski w Nowym Jorku.

- Mówi pan o Stewarcie.

- Zgadza się. Zna go pani? Branagh znowu zachichotała. Earl już ją polubił. Wydawała się otwarta, przyjacielska, prostolinijna i skora do współpracy.
- Można tak powiedzieć. Byłam jego drugą żoną.
- Jezu.
- Znowu śmiech.
- I wie pan, że potrzebował aż pięciu lat, żeby doprowadzić mnie do szału? To jasne, że dwoje ludzi pracujących w tym samym laboratorium w żadnym razie nie powinno zakładać rodziny, ale jestem zdumiona, że wytrzymałszy ze sobą tak długo. Co znowu zmalował?
- Earl zastanawiał się, czy istnieją przeciwwskazania etyczne zabraniające dyskusowania o postawie lekarza z jego byłą żoną.
- Niemal od razu podjął decyzję: nie będzie w tym nic złego, jeśli niczego jej nie zdradzi, a ona będzie mówić o wszystkim.
- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego opuścił Nowy Jork. Miał bardzo dobre referencje, ale zawsze unikał tego tematu, więc się zastanawiam, czy nie wydarzyło się w waszym szpitalu nic niezwykłego.
- Tym razem nie było chichotu, jedynie oddech.
- Jeśli czuje się pani niezręcznie, rozmawiając ze mną na ten temat, to może zwrócę się do kogoś innego - zaproponował.
- Nie o to chodzi. Może i jestem jego byłą, ale nie zamierzam go krzywdzić. Ma kłopoty?
- Earl dobrze przemyślał odpowiedź.
- Powiem krótko: tak.
- A jaki jest w nich pański udział?
- Próbuję ustalić, czy zasłużył na to, żeby być w opałach.

286

— Czy ma to związek z tymi plotkami, które czytałam wczoraj w Internecie, na temat jego badań nad stanami z pogranicza śmierci? Podobno sztucznie wywoływał takie przeżycia.

— Tego też chciałbym się dowiedzieć.

Znowu oddech.

— Wiem, że ma pan dobrą opinię - odpowiedziała po chwili - i to nie tylko z nie tak dawnych wydarzeń w naszym szpitalu. Stewart mówił mi o panu, zanim odszedł. Byliśmy już rozwiedzeni, ale on nie miał nikogo, komu mógłby się zwierzać. W owym czasie nie byłam już nieustannie wściekła na niego, nawet mu współczułam... zresztą mamy córkę. Dla jej dobra próbowaliśmy zachowywać się po ludzku.

Earl przypomniał sobie ciemnowłosą nastolatkę, która parę razy zjawiała się w Buffalo. Stewart przedstawił ją z dumą w szpitalu, ale potem wizyty jakoś się urwały.

— Tak, pamiętam, że ją poznałem. Bardzo ładna dziewczyna.

Kobieta westchnęła z siłą maszyny parowej.

— Nie dziwię się, że nie słyszał pan o wydarzeniach z osiemdziesiątego dziewiątego. Szpital i akademia medyczna bardzo się starały wyciszyć sprawę. - Branagh znowu westchnęła, z jeszcze większym tólem; był to prawie jęk.

Earl rozparł się w fotelu i milczał. Sztuka medycyny nie ma sobie równych w dziedzinie

wyłuskiwania niewesołej prawdy - ludzie się otwierają, nawet jeśli jest to dla nich bolesne. Lata praktyki na oddziale ratunkowym sprawiły, że Earl nabył w tej dziedzinie wielkiej wprawy. Wiedział, kiedy należy indagować, a kiedy milczeć i słuchać. Przez telefon, gdy nie widział twarzy rozmówcy, działał mniej pewnie, ale w tym, co usłyszał, były takie pokłady zadawnionego żalu za straconymi marzeniami, że wniosek nasuwał się sam: doktor Branagh jest chyba gotowa, by zrzucić z siebie to brzemię.

287

- Odszedł ze szpitala z powodu naszego kolegi, Jero-me'a Wilchera, który popełnił samobójstwo. Stewart obwinił siebie za jego śmierć. - Kolejny głęboki wdech. — Chciałabym móc powiedzieć, że niesłusznie, ale nie mogę. Przez długi czas byli rywalami na oddziale. Obaj przymierzali się do fotela szefa. W laboratorium byli równie genialni, ale Stewart umiał wymanewrować Jerome'a politycznie... była to kombinacja sprytu, szybkości działania i braku skrupułów z jego strony. Poza tym pojawiły się plotki na temat prawdziwości danych z doświadczeń Jerome'a. Żadnych konkretnych oskarżeń, tylko szept... ale wie pan, jak miążdzący może być ich wpływ na wiarygodność uczonego. Jerome kierował badaniami w ośrodkach akademickich rozsianych po całych Stanach Zjednoczonych i często do nich podróżował. Ale one, jedno po drugim, zaczęły odrzucać jego podania o granty. Kiedy Stewart został szefem oddziału, Jerome złożył u dziekana kilka formalnych skarg przeciwko niemu, oskarżając Stewarta o sabotaż, ale nic nie wskórał. Publikował coraz mniej, aż wreszcie jesienią osiemdziesiątego dziewiątego roku znaleziono go w laboratorium. Powiesił się na rurze.

- Dobry Boże!

- W pewnym sensie sprawił, że jego oskarżenia pod adresem Stewarta zostały zauważone. Choć nikt niczego nie udowodnił, dziekan nie chciał już mieć do czynienia ze Stewartem, bo się bał, że cała ta historia przecieknie do prasy. Dlatego w zamian za dobrowolną rezygnację obiecał mu przesłać entuzjastyczne referencje do każdej instytucji, która chciałaby go zatrudnić.

Sukinsyn, pomyślał Earl.

-I wtedy przejęła pani oddział? - spytał z większą dozą złości, niż zamierzał. Sprawa była przebrzmiała, ale nie mógł się opanować, bo gardził tą ohydą szpitalną polityką, która nakazywała usuwanie „problemowych” pracowników do innych, niczego nie podejrzewających instytucji. Czy gdyby znał prawdę, inaczej rekomendowałby

288

Stewarta w St PauFs? Może i nie. Ale nie lubił, kiedy go okłamywano, ani wtedy, gdy czynił to Stewart, ani wtedy, gdy czyniła to administracja szpitala, a już zwłaszcza jego *alma mater*. Dlaczego tak się pieklił, jakby to była świeża sprawa? Bo takie gry wciąż się toczyły, zwłaszcza w szpitalach klinicznych, gdzie wyżej ceniono akademicką reputację niż prawdę.

- Spokojnie, kolego - odparła Branagh. - Nie tylko na tym nie skorzystałam, ale jeszcze mi się dostało, mimo iż byliśmy już rozwiedzeni, a publikowałam, zanim jeszcze poznałam Stewarta. Nie mogli mnie wywalić, ale jasno dali do zrozumienia aluzjami, że powinnam odejść. Nikt nie lubi oglądać twarzy, które przypominają mu o brudnych gierkach personalnych na własnym podwórku. Ale wie pan, jak to jest w ośrodkach takich jak nowojorski szpital miejski: publikuj wystarczająco dużo, a wybaczą ci wszystko, nawet ślub z niewłaściwym człowiekiem. I dlatego piastuję to stanowisko od pięciu lat.

- Przepraszam, nie chciałem atakować pani za to, co się wydarzyło.

- Nie ma sprawy. Zresztą to wszystko zamierzchła przeszłość.

Skoro tak pani twierdzi, pomyślał Earl. Ale miał nieodparte wrażenie, że grzebie w starych, lecz wciąż bolesnych ranach.

- Dlaczego pani nie odeszła?

- Z najlepszego powodu pod słońcem: przez wzgląd na Carol, naszą córkę. Przeprowadzki nie służą nastolatce, która ma swoją szkołę i swoich przyjaciół.

Earl nie miał więcej pytań i był już gotów się pożegnać, gdy doktor Branagh odezwała się ponownie:

- Nie sądzę, by mógł zrobić to, co sugeruje się w Internecie.



- Słucham?
- Manipulować danymi.
- Ach tak. Dlaczego?

289

- Możliwe, że jest sukinsynem, jeśli chodzi o ludzi, ale nauka jest dla niego jak religia. Nie zbezczeszczyłby jej w taki sposób.

Miała rację. Ale pierwotne pytanie, które zadawał sobie Earl, wciąż było aktualne: czy Stewart popełniłby morderstwo, by ratować swą opinię jako kapłana tej religii? W grę wchodziły wielkie namiętności i dlatego Earl postawił sobie jeszcze jedno pytanie: do czego mogłaby się posunąć osoba blisko związana z naukowcem, który został zaszczyty przez ambitnego konkurenta.

- A czy ten Jerome Wilcher miał jakąś rodzinę?
- Wiem tylko, że rozwiódł się z żoną ponad dziesięć lat przed śmiercią. Zdaje się, że był niezłym kobieciarzem. Jego była żona nie przyjechała na pogrzeb, co zresztą wcale mnie nie dziwi. Słyszałam, że oskubała go do cna i parę razy wracała po dokładkę. W końcu zaczął nawet ukrywać przed nią swoje dochody. Nie mieli dzieci, jego rodzice już nie żyli, rodzeństwa też nie miał. Na pogrzebie widziałam jednak parę mocno zapłakanych kobiet i sądząc po tym, jak nawzajem mierzyły się wzrokiem, musiały być jego byłymi kochankami. Plotka głosi, że jedna z nich zaraz po uroczystości pojechała do domu i też próbowała się powiesić.

Tym razem Earl nie odezwał się, pozwalając, by jej słowa nabrały mocy.

- Dlaczego pan pyta? Sądzi pan, że ktoś zrobił Stewartowi, żeby zemścić się za jego zachowanie wobec Jerome'a? - spytała Branagh po chwili.

- Przyszło mi to do głowy.
- Po tylu latach? Wątpię. Jerome był zapalonym naukowcem z ciężką obsesją na punkcie pracy i samego siebie... jak wielu w naszej specjalności. Herosi w laboratorium, frajerzy w realnym świecie, a zwłaszcza w małżeństwie. Lecz choć tak wiele kobiet mogło tęsknić za Jerome'em, nie sądzę, by którakolwiek z nich kochała go po latach aż tak bardzo.

290

- Szorstkie słowa.
- Pewnie zna pan ludzi z pogranicza dziedzin, takich jak Stewart, praktykujących i na ludziach, i na szurkach. Tacy mają przynajmniej powierzchowną znajomość ludzkiej natury. Naukowi puryści, tacy jak Jerome, wprost wędzną w dziennym świetle.

-Ta kobieta, która próbowała się powiesić... Nie pamięta pani jej nazwiska?

- Niestety nie.

Earl podziękował, zostawił swoje numery - do pracy i do domu, na wypadek gdyby po godzinach przypomniawszy sobie coś ciekawego na temat przeszłości Stewarta - i się rozłączył.

Myśl o kimś bliskim Jerome'owi Wilcherowi, kto mógłby szukać zemsty przez wrobiecie Stewarta, nie dawała mu spokoju - głównie dlatego, że miał szczerą nadzieję, iż jest to hipoteza prawdziwa. Cóż za prosty i czysty sposób na wyciągnięcie Stewarta z kłopotów! Może i miał podłą naturę, ale bez względu na to, co się zdarzyło czternaście lat wcześniej w Nowym Jorku, dla St Paul's Hospital był cennym nabytkiem. I mimo jego nieznośnego charakteru Earl lubił go, a nawet życzył mu jak najlepiej, a to dlatego, że Deloram był nie tylko klinicznym geniuszem, ale także wykonywał swój zawód z tym samym wewnętrznym ogniem, jaki odczuwają młodzi lekarze, a który z biegiem lat gaśnie w większości z nich, nawet tych najlepszych. Pod tym względem Stewart był dla Earla bratnią duszą.

Jednak, jak zauważyła Cheryl Branagh, niby kto mógłby być wystarczająco mocno związany emocjonalnie z Jerome'em Wilcherem, by pomścić go po czternastu latach? Kobieta, która próbowała zabić się po jego śmierci? Wtedy jej uczucia bez wątpienia były silne, ale ich przetrwanie tak długi czas wydawało się wątpliwe. Może inna z jego kochanek? Jeszcze mniejsze szanse. Kiedy dowiedziały się o sobie nawzajem, zapewne szczerze znieawidziły Jero-

me'a; nie w głowie była im zemsta za jego śmierć. A zatem kto? Wilcher nie miał bliskiej rodziny, ale czasem dalecy krewni miewają silne poczucie rodzinnych więzów.

Bez przekonania wpisał nazwisko Wilcher do wyszukiwarki w rejestrze personelu.

Nic.

Może wśród pacjentów?

Sprawdził listę chorych, ale i wśród nich nie było w tej chwili ani jednego Wilchera.

Może dawniej?

Według listy - nigdy.

Wyjął z szuflady książkę telefoniczną Buffalo, lecz i w niej nie znalazł nikogo takiego. Raczej rzadkie nazwisko, pomyślał.

Może mściciel nazywał się inaczej? W takim razie nigdy go nie znajdzie, rozumował Earl. Tak czy inaczej, to raczej myślenie życzeniowe, pozbawione logiki. Podobno zemsta najlepiej smakuje na zimno, ale żeby czekać czternaście lat...

Pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia. Doktorze Gamet? - odezwał się kobiecy głos.

- Tak?

Gdy tylko weszła do gabinetu, mimo maski rozpoznał opaloną, krągłą twarz i kąciaki oczu z drobnymi zmarszczkami jak na dobrze wyprawionej skórze.

- Pani Baxter - powiedział bez wahania. Czasem wize runek osoby, którą śmierć zostawiła w osamotnieniu, za padał mu w pamięć głębiej niż obraz umarłego pacjenta. Zauważył jednak pewną zmianę w oczach wdowy. Opu chlizna świeżej rozpacz ustąpiła, zostawiając po sobie głębokie cienie. Łzy zostały wypłakane, a strata - zaak ceptowana. — Proszę wejść — dodał, wstając. - Czym mogę pani służyć?

Podeszła bliżej, a gdy usiadła, Earl pomyślał, że krzesło wydaje się dla niej o wiele za duże.

- Jak sobie pani radzi?

## 292

Większość ludzi na tym etapie odpowiadała „Dobrze” i przechodziła do sprawy, która ich tu sprowadziła; nie byli w stanie mieszać uczuć z papierkową otoczką śmierci bliskiej osoby.

Pani Baxter jednak zawahała się i Earl wiedział, że usłyszy szczerą odpowiedź.

- Z trudem - odparła. - Z wielkim trudem.  
Spuściła głowę i spojrzała na swoje dłonie. Cisza pogłę biała dzielącą ich przepaść.

- Muszę powiedzieć, że w ostatnich chwilach życia męża była pani wspaniała - odezwał się Earl, próbując skrócić ten dystans. - Rzadko widuje się taką siłę i samokontrolę, jaką okazała pani, żegnając się z nim.

- Kochałam go - odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

- Ma pani tu rodzinę?

- O, tak. Siostrę.

- Dzieci?

- Nie. My jakoś nigdy... - Jej oczy stały się wilgotne, ale nie pozwoliła sobie na łzy. — W pewnym sensie to błogosławieństwo. Czy może być coś trudniejszego niż przekazanie małemu chłopcu czy dziewczynce, że tatuś umarł? Do licha, ja sama ledwie sobie z tym radzę.

Earl współczująco pokiwał głową - tysiąc razy słyszał te same racjonalne argumenty z ust bezdzietnych wdów czy wdowców. Z drugiej jednak strony krzywił się w duchu i jak zawsze dziękował Bogu, że dane mu było doświadczyć w życiu z Janet cudu narodzin Brendana, a wkrótce także jego młodszego brata. Zniósłby każdy ból, by móc doświadczyć czegoś takiego.

- I oczywiście nikt nie potrafi mi wytłumaczyć, dlaczego mój mąż nie żyje - dodała, mrużąc oczy złowrogo. - Bo

przecież tylu drani chodzi po świecie... Dlaczego padło właśnie na niego?

Jej gniewne spojrzenie domagało się odpowiedzi. Earl pokręcił głową i uniósł otwarte dłonie ku niebu, wskazując siłę wyższą.

293

Westchnęła, jakby chciała poradzić mu, żeby oszczędził jej tych banałów.

- Doceniam to, co zrobił pan dla Artiego, i pańską uprzejmość wobec mnie - dodała, jakby dzięki tym do brym czynkom przynajmniej częściowo zrekompensował jej brak odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

- Żałuję, że nie mogłem mu bardziej pomóc.

Sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę z logo znanej firmy ubezpieczeniowej.

- Przykro mi, że zwracam panu głowę tymi sprawami. Doktor Popovitch wypełnił wstępne formularze, ale dziś go nie ma, a firma żąda ode mnie potwierdzenia jego wstępnego raportu. Mógłby pan?

Earl nie cierpiał formularzy ubezpieczeniowych. Zwykle zawarte w nich pytania miały na celu obalenie prawa do wypłaty odszkodowania; zmuszało to do wypisywania absolutnie zbędnych detali, bardziej przypominających idiotyczną ankietę niż uczoną opinię lekarską na temat przyczyn śmierci. Pod nieobecność kolegów, którzy zajmowali się danym przypadkiem, obsługą takich odmóżdżających spraw zajmował się Michael, dobra dusza. Zdarzało się jednak, że trafiały one i na biurko Earla.

• Oczywiście. Z przyjemnością — skłamał, biorąc do ręki komplet dokumentów.

• Dzięki. Nie ma pan pojęcia, jaka to ulga, mieć to wszystko z głowy. Pomyślałam sobie, że mogłyby być kłopoty, a Bóg mi świadkiem, że potrzebuję tych pieniędzy. Ale doktor Popovitch zapewnił mnie, że wszystko będzie dobrze. Całe szczęście. To okropne, co powiem, ale muszę przyznać, że ta polisa była jedyną dobrą inwestycją Artiego od czasu zmiany koniunktury na rynku.

Earl rozumiał jej intencje. Oczekiwała, że będzie równie pomocny jak Michael. Zaczął przeglądać notatki sporządzone przez Popovitcha.

Pięć minut później żałował, że to zrobił.

294

- Michael, musimy porozmawiać.

Earl wybrał jego numer domowy, gdy tylko pani Baxter wyszła z gabinetu.

• Jezu, Earl, nie mógłbyś z tym poczekać? Dopiero co wróciłem z piekielnie ciężkiego dyżuru.  
• A ja dopiero co skończyłem bardzo interesującą rozmowę z żoną Artiego Baxtera, na temat dokumentów ubezpieczeniowych.

Głęboka, martwa cisza.

- Gdzie? - spytał w końcu Michael.

Earl pomyślał o najbliższym lokalu, w którym można było napić się kawy.

- Bar Podkowa.

Nad Buffalo wisiała miedziana mgiełka po porannym szczyście, barwiąc rdzawymi smugami do niedawna błękitne niebo. Earl pokonał dziesięciminutową trasę w połowę krótszym czasie, mimo iż temperatura była już wyższa, niż zapowiadano na ten upalny dzień. Poczul ulgę, gdy minął drzwi z przyciemnianą szybą i zszedł do klimatyzowanego wnętrza. Dawniej była to mordownia dla gangsterów i ćpunów, ale od jakiegoś czasu funkcjonowała jako powszechnie szanowany bar, który upodobali sobie spragnieni piwa pracownicy szpitala. W zmianie wizerunku pomogło wzbogacenie wystroju o lustra, rośliny i kilka warstw zielonej farby, ale żadne zmiany dekoracyjne nie mogły wymazać wspomnień Earla o dzieciakach, które straciły życie po przedawkowaniu narkotyków właśnie w tym lokalu.

Od trzech miesięcy właściciele starali się dopasować do nowych czasów w jeszcze inny sposób:

serwowano wczesne śniadania specjalnie dla pracowników szpitala, którzy woleli uniknąć jedzenia posiłków w środowisku zagrożonym SARS. O tej porze jednak, jak przypuszczał Earl, i ta grupa od dawna była już w pracy.

Jego oczy szybko przywykły do ciemności. Rzeczywiście, większość stolików i łóż była wolna, a długi bar z chro-

295

mowanymi wykończeniami, błyszczący pod wielkim, czerwonym neonem reklamującym Budweisera, miał zacząć serwować trunki dopiero za kilka godzin. Tymczasem powietrze przepełniał aromat świeżej kawy.

Earl wybrał narożny stolik i zdążył wypić dwie filiżanki, nim Michael zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Co jest grane? - spytał bezceremonialnie Garnet.
- Artie Baxter umarł z powodu zatrzymania krążenia. Byłeś przy tym. I to właśnie napisałem w formularzu.
- Tylko nie wspominałeś o tym, że stracił przytomność z powodu hipoglikemii.
- Nie to było przyczyną śmierci.
- To była przyczyna przyczyny, Michael. Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Popovitch wzruszył ramionami.
- Można to i tak opisać.
- Można też inaczej. Ta jego historyjka, jakoby przyjął normalną dawkę insuliny, a potem był zbyt zajęty, żeby coś zjeść, od początku śmierdziała mi jak trzydniowa ryba. Moim zdaniem facet celowo się odmeldował, używając insuliny. Nie wiem dokładnie, jakie miał powody, ale założę się, że ty wiesz. Pani Baxter nie kryła swojej opinii na temat marnych talentów inwestycyjnych swego małżonka. Więc co się stało? Postanowił skończyć ze sobą z powodu kłopotów na rynku akcji? A ty ukryłeś ten drobny szczegół, żeby młoda i urodziwa wdówka mogła odebrać kasę z ubezpieczalni?

Michael spojrzał na niego twardo.

- To, że jest urodziwa, nie ma z tym nic wspólnego.
- Czyżby? A powiesz mi, gdzie byłeś w poniedziałek wieczorem? Na pewno nie w pracy, choć Donna właśnie tak sądziła. - Earl postanowił pójść za ciosem, w nadziei że uda mu się sprowokować wybuch pożądanej szczerości. - Co się dzieje, Michael? Zabrałeś się do pocieszania wdów?

Twarz Popovitcha nabrała całkiem nowego koloru; przypominała burak okolony brodą.

296

• Gdybyś nie był moim przyjacielem... - warknął, zaciskając pięść. - Trzymaj się od tego z daleka, Earl. Nie jest tak, jak myślisz.

- Więc powiedz mi, jak mam myśleć.

Michael wolno wypuścił powietrze, tak jak robił to w czasach, gdy jeszcze palił papierosy, jakby chciał wycisnąć z płuc ostatnie cząstki powietrza. Rozprostował dłoń.

• Ona potrzebowała pieniędzy. To nie jej wina, że jej mąż próbował ze sobą skończyć. I naprawdę czuł bóle w piersi, które ignorował, jak wielu mężczyzn, którzy umierają w podobnych okolicznościach, a ich rodziny bez problemu dostają odszkodowanie. Więc kto miałby na tym ucierpieć?

- To jest oszustwo. Jeżeli firma poprosi o oryginalną kartę...
- Zobacz moją notatkę opisującą dokładnie to, co wydarzyło się na oddziale. Mężczyzna z cukrzycą insulino-zależną zostaje przywieziony w stanie śpiączki, dostaje glukozę, budzi się, jego serce staje, następuje zgon. Żona twierdzi, że od paru dni skarżył się na bóle w piersi, tłumacząc je niestrawnością... amen. Nie ma tu ani jednego kłamstwa.
- A jeśli spytają cię, dlaczego nie wspomniałeś o śpiączce w formularzu ubezpieczeniowym? I jeśli poczytają sobie notatki pielęgniarek, z których dowiedzą się o jego absurdalnej historyjce na temat insuliny? To, że nie wyłożyłeś kawy na ławę, nie oznacza jeszcze, że ci z ubezpieczalni nie poskładają tej sprawy do kupy, tak jak my.
- Gówno prawda. Kiedy dostają dokument z podpisem lekarza, nigdy nie szukają zapisków

pielęgniarek, chyba że podejrzewają jakąś niekoszerną akcję.

- Jak to „nigdy”? Robiłeś już takie rzeczy?
- Jasne, że nie.

Odpowiedź Michaela nastąpiła jednak z sekundowym opóźnieniem.

297

- Czy kiedykolwiek firma ubezpieczeniowa miała wątpliwości co do podanej przez ciebie przyczyny śmierci chorego albo domagała się przedstawienia notatek pielęgniarskich? - spytał Earl.

Michael zaprzeczył ponownie, ale Earl nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest okłamywany.

- I w dodatku nie mów mi, że sam nigdy nie kombinowałeś z takim formularzem — dorzucił Popovitch. - Że nie pomijałeś detali, które mogłyby storpedować zadanie odszkodowania. I że nigdy, stojąc nad trupem o palcach poźółkłych od tytoniu, nie zakreśliłeś pola „nie wiem” przy pytaniu: „Czy pacjent palił w ciągu ostatniego roku?”

Earl nie mógł zaprzeczyć. Każdy lekarz znał procedurę: nie kłamać wprost, ale też nie dawać prezentów firmom ubezpieczeniowym. W tym wypadku jednak nie podobało mu się ani to, jak bezczelnie niepełny był opis sprawy, ani to, że „nagrodę” lekarz mógł dostać.

Michael wstał.

- Rozumiem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy? - spytał. - Idę spać.

Earl postanowił podejść go nieco delikatniej.

- Wyglądasz, jakbyś nie wypoczywał porządnie od śnięcy, Michael. Coś cię gryzie, i to nie od dziś. Tylko nie mów mi znowu, że jesteś przemęczony albo że martwi cię SARS. Nawet kiedy idziemy razem coś zjeść albo zabie ramy gdzieś dzieciaki, chwilami widzę po twoich oczach, że myślamy jesteś o milion kilometrów stąd. Do licha, widziałem nawet, jak Terry patrzył na ciebie i zastana wiał się, co ci jest. Poza tym nie przyszedłbyś tu, gdyby sprawa ubezpieczenia Artiego Baxtera była tak niewinna, jak twierdzisz. Więc skończmy z tym bujaniem. Chcę wie dzieć, co się dzieje.

Przyjaciel położył dłonie na oparciu krzesła i pochylił się w jego stronę.

- Wiesz, bardziej cię lubiłem, kiedy byłeś tylko szefem

298

oddziału i wściekałeś się na wszystkich, którzy rządzą tym interesem.

- Jakim interesem? Barem Podkowa?

Michael roześmiał się. Do twarzy mu było z uśmiechem, który na kilka chwil rozjaśnił jego pochmurne oblicze. Pochylił się jeszcze niżej i uśmiechnął jeszcze szerzej, ale jego spojrzenie było już twarde.

- Odkąd mianowali cię wicedyrektorem do spraw merytorycznych, pakujesz się w kłopoty jeszcze częściej niż zwykle. O, przepraszam: zawieszonym wicedyrektorem.

- Tu nie chodzi o mnie, Michael.

Uśmiech znikł.

• Ależ chodzi. Bo idę o zakład, że mój dobry przyjaciel Earl nie będzie rozgłaszał rewelacji o mnie i pewnej wdowie, które mogłyby diabelnie wkurzyć moją żonę. A tak dla informacji mojego dobrego przyjaciela, to właśnie SARS jest problemem, który nie daje mi spać. Niszczy moje

małżeństwo. Donna tak się boi, że zarazę Terry'ego, że zastanawia się nad wyprowadzką z nim do matki. Więc liczę i na to, że mój dobry przyjaciel okaże trochę zaufania swojemu staremu kumplowi Michaelowi i nie będzie wtykał nosa w sprawy, których lepiej nie ruszać. A teraz wracam do łóżka - zakończył i ruszył w stronę drzwi.

• Michael, do cholery, nie możesz mi tego zrobić. - Earl rzucił na stolik kilka dolarów i pobiegł za nim. - Powiedz, w co się u diabła wpakowałeś...

Michael obrócił się gwałtownie i wbił w pierś Earla palec twardy jak stalowa rurka.

- W coś, co trzeba zrobić, zrozumiałeś? Na miłość boską, zapanuj wreszcie nad tym swoim psim instynktem łowieckim i przestań wpieprzać się w sprawy sprawiedliwych!

Urażony Earl cofnął się o kilka kroków.

• Sprawiedliwych?

• Tak. Takich, którym ostatnio nie dajesz spokoju. Stewarta, teraz mnie, nawet ojca Jimmy'ego.

299

- Jimmy tak się wyraził?

Michael skinął głową.

• Zaufaj mi. Lepiej będzie, jeśli nie będziesz się interesował tą sprawą.

• O czym ty u diabła mówisz?

Michael otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. Odwrócił się i sztywnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się jeszcze przed ciemną szybą drzwi i obejrzał przez ramię.

- Tylko pamiętaj: wszyscy staramy się postępować jak najlepiej.

Przez chwilę barczysta postać Michaela przypominała Earlowi sylwetkę zwierzęcia prężącego się do ataku na intruza. Wrażenie to tak bardzo nie pasowało do osoby Popovitcha, jakby na moment stał się obcym człowiekiem. Chwilę potem zniknął za drzwiami.

## Rozdział 14

Tylko w samotności pozwalałem sobie na wspomnienie tego snu.

Pomagało mi to pozostać niewidzialnym.

W tej chwili było to jeszcze ważniejsze niż kiedykolwiek.

Ponieważ sen uległ zmianie.

Jak zwykle wszedłem do laboratorium.

Woda wciąż tryskała z pękniętych rur.

Ale kiedy spojrzałem w jego twarz, spuchnięty język wysuwał się i chował gwałtownie, jak wąż schwyty w pułapkę. Nabrzmiące wargi zbiegały się w chytrym grymasie, a czarny otwór ust powtarzał: „Zrób to!”

Raport posekcyjny był punktem zwrotnym. Moja scena była gotowa.

Wiedziałem, że jeśli tylko będę działał szybko, wszyscy wyciągną logiczne wnioski.

Raz, dwa, trzy i będę wolny.

Najpierw samobójstwo.

Potem Graceton. Mój idealny plan nie pozostawiał wątpliwości co do jej losu.

I wreszcie, jeśli rozpacz nie powstrzyma Gameta, zrobię to sam.

I wszyscy zostaną oszukani.

Raz, dwa, trzy...

Odliczanie trwało nieustannie w mojej głowie, kiedy przygotowywałem chloroform i zbierałem inne rzeczy potrzebne mi do nocnej pracy.

301

Stewart obudził się wystraszony i usłyszał, jak z wolna cichnie daleki huk grzmotu.

Za oknem jego sypialni wisiała w powietrzu mgła gęsta jak flanela. Pochłaniała większość światła i wydawało się, że zapada zmierzch. Stewart zdziwił się bardzo, gdy spojrzął na zegar. Zbiera się na popołudniową burzę, pomyślał, wstając, by pozamykać okna. Ale powietrze, znacznie chłodniejsze niż przed południem, pachniało bardzo przyjemnie, jak świeże pranie, więc się rozmyślił i zostawił otwarte okna.

Kolejny grzmot, już nie tak daleko.

- Tocco - zawołał zdziwiony, że suka nie śpi przy łóżku. Nie cierpiała burz i za każdym razem starała się być blisko niego. Gdy zostawała sama w domu, schodziła do piwnicy i tam ją znajdował po powrocie - skuloną w najciemniejszym kątku.

Ubrał się i bosy zszedł na dół.

- Tocco, chodź do mnie, malutka.

Sen dobrze mu zrobił. A także uratowanie Jane Sim-mons. Jego notowania wśród pielęgniarzek wzrosły tak bardzo, że być może miał nawet szansę na obalenie oskarżeń siostry Yablonsky. Sytuacja w St Paul's nie była zła.

Z internetowymi wrogami było znacznie gorzej.

Stewart spochmurniał.

Wiedział, że na tym forum pozostanie winny, póki nie dowiedzie swojej niewinności. Lecz nawet wtedy mógł nie odzyskać dawnej pozycji, a więc i pieniędzy na badania w takiej wysokości jak wcześniej. Przyznawano je za zasługi i odbierano wedle kaprysu. Stewart czuł, że musi przekonać absolutnie wszystkich, że ta cholerna Yablonsky ukartowała całą sprawę, żeby zrobić z niego kozła ofiarnego i ukryć własną niekompetencję. „Albo coś gorszego”, jak powiedział Earl.

- Tocco! - zawołał znowu, wchodząc do kuchni. Drzwi

302

do piwnicy jak zwykle były otwarte, żeby suka mogła biegać po całym domu. - Wyłaż na górę. Czas na kolację.

Spodziewał się usłyszeć stukot jej pazurów na krytych linoleum stopniach i cichy brzęk numerka przyczepionego do obroży.

Cisza.

-Tocco?

Włączył światło nad schodami.

Piwnica pozostała ciemna.

Pewnie żarówka na dole trzasnęła, pomyślał.

- Tocco, do mnie! - zawołał głośniejszym głosem i ruszył schodami w dół. Małe okienka piwniczne, nawet w tak ciemne popołudnie, dawały odrobinę światła. Te grzmoty musiały ją solidnie wystraszyć, pomyślał.

Stanął na posadzce przekonany, że suka wybiegnie mu na spotkanie.

Nie wybiegła.

Co u diabła, pomyślał, prawie po omacku zagłębiając się w głęboki półmrok. Szedł w stronę miejsca, w którym zwykle się chowała.

Prostokątne okienko rozjarzyło się prawie na żółto -słońce musiało się wreszcie przebić przez mgłę spowijającą miasto. W kącie Stewart dostrzegł plamę nieco ciemniejszą od otoczenia.

I właśnie wtedy poczuł zapach chloroformu.

17.45

Nieustający pomruk burzy zagonił wszystkich do środka, ale Earl został na zewnątrz. Jaśniejąca z wolna mgła oznaczała, że toczące się nad nią chmury burzowe zaczynają się rozchodzić. Nawet jeśli

nie mieli powiosłować, tak jak się umawiali, miejsce było doskonałe na rozmowę z Jimmym w cztery oczy. Jednego Earl był pewien: nie pozwoli mu odwołać spotkania.

303

Stał na nienowym już drewnianym pomoście nad wodami tak zwanego basenu — przystani, w której bardziej zamożni mieszkańcy Buffalo trzymali swoje jachty. Skromniejsi żeglarze przechowywali mniejsze jednostki na stojakach na brzegu - i tam też spoczywała szesnasto-stopowa łódź Jimmy'ego.

Czekając, Earl wspominał czasy studiów medycznych, kiedy wraz ze swym kumplem z pokoju, Jackiem Mac-Gregorem, szukał wytchnienia od nauki, puszczając papierowe samoloty z dachu budynku, w którym mieszkali. Wymyślali najdziwniejsze kształty, dodawali stateczniki i otwory w skrzydłach. Niektóre modele nurkowały wprost ku ulicy, inne zaś łapały wiatr i odpływały daleko, poza zasięg wzroku. Ten, który odleciał najdalej, choćby nawet najbardziej dziwny, zwyciężał.

Jack zawsze był w tej konkurencji odważniejszy.

- Twój problem, Gamet, polega na tym, że nie pozwalasz sobie na nieszablonowe myślenie - oskarżał kumpla niejedną raz, i to nie bez racji. Medycyna wymaga rozpoznawania pewnych wzorów, a więc i dyscyplinowania umysłu tak, by rozpoznawał określone objawy ukryte w suchych faktach. Dzięki tej metodzie medycyna zyskała wiarygodność, ale z drugiej strony nie pozwalała na pracę wyobraźni.

Earl przypominał więc sobie te dni spędzone z Jackiem za każdym razem, gdy stawał przed nierozwiązywalnym na pozór problemem. Pomysły, uzmysłowił sobie, często przypominały te niezwykle, papierowe samoloty. Bez względu na to, jak głupie i dziwaczne wydawały się na pierwszy rzut oka, od czasu do czasu wznosiły się wysoko ponad inne, zwykle ku jego wielkiemu zaskoczeniu, i przynosiły odpowiedź, której tak długo nie mógł znaleźć.

Świętej pamięci Jack MacGregor — który zginął ponad pięć lat wcześniej, ratując Earlowi życie - musiał być z niego dumny. Od czasu rozmowy z byłą żoną Stewarta i dziwacznej konfrontacji z Michaelem wyobraźnia Ear-

304

la pracowała na nadbiegu, tworząc bardzo nieszablonowe pomysły.

Cóż innego mógł zrobić, jeśli nie spróbować ujrzeć dylematu Stewarta w nowym świetle? Jeżeli ten człowiek przyłożył rękę do zniszczenia życia innego badacza, to choć była to rzecz odrażająca, stawiała w całkiem nowym świetle jego twierdzenie, że został wrobiony.

Całkiem nowego spojrzenia wymagała też postawa Michaela Popovitcha, bez względu na to, w co się zaangażował.

A skoro Jimmy nazywał ich obu „sprawiedliwymi”, być może mógł też wyjaśnić, czym właściwie się zajmują.

Earl spojrział na zegarek. Ksiądz powinien był dotrzeć na przystań dwadzieścia minut temu. Unikał Earla cały dzień; podobno był bardzo zajęty. Wreszcie jednak został przyparty do muru sugestią, że mogliby wykorzystać godzinę ćwiczeń Jimmy'ego na rozmowę, jak czynili to nieraz w przeszłości. Tak powstał plan wspólnej wycieczki kajakiem.

Earl pomyślał właśnie, że został wystawiony do wiatru, gdy usłyszał kroki i w żółtawej mgielce pojawiła się ciemna postać.

-Jeśli popłyniemy, nie zważając na burzę - odezwał się głos z irlandzkim akcentem — nasz dobry Pan gotów jest sprzątnąć nas za samą głupotę.

• Jeśli wolisz, Jimmy, możemy się przejść. - Ale nie pozwolę, żebyś mnie dłużej unikał, dodał w myśli Earl.

• Ale żwawo. Po takim dniu, jaki miałem, potrzebuję biegu.

Earl jęknął cicho. Przewidując wysiłek na wodzie, włożył szorty, T-shirt i adidasy, ale jogging, zwłaszcza w mieście spowitym smogiem, nigdy nie wydawał mu się ani przyjemny, ani sensowny. Ale co tam, pomyślał. Jeden raz mnie nie zabije.

— Prowadź - odparł krótko.

Ruszyli ścieżką spacerową przecinającą łukiem rozle-



gły trawnik otoczony drzewami. Tego, co było dalej, Earl nie mógł dostrzec z powodu mgły.

- O czym chciałeś ze mną pogadać? - spytał Jimmy, oddychając z taką łatwością, jakby stali w miejscu.

Choć dla Earla bieg w tym tempie był nieco większym wysiłkiem niż dla niego, to jednak częsta jazda na rowerze, pływanie i goniłty z Brendanem wokół podwórka pomagały mu ostatnio utrzymać niezłą formę.

• Dziś rano przydarzyła mi się dziwna kłótnia z Micha-elem. Dość wybiórczo wypełnił formularz ubezpieczeniowy dla wdowy po Artiem Baxterze. Pamiętasz ten przypadek?

• Nigdy go nie zapomnę. Co to znaczy wybiórczo?  
• Nie było w nim ani słowa o sprawach, które mogłyby budzić wątpliwości co do tego, czy wdowie należy się czek.

• Zdawało mi się, że śmierć z powodu zawału serca to elementarnie prosty przypadek.  
• Nie wtedy, gdy w grę może wchodzić śpiączka wywołana zbyt dużą dawką insuliny.

Książdz przyspieszył.

• Co sugerujesz?  
• Możliwe, że Artie przedawkował celowo.

- Ale pewności nie masz?

-Nie.

• W takim razie Michael postąpił słusznie. Dlaczego miałby dać firmie ubezpieczeniowej okazję do wyłgania się od wypłaty?

• W normalnej sytuacji przyznałbym ci rację, Jimmy, ale tym razem rzecz wydawała się zbyt oczywista.

• Jak to?

• Z kilku powodów. Po pierwsze, za każdym razem, gdy pojawia się dodatkowe obciążenie organizmu... a ze słów żony Artiego wynika, że od paru dni miał anginę... u diabetyka rośnie poziom cukru we krwi. Gdyby Artie miał naprawdę zapaść w śpiączkę hipoglikemiczną, nie wystar-

### 306

czyłoby odpuszczenie jednego śniadania, przy normalnej porannej dawce insuliny o poranku.

Musiałby przyjąć znacznie więcej leku.

• Ale czy zwiększenie dawki nie byłoby wskazane przy wyższym poziomie cukru?

• Tak, tylko że doświadczony cukrzyk potrafi stwierdzić, kiedy zaczyna wpadać w śpiączkę. Nie wyobrażam sobie, żeby Artie mógł zignorować symptomy hipoglikemii.

• I wszystko to napisałbyś w formularzu dla firmy ubezpieczeniowej?

Ścieżka zaczęła się wznosić, ginąc w gęstej chmurze; wizja rychłego rozproszenia mgły stała się tylko fałszywą obietnicą.

• Pewnie nie. Ale nie posunąłbym się aż do udawania, że nie przeszły mi przez myśl nawet podejrzenia. Żaden szanujący się lekarz nie mógłby napisać czegoś takiego, gdyby choć raz spojrzął na jego kartę. Może nie wyłusz-czyłbym dokładnie moich wątpliwości, ale są sposoby na delikatne zasugerowanie ich. Michael mógł napisać na przykład, że w wywiadzie pacjent „twierdził”, że przyjął właściwą dawkę leku. Wtedy już tylko od ubezpieczyciela zależy, czy potrafi dodać dwa do dwóch, czy nie

• I takie gierki wszystko usprawiedliwiają? Dla mnie to klasyczny dupochron, Earl. I zostawienie wdowy na łasce firmy ubezpieczeniowej.

• Tak to załatwiamy, żeby nie złamać prawa, Jimmy. I to działa. Agent może do mnie zadzwonić i spytać wprost, czy jestem skłonny powiedzieć, że pacjent popełnił samobójstwo, a ja mu odpowiem, że nikt nie może stwierdzić tego z całą pewnością. I wtedy wypłacą odszkodowanie.

• O tak, właśnie takich zawirowań potrzeba rozpaczającej rodzinie.

Earl zignorował złośliwość.

- Gdyby chodziło tylko o sprawę Artiego Baxtera, dał bym sobie spokój. Ale tak naprawdę martwi mnie to, że

ostatnio coś gryzie Michaela. Wystarczy na niego spojrzeć. Widać, że czymś się zamartwia...

- Tym czymś jest SARS, Earl. Rozejrzyj się. Wszyscy mają pełno w gaciach na samą myśl o chorobie.

Earl skrzywił się na wspomnienie urażonej miny Michaela, gdy wyznawał mu, jakie problemy między nim a Donną wywołała epidemia. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak trudna jest to próba dla niektórych par.

- Możliwe. Ale jeśli już mam wchodzić w szczegóły, zaatakował mnie też, wybaczyć język tego cytatu, za „wpię-przanie się w sprawy sprawiedliwych”, a miał na myśli siebie, ciebie i Stewarta. Nalegał, żebym nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy.

Jimmy odpowiedział kolejnym podkręceniem tempa.

- Jest zestresowany i reaguje przesadnie. Nie przywiązuj do tego wagi.
- Ty też uważasz, że zachowuję się jak dupek i wpię-przam w sprawy sprawiedliwych?

Jimmy zaczął się śmiać.

- Chcesz usłyszeć opinię kapelana czy coś bardziej osobistego?

Earl musiał się wysilać, żeby dotrzymać mu kroku, w dodatku pot spływał mu po ciele, mimo iż po popołudniowej ulewie temperatura spadła.

• Chcę wiedzieć, Jimmy, czy rozmawiałeś z nim tak jak ze mną i czy zachęcałeś go do służby w jakiejś słusznej sprawie, takiej jak pilnowanie, by biedne wdowy i sieroty dostawały pieniądze z ubezpieczalni bez zbędnych pytań i opóźnień.

- To jest misja, której nie powinien się wstydzić żaden odpowiedzialny lekarz.
- Znam cię, Jimmy. W innej epoce byłbyś muszkietierem albo awanturnikiem, wymachującym mieczem sprawiedliwości w imię ciemionych i odpowiedzialnym jedynie wobec prawa Bożego.
- To mi się podoba! Widzisz w tym coś złego?

308

• Złe jest to, że tak naprawdę nie stoisz ponad niedoskonałym prawem ludzkim, zwłaszcza tym niezbyt sprawiedliwym.

• Zdaje się, że w dzisiejszych czasach nazywamy to obywatelskim nieposłuszeństwem, postawą ze wszech miar godną pochwały. Ale nie, nie sprowadzam Michaela na złą drogę. Czy teraz wreszcie zaczniesz biec, czy może stać cię tylko na to starcze dreptanie? - Jimmy przyspieszył i jego sylwetka szybko znikła we mgle.

Ciekawe, czy byłby taki dowcipny, gdyby wiedział, że Michael być może cieszy się wdzięcznością ciemionych dam, pomyślał Earl. Przyspieszył i jeszcze nim dotarli na szczyt wzniesienia, zrównał się z Jimmym.

- A Stewart?
- Co z nim?
- Słyszałeś oskarżenia Yablonsky. Czy wiesz, co kombinował na paliatywnym?
- Ty chyba żartujesz.
- Tam naprawdę coś się dzieje. Podwyższony odsetek zgonów nie kłamie.
- Ludzie tam umierają, to normalne. „
- Gadasz jak Hurst.
- Nie bądź niemiły.
- Więc powiedz mi, co jest grane, Jimmy.
- Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z pacjentami, których udało się uratować po zatrzymaniu akcji serca?

- Jasne, czasami.
- I mówili ci, co zapamiętali?
- Zdarzało się, że nic. Inni widzieli to, co wszyscy: unosili się nad własnym ciałem, jaskrawe

światło na końcu tunelu...

- I co sądzisz o tych relacjach, Earl?
- Jeżeli pytasz, czy są dowodem na istnienie życia pozagrobowego, to obawiam się, że nie są.
- Też tak uważam. Ale sporo o tym czytałem. Interesujące, że zdaniem neurologów przeżycia te mają związek

309

z neiiroprzebiegami, ze stymulacją pewnych ośrodków w mózgu albo z niedokrwieniem najpierw siatkówki, a potem dopiero nerwu wzrokowego, co powodować ma efekt ciemnego tunelu z jaskrawym światłem na końcu. Ale są też relacje, których nie da się wytłumaczyć chemicznie, fizjologicznie czy anatomicznie. Czy twoi pacjenci wspominali czasem o ciemnej postaci?

- O czym?
- O ciemnej postaci. Osobie ubranej na czarno i stojącej u szczytu łóżka.

Earl zachichotał.

- Nie.
- Nie śmiałybyś się, gdyby mówili, ale nie dziwi mnie, że tego nie zrobili. Nie ma takich relacji ani w publikowanych opracowaniach, ani nawet w materiałach Stewarta, choć przypuszczam, że gdyby badacze bardziej szczegółowo opisywali tę mroczniejszą stronę przeżyć pacjentów, ciemna postać byłaby motywem równie popularnym jak tunel i światło. Ludzie jednak nie są zbyt skorzy do precyzyjnego opowiadania na ten temat, chyba że rozmówcą jest kapelan. Czują, że z definicji podchodzą do tych spraw ze zrozumieniem, nigdy z kpiną.

- Ale co właściwie widzą? Faceta z kosą, w czarnym kapturze?
- Postać z reguły ma na sobie luźne ubranie, zawsze czarne, a twarz ukrytą w cieniu, z wyjątkiem oczu. Oczy są aż za dobrze widoczne i jest w nich lodowata pustka, która zdaje się wciągać ludzi, gdy postać się zbliża. W tym samym czasie czują pieczenie na skórze.

- Niedokrwienie.
- Co takiego?
- Uczucie pieczenia wywołane jest niedokrwieniem. Brak krwi w mięśniach i skórze powoduje odkładanie się kwasów metabolicznych. Pałają jak ogień. - Dokładnie tak, jak moje nogi, miał ochotę dodać, ale musiał usłyszeć jesz-

310

cze kilka odpowiedzi, zanim Jimmy pokaże mu, jak łatwo potrafi zostawić go w tyle.

- Może i masz rację co do tego pieczenia, ale nic nie wyjaśni tego strachu. Wszyscy, którzy widzieli ciemną postać, wydawali mi się bardziej przerażeni myślą o spotkaniu z nią niż o samej śmierci.

- Nie mów mi, że wierzysz w prawdziwość tych opowieści. I co u diabła mają one wspólnego ze Stewartem?

- Ja tylko sugeruję, że ludzie, którzy stykają się ze śmiercią i powracają, mają za sobą traumatyczne przeżycie. Relacje z oddziału opieki paliatywnej o człowieku, który nagabuje umierających pacjentów, mogą być odmianą opowieści o ciemnej postaci. Łączenie ich z osobą Stewarta jest ostatnią rzeczą, która przyszlaby mi do głowy.

Słowa Jimmy'ego uciszyły Earla. Być może zresztą takie było ich zadanie. Skoro ksiądz tak dobrze przygotował się do tej rozmowy, zapewne wiedział też, że i Earl ma za sobą spotkanie ze śmiercią. Minęło już siedem lat, lecz wciąż unikał myślenia o tamtych wydarzeniach. Musiał przyznać, że naprawdę było to traumatyczne przeżycie. Ale nie czekała na niego po drugiej stronie żadna czarna postać. Miał tylko poczucie, że śmierć jest rozcieńczalnikiem i próbuje go rozpuścić, jakby był kroplą wody powracającą do oceanu. Tak, jak powiedział Jimmy, Earl nie lubił o tym mówić. I może właśnie to było bez sensu.

- Ale jak mogła to być ciemna postać, skoro pacjenci na gle tak chętnie zaczęli opowiadać o niej pielęgniarcom?

Ksiądz odpowiedział kolejnym przyspieszeniem.

Mam cię, pomyślał Earl, wyciągając nogi, by go dogonić.

Ale po stu krokach ogień palący jego łydki sięgnął ud i wlał się do płuc.  
Zwolnił i zatrzymał się. Chrobot butów Jimmy'ego na żwirze ucichł w oddali.  
- Nie możesz wiecznie unikać odpowiedzi na moje pytania o Stewarta! - krzyknął za nim Earl. - A jeśli i Mi-

311

chaela wciągnąłeś w jakąś krucjatę, to moim zdaniem on się w tym pogubił!

- Wyluzuj, Earl! - Słowa napłynęły z daleka jak przekaz z innego świata.

Earl uspokoił oddech i spacerowym krokiem ruszył z powrotem w stronę szpitala. Stłumione odgłosy samochodów sunących szosą dochodziły gdzieś z przodu, basowy pomruk grzmotu zaś z tyłu, znad jeziora.

Albo Jimmy nie miał pojęcia, czym parają się Michael i Stewart, albo był świetnym aktorem. Albo też Earl nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje, od początku źle kojarzył fakty i to właśnie on się pogubił, a nie Popovitch.

Dziesięć minut później raz jeszcze minął przyciemniane drzwi grill-baru Podkowa. Na wprost miał już potężny masyw St PauFs, ogromny ul upstrzony niezliczonymi światłami. Widok ten go przytłoczył. Kto mógł znać wszystkie zagadki tego miejsca? Wielki szpital kliniczny kryje więcej ludzkich uczuć i emocji niż jakakolwiek inna budowla na ziemi. Najważniejsi byli pacjenci - w tym wypadku ośmiuset ludzi - którzy podczas leczenia częściej rozmyślali o śmiertelnej naturze człowieka. Oni jednak przychodzili i odchodzili; cała populacja wymieniała się średnio co dziesięć dni, a nowi przynosili z sobą zupełnie nową mieszankę marzeń i lęków. Lecz byli tam również ci, którzy ich uzdrawiali. Nie tylko wkładali wiele wysiłku w opiekę nad chorymi, ale także borykali się z bagażem własnych ambicji i pragnień: chcieli dobrze wykonywać swoją pracę, znaleźć miłość, osiągnąć sukces i powodzenie... Miewali jednak i mniej szlachetne plany: niektórzy próbowali wyrównywać dawne rachunki, popełniać drobne oszustwa albo mścić się na kimś, zwykle w nikczemny sposób, ale czasem też na wielką skalę. Dla większości liczyły się całkiem przyziemne sprawy: jak wyżywić rodzinę albo jak znaleźć panienkę na sobotni wieczór. Lecz w tak wielkiej masie i drobne sprawy mogły oznaczać kłopoty. Kto łamał jakie zasady i dla zaspokojenia jakich

312

pragnień? Często nie było odpowiedzi na to pytanie i Earl miał świadomość, że szukanie cienkiej nici spójnego motywu czyjegoś działania w tak wielkiej społeczności może przypominać śledzenie poczynąń mrówki w tętniącym życiem mrowisku.

Czy miał do czynienia z morderczym zacieranem śladów przez Stewarta, czy może z działalnością sabotażysty? Ze szlachetną służbą Michaela w obronie owdowiałych kobiet czy z bezlitosnym wykorzystywaniem ich sytuacji? Z niebezpiecznym kształtowaniem ludzkich charakterów przez Jimmy'ego czy z posługą kapłańską dobrego księdza? Odpowiedzi mogły nigdy nie ujrzeć światła dziennego. A jeżeli był na złym tropie, Bóg jeden wie jakie jeszcze mroczne sekrety mogły na zawsze pozostać w ukryciu. Nic dziwnego, że Hurst wolał maskować wszelkie niewygodne sprawy. W nader skomplikowanym środowisku, gdzie tak łatwo było ukryć cokolwiek, miał wielkie szanse powodzenia.

Co gorsza, kwestia SARS sprawiała, że wszystko to podszyte było na dodatek strachem przed śmiercią.

Zbliżając się do rozmazanego we mgłę, ciemnego gmachu St PauFs, miał wrażenie, że budynek rozszerza się w szarym tumanie i pochyla ku niemu, górując nad ścieżką.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że szpital unosi się triumfalnie na widok jego bezradności, jak lewiatan gotów pochłonąć go w całości.

18.45

Okna grzechotały przy każdym grzmocie, a odstęp między błyskiem a hukem skurczył się do trzech sekund. Ogromne krople deszczu bębniły o dach i ściany jak kamienie.

- Jestem pewny, że wszyscy mnie okłamują. Najpierw Stewart, potem Michael, a teraz i Jimmy.

- Siadaj, Earl, i napij się czegoś — zarządziła Janet, doglądając baterii garnków stojących na kuchence. W powietrzu unosił się aromat kurczaka w sosie *teriyaki*, smażonych bakłażanów i papryki z grilla.

U jej boku siedział na stołku Brendan, ubrany w fartuch z napisem Mały Pomocnik Mamusi, wymachując drewnianą łyżką jak królewskim berłem.

- Właśnie, tatusiu, idź i napij się czegoś - powtórzył.
- Znowu wyrzucają mnie z kuchni - mruknął Earl, odchodząc w stronę barku.
- Mamy dobry powód — zawołała za nim Janet. - Matka nie nauczyła cię gotować!
- Nie nauczyła mnie gotować - powtórzył, naśladowując jej ton. Nappełnił szklanek lodem i Czarnym Rosjaninem, jedynym mocnym drinkiem, który naprawdę lubił. Tyle że wlewał więcej likieru kawowego niż wódki, bo bardziej cenił słodki smak niż moc alkoholu.

- Nie tak jak mnie, prawda, mamó? - spytał Brendan.
- Ty, mój kochany, będziesz na wskroś nowoczesnym mężczyzną, jeśli chodzi o zdolności kulinarne, a jakaś szczęściara będzie mi kiedyś dziękować za to, czego cię nauczę.

Earl zaśmiał się pod nosem i wrócił do ich królestwa, używając palca w charakterze mieszadła.

Niektórzy lekarze odprężali się po pracy, grając w golfa lub tenisa. Janet wołała gotować. Idealną formą ucieczki było dla niej kilkugodzinne, nieprzerwane czuwanie przy opalanej drewnem kuchni, w ich domu z bali, wzniesionym nad brzegiem zapomnianego jeziora, w górach na południe od Buffalo.

Po chwili wysłała Brendana na górę, żeby posprzątał w swoim pokoju.

- Na wypadek gdyby nasz gość zechciał obejrzeć twoją kolejkę - wyjaśniła.

- Właśnie! - ucieszył się Brendan. Nie miał wątpliwo-

314

ści, że gość zainteresuje się kolejką zdecydowanie bardziej niż jedzeniem.

- A teraz usiądź tam. - Janet wskazała Karlowi najdalszy kąt stołu, przy którym jadali śniadania. - I opowiadaj, co cię tak zjeżyło.

Earl pociągnął łyk i przez moment delectował się chłodnym pieczeniem, które trunkiem wywoływał w drodze do żołądka.

- Zaczęło się rano, od bardzo interesującej rozmowy z nowojorskim szpitalem...

Od stania na palcach Stewarta bolały nogi.

Burza atakowała z dużą siłą, tak że dom trząsał się w posadach i nie było szansy, że ktoś usłyszy jego krzyki. Lecz nawet bez udziału wichru i grzmotów choćby najgłośniejszy wrzask świata nie dotarłby do uszu przechodniów, ponieważ fundamenty starych domów w niczym nie ustępowały fundamentom fortec.

Miękkie winylowe siedzisko stołka, na którym stał, zapadło się już pod jego ciężarem. Za każdym razem, gdy mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa albo gdy ugiął kolana choć trochę i stanął na całych stopach, pętla się zaciskała.

*Pretty woman*, śpiewał Roy Orbison. Jego głos brzmiał głucho, odtwarzany z małego magnetofonu kasetowego - tak samo jak tamtej nocy, gdy Stewart znalazł ciało Jerome'a.

Dlaczego słuchał wtedy właśnie tej piosenki?

Żeby zagłuszyć odgłosy, które towarzyszą umieraniu, wyjaśnił mu obojętnie jeden z policjantów, jakby była to wiedza, którą każdy człowiek powinien posiadać, tak na wszelki wypadek...

Stewart zmusił się do myślenia o czymś innym. O czymkolwiek, byle tylko zapanować nad przerażeniem i nie pamiętać o bólu w nogach. Wiedział, że musi wytrzymać, stojąc na palcach tak długo, aż ktoś go znajdzie.

A jednak myśli uparcie kierowały się ku przeszłości. Drzwi od laboratorium były otwarte.

- Ktoś musiał tu być, ale zostawił go wiszącego na sznurze - powiedział policjantom. - Być może jednak ktoś usłyszał Jerome'a, mimo tej muzyki.

Nikogo to nie obchodziło.

Mięśnie Stewarta naprężyły się samowolnie i szarpnięcie przywróciło go do rzeczywistości. Skurcz ustąpił po chwili, a ciało zwisło prawie bezwładnie, zaciskając pętlę. Ręce miał skute kajdankami na plecach i żadnej szansy na ich uwolnienie. Łańcuszek łączący bransolety był wystarczająco długi, by mógł zacisnąć jedną dłoń na nadgarstku drugiej - musiało tak być, by wyglądało na to, że sam zapiął kajdanki. Taki drobny szczegół na użytek policji, pomyślał Stewart.

- Pretty woman...

Orbison kolejny raz zaczął refren. Przekłęta taśma musiała być sklejona w pętlę!

Stewart zachwiał się, wydał z siebie zduszony krzyk i cudem odzyskał równowagę.

Znowu pomyślał o tamtej nocy. Wszyscy w szpitalu przykleili się do telewizorów, oglądając doniesienia z Berlina. Wspomnienie tego dnia, potwornie wyraźne, prześladowało go przez lata. Czwartek, 9 listopada 1989 roku, dzień upadku muru.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że Jerome od miesięcy wyglądał na przygnębionego.

Niektórzy zastanawiali się, czy celowo wybrał tę datę, by już zawsze prześladowała tych, którzy doprowadzili go do śmierci. Inni sądzili, że jak zawsze praktyczny naukowiec skorzystał z doskonałej okazji, wybierając godzinę wieczornego posiłku, gdy telewizyjne wiadomości zahipnotyzowały absolutnie wszystkich i nikt nie mógł mu przeszkodzić.

Lecz bez względu na to, jakie były intencje Jerome'a, Stewart po dziś dzień nie mógł znieść słów „mur”, „Ber-

316

lin”, a nawet „Niemcy”, momentalnie bowiem przenosiły go wprost do tamtego laboratorium, w którym widział wi szące bezwładnie ciało.

Kolejny skurcz chwycił podeszwę jego stopy, tym razem prawą.

Krzyknął, ale pętla znowu zdusiła dźwięk, zmieniając go w nieartykułowany bulgot.

Każdy wdech był chropawym rżeniem, a każdy wydech wibrującym świstem. Stewart czuł w twarzy pulsowanie; żyły nabrzmiały pod jego skórą, a obwodowe pole widzenia ciemniało stopniowo, choć nie miało to nic wspólnego ze zmierzchem, który zapadał niespiesznie za piwnicznym oknem.

Nasłuchiwał, próbując odgadnąć, czy bezszelestny zabójca czai się jeszcze w ciemności, tuż za zasięgiem wzroku. Z początku przypuszczał, że jest ich dwóch, że słyszy ich głosy, a raczej szepty przebijające się przez szum krwi pulsującej w skroniach. Potem jednak wyczuł, że jest tylko jeden, gdzieś z tyłu, za jego plecami. Teraz nie czuł już nic.

- Proszę! Nie zasługuję na to! - zawołał, ale jego głos zmienił się w krakanie.

Milczący zabójca się nie odezwał.

Albo już odszedł.

Chłód tej ciszy i pustki przyprawił go o kolejny atak paniki.

Trzymaj się, myślał gorączkowo. Ktoś przyjdzie. Jeszcze nie jest za późno. Żadnych trwałych uszkodzeń. Jeśli tylko wkrótce ktoś poluzuje pętlę, gardło wróci do zdrowia, przekonywał siebie w duchu.

Ale jedyna osoba, która miała klucz do jego mieszkania — sprzątaczką - nie miała się pojawić wcześniej niż rano. Rzadko też przyjmował gości, bo i nikogo nie zachęcał do wizyt. Zawsze wolał, by ludzie pojawiający się w jego życiu byli też częścią jego pracy; tym sposobem za sprawą swego autorytetu naukowego decydował o tym,

317

jak bardzo mogą się do niego zbliżyć. Jedynymi mile widzianymi gośćmi byli rezydenci, gdyż nawet

podczas spotkań towarzyskich żaden z nich nie ważył się traktować go inaczej niż jako przełożonego.

I dlatego jedyną nadzieję na ratunek mógł pokładać w swym zabójcy.

• Nie powinienem umrzeć! - próbował krzyknąć, nie mogąc pogodzić się z tym, że został sam. Miał wrażenie, że jego skrzeczący głos wydobywa się z głębi czaszki, a uszy wypełnia mu huk pulsującej krwi, głośnie jak pociąg ekspresowy.

• Kim jesteś? Dlaczego mi to robisz? - Gdyby wiedział, z kim ma do czynienia, gdyby zrozumiał przyczyny, wiedziałby, jak wyjaśnić to straszliwe nieporozumienie.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, zanim dłoń w rękawiczce przycisnęła do jego twarzy gazę nasączoną chloroformem, był zapach. Odwrócił się i dostrzegł jeszcze niewyraźną sylwetkę, a potem wszystko okryła ciemność. Ocknął się już skutą i zawieszony na smyczy Tocco, uwiązanej do żelaznej rurki biegnącej pod stropem. Mocne ramiona, które obejmowały go i podtrzymywały w tej pozycji, póki nie wrócił do siebie, były dobrze umięśnione, ale nie widział twarzy napastnika.

- Co ty robisz? - wymamrotał w pierwszej chwili, jeszcze półprzytomny. - Jeśli zabiłeś Tocco, przeklęty draniu, wezwę policję.

Błyskawicznie otrzeźwiła go dopiero myśl o tym, że stoi pod zaimprovizowaną szubienicą.

Obojętny jak kat, nieznajomy zabójca stał za nim i podtrzymywał jeszcze przez chwilę, aż Stewart mógł utrzymać równowagę sam. Tylko kiedy stał na palcach, pętla pozostawiała mu dość luzu, by mógł oddychać.

A wszystko to przy dźwiękach *Pretty Woman*.

Skurcz w prawej stopie ustąpił. Ale pętla ze smyczy zacisnęła się nieco.

Właśnie dlatego zabójca użył smyczy, pomyślał Ste-

318

wart. I Jerome, i tak wielu innych... Smycz jest pod ręką, jest mocna, jest skuteczna.

Jego do niedawna wspaniale pracujący umysł zaczynał odczuwać skutki niedotlenienia. Stewart nie miał pojęcia, jak długo pół stoi, pół wisi w tej pozycji. Pytania, na które normalnie odpowiedziałby sobie w ciągu paru sekund, w spowolnionym, upośledzonym toku myśli stawały się nieprzeniknionymi zagadkami.

Kto mógł mu to zrobić? Żona Jerome'a? Nie przypominał sobie jej imienia, a nawet twarzy. Nie, przecież rzuciła go całe lata wcześniej i nawet nie pofatygowwała się na jego pogrzeb. Nie zależało jej.

Ale dlaczego ktoś, komu zależało, miałby czekać tak wiele lat?

Stewart poczuł, że oczy wychodzą mu z orbit. Naprężył mięśnie, by się nieco unieść. Do diabła, pomyślał. To jest lincz.

A może to robota znacznie nowszych wrogów? Kogoś, kto wiedział o zdarzeniach z Nowego Jorku, ale chciał się go pozbyć z całkiem innej przyczyny? Kogoś, kto postanowił upozorować samobójstwo z powodu odkrycia badawczego oszustwa? Kogoś, kto zaaranżował scenę śmierci tak, by wyglądała na kopię losu Jerome'a Wilchera, człowieka, którego Stewart zdyskredytował przed laty?

Czuł, że traci siłę w nogach. Smycz zacisnęła się mocniej.

Niczym pijany, już tylko chwilami dostrzegał klarowny obraz sytuacji, coraz szybciej staczając się w ciemność. To wystarczyło, by zdążył pomyśleć o znacznie szerszym kręgu potencjalnych sprawców.

O wszystkich, którzy go nienawidzili.

Wciągał powietrze wąskim strumieniem, jak przez słomkę. Światło tchawicy zmniejszało się z każdą chwilą; mózg musiał lada chwila się wyłączyć, a zaraz potem umrzeć z braku tlenu. Już niedługo Stewart miał przeżyć osobiście tę tajemnicę, która tak fascynowała go

319

w ostatnich latach. Czy będzie tunel, jasne światło, najbliżsi?

Myśli rwały się i dryfowały swobodnie. Walczył, by utrzymać ich spójność, ale czuł się tak, jakby próbował dopasować do siebie nierówne, poszarpane krawędzie.

Jacy najbliżsi?

Córka nie odwiedzała go od lat.  
Dwie były żony nawet nie chciały z nim rozmawiać.  
Koledzy podziwiali jego umiejętności, ale czy lubił go któryś poza Garnetem? Zresztą i Earl podejrzewał go o morderstwo.

Miał tylko legiony wdzięcznych pacjentów, którym ocalił życie.

Ale to nie to samo.

- Kim jesteś? - wydusił z siebie raz jeszcze, wściekły,  
że nie zna ani swego kata, ani motywu jego działania.

Ale tak naprawdę nie wydobył z siebie głosu; już tylko krople śliny pojawiły się na jego ustach.

Znowu uniósł się nieco na palcach i poczuł więcej luzu na szyi. Krew napłynęła do mózgu, a wraz z nią rozpaczliwa wola życia. Pojawił się też nowy strach, szalona panika nadająca rozpęd myślom z gorączkową, nielogiczną, daremną jasnością, którą dane jest poczuć tylko umierającym.

- Jesteś tam? Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś - szlochał Stewart, nie zdając sobie nawet sprawy, że żaden dźwięk nie wydobywa się już z jego krtani. - Czy to kara za Jerome'a? Tak, na pewno tak, prawda? Wszystkie te szczegóły mają mi przypominać o ostatniej męce tego nieszczęśnika. Tak. Proszę, niech to będzie kara. Bo jeśli to jest kara, to znaczy, że ty wciąż jesteś w piwnicy. Jaki pożytek miałbyś z kary, która dokonałaby się bez ciebie? Gdybyś nie miał oglądać mojej męki? A ja może miałbym jeszcze czas, żeby wyjaśnić, żebyś zlitował się i odciął mnie. Bo widzisz, ja nie chciałem, żeby Jerome się zabił...

Zaczął tracić przytomność. Pole widzenia zawężało się

320

ponownie. Czuł się tak, jakby ktoś zarzucił mu kaptur na głowę i stopniowo zaciskał sznurek wokół twarzy.

Nie! Tylko nie kaptur! Nie trzeba. To nie ma być egzekucja.

Ból w nogach narastał.

Stewart poczuł, że ma erekcję.

To także umiał wyjaśnić. Miało to związek z brakiem ukrwienia na pewnym odcinku kręgosłupa. Tylko nie mógł sobie przypomnieć szczegółów.

Wszystko z braku tlenu.

Atak paniki znowu przebił się przez delirium.

Całe życie gromadzenia medycznej wiedzy, wszystkie umiejętności, dzięki którym martwi wracali między żywych, wszystko to odchodziło w niebyt, komórka po komórce, wspomnienie za wspomnieniem.

To moje dziedzictwo. Cała moja wartość.

Tym razem spazm ugiął obie nogi. Pętla zacisnęła się mocniej i zmiażdżyła krtań. Więcej oddechów nie będzie. Pochłonęła je ciemność.

Nie ma białego światła. Nie ma najbliższych. Nie ma błogiego lewitowania nad własnym ciałem. Tylko nieznośny ból.

I ostatnia myśl: niech to się szybko skończy.

Tylko że...

Nie wykopnie stołka spod nóg, by przyspieszyć zgon, opadając całym ciężarem ciała.

Będzie opadał powoli, przedłużając własną agonię.

Samobójca nie zrobiłby czegoś takiego.

I tylko ktoś bardzo bystry zdoła to zauważyć i zrozumieć, co zaszło.

Na przykład Earl...

## Rozdział 15



### Tego samego wieczora, 20.27

- Cholera - powiedziała Janet.
- Earl po raz piąty usłyszał z jej ust to słowo, odkąd zasiadła z Thomasem do pracy w gabinecie. Zdaje się, że nie zaszli za daleko, pomyślał, kończąc zmywanie po kolacji.
- Brendan przytrzymał brodą stos misek i ruszył w stronę właściwej szafki.
- To taka choroba czy brzydkie słowo? - spytał, stawiając naczynia na brzegu blatu, gdzie zakołysały się niebezpiecznie. Podskoczył, dźwignął się na rękach i usiadł obok nich.
- Earl zdołał się nie uśmiechnąć. -Choroba.
- Skąd wiesz?
- Po prostu wiem. -Ale jak?
- Wiem i już. A teraz zmykaj do łóżka.
- Codzienny rytuał - kąpiel, zęby, piżama, bajka - minął jak zawsze w wolnym tempie. Earl rozkoszował się każdym jego etapem; to była jego oaza spokoju po każdym ciężkim dniu.
- Pół godziny później dołączył do Janet i Thomasa, w samą porę, by usłyszeć kolejny raz „Cholera”.
- Żadnej zależności?

322

- Jak dotąd nie - odparła. - Ale wypróbuję nowe podejście.
- Earl zauważył kopię badania wydrukowanego w „New England Journal”, leżącą na podłodze obok jej krzesła. Podniósł ją machinalnie.
- Rozszerzyłam obszar poszukiwań na cały szpital - ciągnęła Janet, jednym z ołówków Brendana wskazując na komunikat „Brak poszukiwanych obiektów” jarzący się na ekranie. Do końcówki z gumką przyczepiona była mi niaturka Ptaka Wielkiego. - Uznaliśmy, że można zyskać na czasie, sprawdzając personel całymi kategoriami, na przykład szukając tych osób, które miały dyżur pokrywający się czasowo z osiemdziesięcioma procentami zgonów na oddziale paliatywnym.
- Earl spostrzegł zakreślony przez Janet fragment artykułu, w którym właśnie tę wartość podano jako magiczny próg, pozwalający na wyłonienie seryjnych zabójców metodą statystyczną.
- Janet opadła na fotel.
- Ale sprawdziłam już wszystkie kategorie pracowników St Paul's, które przysły mi do głowy: pielęgniarki, lekarzy, rezydentów, salowych, sanitariuszy, sprzątaczkę, pomoce pielęgniarskie, techników laboratoryjnych, nawet sekretarki i ochroniarzy. O kim zapomniałam?
- O odwiedzających? - zasugerował Earl, zniechęcony ograniczeniami metody, którą wybrali.
- Janet zmarszczyła brwi.
- W takim razie mamy pecha.
- I o służbie duszpasterskiej.
- Janet posłała mu złowrogi spojrzenie.
- Przestań. - Nie lubiła, gdy Earl rzucał choćby cień podejrzenia na Jimmy'ego.
- Doktorze Gamet, wspomnieliśmy pan, że możemy użyć komputerowego zapisu wszystkich wejść z użyciem kart magnetycznych - wtrącił Thomas. - Mieliliśmy sprawdzić,

kto przychodził do szpitala po godzinach.

323

- Tak, ale jeszcze nie miałem czasu, żeby przygotować dane - odparł Earl, przeglądając artykuł. Wreszcie dotarł do interesującego fragmentu: „Podejrzenia powinna wzbudzić tylko taka sytuacja, w której seryjne zgony i przypadki zatrzymania krążenia następują albo w niespodziewanym momencie albo bez związku z przebiegiem choroby pacjenta”.

Janet odwróciła się ku Thomasowi i zaczęła wyjaśniać mu teorię Earla na temat tego, jak wykorzystanie przez sprawcę pomocy współnika mogłoby uniemożliwić grupowanie wyników.

Rezydent słuchał uważnie.

Earl natomiast ledwie zwracał uwagę na to, co mówiła Janet. Powtarzał w pamięci fragment artykułu: „w niespodziewanym momencie albo bez związku z przebiegiem choroby pacjenta”, aż wreszcie stanął mu przed oczami obraz kalendarza śmiertelnie chorej kobiety, pełen krzyżyków postawionych jej ręką. Każdy z nich oznaczał śmierć pacjenta, który nie podpisał deklaracji DNR. Innymi słowy pacjenta, który spodziewał się, że ma przed sobą jeszcze wystarczająco dużo życia, by móc zastanowić się później nad tym, czy chce być reanimowany. Śmierć takiego pacjenta, choć nieuchronna, musiała zdarzyć się w niespodziewanym momencie.

- Zaczekajcie - powiedział, zbliżając się do klawiatury. Jako szef oddziału ratunkowego wciąż miał dostęp do wszelkich statystyk dotyczących zatrzymania krążenia, ponieważ jego ludzie mieli obowiązek odpowiadać na wezwania z innych pięter. Wpisał słowa kluczowe, by uzyskać spis wszystkich „kodów niebieskich” zgłaszanych w St Paul's nad ranem w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Uszeregował je według dat, w formie wykresu słupkowego. - Kłopot w tym, że przyglądaliśmy się statystykom obejmującym wszystkie zgony. A tuż pod nosem mieliśmy prosty sposób na podzielenie ich na dwie grupy: takich pacjentów, którzy zmarli w prognozowanym momencie, oraz

324

takich, którzy odeszli przedwcześnie. - Komputer miał dane, a Earl wykorzystał tę chwilę, by opowiedzieć Janet i Thomasowi o kalendarzu Sadie Locke.

Wykres, który ukazał się na ekranie, całkowicie ich zaskoczył.

W styczniu, lutym i marcu słupków „kodów niebieskich” nadawanych z oddziału opieki paliatywnej praktycznie nie było, natomiast w kwietniu, maju i czerwcu widniały trzy wysokie kolumny, niczym czarne wieże o prawie równej wysokości. Z opisu wynikało, że w każdym z tych miesięcy ekipa pojawiała się na górze mniej więcej czternaście razy.

- Kto by pomyślał - mruknęła Janet.
- Rany! - szepnął Thomas, pochylając się w stronę monitora.

Prawdopodobieństwo, że tak wielu pacjentów, którzy nie podpisali formularza DNR, zmarło z powodu zatrzymania krążenia na długo przed spodziewanym terminem, było praktycznie zerowe. Ktoś wybrał ich i skazał na śmierć.

Po Lym, jak przeszli tyle niejednoznacznych schematów w nadziei dostrzeżenia jakiegokolwiek konkretnego tropu, odkrycie wyraźnego wzorca postępowania dało Earlowi diabelną satysfakcję. Teraz nawet Hurst nie mógł zaprzeczyć: w szpitalu grasował seryjny morderca.

Tyle że nie wiedzieli, kim jest i dlaczego to robi.

-Jakieś komentarze lub pomysły? - spytał, zakładając, że pozostali doszli do podobnych wniosków i dostrzegali te same niewiadome.

Przez chwilę wszyscy troje wpatrywali się w ekran i tylko dzwoniące deszczu naruszało pełną

powagi ciszę.

- Skoro ten ktoś zabijał pacjentów w ostatnich trzech miesiącach - odezwała się Janet po dłuższej chwili głosem niewiele głośniejszym od szeptu - to spróbujmy przyjąć, że ta sama osoba jest odpowiedzialna za pierwszą falę zgonów. Wtedy będziemy mogli zadać sobie pytanie, dlaczego

,325

przez trzy miesiące zabijała pacjentów ze statusem DNR, a potem dodała do listy pacjentów bez niego.

Earl zauważył, że Thomas otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zaraz na powrót je zamknął.

- Nie krępuj się, Thomas. Wszystkie pomysły są mile widziane.

Smągła cera rezydenta poczerwieniała.

- Przyszła mi do głowy raczej niemiła myśl...
- Mów dalej.

Thomas zawahał się i przeczesał palcami brodę.

• A gdyby jednak było ziarno prawdy w twierdzeniach siostry Yablonsky, że ktoś nagabywał pacjentów pytaniami o dziwne doświadczenia? Nie, to zbyt dziwaczne...

• Mów.

• Może ten ktoś próbował najpierw rozmawiać z pacjentami w bardziej zaawansowanych stadiach różnych schorzeń, ale niczego nie osiągnął? Może byli zbyt otepiali, by udzielić mu sensownych odpowiedzi? W tym układzie miałyby to nawet pewną dziwną logikę, gdyby postanowił wykorzystać ludzi w lepszym stanie, przynajmniej zdolnych do opowiadania o własnych przeżyciach. Nasz osobliwy ktoś musiałby jednak ostro manipulować tymi dość stabilnymi pacjentami, wprowadzając ich za pomocą leków w stan graniczący ze śmiercią albo symulując tę kondycję dawkami ketaminy, tak jak w tym artykule, który pan znalazł.

Janet spojrzała na Thomasa ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziała.

- Znowu myślisz o Stewarcie? - spytał Earl. - Sądziłem, że zostałeś jego zagorzałym obrońcą.

Thomas poczerwieniał jeszcze mocniej.

- Zostałem, ale sądzę, że trzeba wyłożyć na stół wszelkie pomysły, bez względu na to, czego życzymy sobie prywatnie.

Earl zgadzał się z nim w tej kwestii.

- Masz rację - powiedział. - Ale pewnie ucieszy cię wia-

326

domość, że byłby problem z dopasowaniem tych danych do grafiku Stewarta. Nie było go w mieście przez kilka tygodni, gdy nastąpiła pierwsza fala większej śmiertelności.

• Ale to ty wciąż powtarzasz, że nie można wykluczyć teorii o istnieniu współnika - wtrąciła Janet. - A w tym, co powiedział Thomas, jest pewna ohydna logika pasująca do Stewarta.

• Istnieje też możliwość, że ktoś go wrabia - przypomniał Earl.

• W takim razie proponuję zacząć sprawdzanie od tej jego byłej żony - odparowała Janet. Dzieliła się tą sugestią po raz trzeci. Pierwszy raz wspomniała o niej, gdy tylko Earl streścił jej przed paroma godzinami rozmowę z doktor Cheryl Branagh, a potem raz jeszcze, gdy powtarzał tę opowieść Thomasowi.

Earl pokręcił głową.

- Instynkt podpowiada mi, że to nie ona.
- Powtarzalne wzorce działania są twoją mocną stroną. Instynkt to moja specjalność.
- Mój też jest dobry.
- Ale bywał już omylny.

- Twój też.

Earl uświadomił sobie, że zaczęli z Janet uproszczoną szermierkę słowną, którą uprawia większość par o długoletnim stażu. Zachowywali się, jakby Thomasa nie było w pokoju.

- Przepraszam, Thomas. To niegrzeczne z naszej strony - powiedział i spojrzął na zegarek. Była dopiero dwudziesta pierwsza pięć. - Posłuchajcie, nie jest jeszcze za późno na wizytę u Stewarta. Mieszka niedaleko, a może będzie mógł oświecić nas co do tego, kto mógłby go prześledzić. — Zwłaszcza kiedy przypomnę mu nazwisko Jerome'a Wilchera, dodał w myśli, ale uznał, że jeszcze nie czas na dzielenie się z Thomasem takimi szczegółami. Wystarczyła mu plotkarska natura Stewarta. - Zostawię więc was i...

327

Przerwało mu gwałtowne stukanie palców Janet w klawiaturę. Spojrzeli na nią z Thomasem niemal jednocześnie.

- O co chodzi? - spytał rezydent.
- Może o nic, ale spróbuję jeszcze raz strzelić na oślep. Tym razem skorzystam tylko z listy pacjentów, którzy nie podpisali formularza DNR. Sprawdźmy na początek, czy w większości wypadków miała dyżur któraś z pielęgniarek.

Na ekranie pojawiła się jedna odpowiedź. Pochylili się jednocześnie, by ją przeczytać.

Earl poczuł, że skurcz ściska mu żołądek.

- To niemożliwe - szepnęła Janet.

Thomas zmartwiał.

Na ekranie widniało nazwisko Jane Simmons.

Janet przytuliła się do drzwi pasażera, gdy Thomas brał ostro kolejny zakręt ulicy prowadzącej do szosy. Żałowała, że pozwoliła mu usiąść za kierownicą, ale dała się namówić, gdy uparł się, że pojedzie z nią, żeby omówić w drodze kwestię tego, ile prawdy należy ujawnić przed J.S.

- Zresztą pewnie ostatnio niezbyt pani wygodnie prowadzić samochód - dodał, klepiąc się po płaskim brzuchu, bardzo niepodobnym do jej brzucha.

Z początku była mu wdzięczna za troskę — a może i brak taktu - bo musiała przyznać, że istotnie trudniej jej siadać za kierownicą teraz niż podczas pierwszej ciąży. Zaraz jednak zaczęły się problemy: nie mogła dopasować pasa po stronie pasażera do objętości swego brzucha i ostatecznie w ogóle go nie zapięła.

- Tylko nie mów moim pacjentkom - mruknęła.

Jechał najkrótszą drogą do szosy i centrum miasta, prowadząc jej mały samochodzik co najmniej dwa razy szybciej, niż ona odważyłaby się przy takiej pogodzie, nawet gdyby w szpitalu czekała na nią pacjentka z pełnym rozwarciem.

328

- Zwolnij - powiedziała, podnosząc nieco głos, by nie dać się zagłuszyć kroplom deszczu bębniącym głośno o skórzany dach. Czowała się tak, jakby siedzieli w namiocie. - J.S. nigdzie się nie wybiera.

Thomas zdjął nogę z gazu i pochylił się nieco, by lepiej widzieć drogę. Wycieraczki ledwie rozdzielały kaskadę wody, która spływała po przedniej szybie.

Wszyscy troje zgodzili się, że musi istnieć proste wytłumaczenie, ale najpierw potrzebna była rozmowa z J.S. i znalezienie owego wytłumaczenia, nim ktokolwiek inny wykona podobne badanie statystyczne. Metoda grupowania miała bowiem swą ciemną stronę. Ryła skuteczna w identyfikowaniu winnych, ale także mogła zniszczyć życie niewinnym; ta sama magia liczb, która przesądzała o jej

sukcesie, czyniła ją narzędziem wielce niebezpiecznym. Za każdym razem, gdy grupowanie danych pozwalało wskazać domniemanego sprawcę, który okazywał się zupełnie niewinnym człowiekiem, nieszczęśników - nawet jeśli nigdy nie został o nic formalnie oskarżony - musiał stawić czoło prawniczej machinie i zwykle mijały lata, nim został ostatecznie oczyszczony z zarzutów. Często bywało i tak, że nigdy nie wracał do pracy w służbie zdrowia, a niekiedy tracił po drodze także wsparcie rodziny i przyjaciół.

- Martwiłbym się przede wszystkim o siostrę Yablon-sky - powiedział im Earl. - Dopóki czuje się zagrożona tym, że ktoś mógłby obwinie ją o wzrost śmiertelności na oddziale, będzie próbowała skierować zarzuty na każdą inną osobą, która jej się nawinie.

- Odwaliła już nie najgorszą robotę, wrabiając Stewarta - zauważył Thomas, głosem pełnym napięcia. Z całej trójki właśnie on wydawał się najbardziej zszokowany wynikiem analizy.

Earl spojrział na niego pośpiesznie.

- Możliwe. Ale widziałeś wczoraj, jaka była przerażona.  
Kiedy już wszyscy zaczną trzeźwo myśleć, nikt nie będzie

329

wierzył, że Stewart mógłby uciszyć pacjentów w ramach jakiegoś dziwaczego planu badawczego. Kto nam zagwarantuje, że nasza droga Monica nie dozna nagle oślnienia, nie poczuje się znowu zagrożona i nie zacznie wertować danych na własną rękę, szukając innego kozła ofiarnego? Do diabła, nawet moja wczorajsza wzmianka o grupowaniu mogła naprowadzić ją na trop. Ona wie doskonale, jaką pułapką bywają te badania; w dodatku miała już dostęp do danych o śmiertelności na oddziale. Może w tej chwili siedzi w domu i liczy, próbując osiągnąć to samo co my? J.S. będzie skończona, jeśli jej nazwisko pojawi się na ekranie.

Smagła cera Thomasa pobladła, gdy słuchał tej rzeczowej oceny sytuacji. Obserwując go, Janet miała ochotę uszczypnąć Earla w tyłek, żeby już skończył.

Sama zaś nie powiedziała im o jeszcze bardziej oczywistym zagrożeniu, które zawisło nad głową J.S. Być może młoda pielęgniarka była w stanie zidentyfikować prawdziwego zabójcę - może na przykład wiedziała o kimś, kto pracował na tej samej zmianie, a kto nie został jeszcze wyluskany przez system grupujący dane. Ta wiedza była dla niej niebezpieczna. Wystarczyło jedno nieostrożne słowo, niewinny komentarz na temat podobnego grafiku dyżurów, by sama wydała na siebie wyrok śmierci - jeśli morderca jeszcze jej nie dopadł. Gdy Janet dzwoniła wieczorem na oddział intensywnej terapii, by zapytać o stan J.S., szefowa pielęgniarek powiedziała jej, że chora zajmuje się głównie przyjmowaniem wizyt osób, które przychodzą, żeby życzyć jej szybkiego powrotu do zdrowia: pielęgniarek, urzędników, sanitariuszy, salowych, a nawet stażystów i lekarzy z oddziału ratunkowego. A jako że nie była już zaintubowana, mogła z nimi rozmawiać.

Dzięki Bogu Earl miał dość rozsądku, by nie wspomnieć o tym zagrożeniu, które niewątpliwie dostrzegał równie wyraźnie jak ona, bo gdyby to zrobił, i tak przerażony Thomas chodziłby już po ścianach.

330

Janet spojrzała na niego kątem oka. Wciąż garbił się nad kierownicą, wpatrując się w drogę przed maską wozu, z zaciśniętymi zębami i twarzą wykrzywioną niepokojem, raz po raz oświetlaną blaskiem latarni. Możliwe, że sam na to wpadł, pomyślała.

Zanim wyszli z domu, upierała się, że sama odbędzie rozmowę z J.S.

- Choćby z tego powodu, że jest moją pacjentką i nie pozwolę, żebyście na nią naskoczyli i wystraszyli na śmierć. Poza tym być może będę mogła objąć tajemnicą lekarską to, co mi powie - dodała. Miała nadzieję, że postępuje rozsądnie, planując chronić J.S. przed policją. Tak czy inaczej, była gotowa zrobić wszystko, by nie dopuścić do niej Thomasa, póki on nie odzyska panowania nad sobą. Ostatnią rzeczą, której J.S. teraz potrzebowała, byłoby wysłuchiwanie opowieści o jego lękach i wątpliwościach. - Poza tym

rozmowa będzie krótka. Uprzedzę J.S., że musi uważać na to, co mówi; niech nie komentuje swojego rozkładu dyżurów w obecności koleżanek w rodzaju siostry Yablonsky. - Janet zdołała mrugnąć dyskretnie do swego męża. Odpowiedział natychmiast i już nie miała wątpliwości, że Earl wie, na czym polega prawdziwe niebezpieczeństwo. - Tak czy inaczej, należy jej się z mojej strony kontrolne badanie pooperacyjne, więc moja wizyta nikomu nie powinna wydać się podejrzana. Może więc zostanieie tu obaj do mojego powrotu?

Thomas nie zamierzał czekać.

A teraz patrzyła, jak prowadzi, z narastającym napięciem mięśni karku i ramion, których rzeźba zaznaczała się wyraźnie pod rękawami i nad kołnierzem białej koszuli. Zdecydowanie nie nadawał się do uspokajania J.S.

- Pójdę do niej sama - powtórzyła Janet po raz dziesiąty. - Tak będzie dla niej najlepiej, póki nie dowiemy się więcej. Oczywiście musi istnieć proste wyjaśnienie układu jej dyżurów, ale trochę to potrwa, zanim je znajdziemy. A do tego czasu trzeba zachować ostrożność.

331

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią. Przefiltrowane przez deszcz i szybę, żółtawe światło latarni zarysowało pod jego kośćmi policzkowymi głębokie cienie. Jego oczy zdawały się tonąć w oczodołach, ale błyszczały w ciemności.

- Powinienem być przy niej - powiedział posępnym, monotonnym głosem.

Beznamiętność tego stwierdzenia wzbudziła w Janet dreszcz.

Earl wcisnął klawisz ponownego wybierania numeru.

- Tu mieszkanie doktora Stewarta...

Rzucił słuchawkę na widelki.

Nie mógł tak po prostu siedzieć w domu, przechadzać się po salonie i wymyślać rozwiązań, które nie miały sensu.

Wspomnienie ciemnej postaci, która zaatakowała go w szpitalnej sali, popychało do działania. Musiał znać odpowiedzi, zanim prawdziwy zabójca zrozumie, że J.S. może go zidentyfikować.

Najlepiej byłoby pojechać do Stewarta, pomyślał. Stanąc z sukinsynem twarzą w twarz. Zmusić go, żeby wyjawiał wszystko, co wie na temat zgonów pacjentów ze statusem DNR i bez niego. Przydusić go pytaniami o związek grafiku dyżurów J.S. z terminami morderstw. Nakłonić do wyliczenia nazwisk wszystkich osób, które mogłyby chcieć odegrać się na nim za samobójczą śmierć Jerome'a Wilchera.

Zadzwoił do Annie, gospodyni, wyjaśnił jej, że sprawa jest pilna, i poprosił, żeby przyszła i zajęła się Brenda-nem.

- Będę za pięć minut, panie doktorze.

Dzięki Bogu, pomyślał Earl. Jak zawsze gotowa ratować nas w kłopotach.

Czekając na Annie, zastanawiał się, jakim sposobem analiza mogła wskazać na J.S., ale podobnie jak wcześniej,

332

nie wymyślił rozsądnego rozwiązania. Brał pod uwagę na wet możliwość istnienia ukrytego błędu w oprogramowaniu.

Wrócił do komputera i wpisał własne nazwisko.

Zero zależności.

Janet.

To samo.

Stał przez chwilę przed monitorem, zastanawiając się, kogo jeszcze mógłby sprawdzić.

W chwilowej próżni pojawiła się niewesoła myśl. Choć wtedy, gdy stali tu we troje, całkiem zgodnie orzekli, że J.S. musi być niewinna, cichutki protest szukał już drogi w krętych ścieżkach jego pesymizmu. Wbrew instynktowi, który nakazywał Janet ufać J.S., i wbrew bezwarunkowej miłości Thomasa Earl czuł potrzebę sprawdzenia, czy wiara w jej niewinność przetrzyma logiczną analizę. Zawsze podchodził w ten sposób do świata - sprawdzał wszystko i wszystkich, by uniknąć przykrych niespodzianek - a to oznaczało, że stać go było na stawianie pytań, których nie postawiłby nikt inny. W tym wypadku pytanie brzmiało: czy J.S. może być zupełnie inną osobą, niż mu się wydawało?

Annie otworzyła drzwi własnym kluczem.

— Proszę już jechać - powiedziała, machając ręką. Po klepała czule Muffy i strząsnęła krople wody z przemozonego parasola. - Na pewno jedzie pan ratować kogoś życie - dodała. Miała sześćdziesiąt lat, ale nosiła krótką, żołnierską fryzurę i miała figurę, która pozwalała jej pożyczać ubrania od Janet. Minęła w pośpiechu Earla i czym prędzej zasiadła przed komputerem.

Muffy dawno już ustaliła, że Annie jest damą, która wie, jak dopieścić pudlicę, i teraz z zadowoleniem ułożyła się u jej stóp.

- Nie mogę dłużej rozmawiać - zawołała Annie przez ramię. - Jestem w samym środku internetowej gry *Eska dra Łotrów* z moim wnukiem.

333

- Annie, jesteś aniołem.

Uśmiechnęła się szeroko w odpowiedzi i otworzyła stronę internetową ozdobioną portretem uzbrojonego po zęby mężczyzny w mundurze wojsk Rebelii.

- Och wiem, wiem - odpowiedziała, nie patrząc już na wet w stronę Earla.

Chwilę później wyprowadził wóz z podjazdu i ruszył w drogę, z nosem przy przedniej szybie z powodu marnej widoczności. Kałuże były już tak rozległe, że musiał z całej siły zaciskać dłonie na kierownicy, by skontrolować gwałtowne szarpnięcia kół.

- Chryste - mruknął, odzyskując kontrolę nad pojazdem.

Po dziesięciu minutach zaparkował pod czarnym baldachimem drzew, na podjeździe domu Stewarta.

Budynek był pogrążony w całkowitych ciemnościach.

Czyżby nie było go w domu?

Trudno odgadnąć, gdy drzwi garażu zamknięte, czy mercedes stoi w środku.

Rarl wysiadł ze swego vana i pobiegł ku frontowym drzwiom.

Nacisnął klawisz i rozległ się czterokrotny dźwięk dzwonka, a potem zapadła cisza.

Cholera.

Tocco zwykle obszcze kiwała każdego, kto dzwonił do drzwi, jeśli tylko Stewart był przy niej. Gdy zostawała sama, chowała się w piwnicy i siedziała tam jak mysz pod miotłą. Miłośnicy psów twierdzili, że Tocco jest wystarczająco mądra, by bronić człowieka, a nie jego majątku. Stewart jednak odczytywał tę sytuację inaczej. „Oślica, szczeka, kiedy jestem w domu, żebym przyszedł jej bronić. Kiedy mnie nie ma, umiera ze strachu i każdy mógłby wejść do domu”.

Być może więc milczenie Tocco oznaczało, że Stewart znowu wyszedł z domu. Cholera, powinienem był zadzwonić najpierw do szpitala, pomyślał Earl. Pewnie znowu

334

schronił się na swoim oddziale. Tam znajduje pocieszenia, którego zwykli śmiertelnicy szukają w tawernach.

Piorun pokrył niebo jaskrawą siatką pęknięć.

Earl wahał się, czy powinien użyć telefonu komórkowego. Wprawdzie nigdy nie widział nikogo, komu piorun usmażyłby mózg podczas rozmowy, ale też nie ekscytowała go myśl, że mógłby być pierwszym takim szczęśliwcem. Zanim zawrócił w stronę samochodu, odruchowo nacisnął pięknie zdobioną mosiężną klamkę.

Drzwi się otworzyły. Szybko wszedł do środka i zamknął je za sobą.

- Stewart! - zawołał, szukając włącznika światła. Wo da ściekała z jego ubrania wprost na marmurową posadzkę holu. Przygotował się na chłodne dotknięcie nosa Tocco, która musiała zjawić się lada chwila, by go obwąchać. Była nieśmiała, ale potrzebowała tylko jednego spotkania, by zaprzyjaźnić się z kimś na całe życie. Za każdym razem podczas odwiedzin u Stewarta, gdy tylko Tocco go rozpoznawała, przystępowała do wymiany czułości - być może i dlatego, że przynosił ze sobą zapach Muffy.

Znalazł na ścianie coś, co w dotyku przypominało szereg pokręteł reostatu. Wcisnął jedno z nich i żyrandol nad jego głową rozjarzył się bursztynowym światłem.

Ani Tocco, ani Stewart nie wyszli mu na powitanie.

- Halo! - zawołał znowu.

Absolutna cisza.

Stewart musiał wyjść, pomyślał Earl, ale jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Earl poszedł do kuchni, włączając po drodze światła, a potem odszukał drzwi do garażu.

Granatowy mercedes lśnił w blasku lampy.

Czyżby spacer z Tocco? Możliwe. Ale wielki parasol Stewarta stał jak zawsze w stojaku przy drzwiach frontowych. Brakowało natomiast smyczy, która zwykle wisiała na lakierowanym wieszaku na płaszcze.

335

Trzeba poczekać, zdecydował Earl. W taką ulewę nie będzie spacerował zbyt długo.

Po dziesięciu minutach siedzenia u podnóża spiralnych schodów prowadzących na pierwsze piętro uznał, że dalsze czekanie to strata czasu.

Skoro jednak Stewart wyszedł z psem, nie mogli odejść daleko, zwłaszcza że nie wzięli ze sobą parasola. Może gdzieś się schronili?

Wstał i przeszedł do salonu, żeby wyjrzeć przez okno od frontu i może wypatrzeć powracającą parę.

Latarnie podświetlały strugi deszczu, nikt się jednak nie pojawił.

Ulewa jakby traciła na intensywności. Nie tłukła już w szyby z siłą strumienia ze strażackiego węża, a towarzyszący jej pomruk grzmotów cichł stopniowo.

I dobrze, pomyślał. Jeżeli Stewart i Tocco gdzieś przycupnęli, teraz powinni wrócić. Earl usiadł na podokienniku, spoglądając w okno.

W ciągu kolejnych kilku minut deszcz zmienił się w delikatną mżawkę i pusty dom pogrążył się w ciszy. I właśnie dlatego Earl usłyszał coś jakby dalekie głosy.

Co u diabła?

Zeskoczył na podłogę i wrócił do holu.

- Stewart! - zawołał w stronę piętra, zastanawiając się, czy to możliwe, by Deloram przez cały czas siedział w sypialni i oglądając telewizję, nie usłyszał, że ma gości.

Odpowiedzi nie było.

Gdyby Tocco była w domu, już by zaszczekała.

Poza tym te głosy — raczej pomruk niż zrozumiałe słowa - nie dobiegały z góry.

Przez sekundę Earlowi wydawało się, że rozmowa toczy się na zewnątrz. Podeszedł do frontowych drzwi. Ale kiedy je otworzył, usłyszał tylko cichutki szum deszczu. Teraz głosy dobiegały zza jego pleców.



Poszedł za nimi w głąb domu i zatrzymał się w miejscu,

336

gdzie hol łączył się z kuchnią. Pomruk dobiegał zza drzwi, za którymi, jak mu się wydawało, znajdowały się schody do piwnicy.

Nacisnął klamkę i pechnął skrzydło. Ciche słowa stały się wyraźniejsze i bez wątpienia dobiegały z mroku podziemia. Brzmiały tak, jakby pochodziły z głośnika radia lub telewizora. Czy Stewart miał w piwnicy pokój telewizyjny?

- Stewart?

Spodziewał się odpowiedzi. Nie doczekał się.

Pstryknął włącznikiem światła. Ciemność nie ustąpiła.

Czyżby bezpiecznik? Earl zaczął wychwytywać strzępy rozmowy między dwojgiem ludzi.

- Czujesz jeszcze ból?
- Nie. Minał.
- Widzisz coś?
- Tylko ciemność...

Pytania zadawane były szeptem, a słowa ledwie zrozumiałe. Chrapliwy, nieco silniejszy głos należał do kobiety.

- Halo? - zawołał Earl. Nikt nie odpowiedział.
- Spójrz uważnie! Powiedz mi, co tam widzisz.
- Nie jesteś moim lekarzem.
- Nie. Zastępuję go dzisiaj.

Zdecydowanie telewizor albo radio, pomyślał Earl.

- Widzi pani coś?

-Tak...

Chciał zejść na dół, ale potrzebował światła. Nie miał pojęcia, gdzie Stewart przechowuje latarkę. Zajrzał do kuchni i po krótkim poszukiwaniu znalazł ją w ładowarce stojącej w spiżarni. Wiązka szorstkiego, białego światła przecięła gęstą ciemność jak miecz. Earl zaczął schodzić do piwnicy, wciąż słuchając głosów.

- I nie czuje pani, że zaczyna się unosić?

337

- Zostaw mnie w spokoju.
  - Nie, dopóki nie powie mi pani, co widzi. Czy już patrzy pani na nas z góry?
- Rozległ się cichy trzask, jakby zakłócenie.

- Co pani powiedziała? - spytał znowu cichy głos.
- Widzę... siebie...

Co u diabła, pomyślał Earl, zatrzymując się w połowie wysokości schodów. Nie wierzył własnym uszom. Ale rozmowa trwała, a echo pracujących głośników było coraz wyraźniejsze.

- Co jeszcze pani dostrzega?
- Łóżko... stolik nocny... zdjęcia... wszystkie moje zdjęcia...
- To pani mąż?
- Tak...

W ciasnej przestrzeni piwnicy Earl poczuł charakterystyczny zapach, drażniący jego nos. Ścisnęło go w gardle, gdy poczuł inną, mdlącą woń. Fetor odchodów. O nie, pomyślał, ruszając z miejsca. Światło latarki malowało na ścianie groteskowe cienie.

- Nie żyje?
- Tak...
- Chce pani go odnaleźć?
- Tak...

Earl zeskoczył z dolnego podestu na posadzkę piwnicy.

- Nadal patrzy pani na siebie, leżącą na łóżku?

-Tak...

- Proszę odpuścić. Unieść się wyżej. Poza szpital, wy soko nad budynek. Musi pani to zrobić, żeby zobaczyć Franka...

Skierował snop światła w tę stronę, z której płynął dźwięk. Małutki magnetofon kasetowy, taki, jakiego lekarze często używają, dyktując notatki, leżał na podłodze nieopodal miejsca, w którym zatrzymał się Earl. Drobne szpule z taśmą obracały się niespiesznie, błyskając

338

w świetle. Earl skierował latarkę dalej, na mały, ciemny pagórek wznoszący się pod ścianą. Zobaczył lśniąca sierść ostro kontrastującą z szarymi bloczkami sprasowanego żużlu. Podeszedł o krok bliżej i dostrzegł nieruchomy, różowy język wystający spomiędzy białych kłów, jak starannie ułożona wstęga. Jeszcze dalej majaczył znacznie większy cień. Earl zaczął odruchowo oddychać przez usta. Nieruchomy spokój wiszącego przedmiotu zdawał się pochłaniać dźwięki nagrania.

Gamet wolno skierował ku niemu latarkę.

Spojrzała na niego opuchnięta, sina twarz Stewarta o wybałuszonych oczach, z białkami nabiegłymi krwią z pękniętych naczyń i źrenicami tak szerokimi, że wydawały się napełnione bezgwiezdną nocą.

## Rozdział 16

**Tego samego wieczora, 21.35**

**Oddział intensywnej opieki medycznej,  
St Paul's Hospital**

• Bardzo dobrze sobie radzisz — powiedziała Janet. Szybki przegląd parametrów funkcji życiowych oraz cięć na brzuchu i klatce piersiowej upewnił ją, że młoda kobieta jest w stabilnym stanie. Siedząc na krawędzi jej łóżka, Janet nachyliła się, bo bardzo jej zależało, by nikt inny nie usłyszał tego, co miała jeszcze do powiedzenia. Kurtyny i parawany sięgające od podłogi do sufitu, które wyznaczały granice klitki, w połączeniu z długimi, pionowymi żaluzjami sprawiały klaustrofobiczne wrażenie, ale łatwość, z jaką można było podsłuchiwać to, co działo się po drugiej stronie, rozwiewała wrażenie intymności. Janet ostrożnie dobierała słowa, by nie wystraszyć dziewczyny.

• Jak się czujesz?  
• Chyba tak, jak można się było spodziewać. - Głos J.S. brzmiał jeszcze dość słabo, jakby walka na sali operacyjnej wysłała z niej wszystkie siły.

Musiała jednak przyjąć ostrzeżenie.

• J.S., potrzebuję pomocy z pewnym problemem, który jest zupełnie niezwiązany z twoim pobytom tutaj. Czy byłabyś gotowa odpowiedzieć na kilka pytań?

• Mojej pomocy? - powtórzyła Jane, nie dowierzając, że ktokolwiek może prosić ją o coś takiego.

340

Janet skinęła głową, zastanawiając się, czy nie powinna przerwać tej rozmowy.

Przekonała ją nagła iskra zainteresowania, która pojawiła się w oczach J.S.

• Spróbuję.  
• Na pewno?  
• Tak. Śmiało.  
• Ale nalegam: niech to zostanie między nami.  
To zastrzeżenie wywołało jeszcze cieplejszą reakcję J.S.  
• Oczywiście - powiedziała, z zaciekawieniem unosząc brwi.  
• Czy ostatnio rozmawiałaś z kimś na temat swojego grafiku dyżurów? Mam na myśli nawet swobodną, niezobowiązującą rozmowę.

• Co takiego? - Zmarszczki na czole J.S. się wygładziły. Wyglądała na rozczarowaną.

- Proszę, po prostu mi odpowiedz. I uwierz, że to ważne.
- Na Lemat mojego grafiku? Absolutnie. Praca jest ostatnią rzeczą, o której chciałabym myśleć.
- Na pewno? Z nikim z odwiedzających? W poprzednich dniach też nie?
- W poprzednich? To znaczy w pracy? Pewnie tak. Wie pani, jak to jest z pielęgniarkami. Ciągłe chcą się zamieniać. Oczywiście zawsze konsultujemy zmiany z Susanne. Ale dlaczego to panią interesuje?

- Skup się, J.S. Czy kiedy wybierasz sobie zmianę, zwłaszcza nocną, kierujesz się jakimiś kryteriami?

- Raczej nie. Bo co?

Janet zawahała się, wciąż niepewna tego, ile wolno jej powiedzieć. Nawet gdyby Jane nie splotyła przypadkowo zabójcy, czy potrafiłaby go zidentyfikować?

- Zauważyłaś może, że ktoś pojawia się w pracy za każdym razem, gdy przychodzisz?
- Myślę, że wolałabym wiedzieć, do czego zmierzają te pytania - odparła J.S. bardziej zdecydowanie.

341

Janet zauważyła tę zmianę. Czyżby trafiła w czuły punkt?

-J.S., na pewno słyszałaś o kłopotach doktora Delo-rama.

- A kto nie słyszał?
- Więc pewnie wiesz, że mogą mieć związek ze wzrostem liczby zgonów na oddziale opieki paliatywnej.

J.S. skrzywiła się niechętnie.

- Tę Yablonsky należałoby zastrzelić za rozprowadanie takich bzdur na jego temat. Do licha, nie dalej niż tydzień temu mówiłam Thomasowi, że mamy więcej kodów z góry i że to pewnie skutek marnej pracy tej suki. I jestem abso lutnie pewna, że doktor Deloram nie ma z tym nic wspól nego. Przecież uratował mi życie...

Błysk gniewu w jej oczach zgasł samoistnie.

Janet domyśliła się, że J.S. właśnie uświadomiła sobie smutną prawdę: heroiczne wyczyny Stewarta wcale nie wykluczały tego, że jest zabójcą.

- Posłuchaj, J.S., nikt z nas nie chciałby, żeby doktor Deloram okazał się winny - szepnęła. - Ale jeśli mamy mu pomóc, nie wystarczą nam dowody na to, że on nic nie zrobił. Musimy znaleźć tego, kto to zrobił. Nie będę cię teraz męczyć szczegółami, ale według nas przynajmniej połowa z tych zgonów to morderstwa. I dlatego razem z Thomasem i doktorem Garnetem przyglądamy się grafikom dyżurów. Próbuje ustalić, czy jakaś osoba była obecna w pracy za każdym razem, gdy na paliatyw- nym ktoś niespodziewanie umierał.

- Grupowanie danych, to ta metoda, o której często mówi doktor G., prawda? - Oczy J.S. błysnęły podnieceniem; po znużeniu nie było nawet śladu. - Świetny pomysł! I Thomas wam pomaga? To cudownie. - Jane z wysiłkiem uniosła głowę. - I kogo wyłowiliście? Yablonsky?

Janet gestem nakazała jej leżeć.

- Spokojnie, dziewczyno - szepnęła. - Bo ci szwy puszcza. I pamiętaj... - Urwała, przykładając palec do ust. - To

342

tajemnica. Nie, nie wyłowiliśmy siostry Yablonsky ani nikogo innego z jej oddziału. I dlatego przeprowadziłam otwarte wyszukiwanie danych. Program przetrwał grafiki wszystkich pielęgniarek z St PauFs.

J.S. patrzyła na nią z jeszcze większym wyczekiwaniem.

-I?

Janet czuła się fatalnie, ale musiała jej powiedzieć.

- Posłuchaj, zapewniam cię, że doktor Gamet, Thomas i ja wiemy, że to przypadek i że nie ma tu mowy o niele

galnych praktykach...

W spojrzeniu J.S. pojawiła się nieufność.

- O co chodzi?
- Program wyrzucił twoje nazwisko.

Twarz J.S. pozostała absolutnie nieruchoma; a przynajmniej ta jej część, którą Janet widziała. A jednocześnie wszystko się w niej zmieniło. Oczy poszarzały, jakby wylała się z nich ołowiana tarcza skrywająca wszelkie emocje. Wydawało się, że dziewczyna kurczy się w oczach. Nawet jej oddech stał się mniej zauważalny.

- Posłuchaj mnie, J.S. Rozumiemy, że te zgony nie mają nic, absolutnie nic wspólnego z tobą. Ale twój rozkład zajęć koresponduje z zabójstwami dokonywanymi na paliatywnym i musimy ustalić dlaczego. A co najważniejsze, musisz być ostrożna.

Twarz J.S. ani drgnęła, jakby zatopiono ją w bryle lodu. Ale po kilku sekundach zaszła w niej subtelna metamorfoza, nie bardziej namacalna niż gra światła i cienia na skórze. Powrócił wyraz zmęczenia, a oczy, głęboko osadzone w oczodołach, zdawały się cofać jeszcze mocniej.

- W tych czasach nawet takie skojarzenie działa jak wyrok - powiedziała. Jej usta zasłaniała maska i wydawało się, że głos płynie gdzieś z wnętrza głowy.

- Zaufaj mi, nawet nie wymienimy twojego nazwiska w kontekście śledztwa. Cały problem w tym, że zabójca najwyraźniej działa na tych samych zmianach co ty.

343

J.S. wyglądała na zdezorientowaną.

- Rozumiem - odezwała się wreszcie. - Uważa pani, że ktoś, z kim zawsze pracuję, jest mordercą.
- Jej słowa miały dziwny, bezcielesny pogłos.
- Znasz kogoś, kto zawsze pracuje z tobą? Niekoniecznie ze służby pielęgniarstwa. Może to urzędnik, może sanitariusz, może sekretarka, może salowa albo lekarz...
  - Na naszym oddziale prędzej czy później wszyscy spotykają się ze wszystkimi - przerwała jej J.S.
- Nawet doktor G. podpada pod te kryteria.

Nagła ostrość jej tonu zaskoczyła Janet. Słowa J.S. były zwyczajnie szorstkie.

- Mówimy głównie o nocnych zmianach - wyjaśniła Janet, starając się panować nad sobą i nie zachowywać się jak śledczy. - To powinno zawęzić krąg podejrzanych. Pomyśl o kimś, kto pojawia się przy tobie częściej niż inni.

J.S. nie odpowiedziała, wpatrzona w przestrzeń. Janet raz jeszcze pomyślała, że poruszenie tej sprawy nie było rozsądne.

- Wiem, że to cholernie duży ciężar dla ciebie, zwłaszcza teraz, ale...
- Nie, nie, dobrze, że mi pani o tym powiedziała. Zupełnie słusznie. Musiałam o tym wiedzieć. - J.S. mówiła teraz śpiewnie, jakby recytowała mantrę nieznanego kultu.

Zaniepokojona Janet dała jej jeszcze chwilę na zebranie myśli, po czym rzekła:

- Proszę, zrozum, mogłabym uzyskać te same dane z komputera, tylko że sprawdzanie potrwałoby całą wieczność, a i tak moglibyśmy przegapić właściwą osobę.

J.S. nie odpowiedziała. Przez zasłony przebijały się ciche dźwięki nocnej pracy oddziału intensywnej terapii: syk wentylatorów, pomruki głosów oraz równomierne piski monitorów, podobne do pieśni ptaków gnieźdzących się w gąszczu kabli i rurek.

Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym spróbowała wyciągnąć odpowiedzi najszybciej jak się da, po-

344

myślała Janet. Nie da się cofnąć tego, co tak zepsuło jej humor.

- Pomyśl więc, czy masz jakiś pomysł, kto...
- Nie mam - przerwała jej J.S., tym razem nieco piskliwym głosem.

Janet zwróciła też uwagę na to, jak szybko padła ta odpowiedź. Wyczuła, że rozmowa dobiega końca.

- Chcesz, żebym poprosiła o coś na uspokojenie dla ciebie? - spytała najdelikatniej jak umiała, nie chcąc, by J.S. jeszcze bardziej się okopała. - Domyślam się, jak bardzo musiałaś się zdenerwować.

J.S. pokręciła głową.

- Muszę się zastanowić. I oczywiście jestem zdenerwowana. Kazała mi pani pomyśleć jak najgorzej o ludziach, z którymi pracuję w najszcześniejszym dla mnie miejscu.

Panowała nad sobą na tyle, by tylko co druga sylaba emanowała gniewem.

Janet zmusiła się do uśmiechu i miała nadzieję, że widać go w oczach. Po tylu miesiącach w masce nawet drobne ruchy pod materiałem drażniły jej usta i policzki. Wyciągnęła rękę do J.S., instynktownie pragnąc ją pocieszyć. Lecz ten sam instynkt podpowiedział jej, że J.S. pomyślała o kimś, ale wołała nie ujawnić nazwiska tej osoby.

• Bez względu na to, czyje nazwisko przyjdzie ci do głowy, czy to kobiety, czy mężczyzny, ta osoba z całą pewnością nie dowie się, że ją sprawdzamy - zastrzegła Janet, podziwiając w duchu jej naturalny odruch osłaniania kolegów z pracy. - Oczywiście pod warunkiem że nie będzie zamieszana w przestępstwo.

• Przepraszam, doktor Graceton! - odezwał się kobiecy głos zza parawanu.

Janet wstała i rozsunęła zasłony.

Siwowłosa pielęgniarka, w okularach o drucianej oprawie i szklach lekko zabarwionych szarością, stała przy stanowisku roboczym z telefonem w dłoni.

Za jej plecami rzędy ekranów monitorowały stan pa-

345

cientów oddziału, a fluorescencyjna zieleń pulsujących wykresów ilustrowała wzloty i upadki ludzkich losów. - Dzwoni doktor Gamet — dodała. — To pilne.

21.45

Czy Graceton jej uwierzyła?

Jane nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie; nigdy nie umiała dobrze kłamać.

I zdecydowanie nie czuła się na siłach udźwignąć tę sprawę. Ostatniej nocy wyłyżeczkowano z jej brzucha znacznie więcej niż tylko szczątki nie narodzonego dziecka. Czuła się zupełnie pusta, pozbawiona ducha i jego siły; jej odwaga była krucha jak skorupka jajka, a raczej jak wydmuszka, bo jej treść została wyssana do cna. A przecież gdy Graceton spytała, czy widzi kogoś, kto zawsze był w pobliżu, znalazła w sercu dość siły, żeby go nie wydać.

Jego imię przyszło jej do głowy w naturalny sposób i równie naturalne było to, że go nie zdradziła. Nie mogła. A to dlatego, że odkąd Susanne powiedziała jej, że on może się ożenić jak każdy inny mężczyzna, J.S. zrozumiała, że Jimmy przychodził tak często specjalnie po to, żeby się z nią zobaczyć. Nie było to wielkie odkrycie i pytanie „O Boże, i co ja z tym zrobić?!” Nie, raczej cicha świadomość, że wpadła mu w oko; świadomość przyjemna, a nawet rozkoszna, bo pochlebiana, a zarazem dająca pewność, że nigdy nie dojdzie do czynu ani nawet nacisku, by zdradziła Thomasa. Cudownie było sycić własne ego żywym zainteresowaniem tak silnego i przystojnego mężczyzny, wiedząc, że robi on wszystko, włącznie z trzymaniem się na bezpieczny dystans, by nie skomplikować jej życia. Rewanż zaś polegał na tym, że Jane nie zamierzała przysparzać mu kłopotów. Poza tym Jimmy na pewno nie był tym, kogo poszukiwano. Nie mógłby mieć nic wspólnego z zabijaniem ludzi. Ale jeśli nie on, to kto?

Przez cały dzień i wczesnym wieczorem dziesiątki kolegów i koleżanek wpadały do niej z życzeniami powrotu do zdrowia. Ryły to wizyty męczące, ale i przyjemne. Teraz zaś J.S. zastanawiała się głównie nad tym, który z jej gości mógł być mordercą. Przypomniła sobie też niepokój Susanne w sprawie zaginionych strzykawek. Przerzątała ją, że mimo wewnętrznych oporów zaczęła wątpić w uczciwość ludzi, z którymi pracowała. A skoro jej wyobraźnia mogła hasać w taki sposób, inni mogli podobnie myśleć o niej i zapewne ktoś prędzej czy później to uczyni, zwłaszcza gdy rozejdzie się wieść na temat obliczeń statystycznych. J.S. poczuła dreszcz na myśl o publicznym roztrząsaniu takich spraw. Ale to tylko kwestia czasu, pomyślała, nawet jeśli doktor Graceton obiecuje mi świetną ochronę. W St Paul's sekrety, zwłaszcza tego rodzaju, z czasem stawały się tajemnicą poliszynela. A kiedy już padał na kogoś cień podejrzenia, rozrastał się szybko jak rak. Każdy mógł zniszczyć w ten sposób każdego.

Czy zatem należałoby ostrzec Jiinmy'ego? Upредить, że doktor G., doktor Graceton i Thomas porównują jej grafik z innymi i każdy, kto zostanie złapany w to sito, będzie w poważnych opałach? Nawet bez grupowania danych prędzej czy później ktoś przecież zauważy, jak często Jim-my pojawiał się przy J.S., czy to za dnia, czy nocą.

Tylko że...

Jane przypomniała sobie krótką scenę: weszła do pokoju, a Jimmy właśnie przeszukiwał szafkę z zapasami.

Wmawiała sobie później, że jego historyjka o poszukiwaniu kubka na próbkę moczu i spóźnionym badaniu okresowym była tylko wymówką, która miała mu umożliwić wizytę i spotkanie z nią; podobnie jak sprawa kolczyka.

Teraz jednak zaczynała podejrzewać najgorsze.

Boże, co się ze mną dzieje?! Upominała się w duchu i było jej wstyd, że choć przez chwilę pozwoliła sobie zakładać, iż może istnieć jakiś związek... Nie, nie zamierzała

powiedzieć nikomu, a zwłaszcza Susanne, że nakryła go wtedy w magazynku, akurat tego popołudnia, kiedy zaginęły strzykawki. Wszyscy wiedzieli, że przyszedł, żeby dać sobie przekłuć ucho, i taka wersja musiała się utrzymać. Nikt nie powinien mieć okazji do wykorzystywania niewinnych zdarzeń przeciwko temu człowiekowi - dopóki J.S. miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

I tym bardziej powinna go ostrzec. Wyobrażała już sobie awanturę, jaka by się rozpetęła, gdyby tylko ktoś widział, jak ksiądz Jimmy wślizguje się do magazynku. Może wtedy nie było w tej wizycie nic podejrzanego, ale teraz, gdyby tylko ktoś rzucił plotkę, że Jimmy jest podejrzany, wspomnienie wróciłoby aż nadto wyraźnie.

Jane czuła się coraz bardziej nieswojo, nie tylko dlatego, że Jimmy znalazł się w niebezpieczeństwie. Lęk o jego los zmusił ją do przyznania się przed sobą, że łączy ją z nim więcej, niż by sobie tego życzyła. Leżąc tu, poddana działaniu zmęczenia, strachu i morfiny, czuła coraz wyraźniej ponurą aurę tego miejsca, potęgującą wrażenie izolacji.

Chciała się zobaczyć z Thomasem. Pielęgniarki mówiły, że przez cały ranek czuwał przy niej, zanim odesłały go, żeby złapał choć trochę snu. Lecz J.S. ledwie pamiętała jego obecność. Chciała poczuć ciepło jego dłoni i usłyszeć kojący głos.

Ale jej myśli uparcie dryfowały ku Jimmyemu.

Aż do tej pory była skłonna przyznać jedynie, że to on aktywnie szukał jej towarzystwa. Unikała jednak zbyt wnikliwej analizy tego, co sama czuła do niego. Bomba zrzucona przez Graceton wyrwała ją z tego jakże wygodnego stanu błogiej nieświadomości. Strach o Jimmy'ego kazał jej stanąć twarzą w twarz z prawdą: lubiła go znacznie bardziej, niż sądziła. Nie było tak, że wcześniej aktywnie wypierała się uczuć do niego; po prostu spędzali miło czas i wołała nie komplikować sobie życia niepotrzebnymi pytaniami.

Teraz jednak musiała pogodzić się z faktem, że uczucia dojrzały i z obu stron dawno minęły

granicę zwykłego „lubienia”. To, że Jimmy czuwał przy niej całą noc, oznaczało znacznie silniejsze emocje z jego strony. A siła, którą czerpała z dotyku jego dłoni, to, jak jego słowa przebijały się przez jej strach i docierały do niej, nawet gdy traciła przytomność... Jane przerwała potok myśli, zaskoczona intensywnością własnej reakcji. Była skołowana.

Jestem beznadziejnym przypadkiem, pomyślała, próbując jednocześnie tłumaczyć ten niespodziewany przyływ uczuć tym, że otarła się o śmierć.

Usłyszała kroki i zdumiała się, widząc wychodzącą zza parawanu doktor Graceton. Jasne, spokojne spojrzenie oraz ciepły uśmiech sprzed kilku minut zniknęły bez śladu Janet wyglądała na ciężko zszokowaną: jej oczy były puste, a twarz biała jak ochronna maska.

— Przepraszam cię, J.S., ale mam nagły wypadek - po wiedziała szybko, wręcz nerwowo. - Zlecenie na środki uspokajające już wypisane. Spróbuj się przespać. Wróć z samego rana, wtedy pogadamy. - Janet Graceton odwróciła się i pospieszyła w stronę wyjścia.

Coś musiało się stać w domu, pomyślała Jane. Bo niby dlaczego dzwoniłby doktor G.? Poza tym wczoraj skończyły się jej dyżury na położniczym.

Straszna myśl przyszła jej do głowy, a wraz z nią poczucie zagrożenia, które zmieniło hipotezę w głębokie przekonanie.

Mój Boże. Doktor G., doktor Graceton i Thomas pracowali dziś nad grupowaniem danych. Widocznie dopasowali już mój grafik i rozkład zajęć Jimmy'ego.

Wezwała pielęgniarkę.

Siwa kobieta w srebrnych okularach wysłuchała jej prośby i pozwoliła sobie na sprzeciw: doktor Graceton zostawiła szczegółowe zalecenia, a wśród nich takie, by nie wpuszczać już odwiedzających.

— Aleja chcę się widzieć z kapłanem. To nie gość. Pro-

349

szę mi przynajmniej pozwolić porozmawiać z nim przez telefon.

Pielęgniarka wyglądała tak, jakby chciała odmówić.

- Chyba nie chce pani pozbawić pacjentki pociechy duchowej, zwłaszcza pacjentki tego oddziału?
- Wiem, że on jest pani przyjacielem - odrzekła pielęgniarka. Była zirytowana, ale przyniosła telefon.

Jimmy Fitzpatrick odłożył słuchawkę i znieruchomiał.

Odebrał telefon przy łóżku pacjenta i wykorzystał ten „brak prywatności” jako pretekst do szybkiego zakończenia rozmowy.

Ale usłyszał wystarczająco dużo, by z bijącym sercem pobiec do swego pokoju.

„Bywam tu tak często, że wszyscy myślą, że pracuję w tych samych godzinach co oni”, odpowiedział J.S., ale nie umiał odgadnąć, czy kupiła to wyjaśnienie.

Wiedział od początku, że kiedyś wszystko może zwalić się na jego głowę. Mimo to nie zamierzał dać się skuć i wyprowadzić oskarżony o morderstwo. Tylko nie przewidział, że J.S. odegra w tej sprawie jakąś rolę.

Drżącą ręką wyjął klucze, otworzył drzwi i zamknął je za sobą, ale nie zapalił światła. Nie wiedzieć czemu, w ciemności panika nie miała nad nim aż takiej władzy. Lamy sodowe za oknem dawały wystarczająco dużo światła.

Przyzwyczał się już do działania w ich blasku.

Miał dookoła półki z książkami pełnymi słów, które wybrał na swe życiowe zasady. Była tam Biblia, rzecz jasna, ale także traktaty filozoficzne, które zgłębiał z entuzjazmem i miłością. Doskonałe myśli Arystotelesa, ucznia Platona, nauczyciela Aleksandra Wielkiego, pierwszego kompilatora nauki, etyki, polityki i duszy. John Locke, mistrz empiryzmu, piewca prawa człowieka do życia, wolności i własnego kawałka ziemi. Jean Paul Sartre, który wyzwolił ludzi od ciężaru samodzielnego odróżniania do-

bra i zła, a potem skazał na zimną, etyczną pustkę egzystencjalizmu. Właśnie on był bodaj najbliższy odtworzenia owej lodowatej kąpieli wolności i odpowiedzialności, do której Bóg wrzucił Adama i Ewę, gdy wygnał ich z Edenu.

Któż mógłby przeczytać myśli wielkich mistrzów wszech epok, wziąć je sobie do serca i nie stać się buntowniczą duszą?

Tak przynajmniej Jimmy Fitzpatrick postrzegał swoje powołanie w smutnej rzeczywistości St Paul's. Jak inaczej można żyć na chwałę wyższego dobra, jak pomagać słabym, a sprawiedliwych wspierać czynem, jeżeli nie przez wystąpienie od czasu do czasu poza granice prawa? Ojciec Jimmy nie chciał być pretensjonalny, ale zawsze postrzegał swoją działalność ledwie jako skromniejszą wersję tego, co zawsze było dylematem filozofów, sług Bożych i obrońców uciśnionych, którzy ośmielali się obracać szlachetne myśli w czyn. Jezus Chrystus, Robin Hood, Joanna d'Arc czy Zorro — wszyscy oni byli buntownikami, a ojciec Jimmy czułby się dumny, mogąc stanąć u ich boku. I na pewno nie był zawiadziakią żyjącym w niewłaściwej epoce, za jakiego miał go Earl.

Tak przynajmniej myślał o sobie w szczęśliwych dniach na samym początku misji, której się podjął, gdy wizja zdemaskowania wydawała się wręcz nierealna. Obiecał nawet pozostałym, że nikt nigdy się nie dowie i że jeśli będzie to konieczne, weźmie winę w całości na siebie. Że stanie z podniesionym czołem, by ponieść odpowiedzialność za czyny, które uważał za śmiałe i szlachetne.

Teraz zaś na samą myśl o swej dawnej naiwności i beztroście zakręciło mu się w głowie i musiał się oprzeć o biurko.

Kogo próbował oszukać?

Jego upadek, gdyby w końcu nadszedł, byłby żalonym, przyziemnym wydarzeniem, jednym z tych, o których piszą brukowce - ot, upadek kolejnego zhańbionego klechy.

Wybiegł do łazienki i zwiłotował.

351

Opróżniony żołądek zacisnął się jak pięść. Jimmy wrócił chwiejnym krokiem i opadł ciężko na fotel za biurkiem.

Wiedział, że jeśli tylko zadziała szybko, uda mu się ująć cało z opresji. W słabym świetle wysunął prawą dolną szufladę i wyjął z niej złożoną stułę. Następnie wysunął małą, mahoniową szkatułkę wyłożoną purpurowym aksamitem, w której przechowywał święte olejki oraz małe cyborium, okrągłą puszkę na komunikanty. Postawił ją na biurku obok stuły.

Raz jeszcze sięgnął do szuflady i wyjął z niej fałszywe dno. Leżały pod nim strzykawki, które ukradł z oddziału ratunkowego. Obok nich stały dwie fiołki z morfiną - jedna dostarczona przez Stewarta, a druga przez Michaela.

21.55

Janet kazała Thomasowi czekać w pokoju lekarzy i tam też go znalazła - sączył herbatę, zdjawszy maskę ochronną. Zaparzył cały czajniczek, a obok niego, na niskim stoliku z gazetami, postawił kubek dla Janet - ze śmietanką, dokładnie tak, jak podpatrzył przed paroma godzinami po kolacji w jej domu.

Gdy podeszła bliżej, zerwał się z niepokojem w oczach.

- Mój Boże, dobrze się pani czuje? Z J.S. wszystko w porządku?
- W porządku, jest tylko wystraszona i zmartwiona. Zaleciłam środki uspokajające; musisz pozwolić jej się wyspać. Ale mam inne, złe nowiny...

- Co powiedziała?

- To, czego się spodziewaliśmy. Nie ma pojęcia, jakim cudem jej grafik pasuje do terminów zabójstw. A kiedy spytałam, czy nie zwróciła uwagi na to, że ktoś zawsze dyżuruje w tych samych godzinach, natychmiast zaprzeczyła... zbyt szybko jak na mój gust. Prawdopodobnie boi

352

się wpakować przyjaciółkę w kłopoty. Jutro zobaczymy, może tobie uda się skłonić ją do mówienia.

- Pójdę zobaczyć się z nią teraz. - Thomas ruszył



w stronę drzwi.

Janet zatrzymała go, kładąc dłoń na jego piersi.

- Dokąd? Przecież pielęgniarki właśnie podały jej leki uspokajające. Do rana będzie bezpieczna.

Thomas zawahał się.

- W takim razie usiądźmy — powiedział po chwili, wskazując ręką na kryty skórą fotel.

Wystrój tego pomieszczenia nie zmienił się od czasów prezydentury Reagana; głębokie czerwienie musiały być w owym czasie nader popularne. Nawet gdy Janet miała dobry dzień, takie meble drażniły jej oczy.

- I proszę się napić. To pani dobrze zrobi. - Thomas wlał gorącej herbaty aż po brzegi kubka, zamieszał i podał Janet. - A te złe wieści?

Zsunęła maskę i pociągnęła łyk, rozkoszując się ciepłem spływającym do żołądka.

- Chodzi o Stewarta - zaczęła i pokrótce opowiedziała, jak Earl znalazł ciało.

Twarz Thomasa zastygła w wyrazie niedowierzania. Opowiadanie ze szczegółami sprawiło, że Janet czuła jeszcze większe przygnębienie.

- Powiesił się? - powtórzył Thomas, kiedy skończyła. Jego głos też był pełen niedowierzania.

Skinęła głową. Szok minął; jego miejsce zajął smutek, bo historia śmierci Stewarta była przede wszystkim smutna. Janet wzięła drugi łyk herbaty. Smakował jeszcze lepiej niż pierwszy.

- Earl znalazł na miejscu włączony magnetofon z na graniem czegoś, co brzmiało jak wywiady z ludźmi przeżywanymi doświadczenia z pogranicza śmierci - ciągnęła Janet. - W niektórych pada nazwisko pacjenta, więc łatwo będzie porównać je z naszą listą tajemniczych zgonów. Ale prowadzący wywiad przez cały czas mówi szeptem. Może-

353

my przypuszczać, że to Stewart zadaje pytania, ale trudno będzie to zweryfikować. Zdaniem detektywów, szeptu nie da się rozpoznać tak jak zwykłego głosu.

Thomas zapadł się głębiej w fotel i wolno kręcąc głową, spoglądał w sufit.

• Jakby to nie było wystarczająco dziwaczne - kontynuowała Janet - pierwszą ćwiartkę taśmy zajmuje nagranie *Pretty Woman* Roya Orbisona. Nikt nawet nie próbuje zgadnąć, co to ma znaczyć.

• *Pretty Woman?* — powtórzył Thomas, spoglądając na nią jakby z rozczarowaniem.

• Słuchaj dalej: znaleźli też małą butelkę chloroformu. Policja uważa, że Stewart najpierw uspił i zabił psa, a potem zrobił sobie pętlę na szyję z jego smyczy.

Thomas pochylił się i oparł dłonie na kolanach.

• Zaraz, zaraz. Mówi pani, że to Stewart był tym tajemniczym gościem, który zostawił panią w podziemiach szpitala i...

• Stewart nie zostawił żadnych wyjaśnień. Zamiast listu pożegnalnego znaleźli jedno słowo na ekranie komputera: „Przepraszam”. Maszyna była w trybie oszczędzania energii, więc obudziła się, gdy któryś z gliniarzy dotknął klawiatury. - Janet umilkła, by napić się herbaty. Jej łagodny smak pomógł rozluźnić ściśnięty żołądek.

• Zatem wszystkie oskarżenia siostry Yablonsky okazują się prawdziwe - stwierdził Thomas. Mówił cicho, jakby tylko myślał na głos.

Janet potrząsnęła głową.

• Zdaniem Earla - nie.

• Jak to?

-Daj spokój, Thomas, gdzie twój zdrowy, kliniczny sceptycyzm?

- Nie rozumiem...

• Za gładkie to wszystko. Wszystko - od taśm, przez chloroform, do powieszenia.

- Powieszenia?

354

- Tak. Okazuje się, że czternaście lat temu pewien bawacz z Nowego Jorku odebrał sobie życie w dokładnie taki sam sposób. Możliwe, że to Stewart popchnął go do tego kroku.

- Chwileczkę, jeszcze jeden uczonec-samobójca? Kto taki?

Janet dokończyła herbatę.

- Chodźmy już. Zawieszysz mnie do domu, a ja wyjaśnię ci wszystko po drodze. Ale moim zdaniem wszystko to śmierdzi fałszem. Dostaliśmy rozwiązanie jak prezencik przewiązany śliczną wstążeczką. A w dodatku Earl twierdzi, że Stewart zostawił nam sygnał, że nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowany.

Brwi Thomasa uniosły się nieznacznie. - Sygnał?

- Opowiem ci w samochodzie.

22.10

Na ulicy zaczęli się zbierać sąsiedzi, zbici w grupki pod parasolami. Stali wokół domu podobni do wielkich, czarnych grzybów, nie zważając na powracającą burzę.

- Proszę nie dotykać ciała i traktować dom jak miejsce zbrodni - powiedział Earl do pierwszych funkcjonariuszy, gdy zjawili się przed półgodziną. - A przede wszystkim proszę chronić tę taśmę - dodał, wskazując na mikrokasety, z której leżący na posadzce magnetofon wciąż odtwarzał prowadzone szeptem wywiady. - Może da się z niej zdjąć odciski palców - dorzucił, choć dobrze wiedział, że jeśli sprawca był tak inteligentny, jak się wydawało, znajdowały się na niej wyłącznie odciski Stewarta. - Poza tym, korzystając z licznika, możemy ustalić, kiedy została włączona.

Osobliwe pytania i odpowiedzi dobiegające z miniaturowego głośnika zdumiały młodą policjantkę, która przyklękła obok magnetofonu.

355

• Czego właściwie słuchamy, u licha? — spytała. Spod jej czapki wystawała blond kitka. Wielki pistolet zupełnie nie pasował do jej szczupłych bioder i ciała cheerleaderki.

• Nie jestem pewien - odparł Earl, choć nie była to prawda.

• Podaj mi rękawiczki - poleciła swemu partnerowi. Kilka minut później jej okryte lateksem palce delikatnie chwyciły magnetofon za narożnik, by nie uszkodzić ewentualnych śladów. Czubkiem długopisu wcisnęła klawisz STOP. Zapisała stan licznika i godzinę, po czym długopisem wcisnęła klawisz cofania. Gdy taśma przewinęła się do początku i usłyszeli znajome dźwięki *Pretty Woman*, Earl zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć.

Zadzwoił do Janet i przekazał jej nowiny, a potem czekał w salonie, obserwując kolejne wozy policyjne zatrzymujące się przed domem oraz funkcjonariuszy otaczających posesję żółtą taśmą. Złożył policjantce z kitką krótkie zeznanie na temat okoliczności odnalezienia ciała, nie mogąc oddalić od siebie myśli, że ma do czynienia z dziewczyną w wieku J.S.

Skończył przed dziesięcioma minutami.

Teraz zaś nie miał już nic do roboty poza przyglądaniem się gapiom, którzy z równą ciekawością patrzyli na niego.

Wreszcie o dwudziestej drugiej dwadzieścia do domu weszło dwoje funkcjonariuszy wydziału zabójstw, oboje w cywilnych ubraniach. Oświadczyli, że przejmują dochodzenie.

Starsza z nich, wysoka blondynka mniej więcej w wieku Janet, przedstawiła się jako detektyw Lazar. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy marki Burberry, w oczach zaś smutek, który prędzej czy później dopada wszystkich stróżów prawa. Jej kolega, mężczyzna podobnego wzrostu, lecz przynajmniej o dziesięć lat młodszy, miał idealnie zaczesane czarne włosy oraz kwadratową szczękę - nadawał się na plakat reklamujący uroki pracy w policji. Stał z boku, notując.

Earl przedstawił się i poprowadził detektywów do piw-

356

nicy. Wyjaśnił im też, dlaczego uważa, że Stewart został zamordowany.

— Po pierwsze, proszę spojrzeć na jego stopy - zaczął.

Choć ciało wciąż wisiało na smyczy i wydawało się, że ledwie zahacza czubkami palców o stółek, stopy wciąż wgniatały się na dobre dwa i pół centymetra w winylową powierzchnię.

— Widziała pani kiedyś ofiarę powieszenia?

Detektyw skinęła głową.

Jej partner uczynił to samo, ale uznał za stosowne poprzeć to miną mówiącą „Ho, ho, ilu wisielców w życiu widziałem!”

Earl zignorował jego reakcję.

— W takim razie wie pani, że większość z nich umiera przez dłuższy czas, wskutek uduszenia - ciągnął, zwracając się wyłącznie do Lazar. - Nie mają pojęcia o zbiwnym wpływie skoku z szubienicy. O tym mianowicie, że pod ciężarem szybko opadającego ciała litościwie pęka kręgosłup na wysokości drugiego kręgu szyjnego i jeśli ofiara ma szczęście, następuje przerwanie rdzenia kręgowego i niemal natychmiastowa śmierć mózgu. Jeśli tak się nie stanie, wiszą na pętli, cierpiąc straszliwe męki. Ste wart nie popełniłby takiego błędu. Gdyby chciał odebrać sobie życie, wieszając się, założyłby pętlę na szyję i skończył z okna na piętrze. - Earl spojrzał na bezwładne ciało przyjaciela i wzdrygnął się na widok wymiętych spodni, splamionych niegodną śmiercią. - Za nic w świecie nie odstawiłby takiej amatorszczyzny. W najgorszym wypadku kopnąłby stółek, na którym stał. A ja twierdzę, że celowo postąpił inaczej. Za cenę potwornego bólu zostawił nam znak, że to nie było samobójstwo. - Ogarnęła go mieszanka żalu, smutku i przerażenia na myśl o tym, jak straszne musiały być ostatnie chwile życia Stewarta. Zaraz potem poczuł gniew. - Być może zlekceważycie ten gest, przekreślając tym samym heroizm mojego przyjaciela, ale ja nie mam takiego zamiaru.

357

Detektyw Lazar spojrzała na niego uważnie.

Jej młodszy kolega notował jak oszalały.

Earl uznał go w duchu za nowicjusza, przynajmniej w wydziale zabójstw. Gliniarze zawsze przypominali mu rezydentów: ci, którzy wszystko zapisywali, byli najmniej doświadczeni i nic jeszcze nie wiedzieli o swoim fachu.

• Wszystko to bardzo ciekawe, doktorze Gamet - odezwała się po chwili Lazar. - Ale przypuszczam, że ma pan jeszcze inne powody do sceptycyzmu. Bo jeśli mam być szczerą, sama potraktowałabym tę sprawę jako samobójstwo - marnie wykonane, ale jednak samobójstwo. Mówił

pan, że zmarły miał na imię Stewart?

• Doktor Stewart Deloram. I owszem, mam i inne powody sądzić, że ktoś go zamordował. Ale to bardzo zawiła sprawa.

• Więc proszę spróbować ją uprościć.

Jej partner zastygł z długopisem gotowym do akcji. Earl odetchnął głęboko. Może jednak notowanie będzie wskazane, pomyślał.

- Wszystko zaczęło się ponad dwa tygodnie temu, wraz ze zgonem śmiertelnie chorej pacjentki, Elizabeth Matthews...

## 22.43

W jednej chwili rozmawiali.

A w następnej wóz ostro skręcił w prawo, nie tracąc prędkości.

Janet krzyknęła odruchowo i pomyślała, że zaciął się pedał gazu.

Przeskoczyli nad krawędzią drogi i zjechali po skarpie w dół. Reflektory wycinały lśniący tunel w ciemności nakłuwanej milionem srebrnych igieł deszczu. U podnóża skarpy Janet zobaczyła pień drzewa, który rósł w oczach, niczym linia celownika zablokowanego na celu, który

358

przyciągał ich ku sobie. Pędzili w dół, ale czas zdawał się biec wolniej. Janet w porę ugięła nogi, by ochronić brzuch przed zderzeniem.

## 22.53

Gdy Earl umilkł, Lazar spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi, ale wyraz jej twarzy wskazywał, że przynajmniej zastanowi się nad przedstawioną przezeń wersją wydarzeń.

• W jaki sposób ten, kto wrabiał doktora Delorama, miałby dostać się do domu? - spytała. - Nie ma śladów włamania, a żaden wytrych nie otworzy takich zamków, nie pozostawiając widocznych znaków.

• Stewart miał zwyczaj w roztargnieniu zostawiać klucze w różnych miejscach szpitala. Każdy mógł je „pożyczyć” i skopiować.

Lazar spojrzała sceptycznie na Tocco.

• W takim razie dlaczego pies nie zaszczekał na zabójcę i nie obudził ofiary?

• Może zaszczekał, a Stewart nie usłyszał. Całą noc spędził w szpitalu, więc pewnie zasnął kamiennym snem. Czytała pani może przygody Sherlocka Holmesa?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

• Chodzi panu o to, że pies mógł znać tę osobę i dlatego nie zaszczekał?

• Otóż to. Tocco jest bardzo przyjacielska dla tych, których już poznała.

Policjantka rozejrzała się po pomieszczeniu, a jej wzrok zatrzymał się na laptopie Stewarta.

• W jaki sposób morderca dostał się do komputera ofiary, żeby zostawić tę krótką wiadomość?

• Wszyscy wiedzą, że hasłem jest imię psa.

• Tocco?

• Tocco. Komputer należy do kliniki. Stewart używał

359

go do prowadzenia grafików zajęć z rezydentami, list nocnych dyżurów, rozkładu szkoleń dla lekarzy i pielęgniarek, kalendarza seminariów, pisania artykułów... słowem do różnych rzeczy. Ale dostęp dał każdemu, żeby nikt nie zwracał mu głowy pytaniami.

Lazar raz jeszcze przyjrzała się zwłokom Stewarta, jakby były intrygującym pomnikiem.

• Dlaczego w ogóle sprawca zostawił mu stołek?

- Większe cierpienie? Dłuższe konanie? Kto to może wiedzieć.
- Jak pan sądzi, kiedy nastąpiła śmierć?

Z każdym kolejnym pytaniem jej profesjonalna neutralność utwierdzała Earla w przekonaniu, że przesłuchanie coraz bardziej ma na celu sprawdzenie, czyjego wersja wydarzeń jest całkowicie spójna, a coraz mniej służy jej obaleniu.

Po kolejnych paru minutach detektyw Lazar powiedziała:

- Proszę zostać z nami, może będziemy jeszcze pana potrzebować.

Usiadł w salonie, a tymczasem w domu pojawili się ludzie w granatowych kombinezonach z emblematem policji Buffalo na plecach. Jedni włożyli lateksowe rękawiczki i zaczęli zaglądać w każdy kąt domu uzbrojeni w pesety, pakując do worków znalezione włosy i inne interesujące przedmioty. Inni pędzlami nanosili drobniutki proszek na te powierzchnie, których sprawca mógł dotknąć. Fotograf od razu zszedł na dół.

Dość czekania, pomyślał Earl. Janet wyczuła, że J.S. próbuje kogoś kryć. Próbkę możliwości owego „kogoś” miał okazję obejrzeć: wisiała na piwnicznej rurze.

Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do jedynej osoby, która prawdopodobnie wiedziała o grafiku J.S. tyle samo co ona.

Prawie nigdy nie kontaktował się z Susanne pod jej domowym numerem, choć sama podała mu swój zastrze-

360

żony numer. Znał jej wielką potrzebę prywatności i feZa\* nował ją.

- Halo? - odezwał się kobiecy głos.
- Mówi doktor Garnet. Czy mogę mówić z Susanne?
- Chwileczkę.

Earl wiedział, że kobieta, która odebrała telefon, ma na imię Rachel i od dziesięciu lat jest partnerką Susanne - ale wiedza ta nie pochodziła od Susanne. Poskładał ją sobie z fragmentów zasłyszanych od innych osób, takich jak pani Quint. Z początku uważał to za dziwne, że w tych czasach ktoś tak pewny siebie jak Susanne decyduje się na ukrycie prywatnych spraw przed światem. Nigdy jednak nie rozmawiali o jej partnerce, aż wreszcie uświadomił sobie, że małomówność Susanne wynika przede wszystkim z jej wielkiego poszanowania dla prywatności tych, których kochała, i że byłoby tak samo nawet wtedy, gdyby jej życiowym partnerem był mężczyzna.

• Co się dzieje? - spytała Susanne, podnosząc słuchawkę. W jej głosie pobrzmiwał niepokój.

• Lepiej przygotuj się na złe nowiny. - Earl streścił jej wieczorne wydarzenia, tak samo jak wcześniej żonie. Opowiadanie o tym wszystkim po raz drugi wcale nie było łatwiejsze.

Susanne milczała przez długą chwilę, kiedy skończył. Wreszcie wzięła głęboki, drżący oddech.

• Taki błyskotliwy, a taki samotny — powiedziała łamiącym się głosem.

• Obawiam się, że to nie wszystko. To, co teraz powiem, ma pozostać ścisłą tajemnicą. - Earl opowiedział jej o grafiku dyżurów J.S., dziwnie spójnym z datami zgonów pacjentów z paliatywnego.

• O Boże, nie... —jęknęła.

• Tylko nie myśl sobie, że uważam ją za winną - zastrzegł czym prędzej, zastanawiając się, czy Susanne podobnie jak on zrewiduje teraz swą opinię o J.S. Wywołanie wielkich szkód w tej materii jest łatwe. Wystarczy ziar-

361

no wątpliwości, by zniszczyć budowaną przez lata zażyłość. Earl był wściekły, gdy myślał o tym, jak w ostatnich dniach ogarniała go coraz większa nieufność, niczym zaraza. - Pomyślałem, że skoro sama pisałaś jej grafik, może kojarzysz i inne osoby, które mogą mieć podobny.

• Nikt nie przychodzi mi do głowy.

• Nie stosujesz żadnych konkretnych kryteriów, kiedy przydzielasz jej robotę? Zwłaszcza nocną?

• Żadnych. Traktuję ją tak samo jak wszystkich.

• A nie zgłaszała żadnych szczególnych życzeń? - Pracownicy oddziału ratunkowego zawsze miewali życzenia, choćby o wolny ten czy inny weekend albo o urlop w odległym, paromiesięcznym

terminie.

• Wręcz przeciwnie. Prędzej poprosiłaby o nockę czy weekend, niż próbowała wymigać się od takiej roboty. — Susanne umilkła, a potem dodała: - Sprawa jest już w zasadzie jawna, więc mogę ci powiedzieć to, czego wcześniej tylko się domyślałam: Jane chyba lubi pracować wtedy, gdy Thomas Biggs ma dyżur.

• Thomas?

Susanne zaśmiała się, ale Earl słyszał wyraźnie, że była bliska płaczu.

• Jak mawia Janet, „Czyż miłość nie jest wspaniała?”

• Mówisz więc - odparł z nadzieją Earl - że często dawałaś jej nocne dyżury? - Byłaby to niezła odpowiedź na pytanie o to, dlaczego J.S. była w szpitalu częściej niż inne pielęgniarki, kiedy dochodziło do tajemniczych zgonów, pomyślał.

• Nie była to żadna zasada. Po prostu pamiętałam o niej, kiedy pilnie potrzebne było zastępstwo. Ale potem zawsze dostawała mniej nocek niż inni, więc wszystko się wyrównywało.

To tyle, jeśli chodzi o niezłe odpowiedzi.

- Na pewno nie było tak, że J.S. domagała się, żebym układała jej grafik pod kątem dyżurów jej chłopaka, jeśli to masz na myśli - dodała Susanne. - Zbyt dobrym jest

362

fachowcem, by pozwalać sobie na tak nieprofesjonalne zachowanie. Pracowała też często nocą, gdy go nie było, może nawet częściej. Powiedziałabym, że nie było go trzy na cztery razy.

I pewnie tak samo jest z zabójcą, pomyślał Earl. Trzeba będzie mocniej przycisnąć J.S.

• To chyba oznacza, że możesz też skreślić rezydentów - dorzuciła Susanne.

• Słucham?

• Rezydenci biorą jedną noc na cztery, a pielęgniarki dostają nocki w tygodniowych blokach. Ślepy los decydował więc, jak sądzę, że J.S. dyżurowała mniej więcej tyle samo razy z każdym z lekarzy.

• Tak, to całkiem oczywiste - zgodził się Earl, ale w głębi duszy coś mu się nie podobało w układzie „jedna noc na cztery”. Tymczasem jednak podziękował Susanne, rozłączył się i zaraz wybrał swój numer domowy.

Odebrała Annie.

• Janet jeszcze nie wróciła?

• Nie. Ale proszę się nie martwić, zostaną tak długo, jak będzie trzeba. A przy okazji, dostał pan wiadomość.

• Tak?

• Od doktor Cheryl Branagh z Nowego Jorku. Mówiła, że to nic pilnego, ale zdobyła dla pana pewne informacje i że jeśli pan chce, może pan zadzwonić dziś przed dwudziestą drugą albo jutro rano.

Earl spojrzął na zegarek. Dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć.

Cholera. Podziękował Annie, zapisał numer domowy do Branagh i postanowił spróbować. W końcu musiał też przekazać jej wiadomość o śmierci Stewarta. A jeśli zdobyte przez nią informacje dotyczyły jego związków z osobą Jerome'a Wilchera, policja powinna poznać je jak najszybciej.

- Tu mieszkanie doktor Cheryl Branagh. Nie mogę te raz odebrać telefonu...

363

Earl zostawił wiadomość.

Chwilę później wybrał numer komórki Janet.

Wyłączyła telefon.

Pewnie nadal jest w szpitalu, pomyślał. Miał jednak wrażenie, że Janet miała tylko uspokoić J.S. i wyjść, nie opowiadając jej o Stewarcie.

Zadzwonił na oddział intensywnej opieki medycznej.

- Doktor Graceton wyszła mniej więcej przed godziną,

doktorze Garnet — zameldowała mu ta sama pielęgniarka, z którą rozmawiał wcześniej. - Wkrótce po rozmowie z panem.

Earl zaczynał mieć złe przeczucie.

Fatalna noc dojazdu, parszywa widoczność, wystarczy jeden idiota jadący zbyt szybko — wrodzony talent Ear-la do układania czarnych scenariuszy znowu dał o sobie znać. Janet podejmowała heroiczne wysiłki, by zmienić jego charakter, ale on zawsze był w głębi duszy pesymistą. Tego wymagała od niego praca na oddziale ratunkowym. Tam zdolność do szybkiej oceny sytuacji i przewidywania, co może pójść nie tak jak powinno, ratowała ludziom życie. Prywatnie jednak trudno było z nim wytrzymać. Tym razem Earl postanowił powściągnąć swój niepokój: Thomas i Janet zapewne nie spieszyli się zbyt, właśnie z powodu burzy. Możliwe też, że postanowiła opowiedzieć mu o Stewarcie, zanim wyszli ze szpitala, rozumował Earl. Mądra prezentacja bardzo złych wiadomości wymagała czasu.

- Ajak się czuje panna Simmons? — spytał.
- J.S.? Bardzo dobrze. Zauważyłam, że zasnęła, więc zgasiłam jej światło. Prosiła o spotkanie z ojcem Jimmym, ale zdaje mi się, że kłopoty, którymi chciała się podzielić, mogą poczekać do jutra.
- Z ojcem Jimmym?
- Tak. Rozmawiała z nim przez telefon zaraz po wyjściu pana żony, a potem powiedziała nam, że ojciec przyjdzie z wizytą.

364

Earl nie wiedział, co o tym myśleć. Prawdopodobnie nie powinien był dopatrywać się czegokolwiek w tej wizycie. Dziewczyna była wystraszona. I nic dziwnego - w końcu wiele przeszła. A jako że przyjaźniła się z Jimmym, wezwanie go wydawało się naturalne....

Ostatnio jednak Earl nie ufał Jimmy'emu. W dodatku Jimmy mógł być jedną z osób, które często spotykały J.S. w pracy. Może podejrzenia Janet, że skrycie podkochał się w Jane, nie były całkiem bezpodstawne? Ale z drugiej strony Jimmy często widywał praktycznie wszystkich pracowników oddziału.

- Coś jeszcze, doktorze Garnet? - spytała po chwili pielęgniarka, wrywając go z zamyślenia.
- Nie. Tylko proszę mieć ją na oku.

Przerwał połączenie, wstał i zaczął się nerwowo przechadzać. Nie mógł dłużej usiedzieć w miejscu.

- Czy mogę już iść? - spytał detektyw Lazar.

-Potrzebne nam pana odciski palców - odpowiedziała.

ła. - To nie potrwa długo.

23.15

Jane Simmons zaczynała się budzić. Pielęgniarka musiała wyłączyć światło, bo w klitce panowała ciemność. Minęło parę sekund, zanim J.S. wyczuła, że ktoś stoi w cieniu przy końcu łóżka.

- Jimmy? - szepnęła.
- Hej, J.S. - odpowiedział równie cicho. - Przepraszam, że tak późno, ale musiałem coś załatwić. I właściwie już miałem się zbierać, na pewno potrzebujesz snu.
- Chodź do mnie - powiedziała, wyciągając rękę. - Musimy porozmawiać.

Wyszedł z cienia i usiadł na brzegu łóżka. Widziała go w zielonkawej poświacie monitorów. Jego włosy błyszczały, jakby były mokre. Nienaturalny kolor światła podkre-

365

ślał wszystkie nierówności twarzy widoczne ponad maską. Jimmy wyglądał na udręczonego; nawet zmarszczki wokół oczu, powstałe od śmiechu, tym razem zdawały się sięgać ku skroniom jak szpony.

- O nie - wyrwało jej się mimowolnie. W jednej chwili wiedziała, że wydarzyło się coś złego i że w jakiś sposób dotyczyło to Jimmy'ego. Fala żalu, smutku, strachu i miłości zmieściły się w jednym

uderzeniu serca, a jej pierś wypełniło dziwne wrażenie spadania. Odruch pomocy wydał jej się równie naturalny jak chęć opłecenia go ramionami - nawet jeśli nie wiedziała, co zrobił i dlaczego. Tego mogła się dowiedzieć później. W tej chwili słuszne było tylko to, by wyciągnąć ręce i przytulić go, gdyż instynkt nakazujący bronić go działał silniej niż wszystkie inne.

• Powiedziałeś komuś? - szepnęła, nie bardzo wiedząc, co zrobi z takim strzępkim informacji, bez względu na to, czy odpowiedź będzie twierdząca, czy przecząca. Mimochodem poczuła, że jego koszula jest wilgotna.

W pierwszej chwili spojrzął na nią szeroko otwartymi oczami, z wyrzutem, jakby nie wiedział, o co pyta.

- Powiedziałem... że?

- Nie okłamuj mnie, Jimmy. Za późno na to.

Jego oczy znowu znikły w cieniu oczodołów.

- Nie - odrzekł ledwie słyszalnie. - Ale jak się domy

śliłaś...

Uciszyła go, kładąc palec na jego ustach.

W Grand Forks spędziła sporo czasu, zadając się ze „złymi” chłopakami - pasowało to do jej sposobu ubierania się i zachowania. Słyszała później, że niektórzy przeistoczyli się ze złych chłopaków w złych ludzi. Inni skończyli nieco lepiej - zwłaszcza ci, którzy nie dali się złapać. Ale kilku udało jej się pomóc, bo przejmowała inicjatywę w chwili, gdy umierali ze strachu przed karą za takie czy inne drobne przewinienia. Pomogła im wymyślać żelazne alibi, kilka razy nawet twierdząc, że była z nimi, choć to nieprawda.

366

Miała więc wprawę w postępowaniu z facetami, którzy wdepnęli w kłopoty. I w zmuszaniu ich do szczerości.

- Nie, nie będziesz mnie okłamywał, czy nie, nie powie  
działeś nikomu o swoich problemach, czymkolwiek są? -  
Nawet wypowiedziane szeptem pytanie to brzmiało jak  
rozkaz.

Zaczerpnął powietrza i wypuścił je wolno przez ściśnięte usta. Brzmiało to tak, jakby się kurczył.

- To drugie.

Poczuła ulgę. Jest jeszcze czas. Wysłucha jego spowiedzi, a potem razem zadecydują, co robić dalej.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się bać Jimmy'ego Fitzpatricka.

## Rozdział 17

Deszcz bębnił o metal.

Bolała ją głowa. Słyszała też szum płynącej wody. Chłód wsączał się w nią, przenikał głęboko, aż do kości, i pełzył w górę, do piersi.

Gwałtownie otworzyła oczy. Ale wciąż otaczała ją czerń. Nie pamiętała, co się wydarzyło. I wtedy skurcz ścisnął jej brzuch, zgiął ją wpół.

O mój Boże, ja rodzę!

Janet skuliła się z krzykiem, ledwie świadoma swojej pozycji: leżała na boku, w ciasnej przestrzeni, na czymś twardym i nierównym. Gdzie ja jestem? Skąd się tu wzięłam? Dlaczego nic nie widzę? Ale brutalny ból w brzuchu nie pozwolił jej zastanawiać się nad tymi pytaniami.

Nie mogła oddychać, nawet krzyżeć. Ból ją pokonał, skurczył jej świat tak bardzo, że nie czuła już niczego poza niemożliwymi siłami, które rozrywały teraz jej łono.

Moje dziecko, pomyślała, zmuszając się do odliczania sekund, do racjonalnego myślenia: zaczęła liczyć skurcze macicy i przyporządkowywać je do odpowiednich faz fizjologicznych, jakby zdolność do nazwania tego, co tak bolało, miała pomóc jej przechytryć ciało, zapanować nad nim, złamać jego moc. Minęła pełna minuta, zanim skurcz minął. Opadła znowu w ciemność i chłód, z okrucichów



pamięci próbując odtworzyć to, co się wydarzyło.

Wypadek?

! Thomas! Gdzie on jest?

Razem jechali samochodem. Wracali z St PauFs

368

Zaproponował znowu, że będzie prowadził. Obiecał, że będzie jechał wolniej, i przeprosił za pośpiech poprzednim razem. Pamiętała, że powiedział też: „Byłem wstrząśnięty, kiedy komputer pogrupował dane i wyrzucił nazwisko J.S.”

Ale wspomnienie o tym wszystkim było mętne, przydymione, fragmentaryczne, a myślenie przychodziło jej z trudem. Nie widziała tarczy zegarka, nie wiedziała nawet, czy działa. Jak długo trwały skurcze? Jak długo była nieprzytomna?

Spróbowała zorientować się w przestrzeni. Trafiła palcami na przełączniki i pokręta deski rozdzielczej. Wszystko wydawało się pogięte, pionowe, jakby przewrócone na bok. Wszędzie wałały się kawałki rozbitego szkła, podobne do konfetti

! woda. Leżała w kilkunastocentymetrowej kałuży. Jej umysł wciąż pracował połową mocy. To jasne, mieli wypadek. Ale gdzie?

Pamiętała, że wyjechali z parkingu. Deszcz nie był już tak ulewny, ale kilka przecznic od szpitala trafili na kwartały pogrążone w całkowitej ciemności; nie działały nawet latarnie przy szosie. Reflektory wozu z trudem penetrowały mrok.

Burza musiała wrócić z pełną mocą, myślała Janet, są dząc po nieustającym bębnieniu deszczu o to, co pozostało z karoserii. Ale woda płynęła wartkim strumieniem także wokół jej ciała. Gdyby tylko mogła coś dostrzec w tej ciemności...

- Thomas!

Cisza.

Co się z nim stało?

Sięgnęła ręką ku górze, gdzie powinno się znajdować siedzenie kierowcy. Trafiła palcami na luźne końcówki paśów bezpieczeństwa, potem na drążek skrzyni biegów i na skórzaną tapicerkę - ale nie na ciało Thomasa.

Czyżby wyrzuciło go z samochodu?

369

- Thomas! - krzyknęła jeszcze głośniejsze.

Nawet jeśli był przytomny i nie stracił słuchu, ryk burzy i szum płynącej wody musiały zagłuszyć jej wołanie.

Spróbowała poruszyć nogami. Bolały, ale reagowały; miały jednak niewiele swobody w zgniecionym wnętrzu wozu. Janet rozumiała już, że samochód przewrócił się na bok, ale nie dachował - gdyby tak było, zostałyby zmiażdżona lub skręciłaby kark, ponieważ przednia szyba i miękki dach kabrioletu nie uratowałyby jej. A przecież nie mogła zapiąć pasów... Boże, jak niewiele brakowało, pomyślała.

A dziecko? Boże, co z dzieckiem. Jeżeli uderzyła brzuchem o deskę rozdzielczą albo ścisnęła go, upadając, jej syn mógł ucierpieć. Odruchowo obmacała brzuch. Bolał tylko trochę, nawet w przybliżeniu nie tak strasznie jak głowa. Nie było też umiejscowionego bólu, który mógłby oznaczać uszkodzenia wewnętrzne. Musiała jednak wezwać pomoc, dotrzeć do szpitala i sprawdzić, czy mały nie ucierpiał, zrobić USG, wydobyć go bezpiecznie i jeśli był ranny - poddać leczeniu. Urodzony o miesiąc za wcześnie i tak wymagałby specjalnej opieki.

Spróbowała zmienić pozycję, chwytając się kierownicy i oparcia fotela kierowcy. Uniosła się nieco, odpychając się nogami, jakby chciała się wydostać z wąskiej jamy.

- Thomas! Pomocy!

Błyskawica przecięła niebo i w jej świetle Janet zobaczyła, że szkło w drzwiach kierowcy jest

popękane, ale trzyma się, podobnie jak przednia szyba po jej stronie. Przypomniała sobie coś osobliwego.

Głowa bolała ją z boku, nie z przodu.

Podpełzła jeszcze wyżej i rozejrzała z wysiłkiem, ale zobaczyła tylko ciemność. Nieustający szum wody, która ją opływała, jakby przybrał na sile. Zakreśliło jej się w głowie z wysiłku, i to tak bardzo, że na powrót opadła na dno.

Gdzie u diabła zdarzył się ten wypadek?

370

Czekała z utęsknieniem na kolejny piorun, by rozejrzeć się po okolicy.

Nic z tego.

Mój telefon, pomyślała i sięgnęła szybko do kieszeni kurtki. Mogę przecież zadzwonić po pomoc.

Kieszenie były puste. Musiał wypaść, kiedy samochód się przewracał. Spróbowała odszukać go po omacku.

Bez powodzenia.

Znowu próbowała się podnieść, by dotrzeć do górnych drzwi, i tym razem zdołała zaczepić się palcami o przeciwległy brzeg siedziska kierowcy. Podciągnęła się z trudem i uklękła. Zawroty głowy wróciły, omal nie zemdląca. Mimo to uparcie szukała rękami klamki.

Wreszcie trafiła palcami na ostry strzęp metalu - tylko tyle zostało z urwanej klamki. Drzwi były zatrzasknięte i nie mogła ich otworzyć.

Czy Thomas wypełził przez dach? Poszedł po pomoc?

Sięgnęła rękami za siebie, dotknęła napiętej skórzanej płachty i zaczęła badać ją po omacku. Była nienaruszona.

Widocznie został wyrzucony przez drzwi, które zatrzasknęły się ponownie, gdy samochód się przewrócił, pomyślała. A przewrócił się do wody - prawy bok spoczywał w płytkim rozlewisku.

Zawroty głowy znowu się nasiliły i Janet bez siły opadła na kolana.

Boże, musiałam zdrowo przyłożyć.

Nie mogła sobie przypomnieć niczego, co działo się od chwili, gdy Thomas skręcił w drogę dojazdową do szosy. Niepamięć wsteczna, tak to nazywają, pomyślała. To oznaczało, że uderzenie było na tyle silne, że wymazało wspomnienie ostatnich chwil przed wypadkiem. Neurologzy uważają, że to objaw poważnego urazu głowy.

Coś podobnego, pomyślała kwaśno. Pulsujący ból, który promieniował od prawej skroni do ucha, też podpowiadał jej tę diagnozę. I znowu poczuła, że coś się nie zgadza. Dlaczego boli mnie w tym miejscu?

371

Zebrała siły, podciągnęła się w górę i próbowała siłą otworzyć drzwi kierowcy.

Ani drgnęły. Nie mogła nawet uruchomić zamka. Ani odpiąć przedniej krawędzi składanego dachu od ramy przedniej szyby. Mechanizm musiał się wykrzywić albo zaciąć w chwili katastrofy.

Nie miała niczego wystarczająco ostrego, by przebić się przez skórę. Próbowała rozerwać ją rękami albo przedziurawić uderzeniem pięści, lecz dach był zbyt mocny. Położyła się nawet na plecach i próbowała kilkakrotnie odepchnąć go nogami lub chociaż naderwać.

Nie udało się. Nie miała dość siły, a każdy wydatek energii potęgował zawroty głowy.

Obróciła się jeszcze raz, by spróbować wybić okno po stronie kierowcy, choć prawdopodobnie nie zdołałaby wydostać się przez nie z takim brzuchem.

Biła z całych sił obcasem buta, a wewnątrz jej mózgu zdawało się wirować w śmiertelnej spirali. O Boże, co się dzieje? Poczuła, że jej serce bije coraz szybciej, i opadła ciężko na stronę pasażera.

I wtedy zrozumiała.

Zawroty głowy, szybki puls, poród.

Ból mógł być przyczyną, ale w tej chwili nie czuła skurczów.

Tylko nie krwotok, modliła się w duchu, sięgając ręką pod spódnicę.

Od pasa w dół była zanurzona w zimnej wodzie, ale między nogami płyn był ciepły.

O Boże, nie!

Zwalczyła w sobie odruch paniki, powtarzając, że to wcale nie musi być krew.  
Mimo to bała się kolejnej błyskawicy i tego, co zobaczy w jej świetle.  
Rozłożyła ręce na boki, chwytając się czego popadnie, gdy znów zakręciło jej się w głowie.  
Ciemne niebo eksplodowało światłem i wtedy zobaczy-

372

ła: karmazynowy wir otaczał jej ciało, mienił się w wodzie jak długie pasma wodorostów. Prąd wody, przepływający przez kabinę samochodu, porywał go ze sobą.

Ciemność powróciła natychmiast, jeszcze bardziej nieprzenikniona, bo oczy zdążyły od niej odwyknąć.

Kilka sekund później Janet poczuła kolejny skurcz.

### Środa, 18 lipca, 23.31

Janet wciąż nie dawała znaku życia. Jej komórka była wyłączona.

Kilka razy dzwonił do szpitala i prosił, by wywołano jej pager. Bez odpowiedzi.

Poprosił o wywołanie Thomasa. To samo.

Gdy dzwonił na jego numer domowy - na wypadek, gdyby to Janet go odwiozła - odzywał się komunikat automatycznej sekretarki, zachęcający dzwoniącego do szukania go w St Paul's. Jego telefon komórkowy odpowiadał sygnałem „wolny” przez pełną minutę, zanim włączył się ten sam automatyczny komunikat.

- Cholera! - wrzasnął Earl i rzucił telefon na siedzenie pasażera, prowadząc vana przez kolejne minijezioro przecinające ulicę. Wszyscy jego znajomi usprawiedliwiali posiadanie takiej bestii z napędem na cztery koła wygodą podczas rodzinnych wypraw: było miejsce na bagaż, dzieci, nianię albo i psa. Dla Earla liczyło się coś innego: w noc taką jak ta mógł przebić się przez wszystko.

Samochód Thomasa wciąż stał przed ich domem. Earl pozwolił sobie na chwilę nadziei: chciał zobaczyć zieloną mazdę Janet, gdy uniesie się brama garażu.

Ale garaż był pusty.

Dobrze, że przynajmniej w tej okolicy działało zasilanie. Inne rejony podmiejskie, które mijał w drodze do domu, były w większości zaciemnione. Burza musiała uszkodzić sieć elektryczną.

373

Przestąpił nad Muffy leżącą, jak zwykle, tuż za drzwiami, i zatrzymał się na moment, żeby ją pogłaskać. Musiała być niedawno na spacerze, bo jej sierść, zmięczona deszczem, pachniała słodko mokrą wełną i choć na chwilę odzyskała dawną delikatność. Suka uniosła łeb i wysunął język, pocieszyła pana liźnięciem dłoni.

Musiała wyczuć jego strach.

Przeszedł przez salon i wkroczył do swego gabinetu, gdzie Annie wciąż siedziała przed monitorem.

- Czołem, doktoru — powiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu, na którym roilo się od żołnierzy; tabela wyników pokazywała imponującą liczbę zabitych.

- Annie, myślisz, że mogłabyś zostać jeszcze trochę? Możliwe, że będę musiał znowu wyjść.

Te słowa przekonały ją, że warto na niego spojrzeć. Spoważniała w jednej chwili.

- Co się stało? Wygląda pan na przestraszonego.

- Później wyjaśnię. Teraz muszę skorzystać z komputera. - Earl wołał nie straszyć Annie opowieścią o Ja-net.

Ustąpiła mu miejsca i wyszła.

- Zaparzę herbaty - rzuciła na odchodnym.

Earl cenił jej talent do znikania we właściwym momencie.

Uruchomił znowu program statystyczny i patrząc, jak ładują się dane, rozmyślał o kalendarzu Sadie Locke.

Krzyżyki symbolizujące zgony zajmowały mniej więcej jedną czwartą pól. Nie było w tym reguły,

żadnego układu Jeden na cztery" - gdyby tak było, natychmiast zauważyłby prawidłowość - ale ich rozkład był wystarczająco systematyczny, by wzbudzić skojarzenie z tym, o czym mówiła Susanne: z dyżurami rezydentów - jedna noc na cztery. Innymi słowy, czy morderstwa miały związek z grafiką pracy rezydentów? A skoro osiemdziesiąt procent przypadków nagłych zgonów przypadało na dyżury J.S. i wiadomo było, że dziewczyna próbuje go coś chronić, rodziło

374

się oczywiste pytanie: jak często bywał z nią człowiek, z którym najbardziej lubiła pracować.

Earl napisał: dr T. Biggs.

Komputer przetworzył polecenie a zaczął ładować gra fik R-3. Earl został w fotelu, walcząc z mdłościami, które ogarniały go na samą myśl o przedłużającej się nieobecności Janet.

Nie miał żadnego powodu, by podejrzewać Thomasa o jakiegokolwiek nieczyste plany. Ten chłopak był przecież najlepszym rezydentem w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Ale konsekwencja w poszukiwaniu wszelkich możliwych rozwiązań problemu, bez względu na to, jak nieprzyjemne mogą być ich implikacje, wymagała właśnie tego: sprawdzania nawet najdzikszych pomysłów. Tak samo postępowałby z nową, tajemniczą chorobą: sprawdzałby u pacjenta nawet najbardziej osobliwe symptomy, na pozór nie związane ze sprawą. W gruncie rzeczy najbardziej interesowały go właśnie te nieprawdopodobne tropy, ponieważ zmuszały do spojrzenia na zagadkę w nieszablonowy sposób, do zastosowania nowej perspektywy. Teraz, gdy pomału nabierał lodowatej pewności, że coś się stało z Janet, nie zamierzał odpuszczać nikomu.

Na ekranie pojawił się wynik.

j

Pięćdziesiąt procent.

Jezu Chryste, co to oznacza? Zupełnie nie miał nastroju na zabawy, zwłaszcza z maszyną.

Odsetek wydawał się wysoki. Nie tak wysoki jak osiemdziesiąt procent u J.S., ale wyższy, niż powinien być, gdyby noce z zabójstwami nie były częścią czyjegoś planu, lecz jedynie zbiorem przypadkowych punktów w czasie.

Earl miał przykre wrażenie, że jakaś siła wywraca mu płuca na drugą stronę.

Wolnego. Nie wysuwaj przedwczesnych wniosków, napominał się w duchu. Grupowanie danych polega na wyluskiwaniu jedynie potencjalnych rozwiązań.

Całkowicie ignorowane są takie czynniki, jak motywa-

375

cja i osobowość sprawcy, myślał, starając się oddychać regularnie.

Poza tym mogły istnieć inne wytłumaczenia, nie mające nic wspólnego z osobą Thomasa. Może zabójca miał rozkład zajęć obejmujący dyżury wszystkich rezydentów, przynajmniej w pięćdziesięcioprocentowym wymiarze godzin?

Earl szybko wpisał do programu nazwiska wszystkich trzeciorocznych rezydentów, których pamiętał. Mniej więcej jedna czwarta uzyskała taki sam wynik jak Thomas: pięćdziesiąt procent zgodności. Połowa miała dwudzieścioprocentową zgodność, a pozostała jedna czwarta - zerową. Earl nie miał pojęcia, co to oznacza, ale przynajmniej człowiek, który towarzyszył Janet, nie był jedynym z tak wysokim odsetkiem zgodności terminów. Wprawdzie nie oznaczało to rozgrzeszenia Thomasa, ale rozgorączkowana wyobraźnia Gameta, pełna już obrazów protegowana-nego-zabójcy, nieco się uspokoiła.

Wolał zapanować nad paranoją, niż pozwolić sobie na inną myśl: każdy z grupy o pięćdziesięcioprocentowej zgodności miał sposobność poruszania się po szpitalu bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń, ponieważ byli wzywani tu i tam do asystowania swym młodszym kolegom.

Cholera! Dość! To już kompletne szaleństwo!

Raz jeszcze postarał się uspokoić oddech. Oczami wyobraźni zobaczył nawet Janet powtarzającą swój ulubiony refren, którym raczyła go zawsze, gdy jego instynkt wpadał w amok: „A ty znowu swoje, myślisz tylko o najgorszym. Przysięgam, że te twoje pomysły zawsze tak pękają i są tyle warte, co ziarna kukurydzy, które Brendan tak lubi obserwować w mikrofalówce”.

Bo przecież Thomas i Janet w każdej chwili mogli zjawić się w domu, złorzeczając na fatalne warunki drogowe, na awarię samochodu akurat w miejscu, gdzie brak zasięgu w telefonach

komórkowych z powodu awarii sieci energetycznej... I wtedy Earl mógłby jedynie się zarumienić.

376

„Cześć, Janet. Cieszę się, że już jesteś, bo właśnie wychodziłem z siebie, zastanawiając się, czy Thomas nie wyrządził ci Bóg wie jakiej krzywdy. Dlaczego? Ano dlatego, że znalazł się w grupie potencjalnych zabójców, na których polujemy, a także mógł być zamieszany we wrabianie Stewarta Delorama. Oczywiście, że nie mam pojęcia, jaki mo... tyw mógłby go popchnąć do tak okropnych zbrodni”.

Earl wstał i zaczął spacerować po gabinecie, sfrustrowany ponad wszelką miarę i gotów na wszystko.

Usiadł ponownie, sięgnął po telefon i zadzwonił na komórkę Janet.

Wciąż wyłączona. Numery Thomasa również pozostały głuche.

Burza uderzyła w dom z nową siłą, a deszcz jeszcze zaciekłej zabębnił o szyby. Nerwy Earla nie mogły być bardziej napięte.

Wybrał numer 911.

- Dobry wieczór, mówi doktor Earl Garnet, szef od działu ratunkowego St Paul's Hospital. Chciałbym prosić o pewną przysługę...

Bezczelnie posługując się siłą swojego stanowiska, zdołał się połączyć z szefową zmiany i spytać, czy nie było zgłoszenia wypadku drogowego na odcinku szosy lub na ulicach, którymi Janet mogła wracać ze szpitala.

• Pan rozumie, że to wbrew przepisom? - odpowiedziała policjantka, nie kryjąc irytacji.

• Bardzo proszę, żona spóźnia się już ponad godzinę i umieram ze strachu.

Zdaje się, że udało mu się wyrazić głosem całą desperację.

- Chwileczkę, doktorze, sprawdzę.

Czekał, słuchając własnego oddechu wzmocnionego przez słuchawkę. Kiedy rozległo się kliknięcie, zamarł.

- Mamy dość ciężką noc, ale z wymienionych przez pana okolic nie mieliśmy żadnego zgłoszenia.

Ulga trwała bardzo krótko i ustąpiła jeszcze więk-

377

szemu niepokojowi. Więc gdzie ona się podziewa, u diabła...

- Dziękuję - powiedział i przerwał połączenie.

Może powinien poszukać jej na własną rękę? Podczas takiej burzy mogła się zgubić i zatrzymać tam, gdzie nikt by jej nie wypatrzył. Po obu stronach szosy ciągnęły się rozległe połacie parków.

Earl spojrział na zegarek. Dochodziła północ. Najwyższy czas ruszyć w drogę. Ale jeśli to nie był wypadek...

Earl spojrział na ekran komputera i narastający strach zmroził mu krew w żyłach.

Jeżeli spóźnienie Janet miało coś wspólnego z serią zabójstw, to czy miało też jakiś związek z jej szczerą rozmową z J.S.? Bo J.S. mogła ostrzec tego, kogo próbowała chronić...

O Boże!

Earl skoczył na równe nogi.

Taki pomysł nie przyszedłby mu do głowy, gdyby nie to, że żywił pewne podejrzenia względem tego człowieka. Nie, to niemożliwe, pomyślał ze zgrozą.

Ale podejrzane.

Drżącą ręką sięgnął do klawiatury i załadował do pamięci grafik dyżurów kapelanów. A potem, z jeszcze większym lękiem, wpisał imię i nazwisko: JAMES FITZPA-TRICK.

Współczynnik zgodności sięgał osiemdziesięciu procent.

Earl poczuł w żołądku lodowatą pustkę.

Spokojnie, to jeszcze nic nie znaczy, bo Jimmy pracuje praktycznie bez przerwy, zwłaszcza nocami. Nie bez powodu niektórzy rezydenci nazywali go Księciem Ciemności. Jakiegokolwiek grupowanie danych w wypadku tak szczególnym po prostu nie miało sensu.

Ale bystry zabójca mógł liczyć właśnie na to.  
A co z motywem? Dlaczego ktoś taki jak Jimmy miałby zabijać pacjentów?

378

- O Boże - powtórzył Earl, tym razem na głos. Odpowiedź zawierała się w jednym słowie: ból.  
Zadzwoił do szpitala Jo komórki odpowiedzialnej za przywoływanie personelu.

- Czy możecie zlokalizować Jimmy'ego Fitzpatricka, proszę?
- Może pan nie uwierzy, doktorze, ale na dzisiejszy wieczór wziął wolne. Wyszedł pół godziny temu. Mogę połączyć z jego zmiennikiem...
- Nie, to nie będzie konieczne.

Earl wybrał numer komórki Jimmy'ego.  
Wyłączona.  
Zadzwoił na oddział intensywnej opieki medycznej.

- Czy Jimmy Fitzpatrick pokazał się dziś u J.S.?

- Tak, mniej więcej czterdzieści pięć minut temu. Earl zeszytywniał.
- A czy mogę z nim porozmawiać?
- O, nie, wyszedł pół godziny temu. Cholera.
- A co u J.S.? Wszystko w porządku?
- Oczywiście. Wreszcie zasnęła, ale i przedtem było dobrze...
- A parametry życiowe? Nadal jest monitorowana?
- W tej chwili patrzę na ekran. Ciśnienie, tętno, oddech... wszystko w porządku. - Pielęgniarka była coraz bardziej zdziwiona. - Czy coś się stało?
- Proszę, niech pani zajrzy do niej osobiście. Proszę sprawdzić, czy można ją obudzić.
- Co takiego?
- Proszę to zrobić.

Rzucił słuchawkę i wyjął z kieszeni wizytówkę, **którą** dała mu Lazar.  
Policjantka zgłosiła się po pierwszym sygnale.

- Moja żona zaginęła — powiedział Earl. - Możliwe, że ma to związek z morderstwem Stewarta. - Miał wrażenie, że jego głos płynie z bardzo daleka.

379

Pięć minut później chwycił wielką latarkę i zostawiwszy zdumioną Annie w gabinecie z czajniczką w ręku, z rykiem silnika odjechał. Stróże prawa porządku w Buffalo obiecali mu tylko tyle, że zawiadomią go, jeśli ktoś zgłosi wypadek z udziałem Janet. Ani biuletynu informacyjnego do wszystkich posterunków, ani poszukiwań, ani czujnego oka na samochód, który wiozł ją Bóg jeden wie dokąd.

Przejechał przez kolejne uliczne jezioro, uważnie rozglądając się na boki. Miał żałośnie prosty plan: zbadać każdy metr chodnika i pobocza między domem a szpitalem. Szukać tak długo, aż znajdzie Janet. A jeśli nie znajdzie — rozszerzyć obszar poszukiwań.

Przyspieszył na drodze dojazdowej do szosy i zobaczył przed sobą wielką, ciemną połąć, na której z rzadka tylko jarzyły się światła awaryjne, niczym strzępy fluorescencyjnej piany na czarnym oceanie. W oddali dostrzegł większe budynki stojące w centrum miasta, odznaczające się bladobłękitną poświatą, jak nadbrzeżne słupy graniczne. Przestrzeń, która go od nich dzieliła, była w istocie mrocznym, trzydziestokilometrowym labiryntem ulic, parków i rowów. Jeżeli wcześniej miał nadzieję na odnalezienie Janet, to teraz rozplynęła się ona w ogromie tej ciemnej przestrzeni. Earl poczuł w kościach trupi chłód.

## Rozdział 18

Dreszcze miały ją nieustannie.

Wstrząs i chłód systematycznie odbierały jej siły, aż wreszcie mogła już tylko leżeć w ciemności. Skurcze nadchodziły teraz jeden po drugim. Ledwie zdołała odetchnąć po jednym, już zaczynał się kolejny. Zresztą na taki ból nie umiałyby się przygotować

Wcześniej, gdy przerwy były dłuższe, próbowała jeszcze otworzyć drzwi albo rozerwać dach. Szyby zostawiła w spokoju; nie zmieściłaby się w żadnym z okien.

Teraz jednak ucieczka nie była możliwa żadną drogą. Nie miała już siły, by próbować. Całą siłę woli zużywała na to, by zachować świadomość w krótkich przerwach między skurczami.

Ten, który nadszedł teraz, wydawał się silniejszy od wszystkich poprzednich. Objął cały brzuch i krocze; spiął je żelazną pięścią, grożąc przedwczesnym wypchnięciem dziecka z jej macicy. Jej krzyki zaczynały się jako pisk, a potem stopniowo zmieniały się w wycie wściekłości bo czuła właśnie wściekłość z powodu nienaturalności tego, co spotkało ją i dziecko i co było gorsze od samego bólu. Nie były to normalne skurcze macicy - crescendo napięcia mięśniowego, stopniowe napieranie główki płodu na wejście do kanału rodnego, powolne rozwieranie szyjki i wreszcie urodzenie dziecka. Były to brutalne konwulsje, grożące zmiążdżeniem delikatnej główki i kończyn, uciśnięciem pępowiny, która dostarcza krew i tlen dla dziecka, pęknięciem błon płodowych, a może nawet pęknięciem

381

macicy, które oznaczałyby śmierć i dla niej, i dla nienarodzonego syna.

Wiła się więc w bólu, w jednej chwili zbuntowana i gotowa trwać, walczyć i zwyciężyć, a w następnej owładnięta rozpaczą. Lecz nawet w takich chwilach wołała wykrzykiwać wszystkie znane sobie przekleństwa, niż płakać z bezsilności.

Skurcze rozdzierające jej ciało wciąż przybierały na sile.

- Jak to możliwe?! - wrzeszczała z bólu i zaklinała się, że prędzej szlag ją trafi, niż się podda. Była przecież lekarzem, doktor Janet Graceton, ofiarowała dobrodziejstwa współczesnego położnictwa tysiącom kobiet i nie zamierzała zakończyć swej drogi tu, w błocie i ciemności, umierając wraz z dzieckiem.

Gdy ból osiągnął apogeum, wróciła jej pamięć.

Jechali wolno drogą ekspresową, w miejscu, gdzie graniczyła z campusem Buffalo University, a więc w otoczeniu parków, z rozsianymi tu i ówdzie kępami drzew. Ulewa była tak silna, że niewiele widzieli za szybą wozu. W drodze do szpitala Thomas prowadził zbyt agresywnie, teraz natomiast jechali najwolniej jak się dało, może nawet niepotrzebnie aż tak wolno. Janet nie komentowała jednak tempa podróży; przez całą drogę wyjaśniała Thomasowi, dlaczego Earl uważał, że Stewart został zamordowany. Rozmawiali też o tym, że metodą grupowania można będzie ustalić, kogo próbuje kryć J.S. Lecz nagle, gdy wjechali nad mały wąwóz, którym płynął płytki potok, wóz przyspieszył gwałtownie.

- Co ty wyrabiasz? - krzyknęła Janet. Jeśli nie zawołała jej pamięć, pomyślała nawet, że stopa Thomasa musiała się zaklinować przy pedale gazu.

A jednak nie jechali szybciej niż sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, gdy zjechali z drogi i uderzyli w drzewo. Bezwładność cisnęła ją w przód, ale nie pozbawiła przytomności. Poduszka powietrzna po stronie pasażera nie otworzyła się — bo i nie mogła się otworzyć

382

w dziesięcioletnim samochodzie. Karoseria i rama uległy natomiast kontrolowanemu zgnieceniu, ratując oboje przed niechybną śmiercią. Szyby ze specjalnego szkła zmieniły się na oczach Janet w nieprzezroczyste mozaiki i w tej samej sekundzie zgasły wszystkie światła.

Siedziała tak oszołomiona, słysząc, że Thomas odpina pas.

- Co się stało? - spytała.

Nie odpowiedział.

Poczuła, że wyciągnął ręce w jej stronę. Myślała, że chce jej pomóc.

Do czasu, aż ręce pochwyciły jej głowę i kilkakrotnie uderzyły nią o boczną szybę.

## Czwartek, 17 lipca, 0.20

Earl starał się nie przyspieszać - zdarzało mu się już przejeżdżać przez myjnię automatyczne, w których widoczność była znacznie lepsza - ale wolne tempo jazdy dawało mu zbyt wiele czasu na wyobrażanie sobie najgorszych scenariuszy. Strach skręcał mu żołądek, a przecucie najgorszego ścisłało pierś. Wolał nie myśleć, co zobaczy w którymś z nieoświetlonych rowów przy drodze albo z następnym ostrym zakrętem. Dopóki jechał, baczenie przyglądając się poboczom, udawało mu się jakoś zapomnieć o wizji zmasakrowanego ciała Janet.

Jednocześnie wciąż powtarzał sobie jedno: to na nic, to na nic, to na nic!

Mimo burzy pokonał trasę do szpitala w rekordowym czasie, jednocześnie rozglądając się za samochodem Janet. Nigdzie go nie było. Próbował odsunąć od siebie myśl, że przegapił właściwe miejsce; wmawiał sobie, że musiały zostać jakieś ślady, że wypatrzy je w powrotnej drodze, bo przecież niepodobna wjechać samochodem do parku nie ryjąc trawy i nie łamiąc krzewów.

383

Teraz jednak, gdy pokonał trzy czwarte drogi powrotnej, musiał spojrzeć w oczy tej samej prawdzie, która tak go przytłoczyła, gdy po raz pierwszy wyjeżdżał na szosę.

Gdyby samochód wpadł w poślizg, zaczął koziółkować i zsunął się z drogi w terenie zabudowanym, ktoś już dawno by go zauważył, nawet jeśli nie działały latarnie — przecież wylądowałby w czyimś ogródku. Ale tam, gdzie wzdłuż szosy ciągnęły się głębokie rowy, a dalej trawa, krzewy i drzewa, panował absolutny mrok i każdy, nawet on, mógł nie zauważyć niewielkiego samochodu. Nie dostrzegłby też rozjeżdżonej trawy ani połamanych gałęzi, które i tak sterczały na wszystkie strony, szarpane wichrem i ciężkie od deszczu.

Co gorsza, jeśli ktoś prowadził nieczystą grę i komuś bardzo zależało, by ukryć wóz i ciało Janet, szanse na jej odnalezienie w tych warunkach spadały do zera. Earl całą siłą woli próbował odsunąć od siebie tę myśl; kiedy tego nie robił, miał przed oczami obraz zmasakrowanych kobiet, które trafiały czasem na jego oddział.

Próbował też analizować swoją teorię na temat Jim-my'ego, a im dłużej to robił, tym mniej wydawała mu się spójna i tym więcej było w niej dziur. Wszystko rozbijało się o kwestię motywu. Dlaczego na przykład ksiądz miałby wrabiać Stewarta, przy okazji zabijając niewinnych ludzi? Instynkt nie pozwalał Earlowi uwierzyć, by taki człowiek jak Jimmy był w stanie skrzywdzić Janet.

Kilka razy wysiadał z vana i zjeżdżał w dół po skarpie, by się rozejrzeć w szczególnie gęstych zaroślach, ale deszcz bardzo poważnie ograniczał widoczność i dosłownie wszystko - mokre liście, lodygi, pnie i źdźbła - lśniło w świetle latarki jak polerowana stal.

Jechał więc dalej, przemoknięty do nitki i chory ze strachu, intensywnie przełykając ślinę, by pohamować torsje. Wreszcie zobaczył przed sobą pulsujące światło w kolorze ognia i po chwili zbliżył się do zapory z baterią migających, pomarańczowych lamp, wyznaczających miej-

384

sce, w którym zatrzymało się kilka ciężarówek z podnośnikami hydraulicznymi. W świetle paru mocnych latarek dostrzegł też grupę mężczyzn w kaskach, zawieszonych na wysokim słupie z płątaniną zerwanych przewodów. Ubrani w pomarańczowe kombinezony przypominali artystów z trupy Cirque du Soleil. Zatrzymał wóz i wysiadł.

- Panowie, może któryś z was widział miejsce wypadku z udziałem mazdy, zielonego kabrioletu? - zawołał, przykładając dłonie do ust, żeby usłyszeli go mimo szumu ulewy i gwaru zniekształconych trzaskami komunikatów nadawanych przez krótkofalówki.

- Nie, kolego, bo poza tobą nikt nie jest taki głupi, żeby wychodzić z domu - odkrzyknął jeden ze speców pracujących wysoko na słupie.

Przyjemniaczek, pomyślał Earl. Kilku techników zaśmiało się głośno. Earl zacisnął pięści i podszedł do najmniej zapracowanego z nich, domyślając się, że to kierownik brygady.

- Posłuchaj mnie, dupku. Szukam mojej żony. Powinna



być w domu od paru godzin i w tej chwili naprawdę nie mam nastroju na głupie żarty. - Mówił na tyle głośno, by słyszeli go przynajmniej ci, którzy pracowali na ziemi. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął wizytówkę i wcisnął ją do ręki kierownikowi ekipy. - Tu jest numer mojej komórki i numer na oddział ratunkowy St PauFs, gdzie pracuję. Pytajcie o szefa. Jeżeli ktoś wam wspomni o zielonej mazdzie kabrio, chcę o tym wiedzieć. Rozumiemy się?

Kierownik zmarszczył czoło. W zmiennym świetle pomarańczowych lamp sygnalizacyjnych na jego tłustych policzkach widać było sieć purpurowych żyłek, pamiątkę po latach picia i zbyt mroźnych zimach.

- Naprawdę jest pan szefem w Saint?

Jego podwładni również wyglądali na przejętych. Earl skinął głową. Wiedział, że popisywanie się własnym statusem podziała wychowawczo na takich jak oni.

385

Nie zamierzali przecież wkurzać człowieka, od którego mógłby zależeć ich los, gdyby pewnego dnia wysokie napięcie przysmażyło im tyłki.

Kierownik brygady już nie miał skwaszonej miny; był teraz nieomal usłużny.

- Jasne, panie doktorze. I przepraszam za ten żart.

Chłopcy są dziś wyjątkowo zestresowani, to przez tę burzę i w ogóle. Od Cleveland do Falls, wszędzie poszły transformatory.

Earl jeszcze przez chwilę postął w milczeniu, na tyle długo, by i najwięksi mądrze z brygady zaczęli się martwić: może szef oddziału ratunkowego jest wyjątkowo pamiętliwy? Gdy uznał, że są już wystarczająco zmotywowani do zawiadomienia go, gdyby zdobyli jakiegokolwiek przydatne informacje o zielonej mazdzie, jeszcze raz skinął głową i ruszył w stronę samochodu.

- Powodzenia w poszukiwaniach! — zawołał za nim jeden z monterów.

- Niech się pan nie martwi, będziemy się rozglądać! — dorzucił inny. - A przed świtem latarnie powinny działać.

- I niech pan uważa na siebie! - dodał kierownik, po czym wskazał ręką na daleką poświatę na horyzoncie; na dzielnicę Earla, gdzie nie brakowało prądu. - Jadąc stamtąd, znaleźliśmy w paru miejscach zerwane kable, wciąż pod napięciem. Wisiały na drzewach, niektóre tuż nad ziemią. Niech pan uważa, na wypadek gdybyśmy któryś przegapili.

Półtora kilometra dalej Earl wjechał do najobszerniejszej, lesistej części parku: trzystuakrowego pasa zieleni należącego do uniwersytetu. Ściana wody spływająca po szybach samochodu ograniczała widoczność praktycznie do zera; nie było widać ani asfaltu przed maską, ani tym bardziej skarp po obu stronach drogi. Earl włączył więc światła awaryjne, zjechał na boczną drogę i ustawił vana tak, by mocne reflektory drogowe oświetliły fragment pasa trawy poniżej szosy oraz okalające go zarośla.

386

Ulewa ograniczyła zasięg potężnych lamp do nieco ponad stu metrów. Dalej stożki światła po prostu rozpraszają się w mroku.

Earl zaciągnął ręczny hamulec i zostawił włączony silnik, by nie rozładować akumulatora. Zabrawszy ze sobą latarkę, ruszył dalej pieszo.

Deszcz zacinał prosto w twarz i ściekał zimnymi strumieniami pod i tak przemoczone już ubranie. Potoki chłodziły jego plecy, piersi i brzuch, zatrzymywały się na moment tuż nad paskiem spodni, po czym płynęły nogawkami dalej, by z chłupotem wylewać się z butów. Schodząc ze skarpy, zapadał się w miękką grunty i ślizgał co kilka kroków na mokrej trawie; skórzane podeszwy nie spisywały się zbyt dobrze w tych warunkach.

Powietrze zdążyło się już schłodzić na tyle, że każdy oddech zamieniał się w obłoczek pary i lśnił efektownie w świetle latarki. Earl nie czuł jednak zimna, rozgrzewał go wysiłek.

Postanowił, że w razie potrzeby będzie przestawiał wóz co sto metrów, aż przemierzy na piechotę

cały ten przeklęty park, aż do brzegów Ellicott Creek.

## Rozdział 19

Kłęczałem w ciemności i obserwowałem. Nie widziałem jednak zbyt wiele. Przede wszystkim więc nasłuchiwałem i czekałem. Deszcz łaskotał moją skórę, wystrzajac zmysły.

Gdybym tylko zdołał wyjść zwycięsko z tej sytuacji, byłbym czysty. Myślałem o tym z niedowierzaniem, lecz i sama myśl przynosiła oszałamiającą ulgę. Obsesja, która prześladowała mnie przez pół życia, wreszcie zostałaby pokonana. Przepaść, którą ze sobą przyniosła, zostałaby zasypiana. Głód - zaspokojony. Tak długo wydawała mi się niezwykczona, spleciona z moją psychiką jak złośliwy nowotwór. Nie mogłem uwierzyć, że wreszcie się jej pozbędę. Ale tak naprawdę osiągnąłem to już wtedy, gdy założyłem tę pętlę na szyję Stewarta Delorama, gdy ustawiłem go na krawędzi stołka, zniszczonego i skazanego na śmierć przez powieszenie... Osiągnąłem to i jeszcze więcej. Bo w przeciwieństwie do Jerome'a, który stawił czoło śmierci z odwagą i determinacją, Deloram wrzeszczał i szlochał. Czy wymienił też imię Jerome'a i błagał o wybaczenie tą swoją bełkotliwą mową? Chciałem w to wierzyć, ponieważ byłaby to spowiedź - niespodziewana premia - czyniąca egzekucję jeszcze doskonalszym widowiskiem.

Zacząłem drzeć, nie z zimna, ale pod wpływem świeżych wspomnień.

Mój plan polegał początkowo na tym, by pozwolić Deloramowi cierpieć z powodu zniszczonej reputacji tygodniami, a może i miesiącami. Może sam odebrałby sobie życie,

388

tak jak Jerome? Ale wkrótce zrozumiałem, że nie mogę sobie pozwolić na to czekanie, nie wtedy, gdy trwają już te przeklęte analizy, grupowania... Jednak i ten akt sprawiedliwości, którego dokonałem, wymykając się cichcem z piwnicy i zostawiając tego nędznego tchórza, żeby szczał w mękach, ciemności i samotności, napełnił mnie cudownym spokojem, jaki miałem nadzieję poczuć. Przeniknął wszystkie moje blizny, aż do tej rany, która otworzyła się we mnie listopadową nocą tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Przeniknął i zamknął ją. W tym momencie spektakl z dygocącym na palcach, walczącym o każdy oddech, płaczącym Deloramem w roli głównej stał się objawieniem i uzdrowieniem, usunął niszczące koszmary, które prześladowały mnie od czternastu lat.

Pomyślałem też o wiejskim domu otoczonym ogrodem i zielonymi wzgórzami, gdzie zniszczona kobieta, która się nigdy nie podniosła po stracie Jerome'a, spędzała większość swoich dni na własne życzenie za zamkniętymi okiennicami, otoczona opieką mojej ciotki.

Być może i ona znalazłaby wreszcie pociechę teraz, gdybym zakończył jej długie oczekiwanie na zemstę. Ale wiem, że i tak chciałaby poznać każdy szczegół mojej relacji, nalegałaby, żebym pozwolił jej „posmakować, poczuć, zobaczyć, usłyszeć i dotknąć” tego, jak zniszczyłem zabójcę Jerome'a. Zawsze twierdziła, że jej oczyszczenie nie będzie kompletne, jeśli nie doświadczy każdego etapu osobiście, na przykład poprzez moje opowiadanie.

Miałem niewiele czasu na rozkoszowanie się takimi wizjami. Spoglądając w stronę samochodu Janet, nawet mimo burzy mogłem usłyszeć wątłe echo jej krzyków. Zdecydowanie zaczęła już rodzić. Heparyna musiała spowodować krwotok. Podąłem ją dożylnie, wprost do rany, żeby nikt nie znalazł śladu nakłucia. Nikt też nie wpadnie na to, by przeprowadzić analizę toksykologiczną. Znajdą ją wykrwawioną w następstwie tragicznego porodu przedwczesnego wywołanego urazem powypadkowym. Natural-

389

nie będę w pobliżu, by manipulować interpretacją faktów. Skieruję myśli wszystkich we właściwą stronę.

Zacisnąłem dłoń na łyżce do opon, którą wyjąłem z bagażnika samochodu. To ona posłużyła mi do wyłamania klamki, zablokowania zamków i wygięcia zatrzasku spinającego dach w taki sposób, by nie dał się już otworzyć. Musiałem zadbać, żeby Janet nie uciekła. Ale wiedziałem, że Garnet będzie jej szukał i wkrótce ją znajdzie. Był człowiekiem czynu, nie zniósłby biernego czekania w domu na

złe wiadomości. Liczyłem na to, ponieważ nie miałem już innego wyjścia: musiałem uciszyć i jego. Miał talent, bardziej niż ktokolwiek inny, do wyjaśniania takich spraw. Nigdy nie uwierzyłby, że Janet umarła z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Wiedziałem też, że niełatwo będzie go zabić.

Uniosłem łyżkę w prawej ręce i zamachnąłem się energicznie. Groźny świst przebił się przez szum deszczu. Właśnie takiej siły ciosu potrzebowałem.

Uniosłem głowę i spojrzałem w stronę szosy. Wpatrywałem się w pejzaż, którego z tej odległości nie mogłem dostrzec, wyobrażając sobie skarpe. Od czasu do czasu drogą przejeżdżał samochód osobowy albo ciężarowy. Odgłosy silnika i opon tonęły w szumie ulewy, ale reflektory płynące przez mrok jak latające talerze pozwalały mi przypomnieć sobie ukształtowanie terenu.

Nie było mowy o tym, by ktokolwiek mógł pośliznąć się tu i umrzeć. Musiałem więc upozorować jeszcze jeden bardzo wiarygodny wypadek, po którym wszyscy byliby zgodni: Earl zmarł z powodu ciężkiej rany głowy, a zranił się, próbując ratować Janet. W tej chwili jednak nie miałem jeszcze planu, na czym miałyby polegać ten jego „wypadek”.

Ważny był element zaskoczenia.

Miałem nad Garnetem pewną przewagę.

Nie miał przyjechać tu jako ten chłodny, racjonalny, nawykły do kierowania dużym zespołem specjalista. Wie-

390

działem, że Earl będzie w panice szukał i ratował Janet, nie dbając specjalnie o swoje bezpieczeństwo.

Spojrzałem na drzewo, w które uderzył samochód. W ciemności ledwie mogłem je dostrzec. W ogóle nie widziałem ziemi u jego podnóża. Przypuszczałem jednak, że Earl będzie miał ze sobą latarkę. A skoro tak, to wypatry na trawie swego ulubionego rezydenta i zatrzyma się, żeby mnie zbadać. Przekona się, że żyję, tylko jestem nieprzytomny. Pospieszy więc w stronę samochodu, żeby poszukać Janet. Bez trudu zajdę go od tyłu, uzbrojony w łyżkę do opon.

Ale co potem?

Kiedy go powalę, jak go zabiję i jak to wyjaśnię?

Wciąż tego nie wiedziałem.

Raz jeszcze spojrzałem w stronę drogi.

W tej chwili była pusta. Kolejny plus - nikt nie zobaczy tego, co się wydarzy tu, w ciemności.

Patrzyłem i patrzyłem, wyobrażając sobie teren między szosą a miejscem, w którym stałem.

Próbowałem wymyślić dalszy ciąg tej sytuacji, ale bezskutecznie.

Ogarnęła mnie panika. A jeśli nie wymyślę niczego na czas? Garnet mógł tu być lada chwila!

Raz zasiane wątpliwości zaczęły mnożyć się we mnie jak komputerowe wirusy. Wkrótce byłem już pewny: wszystkie moje plany, wszystkie postępy zakończą się katastrofą, właśnie tu, gdy spróbuję zrobić ostatni krok.

Krzyki od strony rozbitego samochodu były coraz cichsze. A może to deszcz się nasilił? Jego szum i bębnienie dezorientowało mnie; monotony odgłos był równie wszechobecny jak ta ciemność, w której nie znajdowałem żadnego punktu odniesienia. Poczucie kierunku opierałem już tylko na tym, że czułem pod stopami twardy grunt. Stałem w rozkroku, żeby nie stracić równowagi.

Nawet czas płatał mi figle. Gdy tak stałem, szukając sposobu na rozprawienie się z Garnetem, minuty ciągnęły się w nieskończoność. Omal nie wyczerpałem baterii w ze-

391

garku, co chwilę włączając podświetlanie tarczy. Może źle oceniłem sytuację i Earl wcale się tu nie pokaże?

Wreszcie poza linią krzewów pojawiła się biała poświata reflektorów, a zaraz potem usłyszałem wolno jadący samochód. Układ przednich i tylnych świateł wskazywał, że to van. Wóz zwolnił jeszcze bardziej i po chwili zatrzymał się pod kątem do szosy, kierując długie światła na pobocze. Ku mojej uldze, snop światła nie przebił gęstwiny dalej niż na sto metrów. Wnętrze vana rozjaśniło się, gdy kierowca otworzył drzwi. Właśnie wtedy zobaczyłem, że to Garnet. Jego wysoka postać stała się po chwili tylko ciemną sylwetką na tle reflektorów. Zaczął schodzić po skarpie, z latarką w dłoni.

Widok człowieka, który był moim nauczycielem i który wkrótce miał zginąć, przyprawił mnie o żywsze bicie serca. Zadrzałem.

Ta sama fala adrenaliny przyniosła mi plan, którego potrzebowałem, by wyjaśnić śmierć Earla Gameta.

## Rozdział 20

Krople deszczu kłuły twarz Earla. Mokre ubranie lepiło się do ciała. Ale nie czuł tego. Czuł wyłącznie przeszywający, lodowaty strach, że odnajdzie Janet martwą. Jeśli w ogóle ją odnajdzie.

Tak czy inaczej, odpowiedź miał znaleźć w tej części parku, którą miał przed sobą. Jeśli tu nie było jej samochodu, nie wiedział, gdzie jeszcze mógłby szukać.

Rozmięta ziemia już dawno zabarwiła jego buty na czarno, włącznie ze sznurowadłami. Wchodząc między drzewa, wypatrywał luźno wiszących kabli energetycznych, ale w tak śliskim terenie mógł równie dobrze nadepnąć na taki. Doświadczenie w leczeniu poparzonych prądem nauczyło go, że bezpieczniki nie zawsze wyłączały napięcie w zerwanych liniach, choć powinny.

W tej chwili jednak kierowała nim przede wszystkim desperacja: musiał odnaleźć Janet. Mimo śliskiego podłoża szedł szybko, wodząc bladym stożkiem światła po nierównościach terenu. Poza tą skromną sferą względnej jasności świat pozostawał mroczny, ziemia i niebo zlewały się w jedno, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był monotony szum ulewy, przerywany jego chrapliwym oddechem.

Stożek światła dosięgnął wreszcie dużego, samotnego drzewa otoczonego wianuszkami czegoś błyszczącego.

Co u diabła?

Puścił się biegiem.

Kawałki szkła zachrzęściły pod jego butami. Ziemia była zryta i nie umiał odczytać z niej żadnych śladów, ale

393

pień wydawał się świeżo otarty, a na korze zostały drobiny ciemnozielonego lakieru.

Z duszą na ramieniu zatoczył krąg snopem światła. Samochodu nie było, ale po lewej dostrzegł coś, co przypominało długi strzęp ubłoconej tkaniny.

O Boże, pomyślał. Podbiegł bliżej, ale wciąż nie był pewien, czy to niegdyś beżowy płaszcz Janet. Jeszcze kilka sekund i zauważył ciemne włosy.

Thomas!

Leżał na boku, z ramionami wyciągniętymi nad głowę - jakby ktoś ciągnął go po ziemi - i z szeroko rozłożonymi nogami.

Earl przykucnął obok niego i dotknął szyi, szukając pulsu. Tętno szyjne pracowało miarowo; może nieco szybciej niż zwykle, ale regularnie i mocno. Schylił się jeszcze niżej i przyłożył ucho do rozchylonych ust Thomasa. Oddech normalny. Uniósł jedną powiekę, potem drugą. Obie źrenice reagowały na światło. Szybkie oględziny tułowia i kończyn przekonały go, że nie nastąpił poważny krwotok zewnętrzny. Tylko ten paskudny siniak na skroni...

Musiało go wyrzucić z samochodu, pomyślał Earl. Tego, czy nie doszło do uszkodzenia kręgow szyjnych i czy rdzeń kręgowy nie został naruszony, nie mógł ustalić bez szczegółowego badania. Najważniejsze było to, żeby nie ruszać rannego, póki głowy nie unieruchomi specjalny kołnier.

Ale gdzie Janet? Gdzie samochód? Earl rozejrzał się z rozpaczą, kierując światło we wszystkie strony po kolei.

Błysk mokrej trawy, liści, krzaków. Wóz musiał zsunąć się dalej, pomyślał. Zaczął biec w tę stronę.

- Janet! - Deszcz stłumił jego wołanie.

Jeszcze trzydzieści metrów i gdzieś po prawej w snopie światła błysnął czerwony plastik światła hamulcowego. Skręcił w jego stronę i zobaczył jej samochód leżący na boku pośrodku strumienia. Podwozie z pogiętych prętów, rur i przewodów błyszczało jak ciasno upakowane, świeżo wyprute wnętrze.

- Janet!

Skurcz w żołądku był już tak silny, że Earl poczuł w gardle gorzki sok i zakrzuszył się. Obiegł samochód od tyłu i świecąc latarką do wnętrza, zaczął się wspinać po śliskiej skórze, by otworzyć drzwi kierowcy. W środku, na miejscu pasażera, dostrzegł skuloną, nieruchomą postać. Jej nogi spoczywały w wodzie zabarwionej krwią.

Strach, nad którym jeszcze przed chwilą panował, teraz eksplodował w jego piersi. Earl usłyszał własny głos, wykrzykujący imię Janet, ale wydawało mu się, że jego źródło znajduje się gdzieś daleko, w ciemnościach.

Szarpnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Stał obok nich i z całych sił pociągnął obiema rękami. Nawet nie drgnęły. Uderzył obcasem w szybę, która natychmiast pokryła się siateczką pęknięć.

Zrzucił z ramion kurtkę, owinał ją wokół pięści i wybił małą dziurę. Nie chcąc, by szkło posypało się w dół, na Janet, wsunął ramię w otwór i uderzył od środka. Fontanna drobniutkich odłamków trysnęła na zewnątrz. Potrzebował kilku uderzeń, by oczyścić prawie całe okno.

Ale kiedy sięgnął do wewnętrznej klamki, przekonał się, że jest odłamana. Był bliski rozpaczy. Używając latarki, powybił resztki szyby na obrzeżach okna i wsunął się do środka, próbując dosięgnąć Janet.

Leżała nieruchomo, z głową bezwładnie spuszczoną na piersi, więc nie mógł dostrzec jej oczu. Sądząc po cerze w świetle latarki, była martwa.

Earl sięgnął wreszcie do jej lewego ramienia, pociągnął je w górę, jakby w mimowolnym pozdrowieniu, i przeraził się, dotknąwszy zimnej i lepkiej dłoni.

- O Boże, proszę, nie! - powtarzał, nerwowo szukając pulsu.

Ręka Janet była przeraźliwie zimna i nieruchoma.

Wcisnął się jeszcze trochę głębiej, ale utknął biodrami w ramie okna. Wcisnął latarkę między fotele i delikatnie pociągnął Janet ku sobie.

- Proszę, proszę, proszę... — szeptał, przesuwał palce w stronę tętnicy szyjnej.

Puls był słaby i zdawał się trzepotać jak przerażony ptak, może dwa razy szybciej niż powinien, ale był! Na pewno był!

• Janet! Janet! Janet, to ja! - Pochwycił dłońmi jej głowę, by wreszcie spojrzeć w jej twarz. Miała zamknięte oczy, ale jęknęła cicho, a jej ramiona drgnęły i spróbowały go odepchnąć. Światło latarki wywoływało na jej twarzy groteskowe cienie, potęgujące malujący się na niej grymas strachu.

• Już dobrze, Janet. To ja, Earl — powiedział z naciskiem, gorączkowo zastanawiając się, jakie mogła odnieść obrażenia i czy dziecko przeżyło wypadek. Starał się jednak nie okazać strachu. - Wszystko będzie dobrze...

Powieki Janet uniosły się nagle, źrenice rozszerzyły, a usta otwarły do krzyku. Zaczęła okładać go pięściami.

-Janet! To ja, Earl! Earl!

Zamarła i tylko jej oczy strzelały niespokojnie na boki. Earl zastanawiał się, czy w ogóle go widzi.

• Earl? - powtórzyła. Miał wrażenie, że słowo to wydobyło się z głębi jej piersi, wraz z od dawna wstrzymywanym oddechem.

• Tak! Zaraz cię stąd wyciągnę...

• Ale dziecko...

• Wszystkim się zajmę. Nasz syn też będzie cały i zdrowy.

• Nic nie rozumiesz. - Jej drżący głos był prawie tak cichy jak szept.

Earl był pewien, że rozumie aż za dobrze; widział przecież kałużę krwi między jej nogami.

- Muszę znaleźć coś, czym da się otworzyć dach, wtedy cię wyciągnę.

Delikatnie wypuścił z rąk jej głowę i zaczął się wić, stopniowo unosząc się z powrotem ku górze.

- On już tu jest.
- Co? Kto tu jest?

396

Sięgnęła w dół, gdzie ubranie sfałdowało się na jej brzuchu.... a przynajmniej tak się zdawało Earlowi. Ale Janet prostowała nasiąknięte krwią fałdy jedną po drugiej, aż wreszcie odsłoniła okrągłą kałużę czerwonych i purpurowych strzępów, spośród których wystawała charakterystyczna, ciemnoczerwona rurka przewiązana paskami ręcznie rwanego materiału. Koniec rurki ginął gdzieś w dołku Janet i tam właśnie Earl dostrzegł błysk różo-wiutkiego ciała. Patrzył na nie, nie mogąc złapać tchu i wypowiedzieć słowa.

- Poznaj swojego syna - powiedziała, spoglądając na dziecko zawinięte we własne błony płodowe. Kąciki ust Janet uniosły się lekko, może nie w uśmiechu, ale w wyrazie czułości. — Żyje, ale ledwo, ledwo. - Jej głos był tak beznamiętny, jakby emocje uszły z jej ciała wraz z krwią. - Weź go najpierw. Sprowadź mu pomoc. Potem przyjdiesz po mnie. - Spojrzała w górę, na męża, z twarzą tak ściągniętą bólem, że Earl miał wrażenie, że widzi kości jej czaszki. Ujęła dziecko w dłonie, żeby unieść je w górę.

Sparalizowany strachem ojej życie i widokiem dziecka Earl na krótką chwilę zawisł nad nią nieruchomo. Ale jej jasne instrukcje w końcu pchnęły go do działania. Oboje byli dobrze wyszkoleni i nie mieli wątpliwości co do powagi sytuacji. Earl zaczął więc się ze zdwojoną energią, wysuwając się z powrotem przez okno.

- Och, Janet, Janet, Janet - powtarzał półgłosem, przeżywając prawdziwą burzę emocji: smutku, miłości, rozpacz, żalu, przerażenia... Czuł, że traci kontrolę nad sobą.
- Porozrywał mnie. Wciąż mocno krwawię, straciłam mnóstwo krwi — powiedziała Janet tonem tak rzeczowym, że ciarki przeszły Earlowi po plecach. Nie potrzebowali więcej słów; oboje wiedzieli, że śmierć była blisko. - Thomas musiał mi podać coś na wywołanie porodu. Najłatwiej dostępny był pewnie mizoprostol.

Earl zamarł. Wprawdzie pokonał dopiero połowę drogi przez okno, ale najwyraźniej się przesłyszał.

397

- Co takiego?
- Thomas mi to zrobił, Earl. Rozbił samochód. Ogłuszył mnie. Sądząc po tym, jak krwawię, prawdopodobnie podał mi też heparynę.

Jej znudzony, monotony głos sprawił, że słowa te brzmiały tym bardziej nierealnie. Ale nie musiała powtarzać Earlowi dwa razy. Paranoiczne rozmyślenia, które snuł w ostatnich godzinach, trawiony niepokojem, pozwoliły mu już dawno przekroczyć granicę niedowierzania; przyjął jej słowa bez zastanowienia i bez wątpliwości. Wszystko się zgadzało.

- Jezu! - jęknął i ze zdwojoną energią zaczął się wycofywać z ciasnego okna.
- Nie ma go tu od paru godzin. Zostawił mnie, żebym umarła.
- Jest niedaleko, leży na ziemi. Cholera, udawał trupa...
- Co takiego?- Janet była bardzo osłabiona, ale w jej głosie nagle pojawiła się nowa siła. - Musisz go dopaść, Earl! Na miłość boską, zrób to zanim... — Urwała i szeroko otwartymi oczami spojrzała ponad Earlem.

Dopiero gdy wyłonił się do końca z rozbitego okna samochodu, świat nagle eksplodował bielą. Zanim wszystko zgasło, usłyszał jeszcze, jak Janet sięga po nowy zapas sił, żeby krzyczeć.

Stałem nad ciałem Gameta, patrząc na niego spod półprzymkniętych powiek. Deszcz ciał mnie w twarz, a ja przyglądałem się, jak unosi się i opada jego pierś. Zastanawiałem się, czy udaje, czy naprawdę powaliłem go jednym ciosem.

Krzyk Janet uwiecznionej w samochodzie urwał się nagle, jakby umarła. W upiornym świetle latarki

zobaczyłem, jak się kuli i kołysze, mruczając coś pod nosem. Dziwne, że najpierw miała dość siły, żeby tak krzyknąć, a potem nagle umilkła.

398

Ale nikt nie mógł jej usłyszeć, nie podczas takiej ulewy, pomyślałem, oglądając się w stronę pustej szosy. A nawet gdyby ktoś się tam zjawił, nie zauważyłby nas. Blask świateł wana kończył się na ścianie ciemności, daleko od miejsca, w którym stałem. Ale póki tak stał, z włączonym silnikiem i reflektorami, jego obecność mogła zwrócić uwagę kierowców. Gdyby tak wyłączyć wszystko, udać, że to wóz pozostawiony na poboczu z powodu awarii. Najpierw jednak...

Ręce mi się trzęsły, gdy trzymając łyżkę do opon w pogotowiu, chwytałem bezwładny nadgarstek Gameta i sprawdzałem puls.

Wyczułem opuszkami palców silne pulsowanie tętnicy promieniowej. Garnet był jak najdalszy od śmierci. W dodatku mógł tylko udawać, że jest nieprzytomny.

Wciąż trzymając tę moją broń w pogotowiu - na wypadek cudownego ozdrowienia - chwyciłem Garneta za kostki i pociągnąłem dookoła samochodu, unikając spoglądania w stronę Janet. Wciąż się kołysała, mrucząc cicho, ledwie słyszalnie. Widok ten irytował mnie bardziej niż ten krzyk, który wydała z siebie wcześniej.

Z trudem ciągnąłem Garneta po skalistym dnie strumienia. W głowie odtwarzałem sobie scenę po scenie wszystkie wydarzenia tej nocy, upewniając się, czy zaimprovizowany plan nie ma słabych punktów.

Mój pierwotny plan był solidny jak skała i wcale nie kończył się w tym miejscu, w którym się teraz znajdowałem. Jechałem do Janet i Earla na kolację pewny, że nie mógłbym znaleźć sobie lepszych kompanów na ten wieczór, kiedy Deloram wierzga i dusi się na śmierć w swojej piwnicy. Gdyby ktoś wreszcie go znalazł i policja obwieściła światu jego samobójstwo, nikt oficjalnie nie podejrzewałby szwindlu. Ale Garnet i Janet mogliby mieć jakieś wątpliwości co do tego werdyktu i dlatego wołałem być przy nich. Na ich użytek udawałem, że tak samo jak oni marzę o zgłębieniu całej tej zagadki. A gdyby Stewart

399

jakimś cudem utrzymał się przy życiu kilka godzin, miałbym żelazne alibi: byłem z nimi w czasie, gdy nastąpiła jego śmierć. Gdyby wszystko zadziało, nikt nie miałby wątpliwości, że było to samobójstwo, a co za tym idzie, dalsze badania statystyczne nie miałyby sensu. Na wszelki wypadek - gdyby coś się miało nie udać - przygotowałem coś jeszcze, ot, żeby mieli się czym martwić.

Lecz Graceton mnie zaskoczyła, odkrywając to, co -jak się obawiałem - wkrótce mogła sobie uświadomić sama J.S.: związek między dyżurami Jane a niespodziewanymi zgonami na paliatywnym. Stąd blisko już było do wskazania na mnie, a na to nie mogłem pozwolić.

Dlatego po kolacji wprowadziłem w życie plan, który pierwotnie miał służyć tylko odwróceniu uwagi: dyskretnie wrzuciłem do dzbanka z herbatą tabletki mizoprosto-lu. Na mnie i na Earla lek ten nie miał żadnego wpływu; mogłem spokojnie improwizować dalej. Najpierw uparłem się, że zawiozę Graceton do szpitala. Chciałem mieć ją na oku i pod kontrolą do czasu, aż wymyślę, co dalej robić. Kiedy jechaliśmy, zobaczyłem, jak rozległe są strefy pozbawione prądu, jaka ciemność panuje wzdłuż drogi, w rejonie Ellicott Creek, oraz — cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! - że Janet nie może już zapiąć pasów bezpieczeństwa. Wszystko to dawało mi sposobność upozorowania wypadku, który ja, w przeciwieństwie do niej, miałem przeżyć. Był to jednak tak rozpaczliwy krok, że nie odważyłem się zrealizować go natychmiast. Dlatego towarzyszyłem Graceton podczas wizyty u J.S., mając nadzieję, że w mojej obecności kobieta, która mnie kocha, nie powie niczego nierozsądnego, nawet jeśli zacznie się domyślać prawdy. Niestety, nie dało się tego tak rozegrać, bo Janet uparła się, że odwiedzi J.S. sama. Gdybym obstawał przy swoim, wzbudziłbym podejrzenia.

Boże, jakie cholerne bagno wynikło z tego wszystkiego!

Wreszcie zaciągnąłem Gameta we właściwe miejsce

400

i położyłem na plecach, stopami prostopadle do podwozia samochodu i twarzą ustawioną tak, by

opadająca mazda zmiądzzyła jego głowę. Stałem nad nim i znowu zadrzałem zdenerwowany, że w pośpiechu mogłem przeoczyć coś, co przyniesie klęskę.

Dokończ tę robotę, pomyślałem, biorąc się w garść, i całym ciężarem napałem na przewrócony samochód. Wymyśliłem sobie, że rozhuśtam go i pozwolę, by opadł wprost na Gameta. Leżąc na boku, wóz wyglądał bardzo groźnie, gdyby więc przewrócił się i zmiądzzył mu głowę, policjanci uznaliby, że Earl sam ściągnął go na siebie, próbując uwolnić Janet.

Tylko że nie mogłem go ruszyć.

Szlag! Musiał się zaklinować na kamieniach tworzących dno strumienia.

Niewiele widząc, pochyliłem się i wymacałem drobne kamienie pod zanurzonym w wodzie kołem. Poczułem, że po chwili jeden z nich zaczyna się ruszać. Wiedziałem już, co mogę zrobić, ale potrzebowałem czasu.

Musiałem też zatrzeć ślady ciągnięcia Gameta po ziemi. Wtedy dopiero mogłem znowu zacząć udawać ofiarę wypadku, szczęśliwie wyrzuconą z koziołkującego pojazdu.

Raz jeszcze zajrzałem do Gameta - nie było to przesadnie kliniczne badanie; po prostu wypłaciłem mu kopniaka, żeby zobaczyć, czy reaguje na ból. Wydał z siebie tylko ciche stęknięcie.

Zabrałem się do pracy łyżką do opon. Wydobyłem pierwszy większy kamień; zostało jeszcze kilkanaście. Usuwając je, wciąż obsesyjnie roztrząsałem wszystkie detale tego, czego już dokonałem, bo byłem pewien, że coś poszło nie tak.

Gdy poszedłem do pokoju lekarskiego, pełen nadziei, że J.S. nie zdradzi mnie przypadkowo, zacząłem się zastanawiać nad bardziej logicznym działaniem. Zaparzyłem herbatę i zaprawiłem porcję przewidzianą dla Graceton tabletkami mizoprostolu - wiedziałem, że najlepszy dla

401

realizacji moich planów będzie nagły, gwałtowny, szybki poród. W jednej z szafek znalazłem też strzykawkę i heparynę - szybko działający środek przeciwkrzepliwy. Wybrałem ją, bo działał natychmiastowo, w przeciwieństwie do warfaryny, którą przez trzy dni dodawałem do lemoniady J.S.

Nie miałem wyboru, musiałem podawać Jane te tabletki. Nie tylko po to, żeby uniknąć konieczności zrobienia jej zastrzyku, ale także dlatego, że zneutralizowanie działania warfaryny trwa wiele godzin i spodziewałem się, że krwotok zakończy się najgorszym. Heparyna natomiast mogła być zneutralizowana w ciągu paru minut, ale w wypadku Graceton nie miało to żadnego znaczenia: zamierzałem zadbać o to, żeby nie trafiła na oddział ratunkowy.

Wszystkie fazy drogowej katastrofy przebiegły perfekcyjnie. Dzięki ciasno zapiętym pasom wyszedłem ze zderzenia z drzewem ledwie z paroma siniakami i obolałą klatką piersiową. Graceton była wprawdzie przytomna, ale mocno oszołomiona i nie stawiała oporu. Potem zaś wystarczyło lekko pchnąć wóz, by stoczył się aż do strumienia.

Moje plany co do J.S. nie potoczyły się tak gładko. Wciąż mogła mnie zdemaskować. Tej nocy jednak byłem spokojny; dostała dawkę środka nasennego. Musiałem tylko wymyślić ostateczne rozwiązanie problemu. A może nie? Może mogłem zatrzymać sobie tę dziewczynę? Nie, ryzyko było zbyt duże. Wkrótce domyśliłaby się prawdy, a ja tylko czekałbym na to z niepokojem. Mój Boże, tak ją polubiłem! A jaką ulgę przynosiła mi w łóżku. Nie chciałem jej skrzywdzić, ale ryzyko związane z pozostawieniem jej przy życiu doprowadziłoby mnie do szaleństwa.

Podważyłem i wyjąłem ostatni kamień, a szarpnięcie łyżki do opon wyrwało mnie z zamyślenia. Miałem nadzieję, że z Earlem i Janet nie popełniłem żadnego błędu. Czy to możliwe? Gdyby udało mi się i to, mógłbym powie-

402

dzieć, że oszukałem wszystkich, i to w każdej ze spraw, które wziąłem w swoje ręce. Taka perspektywa dała mi nową siłę: zaparłem się mocno o podwozie i pracowałem nogami.

Samochód wciąż leżał na boku.

Szybko obejrzałem tylne koło i wyczułem pod nim jeszcze kilka kamieni. Zabrałem się do pracy, ale nie mogłem znaleźć odpowiedniej szczeliny do podłożenia łyżki do opon. Potrzebowałem latarki.

Raz jeszcze sprawdziłem, co u Gameta - ciągle nie reagował na ból - a potem obszedłem samochód, wspiąłem się do wybitego okna i... znieruchomiałem.



Janet spojrzała na mnie oczami pełnymi nienawiści. Ale nie to przykuło moją uwagę. Trzymała przy piersi dziecko okryte krwawymi strzępami błon płodowych. Karmiła je.

Cofnąłem się mimowolnie.

- Oszczędź chłopca - odezwała się zimnym, rozkazującym tonem. - Ja i tak nie przeżyję. Wiem, że Earla też zabijesz, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś. Ale dlaczego nie miałbyś oszczędzić dziecka? - Jej spojrzenie przeszywało moje oczy jak dotyk lodowatych igieł.

Odwrociłem głowę, ale obraz tego dziecka utrwalił się już w moim umyśle. A ona mówiła dalej, głosem tak obojętnym, jakby naprawdę była już trupem.

- Bez względu na to, jaką historyjkę wykombinujesz, ktoś na pewno będzie miał wątpliwości, a wtedy będziesz zgubiony. Ale jeśli uratujesz dziecko, będziesz bohaterem. Nie wzbudzisz podejrzeń.

Próbowałem się wyłączyć, ale jej słowa i tak docierały do moich uszu, do mojej czaszki, do mózgu - i drażniły mnie od środka.

- Proszę! - nalegała. - Błagam. Uratuj mu życie. Kto zakwestionuje czyny bohatera?

Nie przestawała. Prosiła o litość dla swego syna. Nie tak miało to wyglądać.

403

Teraz nawet gdyby mi się powiodło, gdybym wyszedł cało z opresji, nowy koszmar zająłby miejsce starego. Już do końca życia za każdym razem, kiedy zamykałbym oczy, widziałbym tego zakrwawionego noworodka i oskarżycielskie spojrzenie Janet. Więc co takiego właściwie osiągnąłem?!

Cofnąłem się przed tą myślą, spróbowałem ją zanegować, ale nic to nie dało. Pocilem się ze strachu. Wiedziałem już, jaką władzę nad moim umysłem mają umarli, jak rozkładają moją nieświadomość i jak panoszą się w moich snach. Przeciwno nawiedzeniom umierającej matki z dzieckiem nie miałbym żadnej obrony, ponieważ tę zmorę napędzałyby moje poczucie winy, a nie wściekłość na winowajcę. Może i potrafiłem być na tyle twardy, by w miarę bezkrawo pozbawiać życia, ale teraz, gdy widziałem to dziecko, gdy słyszałem błagania Janet... Nie byłoby łatwo zapanować nad wyrzutami.

Chwyciłem latarkę, wysliznąłem się z wnętrza wozu, odwróciłem plecami do tej fatalnej sceny i z pasją zabrałem się do usuwania kamieni.

Pracując, wyłączyłem się wreszcie i już nie słuchałem błagań Janet. Rozpaczliwie próbowałem zapanować nad emocjami.

Uczucia wymykały mi się spod kontroli i musiałem je kiełznać jak dzikie zwierzęta, albo szybko umierały i musiałem je najpierw ekshumować, a potem wskrzeszać, jakbym ożywił nieożywioną materię. Celowałem zaś w klinicznej obiektywności. Dar ten nie tylko przysłużył mi się w karierze medycznej, ale także pomagał ukryć straszliwy chłód. Niedawno zresztą przenieśliem tę obiektywność na wyższy poziom. W ostatnich tygodniach kilka razy toczyłem spór z samym sobą w sprawie słuszności zabijania—jakby to była wyłącznie kwestia logiki. Dlaczego więc nie miałbym przekonać samego siebie i tym razem? Była to wszak tylko kwestia wydzwignięcia mojej obiektywności na jeszcze wyższy poziom.

404

Miałem też inny talent: potrafiłem rozśmieszać ludzi oraz sprawiać, że zaczynali lubić samych siebie. Robiłem to dla nich, żeby nie przyglądali mi się zbyt krytycznym okiem; chciałem chronić moje sekretne „ja”. Szlifowałem więc osobisty czar i dowcip tak, jak niektórzy szlifują swoje umiejętności w grze w golfa. Gdybym i tu wspiął się na wyższy poziom, umiałbym sprawić, że nigdy nikomu nie przyszłoby do głowy myśl, iż potrafiłbym skrzywdzić dziecko.

Ale osobisty czar nie powstrzymałby koszmarów. Możliwe, że nie powstrzymałoby ich nawet uratowanie tego dziecka.

Zmieniłem położenie latarki i zaatakowałem kamienie z taką furją, jakbym walczył o łyk powietrza.

- Thomas, błagam cię, nie morduj mojego syna - nalegała Janet, choć jej głos nikił chwilami w szumie deszczu i chlupocie strumienia.

Ale ja słyszałem jej słowa tak, jakby szeptała je wprost do mojego ucha.

Najpierw Earl usłyszał deszcz.

Zaraz potem poczuł na twarzy jego lodowate strumienie.

Zdołał nawet się nie skrzywić, kiedy Thomas go kopnął.

Niech myśli sukinsyn, że jeszcze się nie ocknąłem, postanowił. Potrzebował czasu, by choć trochę ustąpiło te dwadzieścia migren, które wzbudził w jego mózgu jeden cios łyżką do opon.

Ale wrócił do siebie w błyskawicznym tempie, gdy usłyszał głos Janet.

Uchylił powiekę, by móc obserwować Thomasa, który po jego lewej stronie dźwigał mokre kamienie, niczym rolnik zbierający z pola arbuzy.

Po co to robił?

Nieważne. Earl musiał go pokonać. Cokolwiek jego ulu-

405

bieniec zaplanował dla niego i dla Janet, na pewno miało się to skończyć śmiercią. Dyskretnym ruchem prawej ręki Earl wyszukał odpowiedni kamień, wielkości kuli do gry w kręgle. Mając w pamięci biblijne opowieści, czekał teraz na okazję, by trafić nim w głowę przeciwnika.

Ale Thomas nagle rzucił na ziemię łyżkę do opon, przeszedł na drugą stronę samochodu, zaparł się mocno i pchnął. Cały pojazd zakołysał się nad głową Earla.

• Jasna cholera! - zawołał i usiadł jak na sprężynach, a potem błyskawicznie potoczył się naprzód. W tej samej chwili lewe koła mazdy z hukiem dotknęły ziemi i zanurzyły się w płytkiej wodzie dokładnie w tym miejscu, gdzie Earl leżał przed sekundą.

• Earl! - krzyknęła Janet.

- Jestem cały! - odpowiedział i rzucił kamieniem.

Pocisk musnął ramię Thomasa, który właśnie obiegał wóz.

Earl dostrzegł porzuconą łyżkę do opon i skoczył ku niej.

Dosięgli jej w tej samej sekundzie i przez moment szarpali się tak, jakby to było przeciąganie liny. Earl wytrzymał pierwszych kilka pociągnięć, ale młodszy mężczyzna miał więcej siły i szybko wyrwał broń z rąk przeciwnika. Earl cofał się teraz, unikając potężnych ciosów żelaznym prętem, który ze świstem przelatywał nad jego głową.

Trzy razy. Cztery razy. Kiedyś w końcu Thomas musiał trafić...

I wtedy Earl dostrzegł coś ponad jego ramieniem: kolumnę ciężarówek jadącą na światłach ostrzegawczych. Wozy zatrzymały się tuż za jego vanem i wyskoczyła z nich grupa mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach.

- Pomocy! - wrzasnął ze wszystkich sił. - Pomocy!

Uchylił się po raz piąty i szósty. Cofał się coraz szybciej, ślizgając się i czym prędzej odzyskując równowagę.

- Myślisz, że dam się nabrać na tak głupią sztuczkę,

406

doktorze G.? - spytał Thomas, biorąc zamach do siódmego uderzenia.

W stylu iście hollywoodzkim włączyły się do akcji potężne reflektory, które zniemacka wyluskały walczących z ciemności.

Thomas zasłonił oczy przed blaskiem i jego błada twarz zastygła w grymasie tak strasznego przerażenia, że Marcel Marceau byłby z niego dumny. Zaczął biec w przeciwnym kierunku, szerokim łukiem omijając Earla. Przeskoczył nad strumieniem i rozpoczął wspinaczkę na drugi brzeg, wciąż ściskając w rękę stalową łyżkę.

Earl natychmiast pospieszył do drzwi pasażera i otworzył je jednym szarpnięciem.

- Jedź z dzieckiem — poleciła Janet, oddając mu maleństwo.
- Pojedziemy razem - odparł, otulając dziecko połami kurtki, a potem odwrócił się ku biegnącym od strony drogi postaciom. - Potrzebujemy pomocy! - zawołał do monterów. — Moja żona właśnie urodziła. I niech ktoś pobiegnie za nim - dodał, wskazując na Biggsa, który właśnie zniknął w oddali, na drugim brzegu. - Próbował nas zabić.

Kilku monterów dotarło do brzegu strumienia i się zatrzymało.

- Za nim, mówię! Ucieknie nam! - krzyczał Earl, klęcząc przy Janet i przyciskając do piersi swego maleńkiego synka. Razem patrzyli przez pękniętą szybę, jak Biggs oddala się poza zasięg reflektorów.

- Daleko sukinkot nie ucieknie — oznajmił mężczyzna o żyłkowanych policzkach, zbliżając się do nich.

Parę sekund później łuk elektryczny jasny jak samo słońce eksplodował w ciemności mniej więcej w miejscu, w którym po raz ostatni widzieli Thomasa Biggsa. W jego centralnej części widać było sztywną ludzką sylwetkę o rozciągniętych na boki, roztrzęsionych kończynach. Włosy i ubranie Biggsa zajęły się ogniem, a całe ciało na chwilę zmieniło się w ludzką żarówkę: tkanki stały się węglo-

407

wymi drucikami żarowymi, których blask wystarczyłoby do oświetlenia boiska do baseballa. A potem bezpiecznik w najbliższej stacji wreszcie zadziałał, prąd przestał płynąć i sekundę po tym, jak czarna postać opadła na ziemię, po drugiej stronie strumienia zapadła ciemność.

## Rozdział 21

Z kolejnych kilku godzin Janet zapamiętała tylko urywki.

Słyszała pokrzykiwanie Earla, który przez krótkofalówkę pożyczoną od montera żądał przysłania karetki, inkubatora oraz ampulek protaminy z cynkiem, antidotum na heparynę.

Zdawało jej się, że sanitariusze kładli ją na noszach już kilka sekund później.

Usłyszała strzępy rozmowy na temat reanimacji oraz pobierania organów do przeszczepów.

- Tylko mi nie przywoźcie drania do St Paul's! - warknął Earl.

Chwilę później jechała już w kołyszącej się budzie karetki, a dźwięk syreny unosił się i opadał, zagłuszając szum i pisk opon oraz bębnienie deszczu o dach. Earl czuwał przy niej: ustawił przenośne zbiorniki z tlenem, podłączył kroplówkę z solą fizjologiczną i podał pierwszy zastrzyk na powstrzymanie krwotoku.

- Chcę go potrzymać - powiedziała. Własny głos wydał jej się dziwnie pusty.

Przez resztę podróży tuliła owiniętego kocykiem synka, nie chcąc jeszcze oddawać go do smutnej plastikowej komory. Może to ostatnia szansa, żeby poczuł moje ramiona, pomyślała. Ostрым spojrzeniem skarciła Earla, gdy chciał założyć synowi kontakt dożylny. Uznała, że będzie jeszcze czas na stresowanie go igłami i rurkami.

Ambulans zatrzymał się na podjeździe i tylne drzwi

409

otworzyły się z trzaskiem. Do środka wskoczyły dwie pielęgniarki, które Janet pamiętała z oddziału neonatologii, ubrane w błękitno-różowe stroje w typowo dziecięcych odcieniach.

- Zajmiemy się nim, doktor Graceton - odezwała się starsza z nich, ostrożnie przenosząc drobnego i szczupłego chłopca z rąk matki do inkubatora.

Wygląda jak miniaturowa trumienka, pomyślała Janet, z zalem spoglądając na plastikową klatkę na kółkach.

- Bądź przy nim - poleciła Earlowi, przerywając długi ciąg komend, które w biegu wydawał swym podwładnym.

- Przejmuję Janet - odezwał się znajomy głos. Michael Popovitch stanął u jej boku, z troską w oczach i ze zmarszczkami wymuszonego uśmiechu wokół nich.

Earl spojrział na niego w zdumieniu.

- Przecież powinieneś...
- Wezwali mnie. Idź już.
- Dziękuję.
- Idź.

Earl skinął głową, uściśnął rękę Janet i wyszeptał:

- Kocham cię - a potem wybiegł z sali.
- Ja też dziękuję, Michael - powiedziała cicho. Wszyscy lekarze tego oddziału byli kompetentni, ale niektórzy, tacy jak Michael, wyróżniali się jako „lekarze lekarzy”, rzadko spotykani śmiałkowie, którzy ośmielali się leczyć swych kolegów.

Kiedy podano jej masę erytrocytarną oraz świeżo mrożone osocze, a następnie przewieziono na oddział intensywnej opieki medycznej, jej parametry życiowe ustabilizowały się, a krwotok zaczął ustawać.

Chwilami była przytomna, częściej jednak zapadała w koszmarny sen, w którym znowu była uwięziona w samochodzie i krzyczała do Thomasa Biggsa: „Dlaczego?!”

Na jawie przede wszystkim martwiła się o dziecko. Czy brutalny poród nie wyrządził mu krzywdy? Czy heparyna rozrzedziła jego krew? Czy kombinacja leku i urazu nie

410

doprowadziła do wewnętrznego krwotoku, a zwłaszcza do tego najgroźniejszego, domózgowego?

Na krótko przed świtem znowu się ocknęła. Choć ledwie miała siłę uchylić powieki, zobaczyła Earla, który przy niej siedział. Dotknęła dłoni, którą gładził ją po włosach, tym razem bez rękawiczki. Nawet w słabym świetle lampki widziała, że z jego oczu zniknęły troska i strach.

Widocznie znał już wyniki pierwszych testów i badań i wiedział, że dziecku nic nie grozi.

Ją także opuścił lęk i mogła wreszcie zapaść w przywracający siły, spokojny sen.

### **Dwa dni później, sobota, 19 lipca, 11.10 Oddział neonatologiczny, St Paul Hospital**

- Thomas Biggs był synem Jerome'a Wilchera - zaczął Earl, sadowiąc się na krześle przy łóżku Janet.

- Synem? — Janet właśnie została przewieziona na oddział ginekologiczno-położniczy, gdzie mogła leżeć z dzieckiem w jednym pokoju. Choć wciąż była słaba po tym, co przeżyła, kolory wróciły na jej policzki, gdy tylko usłyszała, że Ryan Graceton Gamet wróci zaraz w jej ramiona. Wciąż spoglądała na drzwi, spodziewając się, że pielęgniarki przyniosą go lada chwila. Lecz jednocześnie zależało jej na tym, by Earl podzielił się z nią wszystkim, czego się dowiedział na temat Thomasa Biggsa, a zwłaszcza motywów jego zbrodni. Potrzebowała wyjaśnienia, jakby miało ono pomóc jej pozbierać się po tak traumatycznych przeżyciach.

- Zdawało mi się, że Jerome i jego żona nie mieli dzieci.
- Matka Thomasa była jedną z jego kochanek.
- Naprawdę? - Przez kilka sekund ta nowina obchodziła ją najbardziej, ale potem uwaga Janet znowu skupiła się na drzwiach pokoju.

411

- Na pewno chcesz teraz o tym słuchać? - Earl spędził ostatnie dwa dni przy telefonie, kompletując fragmentaryczne informacje i układając je w logiczną całość podczas czuwań przy śpiącej Janet. Ilekroć pozwalały na to pielęgniarki, odwiedzał też oddział neonatologiczny, by przytulić małego, szczupłego chłopczyka o czerwonej, po marszczonej twarzyczce ze sterczącą czupryną czarnych

włosów. Wpatrywał się w zdziwieniu w drobnutki jak u lalki palce, które zaciskały się niepewnie wokół jego palców, nie mogąc ich objąć nawet w połowie. Tak słabe, a przecież chwytające za serce z tytaniczną siłą. Zakłóca nie takich chwil ponurymi epizodami z pokręconego życia rysu Thomasa Biggsa wydawało się świętokradztwem, ale było nieuniknione. Earl nie mógł się nadziwić, jak blisko Ryana i Janet znalazło się to toksyczne dziedzictwo.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

• Jak, u licha, znalazłeś takie informacje?

• Dzięki Cheryl Branagh. Po środowej rozmowie ze mną zaczęła się zastanawiać, czy to aby na pewno taki głupi pomysł, że ktoś, kto rzeczywiście cenił Jerome'a Wilchera, mógł mścić się za jego śmierć. Zadzwoiłem na cmentarz, gdzie według doktor Branagh pochowano Wilchera. Powiedziałem szefowi tego przybytku, że byli koledzy chcą uczcić pamięć zmarłego, włączając go do galerii sław, i że nie możemy namierzyć nikogo z rodziny. Okazując właściwą wszystkim ludziom chęć ujawniania poufnych informacji przed lekarzem, facet sprawdził dla mnie, kto wpłaca pieniądze na utrzymanie kwatery. Jak się okazało, jest to niejaka Kathleen B. Otterman, zamieszkała gdzieś w wiejskim rejonie Tennessee.

-B. jak Biggs?

- Tak jest. Jest rozwódką, to jej nazwisko panieńskie.

Ale o tym jeszcze nie wiedziałem, kiedy dzwoniłem tam po raz pierwszy. Ta, której szukałem, nie mogła podejść do telefonu, za to jej siostra była skłonna do rozmowy. Powie działa mi, że Katie, jak ją nazywała, od lat jest inwalidką.

412

Spytałem wprost, czy znają Thomasa Biggsa. „Thomasa?“, odparła. „O mój Boże, co się stało?“ Opowiedziałem jej, jak to potraktował się prądem, ale pomiąłem całą resztę jego historii. Wyszło więc na to, że był to wypadek. Powiedziałem jej też, do którego szpitala go zabrano. Sądząc po tym, jak się rozkleiła, musiał dla niej wiele znaczyć. Powtarzała też w kółko: „To już na pewno dobieje Katie“.

• To on jeszcze żyje?

• Z tego co wiem, sztucznie utrzymują go przy życiu; od czasu do czasu rejestrują strzępy aktywności mózgu, ale jest tego tylko tyle, że nie wypada im jeszcze wyjąć wtyczki i pociąć faceta na kawałki, chociaż mówi się, że może być dawcą nerek i wątroby.

Jan et wzdrgnęła się.

• A cała reszta historii? Przecież minęło... ile, trzynaście lat od śmierci Jerome'a? W dodatku pewnie nie był wspaniałym tatuśkiem. Więc dlaczego, do cholery, Biggs dobrał się do Stewarta po tylu latach?

• Spędziłem czterdzieści osiem godzin, próbując to ustalić. Obawiam się, że mam tylko skrawki informacji, i to z drugiej ręki. Wszystko to jedna wielka zabawa w wypełnianie pustych miejsc.

• A co z policją? Oni nie...

• Kobieta prowadząca śledztwo w sprawie śmierci Stewarta, detektyw Lazar, rozmawiała z szeryfem hrabstwa, w którym Biggs mieszkał ze swoją matką i ciotką. On wiedział o wszystkich brudnych tajemnicach tej rodziny i przedstawił wersję, pod którą podpisałyby się większość lokalnej społeczności. Według niego matka Thomasa była jeszcze zamężna, gdy zaczęła romans z Jerome'em Wilcherem. Pracowała jako technik w laboratorium, które odwiedził w ramach projektu badawczego. Kiedy zaszła w ciążę, rozwiodła się z mężem, ale zachowała jego nazwisko. Wychowała Thomasa jako samotna matka. Jerome Wilcher odwiedzał ją czasem, ale utrzymywał swoją małą, słodką rodzinę w tajemnicy przed kolegami z Nowego Jorku,

413

prawdopodobnie przez wzgląd na byłą żonę, która starała się oskubać go do cna. Thomas i jego matka

raczej nie mogli liczyć na jego wsparcie, ale gdy popełnił samobójstwo, okazało się, że założył fundusz na sfinansowanie studiów Thomasa. Tylko że Katie zaczęła wariować.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

• Kiedy Jerome się powiesił, nie musiała już niczego ukrywać, choć w jej rodzinnych stronach i tak ludzie wiedzieli, co się działo. Tylko że ona nie tylko zaczęła mówić głośno o swoim romansie, ale także dostała ewidentnej obsesji na punkcie śmierci Jerome'a i zanudzała każdego, kto tylko chciał słuchać, szczegółowymi opowieściami o tym, jak koledzy z nowojorskiego szpitala sabotowali jego prace. Wtedy to okazało się, że osobą, która odnalazła martwego Jerome'a, był młody Thomas. Tamtej nocy Katie przyjechała z chłopcem do Nowego Jorku z jedną z bardzo niewielu wizyt. Jerome jednak na tym etapie był już tak zrozpaczony załamaniem swej kariery, że nie potrafił spojrzeć im w oczy.

Jakby to nie było wystarczająco ciężkim przeżyciem dla Thomasa, matka po prostu oszalała. Na początek próbowała powiesić się w piwnicy swego wiejskiego domu. Jak wieść głosi, ukartowała wszystko tak, by Thomas znalazł ją w samą porę i zdążył odciąć. Ale zdaniem sąsiadów prawdziwą krzywdę wyrządziła chłopakowi w znacznie dłuższej perspektywie czasowej. Gdy zabrakło jej współczujących dusz wśród znajomych, zaczęła karmić Thomasa opowieściami o tym, jaka niesprawiedliwość spotkała Jerome'a. Wpajała mu nienawiść do tych, których uważała za winnych śmierci jego ojca. Trzeba przyznać uczciwie, że Thomas się bronił: wyniósł się z domu tak szybko, jak było to możliwe, ale niestety nastąpiło to dopiero po czterech latach, gdy uzyskał dostęp do funduszu edukacyjnego i zapisał się do możliwie najdalej położonej uczelni. Zły wpływ matki pozostaje jednak poza wszelką dyskusją. Naznaczyła go i ukształtowała, tak jak terrorysta kształ-

414

tuje swoje dziecko, szkoląc je na samobójcę. Każdego dnia karmiła go nienawiścią do dalekiego wroga.

- Thomas poszedł więc na medycynę, żeby pomścić ojca?

• Wątpię. Znowu muszę oprzeć się na tym, co mówili znajomi rodziny. Chłopak zawsze chciał być lekarzem, tylko brakowało mu odpowiednio silnego impulsu. W tym sensie można więc powiedzieć, że to jego pójście w ślady ojca miało pewien mroczny podtekst, a to dzięki mamusce. Mógł wybrać każdą dobrą szkołę, a wybrał tę, w której zniszczono jego ojca. Nigdy się nie dowiemy, czy poszedł tam z gotowym planem polowania na winowajców. Osobiście wątpię w to. Gdyby tak było, od razu przyjechałby tutaj. Może najpierw chciał zostawić swój ślad tam, gdzie pamiętano jego ojca, a pragnienie zniszczenia tego, kto zaaranżował upadek Jerome'a Wilchera, przyszło dopiero później? Oczywiście możliwe też, że matka nie przestawała nim manipulować. Ale pewnie i tego nigdy się nie dowiemy.

• Mój Boże - szepnęła Janet, jakby myślała na głos. -I mało brakowało, a wszystko to uszłoby mu na sucho, gdybyś nie zaczął badać sprawy śmierci Elizabeth Mat-thews.

• Pewnie tak. A prawdziwa ironia losu polega na tym, że nie wydaje mi się, by Thomas Biggs miał coś wspólnego ze zgonem tej kobiety.

15.30

Earl miał wrażenie, że J.S. wygląda gorzej niż wtedy, gdy po raz pierwszy opowiedział jej prawdziwą historię Thomasa. Jej nastroje zmieniały się wahadłowo - miała napady wściekłości, melancholii, obrzydzenia, a wszystkie te stany i emocje przelewała na niego spojrzeniem ciemnych oczu.

415

• To była tylko gra. Podła, oszukańcza gra - powiedziała, gdy tylko przekroczył próg jej pokoju. I ona, podobnie jak Janet, opuściła rano oddział intensywnej opieki medycznej.

- Udało mu się oszukać wszystkich, J.S. - odparł. -Mnie, Janet, wszystkich.

• Ale ja pokochałam to kłamstwo. Cholera, jak to świadczy o mnie, o moich instynktach? Czy ja jeszcze komukolwiek zaufam?

- Myślę, że Thomas przez większość czasu sam wierzył w swoje kłamstwo. Znajdował w nim ucieczkę. Nie udałoby mu się zająć tak daleko, gdyby jedynie grał. Wszystko to było tak bardzo złożone, że nie wydaje mi się, abyśmy zetknęli się jeszcze z czymś takim.

- Myśli pan, że słuchając tego, czuję się lepiej? Kochałam coś nierealnego. Aten drań w dodatku próbował mnie zabić, i to z jakiego powodu? Żeby poćwiczyć przed wywołaniem poronienia u Janet?

- Miał inny powód. Jesteś wystarczająco bystra, by dostrzec to, czego on się obawiał z naszej strony. Mogłaś zauważyć prawidłowości w używaniu kart wstępu do pomieszczeń szpitalnych poza oficjalnymi dyżurami.

- Niby jak miałabym to zauważyć?

Earl przełknął ślinę, w duchu zadowolony z pytania, na które miał konkretną odpowiedź.

- Thomas miał zbyt mało dyżurów nocnych, by przeprowadzić wystarczającą liczbę eksperymentów. Nie chciał jednak, żebyś się dowiedziała, że cichaczem wymyka się do szpitala po godzinach. Dlatego robił to tylko wtedy, kiedy miałaś późny dyżur i mógł liczyć, że ucieszy cię perpektywa wspólnej nocy.

J.S. okryła się rumieńcem.

- Nie zdarzało się to aż tak często.

- Tak czy inaczej nie mógł ryzykować nawet tego, że zadzwonisz do niego w środku nocy i zapytasz, gdzie się podziewa.

416

- Jakoś się nie połapałam w tym wszystkim. - Jane wyraźnie nie mogła sobie tego wybaczyć.

- Założę się, że miewałaś wątpliwości, ale podświadomie je odrzucałaś. Teraz powinnaś im się przyjrzeć - nalegał Earl. Postanowił znaleźć przekonujące dowody, by J.S. uwierzyła wreszcie, że nie jest ostatnią naiwną. - Gdybyś tylko zaufała sobie, przekonałabyś się, że twój instynkt spisał się całkiem nieźle.

Jane nie odpowiedziała. Przez długą chwilę rozmyślała o czymś z ponurą miną, po czym spojrzała na Earla z ukosa.

- Co pan ma na myśli?

- Przede wszystkim to, żebyś przestała już obwiniać siebie. Na pewno nie dałaś się nabrać tak kompletnie jak ja. Weźmy choćby tę historię z kartami wstępu. Pytał mnie wciąż, czy już zacząłem je sprawdzać. Wtedy w ogóle mnie to nie zastanowiło, ale teraz rozumiem, że chciał mieć pewność, czy jeszcze jest bezpieczny. Były i inne śmierdzące sprawy, choćby to, jak bardzo garnął się do pomocy w naszych analizach. Wydawało mi się, że jest entuzjastycznie nastawiony, jak przystało na świetnego rezydenta, ale on po prostu chciał mieć oko na nasze postępy w sprawie. Dostrzegam teraz mnóstwo drobnych, sprytnych ruchów z jego strony... pamiętasz, jak bronił Stewarta, ale raz na jakiś czas wyrażał wątpliwości co do jego osoby? A przecież nie podejrzewałem go ani przez chwilę. Mało tego, potrafił nas przekonać, że chcemy go widzieć jako etatowego lekarza na naszym oddziale. Naprawdę nie powinnaś myśleć, że tylko ty dałaś się nabrać.

- Ale też nie każdego nabrał w taki sposób jak mnie.

Earl bardzo chciał jakoś na to odpowiedzieć, ale tylko się zarumienił.

Buntowniczy ogień w spojrzeniu J.S. jakby przygasł.

- Przepraszam. Dałam się nabrać i jestem zła na siebie, nie na pana, doktorze G.

- A ja się założyłam, że jeśli ktokolwiek z nas miał wąt-

417

pliwości co do intencji Thomasa, to właśnie ty i tylko ty. - Nie wiedział o niczym takim, ale uznał, że warto spróbować skłonić J.S. do przyjrzenia się własnej postawie.

Znów długo milczała.

Chyba Susanne powinna spróbować z nią porozmawiać, pomyślał.

J.S. raz jeszcze spojrzała na niego z ukosa.

- Wie pan, rzeczywiście byli pewne zastanawiające sprawy. Tamtej nocy, kiedy pobiegliśmy na wezwanie do Elizabeth Matthews, wydawało mi się, że Thomas jest bardzo zirytowany tym, że Yablonsky wezwała ekipę. Zdziwiłam się, bo atakował ją tak mocno, wręcz ośmieszał, a przecież wystarczyłaby jedna uwaga, że następnym razem powinna lepiej przyglądać się pacjentom. Teraz wiem, że zastraszając Yablonsky, miał nadzieję, że pielęgniarki nie będą już takie skore do wzywania ekipy reanimacyjnej. Tym sposobem prawdopodobieństwo, że ktokolwiek nabierze podejrzeń, stawało się niewielkie... mógł cieszyć się swobodą do czasu, aż był gotowy przypisać winę za zgony Stewartowi. - J.S. zmarszczyła brwi. - Niestety, przy okazji nastawił ją przeciwko panu.

- Ona i tak by mnie zaatakowała. - Earl chciał, by J.S. mówiła dalej, bo tym sposobem mogła dłużej pozostać na powierzchni, poza psychicznym dołkiem, do którego wpadła. - Szczerze mówiąc, nawet nie byłbym zdziwiony, gdyby Yablonsky sama zauważyła wzrost śmiertelności pacjentów. Jest przecież przełożoną, sprawuje pieczę nad dokumentacją. Może domyślała się, że kiedy sprawa wypłynie, wszyscy będą wskazywać palcami na pielęgniarki. Nie chciała tego, więc ucieszyła się, kiedy się okazało, że może obwinie mnie.

J.S. zamyśliła się głęboko.

- Wie pan, jest jeszcze coś, co brzmiało stanowczo zbyt gładko: to, jak identyfikował się ze wszystkimi uczuciami, o których mu opowiadałam. Mówiłam o śmierci mojego ojca, a on o podobnej reakcji na śmierć swojego. Wtedy

418

zdawało mi się, że jesteśmy po prostu bratnimi duszami. Kiedy rozmawialiśmy o dorastaniu na wsi, podobały nam się i nie podobały te same sprawy. Ale on tak naprawdę tylko przejmował moje opinie jako własne, żeby mnie oszukać.

- Niewykluczone, że sprawy zaszły dalej. Ze nie było to tylko puste kłamstwo.
- Jak to?
- Jeśli wziąć pod uwagę to, że on praktycznie żył swoją rolą, nie można wykluczyć, że użył twoich uczuć, żeby pozbyć się własnych. Tak, jakby wkładał nową skórę.
- Jezu, to upiorna myśl.

J.S. uniosła w górę palec wskazujący.

- A jednak nie był aż taki doskonały, nawet w tej chęci pomocy w śledztwie. Z początku nie miał żadnych pomysłów w tej sprawie i musiałam go zachęcać, dopiero potem stał się Wielkim Pomocnikiem. To też mnie zdziwiło... dla czego nie wpadł na ten pomysł znacznie wcześniej? Pewnie początkowo sądził, że jeśli wszyscy pójdą za panem, tylko zmaczą wodę, ale potem wystraszył się, że odkryje pan zbyt wiele, i postanowił, że warto być blisko i w razie potrzeby skierować pana w niewłaściwą stronę.

W oczach Jane pojawiła się mała iskra, której dawno nie było. Earl miał nadzieję, że odkrywając niedoskonałości w kamuflażu Thomasa, dziewczyna zdoła wreszcie dostrzec jego kłamstwa we właściwych proporcjach, a wtedy wyleczy się także ze strachu przed kolejnym związkiem.

- I widzisz, J.S.? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym we właściwym czasie? Spójrz tylko, ilu kłopotów mogliśmy uniknąć. Jesteś beznadziejna.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami, a w jej oczach malowało się bezbrzeżne zdumienie. W końcu zachichotała.

-Zaraz, zaraz, doktorze G., teraz mnie pan podpuszcza.

- Jasne, że tak. I nie przestanę podpuszczać, dopóki

419

nie przestaniesz się tak surowo oceniać. Założę się, że gdyby był tu Jimmy, dałby ci popalić jeszcze bardziej i...



Błysk bólu, który pojawił się w jej oczach, kazał mu urwać w pół zdania.

- Co się stało? - spytał.
- Przepraszam, doktorze G. Tak szybko się męczę... Nie pogniewa się pan, jeśli teraz odpocznę?
- Ależ skąd.

Wychodząc, Earl zatrzymał się przy stanowisku pielęgniarek.

- Czy Jimmy Fitzpatrick odwiedzał dziś J.S.? - spytał.

Otyła, ciemnoskóra kobieta skinęła na niego palcem, by się zbliżył.

- Kilka razy próbował - szepnęła. — Ale J.S. powiedziała, że mamy go nie wpuszczać.

## 15.50

### Jezioro Erie, Buffalo, stan Nowy Jork

Niewysoka fala uderzała o dziób kajaka Jimmy'ego, ale wspólnie z Earlem utrzymywali idealnie prosty kurs. Wiatr z zachodu przyjemnie chłodził skórę, a akwamarynowa tafla jeziora lśniła w słońcu tak mocno, że nie dało się patrzeć na nią bez zmrużenia oczu albo bez okularów przeciwsłonecznych.

Było pięknie, ale siedzący na dziobie Earl wydawał się spięty. Wiedział, że zaproszenie od Jimmy'ego nie oznacza tylko paru godzin beztrudnego, sobotniego wiosłowania.

- To co, Jimmy, robimy skok na kanadyjską granicę? - zagadnął, by przełamać lody. Odkąd zeszli na wodę przed dwudziestoma minutami, gospodarz wyprawy był wyjątkowo milczący.
- Właściwie to chciałem ci powiedzieć, że dostałem ofertę pracy.

420

Tego Earl się nie spodziewał.

-Tak?

• W Denver, w Kolorado. Potrzebują tam kapelana szpitalnego, a w charakterze premii dokładają małą parafię tuż za miastem. To wiejski kraj, musiałbym odwiedzać wiernych konno. Samotny jeździec i tak dalej.

• Naprawdę? I co, przyjmiesz tę ofertę? - Myśl o St Paul's bez Jimmy'ego Fitzpatricka nie była zbyt wesoła.

- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, czy musiałbym zabrać ze sobą dość przykry bagaż. Nie pozwolę, żeby nowi ludzie ucierpieli z powodu mojego nazwiska.

Earl wiosłował przez chwilę w milczeniu, ze zdwojoną energią, czując przyjemne napięcie mięśni grzbietu.

- A co z Buffalo?
- Tak czy inaczej, odejdę stąd. Wiesz, że muszę. Nie chcę, żebyś ty czy ktokolwiek inny musiał kryć moje postęпки. Poza tym moja praca w tym szpitalu jest skończona. Wyatt ustępuje, a jego działkę przejmują młode lwy. Pytanie tylko, czy skończy się to, co trwało tak długo.

• Chcesz powiedzieć, że będę musiał wyjaśnić i ujawnić sprawę ze szczegółami? A co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Pacjenci dostali morfinę, którą powinni byli dostać wcześniej. Nikt nie będzie już grzebał w danych o śmiertelności i szukał zależności, skoro sprawa Thomasa Biggsa jest wyjaśniona.

Znowu zapadła cisza, lecz tym razem Earl wyczuwał, że to wzmożona praca ramion Jimmy'ego popycha kajak żwawo do przodu.

- Skąd wiedziałeś? - spytał w końcu Jimmy.

Earl odetchnął głęboko, jakby trzymał w sobie tę tajemnicę jak łyk powietrza.

- Na oddziale paliatywnym wystąpiły dwie fale wzrostu śmiertelności wśród pacjentów. Pierwsza dotyczyła osób ze statusem DNR, czyli naprawdę bliskich śmierci.

ci i zapewne najbardziej cierpiących. Tak się złożyło, że pojawiła się w pierwszych trzech miesiącach tego roku.

- Co z tego?
- Thomas Biggs był wtedy na praktykach w rejonie Finger Lakes. Nie mógł odpowiadać za te zgony, więc musiałem poszukać innego kandydata. Sięgnąłem pamięcią do tej rozmowy, w której wspomniałeś mi o ciemnej postaci. To było wtedy, gdy chciałem się bliżej przyjrzeć sprawom oddziału paliatywnego.
  - Hej, ta historia jest prawdziwa, od pierwszego do ostatniego słowa!
  - Pewnie. Zdziwiło mnie także to, jak się rzuciłeś, żeby bronić Yablonsky podczas raportu posekcyjnego... przecież była uosobieniem tej obojętności, którą tak gardzisz. To nie miało sensu, chyba że wiedziałeś z całą pewnością, że to nie ona była winna śmierci Elizabeth Matthews. Co właściwie się stało? Otóż odwiedzałeś pacjentów, jak zwykle, podając potrzebującym dodatkową dawkę morfiny. Zobaczyłeś cierpiącą kobietę i choć raz nie było u jej boku męża. Dałeś jej zastrzyk, nie wiedząc, że wcześniej kazałem zwiększyć jej dawkę. Ty albo ten, kto z tobą współpracował...
    - Niczego takiego nie mówiłem...
    - Świetnie. Tylko pilnuj, żeby twoja wesoła kompania dobrych dusz, kimkolwiek są, została rozwiązana przed twoim wyjazdem. Jeśli to zrobisz, nie będę zadawał żadnych pytań. Jimmy długo nie odpowiadał, w końcu roześmiał się.
      - Proszę, proszę, więc i ty masz w sobie trochę ducha wyjętego spod prawa.
      - Być może. Powiedzmy, że jestem skłonny naginać zasady wtedy, gdy ma to sens. Ale jeżeli można naprawić zło, niech to się dzieje legalnie i otwarcie. Rozumiesz? Dotyczy to także pocieszania wdów.
        - Zatem mogę jechać do Denver, nie bojąc się, że ciągnę

422

za sobą potencjalny skandal, który może wybuchnąć lada chwila?

- Z mojej strony nie spodziewaj się kłopotów. - Omal nie dodał: „Żałuję, że wyjeżdżasz”, ale wiedział w głębi serca, że Jimmy nie ma wyboru. Kiedy wyjedzie, zmniejszy się ryzyko kolejnej pomyłki, która mogłaby przypomnieć wszystkim o jego bliskich związkach z oddziałem opieki paliatywnej.
  - I pomyśleć, że ktoś kiedyś oskarżył cię, że nie wspierasz sprawiedliwych. - Jimmy przyspieszył tempo wiosłowania, zmuszając Earla do tego samego. Im szybciej płynęli, tym głośniejsze fale tłukły o czerwone płótno okrywające cedrowy szkielet kajaka.
    - Gdy tylko osiągnęli większą prędkość, Jimmy próbował podkreślić tempo jeszcze bardziej, a Earl nie dawał za wygraną. Ich ciężkie oddechy oraz chlupot wody zagłuszyły dalekie odgłosy miasta.
      - A co z tobą i J.S.? - zawołał Earl.
      - Jane potrzebuje czasu, żeby odzyskać zaufanie do siebie.
      - A wtedy?
        - Wtedy poproszę ją, żeby za mnie wyszła.
    - Earl zaczął się śmiać.
      - Może w ramach zalotów powinieneś przynajmniej za prosić ją na parę takich wycieczek kajakiem?

### **Niedziela, 20 lipca, 10.05 Oddział opieki paliatywnej**

- Wracam do domu na stałe - powiedziała Earlowi Sadie Locke.

W jej oczach zobaczył więcej życia niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy poprosiła o spotkanie, mówiła tylko, że ma wspaniałe nowiny.

- Naprawdę?

- Tak! Donny znalazł zastępcę do pilnowania interesu na Hawajach i może zostać jakiś czas w Buffalo. Przeprawimy się do naszego dawnego domu, razem z pielęgniarką, którą dla mnie wynajął, aż do... - Sadie wzruszyła ramionami, prawie jakby chciała przeprosić za poruszenie tematu związanego z jej rychłym odejściem z tego świata.

Earl uśmiechnął się i podał jej rękę.

- To cudownie, Sadie. Absolutnie cudownie.
- Słyszałam, że został pan tatusiem? Tak się cieszę, że pana żona i synek są zdrowi i bezpieczni.

Jak mu na imię?

- Ryan.
- Podobno ma już braciszka?

Earl uśmiechnął się lekko. Widać było, że zasięgnęła języka. Nie miał nic przeciwko temu; w zasadzie był to nawet dobry znak, że wciąż interesowała się otaczającym ją światem.

- Zgadza się. Brendan ma sześć lat.
  - Dobra różnica wieku. Kiedy jest mniejsza, bracia rywalizują.
- Rozmawiali luźno jeszcze przez chwilę, aż Earl uznał, że pora wracać na dół, do Janet.
- Muszę już iść, Sadie, ale naprawdę się cieszę, że pani plany...
  - Doktorze Gamet, czy mogę zadać panu osobiste pytanie?
  - Jasne.
  - Widział pan umierających ludzi. A ja., nie wiem, czego się spodziewać. Czy to zawsze trudne? Zdumiało go to pytanie. Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć.

- Sadie, to bardzo indywidualna sprawa. Ale jeśli tylko lekarze dobrze panują nad bólem, a jestem pewien, że teraz już nie będzie z tym problemów, większość chorych odchodzi w spokoju.

424

-Podobno niektórzy walczą, trzymają się życia... Ja tak nie chcę.

Earl zamyślił się.

• Wie pani, jedno nieustannie mnie zadziwia. Niekórzy podejmują decyzję, że już czas odejść, i wtedy sprawy toczą się same. Jest tak, jakby istniał w nas wielki wyłącznik życia, którego możemy użyć, jeśli tylko mamy do niego dostęp. Proszę mnie nie pytać, jak to możliwe, ale wiele razy słyszałem umierających, którzy mówili: już czas. Wtedy w żaden sposób nie mogliśmy zatrzymać śmierci. Niekiedy nadchodziła w ciągu paru godzin. Kiedy tak się dzieje, sam proces przebiega bardzo spokojnie i naturalnie.

- Uważa pan, że niebo istnieje?
- Och, Sadie... Znacznie lepiej będzie, jeśli zapyta pani o to ojca Jimmy'ego.
- Nonsens. On pracuje dla Firmy, odpowie mi służbowym tekstem. A ja chcę usłyszeć zdanie

sceptyka.

Earl zachichotał.

- Sceptyka?
- Wie pan, kogo mam na myśli. Kogoś, kto nie działa w tej sprawie z urzędu.

Earl odetchnął głęboko.

• Nie wiem. Przypuszczam, że istnieje coś znacznie większego niż nasz ziemski porządek. - Przypomniał sobie moment, w którym czuł się jak kropla powracająca do oceanu, ale odsunął tę myśl. Nie było w niej pocieszenia dla Sadie. - Zauważyłem coś jeszcze. Ludzie, którym towarzyszą najbliżsi, odchodzą jakoś łatwiej.

- Naprawdę?
- Tak. Mówię nie tylko o samym umieraniu, ale i o spotkaniu z nieznanym, które leży poza tą

granicą. Jest tak, jakby przyjaciele i rodzina byli dowodem, że odchodzący człowiek nie jest nikim, że ma za sobą dobre życie. I że jeśli ktoś tam nas ocenia, wszystko będzie w porządku.

- Aja mam Donny'ego.

425

- Właśnie tak. Zresztą już widać różnicę. Pani promienieje, Sadie.
- Bo jestem szczęśliwa, że wrócił. I czuję ulgę na myśl, że zostanie.
- Więc sama pani widzi...
- Ale co z tymi opowieściami o ludziach po drugiej stronie? Czy to już niebo?  
Earl zaśmiał się znowu.
- To chyba zależy od tego, jak nas tam witają.
- Ach, zatem jest pan jednym z tych, dla których piekłem są inni ludzie?
- Tak, ale mogą też być niebem, jeśli tylko dobrze o nas myślą.  
Earl nabierał przekonania, że udziela coraz ciekawszych odpowiedzi.
- *Przy drzwiach zamkniętych.*
- Słucham?
- *Przy drzwiach zamkniętych.* To dramat Jeana Paula Sartre'a, filozofa egzystencjalisty. Ojciec Jimmy dał mi do przeczytania... A pan mówi praktycznie to samo co ten filozof.  
Earl pożegnał się z Sadie i wyszedł. Miał przykre wrażenie, że właśnie zagięła go z filozofii pewna osiemdziesięciolatka.

Leżał w szarej strefie. Widziałem go pode mną. Roztaczał słodkawą, mdlącą woń oparzeń. W gardle czułem rurkę doprowadzającą tlen do jego poparzonych płuc i widziałem lśniące mięśnie, które wystawały z ran w jego skórze.

Ale ja unosiłem się wyżej i już nie byłem jego częścią. Nawet ból wydawał mi się daleki. Ale nie strach. Bo oni czekali na mnie tam, w ciemności. Niewyraźne, czarne postacie gotowe mnie porwać. Ich milczenie było tak głębokie i przytłaczające jak pustka ciągnąca się za nimi.

Nie chciałem iść do tych cieni. Ale czułem, że przycią-

426

gają mnie ich spojrzenia. Zwłaszcza jednego z nich, który trzymał się na uboczu. Nie znałem go, ale jego lodowate spojrzenie napelniało mnie przerażeniem. Wyczuwałem jego chłód za każdym razem, gdy pojawiał się w pobliżu, i choć próbowałem krzyczeć, z mojej krtani nie wydobywał się żaden dźwięk.

Ale on musiał coś słyszeć, bo cofał się nieznacznie, wciąż patrząc na mnie z nienawiścią, która niszczyła we mnie ostatnie ślady życia, osłabiając moją więź ze szerną skorupą ciała, którą miałem pod sobą.

Znowu ruszył ku mnie i znowu wysysał ze mnie siłę. Czułem, że nie będę długo stawiał oporu. Ciemne postacie zakołysały się wyczekująco. Zaczęły płynąć w moją stronę.

## Epilog

**Poniedziałek, 21 lipca, 7.00**

**Oddział ratunkowy, St Paul's Hospital**

- Wiesz, nic nie zaszło - powiedział Michael, zniżając głos do szeptu.
- Dokąd nie zaszło? - spytał Earl.

Wkładali nowe skafandry Strykera, dostarczone na oddział w weekend wraz z od dawna oczekiwanym zarządzeniem: od tej pory właśnie w takich strojach miały działać ekipy reanimacyjne na wszystkich oddziałach. Czuli się tak, jakby wkładali jednoczęściowe kombinezony narciarskie, tyle że wykonane z żółtego winylu i noszone na zwykłą odzież ochronną.

Earlowi było gorąco, zanim jeszcze zasunął zamek.

- No wiesz! - mruknął Michael cichym, ale i natarciwym głosem. — Mówię o tej sprawie z wdową Baxter. Spokaliśmy się tylko na drinku i rozmawialiśmy.

Earl nie miał teraz najmniejszej ochoty na takie zwierzenia. Właśnie dostał wiadomość, że karetka wiozą sześcioro pacjentów domu opieki z okolic Niagary. W weekend pojawiły się u nich objawy zapalenia płuc, a zaraz potem nastąpiła ostra niewydolność oddechowa. Wstępna diagnoza: SARS.

- Posłuchaj, Michael, nie miałem prawa...

-Nieprawda. - Popovitch przysunął się nieco bliżej, wkładając drugą parę rękawic i spinając ich mankiety z rękawami nowego skafandra. - Kłóciłem się z Donna

428

i oto pojawiła się kobieta, która się nie krzywiła, gdy jej dotykałem, nawet jeśli był to tylko uścisk rąk. Ale kiedy dałeś mi popalić... - Michael wzruszył ramionami, a jego skronie widoczne ponad maską zaróżowiły się wyraźnie. Earl zostawił w spokoju oporny zamek kombinezonu i położył dłoń na jego ramieniu.

- Hej, jestem twoim przyjacielem, ale też dość wścibskim facetem. Martwiłem się o ciebie.

- Jimmy wspominał, że mówiłeś...

Earl uciszył go jednym spojrzeniem.

- O tym nie będziemy rozmawiać, Michael. Ani teraz, ani nigdy. Musisz żyć z tym, co robiłeś. Tak jak ja żyję z tym, że nie zrobiłem z tego afery. Cała reszta umarła razem z Biggsem. Rozumiesz?

Oczy Michaela zmieniały się z wolna w mroczne sadzawki melancholii. Wreszcie skinął głową.

• A jak ci się teraz układa z Donna? - spytał Earl, po części z ciekawości, a po części, żeby się oddalić od niebezpiecznego terenu rozmowy.

• Lepiej.

• Naprawdę?

• Tak. To, co przeżyła Janet, mocno nią wstrząsnęło. Myślę, że wreszcie przyznała przed sobą, że istnieją na świecie większe zagrożenia niż SARS, i uznała, że szaleństwem jest ciągła ucieczka. - Popovitch naciągnął kaptur na głowę. — Poza tym zdaniem Donny w tym nowym stroju będę bardziej bezpieczny. Jeszcze nikt nie złapał SARS, używając go. - Głos Michaela, stłumiony pleksiglasową maską, ledwie docierał na odległość kilkudziesięciu centymetrów.

Rzeczywiście, pomyślał Earl, jak dotąd nikt. Włożył kaptur i natychmiast poczuł, że jest mu duszno. Włączył system wentylacyjny i chłodny strumień powietrza wypełnił hełm, ułatwiając oddychanie. Ale sztywny materiał krępował ruchy, nie mówiąc o potęgowaniu klaustrofo-bicznych doznań.

429

Przeszli do sali reanimacyjnej, gdzie w podobnych strojach czekały już Susanne i jej dwie podwładne. Właśnie tu mieli przyjąć pacjentów i tylko oni mieli mieć z nimi kontakt.

• Wyglądamy jak załoga ze *Star Treka* - zauważył Earl, podnosząc głos na tyle, by wszyscy usłyszeli. Wyglądali tak ponuro, że ktoś musiał przynajmniej spróbować poprawić im humor.

• Tylko że ma pan więcej włosów niż William Shat-ner - odparowała Susanne i wokół wszystkich oczu pojawiły się zmarszczki uśmiechu, a w zrenicach ukrytych za przezroczystymi szybami rozbłysły wesołe iskry.

Dalekie, falujące wycie syren jak zawsze wywołało u Earla wzrost poziomu adrenaliny i lekki skurecz żołądka. Tym razem jednak to elektryzujące doznanie nie pomogło mu oczyścić umysłu i wyostrzyć refleksu. Tego dnia przyniosło ze sobą narastające poczucie bezradności.

Jak długo trzeba będzie pracować w taki sposób?

Dni? Tygodnie? Zawsze?

Wirus SARS nie był przecież ostatnim mikroorganizmem, który pojawił się bez ostrzeżenia, gotów

zniszczyć gatunek ludzki, przechytrzyć naukę i mnożyć się bez ograniczeń.

Przeraźliwe wycie karetek było coraz głośniejsze; atakowało mury St Paul's jak rój wściekłych owadów.

Z lękiem pomyślał o Janet i Ryanie gdzieś na wyższym piętrze budynku i o Brendanie czekającym na nich w domu. Zawsze wierzył, że najbliższe mu osoby mają pewną przewagę nad innymi ludźmi zagrożonymi epidemią, którą dawała jego wiedza medyczna. Teraz jednak czuł, że coś się zmieniło. Tu, na sali reanimacyjnej oddziału ratunkowego, gdzie spędził całe życie, praktykując sztukę triumfowania nad śmiercią, fundamenty jego profesji właśnie zaczęły się kruszyć.

Ale wiedział, że prędzej sczeźnie, niż stąd ucieknie.

Nie umiałby, nawet gdyby chciał.

430

W jego psychice nie było wstecznego biegu.

I wiedział, że jeśli będzie trwał, wytrwają też inni - nie tylko na tym oddziale, ale i w całym szpitalu. Jego pojęcie „własnej domeny” obejmowało teraz wszystko i wszystkich w St Paul's i chciał, by tak powszechny był i jego wpływ. A Hurst mógł iść do diabła.

Za mlecznymi szybami sali zobaczył rozmazane, żółte postacie. Karetki dotarły na miejsce.

Przez hermetyczny kaptur przeniknęły odgłosy krzątania. Silniki już zgasły, otworzyły się drzwi pojazdów, ludzie wymieniali krótkie komendy i rozkładali podwozia noszy - lecz wszystkie te dźwięki brzmiały inaczej niż zwykle. Były dalekie, stłumione.

- Uwaga, zaczynamy show - zawołał Earl, z niechęcią zauważając, że i jego głos brzmi inaczej w zamkniętej przestrzeni hełmu. - Cokolwiek będziemy robić dla dobra ich płuc, nie zapominajmy też o ich duszach. Te stroje mogą tłumić głos, a pacjenci nawet nie zobaczą naszych twarzy i nie poczują ciepła dłoni. Ale nie pozwólcie im zapomnieć ani na sekundę, że są w rękach ludzi, a nie jakichś cholernych robotów.

Dwaj sanitariusze wprowadzili do sali pierwsze nosze. Leżała na nich blada starsza kobieta w masce tlenowej. Jej pierś unosiła się z wysiłkiem, jakby każdy oddech był walką. Wychudła i poszarzała twarz emanowała przerażeniem na widok Earla i jego ekipy.

To nie będzie łatwe, pomyślał.

## Podziękowania

Moim długoletnim przyjaciółom, doktor Jennifer Frank i doktorowi Brianowi Connolly'emu, za konsultacje w kwestiach medycznych.

Pat Moore za jej fachowe informacje o nieprzyjemnych substancjach, które można znaleźć na półkach laboratorium patomorfologicznego.

Ojcu Romanowi Laholi za przemyślenia na temat opieki duszpasterskiej w wielkomiejskim szpitalu klinicznym oraz objaśnienia co do charakteru greckiego Kościoła ortodoksyjnego.

Johannie, Connie i Betty za ich sokole oczy.

Mojemu agentowi Jayowi Mandelowi za wszelką pomoc.

Moim redaktorom: Pat Peters, precyzyjnej i troskliwej słowomistrzyni, oraz Markowi Tavaniemu, za nadzwyczaj przemyślane uwagi.